

Księżyc nad Karoliną

Nora Roberts



calibre 0.9.43

NORA ROBERTS

KSIEŻYC NAD KAROLINĄ

Tytuł oryginału Carolina Moon

TORY

Dla mnie nie zestarzejesz się - nie, nigdy w świecie:

Bo od chwili, gdy nasze oczy się spotkały,

Nie widzę w twojej urodzie zmian

William Shakespeare [sonet 104, tłum. Stanisław Barańczak]

Obudziła się w ciele zmarłej przyjaciółki. Miała osiem lat, była wysoka na swój wiek, drobnokoścista, o delikatnych rysach twarzy. Jej włosy koloru jedwabistych włókien dojrzałej kukurydzy wdzięcznie opadały na smukłą szyję. Matka uwielbiała je czesać, co wieczór sto razy przeciągała po nich miękką, oprawioną w srebro szczotką z kompletu leżącego na ślicznej czereśniowej toaletce.

Ciało dziecka przechowało pamięć o tym, czuło to - każde długie pociągnięcie szczotki, a także wyobrażenie samej siebie jako głaskanego i pieszczonego kotka. A także światła, które padało ukośnie na wypukłe pokrywki puzderek, na kryształowe i kobaltowe flakony, połyskiwało na włosach, odbijało się od oprawy szczotki.

Zapamiętała zapach pokoju - czuła go nawet teraz. Gardenia. Mama zawsze pachniała gardenią.

W lustrze zaś, przy świetle lampy, mogła zobaczyć owal swojej twarzy - takiej młodej, takiej ślicznej z niebieskimi oczami i gładką skórą. Takiej żywej.

Na imię miała Hope.

Była pełnia lata, okna i drzwi balkonowe pokoju pozostawały zamknięte. Żar napierał

na szyby, jakby chciał się wdrzeć do środka, ale wewnątrz domu powietrze było chłodne, a jej bawełniany szlafroczek pozostawał tak świeży, że aż szeleścił, kiedy się poruszała.

Pragnęła tego upału, pragnęła także przygody, zachowała jednak te myśli dla siebie, całując na dobranoc mamę. Czułe muśnięcie pachnącego policzka.

Jak zawsze w czerwcu mama kazała zwinąć wyścielające korytarz chodniki i przenieść je na strych. Dlatego teraz bose stopy dziewczynki ślizgały się na sosnowych, wywoskowanych deskach podłogi, kiedy przemierzała hol ozdobiony boazerią z cyprysowego drewna i obrazami w grubych, połączonych i spatynowanych ramach. Po stromych, kręconych schodach, wbiegła na górę, do gabinetu ojca.

Pachniało tam nim. Dymem, skórą, Old Spice'em i burbonem.

Uwielbiała ten pokój, ze ściętymi ścianami i wielkimi, masywnymi fotelami w kolorze porto, które tata pijał czasami po kolacji. Tutaj, na ustawionych wokół półkach, było pełno książek i różnych skarbów. Kochała tego siedzącego za olbrzymim biurkiem mężczyznę., z nieodłącznym cygarem, małą karafką i księgami rachunkowymi.

Miał grzmiący głos i obejmował ją mocno, całkiem inaczej niż mama, powściągliwie całująca ją na dobranoc.

„Oto moja księżniczka, która odejdzie za chwilę w zaczarowaną krainę snów”.

„Co mi się przyśni, tatusiu?”

„Rycerze i białe rumaki, a także zamorskie podróże”.

Zachichotała, ale dłużej niż zwykle zatrzymała głowę na jego ramieniu, pomrukując, jak zadowolony z pieszczoty kociak.

Czyżby wiedziała? Czyżby w jakiś sposób wiedziała, że już nigdy więcej nie usiądzie bezpiecznie na jego kolanach?

Zbiegła po schodach, minęła pokój Cade'a. Jeszcze nie spał. Był od niej starszy o cztery lata i w letnie wieczory mógł posiedzieć dłużej, pooglądać telewizję albo poczytać książkę, pod warunkiem, że rano nie będzie wylegiwał się w łóżku.

Pewnego dnia Cade zostanie panem Beaux Rêves i zasiądzie nad księgami rachunkowymi przy wielkim biurku w wieży. To on będzie zatrudniał i zwalniał ludzi, doglądał upraw i zbiorów, palił cygara na zebraniach, narzekał na rząd i na cenę bawełny.

Stanie się tak, ponieważ jest synem.

Lepiej nie mogło być. Hope nie chciałyby wcale siedzieć za biurkiem i dodawać cyfr.

Przystanęła przy drzwiach pokoju siostry, zawahała się. Z Faith sprawy nie układały się już tak prosto. Lilah, ich gospodyni, powiedziała kiedyś, że panienka Faith mogłaby się pokłócić z samym Panem Bogiem, po to tylko, żeby go zdenerwować.

Hope uważała, że jest w tym jakaś prawda i, chociaż były z Faith bliźniaczkami, nie mogła zrozumieć, dlaczego jej siostra chodzi wciąż taka nadęta. Na przykład dzisiaj zachowała się niegrzecznie podczas kolacji i kazano jej odejść od stołu. Teraz siedzi w ciemnym pokoju za drzwiami zamkniętymi na cztery spusty. Pewnie wpatruje się w sufit z nadąsanym wyrazem twarzy i z tak mocno zaciśniętymi pięściami, jak gdyby gotowa była walczyć z cieniami.

Dotknęła klamki. Zazwyczaj włożyła do łóżka Faith i dopóty wymyślała rozmaite historyjki, dopóki nie rozśmieszyła siostry i nie osuszyła jej łez.

Jednak tej nocy czekały na nią inne sprawy. To była noc przygód.

Wszystko zostało starannie zaplanowane. Hope nie okazywała podniecenia, dopóki nie zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju. Nie zapaliła światła. Poruszała się szybko i sprawnie w opromienionej srebrną poświatą księżycy ciemności. Zmieniła bawełniany szlafrok na szorty i podkoszulek. Gdy układała na łóżku poduszki, formując z nich coś, co miało przypominać kształtem śpiącą postać, czuła radosne, przyspieszone bicie serca.

Wyjęła spod łóżka Przybornik Podróżnika. W starym pudełku z wypukłą pokrywką przechowywała butelkę coca - coli, torebkę z ciasteczkami, zwędzonymi sprytnie z kuchni, mały, zardzewiały scyzoryk, zapałki, kompas, pistolet na wodę - naładowany do pełna - i czerwoną plastikową latarkę.

Usiadła na chwilę na podłodze. Poczwała zapach swoich kredek, a także talku, który pozostał na skórze po kąpieli. Słyszała też odległą muzykę, dobiegającą z saloniku mamy.

Uchyliła okno i cichutko wyjęła z niego siatkę. Uśmiechała się.

Teraz nie mogła się już doczekać. Szybko i zręcznie przełożyła nogę przez parapet, znalazła miejsce na stopę w treliżu, po którym pięła się wistaria.

Powietrze było jak syrop, którego gorący i słodki zapach wypełniał jej płuca, kiedy opuszczała się na dół. Wbiła sobie drzazgę w palec, syknęła z bólu. Jednak nie przestała schodzić, nie spuszczała też z oczu oświetlonego okna na parterze. Wyobraziła sobie, że jest cieniem i że nikt nie może jej dostrzec.

Była Hope Lavelle, dziewczyną - szpiegiem, i punkt o dziesiątej trzydzięci pięć miała się w punkcie kontaktowym spotkać ze współpracowniczką.

Kiedy stanęła na ziemi, z trudem powstrzymała dławiący ją śmiech.

Pobiegła pędem, chowając się za grubymi pniami wielkich starych drzew. Zerknęła w kierunku bladego niebieskawego światła w oknie pokoju, gdzie jej brat oglądał telewizję, potem wyżej, na jaśniejsze, żółtawe światło w pokojach, w których jej rodzice spędzali wieczór.

Pomyślała, że zdemaskowanie byłoby równoznaczne z fiaskiem misji. Pochyliła nisko przemykała przez ogród pośród słodkiego zapachu róż i kwitnących jaśminów. Za wszelką cenę musi uniknąć schwymania. Na barkach jej dzielnej współpracownicy spoczywają losy świata.

Wyprowadziła zza krzewu kamelii ukryty tam rano rower, poprowadziła go wzdłuż trawnika, brzegiem długiego żwirowego podjazdu, aż odeszła na tyle daleko, że dom i światła stały się niewyraźne.

Wsiadła na rower i pomknęła jak burza. Wyobrażała sobie, że prowadzi podrasowany motocykl, wyposażony w groźną broń chemiczną i w uniemożliwiający pościg miotacz oleju.

Białe, plastikowe ozdoby, zawieszane na obu końcach kierownicy, furkotały i wesoło uderzały o siebie.

Jak strzała pokonała odcinek drogi, gdzie chór żab i cykad zagłuszony został przez ryk jej pędzącej w zawrotnym tempie maszyny.

Na rozstaju dróg skręciła w lewo, zręcznie zeskoczyła z roweru, wprowadziła go do wąskiego parowu i ukryła w krzakach. Chociaż księżyc świecił jasno, wyjęła z pudełka latarkę. Uśmiechnięta Księżniczka Leia na jej zegarku poinformowała ją, że ma jeszcze piętnaście minut czasu. Odważnie, bez namysłu, ruszyła wąską ścieżką, która prowadziła na bagna.

Do kresu lata i dzieciństwa. Do kresu życia.

Tutaj świat żył własnymi dźwiękami wody, owadów i różnych nocnych stworzeń.

Porośnięte mchem żywe filary potężnych cyprysów łączyły się w górze, splatały gałęziami, zasłaniały niebo, tworząc swoisty baldachim, przez który z trudem przedzierały się smugi światła. Kwiaty magnolii pachniały mocno i słodko. Wędrówka na polanę stała się jej drugą naturą. Oto miejsce spotkań, ukochane tajemne miejsce, o które dbała i którego strzegła.

Ponieważ przyszła pierwsza, wybrała z przyzmy drewna suche patyki i grubsze gałęzie i przygotowała ognisko. Dym odstraszał komary, które gryzły ją w ręce i nogi.

Usiadła na ziemi. Czekala z ciasteczkami i colą.

Zamknęła oczy zasypiając, muzyka bagien kołysała ją do snu. Ogień ledwie się tlił.

Zasypiając, oparła policzek na podciągniętych pod brodę kolanach.

Początkowo szelest był tylko częścią jej snu, w którym przemykając się i klucząc ulicami Paryża starała się zgubić groźnego rosyjskiego szpiega. Jednak trzask łamanej pod nogą gałęzi sprawił, że poderwała głowę do góry, a sen odpłynął. Uśmiechnęła się, ale natychmiast przybrała surowy, profesjonalny wyraz twarzy wzorowego tajnego agenta.

- Hasło!

Poza monotonnym brzęczeniem owadów i słabnącym trzaskaniem gasnącego ogniska na moczarach panowała cisza.

Poderwała się na nogi, podniosła do góry latarkę jak broń.

- Hasło! - zawołała jeszcze raz i wycelowała krótki snop światła.

Jednak tym razem szmer dobiegł z za jej pleców, więc odwróciła się natychmiast, z bijącym sercem i podrygującym nerwowo snopem światła. Strach - coś, czego jeszcze nie zaznała w ciągu ośmiu lat krótkiego życia - wtargnął gwałtownie i palił ją w gardle.

- Daj spokój, przestań. Nie przestraszysz mnie.

Kiedy dźwięk rozległ się z lewej strony, kolejna fala strachu zagnieździła się w jej brzuchu. Cofnęła się o krok.

I usłyszała śmiech - stłumiony, sapiący, tuż obok.

Biegła teraz, biegła wśród mrocznych cieni przy podskakującym świetle. Strach był

tak straszny, że zanim zdążyła krzyknąć, odebrało jej głos. Ciężkie kroki podążały za nią.

Szybko, coraz bliżej. Coś ją uderzyło z tyłu - potworny, wibrujący ból spłynął z pleców aż do stóp. Runęła na ziemię. Kiedy przywalił ją jego ciężar, powietrze wydobyło się z jej płuc niczym szloch. Poczula zapach potu i whisky.

- Tory! Tory, pomóż mi!

Kiedy Tory doszła do siebie, leżała na kamiennej płycie swojego patio, ubrana jedynie w nocną koszulę, przemoczona na wylot od siąpiącego wiosennego deszczu. Miała mokrą twarz i czuła słony smak własnych łez.

Krzyki niosły się echem w jej głowie, nie wiedziała jednak, czy należą do niej, czy do tego dziecka, którego nie mogła zapomnieć.

Drżąca, odwróciła się na plecy, by deszcz ochłodził jej policzki i obmył łzy. Po takich epizodach - zamroczeniach, jak nazywała to matka - często czuła się słabo i miała mdłości.

„Wypędzę z ciebie diabła, dziewczyno” - mawiał ojciec, bijąc ją pasem.

Dla Hannibala Bodeena diabeł był wszędzie - za każdym strachem, za każdą pokusą czaiła się ręka Szatana. A on zrobił wszystko, co w jego mocy, by wygnać tę ohydę ze swojego jedyne dziecko.

W tej chwili, kiedy skręcały ją mdłości, Tory pragnęłaby nawet, żeby mu się to udało.

Dziwiło ją, że po tylu latach ciągle jeszcze o tym pamięta. Dziedzictwo, jak powiedziała jej babcia. Znak. Olśnienie. Dar krwi.

Jednak Hope było coraz więcej w jej życiu, a te przebłyski wspomnień o przyjaciółce z dzieciństwa raniły jej serce. I przerażały ją.

To, czego doświadczyła, przenosiło ją w inne miejsce. Czyniło ją bezradną, choć usiłowała nie poddawać się.

I oto leży na kamiennych płytach swojego patio, w deszczu. Nie pamiętała, w jaki sposób znalazła się tutaj. Parzyła w kuchni herbatę, paliły się światła, grała muzyka, a ona czytała list od babci.

Uświadomiła sobie, że to było właśnie owym impulsem, stanowiło ogniwo łączące ją z dzieciństwem. Z Hope. Z bólem i strachem, horrorem tamtej straszliwej nocy. I nadal nie znała odpowiedzi na pytanie - kto i dlaczego tego dokonał?

Wciąż drżąca, udała się do łazienki, rozebrała się i weszła pod gorący prysznic.

- Nie mogę ci pomóc - szepnęła, zamykając oczy. - Wtedy nie mogłam ci pomóc, i nie mogę teraz.

Jej najlepsza przyjaciółka, jej serdeczna siostra, umarła tamtej nocy na moczarach, gdy tymczasem ona była zamknięta w swoim pokoju i szlochała po ostatnim biciu.

A przecież wiedziała. Widziała to. I była bezradna.

Ogarnęło ją poczucie winy, tak mocne jak przed osiemnastu laty.

- Nie mogę ci pomóc - powtórzyła. - Ale wracam.

Każda z nas miała wówczas osiem lat i wydawało nam się, że te duszne, gorące dni będą trwały wiecznie. To było lato niewinności, szaleństwa i przyjaźni, tego, co stanowiło piękny, szklany klosz, pod którym żyłyśmy. Wystarczyła jedna noc, żeby wszystko zniszczyć.

Odtąd nic już nie było nigdy takie same. No bo jakże mogło być?

Przez większą część życia unikałam rozmowy na ten temat. Dokładałam starań, żeby pogrzebać wspomnienia, jak pogrzebana została Hope. Gdy teraz spoglądam wstecz, czuję ulgę. Jest to jak wyjmowanie drzazgi z serca.

Była moją najlepszą przyjaciółką. Czuliśmy ze sobą więź do jakiej tylko dzieci są zdolne. Pewnie tworzyłyśmy dziwną parę - radosna, bogata Hope Lavelle i ponura, zastraszona Tory Bodeen. Mój tatuś dzierżawił skrawek ziemi, kawałek wielkiej plantacji, będącej własnością jej rodziny. Czasami, kiedy mama Hope urządzała wielkie oficjalne kolacje albo uroczyste przyjęcia, moja mama pomagała w sprzątaniu i podawaniu do stołu.

Jednak ta przepaść w pozycji społecznej nie naruszyła nigdy naszej przyjaźni.

Hope mieszkała w ogromnym, wspaniałym domu, jednym z tych, które jej uchodzący za ekscentryka antenat wybudował na kształt zamku, rezygnując z architektury georgiańskiej, tak popularnej w tamtej epoce. Był z kamienia, miał wieże i wieżyczki, a także to, co nazywa się blankami. Jednak w Hope nie było nic z księżniczki.

Żyła dla przygód. A kiedy z nią byłam, robiłam to samo. Uciekałam z nią od utrapień własnego domu, od własnego życia i stawałam się jej współniczką. Byłyśmy szpiegami, detektywami, rycerzami, piratami albo najeźdźcami z kosmosu. Byłyśmy dzielne i prawe, zuchwałe i nieustraszone.

Wiosną poprzedzającą to lato nadciąłyśmy lekko jej scyzorykiem nasze nadgarstki.

Miałyśmy szczęście, że nie skończyło się to tężcem. W ten sposób stałyśmy się siostrami jednej krwi.

Hope miała siostrę, bliźniaczkę. Jednak Faith rzadko uczestniczyła w naszych zabawach. Były dla niej zbyt głupie, pospolite. A nam nie zależało na jej humorach i biadoleniu. Tamtego lata Hope i ja byłyśmy bliźniaczkami.

Gdyby mnie ktoś zapytał, czy ją kochałam, czułabym się zakłopotana. Nie zrozumiałabym pytania. Ale od tamtej straszliwej sierpniowej nocy brakowało mi jej tak, jak by wraz z nią coś we mnie umarło.

Miałyśmy się spotkać na moczarach, w naszym tajemnym miejscu. Nie sądzę, by rzeczywiście było ono aż tak tajemne, ale to było nasze miejsce. Bawiłyśmy się tam często, przeżywając różne przygody pośród śpiewu ptaków, wśród mchów i dzikich azalii.

Nie wolno było tam chodzić po zachodzie słońca, ale w wieku ośmiu lat nic tak nie ekscytuje jak łamanie zakazów.

Miałam przynieść prawoślaz i lemoniadę. Moi rodzice byli biedni, a ja byłam jeszcze biedniejsza,

ale koniecznie musiałam wnieść swój wkład i wyjęłam część uzbieranych pieniędzy ze słoika, który trzymałam pod łóżkiem. Miałam w tę sierpniową noc - po zrobieniu zakupów w sklepie Hansonsa - dwa dolary i osiemdziesiąt sześć centów, a mój cały majątek, zamknięty w słoiku, składał się z jedno pensówek, pięciocentówek i kilku ćwierćdolarówek.

Mieliśmy na kolację kurczaka z ryżem. W domu, pomimo włączonych wentylatorów, było tak gorąco, że jedzenie stanowiło istną katorgę. Tym bardziej że tata nie pozwalał

zostawić na talerzu ani jednego ziarnka ryżu. Przed kolacją odmówiliśmy modlitwę. W

zależności od humoru tatusia mogła ona trwać od pięciu do dwudziestu minut, gdy tymczasem jedzenie stygło, burczało nam w brzuchu, a ohydne strużki potu spływały po plecach.

Babcia mawiała, że nawet Bóg próbował znaleźć sobie miejsce, w którym mógłby się ukryć przed Hannibalem Bodeenem.

Mój ojciec był wielkim barczystym mężczyzną. Słyszałam, że kiedyś uchodził za przystojnego. Lata odcisnęły na nim swoje piętno. Był wiecznie zgorzkniały i zły na cały świat. Miał ciemne włosy, które zaczesywał do tyłu, i ciemne pałające oczy, jakie widuje się teraz u niektórych telewizyjnych kaznodziejów albo u bezdomnych, błakających się po ulicy.

Moja matka bała się go i nigdy nie stanęła w mojej obronie, kiedy sięgał po pas.

Tamtego wieczoru siedziałam cicho przy stole. Istniała bowiem szansa, że jeśli będę cicha i spokojna, i zjem wszystko, nie zwróci na mnie uwagi. Cieszyłam się na myśl o mającej wkrótce nadejść nocy. Siedziałam ze spuszczonego wzrokiem, starając się jeść w równym tempie, żeby mnie nie oskarżył o marudzenie przy posiłku ani też o łapczywe pożeranie. Bardzo łatwo można było wytrącić tatusia z równowagi.

Pamiętam dźwięk wentylatorów i zgrzyt widelców o talerze. Pamiętam milczenie strachu, który zamieszkał w domu mojego ojca.

Kiedy mama zaproponowała mu dokładkę, podziękował jej grzecznie i wziął kolejną porcję kurczaka. To był dobry znak. Ośmielona mama napomknęła coś na temat pomidorów i dorodnej kukurydzy i o tym, że w najbliższym czasie będzie je wekować. To samo będą robić w Beaux Rêves. Zapytała go, czy nie ma nic przeciwko temu, jeżeli im pomoże, gdyż poproszono ją o to.

Nie wspominała o pieniądzach, które zarobi. Nawet gdy tatuś był w dobrym nastroju, nie należało przy nim wspominać, jakie to nędzne grosze płacili Lavelle'owie. W tym domu on był żywicielem.

W pokoju znowu zrobiła się ciężka atmosfera. Czasem na samo wspomnienie nazwiska Lavelle'ów ciemne oczy tatusia ciskały gromy. Tym razem jednak powiedział

mamie, że daje jej wolną rękę, byle nie zaniedbywała swoich obowiązków domowych.

Ta odpowiedź sprawiła, iż mama uśmiechnęła się do niego. Jej twarz złagodniała i znowu stała się niemal ładna.

- Hen - zawołała do niego, nie przestając się uśmiechać. - Już my się wszystkim z Tory zajmujemy. Pójdą jutro i porozmawiam z panną Lilah. Porobią też galaretki z jagód, które właśnie dojrzewają. Miałam tu gdzieś jeszcze trochę parafiny, nie mogą sobie tylko przypomnieć, gdzie ją postawiłam.

I właśnie ta zdawkowa uwaga o galaretkach i parafinie zmieniła wszystko. Odezwałam się bez zastanowienia, zapominając o ewentualnych konsekwencjach.

- Pudełko z parafiną jest na górnej półce w szafce nad piecykiem, tuż za melasą i kukurydzianym krochmalem.

Powiedziałam po prostu to, co zobaczyłam w myślach - kwadratowe pudełko z kawałkiem parafiny za ciemną butelką gęstej melasy - po czym sięgnęłam po zimną, słodką herbatą, by popić nią twarde ziarnka ryżu.

Natychmiast zorientowałam się, że znowu zapadła cisza, zagłuszająca nawet monotonne buczenie wiatraczków. W pustce, jaka się wytworzyła, moje serce zaczęło walić mocno jak młotem, a jego donośny dźwięk rozbrzmiewał mi w głowie, w której gwałtownie pulsowała krew.

Ojciec odezwał się łagodnie, jak zawsze tuż przed wybuchem:

- Skąd wiesz, gdzie znajduje się parafina, Wiktorio? Skąd wiesz, że tam jest, skoro nie możesz jej dostrzec ani dosięgnąć?

Skłamałam. Całkiem niepotrzebnie, albowiem byłam już z góry skazana, ale kłamstwo samo spłynęło mi z ust - było moją rozpaczliwą próbą obrony. Powiedziałam mu, że widziałam, jak mama ją tam stawiała.

Rozszyfrował mnie w oka mgnieniu. Miał na to własną metodą. Kiedy to widziałam?

Dlaczego nie uczą się lepiej, skoro mam taką dobrą pamięć i potrafię sobie przypomnieć, gdzie schowano parafinę po zeszłorocznym wekowaniu? I jak to możliwe, żebym wiedziała, iż stoi za melasą i za krochmalem, a nie przed nimi albo wśród nich?

Och, mój ojciec był bystrym człowiekiem i nigdy nie przeoczył najmniejszego szczegółu.

Kiedy mówił tym swoim delikatnym głosem, wypunktowując mnie słowami jak owiniętymi w jedwab pięściami, matka nie odezwała się ani razu. Założyła tylko drżące ręce.

Czy trzęsa się z mojego powodu? Chciałabym myśleć, że tak właśnie było. Nie powiedziała jednak ani słowa, gdy tymczasem on coraz bardziej podnosił głos i odsunął się gwałtownie od stołu. Nie zareagowała też, kiedy szklanka wypadła mi z ręki i rozbiła się o podłogę. Kawalek szkła wbił mi się w kostkę i w tej narastającej atmosferze grozy poczułam lekki ból.

Oczywiście ojciec najpierw sprawdził czy się nie mylę. Kiedy otworzył szatkę i rozsunął butelki, a potem zza ciemnej melasy wyjął powoli kwadratowe niebieskie pudełko z parafiną, rozplakałam się. Wtedy jeszcze mogłam płakać. Nawet kiedy mnie szarpnął i postawił na nogi, miałam nadzieję, że skończy się na modlitwie, na długich godzinach modlitwy, aż zdrętwieją mi kolana. Czasami, kilka

razy tamtego lata, zadowalał się taką karą.

Czyż nie ostrzegał mnie przed diabłem? Czyż nie groził mi karą, jeśli go dopuszczę do siebie? Okazuje się, że to nie wystarczyło, ściągnęłam przekleństwo na ten dom.

Powiedziałam, że nie chciałam tego. Że to się już nie powtórzy. Będę dobrą dziewczynką.

Błagałam go, a on wykrzykiwał cytaty z Biblii i ciągnął mnie wielkimi mocnymi rękami w kierunku mojego pokoju. Wciąż go błagałam, po raz ostatni.

Nie było mowy o tym, żeby się opierać. Opór tylko pogorszyłby sytuację. Czwarte przykazanie było święte i należało czcić swego ojca, jeśli nawet bije cię do krwi.

Jego twarz poczerwieniała - była wielka i oślepiająca jak słońce. Uderzył mnie w policzek, tylko jeden raz - to wystarczyło, żebym przestała go błagać i przeproszać.

Wystarczyło też, żeby zabić moją nadzieję.

Leżałam w poprzek łóżka na brzuchu tak bierna, jak złożony w ofierze baranek.

Dźwięk paska, kiedy go wyciągał ze szlufek roboczych spodni, był jak syk węża, a potem, kiedy mnie bił, smagał mocno i wprawnie.

Uderzał zawsze trzy razy. Święta trójca okrucieństwa.

Najgorsze jest zawsze pierwsze uderzenie. Szok i ból są przerażające, a z wnętrza wydobywa się krzyk. Ciało podrywa się w proteście. Nie, raczej w niedowierzaniu, a potem spada na ciebie drugie i trzecie uderzenie.

Po chwili twój krzyk staje się bardziej zwierzęcy niż ludzki. Twoje człowieczeństwo zostaje podeptane, pogrzebane pod lawiną bólu i poniżenia.

Kiedy mnie bił, wygłaszał kazanie, a jego głos był przerażający jak ryk dzikiego zwierzęcia. W tym ryku wyczuwało się odrażające podniecenie, rodzaj obmierzłej przyjemności, której nie rozumiałam.

Kiedy bił mnie pierwszy raz, miałam pięć lat. Ponieważ matka próbowała go powstrzymać, uderzył również ją i podbił jej oko. Nigdy więcej nie stanęła w mojej obronie.

Nie wiem, co robiła tamtej nocy, kiedy wypędzał ze mnie diabła, który był przyczyną moich przywidzeń. Ojciec czuł potrzebę znęcania się.

W tym znęcaniu była nienawiść, ale i tego nie umiałam rozpoznać.

Zostawił mnie płaczącą i zamknął na klucz od zewnątrz. Po chwili zasnęłam z bólu.

Kiedy się obudziłam, było ciemno i czułam się tak, jakby palił mnie ogień. Nie miałam wyboru i musiałam to znieść. Modliłam się, żeby to, co jest we mnie, jakkolwiek to się nazywa, opuściło mnie

wreszcie. Nie chciałam być niegodziwa i grzeszna.

Kiedy tak się modliłam, narastało we mnie napięcie, aż poczułam mrowienie na karku.

Pomyślałam, że jestem chora i mam gorączkę.

A potem zobaczyłam Hope, tak wyraźnie, jakbym siedziała obok niej na naszej polanie na bagnach. Poczulałam zapach nocy, wody, usłyszałam bzyczenie komarów, buczenie owadów. I, tak jak Hope, usłyszałam szelest w krzakach.

Podobnie jak Hope, poczułam strach. Jego gwałtowne gorące przypiływy. Kiedy zaczęła uciekać, ja także uciekałam, oddech przechodził w szloch, od którego bolała mnie klatka piersiowa. Widziałam ją, jak pada pod ciężarem kogoś, kto się na nią rzucił. Jakiś kształt, cień - nie dostrzegłam wyraźnie.

Wzywała mnie. Przywoływała.

A potem zobaczyłam już tylko ciemność. Kiedy się obudziłam, wzeszło słońce.

Leżałam na podłodze, a Hope odeszła.

Wolała się rozpląnąć w anonimowym tłumie Charlestonu i udawało się jej to przez blisko cztery lata. Miasto jawiło się jej jak życzliwa kobieta, przygarniając ją do swojego miękkiego łona, by ukoić jej nerwy, a nie skrzywdzić jak bezduszne bezwzględne ulice Nowego Jorku.

W Charlestonie mówiło się wolniej, łatwiej było się wtopić w ten ciepły i płynny strumień dźwięków. Mogła się tutaj ukryć, tak jak kiedyś zamierzała to zrobić w gęstym spieszącym się tłumie na północy.

Pieniądze nie stanowiły dla niej żadnego problemu. Umiała żyć oszczędnie i była chętna do pracy. Strzegła swoich oszczędności jak jastrzęb, a kiedy to jajo w gnieździe zaczęło się powiększać, zamarzyła o własnym biznesie, pracy na własne konto i o spokojnym, uregulowanym życiu, które nigdy nie było jej udziałem.

Zdała się na siebie. Prawdziwe przyjaźnie wymagają prawdziwych więzi. Nie chciała, może nie była na tyle silna, żeby się na to ponownie nastawiać. Ludzie zadają pytania.

Interesują się twoim życiem, prawdziwie albo tylko pozornie.

Tory nie miała odpowiedzi, których mogłaby udzielić, nie miała też nic do opowiedzenia.

Znalazła nieduży dom - stary, zaniedbany, idealny dla niej - i targowała się zawzięcie, by móc go kupić.

Ludzie często nie doceniali Wiktorii Bodeen. Widzieli młodą niewysoką kobietę o drobnej budowie. Widzieli jej gładką cerę i delikatne rysy, poważne usta i jasnoszare oczy, które często kojarzyli z otwartością. Nieduży, leciutko zadarty nos dodawał odrobinę słodyczy jej twarzy obramowanej skromnie uczesanymi, ciemnymi włosami. Widzieli w niej kruchość, podkreślaną delikatną południową intonacją jej głosu. Nigdy jednak nie dostrzegali hartu jej ducha. Jej stalowego charakteru, ukształtowanego niezliczonymi razami solidnego skórzanego paska.

Wszystko, co osiągnęła, zawdzięczała tylko sobie, wypracowała to, wywalczyła, koncentrując się na tym z determinacją frontowego żołnierza, zdobywającego upatrzoną pozycję. Chciała mieć ten stary dom z zarośniętym dziedzińcem i łuszczącą się farbą i tak długo kręciła się koło tego, tak długo się targowała, nachodziła i przyciskała, aż go zdobyła.

Wynajmowane mieszkania za bardzo przypominały jej Nowy Jork i klęskę, jaką skończyło się tamtejsze życie. Koniec z wynajmowaniem mieszkań!

Pieściła ten dom jak mogła, wkładając w remont własny czas, pracę i umiejętności.

Zajęło jej to bite trzy lata, a teraz, dzięki sprzedaży domu i poczynionym oszczędnościom, miał się ziścić jej sen.

Musiała tylko wrócić do Progress.

Siedząc przy kuchennym stole, po raz trzeci przeczytała warunki dzierżawy sklepu przy Market Street. Zastanawiała się, czy pan Harlow z biura pośrednictwa handlu nieruchomościami pamięta ją jeszcze.

Miała zaledwie dziesięć lat, kiedy przeniosła się z Progress do Raleigh, gdzie jej rodzice mieli znaleźć stałą pracę. Lepszą pracę, jak utrzymywał jej ojciec, niż to zaharowywanie się na wydzierżawionym przez wszechmocnych Lavelle'ów, wyeksploatowanym skrawku ziemi.

Oczywiście w Raleigh ich sytuacja nie zmieniła się na lepsze, pozostali tak samo biedni jak w Progress. Tyle że mieszkali w gorszych warunkach.

Teraz to nie ma znaczenie. Nie wraca jako osoba uboga. Nie jest tą dawną przestraszoną, wychudzoną dziewczynką, ale kobietą biznesu, otwierającą nową firmę w swoim rodzinnym mieście.

Dlaczego więc trzęsły się ręce?

To dlatego, że wybiega myślami naprzód. A także ze zdenerwowania. Ma prawo być zdenerwowana. Nerwy to rzecz ludzka.

- Do diabła z tym!

Zacisnęła zęby, złapała pióro i podpisała umowę. Tylko na rok. Jeden fok. Jeżeli to nie wypali, wyprowadzi się. Tak jak bywało to nieraz. Miała wrażenie, że stale się wyprowadza.

Jednak tym razem, zanim to zrobi, czeka ją wielkie zadanie. Umowa o dzierżawę to tylko znikoma część ogromnej roboty papierkowej. Przedtem załatwiła uprawnienia i zezwolenia na prowadzenie sklepu, który chciała otworzyć. Dochodząc do wniosku, że stan Północna Karolina jest bardzo złodziejski, uiściła wszystkie opłaty. Następną czynnością stanowiło sporządzenie umowy sprzedaży domu i dogadanie się z prawnikami - dla których, jej zdaniem, nawet miano złodziei było zbyt łagodnym określeniem.

Prawie całkiem się już spakowała. Rzeczy miała niewiele, sprzedała prawie wszystko, co kupiła po sprowadzeniu się do Charlestonu. Podróż z lekkim bagażem ułatwiała sprawę, a już od dawna wiedziała, że nigdy nie należy przywiązywać się do niczego, co może zostać jej odebrane.

Umyła filiżankę, wytarła ją, zawinęła ją w gazetę i schowała do kartonu ze sprzętem kuchennym. Przez okno nad zlewem wyjrzała na swój wypielęgnowany dziedziniec za domem.

Niewielkie patio było wyszorowane i zamiecione. Zostawi nowym właścicielom gliniane donice z werbeną i z białą petunią. Miała nadzieję, że będą dbali o ogród, a jeśli go zapuszczą, to już ich sprawa, niech robią, co im się żywnie podoba.

Odcisnęła tu swoje piętno. Mogą pomalować na nowo ściany, położyć tapety, dywany i płytki terakoty, ale to, co sama tutaj zrobiła, pozostanie na zawsze.

Nie można wymazać przeszłości ani jej zabić.

Podobnie jak nie można uciec przed teraźniejszością ani też zmienić tego, co ma nadejść. Wszyscy znajdujemy się w pętli czasu i krążymy wokół rdzenia dni wczorajszych.

Czasami przeżyte doznania są tak silne, tak przemożne, że nie można się od nich oderwać.

Czy nigdy nie pozbędę się tego przygnębienia? - pomyślała z westchnieniem Tory.

Zamknęła szczelnie kuferek, podniosła go i wyszła z kuchni, nie oglądając się za siebie.

Trzy godziny później trzymała w ręku czek ze sprzedaży domu. Wymieniła uściski dłoni z nowymi właścicielami, wysłuchała uprzejmie ich szaleńczego entuzjazmu z powodu kupna pierwszego własnego domu i szybko wyszła za drzwi.

Dom i ludzie, którzy w nim teraz zamieszkają, przestali ją interesować.

- Tory, zaczekaj chwilę.

Z ręką na drzwiach samochodu, myślami będąc już w drodze, Tory odwróciła się.

Zaczekała na swoją prawniczkę idącą przez bankowy parking. Abigail Lawrence wyglądała tak, jakby przed chwilą z wdziękiem spłynęła ze stronic „Vogue'a”.

Na dzisiejsze podpisanie umowy wybrała bladoniebieski kostiumik, perły, które najprawdopodobniej odziedziczyła jeszcze po prababce, oraz pantofle na cienkich jak kolce obcasach, na widok których Tory ścierpły palce u nóg.

- Uff! - Abigail powachlowała się ręką, jakby przebiegła co najmniej trzy kilometry. -

Co za upał, a to dopiero kwiecień. - Zerknęła na kombi Tory i uważnie przyjrzała się paczkom. - A więc to jest to?

- Tak. Dziękuję ci, Abigail, za załatwienie wszystkiego.

- Większość załatwiłaś sama. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek miała klienta, który nie tylko rozumiałby, co do niego mówię, ale jeszcze udzieliłby mi lekcji.

Zapuściła żurawia do samochodu, zdziwiona, że dorobek życia tej kobiety zajmuje tak mało miejsca.

- Nie potraktowałam serio twojej decyzji o natychmiastowym wyjeździe. Widzę, że nie miałam racji. - Znowu spojrzała na Tory. - Jesteś poważną kobietą, Wiktorio.

- Nie widzę powodu, by zwlekać. Abigail potrząsnęła głową.

- Chciałam powiedzieć, że ci zazdroszczę. Pakujesz się, bierzesz tyle rzeczy, ile mieści się do samochodu, i ruszasz na nowe miejsce, ku nowemu życiu, żeby zacząć wszystko od początku. Ja tak nie potrafię. Boże, ileż to trzeba mieć energii, ile samozaparacia! Jesteś na tyle młoda, że nie brak ci ani jednego, ani drugiego.

- Może to jest nowy początek, ale też i powrót do początków. Wciąż mam w Progress rodzinę.

- Tym bardziej! Powrót do początków wymaga większego samozaparcia niż zaczynanie czegoś w zupełnie nowym miejscu. Życzę ci szczęścia, Tory.

- Wszystko świetnie mi się ułoży.

- Nie wątpię. - Ku zdziwieniu Tory Abigail pochyliła się i pocałowała ją lekko w policzek. - Życzę ci, żebyś była szczęśliwa.

- Mam taki zamiar. - Tory cofnęła się poruszona. Dostrzegła jakieś zatroskanie w oczach Abigail. - A więc wiedziałas - wyszeptwała.

- Oczywiście, że wiedziałam. - Abigail uściśnęła leciutko jej palce. - Wieści z Nowego Jorku docierają do nas różnymi drogami. Zmieniłaś włosy, nazwisko, ale rozpoznałam ciebie.

Mam pamięć do twarzy.

- Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałaś? Nie zapytałaś mnie o nic?

- Zatrudniłaś mnie po to, żebym się zajęła twoimi sprawami, a nie po to, żebym wścibiała w nie nos. Pomyślałam sobie, że gdybyś chciała, by ludzie wiedzieli, że jesteś Wiktoria Mooney, o której przed kilkoma laty było głośno w Nowym Jorku, sama byś o tym powiedziała.

- Dziękuję ci.

Oficjalny ton jakim to powiedziała, wywołał uśmiech na twarzy Abigail.

- Na miłość boską, kochanie, nie sądzisz chyba, że cię zapytam o to, czy mój syn ożeni się kiedykolwiek, albo gdzie zgubiłam brylantowy zaręczynowy pierścionek mojej matki?

Wiem, że masz za sobą trudne przejścia i jak najlepiej ci życzę. W razie jakichś kłopotów w Progress, skontaktuj się ze mną.

- Dziękuję ci - odparła Tory. - Powinam już ruszać. Po drodze muszę jeszcze zajrzeć w parę miejsc. - Wyciągnęła na pożegnanie rękę. - Jestem ci wdzięczna za wszystko.

- Szczęśliwej drogi.

Tory wsiadła do środka, zawahała się, a gdy już uruchomiła silnik, otworzyła okno.

- W szufladzie, w twoim gabinecie, w środkowym rzędzie, między literą D i E.

- O co ci chodzi?

- O pierścionek twojej matki. Jest trochę na ciebie za duży, więc zsunął się z palca i teraz leży w kartotece. Powinnaś go zmniejszyć. - Odwróciła się szybko do tyłu, wykręciła samochód i odjechała,

zostawiając za sobą mrugającą ze zdziwienia Abigail.

Po wyjechaniu z Charleston skierowała się na zachód, po czym skręciła na południe, by zgodnie z planem, objechać stan, zanim wyląduje w Progress. W nowej teczce miała starannie wydrukowaną listę artystów i rzemieślników, których zamierzała odwiedzić.

Włącznie ze wskazówkami, jak do nich dojechać, co oznaczało częste zbaczanie z drogi.

Zajmie to sporo czasu, ale jest konieczne.

Umówiła się już z kilkoma artystami z południa stanu, że wystawi ich prace w sklepie, który otworzy na Market Street, ale było tego jeszcze za mało.

Koszty rozruchu, zakup towaru, znalezienie odpowiedniego miejsca na zamieszkanie pochłoną prawie wszystkie oszczędności. A chciała na tym zarobić.

Za tydzień, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zaczną urządzać sklep. W

końcu maja otworzy go.

A jeśli chodzi o resztę, załatwi to w odpowiednim czasie. Kiedy przyjdzie pora, pojedzie długą, zacienioną aleją do Beaux Rêves i spotka się z Lavelle'ami.

Spotka się z Hope.

Po tygodniu Tory zmęczona i uboższa o paręset dolarów, które wydała na wymianę pękniętej chłodnicy, gotowa była zaprzestać dalszych podróży. Awaria chłodnicy zmusiła ją do zatrzymania się na noc w podejrzanym motelu przy autostradzie 9 na obrzeżach Chester.

Pokój cuchnął zastarzałym dymem z papierosów, a jedynym śladem cywilizacji był tu skrawek mydła i płatne filmy, mające pobudzić seksualne apetyty klienteli, wynajmującej pokoje na godziny, co chroniło całe to przedsięwzięcie przed bankructwem. Na wykładzinie podłogowej widniały plamy, nad których pochodzeniem lepiej było się nie zastanawiać.

Ponieważ nie odpowiadała jej perspektywa wręczania karty kredytowej wścibskiemu recepcjoniście, od którego załatywało dżinem, zapłaciła za noc gotówką.

Tory podstawiała pod drzwi jedyny tandetny fotel, jaki stał w pokoju, blokując nim klamkę. Doszła do wniosku, że będzie ją lepiej chronił niż cienki, zardzewiały łańcuch, wiszący przy drzwiach. W ten sposób stwarzała sobie iluzję bezpieczeństwa.

Wiedziała, że popełniła błąd, doprowadzając się do granicy wytrzymałości. Jednak wszystko sprzyściło jej przeciw niej. Ceramik, z którym spotkała się w Greenville okazał się humorzasty i trudny w kontakcie. Gdyby nie był tak utalentowany, zamiast przez dwie godziny wychwalać go, zjednywać sobie, natychmiast opuściłaby pracownię.

Naprawa samochodu zajęła następne cztery godziny - włącznie z holowaniem, omawianiem sprawy

regeneracji chłodnicy na pełnym żelastwa podwórku i podlizywaniem się mechanikowi, żeby natychmiast zechciał się zabrać za naprawę.

A do tego wszystkiego - co już świadczy tylko o jej własnej głupocie - zatrzymała się w tym obskurnym przydrożnym motelu! Gdyby wróciła do Greenville i wynajęła pokój w hotelu albo zatrzymała się w jednym z cieszących się zasłużoną renomą zajazdów, nie przewracałaby się teraz z boku na bok w śmierdzącym pokoju.

„Tylko ta jedna noc” - pomyślała, patrząc na brudną zieloną narzutę na łóżku.

Wkrótce wyruszy do Florence, gdzie u babci czeka na nią gościnny pokój - czyste prześcieradła i gorąca kąpiel. Musi tylko przetrwać tę noc.

Nie zdejmując nawet butów, położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

Poruszające się, błyszczące od potu ciała.

„Dziecinko, no, dziecinko. Nie żałuj mi tego. Mocniej!”

Płacząca kobieta i ból przetaczający się przez nią jak gorąca lawa.

„O Boże, Boże, co ja mam zrobić? Dokąd mam pójść? Wszędzie, tylko nie tam, skąd przyszłam. Nie pozwól, żeby mnie znalazł”.

Niepozbierane myśli i rozbiegane ręce, paniczne zdenerwowanie i szalejące poczucie winy.

„A jeśli zajdę w ciążę? Matka mnie zabije. Czy to będzie bolało? Boże, jak mi dobrze.

Czy będzie bolało, gdy włoży to we mnie? Czy naprawdę mnie kocha?” Obrazy, myśli, głosy przetaczały się w niej falami.

„Zostaw mnie w spokoju”.

Z zamkniętymi wciąż oczami Tory wyobraziła sobie gruby, wysoki, biały mur.

Wznosiła go cegła po cegle, aż wyrósł między nią i wszystkimi wspomnieniami, które zawisły w przestrzeni jak dym. Za tym murem wszystko było przejrzyste, jasnoniebieskie. Jak woda, na której można się unosić, w której można się zanurzyć.

A wysoko nad tym bladoniebieskim rozlewiskiem świeciło czyste i ciepłe słońce.

Słyszała śpiew ptaków, a także pluskanie wody, kiedy ją rozgarniała rękami. Tutaj jej ciało nie miało ciężaru, a umysł był wolny od myśli. Nad brzegiem wody widziała ogromne dęby i oplatające je mchy, a także wierzbę zginającą się jak dworzaniń, zanurzającą swe liście w szklistej tafli.

Uśmiechając się do siebie, zamknęła oczy i dała się ponieść prądowi.

Śmiech, który usłyszała, był cienki i radosny. Tory otworzyła leniwie oczy.

Tam, za wierzbą, stała Hope i machała do niej ręką.

„Cześć, Tory! Cześć, szukałam ciebie”.

Przeszyła ją radość niczym strzała. Obracając się w wodzie, Tory odwzajemniła powitalny gest: „Wejdz. Woda jest wspaniała”.

„Przylapią nas na tym, że kąpiemy się na golasa”, odparła Hope. Chichocząc, zrzuciła jednak buciki, szorty, a wreszcie koszulę. „Myślałam, że odeszłaś”.

„Nie bądź głupia. Dokąd miałabym odejść?”

„Szukałam cię od dawna”. Powoli Hope weszła do wody. Szczupła jak wierzba, biała jak marmur. Jej włosy się rozsypały i unosiły się na powierzchni. Złoto na tle błękitu.

Woda pociemniała, zaczęła się burzyć. Wdzięczne listki wierzby uderzały jak bicze.

Zrobiło się, tak zimno, że Tory zaczęła dygotać.

Nadciągała burza. Trzeba się było spieszyć.

„Zalewa mi głowę. Nie dosięgam dna. Musisz mi pomóc”. Hope zaczęła bić rękami, wzbijając słupy wody, która zamieniła się w brunatne bagno.

Tory walczyła z żywiołem, ale coraz bardziej oddalała się od Hope. Czuła, że idzie na dno, że tonie, i ciągle słyszała głos Hope:

„Pomóż mi! Pospiesz się”.

Obudziła się w ciemności, ze smakiem błota w ustach. Nie mając już odwagi zmrużyć oczu, zeszła z łóżka. W łazience ochlapała twarz rdzawą wodą i spojrzała w lustro.

Zobaczyła podkrążone, wciąż jeszcze szkliste ze snu oczy. „Za późno, żeby zawrócić z drogi - pomyślała. - Zawsze było za późno”.

Chwyciła swoją torebkę i podróżny kuferek.

Teraz ciemność działała kojąco, a słodki batonik i napój, które kupiła w rozklekotanym automacie na korytarzu, pobudziły ją do życia. W samochodzie włączyła radio, żeby zagłuszyć myśli. Chciała się skoncentrować wyłącznie na drodze.

Słońce wzeszło i na szosie zrobiło się gęsto. Zatrzymała się przy stacji benzynowej, żeby uzupełnić bak, po czym szosą 20 ruszyła na wschód. Kiedy skręciła na drogę prowadzącą do miejsca, w którym kiedyś mieszkali jej rodzice, poczuła skurcz żołądka i przez następne pięćdziesiąt kilometrów siedziała za kierownicą sztywna i napięta.

Starala się myśleć o swojej babci, o bagażu zapakowanym do samochodu i o tym, który zostanie wyekspediowany do Progress. Pomyślała o swoim budżecie na najbliższe pół

roku i o pracy, jaką trzeba będzie włożyć w uruchomienie sklepu i otwarcie go 30 maja, w dniu Święta Poległych.

Myślała o wszystkim, tylko nie o prawdziwym powodzie swojego powrotu do Progress.

Jeszcze raz zatrzymała się na obrzeżach Florence, gdzie w toalecie na stacji Shella uczesała się i nałożyła trochę makijażu. Nie nabierze babci na tę sztuczkę, ale musi choć trochę spróbować.

Odruchowo zatrzymała się przed kwiaciarnią. Ogród jej babci zawsze był piękny i budził powszechny podziw, ale warto jej kupić tuzin różowych tulipanów. Przecież mieszkała niecałe dwie godziny jazdy od babci i ani razu od Bożego Narodzenia nie wybrała się do niej, nie zadała sobie tego trudu.

Skręciła w śliczną ulicę z kwitnącymi dereniami. W takim miejscu na podwórkach bawią się zwykle dzieci, a psy drzemią w cieniu. Wszystkie plotki przekazywane są z ust do ust przez płot, a ludzie od razu dostrzegają obce samochody i siłą rzeczy pilnują domu sąsiada.

Dom Iris Mooney był otoczony starymi, ogromnymi krzewami azalii. Wyblakły róż przekwitających kwiatów harmonizował z intensywnym błękitem, na jaki babcia kazała pomalować ściany domu. Ogród od frontu był przepiękny, trawniki starannie przystrzyżone, zaś weranda wyszorowana i uprzątnięta.

Ponieważ na podjeździe, za nieco już wiekowym małym autkiem babci, zaparkowana była jakaś półciężarówka z napisem Pogotowie Hydrauliczne, zahamowała na zakręcie.

Napięcie, które czuła podczas jazdy, ustępowało w miarę zbliżania się do domu.

Nie zapukała. Nigdy nie pukała do tych drzwi, wiedząc, że zawsze są dla niej otwarte.

Nieraz w przeszłości tylko to ratowało ją przed całkowitym załamaniem się.

Zdziwiła ją panująca cisza. Dochodziła już dziesiąta. Spodziewała się zastać babcię w ogrodzie lub krzątającą się po domu.

W salonie jak zawsze pełno było mebli, bibelotów, książek. Spostrzegła wazon z czerwonymi różami, przy których jej tulipany wyglądały jak ubodzy krewni. Postawiła walizkę, odłożyła torebkę, po czym, udając się do holu, zawołała:

- Babciu? Jesteś w domu? - Z kwiatami w ręku skierowała się w stronę sypialni.

- Tory? Kochanie, zaraz do ciebie wyjdę - usłyszała zza drzwi. - Weź sobie mrożonej herbaty.

Nieco zdziwiona Tory poszła do kuchni. Odwróciła się, kiedy usłyszała coś, co przypominało stłumiony chichot.

Położyła kwiaty na stole kuchennym i otworzyła lodówkę. Czekał na nią dzban herbaty, takiej, jaką najbardziej lubiła - z kawałkami cytryny i z gałązkami świeżej mięty.

Babcia zawsze o wszystkim pamiętała. Tory poczuła, jak łzy wzruszenia kłują ją w oczy.

Mrugnęła, żeby je powstrzymać, kiedy usłyszała szybkie kroki babci.

- Musiałaś bardzo szybko jechać! Nie spodziewałam się ciebie wcześniej niż w południe. - Nieduża, szczupła i ruchliwa Iris Mooney wpadła do kuchni i porwała Tory w objęcia.

- Wyruszyłam wcześniej i dobrze mi się jechało. Czy cię nie obudziłam? Nie czujesz się dobrze?

- Dlaczego?

- Nie jesteś ubrana.

- Jestem zdrowa jak rydz. - Babcia jeszcze raz uścisnęła wnuczkę i cofnęła się o kilka kroków. - Pozwól, że na ciebie spojrzę. Ojej, kochanie, jesteś strasznie wyczerpana.

- Tylko trochę zmęczona. A ty? Wyglądasz wspaniale!

Była to szczerza prawda. Sześćdziesiąt siedem lat życia pomarszczyło jej twarz, lecz oczy pozostały jasne jak dawniej. W młodości babcia miała rude włosy i postarała się, żeby nie zmieniły koloru. Lubiała mawiać, że gdyby Bóg zamierzał uczynić kobietę siwą, nie wymyśliłby farby Miss Clairol. Dbała o siebie i troszczyła się o swój wygląd.

Czego nie można powiedzieć o jej wnuczce.

- Siadaj tu. Zaraz przygotuję ci śniadanie.

- Nie trudź się, babciu.

- Zapomniałaś już, że nie wolno się ze mną sprzeczać? Och, jakie śliczne! -

powiedziała biorąc tulipany i spoglądała na nie z zachwytem. - Jesteś najśłodsza ze wszystkich istot, Tory.

- Stęskniłam się za tobą, babciu. Przepraszam, że ani razu do ciebie nie zajrzałam.

- Masz swoje własne życie, czego zawsze dla ciebie pragnęłam. Odpręż się, odpocznij.

Potem opowiesz mi o swojej podróży.

- Warta była każdego przejechanego kilometra. Znalazłam dużo cudownych rzeczy.

- Odziedziczyłaś po mnie oko do ładnych przedmiotów. - Mrugnęła porozumiewawczo, odwracając się w momencie, gdy jej wnuczka gapiła się z otwartymi ustami na mężczyznę, który pojawił się na

progu kuchni.

Był wysoki i potężny jak dąb, z siwawymi włosami w kolorze i fakturze stalowej wełny. Miał błyszczące, brązowe oczy. Było mu do twarzy z opalenizną. Odchrząknął i uklonił się Tory.

- Dzień dobry - powiedział. - Właśnie oczyściłem ten ściek.

- Cecil, nie rób z siebie kretyna, nie masz nawet ze sobą torby z narzędziami. - Iris odstawiła na bok pojemnik z jajkami. - Nie widzę powodu do wstydu. Moja wnuczka nie zemdleje na wiadomość o tym, że jej babcia sprawiła sobie kawalera. Tory, to jest Cecil Axton, powód, dla którego nie jestem ubrana o dziesiątej rano.

- Iris! - powiedział Cecil, stając w pąsach. - Cieszę się, że mogę cię poznać, Tory.

Twoja babcia nie mogła się cię doczekać.

- Miło mi - odpowiedziała oszołomiona Tory i podała mu rękę. Ujrzała nagle, jak przez mgłę, scenę, która tak rozśmieszyła babcie za drzwiami jej sypialni.

Wyłączyła błyskawicznie wyobraźnię, gdy napotkała wzrok Cecila. Popatrzyli na siebie z zakłopotaniem.

- Jest pan... hydraulikiem, panie Axton?

- Przyszedł naprawić mój bojler - wtrąciła babcia - i od tamtego czasu nie przestaje mnie ogrzewać.

- Iris! - Cecil schował głowę w potężnych ramionach, ale nie udało mu się ukryć promiennego uśmiechu. - Muszę już iść. Mam nadzieję, że miło spędzisz czas, Tory.

- Tylko niech ci się nie wydaje, że uciekniesz bez pocałowania mnie na do widzenia. -

Żeby uprościć sprawę, Iris podeszła do Cecila, ujęła w dłonie jego ogorzałą twarz i mocno pocałowała go w usta. - No i co? Piorun nie uderzył, błyskawica nie rozdarła nieba, a to dziecko nie zemdleło z wrażenia. - Pocałowała go znowu i poklepała po policzku. - No idź, mój ty przystojniaku, i niech ci się dzisiaj dobrze wiedzie.

- Myślę, że czeka mnie dobry dzień. Zobaczymy się później.

- No pewnie. Przecież już ustaliliśmy. A teraz spływaj. Chcę pogadać z Tory.

- Już mnie nie ma. - Uśmiechając się niepewnie, odwrócił się do Tory. - Nie można się sprzeczać z tą kobietą. - Zdjął z kuchennego wieszaka wypłowiałą niebieską czapkę, nasadził

ją na sztywne jak druty włosy i wyszedł.

- Czyż to nie przemiły człowiek? Mam kawałek ładnego, chudego bekonu. W jakiej postaci zjesz jajka?

- W czekoladowych ciasteczkach. Babciu. - Tory nabrała w płuca powietrza i wstała. -

Nie powinnam się w to mieszać, ale...

- Oczywiście, że nie powinnaś, chyba że cię zapytam o zdanie, co właśnie czynię. -

Iris rzuciła bekon na starą, pociemniałą patelnię i zaczęła go podsmażać. - Chyba nie jesteś zgorszona tym, że twoją babkę może interesować seks?

Tory próbowała zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

- Nie jestem zgorszona, ale trochę zakłopotana. Na myśl, że weszłam tutaj... w takim momencie...

- No cóż, skarbie, przyjechałaś trochę za wcześnie. Usmażę tylko jajka i siadamy do spóźnionego śniadania.

- Widzę, że zaostrzyłaś sobie apetyt.

Iris zamruwała oczami i wybuchnęła śmiechem.

- Wreszcie mówisz tak jak dawniej. Martwię się, kiedy nie masz humoru.

- A dlaczego miałabym go mieć? Z nas dwóch tylko ty uprawiasz seks. Rozbawiona Iris zadarła zawadiacko głowę.

- A niby czyja to wina?

- Twoja. Ty pierwsza zobaczyłaś Cecila. - Tory wyjęła dwie szklanki i nalała herbaty.

Ile jest kobiet, które mogą się pochwalić babcią romansującą z hydraulikiem? Wygląda na bardzo miłego człowieka.

- Bo i jest taki. Co więcej, jest także bardzo dobrym człowiekiem. - Iris rzuciła okiem na bekon i postanowiła od razu wyłożyć kawę na ławę. - Tory, on tutaj mieszka.

- Mieszka? Mieszkaś razem z nim?

- Chce, żebyśmy się pobrali, ale ja się ciągle waham. Więc wzięłam go tutaj na próbę.

- Boże, muszę usiąść. Mówiłaś o tym mamie?

- Nie, i wcale nie zamierzam tego robić. Obejdę się bez kazania na temat życia w grzechu i wiecznego potępienia. Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że moja własna córka zamieniła się w taką zasuszoną, zgorzkniałą kobietę.

- Instynkt przetrwania - powiedziała półgłosem Tory.

- Równie dobrze mogłaby przetrwać, gdyby odeszła od tego sukinsyna, za którego wyszła

dwadzieścia pięć lat temu, nie pozostając z nim ani dnia dłużej. To jest jej wybór, Tory. Gdyby miała trochę oleju w głowie, postąpiłaby inaczej. Ty dokonałaś innego wyboru.

- Czyżby? Już nawet nie wiem, czego dokonałam sama, a co dokonało się wbrew mojej woli. Nie wiem, które wybory były słuszne, a które złe. Zatoczyłam koło, babciu, i wróciłam na początek drogi. Powiedziałam sobie, że teraz jestem panią sytuacji. Oto cała moja decyzja. Ale poza wszystkim wiem, że po prostu nie potrafię tego zatrzymać.

- A chciałabyś?

- Nie umiem na to odpowiedzieć.

- Więc nie ustanieś, dopóki się nie dowiesz. Znajdziesz swoją drogę.

- Zawsze tak mówiłaś. Boję się jednak, że się pogubię.

- Powinnam ci była bardziej pomagać. Powinnam była poświęcić ci więcej uwagi.

- Babciu. - Tory wstała, przeszła przez pokój i objęła Iris, przyciskając policzek do jej policzka, podczas gdy bekon smażył się i skwierczał. - Zawsze byłaś jedynym prawdziwym oparciem w moim życiu. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie ty.

- A jakże, byłabyś. - Iris poklepała rękę Tory, po czym błyskawicznym ruchem sięgnęła do patelni, żeby bekon się nie przypalił. - Jesteś silniejsza niż my wszyscy razem wzięci. I jeśli chcesz znać moje zdanie, właśnie tego najbardziej obawiał się Han Bodeen.

Chciał cię złamać ze strachu. A w rezultacie zahartował cię, prawda? Ciemniak! - Rozbiła jajko o brzeg patelni i wylała je na przyskający tłuszcz. - Przygotuj grzanekę, kochanie.

- Mama jest całkiem inna niż ty - powiedziała Tory, wkładając chleb do opiekacza.

- Nie wiem, jaka jest Sarahbeth. Straciłam ją wiele lat temu. W tym samym czasie co twojego dziadka. Kiedy umarł, miała dopiero dwanaście lat. Ja miałam wtedy niewiele ponad trzydziestkę i zostałam wdową z dwójką dzieci, które sama musiałam wychować. To był

najgorszy rok w moim życiu. Tego się nie da z niczym porównać. Boże, jak ja go kochałam.

Westchnęła i szybko przerzuciła jajka na talerze.

- Jimmy był całym moim światem. I w jednej chwili ten świat się zawalił. Zostałam z dwunastoletnią Sarahbeth i szesnastoletnim J.R. Sarahbeth przestała się mnie słuchać. Może powinnam ją była wtedy wziąć mocno w garść.

- Nie możesz się za to winić.

- Pewne rzeczy dostrzegamy dopiero po czasie, kiedy patrzymy na nie z perspektywy.

Widzimy wtedy, że gdyby coś ułożyło się inaczej, całe dalsze życie uległoby zmianie.

Gdybym się wtedy wyprowadziła z Progress, gdybym wykorzystwała ubezpieczenie na życie Jimmy'ego, zamiast podejmować pracę w banku. Gdybym tak cholernie nie oszczędzała, żeby móc kształcić dzieci.

- Chciałaś jak najlepiej.

- To prawda. - Iris postawiła na stole talerze, odwróciła się, żeby wyjąć z lodówki masło i galaretkę.
- J.R. otrzymał wykształcenie w college'u i potrafił to wykorzystać.

Natomiast Sarahbeth dostała Hannibala Bodeena. I widać tak miało być. Dlatego też usiadziemy teraz i zjemy te niezdrowe, szkodliwe na serce jajka. Gdybym mogła się cofnąć i postąpić inaczej, nie zrobiłabym tego. Ponieważ nie miałabym ciebie.

- A ja wróciłam tu, babciu, ponieważ też nie mogłam postąpić inaczej. - Tory położyła na talerzyku grzanekę. - Przeraza mnie, że muszę się aż tak daleko cofać. Nie znam już tych ludzi. Boję się, że nie rozpoznam samej siebie, kiedy tam się znajdę.

- Nie zaznasz spokoju, dopóki tego nie zrobisz, Tory. Dopóki nie przekonasz się na własnej skórze. Wracałaś do Progress od chwili, kiedy je opuściłaś.

- Wiem. - Jak to dobrze, że wreszcie ktoś ją rozumie. - No to opowiedz mi o swoim hydrauliku.

- Och, sama słodycz - odparła Iris, zabierając się do śniadania. - Czy nie wygląda jak wielki stary niedźwiedź? Patrząc na niego nie domyśliłabyś się, jaki jest zdolny i bystry. Ma to swoje przedsiębiorstwo od ponad czterdziestu lat. Stracił żonę - znałam ją tylko z widzenia

- jakieś pięć lat temu. Już prawie wycofał się z pracy. Większość spraw w firmie przejęli jego dwaj synowie. Ma sześciu wnuków.

- Sześciu?

- Tak, naprawdę. Jeden z nich jest lekarzem. Całkiem przystojny. Pomyślałam sobie...

- Przestań natychmiast. - Mrużąc oczy, Tory nałożyła galaretkę na grzanekę. - Nie jestem zainteresowana.

- Skąd wiesz? Nawet nie widziałaś tego chłopaka.

- Nie interesują mnie chłopcy. Ani mężczyźni.

- Tory, nie byłaś związana z żadnym mężczyzną od czasu...

- Jacka - dokończyła Tory. - Zgadza się, i nie zamierzam ponownie się wiązać.

Wystarczy raz. - Poczowała gorycz w ustach, sięgnęła po herbatę. - Nie każdy z nas został

stworzony jako połówka pary, babciu. Jestem szczęśliwa, ponieważ jestem niezależna. -

Kiedy Iris uniosła brwi, Tory wzruszyła ramionami. - No dobrze, powiedzmy, że dopiero zamierzam być szczęśliwa. Zaharuję się, ale dopnę swego.

Dawno już nie siedziała na werandzie i na ogrodowej ławce, nie obserwowała spadających gwiazd i nie przysłuchiwała się cykaniu świerszczy. Dawno nie była na tyle odprężona, by siedzieć spokojnie i wdychać świeże powietrze.

I kiedy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że upłynie dużo czasu, zanim znowu tutaj powróci.

Jutro przejedzie ostatnie kilometry dzielące ją od Progress. Uporządkuje tam swoje życie i złoży wreszcie zmarłą przyjaciółkę na wieczny spoczynek.

Podniosła głowę na dźwięk skrzypiących drzwi i uśmiechnęła się do Cecila.

Stwierdziła, że babcia miała rację. Rzeczywiście wygląda on jak wielki stary niedźwiedź. A w dodatku jest teraz bardzo zdenerwowany.

- Iris wyrzuciła mnie z kuchni. - W rękę trzymał butelkę piwa i niespokojnie przestępował z nogi na nogę w największych butach, jakie istnieją na świecie. - Powiedziała, żebym tu przyszedł i dotrzymał ci towarzystwa.

- Chce, żebyśmy się zaprzyjaźnili. Będzie mi bardzo miło w twoim towarzystwie.

- Czuję się trochę głupio. - Usiadł na bujanej ławeczce i spojrzał kątem oka na Tory. -

Wiem, co wy, młodzi, myślicie. Dziwicie się, że ja, stary bałwan, zalecam się do takiej kobiety jak Iris.

Nadal pachniał mydłem Lava, którym się umył przed kolacją. Mydło Lava i lekkie jasne piwo Coors. Całkiem przyjemna kombinacja zapachów.

- Rodzina nie popiera tego?

- Teraz już nie mają nic przeciwko temu. Iris ich oczarowała, zrobiła piorunujące wrażenie na moich chłopakach. Już ona to potrafi. Jeden z moich synów - Jeny - boczył się trochę, ale przekonała go do siebie. Chodzi o to...

Urwał i odchrząknął. Tory z trudem ukryła uśmiech, gdy tak szykował się do wygłoszenia przemowy, którą z pewnością przygotował sobie wcześniej.

- Jesteś dla niej ogromnie ważna, Tory. Sądzę, że zajmujesz pierwsze miejsce w życiu Iris. Jest z ciebie dumna, martwi się o ciebie i chwali się tobą. Wiem, że między tobą i twoją mamą nie układa się najlepiej. Dlatego też jesteś dla Iris kimś szczególnym.

- I wzajemnie.

- Wiem o tym. Mogłem się o tym przekonać podczas kolacji. Chodzi o to... - Napił się piwa. - Och,

do diabła, kocham ją. - Wyrzucił to z siebie i zaczerwienił się. - Wyobrażam sobie, że to brzmi głupio w ustach człowieka, który już dość dawno pożegnał się z sześćdziesiątką, ale...

- Niby dlaczego? Co to ma wspólnego z wiekiem? Babcia jest przywiązana do ciebie.

Mnie to w zupełności wystarczy.

Ulżyło mu. Poznała to po jego westchnieniu.

- Nigdy nie przypuszczałem, że stać mnie jeszcze na takie uczucie. Byłem mężem cudownej kobiety, z którą przeżyliśmy czterdzieści sześć lat. Dorastaliśmy razem, razem założyliśmy rodzinę, razem uruchomiliśmy firmę. Kiedy ją straciłem, skończyła się jakaś część mojego życia. A potem spotkałem Iris i... Jezu Chryste, czuję się przy niej znowu jak dwudziestolatek.

- Dzięki tobie jej oczy błyszczą jak gwiazdy.

Jeszcze bardziej się zaczerwienił, ale na jego ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Naprawdę? Mam sprawne ręce. - Kiedy Tory, nie panując nad sobą, parsknęła śmiechem, wyjaśnił:
- Chciałem powiedzieć, że przydaję się w domu. Potrafię naprawić dużo rzeczy.

- Wiem, co chciałeś powiedzieć.

- A Stella - moja żona - dała mi dobrą szkołę. Potrafię coś więcej, aniżeli tylko zdeptywać zabłoconymi butami czystą podłogę czy rzucać na nią brudne ręczniki. Umiem trochę gotować i dorobiłem się też czegoś z życia.

Babcia miała rację. Ten człowiek jest wspaniały.

- Cecil, czy prosisz mnie o błogosławieństwo?

- Chcę się z nią ożenić - wyrzucił z siebie. - Ale ona nie chce na razie o tym słyszeć.

Jest uparta jak muł. Ale ja też łatwo nie ustępuję. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że moje intencje...

- Są uczciwe - dokończyła Tory, poruszona do głębi. - Cieszę się i życzę ci powodzenia.

- Taak? - Usiadł znów, aż zatrzeszczała ławeczka. - Ulżyło mi, Tory. Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło! Boże wszechmogący, tak się cieszę, że mam to za sobą. - Potrząsając głową, wypił łyk piwa. - Aż mi się język poplątał.

- Zupełnie nieźle sobie poradziłeś. Cecil, dzięki tobie Iris jest szczęśliwa.

- Taki jest mój cel. - Rozluźnił się, położył rękę na oparciu ławeczki i popatrzył w dal.

- Ładna noc.

- Tak, bardzo ładna.

Spała w domu babci mocno i bez nękających ją snów.

- Chciałabym, żebyś jeszcze została, chociaż jeden dzień. - Muszę jechać.

Iris skinęła głową, próbując nie okazywać zdenerwowania, kiedy Tory niosła walizkę do samochodu.

- Zadzwoń, gdy się już trochę urządzisz.

- Oczywiście.

- I zobacz się od razu z J.R., niech on i Boots pomogą ci na początku.

- Spotkam się z nim, a także z ciocią Boots i z Wadem. - Pocałowała babcię w oba policzki. - A teraz przestań się martwić.

- Już mi ciebie brakuje. Podaj mi rękę. - Gdy Tory zwlekała, sama je wzięła i uścisnęła mocno, a jej oczy zaszkliły się łzami.

Nie miała tego wewnętrznego światła, którym obdarzona była jej wnuczka.

Postrzegła świat poprzez barwy i kształty.

Widziała zamazaną szarość niepokoju, błyszczący róż podniecenia, matowy błękit smutku. Nawet jeśli naznaczone to było ciemną, głęboką czerwienią miłości.

- Wszystko będzie dobrze. - Po raz ostami uścisnęła dłonie Tory. - Jestem na miejscu, gdybyś mnie potrzebowała.

- Jak zawsze. - Tory wsiadała do samochodu, wzięła głęboki oddech. - Nie mów im, gdzie jestem, babciu.

Iris potrząsnęła głową na znak, iż wie, że Tory ma na myśli rodziców.

- Nie powiem.

- Kocham cię.

Odjeżdżając, patrzyła prosto przed siebie.

Pola zaczęły falować, na powierzchni ziemi pojawiły się delikatne pofałdowania pokryte jasną zielenią wschodzących roślin. Rozpoznawała rzędy upraw. Soi, bawełny, tytoniu, młode pędy otulające mgiełką brązową rolę.

Ominęła ją pora sadzenia.

W przeciwieństwie do niektórych ludzi nie pociągała ją ziemia. Lubiła od czasu do czasu pogrzebać

w ogrodzie przy kwiatkach, ale nie miała do tego zacięcia, nie czuła także potrzeby dotykania ziemi rękami, troszczenia się o nią, zbierania plonów, robienia przetworów.

Niemniej jednak rozumiała cykliczność i ciągłość przyrody. Lubiła ten widok.

Fachowo zagospodarowane pola, które ludzie orali i uprawiali, ciągnęły się wzdłuż szpalerów bujnych i soczystych dębów, mchów, wszędobylskich sumaków, wstęg ciemnej wody, która nie dawała się nigdy poskromić.

Bogactwo zapachów i jakaś tajemniczość. Nawóz i woda bagienna. Bogactwo zapachów Południa, któremu nic nie dorównuje. Wreszcie znalazła się w samym sercu tej ziemi. Poza konwencjonalnymi ogrodami i bujnymi trawnikami Południe wyróżniało się płodami ziemi i tajemniczym cieniem swoich rzek.

Ponieważ wolała samotność, jechała bocznymi drogami i z każdym kilometrem czuła, że zbliża się do celu.

Na zachodnich krańcach Progress pola ustąpiły miejsca domom. Starannie utrzymane budowle z dziedzińcami połyskującymi spryskiwaną wodą zielenią. Na podjazdach stały najnowsze modele samochodów, a chodniki były szerokie i równe. Doszła do wniosku, że mieszkają tutaj dobrze zarabiający młodzi ludzie, którzy chcą mieć ładny dom, by z dala od miasta założyć rodzinę.

To oni są jej potencjalnymi klientami. Bogaci właściciele domów uwielbiają ozdabiać ich wnętrza. Przy odpowiedniej reklamie przyciągnie ich do swojego sklepu.

I będą kupować.

Czy w tych spokojnych domach mieszka ktoś, kogo znała w dzieciństwie? Ktoś, kto może pamiętać chudą dziewczynkę, przychodzącą do szkoły z sińcami? Czy pamiętają, że czasami wiedziała o sprawach, o których nie powinna była wiedzieć?

Pomyślała, że pamięć bywa krótka. A jeśli nawet ktoś ją pamięta, znajdzie sposób, by to wykorzystać przy promocji swojego sklepu.

Im bliżej miasta, tym zabudowa stawała się gęstsza. Domy przylegały do siebie, jakby spragnione towarzystwa. Przypomniła sobie odległe miejsce, gdzie wąski strumień rzeki wyznaczał granicę Progress. W czasach jej młodości stojące na skarpie domy były małe i ciemne, miały dziurawe dachy, zaś na popękanej betonowej płycie stały zardzewiałe półciężarówki. Psy warczały i rzucały się wściekle na łańcuchach. Kobiety rozwieszały szare pranie, a dzieci siedziały na łysej, i brudnej trawie.

Niektórzy ludzie uprawiali ziemię, a inni po prostu biedowali. Dzielił ją tylko krok od podobnego losu. Już jako dziecko bała się, by nie runąć w przepaść, w której brakowało chleba powszedniego.

Najpierw zobaczyła strzelistą wieżę kościoła. Za jej czasów miasto chełpiło się czterema świątyniami. Jednak prawie wszyscy, których znała, należeli do kościoła baptystów.

Przesiedziała mnóstwo czasu na ławce, wsłuchując się w kazania, wiedząc, że podczas kolacji ojciec może ją zapytać o ich treść.

Gdyby nie odpowiedziała dobrze, kara byłaby surowa i natychmiastowa.

W ciągu ostatnich ośmiu lat nie zajrzała do żadnego kościoła.

Nakazała sobie, by myśleć tylko o czasach obecnych. Jak się okazało, niewiele to się różniło od tego, co było dawniej.

Umyślnie skręciła na Live Oak Drive, by przejechać się wzdłuż najstarszej zamożnej części miasta. Tutaj domy były duże i ładne, a drzewa stare i gęste. Jej wuj przeprowadził się tutaj zanim wyjechała z Progress. Podobno za pieniądze żony, jak powiedział jej z przekąsem ojciec.

Tory nie pozwalało ich odwiedzać, i nawet teraz, kiedy przejeżdżała obok ślicznego starego domu z białej cegły, z lśniącymi oknami, otoczonego kwitnącymi krzewami, czuła szarpiącą wnętrze panikę i poczucie winy.

Pokręciła się ulicami, przejechała obok mniejszych domów i kompleksu drogich mieszkań, którego nie było przed szesnastu laty. Z podziwem spojrzała na jaskrawoczerwony wielobranżowy magazyn, wyróżniający się na tle dawnego handlowego i rozrywkowego centrum Progress.

Szkoła średnia otrzymała przybudówkę, a tuż obok skweru, gdzie kiedyś stał rząd rozsypujących się domów, znajdował się teraz uroczy park. Dosadzono sporo nowych drzewek, a z betonowych donic wystrzeliwały pełne wdzięku kwiaty.

Wszystko wyglądało ładniej, czystiej i bardziej świeżo. Zastanawiała się, ile trzeba czasu, żeby spod nowej warstwy farby wyszła stara bieda.

Kiedy skręciła na rynek, rozczulił ją widok starego domu towarowego Hansona, zniszczonego szyldu i okien wystawowych, jak dawniej upstrzonych mnóstwem reklam.

Natychmiast poczuła w ustach słodki smak gazowanej, gejpfrutowej lemoniady dla dzieci i uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Salon piękności zmienił właściciela, ale restauracja Market Street Diner stała tam, gdzie zawsze. Odniosła nawet wrażenie, że widzi tych samych starych mężczyzn, ubranych w te same kombinezony, ucinających pogaduszki na ulicy.

Wciśnięty między sklep z farbami i magazyn z artykułami żelaznymi i kwiaciarnię widniał stary sklep spożywczy. „Oto miejsce - pomyślała Tory hamując na zakręcie - w którym spróbuję wszystkiego od nowa”.

Wysiadła z samochodu na rozpaloną słońcem ulicę. Z zewnątrz budynek był taki jak go zapamiętała. Stare klinkierowe cegły połączone popielatą zaprawą. Okno wysokie i szerokie, pokryte warstwą kurzu i ulicznego brudu. Nie szkodzi, doprowadzi je do porządku.

W drzwiach było pęknięta szyba. Właściciel lokalu musi ją wymienić.

Na zewnątrz postawi ławkę - wąską, z oparciem z czarnego kutego żelaza, która wkrótce przyjedzie z innymi rzeczami. A obok niej doniczki z purpurowymi i białymi petuniami. Miłe kwiaty.

Wysoko nad ławką i witryną wymaluje nazwę sklepu:

KOMFORT POŁUDNIA

To właśnie zamierza oferować swojej klienteli. Przytulne otoczenie i umiejętnie wyeksponowane przedmioty.

Widziała się już w środku, jak wypełnia półki, ustawia stoły i lampy. Nagle ktoś porwał ją i uniósł w górę.

Serce zabiło jej jak oszalałe.

- Tory! Czekam na ciebie już od kilku dni. - To ty, Wade?

- Przestraszyłem cię? - Skruszony, natychmiast postawił ją na ziemię. - Przepraszam.

Po prostu ucieszyłem się na twój widok.

- Pozwól, że złapię oddech.

- Czy to naprawdę upłynęły dwa lata? Wyglądasz wspaniale.

- Nie żartujesz? - Przyjemnie było coś takiego usłyszeć, ale nawet przez moment w to nie uwierzyła. Odgarnęła do tyłu włosy, a jej puls stopniowo wracał do normy.

Chociaż Wade miał niewiele ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, musiała zadrzeć głowę, żeby mu się przyjrzeć. Zawsze był ładny, ale teraz twarz miał bardziej męską, ogorzałą. Z dawnych lat pozostały mu dołeczki w policzkach. Jasne włosy przestały się zwijać w loczki.

Ubrany był w dzinsy i w niebieską bawełnianą koszulę. Kiedy go tak mierzyła wzrokiem, uśmiechnął się pod nosem.

Tory stwierdziła, że wygląda młodo i najwidoczniej żyje mu się nieźle.

- Jeśli ja wyglądam wspaniale, to jakimi słowami określić twój wygląd? Jesteś najpiękniejszy z całej rodziny, kuzynie Wade.

Uśmiechnął: się od ucha do ucha, ale drugi raz już jej nie uścisnął. Wiedział, że Tory tego nie lubi.

- Cieszę się, że wróciłaś.

- Nie wyobrażam sobie lepszego powitania. Miasto całkiem nieźle wygląda. Jest niby takie same, ale

bardziej uporządkowane, zadbane.

- Wiele z tego zawdzięczamy Lavelle'om, radzie miejskiej, a zwłaszcza burmistrzowi, który piastuje to stanowisko od pięciu lat. Pamiętasz Dwighta Frazierę?

- Dwight Klucha.

- Klucha ustatkował się w gimnazjum, ożenił się z najpiękniejszą dziewczyną ze szkoły, wszedł do firmy budowlanej swojego tatusia i przyczynił się do zmian w Progress.

Wszyscy jesteśmy teraz cholernie solidnymi i zacnymi obywatelami miasta.

Stojąc tak, i patrząc na ruch uliczny za jego plecami przypomniła sobie, że zawsze miała do niego słabość.

- Nie tęsknisz za dawnymi czasami, Wade?

- Trochę. Muszę teraz wracać i przekonać pewnego doga, żeby dał się zaszczepić przeciwko wściekliznie. Przejdź się ze mną, zafunduję ci mrożoną herbatę.

- Niestety, nie mogę. Muszę się spotkać z agentem od nieruchomości, zobaczyć, co majami do zaoferowania.

- Nie wiem, jak się na to zapatrujesz, ale co powiesz o swoim dawnym domu? Jest wolny.

- Tak? - Odruchowo skrzyżowała ramiona. Pomyślała, że to chyba przeznaczenie. -

Sama nie wiem. Muszę się zastanowić.

W sześciotysięcznym mieście trudno jest nie wpaść na kogoś, kogo się znało. Nie tylko po szesnastu, ale nawet po sześćdziesięciu latach nieobecności! Kiedy weszła do biura pośrednika, w recepcji znajdowała się tylko jedna osoba.

Była to ładna kobieta - niewysoka, zadbana. Jej długie blond włosy opadały do tyłu, odsłaniając twarz w kształcie serca, której dominującym akcentem były wielkie niebieskie jak niezapominajki oczy.

- Dzień dobry. - Zatrzepotała rękami i odłożyła powieść w miękkiej okładce, na której widniał pirat o potężnym nagim torsie. - W czym mogę pomóc?

Przed oczami Tory przemknął widok boiska szkolnego w Progress. Grupa dziewczynek piszczących ze strachu, rozpierzchających się na wszystkie strony. I pewny siebie, zadowolony wzrok niebieskookiej prowodyrki, powiewającej długimi blond włosami.

- Lissy Harfowe? Lissy zadarła głowę.

- Czy my się znamy? Przepraszam, ale jakoś nie... - Niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe. -

Tory? Tory Bodeen? Na miły Bóg! - Wydała krótki pisk i wygramoliła się zza biurka. Wybrzuszona jasnoróżowa koszula wskazywała na szósty miesiąc ciąży. - Tatuś wspominał, że przyjedziesz niedługo.

Mimo że Tory odruchowo cofnęła się o krok, Lissy wybiegła zza biurka, żeby ją uściskać jak odzyskaną po latach przyjaciółkę.

- To niesamowite! - dodała z uśmiechem. - Tory Bodeen wraca po tylu latach do Progress! I do tego taka ładna.

- Dziękuję. - Tory obserwowała oczy Lissy. Mierzyły ją, oceniały, po czym ukazało się w nich zadowolenie. Nie było wątpliwości, komu ułożyło się lepiej. - A ty się wcale nie zmieniłaś. Zawsze byłaś najładniejszą dziewczyną w Progress.

- Och, nie kpil sobie. - Lissy machnęła ręką lekko skrzepowana. - A teraz siadaj i pozwól, że podam ci coś zimnego do picia.

- Nie, nie trudź się. Dziękuję za wszystko. Czy twój ojciec otrzymał umowę dzierżawy?

- Chyba coś o tym wspominał. Całe miasto mówi o twoim sklepie. Nie mogę się doczekać otwarcia. W Progress nie można kupić nic ładnego. - Nie przestając mówić, wróciła za biurko. - A przecież nie można za każdym razem jeździć w tym celu do Charleston.

- Dobrze, że mi o tym mówisz. - Tory usiadła i jej wzrok trafił na plakietkę identyfikacyjną Lissy. - Jesteś żoną Dwighta Fraziera?

- Od pięciu szczęśliwych lat. Mamy synka. Mój Lukę jest największą mądralą na świecie. - Odwróciła oprawioną w ramkę fotografię, pokazując bystrookiego, jasnowłosego szkraba. - Spodziewamy się dla niego braciszka albo siostrzyczki w końcu lata.

Poklepała z zadowoleniem pękaty brzuch i poruszyła palcami tak, aby pierścionek zaręczynowy i obrączka błysnęły brylantami.

- Nigdy nie wyszłaś za mąż, kochanie?

To zjadliwe pytanie upewniło Tory, iż Lissy wciąż lubi być najlepsza. - Nie.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo podziwiam twój sukces zawodowy. Wy, kobiety interesu, jesteście takie dzielne i zaradne. Cóż mamy do powiedzenia przy was my, domatorki. - Kiedy Tory wskazała na biurko i na plakietkę z nazwiskiem, Lissy roześmiała się i machnęła ręką. - Och, wpadam tu tylko parę razy w tygodniu, żeby pomóc tatusiowi. Kiedy urodzi się dziecko, na pewno nie będę miała na to czasu ani energii.

Mówiąc to, Lissy pomyślała, że chyba oszaleje z dwójką dzieci. Trudno, jakoś poradzi sobie ze wszystkim we właściwym czasie.

- A teraz opowiedz mi o swoich sukcesach.

- Chętnie bym pogadała, ale najpierw muszę się urządzić - odparła Tory, nie mając ochoty z niczego się zwierzać.

- Och, jaka ja jestem niemądra. Pewnie jesteś wykończona. Gdy tylko dojdiesz do siebie, utniemy sobie miłą pogawędkę.

- Nie mogę się doczekać - powiedziała Tory, odnotowując w myślach że jest to właśnie ten rodzaj klientki, na jakich jej zależało. - Przed chwilą wpadłam na Wade'a.

Wspomniał, że dom... mój dawny dom... jest do wynajęcia.

- To prawda. Ludzie, którzy go dzierżawili od Lavelle'a, wyprowadzili się parę tygodni temu. Tylko, kochanie, czy chciałabyś mieszkać tak daleko? Mamy ładne mieszkania w centrum miasta. Dysponujemy wszystkim, czego może chcieć samotna dziewczyna... nawet samotnymi mężczyznami - dodała, robiąc chytre oko. - Nowoczesne wyposażenie, porządna wykładzina. Sami mamy także mieszkanie z dostępem do ogrodu i jesteśmy z niego bardzo zadowoleni.

- Nie jestem zainteresowana mieszkaniem. Wolę zamieszkać na przedmieściu. Ile wynosi czynsz?

- Zaraz to sprawdzę. - Oczywiście nie musiała tego robić, znała cenę, ale wolą uchodzić za słodką idiotkę. Wolą zresztą taki stan rzeczy. Przesunęła się z krzesłem i dla zachowania pozorów postukała w klawiaturę komputera. - Słowo daję, nigdy się tego nie nauczę. Są tam dwie sypialnie, jedna łazienka, konstrukcja zrębowa.

- Tak, wiem.

Siedząc ekran, Lissy wystukała miesięczną opłatę.

- Trzeba liczyć dobrych piętnaście do dwudziestu minut jazdy do miasta. A od tego uroczego mieszkanca, o którym wspomniałam, będziesz szła spacerkiem nie więcej niż dziesięć minut.

- Wezmę ten dom.

Lissy podniosła głowę i zamrugała oczami ze zdziwienia.

- Weźmiesz? Nie obejrzysz go najpierw?

- Wiem jak wygląda. Wypiszę czek.

- Jak chcesz. - Lissy wzruszyła ramionami. - Zaraz przygotuję umowę. Chwilę później umowa była już podpisana i podstemplowana. Kiedy Tory wyszła z kluczami, Lissy rzuciła się do telefonu, by przekazać wiadomość dalej.

Tutaj także zaszły zmiany. Dom stał tak jak dawniej przy wąskiej zakurzonej drodze, w niewielkiej odległości od bagien. Po jego zachodniej stronie rozciągały się pola uprawne.

Delikatne pędy bawełny wystrzeliły już z ziemi, tworząc równe rzędy. Jednak w pobliżu okna

sypialni ktoś posadził różowe i białe azalie, a także młodą magnolię.

Pamiętała, że ramy okien i framugi drzwi były szare, obdrapane. Teraz skrzyły się świeżą niebieską farbą. Od frontu dobudowano ganek, tak wielki, że stał na nim bujany fotel.

Kiedy podeszła do domu czuła głucho, przyspieszone bicie serca. Zastanie tam tylko duchy, ale przecież wróciła tu z powodu duchów. Czy nie lepiej stawić czoło wszystkim naraz?

W jej ręku zabręczały klucze.

Zaskrzypiały drzwi. Co za swojski dźwięk. Drzwi zawsze powinny skrzypieć i trzaskać.

Włożyła klucz do zamka, przekręciła. Przed wejściem do środka wzięła głęboki oddech.

Zobaczyła postrzępioną sofę z wyblakłymi różyczkami, stary stolik pod telewizor, wytarty wyplatany dywanik. Żółte ściany bez żadnych dekoracji mogących je ożywić. Zapach rozgotowanych jarzyn i lizolu.

„Tory! Wchodź natychmiast i umyj się. Ile razy muszę ci powtarzać, że stół ma być nakryty do kolacji przed powrotem tatusia?”

Zamrugła oczami, żeby pozbyć się tego obrazu. Stała sama w pustym pokoju. Ściany pomalowane były na kremowo - zwyczajny, praktyczny kolor. Podłoga była goła, ale czysta.

W powietrzu unosił się słaby zapach farby i pasty.

Przeszła do kuchni.

Blaty zostały wymienione i miały neutralny szary kolor, zaś szafki pomalowane zostały na biało. Inny był piec - już nie ten, nad którym z jej matki lały się siódme poty.

Okno nad zlewem wychodziło jak dawniej na moczary. Przepastne, zielone, tajemnicze.

Zdobywając się na odwagę, odwróciła się i ruszyła w stronę swojej starej sypialni.

Czy zawsze była taka mała? W sam raz dla przeciągającego się kota. Jej łóżko stało blisko okna. Lubiła przez nie wyglądać, kiedy na dworze było ciemno. Miała niedużą komódkę, której szuflady wciąż się zacinały. W dolnej szufladzie chowała książki, ponieważ tatuś nie pochwalał jej lektur, za wyjątkiem Biblii.

Różne wspomnienia wiązały się ze stojącym w tym pokoju łóżkiem. Czytała tu do późna w nocy i planowała wspólne ekspedycje z Hope.

I właśnie tutaj ją bito.

Już nikt nigdy więcej nie tknie jej palcem.

Można tu będzie urządzić całkiem dobry gabinet. Postawi się biurko, szafkę na dokumenty, fotel, lampę. Nie potrzeba nic więcej.

Postanowiła, że będzie spać w dawnej sypialni rodziców. Spokojnie otworzyła drzwi szafy. Tam, w ciemności, z twarzą zalaną łzami, czaił się jej własny duch. Wylała wszystkie łzy, łzy całego życia, zanim skończyła osiem lat.

Kucając, przebiegła palcami wzdłuż dolnej deski. Namacała wklęsłe znaki. Z

zamkniętymi oczami, koniuszkami palców, niczym niewidomy czytający metodą Braille'a, odczytywała wyryte tam litery.

JESTEM TORY.

- Zgadza się. Jestem Tory. Nie zabierzesz mi tego, nie wybijesz tego ze mnie. Jestem Tory. I właśnie wróciłam.

Zachwiała się lekko. Pomyślała, brak powietrza. W szafie nigdy nie było powietrza ani światła. Kiedy się cofnęła, miała spocone dłonie.

Odwróciła się, żeby wyjść jak najszybciej z pokoju, uciec z domu. Ale za drzwiami dostrzegła cień. Kształt męskiej sylwetki.

I kiedy otwierane drzwi zaskrzypiały, miała znowu osiem lat. Była sama, bezradna, przerażona.

Cień wymówił jej imię w pełnym brzmieniu: Wiktoria. Mogłaby uciec, ale było jej wstyd. Duchy tego domu krążyły wokół, naigrawały się z niej, szepecząc jej coś do ucha.

Nieraz już uciekała. I na nic to się nigdy zdało.

Nie poruszyła się, zastygła jak królik w świetle latarki myśliwego. Kiedy otwierane drzwi zaskrzypiały głośniejsze, strach podszedł jej do gardła.

- Przestraszyłem cię? Przepraszam. - Powiedział to takim tonem, jakby uspokajał

kobietę, którą właśnie uwiódł. - Zatrzymałem się, żeby zobaczyć, czy czegoś nie potrzebujesz.

Stał w drzwiach, a słońce padało na niego od tyłu tak, że nie widać było rysów twarzy.

- Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem? - zapytała.

- Czyżbyś już zapomniała, że w Progress każda wiadomość szybko się rozchodzi.

Po jego głosie czuła, że się uśmiechnął. A więc jej strach jest aż tak widoczny? Musi się opanować.

- Nie, nie zapomniałam niczego. Kim jesteś?

- Jestem Cade - powiedział i podszedł bliżej. - Kincade Lavelle.

Stał teraz na granicy światła i cienia. Strach minął, gdy ujrzała go wyraźnie.

Kincade Lavelle, brat Hope. Czy by go poznała? Nie, raczej nie. Zapamiętała szczupłego, delikatnego chłopca. Teraz miała przed sobą barczystego, silnie zbudowanego mężczyznę. I chociaż uśmiechał się sympatycznie, nie było nic delikatnego w ostrych rysach jego twarzy.

Miał teraz ciemniejsze włosy, lekko kręące się, wypłowiałe na słońcu. Zawsze najchętniej przebywał na dworze. Przypomniła sobie, jak czasami chodził z ojcem po polach, z tą pewnością siebie wynikającą z posiadania ziemi, po której się stąpa.

Mogłaby go rozpoznać po oczach. Ten sam intensywny błękit jak u Hope. Od słońca w kącikach oczu porobiły mu się zmarszczki, które dodają mężczyznom urody, a kobiety przyprawiają o rozpacz.

Teraz te oczy patrzyły na nią z jakimś wyczekiwaniem, wprawiającym w zakłopotanie.

- Dawno się nie widzieliśmy. - Na nic lepszego nie potrafiła się zdobyć.

- Połowa mojego życia. - Nie wyciągnął do niej ręki, żeby jej nie spłoszyć. Wyglądała tak, jakby miała zamiar zemdleć.

- Dlaczego nie wyjdiesz z domu i nie posiedzisz na ganku? O ile wiem, ten stary bujany fotel jest tu

jedynym meblem.

- Czuję się świetnie. Wszystko w porządku.

Akurat. Była blada jak śmierć, a te jej łagodne szare oczy, które zawsze go fascynowały, miała wciąż szeroko otwarte, czujne. Ponieważ wychował się w domu zdominowanym przez kobiety, .wiedział jak w takiej sytuacji postępować. Odwrócił się i otworzył drzwi.

- Duszno tu - powiedział i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi, licząc, że Tory pójdzie w jego ślady.

Nie mając wielkiego wyboru, wyszła na ganek. Poczul jej zapach i pomyślał o jaśminach kwitnących nocą w ogrodzie jego matki.

- Musiałaś tu wrócić.

- Musiałam gdzieś zamieszkać. - Ciągle była spięta. Nie lubiła prowadzić podobnych rozmów z mężczyznami. Nigdy nie wiadomo, co kryje się za ich słowami i uśmiechami.

- Mieszkałaś przez jakiś czas w Charleston. Tutaj żyje się znacznie spokojniej.

- Pragnę spokoju.

Oparł się plecami o balustradę. Wiedział, że ciągle jest spięta. Tkwiła w niej jakaś zadra. To dziwne, że właśnie taką ją zapamiętał.

- Dużo się mówi o twoim sklepie.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się słabo, a jej oczy pozostały poważne i czujne. - Taka ciekawość przyciągnie ludzi.

- Prowadziłaś sklep w Charleston?

- Tylko nim kierowałam; być właścicielką to całkiem co innego.

- To prawda. - Teraz Beaux Rêves należało do niego i wiedział, ile jest z tym kłopotu.

Spojrzał za siebie na pola, gdzie sadzonki i pędy wyciągały się ku niebu. - No i jak to znajdujesz, Tory?

- Wszystko wygląda tak jak dawniej, a zarazem całkiem inaczej.

- Właśnie to samo pomyślałem o tobie. Dojrzałaś. - Odwrócił się ku niej, przyjrzał się bacznie jej zaciśniętym na poręczy fotela palcom. - Dojrzałaś do swoich oczu. Zawsze miałaś oczy dorosłej kobiety. Gdy miałem dwanaście lat, prześladowały mnie.

Musiała użyć całej siły woli, żeby nie spuścić oczu.

- Byłeś wtedy zbyt zajęty uganiem się z moim kuzynem Wadem i z Dwightem Frazierem, by zwracać na mnie uwagę.

- Mylisz się. Zwracałem uwagę na wszystko, co dotyczyło ciebie. Nadal noszę w pamięci twój obraz. Dlaczego nie powiemy sobie wprost, że to ona stoi między nami?

Tory poderwała się z miejsca, odeszła i zapatrzyła się na pola.

- Oboje ją kochaliśmy - powiedział Cade. - Oboje ją straciliśmy. I żadne z nas nie zapomniało o niej.

Zrobiło się jej ciężko na sercu, jakby je uciskały jakieś ręce.

- Nie potrafię ci pomóc.

- Nie proszę cię o pomoc.

- Więc o co?

Zaintrygowany, z narastającą uwagą obserwował jak znowu zamknęła się sobie.

- Nie proszę cię o nic, Tory. Czy tego właśnie oczekujesz od każdego? Poczula się teraz silniejsza, pewniej stała na nogach.

- Tak.

Z tyłu, za nim, niczym popielata strzała, przeleciał jakiś ptak i siadł na gałęzi drzewa nad moczarami.

- Szkoda - powiedział. - Ale ja naprawdę nie chcę nic od ciebie. Może przydałoby się tylko jakieś przyjazne słowo od czasu do czasu. Oboje wiemy, co Hope znaczyła dla nas.

Utrata jej wpłynęła na całe moje życie. Chyba nie zaprzeczysz, że również na twoje?

- Jakie to może mieć dla ciebie znaczenie, co ja czuję? Nie znamy się przecież. Nigdy tak naprawdę nie poznaliśmy się.

- Znaliśmy ją. A twój powrót skłania do poruszenia tej sprawy. To nie twoja wina, po prostu tak jest.

- Czy to jest powitalna wizyta, czy ostrzeżenie, żebym trzymała się na dystans?

Przez chwilę nie odzywał się, potrząsnął głową. W jego oczach znowu pojawiła się wesołość.

- Jedno jest pewne, że zrobiłaś się uszczypliwa. Po pierwsze, nie mam zwyczaju prosić pięknych kobiet, żeby trzymały się na dystans. Przecież sam bym tylko na tym stracił, prawda?

Nie uśmiechnęła się. Kiedy zrobił krok do przodu, ptak siedzący na drzewie frunął w głąb moczarów.

- Możesz zażądać, żebym to ja trzymał się na dystans, ale i tak nie posłucham.

Przyszedłem, żeby cię powitać, Tory, i żeby spojrzeć na ciebie. Wolno mi zaspokoić własną ciekawość. A na twój widok cofnąłem się w czasie. To normalne. Dla innych twoja obecność to także powrót do przeszłości. Powinnaś była o tym wiedzieć, decydując się na przyjazd.

- Przyjechałam tu dla siebie.

- A zatem witaj w domu.

Wyciągnął rękę. Zawahała się, zanim ją uścisnęła. Jego ręka była ciepła i twardsza niż się spodziewała. Zaskoczona poczuła, że łączy ich jakaś więź.

- Przepraszam - powiedziała - ale mam dużo pracy.

- Daj znać, gdybym mógł się do czegoś przydać.

- Doceniam twoją dobrą wolę. Bardzo ładnie odremontowałeś dom.

- To dobry dom. - Mówiąc to, patrzył na nią. - Możesz tu zrobić, co chcesz - dodał i zaczął schodzić ze schodów. Zatrzymał się obok strasznie brudnego samochodu. - Wiesz, co się stało z twoim obrazem, który nosiłem w pamięci? - Otworzył drzwi półciężarówki, a wiaterek rozwiął jego rozjaśnione na słońcu włosy. - Stał się jeszcze lepszy.

Odjechał aż do zakrętu patrząc na nią we wstecznym lusterku.

Nie chciał w to mieszać Hope. Mówił sobie, że musiał tutaj zajrzeć jako właściciel Beaux Rêves i jej znajomy z dzieciństwa. Ale nie zdołał oszukać siebie, podobnie jak z całą pewnością nie oszukał Tory. Chociaż miał wiele pilnych spraw na głowie, sprowadziła go tu zwykła ciekawość.

Farmę prowadził po swojemu, co nie wszystkim się podobało. Nauczył się być politykiem i dyplomata. Wcielał się w każdą rolę, gdy zachodziła taka potrzeba.

Zastanawiał się właśnie, w jaką rolę powinien się wcielić wobec Tory.

Czy chciała tego, czy nie, jej powrót naruszył równowagę wszystkiego. Była jak kamień rzucony w wodę, który marszczy powierzchnię, tworząc rozchodzące się szeroko kręgi.

Nie był pewien, co z nią zrobi - co chce z nią zrobić. Ludzie tacy jak on, którzy żyją z uprawy ziemi, uzależnieni od pogody, potrafią uzbroić się w cierpliwość.

Pod wpływem impulsu zjechał na pobocze. Nie należało tracić czasu, kiedy tyle miał

pracy w Beaux Rêves. Wschodziły plony, a wraz z nimi rosły chwasty. Miał nawyk nadzorowania pól. Ten rok był kluczowy, jeśli chodzi o pomysły, które zainicjował.

Zamierzał doglądać wszystkiego na każdym etapie.

Wysiadł z kabiny półciężarówki, przeszedł przez drewniany mostek - pomyślał

mimoходом, że trzeba wymienić kilka desek - i poszedł na bagna.

Tutaj świat stawał się zielony, bogaty, żywy. Ścieżki były oczyszczone, a wzdłuż nich, Równiutko jak w parku, rosły azalie, pokryte kwiatami o odurzającym zapachu. Wśród magnolii i błotni stały się dzikie kwiaty, wystrzeliwały w górę wiecznie zielone krzewy. Nie był to już ten ekscytujący, trochę niebezpieczny świat jego dzieciństwa.

Teraz stała tu kapliczka poświęcona utraconemu dziecku.

Urządził ją jego ojciec. Z żalu, którego nigdy nie okazał, a który zżerał go jak rak.

W lecie lilie roztańczą się tutaj w kolorowej paradzie, a delikatne żółte irysy, które lubią mokry grunt, już rozkwitły w wiosennym cieniu jak maleńkie promyczki słońca.

Miejsca, w których rosły, oczyszczono z zarośli. Odrastały szybko, ale dopóki żył ojciec, nie brakowało rąk, by stale je wyrywać. Teraz także ten obowiązek spoczywa na nim.

Na polanie, na której w ostatnią noc swojego życia Hope zapaliła ognisko, stała mała kamienna ławeczka. Przez brązową jak tytoń wodę, nad którą rosły cyprysy, obwiedzioną gęstymi, zwijającymi się paprociami i kwitnącymi na biało rododendronami, przerzucony był

kolejny mostek. A zapach kamelii i bratków przetrwa aż do zimy.

Między ławką i mostkiem, pośrodku klombu z różowymi i białymi kwiatami, stał

marmurowy posąg, przedstawiający śmiejącą się dziewczynkę, która nigdy nie przekroczy wieku ośmiu lat.

Pochowali ją przed osiemnastu laty na wzgórzu opromienionym słońcem. Ale tutaj, wśród zielonych cieni i dzikich zapachów, pozostał jej duch.

Cade usiadł na ławce, ręce zwiesił między kolanami. Nie przychodził tu często. Od śmierci ojca przed ośmiu laty nikt tutaj nie przychodził - przynajmniej nikt z rodziny.

Dla matki to miejsce przestało istnieć od chwili, gdy znaleziono ciało Hope.

Zgwałcona, uduszona, została potem porzucona jak zniszczona lalka.

Ciągle zastanawiał się, ile z tego, co jej zrobiono, tkwi nadal w nim?

Usiadł z powrotem, zamknął oczy. Przyznał się teraz przed sobą, że okłamał Tory.

Owszem, chciał czegoś od niej. Chciał odpowiedzi na różne pytania, na które czekał przez ponad połowę swojego życia.

Potrzebował pięciu minut, żeby dojść do równowagi. Dziwne, że dopiero teraz zdawał

sobie sprawę z tego, jak bardzo się zdenerwował, widząc ją tutaj ponownie. Miała rację mówiąc, że nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, kiedy byli dziećmi. Była małą Bodeen, dziewczynką, z którą bawiła się jego siostra, dziewczynką nie zasługującą na uwagę dwunastoletniego chłopca.

Aż do tamtego ranka, tamtego straszliwego sierpniowego ranka, kiedy podeszła do ich drzwi z posiniaczonym, krwawiącym policzkiem i z przerażonymi, szeroko otwartymi, migdałowymi oczami. Od tej chwili zwracał już uwagę na wszystko, co jej dotyczyło. I nie zapomniał o niczym.

Dowiadując się o wszystkich jej krokach, o tym, dokąd wyjechała, co robiła, kim była po wyjeździe z Progress, stało się jego nawykiem.

Dowiedział się o tym natychmiast, kiedy zaczęła snuć plany powrotu.

A mimo to nie był przygotowany na jej widok w tym pustym pokoju, na to by zobaczyć jej twarz pozbawioną kolorów, z wielkimi przepastnymi oczami.

Oboje będą musieli oswoić się z nową sytuacją. Wtedy zajmą się sobą. Zajmą się też Hope.

Wrócił do samochodu i pojechał skontrolować swoje pola i pracujących na nich ludzi.

Był zgrzany, spocony i brudny, kiedy skręcił wreszcie między kamienne filary u wjazdu do długiej zacienionej alei, prowadzącej do Beaux Rêves. Dwadzieścia dębów - po dziesięć z każdej strony - tworzyło zielony tunel. Poprzez ich grube pnie widział kwitnące krzewy, rozległy trawnik, wstążkę wybrukowanej ścieżki, która prowadziła do ogrodów i na folwark.

Ten widok działał na niego niezwykle kojąco. Żadna zawierucha ani pożoga wojenna nie naruszyły fundamentów Beaux Rêves.

Od ponad dwustu lat ta ziemia znajdowała się w rękach Lavelle'ów. Oni się nią opiekowali, wykorzystywali ją i przeklinali, ale jednak przetrwała. Była ich miejscem wiecznego spoczynku i miejscem ich narodzin.

A teraz należała do niego.

Być może dom był zbyt ekscentryczny - za bardzo przypominał fortecę. Jego ściany błyszczały w promieniach zachodzącego słońca. Wieże wznosiły się dumnie ku purpurowemu o tej porze dnia niebu.

Na ogromnym owalnym klombie pośrodku podjazdu rosło pełno kwiatów. Jakiś odległy przodek chciał pewnie złagodzić ostre rysy tej budowli. Efekt był taki, że morze kwiatów i krzewów dziwnie kontrastowało z masywnymi frontowymi drzwiami z rzeźbionego dębu i z wbudowanymi na sztorc oknami.

Cade zatrzymał samochód na zakręcie podjazdu i wspiał się po sześciu kamiennych stopniach. Weranda stanowiła dodatek z czasów jego pradziadka. Odrobina cywilizacji ze spadzistym, dającym cień dachem i pnącymi się pędami klematisów. Mógł tutaj usiąść, gdyby miał ochotę, tak jak siadywali tu od pokoleń jego przodkowie, mógł stąd patrzeć na trawnik, na drzewa, na wodę, nie

pracując tak ciężko na polach.

Otarł buty z kurzu. Za drzwiami znajdowała się domena jego matki i chociaż nie powiedziała mu słowa, jej milcząca dezaprobata, zimne spojrzenie rzucone na każdy ślad buta na podłodze, byłyby gorsze niż ostra nagana.

Tegoroczna wiosna była łaskawa i okna trzymano otwarte aż do wieczora. Ogrodowe zapachy mieszały się i zlewały z wonią eleganckich kompozycji w wazonach.

Idąc w holu po marmurowej zielonej posadzce człowiek miał wrażenie, że zanurza się w zimnej wodzie.

Cade marzył o prysznicu, o piwie i o dobrym gorącym posiłku przed zabraniem się za papierkową robotę. Szedł cicho, mając zamiar unikać kontaktu z rodziną, zanim się nie umyje.

Doszedł tak do baru w salonie i otworzył już puszkę z piwem, kiedy usłyszał stuk damskich obcasów. Skrzywił się, ale kiedy Faith wpadła do pokoju, jego twarz nie wyrażała już żadnych emocji.

- Nalej mi białego wina, kochanie, muszę trochę ukoić nerwy.

Mówiąc to, wyciągnęła się na sofie. Westchnęła, jakby była lekko nadąsaną, podrzuciła palcem krótko ostrzyżone blond włosy. Znowu zrobiła się na blondynkę. Byli tacy, którzy mówili, że Faith Lavelle zmienia kolor włosów prawie tak często jak mężczyźni.

Byli tacy, którzy powtarzali to z lubością.

W wieku dwudziestu sześciu lat była już dwukrotnie rozwiedziona, zaś ilości kochanków, których miała, nikt nie zdołałby zliczyć. Nawet ona sama. Wciąż jeszcze wyglądała jak delikatny południowy kwiat. Jej niebieskie oczy na zawołanie napełniały się łzami, zdolne były składać obietnice, których nie miała zamiaru dotrzymać.

Jej pierwszy mąż był przystojnym osiemnastoletnim chłopakiem, z którym uciekła na dwa miesiące przed ukończeniem szkoły średniej. Pokochała go z całą pasją i egzaltacją właściwymi dla młodego wieku i była zdruzgotana, kiedy ją porzucił po niecałym roku.

Jednak bynajmniej nie dała tego po sobie poznać. Według oficjalnej wersji to ona wyrzuciła Bobby'ego Lee Matthews'a.

Trzy lata później poślubiła ambitnego piosenkarza country, którego spotkała w barze.

Zrobiła to z nudów, ale znosiła to przez dwa lata, dopóki nie zdała sobie sprawy, że Clive ma skłonności do wcielania w życie swoich piosenek o kochankach i o niewierności, a także o bójkach z żoną, które gryzmolił w oparach budweysera i marlboro.

Znow wróciła do Beaux Rêves, rozdrażniona, czująca obrzydzenie do samej siebie.

Kiedy Cade podał jej kieliszek wina, uśmiechnęła się do niego słodko.

- Kochanie, widzę, że jesteś zmęczony. Dlaczego nie usiądziesz i nie potrzywasz przez chwilę nóg w górze? - Złapała go za rękę i pociągnęła lekko. - Przepracowujesz się.

- Możemy się w każdej chwili zamienić.

- Beaux Rêves jest twoje. Tata postawił tę sprawę jasno i raz na zawsze.

- Ale taty już nie ma.

Faith wzruszyła nie dbale ramieniem.

- To nie zmienia faktu. - Podniosła kieliszek, napiła się wina. Była śliczną kobietą i poświęcała wiele czasu i trudu na eksponowanie urody. Nawet teraz, wieczorem, w domu, upudrowała delikatnie policzki, pomalowała duże, zmysłowe usta różową pomadką, włożyła jedwabną bluzkę i szerokie spodnie w nieco innym odcieniu różu.

- Możesz zmienić wszystko, na co ci przyjdzie ochota.

- Zostałam wychowana tak, żeby pełnić rolę bezużytecznej ozdoby. - Przeciągnęła się jak kot. - Jestem w tym bardzo dobra.

- Denerwujesz mnie, Faith.

- W tym także jestem dobra. - Rozbawiona, trąciła jego nogę bosą stopą. - Nie złość się, Cade. Bo stracę ochotę na wino. Wystarczy mi już dzisiejsza przykra rozmowa z mamą.

- Nie ma dnia, żebyś nie miała przykrew rozmowy z mamą.

- Nie dochodziłoby do tego, gdyby tak mnie nie krytykowała. Ciągle była dziś w złym humorze. Zaczęło się to po telefonie od Lissy.

- Bez powodu. Wiedziała przecież, że Tory wraca.

- Nie sędzę, żeby była zachwycona pomysłem wynajęcia jej Domu Na Bagnach.

- Jeśli nie zamieszka tam, to zamieszka gdzie indziej. Wróciła i zdaje się, że zamierza zostać.

- Więc ją widziałeś. Wiedziałam, że tak zrobisz. Nasz Cade nad wszystko przedkłada obowiązek. Ładnie. - Leniwym ruchem nawinęła na palec lok złocistych włosów. - Jak wygląda?

- Uprzejma, z rezerwą. Chyba zdenerwowana tym, że tu wróciła. - Upił łyk piwa. -

Atrakcyjna.

- Atrakcyjna? Zapamiętałam włosy podobne do kory drzewa i guzowate kolana.

Chuda i nawiedzona.

Pominał to milczeniem. Faith zawsze się dąsała, kiedy chwalono przy niej wygląd jakiejś innej kobiety. Nie miał nastroju na jej humory.

- Mogłabyś się trochę zmusić i być dla niej miła, Faith. Tory nie ponosi odpowiedzialności za to, co stało się z Hope. Nie widzę powodu, żeby miała czuć się winna.

- Czy powiedziałam, że nie zamierzam być dla niej miła?

- Może potrzebować przyjaciółki.

Faith opuściła rękę, a jej głosik stał się bezbarwny.

- Była przyjaciółką Hope, nie moją.

- Ale Hope już tutaj nie ma. Tobie też przydałaby się przyjaciółka.

- Mam pełno przyjaciół, tylko że nie ma wśród nich kobiet. Prawdę mówiąc, jest tutaj tak okropnie nudno, że może wybiorę się wieczorem do miasta i na parę godzin znajdę sobie przyjaciela.

- Rób, jak uważasz. - Odsunął jej stopy na bok i wstał. - Muszę wziąć prysznic.

- Cade - powiedziała, nim doszedł do drzwi. Zobaczyła w jego oczach błysk szyderstwa, które ją zabolalo. - Mam prawo przeżyć własne życie tak jak mi się podoba.

- Masz prawo marnować własne życie tak jak ci się podoba.

- Zgadza się. Podobnie jak ty. Ale powiem coś, co może choć raz będzie zgodne z opinią mamy. Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby Wiktoria Bodeen wróciła do Charleston i tam została. A ty trzymaj się z daleka od niej i od wszystkich kłopotów, jakie ze sobą niesie.

- Czego się boisz, Faith?

„Wszystkiego - pomyślała, kiedy wyszedł. - Po prostu wszystkiego”. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, podeszła do wysokiego frontowego okna. Zniknęło gdzieś jej rozleniwienie. Poruszała się teraz szybko, nerwowo.

„Może powinnam pojechać do miasta? - pomyślała. - Albo całkiem wyjechać?” Ale dokąd?

Po powrocie do Beaux Rêves nic nie układało się tak, jak to sobie wyobraziła. Nikt nie był taki, jakim, według niej, powinien być. Włącznie z nią samą.

Ileć wyjeżdżała, przyrzekała sobie, że wyjeżdża na dobre. Ale zawsze wracała. Za każdym razem przyrzekała też sobie, że będzie inaczej, że się zmieni.

Ale nigdy nic z tego nie wychodziło.

Czy ktoś potrafi zrozumieć, że od tamtej nocy, kiedy z Hope miały osiem lat, wszystko się zmieniło?

A teraz wróciła osoba, która łączy ją z tamtą nocą.

Patrząc na trawnik i na ogród, pogrążający się w zmierzchu, życzyła Tory Bodeen, żeby sobie poszła do diabła.

Była prawie ósma, kiedy Wade skończył z ostatnim pacjentem - niemłodym już mieszkańcem z niewydolnością nerek i szmerami w sercu. Jego równie niemłody właściciel nie dopuszczał do siebie myśli o uśpieniu biednego, starego psa, dlatego Wade jeszcze raz zaaplikował psu poprzednią kurację.

Był zbyt zmęczony, żeby jeść porządną kolację i pomyślał sobie, że wystarczy mu jakiś sandwich lub puszka konserw.

Nieduże mieszkanie nad gabinetem w zupełności odpowiadało jego potrzebom. Było wygodne, dobrze położone i tanie. Stać by go było na lepsze - o czym stale przypominali mu jego rodzice - ale on wolał skromne życie, a zarobione pieniądze lokował w rozwijanie i powiększanie praktyki.

Obecnie nie miał żadnych własnych zwierząt, chociaż w dzieciństwie dom zamienił w istną menażerię. Były psy i koty, oczywiście, wymagające opieki ranne ptaki, żaby, żółwie, króliki, nawet mała świnka, którą nazwał Koleś. Matka patrzyła na to przez palce, dopóki nie przyniósł czarnego węża, którego znalazł na szosie.

Kiedy stanął w drzwiach kuchennych z studwudziestocentymetrowym, wijącym się wężem w rękach, matka tak strasznie wrzasnęła, że pani Pritchett z sąsiedniego domu przybiegła natychmiast, przeskakując dzielący ich płot.

Pritchett naderwała sobie ścięgno, matka Wade'a zbiła ukochany szklany dzbanek na mleko, a węża skazano na banicję.

Ale Wade i tak był wdzięczny matce, że tolerowała bez słowa skargi wszystkie inne zwierzęta, które ściągał do domu.

Przyjdzie chwila, że będzie miał dom z podwórkiem, a wtedy znów odda się swojej pasji. Ale najpierw musi zarobić, by mieć większy personel i nie pracować dziesięć godzin na dobę, nie licząc nagłych wezwań. Ludzie, którzy nie mają czasu dla własnych zwierząt, nie powinni ich mieć. To samo dotyczy posiadania dzieci.

Udał się do kuchni i wziął jabłko. Kolacja musi poczekać, aż umyje się po psie.

Jedząc jabłko, przerzucił pocztę, którą wziął ze sobą, wchodząc do sypialni.

Poczuł ją, zanim ją jeszcze zobaczył. Poruszyła się na łóżku, szeleszcząc prześcieradłem.

Nie miała na sobie nic oprócz powitalnego uśmiechu.

- Witaj, luby.

- Powiedziałaś, że będziesz zajęta wieczorem.

- Bo miałam taki zamiar. Może byś tutaj podszedł i... zajął się mną. Wade rzucił na bok pocztę.

- Czemu nie?

To żalosne, pomyślał Wade, gdy mężczyzna trzyma się jednej kobiety przez całe życie. Tym bardziej żalosne, gdy ta kobieta robi, co chce, pojawia się i znika, niczym beztroski motyl. A mężczyzna pozwala jej na to.

Ilekcio wracała, obiecywał sobie, że nie weźmie udziału w tej grze. I za każdym razem tak go długo omotywała, iż pograżał się w tym i nie był w stanie uciec.

Był jej pierwszym mężczyzną. Nie łudził się, że będzie ostatnim.

Nie potrafił się jej oprzeć przez całe dziesięć lat. Tamtej jasnej letniej nocy wdrapała się do niego przez okno, do jego łóżka, kiedy spał. Jeszcze dotąd pamięta to przeżycie.

Obudził się, kiedy jej gładkie ciało wślizgiwało się na niego, nienasycone usta obsypywały go pocałunkami, pożerały go, domagały się, aż stał się twardy jak kamień.

Miała piętnaście lat, a wzięła go tak szybko i z taką wprawą, jak dziwka za pięćdziesiąt dolarów. Chociaż była dziewicą.

Powiedziała mu, że właśnie w tym problem. Nie chciała być dziewicą i postanowiła zrzucić z siebie to jarzmo bez zbędnych ceregieli, z kimś, kogo znała, lubiła i do kogo miała zaufanie.

Nic prostszego!

Dla Faith to zawsze było proste. Ale dla Wade'a tamta letnia noc, na kilka tygodni przed powrotem do college'u, odcisnęła piętno na dalszych, skomplikowanych etapach jego związku z Faith Lavelle.

Tamtego lata uprawiali seks tak często, jak tylko mieli okazję. Na tylnym siedzeniu jego samochodu, późno w nocy, kiedy jego rodzice spali po drugiej stronie korytarza, w środku dnia, kiedy jego matka siedziała na werandzie, gawędząc i plotkując z przyjaciółkami.

Faith była zawsze chętna, gotowa.

Stała się obsesją Wade'a.

Był pewien, że zaczeka na niego.

Po niecałych dwóch latach, kiedy pilnie studiował i robił plany na przyszłość - ich przyszłość - uciekła z Bobbym Lee. Wade upił się i trwał w tym stanie przez tydzień.

Oczywiście wróciła. Do Progress, a w końcu do niego. Nie było przeprosin, żadnej łzawej próby wyjaśnienia czegokolwiek.

Tak wyglądał ich związek. Nienawidził jej za to niemal w tym samym stopniu co siebie.

- No więc... - Wdrapała się na niego, wyciągnęła papierosa z paczki na nocnym stoliku i zapaliła. - Opowiedz mi o Tory.

- Od kiedy znowu zaczęłaś palić?

- Od dzisiaj. - Uśmiechnęła się, pochyliła i skubnęła go lekko w szyję. - Tylko mi tego nie wypominaj. Każdy ma prawo do grzechu.

- Za którym tęsknisz najbardziej?

Roześmiała się, ale w jej oczach widać było jakieś zdenerwowanie.

- Jeśli nie spróbuje się wszystkich, skąd można wiedzieć, który najbardziej przypadnie do gustu? No więc, opowiedz mi o Tory. Umieram z ciekawości, chcę się wszystkiego dowiedzieć.

- Nie mam nic do opowiedzenia. Po prostu wróciła.

Faith westchnęła ciężko.

- Mężczyźni są naprawdę okropni. Jak ona wygląda? Jak się zachowuje? Co zamierza robić?

- Zamierza otworzyć sklep z pamiątkami na Market Street. - Na widok chłodnego i surowego spojrzenia Faith wzruszył ramionami. - Wygląda na zmęczoną, jakby nie wiodło się jej za dobrze w ostatnich czasach. Ma jednak jakiś polor, jakiego nabiera się żyjąc w dużym mieście. Po co tu przyjechała, nie umiem powiedzieć. Dlaczego sama jej o to nie zapytasz?

Przeciągnęła palcami po jego ramieniu. Miał takie wspaniałe ramiona.

- Najprawdopodobniej nie zechce mi powiedzieć. Nigdy mnie nie lubiła.

- To nieprawda, Faith.

- Muszę to wiedzieć. - Zniecierpliwiona, sturlała się z łóżka zręcznie jak kot, i zaczęła chodzić po pokoju, zaciągając się głęboko papierosem. Światło księżycy lśniło niebieskawo na jej białej skórze. Dostrzegł też na niej ślady siniaków.

Lubiła brutalne pieszczoty.

- Zawsze patrzyła na mnie tymi przestraszonymi, nawiedzonymi oczami i rozmawiała tylko z Hope. Zawsze miały sobie dużo do powiedzenia. Stale ze sobą szeptały. Czego ona szuka i dlaczego wróciła do Domu Na Bagnach? Co kombinuje?

- Pewnie po prostu chciała wrócić do domu rodzinnego. - Wstał szybko i zaciągnął zasłony przed niepożądanym wzrokiem sąsiadów.

- Komu jak komu, ale nam nie trzeba mówić, co się działo pod tym dachem. -

Odwróciła się i zamrugła oczami, kiedy Wade zapalił boczną lampę. - Komu by przyszło do głowy wracać do miejsca, gdzie się było trzymanym jak w pułapce? Może ludzie mają rację, mówiąc, że jest pomyłona.

- Ona nie jest pomyłona. - Znużony tą rozmową Wade wciągnął dzinsy. - Jest samotna. Czasami samotni ludzie wracają do domu, ponieważ nie mają gdzie się podziać.

Dotknęło ją to niemal do żywego. Szybko odwróciła oczy, Strząsnęła nerwowo popiół z papierosa.

- W rodzinnym domu można się czuć jeszcze bardziej samotnym. Kiedy dotknął jej włosów, podniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie.

- Ale dlaczego rozmawiamy o Tory Bodeen? Zróbmy sobie coś na kolację i zjedźmy w łóżku. - Powoli, nie spuszczać z niego wzroku, rozsunęła suwak w jego dzinsach. - Kiedy jestem z tobą, zawsze mam wielki apetyt.

Obudził się w ciemności. Jej już nie było. Nigdy nie zostawała, nigdy z nim nie spała w ten najbardziej naturalny sposób. Kiedyś się zastanawiał, czy w ogóle sypia, czy też ten jej wewnętrzny motor jest w nieustannym ruchu, utrzymuje ją w stanie napięcia, napędza jej pragnienia, które wciąż pozostają niezaspokojone.

To przekleństwo kochać kobietę, która nie potrafi odwzajemnić uczuć. Powinien ją wykreślić ze swojego życia. Tak by było najlepiej. Znowu go tylko rozjątrzy. Wcześniej czy później zniszczy go całkiem i tylko siebie będzie mógł za to winić.

Poczuł narastającą złość, która wzburzyła mu krew. Ubrał sienie włączając światła.

Zanim ta furia obróci się przeciwko niemu, musi ją rozładować.

Byłoby zręczniejsze, wygodniejsze, a na pewno rozsądniejsze, gdyby spędziła tę noc w hotelu.

Byłoby o wiele prościej, gdyby skorzystała z zaproszenia wujostwa i przespała się w jednej z ozdobnych, przeładowanych do nieprzytomności sypialni, które zawsze stały do dyspozycji gości w ich dużym domu.

Jako dziecko marzyła o spędzeniu nocy w tym doskonałym domu na doskonałej ulicy, gdzie, jak sobie wyobrażała, wszystko pachnie perfumami i politurą.

Zamiast tego Tory rozłożyła koc na gołej podłodze i nie mogąc zasnąć leżała w ciemności.

Duma, upór, potrzeba sprawdzenia się? Nie była pewna, czym się kierowała, decydując się spędzić pierwszą noc w Progress w pustym domu swojego dzieciństwa.

Od rana czeka ją masa zajęć. Wieczorem przejrzała długą listę pilnych spraw i dopisała nowe. Musi kupić łóżko i telefon. Nowe ręczniki, zasłonę prysznicową. Potrzebna jest jej lampa i stolik, na

którym można by ją postawić.

Fakt posiadania skromnych potrzeb nie musiał koniecznie oznaczać rezygnacji z podstawowych wygod.

Leżąc tutaj w ciemności sporządzała dalszy ciąg listy. Każdy zapisany w pamięci przedmiot stanowił kolejną cegiełkę, którą układała po to, by odgrodzić się od obrazów przeszłości i skoncentrować się na chwili obecnej.

Pojedzie do domu towarowego i wyposaży kuchnię. Nie będzie z tym zwlekać, żeby znów się nie zagłodzić. Kiedy zapominała o swoim ciele, zaczynała mieć trudności z kontrolowaniem umysłu.

Pojedzie do banku, otworzy rachunek osobisty i na firmę. Konieczna jest także wyprawa do redakcji „Progress Weekly”. Miała już gotowy projekt swojego ogłoszenia.

Przede wszystkim zaś, kiedy tylko urządzi sklep, musi być widoczna. Tego typu praca opiera się w dużej mierze na osobistych kontaktach.

Trochę potrwa zanim ustaną nieuniknione szeptu po kątach. Jest na to przygotowana.

Zanim otworzy sklep, ludzie przyzwyczają się do jej widoku. Ważniejsze, znacznie ważniejsze jest to, żeby przywykli widzieć ją taką, jaką chce być postrzegana.

Stopniowo wtopi się w miasto. A wtedy rozpocznie poszukiwania i to ona będzie zadawała pytania i szukała odpowiedzi.

A kiedy je otrzyma, będzie mogła pożegnać się z Hope.

Zamykając oczy, wsłuchiwała się w odgłosy nocy, w chóralne kumkanie żab, tak zabawnie monotonne, w ostre, skrzeczące pohukiwanie polującej sowy, ciche postękiwania starych drzew, skrobanie myszy, szykujących sobie gniazdo za ścianą.

Pomyślała zasypiając, że będzie musiała zastawić na nie pułapki. Podłoży też na oba ganki kulki naftalinowe, które odstraszą węże.

Na węże brało się kulki naftalinowe, a na jelenie zawieszało się mydło. A kiedy do warzywnika podkradały się króliki, kładło się kawałki trykotów, żeby brały je za węże. W

przeciwnym razie tata, po powrocie do domu, strzelał do nich z dubeltówki. Później jedli je na kolację, choć robiło się jej niedobrze na samo wspomnienie, jakie to były wcześniej urocze stworzenia. Trzeba było jeść to, co pochodziło od Boga. Mdłości łatwiej się znosiło niż bicie.

Powiedziała sobie, że nie należy teraz myśleć o tym, i zmieniła pozycją na twardej podłodze. Nikt jej nigdy więcej nie zmusi, by jadła to, czego nie chce jeść. Nikt nie zamachnie się na nią pasem ani pięścią.

Teraz sama o sobie decyduje.

Przyśniło się jej, że siedzi na miękkiej ziemi przy ognisku, którego płomienie liżą, okopcają i przypalają trzymanego na patyku cukierka z prawo - ślazu. Lubiła, kiedy był taki przypalony, otoczony czarną, chrupiącą warstwą. Podnosząc go do góry, zdmuchnęła ogień, którym się zajął.

„Równie dobrze mogłabyś jeść węgiel drzewny” - powiedziała Hope, obracając swój własny cukierek, który powlekał się złotymi bąbelkami.

„Lubię właśnie takie” - odparła Tory, sięgnęła do torby po następny cukierek i nadziała go na zaostrzony koniec patyka.

„Każdemu wedle jego potrzeb, powiedziała dama całując krowę. - Hope uśmiechnęła się i polizała swój cukierek. - Cieszę się, że wróciłaś, Tory”.

„Zawsze tego pragnęłam. Chyba się jednak bałam. I nadal się boję”.

„Ale jesteś. Przyjechałaś, bo tak postanowiłaś”.

„Nie przyszłam tamtej nocy”. - Tory odwróciła wzrok od ogniska, wspominając dzieciństwo.

„Nie spodziewałam się ciebie”.

„Obiecałam, że przyjdą. O dziesiątej trzydzieści pięć. I nie dotrzymałam słowa. Nawet nie próbowałam”.

„Musisz spróbować teraz, ponieważ to się nie skończyło. I nie skończy się, dopóki nie położysz temu kresu”.

„Co masz na myśli, mówiąc, że to nie koniec?”

„Było więcej takich jak ja. - Znad dymu spoglądały na Tory poważne, niebieskie oczy, głębokie jak morze. - Musisz zrobić to, co zamierzasz, Tory. Musisz być ostrożna i sprytna.

Wiktoria Bodeen, dziewczyna szpieg”.

„Hope, ja już nie jestem dziewczynką”.

„Dlatego właśnie teraz przyszła pora. - Płomienie ogniska sięgnęły wyżej, stały się jaśniejsze. Odbijały się w ciemnym błękicie oczu, rzucały na nie cętki nierealnego światła. -

Musisz temu położyć kres”.

„Jak?”

Ale Hope potrząsnęła głową i szepnęła:

„Coś jest w ciemności”.

Tory błyskawicznie otworzyła oczy. Serce jej waliło, w ustach czuła smak strachu i przypalonego cukierka.

Coś jest w ciemności. Usłyszała echo głosu Hope i jakiś szmer - tuż pod oknem.

Pragnęła jak dziecko skulić się, zakryć rękami twarz, stać się niewidoczna. Była samotna. Bezbronna.

Ktoś ją obserwował, czekał. Czuła to pomimo strachu. Robiła, co mogła, by spojrzeć na to trzeźwo, ale miała przed sobą jedynie gładką, szklaną ścianę panicznego strachu.

To przerażenie nie było wyłącznie jej udziałem.

Oni także się jej boją. Ale dlaczego?

Drżała jej ręka, kiedy powoli sięgnęła po leżącą obok latarkę. Czując jej solidny ciężar, pozbyła się najgorszego strachu. Nie będzie bezbronna. Obroni się, stawi czoło, podejmie wyzwanie.

Podniosła się na kolana, błyskawicznym ruchem nacisnęła przełącznik. Wycelowwała snop światła, w stronę okna.

Nie było za nim nic poza cieniami drzew i księżycem.

Łapczywie chwytając powietrze, stanęła na nogach. Podbiegła do drzwi, włączyła górne lampy. Ktokolwiek tam był, zobaczy ją teraz. Niech sobie patrzą. Niech widzą, że nie boi się ciemności.

Snop światła podrygiwał, kiedy biegiem wpadła do kuchni. Tutaj także pozapalała lampy. Niech sobie patrzą. Chwyciła nóż. Niech widzą, że nie jest bezbronna.

Zamknęła drzwi na klucz - nawyk wyniesiony z dużego miasta. Zdawała jednak sobie w pełni sprawę, jak nieużyteczna jest taka przezorność tutaj. Wystarczy jedno dobre kopnięcie, żeby rozwalić zamki.

Usunęła się ze światła w mrok dużego pokoju. Przywierając plecami do ściany zmusiła się do tego, żeby uspokoić oddech. Czuła zamęt myśli, nie potrafiła się skoncentrować.

Po raz pierwszy od ponad czterech lat znów gotowa była skorzystać z właściwości, którymi została obarczona w chwili swoich narodzin.

Światła reflektorów wpadły przez okno, omiotły pomieszczenie. Na dźwięk podjeżdżającego na pełnym gazie samochodu jej myśli rozsypały się, niczym zdmuchnięte płatki kwiatu.

Kiedy zmusiła się by podejść do drzwi, znów oddychała z trudem. Wcisnęła latarkę do kieszeni dresu, w którym spała, wzięła w rękę nóż i przekręciła klucz w zamku.

Kiedy otworzyła drzwi, reflektory zgasły.

- O co chodzi? - Tory zapaliła latarkę. - Czego tu szukasz?

- Chcę odwiedzić starą przyjaciółkę.

Tory wycelowała światło na postać, która wysiadła z samochodu. Kolana jej się ugięły, na całym ciele poczuła gęsią skórę.

- Hope! - wykrztusiła. Nóż wysunął się jej z palców i upadł z łoskotem na podłogę. -

O Boże!

Kolejny sen. A może to po prostu obłąd? Może zawsze tak było? Światło księżyca roziskrzyło jej włosy, rozbliżyło w jej oczach. Zaskrzypiały drzwi, kiedy je otwierała.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła zjawę. - Schyliła się, podniosła nóż.

Wypielegnowanym palcem dotknęła ostrza. - Ale ja jestem aż nadto realna. - Mówiąc to, uniosła palec, na którego koniuszku błyszczała mała kropelka krwi. - Jestem Faith - dodała i, jak gdyby nigdy nic, weszła do środka. - Zobaczyłam światło, więc podjechałam.

- Faith? - Tory zawirowało w głowie. Radosne wzburzenie odpłynęło, niczym morska fala.

- Zgadza się. Masz tu coś do picia? - Faith powędrowała do kuchni. „Jakby była u siebie” - pomyślała Tory, po czym przypomniała sobie, że rzeczywiście to miejsce należy do Lavelle'ów.

- Mam trochę mrożonej herbaty.

- Myślałam o czymś mocniejszym.

- Nie, niestety nie mam. Prawdę mówiąc, jeszcze nie jestem gotowa na przyjmowanie gości.

- Rozumiem. - Zaintrygowana Faith obeszła kuchnię dookoła, odkładając przy okazji nóż. - Trochę tu bardziej spartańsko, niż sadyłam.

Tak wyglądałaby Hope, gdyby żyła. Tory nie mogła się uwolnić od tej myśli.

Wyglądałaby właśnie tak - ciemnoniebieskie oczy przy śnieżnobiałej cerze i włosach w kolorze włókien dojrzałej kukurydzy. Szczupła i piękna.

- Nie potrzebuję wiele.

- Tym właśnie się różniłyśmy. Ty nie potrzebowałaś wiele. A ja potrzebowałam wszystkiego.

- I otrzymałaś to?

Faith uśmiechnęła się i oparła o blat stołu.

- Wciąż jeszcze otrzymują. Jakie masz wrażenia po powrocie?

- Jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

- Witasz gości z nożem w ręku.
- Nie jestem przyzwyczajona do wizyt o trzeciej nad ranem.
- Miałam późną randkę. Mam teraz przerwę między kolejnymi małżeństwami. Byłaś zamężna?
- Nie.
- Słyszałam, iż byłaś z kimś zaręczona. A zatem nie udało się?
- Nie, nie udało się. Wynika z tego, że twoje małżeństwa - dwa, o ile się nie mylę? - również były nieudane.

Faith uśmiechnęła się i tym razem był to szczery uśmiech. Woląca czystą walkę.

- Stałaś się złośliwa, jak widzę.
- Nie zamierzam się na tobie odgrywać, Faith. Sądzą, że i ty po tylu latach nie masz powodu, żebyście mi dokuczać. Ja także ją straciłam.
- Była moją siostrą. Nie zapominaj o tym.
- Twoją siostrą i moją jedyną przyjaciółką.
- Możesz zawierać nowe przyjaźnie.
- Masz rację. Nie mogą jednak nic zrobić, żeby zmienić istniejący stan rzeczy.
- Więc dlaczego wróciłaś?
- Nigdy nie pozwolili mi się z nią pożegnać.
- Za późno na pożegnania. Wierzysz, że można zacząć wszystko od nowa, że można otrzymać drugą szansę?
- Tak, wierzę.

- A ja nie. I powiem ci, dlaczego. - Wyjęła z torebki papierosa, zapaliła go. Zaciągnęła się i wypuściła dym. - Nikt nie chce wracać do przeszłości. A ci, którzy mówią, że chcą, są kłamcami albo oszukują samych siebie. Lepiej ruszyć w zupełnie nowym kierunku, bez żadnych obciążeń. Zrzucając z siebie poczucie winy.

Ponownie się zaciągnęła, przyglądając się Tory z uwagą.

- Nie wyglądasz na szczęśliwą.
- Podobnie jak ty. I to mnie dziwi.

Otwarte usta Faith leciutko zadrżały, zamknęła je szybko i uśmiechnęła się nieprzekonująco.

- Wolę nie mieć żadnych zobowiązań.

- Wygląda na to, że wylądowałyśmy w tym samym miejscu. Może warto by z tego wyciągnąć jakiś wniosek?

- Dopóki będziesz pamiętać, kto tu więcej znaczy, nie będziemy sobie wchodziły w drogę.

- Nigdy nie pozwoliłaś mi o tym zapomnieć. Jednak teraz jest to mój dom i jestem zmęczona.

- W takim razie wpadnę jeszcze do ciebie. - Ruszyła do wyjścia. - Masz mocny sen, Tory, a jeżeli samotność czyni cię aż tak nerwową, zamień nóż na broń palną.

Zatrzymała się, otworzyła torebkę i wyjęła piękny, inkrustowany masą perłową pistolet.

- Przezorność nie zawadzi. Zwłaszcza w wypadku kobiet, prawda? - Z beztroskim uśmiechem wrzuciła pistolet do torebki, zamknęła ją, po czym zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Tory stała w oknie, aż samochód wyjechał na szosę i zniknął.

Zamknęła drzwi na klucz, po czym wróciła do kuchni po latarkę i nóż. Pomyślała, czy nie należy pojechać teraz do miasta, do wuja. Jeśli jednak nie spędzi pierwszej nocy w tym domu, jeszcze trudniej będzie jej w przyszłości.

Leżała z głową opartą o ścianę, wpatrzona w okno, aż zaczęło świtać i obudziły się pierwsze ptaki.

Bał się. Kiedy zakradł się pod okno, poczuł to, co rzadko mu się zdarzało. Ugniatające żołądek uczucie strachu.

Tory Bodeen jest znów tu, gdzie wszystko to się zaczęło.

Spała, zwinięta na podłodze. W padającym ukośnie świetle księżyca dojrzał linię jej policzka, kształt jej warg. Coś trzeba zrobić. Wiedział o tym, zaczął się już nad tym zastanawiać. Ale jej widok był dla niego wstrząsem. Nagle wszystko odżyło!

Nagle się obudziła i poderwała tak szybko, jak wypuszczona z łuku strzała. Nawet w ciemności widział jej nawiedzone oczy. Zrobiło mu się od tego gorąco, poczuł pot na twarzy i dłoniach. Jednak w mroku było dużo miejsc, w których mógł się ukryć.

Wtulił się w szczelinę w murze i obserwował przyjazd Faith. Jej jasne włosy błyszczały w świetle księżyca, tworząc interesujący kontrast z ciemnymi włosami Tory. Tory, która zdawała się raczej pochłaniać światło niż je odbijać.

Kiedy stanęły tak razem, kiedy usłyszał ich głosy, wiedział już gdzie je dostanie.

Będzie jak za pierwszym razem, dawno temu. Stanie się to, o czym myślał przez długie osiemnaście

lat.

Zaplanowała, że wcześniej wstanie. Kiedy o ósmej obudziło ją pukanie do drzwi, Tory nie była pewna, czy jest bardziej zła na siebie, że tak zasnęła, czy na nowego gościa.

Przecierając oczy, wygramoliła się ze swego barłogu, otworzyła drzwi.

Na samym progu stał Cade .

- Chyba nie będę płacić czynszu, skoro Lavelle'owie postanowili uczynić to miejsce swoim drugim domem.

- Słucham?

- Nic takiego. - Popchnęła bez przekonania drzwi ruchem, który bynajmniej nie zachęcał do wejścia, a następnie odwróciła się. - Muszę się napić kawy.

- Obudziłem cię? - Cade wszedł do środka i udał się za nią do kuchni. - Każdemu farmerowi wydaje się, że wszyscy ludzie powinni być o świcie na nogach. Ja... - Zatrzymał

się w otwartych drzwiach sypialni. - Na miłość boską, Tory, ty nawet nie masz łóżka!

- Kiedyś się dorobię.

- Dlaczego więc nie zatrzymałaś się u J.R. i Boots?

- Ponieważ nie chciałam.

- Wolisz spać na podłodze? A co to takiego? - zapytał, podnosząc z podłogi nóż.

- To moje szydełko, którym robię szal. Późno zasnęłam i jestem w złym humorze, więc lepiej uważaj.

Bez słowa odłożył nóż. Gdy przygotowywała kawę, postawił na stole przyniesiony przez siebie talerz.

- Co to takiego?

- Przesyłka od Lilah. - Cade oddał z brzegu kawałek srebrnej folii. - Placek kawowy.

Powiedziała, że lubiłaś jej placek kawowy z bitą śmietaną.

W oczach Tory ukazały się łzy wzruszenia. Cade, nie mogąc się powstrzymać, pogłaskał ją po głowie.

- Powiedz jej, jak bardzo to doceniam - rzekła Tory.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś do nas zajrzała i sama jej to powiedziała.

- Nie, jeszcze nie teraz. - Czując się już nieco pewniej, otworzyła kredens i wyjęła filiżankę.

Rzuciła krótkie spojrzenie przez ramię. Jej oczy były teraz suche i przytomne.

Pomyślała, że Cade nie wygląda na gburowatego farmera. Jest opalony i szczupły. Ma stare dzinsy i wyblakłą niebieską koszulę. Do kieszeni na piersi przyczepił okulary przeciwsłoneczne.

Doszła do wniosku, że uosabia hollywoodzki wzorzec dobrze prosperującego farmera z południa, pełnego wdzięku i seksapilu.

Nie miała zaufania do filmowych ideałów.

- Chyba powinnam być bardziej uprzejma - powiedziała. Zauważył u Tory cztery filiżanki i cztery spodeczki, masywne, białe. Miała maszynkę do parzenia kawy, ale nie miała łożka. Zdążyła już ustawić półki, również białe. Jednak w domu nie było ani jednego krzesła.

O czym to świadczy?

Wyjęła nóż i pokroiła placek.

- Pewnie zdążyłeś już zgłodnieć od rana? - zapytała.

- Ten zapach towarzyszył mi przez całą drogę.. - Sięgnął po talerzyki. - Może byśmy z tym wyszli na ganek? Piję kawę bez żadnych dodatków - dodał.

Tory naląła dwie filiżanki.

Kiedy wyszła, siedział na stopniach, oparty plecami o próg. Usiadła obok niego, popijając kawę i spoglądając na jego pola.

Brakowało jej tego. W tym stwierdzeniu było więcej zdumienia niż bólu. Brakowało jej tutejszych poranków, kiedy upał był jeszcze do zniesienia, ptaki cudownie śpiewały, a wokół rozpościerały się zielone pola.

- Co za miły uśmiech - zauważył. - Czy z powodu placka, czy tak wpływa na ciebie moje towarzystwo?

Czar prysł.

- Dlaczego tędy przejeżdżałeś, Cade?

- Doglądałem pól, sprawdzałem jak idzie praca. - Odłamał róg placka. - I chciałem jeszcze raz rzucić na ciebie okiem.

- Dlaczego?

- Żeby się upewnić, że jesteś taka śliczna, jaka mi się wczoraj wydałaś. Potrząsnęła głową, spróbowała kawałek placka i od razu przypomniała sobie cudowną kuchnię panny Lilah.

- A tak naprawdę?

- Wczoraj rzeczywiście wyglądałaś trochę lepiej - powiedział tonem zachęcającym do dalszej rozmowy. - Ale uwzględniam fakt, iż nie wyspałaś się na tej podłodze. Robisz dobrą kawę, panno Bodeen.

- Nie widzę powodu, żebyś miał się troszczyć o mnie. Niczego mi nie brak. Potrzebuję tylko paru dni na zagospodarowanie się. Poza tym nie będę tutaj spędzała zbyt wiele czasu.

Zajmę się urządzaniem sklepu.

- Domyślam się. Zjedz ze mną dzisiaj kolację.

- W jakim celu? - Kiedy nie odpowiedział, odwróciła ku niemu głowę. Miał

rozbawione oczy, lekko wygięte w uśmiechu wargi. W wyrazie jego twarzy dojrzała coś, czego unikała przez lata. Nieskrywane, szczere męskie zainteresowanie.

- Nie, nie. - Uniosła filiżankę, dopiła kawę.

- Zdecydowana odpowiedź. Przełożmy więc to na jutrzejszy wieczór.

- Nie, Cade, dziękuję za propozycję, ale nie mam czasu ani chęci na nic z tych rzeczy.

Wyciągnął długie nogi, skrzyżował je.

- Zależy, co masz na myśli. Jeśli chodzi o mnie, lubię od czasu do czasu zjeść w miłym towarzystwie.

- Nie umawiam się na randki.

- Jakieś religijne zasady?

- To mój osobisty wybór. A teraz... - Ponieważ wyglądało na to, że zainstalował się na dobre i czuje się stanowczo zbyt pewny siebie, podniosła się z miejsca. - Przykro mi, ale muszę już zacząć dzień. I tak jestem spóźniona w stosunku do mojego harmonogramu.

Wstał, a kiedy zbliżył się do niej o kilka centymetrów, zobaczył, że jej oczy robią się większe i czujne.

- Chyba ktoś bardzo cię skrzywdził, prawda?

- Prawda.

- W tym właśnie rzecz, Tory. - Ponieważ nie chciał, żeby uciekła od niego, odrobinę się cofnął. - Nie musisz się mnie bać. Dziękuję za kawę.

Podszedł do ciężarówki, przystanął na chwilę i otwierając drzwi odwrócił się.

- Myliłem się - zawołał, wspinając się do szoferki. - Jesteś dzisiaj tak samo śliczna.

Nie zdążyła się powstrzymać i z uśmiechem obserwowała, jak zawraca na ścieżce i odjeżdża.

Kiedy została sama, usiadła z powrotem.

- O, cholera - mruknęła i włożyła do ust dużą porcję placka.

Małe, niezależne prowincjonalne banki należały do wymierającego gatunku. Tory wiedziała o tym od wuja, który od dwudziestu lat zarządzał Progress Bank and Trust i często o tym wspominał. Nawet bez rodzinnych powiązań wybrałaby ten bank i otworzyłaby w nim rachunek. Tak nakazywała strategia.

Znajdował się w zachodniej części rynku, dwa domy od jej sklepu, co stanowiło dodatkowe udogodnienie. Stary budynek z czerwonej cegły był starannie i ładnie utrzymany.

Dodawało mu to uroku. Lavelle'owie założyli go w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku i nie zaniechali rodzinnej inwestycji.

„To także jest strategia - pomyślała Tory, przekraczając próg banku. - Jeśli się chce prowadzić firmę i odnosić sukcesy w biznesie w Progress, należy się trzymać Lavelle'ów”.

Prawie we wszystkim mieli swoje udziały.

We wnętrzu banku zaszły zmiany. Kiedy odwiedzała tu swoją babcię, wiedziała, że kasjerzy siedzą w kłatkach jak zwierzęta w zoo. Obecnie główny hol stanowił otwartą przestrzeń, zaś przy długim, wysokim kontuarze pracowało czworo kasjerów.

Z tyłu wykuto ogromne okno, a za barierą, przy eleganckich starych biurkach z komputerami, siedziały dwie urzędniczki. Kilka niezłych pejzaży Południowej Karoliny i obrazów marynistycznych zdobiło ściany.

Komuś udało się zmodernizować budynek, nie zmieniając jego charakteru, Tory zastanowiła się, czy wypada zaproponować wujowi jakiś obraz lub tkaninę, które wkrótce zacznie sprzedawać.

- Tory Bodeen. To ty?

Tory drgnęła i zwróciła się w stronę kobiety za przepierzeniem. Uśmiechnęła się, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie, do kogo może należeć ta twarz - atrakcyjna, w okolicy czterdziestki, o czarnych błyszczących włosach krótko przyciętych, gładko przylegających do głowy.

- Tak, dzień dobry.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę na twój widok. Jesteś już taka dorosła. - Kobieta była małego wzrostu, mogła mieć nie więcej niż metr pięćdziesiąt. Podeszła do barierki i wyciągnęła do niej obie ręce. - Zawsze wiedziałam, że będziesz śliczna. Nie pamiętasz mnie?

Nieuprzejmie byłoby nie zareagować na tak szczerą radość. Przez chwilę Tory wahała się, czy nie powołać się na jakąś wspólną znajomość, wygrzebać z pamięci jakieś imię.

- Bardzo mi przykro, ale nie pamiętam.

- Nie szkodzi. Byłaś jeszcze malutka, kiedy cię ostatnio widziałam. Jestem Betsy Gluck. Kiedy skończyłam gimnazjum, twoja babcia przyuczała mnie do zawodu. Pamiętam, jak przychodziłaś tu od czasu do czasu i siedziałaś spokojnie jak myszka.

- Dawała mi pani lizaki. - Przypomniała to sobie z ulgą i natychmiast poczuła słodki smak wiśni na języku.

- A więc pamiętasz to. - Zielone oczy Betsy zaszkliły się, kiedy ścisnęła rękę Tory. -

Chcesz się spotkać z J.R.?

- Jeśli jest zajęty, mogę...

- Nie wygłupiaj się. Mam polecenie, żeby cię zaprowadzić prosto do jego biura. -

Wpuściła Tory za barierkę i objęła ją.

„Muszę się przyzwyczaić do tego, że będę dotykana, zaczepiana - powiedziała sobie Tory. - Przynajmniej nie jestem tu obca”.

- Otwieranie własnego sklepu musi być ekscytujące. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy przyjdę na zakupy. Założę się, że pani Mooney aż pęka z dumy. - Betsy zapukała do drzwi gabinetu. - J.R., przyszła pańska siostrzenica.

Otworzyły się drzwi, w których stanął J.R. Jego rozmiary zawsze zdumiewały Tory.

Jak taki wielki, potężny mężczyzna mógł wyjść z łona jej babci? Oto jedna z tajemnic życia.

- A więc jesteś! - Jego głos grzmiał donośnie, kiedy porwał ją w ramiona.

Tory aż straciła oddech w tym niedźwiedzim uścisku. I jak zawsze zdumiała się, że ją to bawi.

- Wujek Jimmy! - Przycisnęła twarz do jego byczego karku i wreszcie poczuła, że jest w domu.

- J.R., połamię pan jej wszystkie kości.

- Nic się jej nie stanie. - J.R. mrugnął do Betsy. - Jest sprężysta jak drut. Dopilnuj, żeby nas zostawili na parę minut w spokoju, dobrze, Betsy?

- Nie ma sprawy. Witaj w domu, Tory - dodała Betsy i zamknęła drzwi.

- No więc siadaj. Podać ci coś do picia?

- Nie, dziękuję. Powinnam była odwiedzić cię wczoraj.

- Nie przejmuj się, najważniejsze, że teraz tu jesteś. - Wielki, potężny oparł się o biurko. Jego włosy w kolorze imbiru zachowały ten sam odcień, doszło tylko trochę srebrnych nitek. Natomiast gęste

wąsy ożywiające jego okrągłą twarz były całkowicie siwe, podobnie jak krzaczaste brwi. Oczy miał niebieskie i jak zawsze dobrotliwe. Nagle uśmiechnął się szeroko.

- Ale masz wielkowiejski wygląd! Taka śliczna jak telewizyjna gwiazda. Boots będzie zachwycona, mogąc się tobą pochwalić. - Roześmiał się, widząc grymas na twarzy Tory. -

Och, musisz być dla niej nieco pobłażliwa. Nie doczekała się nigdy córki, a Wade jakoś się nie pali do tego, żeby sprawić jej wnuczkę, którą mogłaby stroić.

- Jeśli będzie mnie chciała wystroić w koronkowy fartuszek, mogą być kłopoty.

Odwiedzę ją, wujku Jimmy. Muszę się tylko trochę urządzić, pójść do sklepu i zakasać rękawy. Mam już część towaru, a reszta nadejdzie w najbliższych dniach.

- Rwiesz się do pracy, prawda?

- Nie mogę się doczekać. Od dawna przymierzam się do tego. Mam nadzieję, że Progress Bank and Trust otworzy mi rachunek.

- Jesteśmy zawsze gotowi na przyjęcie większych pieniędzy. Załatwię to osobiście, zaraz się za to weźmiemy. Kochanie, słyszałem, że wynajęłaś wasz dawny dom.

- Czyżby Lissy Frazier była obecnie największą plotkarką w Progress?

- Obok kilku innych. Wiesz, nie chciałbym się wtrącać, ale gdybyś zmieniła zdanie, Cade Lavelle nie będzie miał nic przeciwko rozwiązaniu umowy. Mamy dużo miejsca u siebie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, wujku Jimmy, ale...

- Jesteś dorosłą kobietą. Wiem, że od lat prowadzisz samodzielne życie. Nie powiem jednak, żeby podobał mi się pomysł z zamieszkaniem w tamtym domu. Nie uważam, żeby to było dobre dla ciebie.

- Dobre czy nie, ale konieczne. On bił mnie w tym domu. - Kiedy J.R. zamknął oczy, Tory podeszła bliżej. - Wujku Jimmy, nie mówię tego, żeby sprawić ci przykrość.

- Powinienem był coś z tym wtedy zrobić, jakoś na to zareagować. Zabrać cię stamtąd.

Zabrać was obie.

- Mama nie odeszłaby. Wiesz o tym.

- Nie wiedziałem, że było aż tak źle. Niezbyt dobrze się przyglądałem. Teraz jednak wiem i wzdygam się na myśl, że tam zamieszkaś i będziesz rozpamiętywać to wszystko.

- Rozpamiętuję niezależnie od tego, gdzie jestem. Mieszkając tam, udowodnię sobie, że mogę temu stawić czoło. Że mogę z tym żyć. Już się go nie boję. Nie dopuszczę do siebie strachu.

- Więc sprowadź się do nas choćby na kilka dni. - Westchnął, kiedy potrząsnęła głową. - Widać taki mój los, że otaczają mnie same uparte kobiety. No cóż, siadaj zatem, a ja przygotowuję papiery i zajmuję się twoimi pieniędzmi.

Dzwon kościoła baptystów oznajmił, że minęło południe. Tory cofnęła się o kilka kroków, otarła pot z czoła. Jej witryna lśniła jak kryształ. Przytaszczyła z samochodu kartony i ustawiła je na zapleczu, które między innymi służyło za magazyn. Wymierzyła miejsca na półki i lady, sporządziła listę uwag i potrzeb, którą zamierzała przedłożyć pośrednikowi agencji nieruchomości.

Pracowała nad drugą listą, tą, z którą zamierzała wybrać się do sklepu z materiałami żelaznymi, kiedy ktoś zapukał w pękniętą szybę drzwi sklepowych.

Podchodząc do nich, przyjrzała się uważnie szczupłemu mężczyźnie w roboczym ubraniu. Ciemne, dobrze ostrzyżone włosy, gładka, przystojna twarz z miłym, trochę zadziornym uśmiechem. Oczy ukryte za przeciwsłonecznymi okularami.

- Przykro mi, ale sklep nie jest jeszcze czynny - powiedziała, otwierając drzwi.

- Wygląda na to, że potrzebujesz stolarza. - Jeszcze raz postukał palcem w pękniętą szybę. - A także szklarza. Jak leci, Tory? - Zdjął okulary, odsłonił ciemne, żywe oczy i małą bliznę w kształcie sierpa tuż pod prawym okiem. - Dwight Frazier.

- Nie poznałam.

- O kilkanaście centymetrów wyższy i sporo lżejszy niż wtedy, kiedy mnie widziałas ostatni raz. Pomyślałem, że zajrzę, powitam cię jako burmistrz i zobaczę, czy firma budowlana Frazier może wykonać dla ciebie jakieś usługi. Pozwolisz, że wejdem na minutkę?

- Och, jasne. - Cofnęła się kilka kroków. - Na razie niewiele jest tutaj do oglądania.

- Spory metraż.

Zauważyła, że zgrabnie się porusza. Zupełnie inaczej niż tamten niezdarny i pucołowaty chłopiec, którego znała. Zniknęły klamerki z zębów, a wraz z tym przestał tak niemiłosiernie seplenić.

Wyglądał na człowieka, któremu powiodło się w życiu. Nie poznałaby go.

- To solidny budynek - ciągnął - na mocnych fundamentach. I ma porządną dach. -

Odwrócił się, błyskając uśmiechem, który prawdopodobnie umożliwił jego ortodoncie kupno dużego jachtu. - Kładliśmy go dwa lata temu.

- A zatem wiem, do kogo się zgłosić, kiedy zaczniesz przeciekać. Roześmiał się i zawiesił okulary na obłamowaniu dekoltu podkoszulka.

- Moja firma jest niezawodna. Będziesz potrzebowała lady, półek, gabloty.

- Tak, właśnie je wymierzałam.

- Przyślę ci dobrego, niezbyt drogiego stolarza. Korzystanie z miejscowych usług miało sens. O ile wytrzyma to jej budżet.

- To, co uważasz za tanie, wcale nie musi być takie w moim pojęciu. Jego szeroki uśmiech był zabójczy i pełen wdzięku.

- Coś ci zaproponuję. Powiesz mi, czego potrzebujesz, a ja podam cenę. Przekonamy się, czy ci odpowiada.

Czuł, że Tory przypatruje mu się, kiedy mierzył ściany. Był do tego przyzwyczajony.

W ten sposób taksował go wzrokiem ojciec, dochodząc zawsze do wniosku, że brakuje mu wiele do osiągnięcia klasy.

Dwight Frazier Senior, niegdyś żołnierz marines, zapalony myśliwy, radny miasta i założyciel Frazier Construction, stawiał wysokie wymagania swemu potomkowi. I czuł się wielce rozczarowany, że syn jest takim mięczakiem.

Młodemu Dwightowi Juniorowi nigdy nie pozwolono o tym zapomnieć.

Niski, gruby, niezdarny, był doskonałym obiektem żartów i drwin. W dodatku miał dobry łeb. Był pupilkiem nauczycieli, co oznaczało, że koledzy tym chętniej sprawiali mu manto.

Matka, by zrekompensować mu owe przykrości, pakowała w niego furę jedzenia.

Uważała, że nic tak nie poprawiało spojrzenia na świat, jak pyszny naleśnik z kremem.

Wybawieniem dla niego okazali się Cade i Wade. Do dzisiaj nie potrafiłby podać rozsądnego powodu, dla którego się z nim zaprzyjaźnili. Może zdecydowało środowisko.

Wszyscy pochodzili z trzech najbardziej prominentnych rodzin w mieście. W każdym razie był im za to wdzięczny.

Miał żal do kapryśnego losu, który uczynił ich wysokimi, przystojnymi i sprawnymi, gdy tymczasem on był klucho waty, nijaki i niezdarny. Jednak zrekompensował to sobie z nawiązką.

- Zacząłem biegać, kiedy miałem czternaście lat. - Powiedział to obojętnym tonem, wyciągając ponownie miarkę.

- Słucham?

- Obrzydło mi być tłuściochem i postanowiłem coś z tym zrobić. Zrzuciłem sześć kilo sadła w ciągu dwóch miesięcy. Najpierw biegałem w nocy, kiedy nikt mnie nie mógł

zobaczyć, i rzygałem jak pies. Przestałem jeść ciastka, słodkie batony i chipsy, które codziennie pakowała we mnie matka. Myślała, że zagłodzę się na śmierć. - Wstał i ponownie błysnął uśmiechem. - W pierwszej klasie szkoły średniej zacząłem chodzić na bieżnię, także w nocy. Wciąż miałem nadwagę, wciąż poruszałem się wolno, ale nie wymiotowałem już kolacją - Okazało się, że trener Heister również miał zwyczaj tam zaglądać. Podjeżdżał

samochodem w towarzystwie żony innego mężczyzny. Nie powiem, kim była ta dama, ponieważ nadal pozostaje szanowaną żoną i dumną babcią trójki wnucząt. Przytrzymaj to.

Tory ujęła koniec miarki, podczas gdy Dwight cofnął się, żeby zmierzyć powierzchnię przeznaczoną na ladę.

- No i tak się złożyło, że podczas jednej z naszych wspólnych wizyt na bieżni szkoły średniej w Progress wpadłem prosto na trenera i na przyszłą babcię trojga wnucząt. Sama rozumiesz, że trudno o bardziej niezręczną sytuację.

- Delikatnie mówiąc.

- Trener, będąc porządnym człowiekiem, a może w obawie, żebym się nie wygadał, zaproponował mi pewien układ. Jeżeli będę nadal trenował i zrzucą kolejne pięć kilo tłuszczu, włączy mnie do tworzącej się właśnie drużyny biegaczy. Z kolei ja miałem zapomnieć o tym incydencie.

- Zdaje się, że obie strony dobrze na tym wyszły.

- Jeśli chodzi o mnie, na pewno. Zrzuciłem wagę i zaskoczyłem wszystkich - również samego siebie - wchodząc w skład drużyny i wygrywając biegi na pięćdziesiąt i sto jardów.

Okazało się, że jestem bardzo dobrym sprinterem. Przez trzy lata z rzędu zdobywałem główną nagrodę - a także miłość ślicznej Lissy Harfowe.

Poczuła do niego sympatię, jak jeden outsider do drugiego.

- To urocza historia.

- Ze szczęśliwym zakończeniem. Sądzę, że mogę ci pomóc, żebyś doświadczyła tego samego tutaj, we własnym sklepie. Porozmawiamy o tym na lunchu, na który cię zapraszam.

- Ale... - Urwała, kiedy otworzyły się za nią drzwi.

- Nie mów mi tylko, że zatrudniasz tego nędznego kanciarza - powiedział Wade, wchodząc do środka i obejmując Tory. - Chwała Bogu, że w porę zdążyłem.

- Ten niedowarzony weterynarz nie zna się za grosz na budownictwie. Lepiej zrób pudłowi lewatywę, Wade. Właśnie usiłuję namówić na lunch twoją śliczną kuzynką, a moją potencjalną klientkę.

- Nie pozostaje mi więc nic innego, jak iść z wami i strzec jej interesów.

- Potrzebne mi są bardziej półki niż sandwicz.

- Zadbam, żebyś miała jedno i drugie. - Dwight mrugnął do niej. - I możemy ze sobą wziąć tego zawalidrogę.

Bawiła się lepiej niż przypuszczała. Miło było popatrzeć na dojrzałą przyjaźń łączącą Dwighta z Wade'em, której korzenie sięgały jeszcze ich wspólnego dzieciństwa.

Zatęskniła za Hope.

Choć Tory rzadko czuła się swobodnie w męskim towarzystwie, tym razem całkowicie się odprężyła, ponieważ jeden z nich był jej kuzynem, a drugi przykładowym żonatym człowiekiem. Tak przykładowym, że zanim podano sandwiche, pokazał jej fotografie swojego syna. Maluch był naprawdę rozkoszny - odziedziczył śliczną buzią Lissy i żywe spojrzenie Dwighta.

Dwight nie tylko doskonale rozumiał, o co jej chodzi przy zakupach, ale dorzucił też własne pomysły i podał ceny, które zaakceptowała po pewnych targach. Obiecał, że robota zostanie ukończona przed połową maja.

Zadowolona, poszła i kupiła łóżko.

Prawdę mówiąc, chciała wziąć tylko materac i stelaż.

Oszczędzając przez lata, nigdy nie pozwalała sobie na nieprzemysłane zakupy. Tym razem jednak od razu pomyślała sobie, że musi mieć to łóżko.

Odchodziła od niego dwukrotnie i znowu wracała. Cena nie była wygórowana, ale przecież nie potrzebowała tak ślicznego, klasycznego, metalowego łóżka ze smukłymi, gładkimi tralkami.

Mocny stelaż i solidny materac powinny wystarczyć. Przecież to ma służyć tylko do spania!

Miała opory nawet wówczas, kiedy już zapłaciła i wiozła łóżko do domu.

Cade obserwował od dziesięciu minut, jak Tory nie może sobie poradzić z przywiezionym bagażem. Wreszcie zszedł z pola świeżo okopanej bawełny i podjechał

ciężarówką pod jej dom.

- Zapomniałaś o swoich magicznych bransoletkach - powiedział. Była zadyszana, kilka pasm włosów wysunęło się spod przepaski i przykleiło się jej do twarzy, niemniej jednak, dźwigając i ciągnąc ciężkie pudło, przebyła już połowę drogi dzielącą ją od schodów ganka.

- Co takiego? - zapytała, prostując się.

- Nie możesz być Czarodziejską Kobietą, jeżeli nie masz na sobie magicznych bransoletek. Pomogę ci.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

- Nie rób z siebie idiotki.

Tłumiąc w sobie wściekłość, otworzyła szarpnięciem drzwi.

- Zawsze tutaj jesteś?

Zdjął okulary i odrzucił je na bok. Nawyk, który go kosztował średnio dwie pary nowych okularów miesięcznie.

- Widzisz tamto pole? Jest moje. I zejdziesz z drogi, kiedy będę to wnosił. Cóż to za diabelskie łóżko?

- Żelazne - powiedziała z pewną satysfakcją, patrząc, jak się męczy.

- Tak przypuszczałem. Musimy je przechylić, żeby przeszło przez drzwi.

- Sama o tym wiem. - Zaparła się nogami, przykucnęła i uniosła swój koniec. Stękała z wysiłku, zdarła sobie skórę z kostek ręki, ale w końcu je wnieśli. Szła nadal tyłem, z konieczności zdając się na niego, kiedy kierował nią to w lewo, to w prawo, aż dobrnęli do sypialni.

- Dziękuję. - Nie czuła rąk. - Dalej już sobie poradzę.

- Masz jakieś narzędzia?

- Oczywiście, że mam.

- To dobrze. Przynajmniej nie będę musiał chodzić po swoje. Można to już zmontować teraz, a potem przynieść resztę.

Zirytowanym ruchem odgarnęła spocone włosy.

- Poradzę sobie.

- Twój wygląd wskazuje na coś wręcz przeciwnego, więc nie mogę się zgodzić. Poza tym jestem niewolnikiem moich doskonałych manier. - Wziął jej rękę, obejrzał zdartą na kostkach skórę i, zanim zdążyła się wyrwać, pocałował ją lekko w to miejsce. - Opatrz to, póki będę montował.

Zastanawiała się, czy mu nie nawymyślać, nie kazać się wynieść. Stwierdziła jednak, że to tylko strata czasu. Sięgnęła po narzędzia.

- Czyżbyś była na wszystko przygotowana?

- Jestem prawie pewna, że nie odróżniasz kombinerek od klucza nasadowego.

Najwyraźniej rozbawiony, wyciągnął płaskie kombinerki.

- A to jest szydełko, prawda?

Kiedy parsknęła śmiechem, przystąpił do usuwania klamer spinających pudło.

- Przyłóż coś na te kostki.

- Nic mi nie będzie.

- Przyłóż coś na to - rozkazał głosem nieznoszącym sprzeciwu. - A potem może byś przygotowała coś zimnego do picia?

- Posłuchaj, Cade. Nie jestem już dzieckiem. Podniósł teraz głowę, zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

- Ale nie wyrosłaś zbyt. I masz szydełko.

- Nie sądzę, żeby uśmiechała ci się moja sugestia, gdzie możesz sobie wsadzić te kombinerki.

- Jesteś bardzo interesująca, kiedy się tak wściekasz. Może pójdziemy razem do łóżka, jak je zmontujemy?

- Chryste Panie! - jęknęła i wyszła z pokoju.

Zostawiła go samego. Kiedy nosiła do domu zakupy, słyszała stukanie młotka, któremu towarzyszyły okolicznościowe przekleństwa. Odstawiła torby i zaparzyła herbatę.

Cade ma długie palce pianisty, kontrastujące z twardymi, zgrubiałymi dłońmi. Z pewnością zna się na sadzeniu roślin, na hodowli i na zbiorach. Został do tego przygotowany. Ale domowe roboty to zupełnie inna sprawa.

Pewnie nigdy jeszcze nie składał żadnego łóżka. Była przygotowana na to, że po wejściu do sypialni zastanie tam kompletny bałagan. I postanowiła się nie wtrącać, dać mu czas, by zrobił, co potrafi.

Zawiesiła w kuchni nowy telefon, odłożyła na bok nowe ściereczki do naczyń i nie spiesząc się pokroiła cytrynę. Zadowolona, że dała mu dość czasu, by się opamiętał i poczuł

wyrzuty sumienia, nalala herbatę do dwóch szklanek wprost na kostki lodu i wkroczyła z tym do sypialni.

Dokręcał właśnie ostatni sworzeń.

Rozpromieniła się, nie mogąc powstrzymać nieklamanej radości.

- Och! Jakie cudowne! Właśnie tak je sobie wyobrażałam. - Nie zastanawiając się, podała mu obie szklanki.

Uśmiechnął się z rozbawieniem. Napił się herbaty. I nagle poczuł tak gwałtowną żądzę, że aż cofnął się o krok. Widział oczyma duszy jej zaciśnięte wokół słupków łóżka palce, podczas gdy on poruszał się w niej mocno i szybko. Jeden ruch za drugim, aż te jej migdałowe, czarowne oczy zajdą mgłą.

- Ale solidne. - Tory potrzęsnęła lekko wezgiem, a on poczuł skurcz żołądka.

- Nie może być lepsze!

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, a ja byłam taka nieuprzejma. Dziękuję i przepraszam.

- Cieszę się i przyjmuję przeprosiny. - Wręczył jej szklankę, po czym sięgnął do góry, żeby pociągnąć łańcuszek podwieszony do sufitu wiatraczka. - Gorąco tutaj.

Ostry ton jego głosu sprawił, iż poczuła znów przyływ winy.

- Byłam naprawdę nieuprzejma, Cade. Nie potrafię rozmawiać z ludźmi. - Nie potrafisz? I chcesz otworzyć sklep, gdzie będziesz miała z nimi na co dzień do czynienia?

- To klienci - powiedziała. - Z klientami radzę sobie dobrze.

- A zatem... - Przysunął się bliżej, aż stanął po przeciwnej stronie ramy. - Jeśli coś od ciebie kupię, będziesz wobec mnie miła?

Mogła czytać w jego myślach, ponieważ miał wszystko wypisane w swoich oczach.

- Nie aż tak bardzo, jak sądzisz. - Zręcznie usunęła się na bok, przesadziła nogę przez ramę i ruszyła do drzwi.

- Mogę być bardzo dobrym klientem.

- Znowu próbujesz mnie drażnić.

- Nie tylko próbuję, ale już cię drażnię, Tory. - Położył rękę na jej ramieniu. - Uspokój się - powiedział łagodnie, kiedy zeszywniała. Postawił szklankę na podłodze, po czym odwrócił jej twarz tak, że patrzyli na siebie. - Przecież to wcale nie boli, prawda?

Miał delikatne ręce. Już od dawna, od bardzo dawna nie czuła dotyku mężczyzny.

- Nie interesuje mnie flirt.

- A mnie tak, ale możemy pójść na kompromis. Spróbujmy się zaprzyjaźnić.

- Nie nadaję się do tego.

- A ja owszem. Wnieśmy teraz pozostałą część łóżka, żebyś się mogła dzisiaj porządnie wyspać.

- Cade, nigdy nie zapytałeś, skąd wiedziałam, gdzie jej szukać. Skąd wiedziałam, co się stało.

- Nie musiałem pytać.

- Niektórzy ludzie uważają, że byłam razem z nią. Że uciekłam i ją zostawiłam, kiedy...

- Ja tak nie uważam.

- Są i tacy, którzy uwierzyli, że było tak, jak powiedziałam, ale odsunęli się ode mnie, trzymali swoje dzieci z daleka ode mnie. Przestali patrzeć mi w oczy.

- Ja patrzyłem ci w oczy, Tory.

Musiała głęboko odetchnąć, żeby się uspokoić.

- Dlaczego? Jeśli jesteś w stanie uwierzyć, że mam to w sobie, dlaczego się nie odsunąłeś? Dlaczego tu teraz przychodzisz? Czy oczekujesz ode mnie, że przepowiem ci przyszłość? Nie potrafię tego zrobić. Albo że udzielę ci jakiś porad? Nie znam się na tym.

Zauważył, że się zarumieniła, a oczy pociemniały jej pod wpływem emocji.

- Wcale cię o to nie proszę. Wolę brać życie takie, jakie jest. A o moje interesy martwi się mój broker. Czy nie przyszło ci do głowy, że przychodzę tu dlatego, bo lubię patrzeć na ciebie?

- Nie.

- Nie spotkałem jeszcze kobiety tak pozbawionej próżności. A swoją drogą nie zaszkodziłoby ci, gdybyś trochę jej miała. No więc... - Zadarł wyzywająco głowę. - Chcesz wnieść ten materac, czy wolisz zabawić się w zgadywanie, co zjadłem dzisiaj na lunch?

Wyszedł z pokoju, a ona stała z otwartymi ustami. Czy miały to być żarty? Ludzie wyśmiewali się z niej albo odsuwali przezornie. Niektórzy przychodzili i błagali ją, żeby rozwiązała ich problemy. Ale nikt dotychczas nie żartował na ten temat.

Wzruszyła ramionami i wyszła na dwór, żeby wnieść z nim materac.

Pracowali teraz w milczeniu - ona gotowała się w sobie, a on krążył gdzieś myślami.

Kiedy łóżko stanęło na miejscu, Cade dopił herbatę, zaniósł szklankę do kuchni, po czym ruszył do wyjścia.

- Z resztą powinnaś sobie sama poradzić. Jestem już trochę spóźniony.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc. - Pod wpływem nagłego impulsu ujęła go palcami za ramię, aż się zatrzymał i spojrzał w dół.

- Coś takiego, czyżbyś przypomniała sobie o mnie przed odpłynięciem w krainę snów?

- Zabrało ci to tyle czasu. Zdaje się, że mówiłeś coś o lunchu?

- O lunchu?

- Zjadłeś dziś pół sandwicza z szynką i z serem szwajcarskim, z odrobiną ciemnej musztardy. Drugą

połowę oddałeś temu wychudzonemu psu, który przychodzi żebrac na pola.

- Z uśmiechem odsunęła się o kilka kroków. - Za chwilę czeka cię kolacja, musisz się więc odpowiednio przygotować.

- Tory, może byś jeszcze powiedziała, co teraz myślę. Omal się nie roześmiała.

- Mam wrażenie, że będzie lepiej, jeśli zachowasz to dla siebie. Puściła drzwi, które zatrzasnęły się za nią.

Margaret zawsze uważała, że tylko kwiaty utrzymują ją przy zdrowych zmysłach.

Kwiaty nigdy nie odpowiadały jej niegrzecznie, nie mówiły jej, że czegoś nie rozumie, nie odrywały się od swoich korzeni i nie odchodziły w gniewie.

Mogła obcinać boczne pędy i dowolnie formować rośliny.

Uważała, że byłoby znacznie lepiej, gdyby została starą panną i zamiast dzieci hodowała peonie.

Dzieci potrafią boleśnie ranić serce.

Wyszła za męża, ponieważ tego od niej oczekiwano. Odkąd sięga pamięcią, zawsze robiła to, czego od niej oczekiwano.

Z pewnością dlatego też kochała swego męża. Jasper Lavelle był przystojnym, młodym mężczyzną, kiedy o nią zabiegał. Miał dużo wdzięku i szelmowski uśmiech - taki sam, jaki pojawiał się czasami na twarzy syna, którego razem spłodzili. Miewał także humory, ale uważała to wtedy za bardzo ekscytujące. Rozpoznawała te same humory w swojej córce. Córce, która żyje dotąd.

Był wielkim i silnym, witalnym mężczyzną o gromkim śmiechu i mocnych rękach.

Być może dlatego tak wiele z niego widziała w dzieciach, które zostały im dane.

Gdy tak to podsumowywała, ogarniała ją złość. Gniewało ją, że tak słaby ślad odcisnęła w istotach, które pomogła powołać do życia. Inaczej niż w *Beaux Rêves*. Tutaj jej wizje zapuszczały głęboko korzenie, jak te stare dęby rosnące wzdłuż alei dojazdowej.

Dlatego właśnie z ogrodu była bardziej dumna niż z syna czy córki.

Gdyby żyła Hope, byłoby inaczej. Bez emocji ścięła zwiędłą główkę goździka. Hope odzwierciedlałaby wszystkie jej nadzieje i marzenia. Przydałaby nowego blasku znakomitemu nazwisku Lavelle'ów.

Jasper pozostałby silny, nie straciłby równowagi ducha i nigdy by się nie zhańbił

stosunkami z rozwiązłymi kobietami. Nigdy nie zszedłby z ich wspólnej drogi, a jego żona nie musiałaby usuwać plamy z nazwiska.

Ale Jasper był jak burza, wszystko w nim wrzało. To zaś, że dostał ataku serca w łóżku kochanki, było zdecydowanie niesmaczne.

A jednak znacznie łatwiej było być wdową po nim niż jego żoną.

Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego akurat teraz tak bardzo zaprzęta to jej myśli, w ten błogi

chłodny poranek, gdy rosa leży na kwiatach, a na wiosennym niebie króluje łagodny jasny błękit.

Kłękając, żeby wyrwać chwasty z klombu, na którego kompozycję składały się kwiaty indygowca, penstemonu i mikołajka, pomyślała, że był dobrym mężem. W pierwszym okresie ich małżeństwa jako głowa rodziny podejmował wszystkie decyzje, dzięki czemu nie musiała zaprzętać sobie głowy szczegółami. Był czułym ojcem - choć może trochę zbyt pobłażliwym.

Rok po nocy poślubnej namiętność między nimi, jeśli nie wygasła, to na pewno znacznie się wyciszyła. Mimo to nigdy nie odwróciła się od niego w małżeńskim łóżku.

Margaret chełpiła się tym, iż jest dobrą, spełniającą powinności małżeńskie żoną. Jeśli nawet kiedyś na myśl o seksie robiło się jej niedobrze, leżała cicho i nie dawała tego po sobie poznać.

Oстрыm sekatorem ścięła kolejne zasuszone główki i ułożyła w ogrodowym, otwartym koszyku.

To on się od nich odwrócił, on się zmienił. Od tamtego strasznego poranka, kiedy znaleźli Hope na bagnach, nic już nie wróciło do poprzedniego stanu.

Pomyślała o tym z bólem, który z latami stawał się coraz bardziej przytępiony.

Jedynie z Hope czuła się prawdziwie związana.

Czasem, po tych wszystkich latach, zastanawiała się, czy ta strata nie była jakimś rodzajem kary. Ale jaką zbrodnię, jaki grzech popełniła, który zasługiwałby na taką karę?

Może była zbyt pobłażliwa? Może należało zniechęcić, a nawet zabronić słodkiej, niewinnej Hope obcowania z tą Bodeen? To był błąd, ale z pewnością nie grzech.

I jeszcze większą winę ponosił tu Jasper. Wyśmiewał jej obawy. Powiedział, że mała Bodeen jest nieszkodliwa. Nieszkodliwa!

Za ten błąd, za ten grzech Jasper zapłacił całym swoim późniejszym życiem.

To, że Bodeen zabiła Hope, było całkiem pewne.

A teraz wróciła. Wróciła do Progress, do Domu Na Bagnach, do ich życia. Jakby miała do tego prawo.

Margaret wyrwała powój i wrzuciła go do koszyka. Jej babcia mawiała, że powój jest po prostu dzikim kwiatem, który zakwitł w niewłaściwym miejscu. Był intruzem i należało go wyrwać, ściąć, zniszczyć.

Wiktoria Bodeen nie ma prawa zapuścić korzeni i rozkwitnąć w Progress.

Cade pomyślał, że jego matka wygląda ślicznie. Ubrała się do ogrodu tak, jak ubierała się do wszystkiego: starannie, akuratnie.

Miała słomkowy kapelusz z szerokim rondem, który ocieniał jej głowę, przepasany bladoniebieską wstążką, pasującą do długiej bawełnianej koszuli i marszczonej spódnicy, którą przykryła bladopopielatym, ogrodowym fartuchem. W uszach miała perły, okrągłe, białe księżycy, lśniące jak gardenie, które najwyżej ceniła.

Chociaż miała dopiero pięćdziesiąt trzy lata, była siwa. Dodawało jej to dostojęństwa.

Nie miała zmarszczek. Jakby obce jej były zmartwienia i troski.

Zachowała ładną figurę poprzez bezlitosną dietę i gimnastykę. Niepożądane kilogramy natychmiast usuwała, jak chwasty w swym ogrodzie. Została wdową sześć lat temu i tak szybko dopasowała się do tej roli, iż prawie się nie pamiętało, że kiedyś było inaczej.

Wiedział, że jest niezadowolona z niego. Jej niezadowolenie czy aprobata wyrażały się na ogół w takiej samej formie. W kilku chłodnych słowach.

Nie pamięta, by kiedyś przytuliła go czule. Nikt też nie oczekiwał od niej takich reakcji.

Ponieważ była jednak jego matką, postanowił zrobić wszystko, żeby zmniejszyć tę przepaść między nimi.

Mały żółty motyl fruwał nad jej głową, ale nie zwracała na niego uwagi. Podobnie jak nie dostrzegała własnego syna.

- Przyjemnie dziś na dworze - zaczął Cade. - Wiosna była łaskawa dla kwiatów.

- Przydałoby się trochę deszczu.

- Zapowiadają niewielkie opady w nocy. Dla moich pól kwiecień był trochę za suchy.

- Ukucnął, zachowując między nimi odległość na wyciągnięcie ramienia. W pobliżu, w krzewach azalii, pszczoły brzęczały jak oszalałe. - Większość wstępnych prac polowych mam już za sobą. Było też sporo roboty przy bydle. Mieliśmy trochę młodych byczków, które należało wykastrować. Pokupowałem też to i owo. Może masz jakieś zamówienie?

- Chętnie wypróbowałabym jakiś środek chwastobójczy. - Uniosła głowę. Błękit jej oczu był jaśniejszy, bardziej stonowany niż jego. - Chyba że masz jakieś obiekcje przeciwko stosowaniu go w ogrodzie.

- To jest twój ogród, mamó.

- A twoje są pola, o czym mi właśnie przypomniałeś. Możesz z nimi postępować wedle własnego uznania. Podobnie jak z nieruchomościami, które możesz wydzierżawiać tak jak zechcesz.

- Zgadza się. - Potrafił być równie chłodny jak ona. - A dochody z tych pól i z tych nieruchomości pozwolą utrzymać w dobrym stanie Beaux Rêves.

Wyrwała bratka szybkimi, bezlitosnymi palcami.

- Dochody nie są miernikiem jakości życia.

- Ale cholernie ułatwiają życie.

- Nie ma powodu, żebyś mówił do mnie takim tonem.

- Przepraszam. - Oparł dłonie na kolanach, poczekał, aż mu się rozluźnią zaciśnięte palce. - Pięć lat temu zmieniłem metodę prowadzenia farmy. I zdaje to egzamin. Ale ty nie chcesz czy też nie możesz przyjąć tego do wiadomości. Nic na to nie poradzę. A co do nieruchomości, rzeczywiście postępuję z nimi wedle własnego uznania. Tata miał swoją metodę, ja mam swoją.

- Sądzisz, że pozwoliliby tej Bodeen postawić nogę na naszym terytorium?

- Nie wiem.

- Bo cię to nic nie obchodzi - powiedziała i powróciła do pielienia.

- Być może. - Powiódł wzrokiem wzdłuż wyłożonej kostką ścieżki, tam gdzie w całej krasie kwitły kwiaty i gdzie ich zapach był najintensywniejszy. - Nie mogę spędzać życia na zastanawianiu się, co on by zrobił, czego by pragnął lub czego by oczekiwał. Ale wiem na pewno, że Tory Bodeen nie ponosi odpowiedzialności za to, co się wydarzyło osiemnaście lat temu.

- Mylisz się.

- No cóż, nie ulega wątpliwości, że jedno z nas jest w błędzie. - Podniósł się. - Tak czy owak, ona tu jest. Ma do tego prawo. I nic nie da się z tym zrobić.

„Jeszcze się przekonają - pomyślała Margaret, kiedy została sama. - Przekonają się, co można z tym zrobić”.

Cade był rozdrażniony przez cały dzień. Działo się tak zawsze, gdy bezskutecznie próbował się zbliżyć do matki.

Zaniechał prób wyjaśnienia i usprawiedliwienia dokonanych przez siebie zmian na farmie. Zapamiętał tę noc, kiedy pokazał jej plany, wykresy i projekty, zapamiętał wzrok, jakim spojrzała na niego, lodowaty ton, jakim go poinformowała, zanim wyszła z pokoju, że Beaux Rêves nie jest czymś, co można przelać na papier i na zimno analizować.

Odczuł to boleśnie, tym bardziej że chyba miała rację. Tego nie można było przelać na papier. Podobnie jak ziemi, którą gotów był chronić, zachować i przekazać następnemu pokoleniu Lavelle'ów.

Jednak dla Cade'a majątek był zawsze czymś żywym, czymś co oddychało, rosło i zmieniało się z każdą porą roku. Tymczasem dla niej był jak starannie chroniony pomnik.

Albo grobowiec.

Tolerował jej brak wiary w niego, tak jak tolerował śmiech i oburzenie swoich sąsiadów. Spędził mnóstwo bezsennych nocy w ciągu trzech pierwszych lat po objęciu majątku. Strach i obawa, że nie ma racji, że mu się nie powiedzie, że dziedzictwo, które przeszło w jego ręce, przypadnie z nadmiaru gorliwości, z uporu, by postępować po swojemu.

Jednak nie pomylił się, przynajmniej nie pomylił się co do farmy. Tak, trzeba było wiele czasu, wysiłku i pieniędzy, by uprawiać bawełnę w naturalny sposób. Ale ziemia potrafiła się odwdziżyć. Widział, jak daje plony w lecie, jak odpoczywa w zimie, a na wiosnę chłonie wszystko, co się w nią włoży.

Sprzeciwił się zatruwaniu jej bez względu na to, jak wiele osób przekonywało go, że przez swój upór skazuje się na klęskę. Mówili, że ma źle w głowie, że jest uparty, głupi, a nawet jeszcze gorzej.

W pierwszym roku jego bawełna dorównała ogólnokrajowym standardom. Gdy zebrał i sprzedał plony, upił się w dawnym gabinecie ojca.

Dokupił więcej bydła, ponieważ wyznawał zasadę dywersyfikacji w gospodarce. Na koniec zakupił więcej koni, ponieważ je kochał. Konie i bydło dostarczały nawozu.

Dokształcał się, eksperymentował. Uczył się. Był do tego stopnia przekonany o swojej racji, że ręcznie wyrywał chwasty, kiedy to było konieczne, i nie skarżył się potem, kiedy kurował swoje bąble. Przyglądał się niebu i wysłuchiwał prognoz pogody, a następnie orał ziemię.

Do powodzenia przedsięwzięcia konieczne były działania w innych dziedzinach - dzierżawienie, leasing, pośrednictwo. Korzystał z nich, ale nie miał do tego serca.

Kochał ziemię. Nie umiałby tego wytłumaczyć, ale kochał Beaux Rêves w sposób, w jaki niektórzy mężczyźni kochają kobiety. Bezgranicznie, obsesyjnie, zazdrośnie. I drżał z emocji każdego roku, kiedy rodziła.

Chłodny poranek zamienił się w parne południe, kiedy kończył załatwiać część codziennych obowiązków i sprawunków.

Zatrzymał się w oddalonym o dwa kwartały od rynku ogrodnictwie, by kupić środek chwastobójczy dla matki. Jego uwagę przyciągnęły skrzyżki z kwiatami. Wziął jedną z różowymi niecierpkami i wniósł do środka.

Clampettowie prowadzili ogrodnictwo od lat, zaczynając od niewielkiego straganu przy plantacji soi. Po dziesięciu latach korzystniejsze od uprawy ziemi okazały się kwiaty.

- Weź jeszcze jedną, a opuszczę ci dwadzieścia procent. - Billy Clampett dmuchnął

dymem z camela prosto pod znak „Nie palić”, który jego matka przypięła pluskiewkami do ściany.

- Policz za dwa. Wezmę drugą wychodząc. - Cade postawił skrzynkę na ladzie.

Chodzili z Billym do szkoły, ale nigdy się nie zaprzyjaźnili. - Jak leci?

- Nienajgorzej. - Popatrzył zezem zza dymu. Miał ponure, niezadowolone oczy i ostrzyżone najeża sztywne jak drut włosy nieokreślonego koloru. Od czasów szkoły przybrał

na wadze albo raczej stracił mięśnie, które uczyniły go gwiazdą futbolu.

- Zamierzasz to użyć jako poplon?

- Nie. - Żeby nie wdawać się w głupią rozmowę, Cade poszedł obejrzeć wystawione doniczki. Wybrał dwie duże donice w zielonoszarym odcieniu i postawił je na ladzie. -

Potrzebny mi jest preparat chwastobójczy.

Billy wyciągnął papierosa z ust i wrzucił niedopałek do butelki, którą trzymał pod ladą. Wolał nie zostawiać śladów. Matka oberwałaby mu uszy.

- Coś takiego, nie sądziłem, że pochwalasz te rzeczy. Czy już przestałeś obejmować drzewa?

- I worek doniczkowej ziemi dla niecierpków - dodał Cade, nie zwracając uwagi na zaczepki.

- Mogę ci także zdobyć trochę aldicardu, to dobry środek owadobójczy.

- Nie, dziękuję.

- Prawda. - Billy zaśmiał się chrypliwie. - Nie uznajesz ani środków owadobójczych, ani pestycydów, ani tego ohydneho sztucznego nawozu. Twoje zbiory są dziewiczo czyste.

Pisali o tym w magazynie.

- Odkąd to zacząłeś czytać? - zażartował Cade. - A może oglądałeś tylko obrazki?

- Na wytworne magazyny i na piękne słówka nikt się tutaj nie da nabrać. Wszyscy wiedzą, że siedzisz sobie wygodnie i odcinasz kupony od tego, co twoi sąsiedzi włożą w twoje pola.

- Czyżby?

- Tak, nie inaczej. Miałeś parę dobrych lat, a właściwie pieprzone szczęście, gdyby mnie kto o to pytał.

- Nie przypominam sobie, żebym się ciebie o coś pytał, Billy. Szukasz zaczepki?

- I tak przegrasz, wcześniej czy później. Sprowadzasz tutaj chorobę i zarazę. - Cade Lavelle był jednym z ulubionych obiektów ataku Billy'ego. Ten pieszczoszek nigdy nie oddawał ciosu. - Twoje

plony są zakażone, a wkrótce zaraza przeniesie się na innych.

Będziesz musiał wtedy wybulić cholernie duże odszkodowanie.

- Wezmę to pod uwagę. - Cade wyjął z portfela kilka banknotów, które rzucił na ladę.

- Zaniosę to do ciężarówki, a ty tymczasem policz, ile ci jestem winien.

Trzymał nerwy na wodzy. Billy Clampett nie wart był jego czasu ani wysiłku.

Tak to sobie właśnie powiedział, ładując do ciężarówki doniczki i dwie skrzynki kwiatów.

Kiedy wrócił, środek chwastobójczy i dziesięciokilowy worek z ziemią doniczkową stały na ladzie.

- Reszta dla ciebie - trzy dolary i sześć centów. - Metodycznie, w zwolnionym tempie, Billy odliczył resztę. - Kilka razy widziałem twoją siostrę, jak się kręciła po mieście. Nie powiem, nienajgorzej wyglądała. - Podniósł wzrok, uśmiechnął się. - Naprawdę dobrze.

Cade wsunął resztę do kieszeni i zatrzymał tam rękę, żeby nie palnąć go w ten szyderczy pysk.

- A jak się miewa twoja żona, Billy?

- Darlene ma się świetnie. Znowu jest w ciąży, trzeci raz. Mam nadzieję, że zasiałem w niej następnego silnego syna. Kiedy zasiewam moje pole, robię to jak należy. - Rozdziawił

usta w uśmiechu. - Wystarczy, żebyś zapytał swoją siostrę.

Cade nie mógł już utrzymać ręki w kieszeni. Z całej siły chwycił Billy'ego za kołnierz i przygiął go do podłogi.

- Nie zapominaj, kto jest właścicielem domu, w którym mieszkasz - powiedział

spokojnym głosem Cade. - Warto, żebyś o tym pamiętał, Billy. I trzymaj się z dala od mojej siostry.

- Potrafisz szastać pieniędzmi, ale brakuje ci jaj, żeby posłużyć się pięściami jak prawdziwy mężczyzna.

- Trzymaj się z dala od mojej siostry - powtórzył Cade - bo przekonasz się jeszcze, do czego służą mi jaja.

Cade puścił go, wziął swoje zakupy i wyszedł energicznym krokiem. Odjechał

kawałek i zatrzymał się, zamknął oczy czekając, aż minie mu furia.

Nie wiedział, co było gorsze: czy to, że o mało nie doszło do bójki z Clampettem, czy świadomość, że jego siostra pozwoliła, by taka szumowina, jak Clampett, dobrała się do niej.

Wrzucił bieg, zakręcił i pojechał na rynek. Znalazł wolne miejsce niedaleko sklepu Tory, tuż za

ciężarówką Dwighta. Starając się opanować złość, wyciągnął doniczki, zaniósł je i postawił przed drzwiami sklepu.

Słysząc tu było dobiegający ze środka ostry, piskliwy dźwięk piły elektrycznej.

Podstawy ład stały już na swoim miejscu, podobnie jak pierwszy rząd półek.

Zdecydowała się na sosnę i pokryła ją jasnym lakierem. Trafny wybór. Proste i gładkie półki nie będą rozpraszały uwagi klientów. Na podłodze rozłożony był brezent i narzędzia, a w powietrzu unosił się zapach piłowanego drewna i potu.

- Witaj, Cade. - Dwight podszedł do niego, zręcznie omijając rozłożone narzędzia.

Cade klepnął go po prążkowanym, niebieskożółtym krawacie.

- No, no, ale szpan!

- Miałem spotkanie z grupą bankierów. - Jakby sobie dopiero uzmysłowił, że ma to za sobą, Dwight poluzował węzeł krawata. - Wpadłem tu w drodze do biura, żeby sprawdzić jak leci.

- Odwaliliście masę roboty!

- Klientka ma bardzo konkretną wizję tego, co chce. A my jesteśmy tu po to, żeby jej dogodzić. Z tej chudej dziewczynki wyrosła twarda, praktyczna kobieta biznesu.

- Gdzie ona jest?

- Na zapleczu. - Dwight kiwnął głową w kierunku zamkniętych drzwi. - Nie wtrąca się, kiedy wszystko idzie po jej myśli.

Cade jeszcze raz rzucił okiem na zaawansowane prace.

- Wygląda na to, że ma dobre pomysły - stwierdził.

- Trzeba jej to przyznać. Słuchaj, Cade... - Dwight przysunął się bliżej. - Lissy ma przyjaciółkę... - Nie.

- Chryste, wysłuchaj mnie tylko.

- Nie muszę. Ma przyjaciółkę, niezamężną przyjaciółkę, wprost idealną dla mnie. Co by mi szkodziło umówić się z nią i zjeść razem kolację u was domu, albo też zaproponować jej drinka?

- No właśnie, co by ci szkodziło? Lissy będzie mi wierciła dziurę w brzuchu, dopóki cię nie przekonam.

- Twoja żona, twój brzuch, twój problem. Powiedz Lissy, że właśnie się dowiedziałeś, iż jestem gejem albo coś w tym rodzaju.

- O tak, już nic lepszego nie mogłeś wymyślić! - Pomyśl ten tak bardzo rozbawił

Dwighta, iż skwitował go gromkim śmiechem. - Nic lepszego! Znając życie, widzę już, jak zaczyna ci wyszukiwać facetów.

- Boże! Więc powiedz jej, że mam namiętny romans. - Z kim?

- Wymyśl kogoś - powiedział Cade kończąc temat i kierując się ku drzwiom na zapleczu. - A najlepiej powiedz jej „nie”. - Zapukał, po czym, nie czekając na zaproszenie, wsunął się do środka.

Tory stała na drabinie i wymieniała jarzeniówkę w górnym oświetleniu.

- Pozwól, że ja to zrobię.

- Już sobie poradziłam. - Zerknęła na niego przelotnie. - To należy do obowiązków użytkownika, a nie właściciela domu.

Świadomość, że jest właścicielem tego budynku, zirytowała go nieco.

- Zauważyłem, że wymienili szybę w wejściowych drzwiach.

- Tak. Dziękuję.

- No i zamontowali klimatyzację.

- Zgadza się.

- Jeśli chcesz, żebym się odchrzanił, będziesz musiała długo o to prosić. Odwrócił się z rękami w kieszeniach. Zauważył, że tutaj zdecydowała się na metalowe półki. Szare, brzydkie, ciężkie, ale praktyczne. Ustawiła już na nich kartonowe pudła, a także mniejsze pudełka, skrupulatnie opatrzone etykietami z numerem asortymentu.

Kupiła biurko, również ciężkie i praktyczne. Stał już na nim komputer i telefon.

W ciągu dziesięciu dni zrobiła wielkie postępy. Ani razu nie poprosiła go o pomoc.

Było mu nieco przykro z tego powodu.

Miała na sobie czarne szorty, popielaty podkoszulek i popielate tenisówki. Wyglądała bardzo pociągająco.

Odwrócił się, kiedy zeszła z drabiny i próbowała ją złożyć, tak jak to zwykle robiła.

- Odstawię ją.

- Sama potrafię.

Każde z nich szarpnęło drabinę w swoją stronę.

- Niech to szlag trafi, Tory.

Nieoczekiwany, pełen złości syk, groźny błysk w jego oczach sprawiły, że cofnęła się i założyła ręce. Zamknął z trzaskiem drabinę, wsadził ją do szafy.

Kiedy tak stał tyłem do niej, poczuła nagły przypływ winy, a także sympatii. To dziwne, że nie boi się go jak innych mężczyzn.

- Usiądź, Cade.

- Po co?

- Bo wyglądasz na zmęczonego. - Podeszła do maleńkiej lodówki, wyjęła butelkę coli.

- Napij się.

- Dziękuję. - Opadł na fotel za jej biurkiem i wypił duży haust z butelki.

- Zły dzień?

- Bywały lepsze.

Bez słowa otworzyła torebkę i wyjęła podzielone na przegródki pudełeczko, w którym trzymała aspirynę. Kiedy podała mu dwie pastylki, ze zdziwienia uniósł brwi.

Zrobiło się jej gorąco, poczuła, że się rumieni.

- Ja nie... To taki odruch, nic więcej.

- Doceniam to. - Połknął aspirynę, westchnął i wzruszył ramionami. - Nie sądzę, żebyś chciała mi sprawić dodatkową przyjemność, siadając na moich kolanach.

- Nie, nie chciałabym.

- A co powiesz o kolacji i o kinie? Nie, nie mów „nie”, póki się nie zastanowisz - powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Tylko kolacja i kino. Pizza, burger, coś z tych rzeczy, jak między przyjaciółmi.

Obiecuję, że nie poproszę cię, żebyś za mnie wyszła.

- Ulżyło mi, ale nadal nie jestem przekonana.

- Zastanów się nad tym, daję ci pięć minut. - Odstawił butelkę na biurko, po czym wstał. - Wyjdźmy na dwór. Mam coś dla ciebie.

- Jeszcze tu nie skończyłam.

- Kobieto, czy ty się musisz o wszystko spierać? To mnie wykańcza. - Żeby przerwać tę przepychankę, wziął ją za rękę i pociągnął do drzwi.

Mogła się zaprzecć, choćby dla zasady. Ale w sklepie pracowało dwóch stolarzy. Będą mieli mniej do rozprowadzania, jeżeli spokojnie opuści sklep z Cade'em.

- Spodobały mi się - powiedział, pokazując doniczki i ciągnąc ją do swojej ciężarówki.

- Jeśli jednak wolisz inne, możesz je wymienić u Clampettów. Tak samo jak to.

Zatrzymał się, zdjął z platformy jedną skrzynkę.

- Sądzę, że będą nieźle pasowały.

- Pasowały do czego?

- Do ciebie, do tego miejsca. Potraktuj to jako coś w rodzaju prezentu na szczęśliwy początek. - Wcisnął jej pierwszą skrzynkę do rąk i wyjął drugą - tym razem z białymi kwiatami, a także worek z ziemią.

Stała tak, zmieszana i wzruszona. Przypomniała sobie, że chciała mieć kwiaty w donicach przed frontem sklepu. Myślała o petuniach, ale te były ładniejsze.

- To miło z twojej strony. Dziękuję.

- Nie ma za co. Czy możesz na mnie spojrzeć? - Poczekał, aż podniesie oczy, aż spotkają się wzrokiem. - Gdzie chcesz je ustawić?

- Przed sklepem. Porozsadzam je do doniczek.

Kiedy weszli razem na chodnik, spojrzała na niego z ukosa.

- No dobra, możesz przyjechać koło szóstej. Nie mam nic przeciwko pizzy. Jeśli przebrniemy przez nią bez przeszkód, pomyślimy o kinie.

- Świetnie. - Postawił kwiaty i ziemię pod jej witryną. - Przyjadę po ciebie.

Faith stwierdziła, że może z nudów się nie umiera, ale trudno tak żyć. Kiedy była dzieckiem i narzekała, że nie ma co robić, natychmiast przydzielano jej jakieś prace domowe.

Nie znosiła ich tak samo jak nudy.

- Tu nie ma nic do roboty. - Faith usiadła przy stole kuchennym, jedząc śniadanie.

Było po jedenastej, ale nie chciało się jej ubierać. Miała na sobie jedwabny szlafrok, który kupiła w kwietniu podczas wycieczki do Savannah. Także i tym była już znudzona. - Nic się tu nie dzieje, w kółko to samo, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. To cud, że jeszcze nie oszaleliśmy.

- Naszła cię nuda, panienko Faith? - Chropowaty jak piaskowiec głos Lilah pobrzmiwał francuskim akcentem. Mówiła tak trochę dlatego, że jej babcia była Kreolką, a trochę ze snobizmu.

- Tu się nic nigdy nie dzieje. Każdy poranek jest taki sam jak poprzedni, a dzień wlecze się w nieskończoność.

Lilah nadal szorowała kuchenny blat. Wysprzątała kuchnię już godzinę temu, ale wiedziała, że Faith jeszcze tutaj wstąpi. Czekając na nią, poleżała sobie trochę.

- Zdaje mi się, że tęsknisz za jakimś zajęciem. - Jej prostoduszne, brązowe oczy popatrzyły ciepło na Faith. Wiedziała, z kim ma do czynienia. Doglądała paniuki Faith od dnia, w którym się ona urodziła. Sama Lilah należała do domu Lavelle'ów od dwudziestego roku życia, kiedy zatrudniono ją do sprzątania, podczas gdy pani Lavelle nosiła w łonie panicza Cade'a.

Wtedy miała czarne włosy, nie tak jak teraz - pieprz z solą. Utyła trochę, ale nie przejmowała się tym.

Jej skóra miała kolor ciemnego karmelu, taki jaki robiła na polewę jabłek z okazji święta Halloween. Usta malowała mocną czerwoną szminką, którą nosiła w kieszeni fartucha.

Nigdy nie wyszła za mąż. W najlepszym okresie swojego życia Lilah Jackson miała wielu adoratorów. I chociaż te lata dawno minęły, nadal lubiła się wystroić i pokazać w mieście z przystojnym mężczyzną.

Ale wyjść za kogoś? To już całkiem inna sprawa.

Odpowiadał jej taki stan rzeczy, wołała, kiedy mężczyzna przychodził po nią i towarzyszył jej tam, dokąd miała ochotę się wybrać. A jeśli znowu zamierzał jej towarzyszyć, musiał pamiętać, żeby przynieść ładne pudełko czekoladek albo jakieś kwiatki i otwierać przed nią drzwi jak dżentelmen.

Gdyby wyszła za kogoś, musiałaby potem pilnować go przez całe życie, harować jak cholera, żeby wystarczyło na wszystko i móc sobie z tego kupić parę ładnych rzeczy.

A tak to przynajmniej miała wspaniały dom - bo czyż Beaux Rêves nie było w równym stopniu jej, jak wszystkich? - wychowała troje dzieci i rozpaczała gorzko nad stratą jednego, oraz czerpała same korzyści z męskiego towarzystwa, bez żadnych wiążących się z tym kłopotów.

Nie miała też nic przeciwko temu, żeby się popieścić od czasu do czasu. Gdyby Bóg nie chciał, żeby jego dzieci się pieściły, nie dałby im takiej potrzeby.

No a taka panienska Faith to dopiero ma dużo potrzeb! I związanych z tym problemów.

Większość z nich sama sobie stwarza.

- Może byś się wybrała na ładną, długą przejażdżkę - zasugerowała Lilah.

- Dokąd? - Nie okazując zainteresowania, Faith upiła mały łyk kawy. - Wszędzie jest jednakowo.

Lilah wyjęła szminkę i przeciągnęła nią po wargach, przeglądając się w odbiciu chromowanego tosterka.

- Kiedy mam chandrę, pędzę, żeby sobie coś kupić. Jak sobie sprawisz coś ładnego, od razu wróci ci humor.

- Być może. - Faith westchnęła, zastanawiając się, czy nie pojechać do Charleston. -

Skoro nie ma nic lepszego do roboty.

- No widzisz! Pochodź po sklepach, a od razu się rozchmurzysz. Masz tutaj listę.

Faith zrobiła wielkie oczy na widok listy, którą Lilah pomachała jej przed nosem.

- Produkty do domu? Jadę coś sobie kupić, ale to nie będą artykuły spożywcze.

- Przecież nie masz nic lepszego do roboty. Upewnij się, żeby pomidory były dojrzałe.

Zapisałam też pastę do podłóg.

Odwróciła się do zlewu. Musiała się hamować, żeby nie roześmiać się głośno.

- Zajrzyj do drugostoru i kup mi Oil of Olaz - w słoiku, nie w butelce. I bąbelki do kąpieli. Takie z mlekiem i z miodem. W drodze powrotnej zajrzyj do pralni chemicznej i odbierz wszystko, co zaniósłam tam w ubiegłym tygodniu - prawie same twoje rzeczy. Jeden tylko Bóg wie, po co ci aż pięćdziesiąt jedwabnych bluzek.

Faith zmrużyła oczy.

- Czy jeszcze coś? - zapytała słodziutko.

- Wszystko masz wypisane czarno na białym. Może przynajmniej przez parę godzin nie będziesz się

nudzić. A teraz idź i włóż coś na siebie, już prawie południe. To grzech, po prostu grzech, włóczyć się w szlafroku w taki śliczny dzień. Zmykaj.

Lilah zrobiła ruch, jakby ją przeganiała, po czym zgarnęła talerzyk i filiżankę Faith.

- Nie skończyłam śniadania.

- Nie widziałam, żebyś jadła. Ledwie coś skubiesz i siedzisz z nadętą miną. A teraz zmykaj z kuchni, może się na coś przydasz.

Lilah założyła ręce, przechyliła na bok głowę i wpatrywała się w nią. Potrafiła zmiażdżyć spojrzeniem nawet najśmielszego. Faith wstała od stołu, prychnęła pogardliwie i dumnym krokiem opuściła kuchnię.

- Wrócę, kiedy wrócę - zawołała.

Kręcąc głową i chichocząc, Lilah sama dokończyła kawę Faith.

- Niektóre pisklęta nigdy nie rozumieją, kto rządzi na grzędzie.

Zanim Wade przekonał Dottie Betrum, żeby wysterylizowała swą nadmiernie pobudliwą suczkę, mieszańca labradora z retrieverem, upłynęły trzy lata, podczas których urodziło się osiemnaście szczeniaków. Ostatni miot, składający się z sześciu sztuk, został

właśnie odstawiony od piersi i Wade przystąpił do szczepienia rozkosznie poszczekujących i powarkujących szceniąt.

- Nic na to nie poradzę, ale nie jestem w stanie patrzeć na igły. Robi mi się słabo.

- Nie musi pani patrzeć, panno Betrum. Poza tym może pani wyjść i zaczekać na zewnątrz.

- Och nie! - Zatrzepotała rękami, podnosząc je do policzków, a w jej krótkowzrocznych oczach za grubymi szklami pojawiła się rozterka. - Powinnam zostać. To nie byłoby w porządku, gdybym akurat teraz... - Urwała, kiedy Wade wbił igłę w skórę szczeniaka.

- Maxine, zaprowadź pannę Betrum do poczekalni. - Mrugnął do asystentki. - Dam sobie radę sam.

„A nawet zrobię to lepiej” - pomyślał, kiedy Maxine wyprowadziła słaniającą się kobietę z gabinetu, w którym nieraz mdlały starsze panie.

- Dzielny piesek! - Poglaskał szczeniaka i kontynuował szczepienia. Zważył, podrapał

za uszkami, wziął próbki na pasożyty i wypełnił metryczki, podczas gdy pieski skomlały i poszczekiwały.

Sadie, mała suczka panny Betrum, spała spokojnie po zabiegu, Sylwester, kot starego pana Klinge'a prychał i miauczał w klatce, zaś chomik Szybki Petey, maskotka trzeciej klasy szkoły podstawowej w

Progress, biegał w kółku, co świadczyło, że wrócił do zdrowia po lekkiej infekcji pęcherza.

Był to mały własny świat doktora Wade'a Mooneya.

Kiedy skończył z ostatnim szczeniakiem, inne kotłowały się już na podłodze, ciągnęły go za sznurowadła, siusiały. Panna Betrum zapewniła go, że dla pięciorga znalazła już dobre miejsca. Uprzejmie podziękował, gdy zaproponowała mu, żeby zatrzymał jednego dla siebie.

W tejże chwili przyszło mu jednak do głowy, gdzie można spróbować umieścić ostatniego z miotu.

- Doktorze Wade? - Maxine zajrzała przez drzwi.

- Gotowe. Zabierajmy je.

- Są takie śliczne. - Nie mogła oderwać od nich oczu. - Myślałam, że pan weźmie jednego z nich.

- Byłby to precedens.

- Chciałabym móc wziąć jednego z nich. - Maxine podniosła szczeniaka i tuliła go, gdy z uczuciem oblizywał jej twarz.

Uwielbiała zwierzęta i dlatego możliwość pracy z doktorem Wadem była jak zrządzenie opatrności. W domu miała już dwa psy, wiedziała więc, że nie można nawet marzyć, żeby rodzice zgodzili się na kolejnego.

Urodziła się w biedzie i jej rodzice urobili sobie ręce, żeby zapewnić odpowiednią egzystencję córce i dwóm młodszym synom. Z pieniędzmi nadal jest krucho, przypomniła sobie, tuląc szczeniaka.

Westchnęła i smutek przemknął po jej ślicznej, czarnej jak kawa twarzy. Była pierwszym dzieckiem w rodzinie, które posłano do college'u.

- Są takie słodkie, doktorze Wade. Chętnie wzięłabym któregoś do domu, ale ucząc się i pracując nie mogłabym mu poświęcić dość czasu. - Stawiając szczeniaka na podłodze, uśmiechnęła się szeroko. - A poza tym dostałabym lanie od taty.

Wade także się uśmiechnął. Wiedział, że ojciec Maxine uwielbiał córkę.

- Nie masz kłopotów z nauką?

Była na drugim roku i ciągle brakowało jej czasu. Gdyby doktor Wade nie pozwalał

jej się uczyć tutaj, gdy tylko w gabinecie panował względny spokój, nie ujechałaby daleko.

Był jej ideałem, a nawet przez jakiś czas kochała się w nim. Miała nadzieję, że kiedyś będzie tak dobrym weterynarzem jak on.

- Zbliża się koniec roku. Mam tak przeładowaną głowę, że boję się, by nie pękła.

Wyniosę te maluchy, doktorze Wade. - Wzięła koszyk pełen szczeniąt. - Co mam powiedzieć panie Betrum na temat Sadie?

- Może ją zabrać późnym popołudniem. Niech przyjdzie około czwartej - aha, i poproś, żeby nie oddawała nikomu ostatniego szczeniaka. Wykombinuję kogoś.

- Powtórzę jej. Czy mogę zrobić sobie teraz przerwę na lunch? Przez najbliższą godzinę nie powinno być pacjentów, więc mogłabym się trochę pouczyć w parku.

- Możesz iść. - Odwrócił się do umywalki, by wyszorować ręce. - Daję ci całą godzinę, Maxine.

- Dziękuję.

Szkoda, że Maxine odejdzie stąd, gdy tylko dostanie do ręki dyplom. Nie będzie mu łatwo znaleźć kogoś równie zdolnego i lubiącego zwierzęta - kto umiałby również pisać na maszynie, miał odpowiednie podejście do nie zawsze zrównoważonych właścicieli i odbierał

telefony.

Ale takie jest życie.

Właśnie zamierzał zajrzeć do Sadie, kiedy tylnymi drzwiami weszła Faith.

- Doktor Mooney. Właśnie ciebie szukam.

- O tej porze łatwo mnie znaleźć.

- Akurat przejeżdżałam obok.

- Idealna sukienka jak na takie przejażdżki.

Przeciągnęła palcem po miękkiej bawełnianej tkaninie na wąskich ramiączkach, z mocno rozkloszowaną spódniczką do kolan, w jaskrawoczerwonym, wyzywającym kolorze.

- Podoba ci się? Jestem w takim samym jak ona płomiennym nastroju. - Zgadnij, co mam pod spodem?

To niesamowite, jak zawsze na nią reagował. Wystarczyło, by raz na nią spojrzeć, a gotów był zebrać o jej wdzięki.

- Jesteś takim bystrym wykształconym mężczyzną. - Wzięła jego rękę i położyła na udzie. - Założę się, że szybko zgadniesz.

- Chryste! - Poczuł jak gwałtownie burzy się w nim krew. - Chodzisz po mieście, nie mając nic pod spodem?

- I tylko my o tym wiemy. - Pochyliła się do przodu, spojrzała na niego promiennie i przygryzła mu dolną wargę. - A może byśmy to zrobili, Wade?

- Chodź na górę.

- Za daleko. - Z gardłowym śmiechem pchnęła otwarte drzwi. - Chcę ciebie teraz, jak najszybciej.

Sadie spała spokojnie, oddychając miarowo. W pomieszczeniu pachniało psem i środkiem antyseptycznym. Stary fotel, na którym spędził wiele godzin, zajmując się swoimi czworonogimi pacjentami, pełen był sierści niezliczonych psów i kotów.

- Nie zamknąłem drzwi.

- Uwielbiam niebezpieczne sytuacje. - Rozpięła guzik jego dzinsów, pociągnęła w dół

zamek. Uśmiechnęła się szeroko. - Coś takiego! Popatrz, co znalazłam! - Objęła go i przyglądała się, jak jego czekoladowe oczy stają się zamglone, zanim przywarł do niej ustami.

Podniecenie, które jej towarzyszyło podczas ubierania się i kiedy jechała do miasta z postanowieniem uwiedzenia go, zamieniło się w coś bardziej skomplikowanego. Niemal bolesnego.

- Weź mnie. - Wygięła się do tyłu, podczas gdy jego usta delectowały się jej szyją. -

Weź i doprowadź mnie do szaleństwa. Pospiesz się.

Jej desperacja rozpalila go, wyzwoliła dziką żądzę. Zadarł czerwoną spódnicę, chwycił

ją za biodra. Była gorąca i wilgotna, a kiedy w nią wszedł, zacisnęła się mocno.

Oplotła go w pasie jedną nogą i wydała jęk, długi i niski. Wypełniał jej puste miejsce.

Wypełniał tak, jak nikt inny nigdy tego nie robił.

Chrapliwe, zwierzęce oddechy, mocny, rytmiczny odgłos zderzających się ciał, wspaniałe uczucie jego silnych, celnych uderzeń. Poddała się temu, wydając cichy, zduszony krzyk, kiedy osiągnęła orgazm. Zawsze na początku była szybka i bezwzględna z Wadem.

Dopiero potem podporządkuje się jemu. Wstrzyma się, poczeka na niego.

Dzwonił telefon. Albo może dzwoniło mu w uszach. Każdy jego oddech był

przepełniony nią. Poruszała się razem z nim, pchnięcie za pchnięciem, nie zatrzymując się, nie zwalnając. Bywały chwile, kiedy dochodził do wniosku, że przecież mogliby się nawzajem pochłonąć bez reszty.

Wymawiała jego imię, w nieskończoność, robiąc przerwy na złapanie oddechu, jęcząc.

W ostatniej chwili dostrzegł jej zamknięte jak w modlitwie oczy.

- Boże! - Zadrżała, a jej głowa opadła do tyłu i oparła się o drzwi. - Boże! Czuję się cudownie. - Otworzyła oczy, przeciągnęła się leniwie. - A ty?

Znał jej oczekiwania, powstrzymał się więc z zanurzeniem twarzy w jej włosach, z wyszeptaniem słów, w które i tak nie uwierzy. Słów, które nie miały dla niej znaczenia przed laty, kiedy był na tyle szalony, by je wypowiedzieć.

- To było bez porównania smaczniejsze niż sandwicz z bekonem, sałata i pomidorem, którego miałem zjeść na lunch.

Rozśmieszył ją, sprawił, że objęła go za szyję.

- Jeszcze nie skonsumowałaś mnie całego, więc jeśli...

- Wade? Wade, jesteś na górze?

- Chryste! Moja matka!

- No, no, to nawet całkiem... interesujące.

Gdy Faith parsknęła śmiechem, zacisnął ręką jej usta.

- Pst! Tylko tego brakowało.

Faith mruczała coś i dygotała ze śmiechu pod jego ręką.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - syknął, choć sam z trudem powstrzymywał

śmiech. Słyszał kręcącą się matkę, nawołującą go wesoło tym samym ćwierkającym, równomiernie wznoszącym się i opadającym głosem, jakim go wzywała na kolację, kiedy miał dziesięć lat.

- Tylko bądź cicho - szepnął do Faith. - I nie ruszaj się stąd. Wycofał się delikatnie, zmrużył oczy, gdy Faith zagryzła wargę i parsknęła śmiechem.

- Wade, kochanie - powiedziała, kiedy dotarł do drzwi.

- Cicho! - powtórzył.

- Pomyślałam tylko, że może chciałbyś to schować. Spojrzał w dół, zaklął i pospiesznie włożył dżinsy.

- Mama? - Rzucił Faith ostatnie ostrzegawcze spojrzenie, po czym wyszedł z gabinetu, starannie zamknąwszy za sobą drzwi. - Jestem tutaj, na dole. Właśnie badałem pacjenta.

Wbiegł po schodach, wdzięczny matce za to, że poszła go szukać na górę.

- Jesteś, dziecko. A już chciałam ci zostawić liścik miłosny. Boots Mooney stanowiła uosobienie sprzeczności. Była wysoką kobietą, ale zawsze uważała się za małą. Głos miała cieniutki jak kociątko z filmu rysunkowego, a wolę silną jak stal. Wybrana Królową Bawełny na ostatnim roku studiów, panowała także jako Miss Hrabstwa Georgetown.

Była dorodna, rumiana, śliczna jak cukierek. Dbała o wygląd, nie przez próżność, ale z poczucia obowiązku. Jej mąż był poważanym człowiekiem i musiała dbać o jego reputację.

Boots lubiła samą siebie.

Otworzyła ramiona na powitanie Wade'a, jakby nie widzieli się co najmniej od dwóch lat, nie zaś od dwóch dni. Kiedy się do niej nachylił, pocałowała go w oba policzki, po czym szybko się cofnęła.

- Kochanie, jesteś taki rozpalony. Nie masz przypadkiem gorączki?

- Nie. - Nawet nie mrugnął okiem, kiedy położyła mu rękę na czole. - Czuję się świetnie. Zaglądałem do salki pooperacyjnej. Tam jest bardzo ciepło.

Musiał koniecznie odwrócić jej uwagę, a miał na to niezawodny sposób.

- Przyjrzyjmy się tobie. - Ujął ręce mamy i przyglądał się jej długo, z aprobatą. -

Wyglądasz dziś ślicznie.

- Och, daj spokój. - Roześmiała się, ale też zarumieniła z radości. - Po prostu zrobiłam porządek z włosami. Na szczęście nie widziałeś mnie przed pójściem do fryzjera.

Wyglądałam strasznie.

- Nie wierzę.

- Jesteś zbyt uprzejmy. Miałam masę spraw do załatwienia i nie mogłam odmówić sobie przyjemności zajrzenia do mojego synka. - Poklepała go po policzku, po czym natychmiast udała się do kuchni. - Załóż się, że nie jadłeś lunchu. Zaraz ci coś przygotuję.

- Mamo, mam pacjenta. Sadie panny Dottie.

- O Boże, a cóż jej się stało? Dottie nie przeżyłaby tej straty. - Nic groźnego. Trzeba jej było dać narkozę.

- Jeśli to nic groźnego, to po co narkoza?

Gdy matka zajrzała do lodówki, Wade wyjaśnił:

- Żeby nie miała szczeniąt co roku.

- Aha. Wade, za mało jest tu jedzenia, żeby móc utrzymać w dobrej kondycji ciało i duszę. Kupiłam

ci co nieco na targu.

- Mamo...

- Skończ już z tą „mama”. Nie odżywasz się jak należy, odkąd wyprowadziłeś się z domu, i nie powiesz mi, że nie mam racji. Życzyłabym sobie, żebyś częściej bywał u mnie na kolacji. Przyniosę ci jutro pyszną potrawę z tuńczyka. To, co tak lubisz.

Nie znosił potrawy z tuńczyka. Wprost nienawidził. Ale nigdy nie udało mu się jej o tym przekonać.

- Będę ci niezmiernie wdzięczny.

- Może wezmę też porcję dla Tory, Właśnie przed chwilą do niej zajrzałam. Bardzo wydorosłała. - Boots włożyła do miseczki trzy jajka. - Nie wiem, skąd ta dziewczyna bierze tyle energii. Bóg mi świadkiem, że nie po matce, ani też po tym swoim tatusiu...

Boots sięgnęła po słoik z piklami.

- Zawsze ją lubiłam, chociaż jakoś nigdy nie udało mi się do niej zbliżyć. Biedna, mała owieczka. Myślałam, żeby ją przygarnąć i zabrać do naszego domu.

Podszedł, objął Boots i przytknął policzek do jej świeżo polakierowanych włosów.

- Kocham cię, mamo.

- Wiem, słoneczko, ja także cię kocham. Dlatego tu jestem i zamierzam ci zrobić pyszną sałatkę z jajek, przecież nie mogę tak stać beczynnym i patrzeć jak mój jedyny syn kona z głodu. Robisz się za chudy.

- Nie ubyło mi nawet jednego deka.

- To znaczy, że od samego początku byłeś za chudy. Nie mógł się nie roześmiać.

- Nie dołożyłabyś jeszcze jednego jajka, mamo, żeby wystarczyło dla nas obojga?

Zejdę tylko na dół i zajrzę do Sadie. Zaraz wrócę i zjemy sobie razem lunch.

- To ładnie z twojej strony. Nie spiesz się.

Włożyła jeszcze jedno jajko do wody i zerknęła przez ramię, kiedy wyszedł.

Boots wiedziała, że jej syn jest dorosłym mężczyzną, ale przecież nadal pozostawał jej dzieckiem. Musiała się o nie troszczyć.

Pomyślała, że mężczyźni są bardzo nierozważni, a niektóre kobiety potrafią to wykorzystać.

Drzwi w tym budynku nie są aż tak grube, jak przypuszcza jej syn. Zaś kobieta, która dożyła

pięćdziesięciu trzech lat, nie może nie rozpoznać pewnych dźwięków. Doskonale wiedziała, kto był po drugiej stronie drzwi razem z jej chłopcem. Postanowiła jednak, że powstrzyma się od uwag na ten temat.

Ale nie spuści oka z Faith Lavelle, będzie ją obserwowała jak jastrząb.

Faith poszła sobie. Należało się tego spodziewać. Przykleiła kartkę do drzwi, narysowała na niej serce, a w środku odcisnęła usta, pozostawiając mu seksowny, czerwony pocałunek.

Odkleił ją i, chociaż było to idiotyczne, schował ją do szuflady na pamiątkę. Wróci, kiedy będzie w odpowiednim nastroju. A on ją przyjmie. I będzie ją przyjmował, dopóki nie zacznie sobą gardzić. Chyba że kiedyś Faith stanie się dla niego jedynie zajmującą rozrywką.

Pogłaskał Sadie po łbie, osłuchał ją, sprawdził cięcie i szwy. Ponieważ się obudziła i patrzyła na niego szklistymi, trochę nieprzytomnymi oczami, wziął ją ostrożnie na rękę.

Zabrał ze sobą na górę, żeby nie była sama.

Seks zaostrzył jej pragnienie. W znacznie radośniejszym stanie umysłu Faith postanowiła udać się do domu towarowego Hansona i kupić sobie butelkę czegoś zimnego.

Odwróciła się, spojrzała na okna mieszkania Wade'a. Posłała mu w myśli pocałunek.

Pomyślała, że może zadzwoni do niego później i zapyta, czy nie wybrałby się na wieczorną przejażdżkę. Mogliby pojechać do Georgetown i znaleźć sobie jakieś fajne miejsce nad wodą.

Dobrze go mieć - to bardzo wygodne i podniecające. Był równie niezawodny jak wschód słońca, zawsze na miejscu, ilekroć go potrzebowała.

Wspomnienia dawno minionego lata, kiedy w tak naturalny sposób mówił o miłości i o małżeństwie, o wspólnym domu i o dzieciach, czasami jeszcze usiłowały się wedrzeć do jej serca.

Błyskawicznie się z nich otrząsała. Wolała myśleć o przyprawiających o dreszczyk emocjach i szybkim, potajemnym seksie.

Pożyczy od Cade'a kabriolet i pojedą w stronę wybrzeża. Zaparkują gdzieś i będą się migdalili jak nastolatki.

Zaparkowała własny samochód kilka domów od gabinetu Wade'a. Niech sobie ludzie nie strzepią języków, choć i tak pewnie plotkują bez opamiętania. Miała już wsiąść do samochodu, kiedy zobaczyła Tory, która wyszła przed sklep i stanęła tyłem do chodnika, wpatrując się w coś.

Faith pomyślała, że to taka kaczką - dziwaczką, która nigdy nie wyrosła ze swoich śmiesznych piórek. Ciekawość jednak wzięła górę. Przeszła na drugą stronę ulicy i podeszła do Tory.

- Zapadłaś w ten swój trans? Tory drgnęła.

- Przyglądałam się wystawie. Właśnie malarz skończył sztyl.

- Hmm. - Faith oparła rękę na biodrze i sama uważnie się przyjrzała. Czarne, ozdobione zawijasami litery wyglądały całkiem ładnie. - „Komfort Południa”. Czy to właśnie sprzedajesz?

- Tak - odparła krótko Tory i skierowała się do drzwi.

- Nie jesteś zbyt przyjaźnie usposobiona do potencjalnej klientki. Tory zerknęła przez ramię. Faith wygląda wspaniale. Była wyzywająca, zadowolona z siebie.

- Sklep nie jest jeszcze otwarty.

Faith złapała drzwi, zanim się zamknęły, i wśliznęła się do środka.

- Wygląda na to, że jesteś jeszcze w lesie.

- Bliżej niż ci się wydaje. Muszę popracować, Faith.

- Och, nie krępuj się. Idź i rób swoje. - Machnęła ręką i zaczęła przyglądać się wszystkiemu z ciekawością.

Szyby w gablotach, które zbudowali ludzie Dwighta, lśniły, drewno wypolerowano do połysku. Kartony z towarem zostały starannie ułożone, a w wielkim plastikowym worku leżały kawałki styropianu. Na ladzie stał komputer.

- Wystarczy ci towaru, żeby wypełnić tę całą przestrzeń?

- Znajdzie się. - Nie mogąc wyrzucić nieproszonego gościa, Tory wzięła się do rozpakowywania towaru. - Planuję otwarcie w przyszłą sobotę. Ceny będą tego dnia niższe o dziesięć procent.

Faith wzruszyła ramionami.

- W weekendy jestem zajęta. - Wolnym krokiem podeszła do sięgającej pasa wielkiej gabloty ze szklanym wierzchem. Wewnątrz, na udrapowanym białym atłasie, leżały wzory ręcznie wykonanej srebrnej biżuterii, koraliki i kolorowe kamienie, rozrzucone tak, żeby przyciągały wzrok i pobudzały wyobraźnię.

Faith odruchowo chciała podnieść szklany wierzch, ale stwierdziła, że gablota jest zamknięta. Zerknęła w kierunku Tory, zadowolona, że nie zauważyła ona niczego.

- Masz tu trochę ładnych rzeczy - powiedziała, patrząc na srebrne, wiszące kolczyki z małutkimi lazurytowymi kuleczkami. - Nie sądziłam, że interesujesz się świecidełkami. Sama ich prawie nigdy nie nosisz.

- Robi je dla mnie troje artystów - odparła rzeczowo Tory. - Najbardziej lubię tę broszkę w środkowej części gabloty. Granat, cytryn i krwawnik w oprawie z czystego złota.

- Rozsypane jak gwiazdy... jak fajerwerki w Święto Niepodległości.

- Można tak to określić.

- Jest całkiem ładna, ale nie przepadam za broszkami ani spinkami. - Zagryzła wargę.

Chęć posiadania wzięła górę nad dumą. - Podobają mi się te kolczyki.

- Przyjdź w sobotę.

- Mogę być zajęta. - Chciała je mieć teraz. - Sprzedaj mi je. Czy nie na tym polega biznes?

Tory postawiła na półce ceramiczną lampę olejną.

- Jeszcze nie jestem gotowa do tego, żeby rozpocząć sprzedaż, ale... - Zbliżyła się do gabloty. - Przez pamięć na dawne lata...

- Nigdy nie było żadnych dawnych lat.

- Chyba masz rację. - Odczepiła klucze, zawieszona na pasku. - Które zwróciły twoją uwagę?

- Te. - Postukała w szybę. - Srebro i lazuryt.

- Pasują do ciebie. - Tory podniosła je pod światło i podała je Faith. - Możesz skorzystać z lustra, jeśli chcesz je przymierzyć.

Kiedy Faith podeszła do trójdzielonego lustra, oprawionego w brąz i miedź, Tory wyjęła z gabloty długi wisior. Po co sprzedawać jedną rzecz, skoro można dwie?

- To jedna z moich ulubionych rzeczy autorstwa tej samej artystki. Starając sienie okazać nadmiernego zainteresowania, Faith spojrzała w dół. Wisior miał kształt pękatej baryłki, zamkniętej w srebrnych dłoniach.

- Cudowne. - Zmieniła własne kolczyki na nowe i sięgnęła po wisior. - Nie widuje się czegoś takiego na ulicy.

- Nie. - Tory pozwoliła sobie na uśmiech. - Zamierzam sprzedawać tylko pojedyncze egzemplarze.

- Wezmę obie rzeczy. Wszystko co widuje się w Progress jest takie banalne.

Tory zamknęła spokojnie gablotę.

- Teraz będzie inaczej - powiedziała.

Faith przekręciła łańcuszek, żeby się przyjrzeć zameczkowi.

- Niektórzy powiedzieliby, że się przeceniasz. - Przeciągnęła palcem po łańcuszku i spojrzała znowu na Tory. - Ale to naprawdę jest ładne. Tylko że w Charleston zrobiłabyś jeszcze lepszy interes.

- Wolalam stamtąd wyjechać. Zaraz dam ci pudełeczka.

- Nie trzeba. Już ich nie zdejmę. - Otworzyła torebkę, wrzuciła niedbale do środka swoje kolczyki. - Odetnij tylko etykiety i policz, ile mam ci zapłacić. Wypiszę czek.

- Nie, nie można tak traktować kolczyków. Dam ci pudełeczko. Faith zaśmiała się krótko i wygrzebała je z torby.

- Dobrze, już dobrze.

Faith pomyślała, że seks i zakupy to najlepsza metoda spędzania dnia. I pewnie spędzi jeszcze niejedną przyjemną chwilę w tym sklepie.

Kto by pomyślał, że z małej, zastraszonej Tory Bodeen wyrośnie kobieta o tak wyrafinowanym smaku?

Jakiego trzeba było wysiłku, żeby wyszukać odpowiednie przedmioty, dotrzeć do ludzi, którzy to robią, zdecydować, czego od kogo wymagać i zaprojektować sklep, gdzie dobrze by się prezentowały.

A poza tym trzeba prowadzić księgowość i mieć oko na różne inne sprawy.

Faith była odrobinę zazdrosna, że przy odpowiednich zdolnościach można coś stworzyć z niczego.

Nie dlatego, żeby sama chciała uczestniczyć w takim przedsięwzięciu i wziąć na siebie te wszystkie obowiązki. Krępowało by ją to bardziej niż sznurek konopny. Ale czy to nie wspaniałe, że sklep znajduje się tak blisko od Wade'a? Może życie w Progress nabierze rumieńców, choćby na jakiś czas.

- Powinnaś wyeksponować tę misę. - Ustawiła dużą stołową misę pod kątem. - W ten sposób już z daleka będzie widać jej deseń.

Tory zamierzała to zrobić zaraz po rozpakowaniu towaru. Zajęta podliczaniem cyfr, ledwie rzuciła okiem.

- Już to podsumowałam, włącznie z podatkiem, wołałabym jednak, żebyś sprawdziła moje zdolności matematyczne.

- Zawsze miałaś stopnie lepsze ode mnie.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Faith przysięgłaby, że usłyszała głuchy jęk Tory.

Piskliwy szczebiot Lissy był tylko jednym z jej nieznośnych nawyków. Żeby nie wspomnieć o jej skłonności do polewania się konwaliowymi perfumami, których zapach wyprzedzał ją o kilometr i utrzymywał się jeszcze długo po jej wyjściu.

Kiedy Lissy pojawiła się w sklepie, Tory zazgrzytała zębami, mając nadzieję, że jej grymas zostanie potraktowany jako uśmiech.

- Och, jak cudownie! Wyszłam właśnie od fryzjera - wyobraźcie sobie, że ostatnio nie mogę już sobie sama poradzić z włosami - i szłam do biura, kiedy zobaczyłam was w sklepie.

Kiedy Lissy klasnęła w dłonie i obróciła się w kółko, Tory spojrzała porozumiewawczo na Faith.

- Weszłam tu, bo zobaczyłam szyld Tory - powiedziała Faith.

- Doskonale się prezentuje. Wszystko idzie jak należy? - Z jedną ręką na ciężarnym brzuchu Lissy odwróciła się, żeby dokładnie obejrzeć półki. - No widzisz, nie musiałaś harować. Dwight wykonał naprawdę dobrą robotę.

- Tak, nie mogłam lepiej trafić.

- On jest najlepszy. Musisz to przyznać, kochana!

Złapała olejową lampę, którą Tory postawiła właśnie na półce.

- Wprost uwielbiam przedmioty, które wtapiają się we wnętrze domu. Dwight uważa, że są siedliskiem kurzu, ale to przecież takie szczegóły stanowią o domu.

Tory wzięła głęboki oddech. Jeszcze jedną z irytujących cech Lissy był jej nawyk do stawiania wykrzyknika po każdym zdaniu.

- Gdyby kurz nie miał się do czego przyczepić, osiadałby na pustym stole.

- Trafne spostrzeżenie! - zawołała Lissy, zerkając ukradkiem na etykietkę. - To chyba drogo kosztuje, prawda?

- To jest rękodzieło, sygnowane - odparła Tory.

- Za dobrą rzecz trzeba dobrze zapłacić, Lissy - dodała Faith. - Sądzę, że Dwight niczego ci nie odmówi. - Zwłaszcza teraz, kiedy masz rodzić. Gdybym kiedykolwiek miała nosić przez dziewięć miesięcy taki ciężar, mężczyzna, który by mi go zafundował, musiałby mi dać gwiazdkę z nieba.

Nie do końca przekonana, czy to był komplement, czy zniewaga, Lissy zmarszczyła brwi.

- Kto jak kto, ale Dwight dba o mnie aż do przesady.

- Nie wątpię. Właśnie kupiłam sobie te kolczyki. - Trąciła jeden koniuszkiem palca. -

A także wisior. Tory przyspieszyła dla mnie sobotnią inaugurację sklepu.

- Naprawdę? - Oczy Lissy stały się czujne.

Nie należała do osób, które pozwolą się komukolwiek zdystansować. Zachłannie przycisnęła lampę do piersi.

- Tory, ja to muszę mieć. Nie chcę, żeby w sobotę ktoś mnie uprzedził. Sprzedaj mi to dzisiaj, dobrze?

Tory zakreśliła kółkiem sumę zakupu, żeby Faith mogła ją sprawdzić.

- Musiałabyś zapłacić gotówką albo czekiem. Nie jestem jeszcze przygotowana na przyjęcie kart kredytowych. Ale z przyjemnością odłożę ci tę lampę, o ile...

- Nie, nie, mogę wypisać czek. A skoro tu jestem, jeszcze trochę pomyszkuję? Czuję się tutaj jak w sklepie z zabawkami.

Tory zdjęła lampę i postawiła ją na ladzie.

- Czy te lustra też są na sprzedaż?

- Tutaj wszystko jest na sprzedaż. - Tory wyjęła spod lady granatowe pudełeczko i ułożyła w nim stare kolczyki Faith.

- Świetnie. I nie musisz mi dziękować - dodała pod nosem Faith.

- Zastanawiam się, czy zrobiłaś to, żeby mi pomóc, czy po to, żeby mnie zezłościć -

odpowiedziała w taki sam sposób Tory. - A może, żeby ją wyprowadzić z równowagi. -

Wpisała cenę lampy. - Handel jest handlem, więc jednak ci podziękuję. Wiedziałaś, w którą stronę uderzyć.

- Mówisz o niej? - Faith zerknęła w kierunku, gdzie Lissy wydawała ochy i achy. -

Jest tak nieskomplikowana, że aż wprost trudno uwierzyć.

- Kupuje jedno z tych luster i może się okazać moją nową najlepszą przyjaciółką.

- No cóż, lubią takie rzeczy! - Bawiąc się doskonale, Faith wyciągnęła książeczkę czekową. - Wykonałam tylko pierwszy ruch.

- Koniecznie muszę mieć to lustro, Tory. To owalne z liliami z boku. I jeszcze nie widziałam czegoś podobnego. Będzie doskonale pasowało do pokoju gościnnego.

Tory zerknęła na Faith.

- Przykro mi, ale zdystansowała cię. Zaraz przyniosę karton z zaplecza.

- To miło z twojej strony. Słowo daję, jest tu tyle rzeczy, a podejrzewam, że jeszcze nie rozpakowałaś połowy. Właśnie zastanawialiśmy się wczoraj wieczorem z Dwightem, jak na to wszystko znajdujesz czas. Na urządzenie domu, sklepu, załatwianie dostaw i spędzanie wieczorów z Cad'em? Twoja doba musi trwać co najmniej dwadzieścia osiem godzin.

- Z Cadem? - wyrwało się Faith.

- Nie sądziłam, że jest taki szybki - ciągnęła Lissy. - Ale wiesz, co się mówi na temat cichej wody.

- Nie wiem, o czym mówisz - zachnęła się Tory. - Nic nas z Cade'em nie łączy.

- Och, nie rób z siebie skromni, przecież tu sami swoi. Dwight opowiedział mi wszystko, wytłumaczył, że prawdopodobnie będziesz wolą unikać rozgłosu, przynajmniej na razie. Nie martw się, nie powiedziałam nikomu.

- Bo i nie ma nic do opowiadania. Absolutnie nic. My tylko... - Ujrzała dwie pary świdrujących ją oczu i poczuła, że język odmawia jej posłuszeństwa. - Dwight jest w błędzie.

Pójdę po pudełko.

- Nie rozumiem, dlaczego tak jej cholernie zależy na utrzymaniu tego w sekrecie -

skomentowała Lissy, kiedy Tory pobiegła do magazynu. - Przecież oboje nie mają żadnych małżeńskich zobowiązań. Oczywiście - dodała, z głupim uśmiechem - to, że po niecałym miesiącu pobytu tutaj zabawia się z Cade'em w łóżku, nie pasuje do wizerunku spokojnej, szanującej się damy, jaki sama lansuje.

- Jak to? - zapytała Faith. - Uważasz, że szanujące się damy powinny unikać seksu? -

Z fałszywie promiennym uśmiechem dotknęła brzucha Lissy. - Dorobiłaś się tego, ponieważ jadłaś za dużo czekolady?

- Jestem mężatka.

- Nie byłaś nią, kiedy Dwight zabawiał się z tobą na tylnym siedzeniu używanego camaro, którego mu tata kupił w nagrodę za osiągnięcia na bieżni.

- No wiesz! Na miłość boską, Faith, ty też dawałaś się podrywać w aucie.

- Zgadza się. I dlatego uważam, w kogo celuję kamieniem, jeśli już koniecznie muszę go rzucić. - Z rozmachem podpisała czek.

- Powiedziałam tylko, że jak na kogoś, kto dopiero co wrócił do Progress I przebywał

Bóg wie gdzie przez tyle lat, bardzo szybko uczepiła się Lavelle'a.

- Nikt nie przyczepi się do żadnego Lavelle'a, jeśli on sam tego nie chce. - Pomyślała jednak, że trzeba się będzie nad tym zastanowić. I to poważnie.

Tory miała ochotę zamknąć sklep natychmiast po wypchnięciu za drzwi nieoczekiwanych klientek. Ale wówczas uległby zmianie cały jej rozkład zajęć, a poza tym nie chciała nadawać zbyt wielkiego znaczenia głupiej plotce Lissy.

Pracowała jeszcze trzy godziny, wpisując ceny, sortując i ustawiając towar. Fizyczna praca i nudna papierkowa robota nie pozwoliły jej na rozmyślania.

Jednak podczas jazdy do domu miała aż nadto dobrą okazję.

Nie zamierza tolerować plotek. Powinna je ignorować, wznieść się powyżej nich.

I trzymać na dystans Cade'a.

Nie będzie z tym najmniejszego problemu.

Przywykła nie zwracać uwagi na tych, którzy sobie strzępią na innych języki, potrafi nie zaprzętać sobie głowy plotkami o jakimś romansie. Jednak nie musiała spędzać tyle czasu z Cade'em Lavelle. Kilka kolacji, kilka wypadów do kina, jakaś przejażdżka. Same niewinne czynności w publicznych

miejscach.

Odtąd będzie po prostu chodziła sama.

Nagle zobaczyła jego ciężarówkę, stojącą na skraju pola.

Chciała ją minąć. Nie było żadnego powodu do zatrzymywania się. Lepiej jechać do domu i pozwolić, by cała ta idiotyczna sprawa umarła naturalną śmiercią.

Pamiętała jeszcze drapieżny błysk w oczach Lissy.

Szarpnęła kierownicą, zjechała na bok szosy, w miejsce, gdzie falowała gęsta trawa.

Musi powiedzieć Cade'owi, żeby przestał o niej rozmawiać ze swoimi kretyńskimi kumplami.

Niech się nie zachowuje jak szczeniak, do jasnej cholery!

Piney Cobb zaciągnął się ostatnim marlboro z paczki. Zobaczył kombi, które zjechało na pobocze. Ależ ta mała od Bodeen'ow urosła. Nie spuszczał z niej oczu, kiedy, omijając rządki bawełny, zbliżała się szybko w ich stronę.

Stojący obok niego Cade bacznie przyglądał się pracom polowym i dojrzewającym plonom. Może miał dziwne pomysły, ale zdawały one egzamin. Cobb uważał, że to nie jego interes. Płacono mu tyle samo niezależnie od tego, czy spryskiwał bawełnę diabli wiedzą czym, czy też rozpieszczał ją krowim łajnem albo biedronkami.

- Przydałby się dobry deszcz, taki jak poprzedniej nocy - powiedział Cade.

- Przydałby się. - Piney podrapał się w siwiejącą brodę. - To, co masz tutaj, jest o jakieś osiem centymetrów wyższe niż na innych polach.

- Bawełna hodowana w sposób naturalny rośnie szybciej — odparł Cade. - Środki chemiczne hamują wzrost.

- Tak właśnie kiedyś powiedziałeś. - I sprawdziło się to, pomimo poważnych wątpliwości Pineya. Pomyślał, że może w końcu wykształcenie nie jest aż takim zawracaniem głowy. - Szeffie! - Piney sztachnął się ostatni raz, a następnie starannie zgniótł peta pod podszwawą. - Masz jakieś damskie problemy?

Cade, zajęty kilkoma sprawami naraz, zareagował dopiero po chwili.

- Co takiego?

- Żyję już na tyle długo, żeby poznać, kiedy kobietę ponosi. Podniósł wzrok, mrużąc oczy od słońca, i leniwym ruchem głowy kiwnął w stronę przedzierającej się do nich Tory.

- Jest tu taka jedna. Można powiedzieć, że już cię zabiła swoim wzrokiem.

- Nie mam żadnych problemów.

- Chyba się jednak mylisz - mruknął Piney i cofnął się o krok.

- Tory! Co za miła niespodzianka!

- Czyżby? Jeszcze się okaże. Muszę z tobą porozmawiać.

- W porządku.

- Na osobności.

- Już się zmywam.

Tory przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Bardzo pana przepraszam, panie Cobb.

- Nie ma za co. Nie sądziłem, że jeszcze mnie pamiętasz. Nie pamiętała - albo też nie zdawała sobie z tego sprawy.

Wypowiedziała jego nazwisko bez zastanowienia. Przez chwilę zobaczyła odległy w czasie obraz kościstego, chudego mężczyzny o włosach w kolorze pszenicy, który pachniał

alkoholem i podsuwał jej miętowe dropsy.

Nadal jest kościsty, zauważyła, a wiek i pijaństwo odcisnęły bezlitosne piętno na jego twarzy. Stał przygarbiony, a włosy przerzedziły mu się.

- Pamiętam, że dawał mi pan cukierki i że pracował pan na polu sąsiadującym z polem mojego ojca.

- Zgadza się. - Ukazał w uśmiechu zęby, tak nierówne i rzadkie, jak stary drewniany płot. - Teraz pracuję dla tego uczonego chłopaka. Lepiej mi płaci. Już się stąd zabieram. Do zobaczenia rano, szefie.

Wyjął z kieszeni miętusa i podał go Tory. - O ile pamiętam, zawsze je lubiłaś.

- I nadal lubię. Dziękuję.

- Było mu przyjemnie, że go pamiętasz - powiedział Cade, gdy Piney odchodził polem w stronę szosy.

- Mój ojciec wygłaszał mu kazania na temat zgubnego wpływu whisky, po czym, mniej więcej raz w miesiącu, upijali się razem. Następnego dnia Piney wychodził w pole i pracował jak zwykle, a mój ojciec krzyczał na niego, stojąc między rzędami bawełny. -

Potrząsnęła głową i zwróciła się do Cade'a. - Nie zatrzymałam się tutaj po to, żeby snuć

wspomnienia. Powiedz mi, co miałeś na myśli, mówiąc swojemu przyjacielowi Dwightowi, że się widzimy?

- Nie jestem pewny...

- Otóż my się nie widzimy!

Cade uniósł brwi, zdjął okulary przeciwsłoneczne i zawiesił je na koszuli.

- A jak to inaczej nazwać, Tory? Przecież stoję tu teraz i patrzę na ciebie.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Nie umawiamy się na randki.

Nie uśmiechnął się, choć miał ochotę. Zamiast tego podrapał się po głowie, udając głupiego.

- Wydaje mi się, że jest to bardzo podobne do randek.

- Mylisz się. Nie umawiamy się na randki, powiedzmy to sobie jasno.

- Tak jest, proszę pani.

- Nie kpij ze mnie. Nie masz prawa opowiadać Dwightowi, że coś nas łączy. Od razu wszystko wypaplał Lissy, a ona w tym swoim kurzym mózdzku ubzdurała sobie jakieś seksualne przygody. Nie chcę, nie życzę sobie, żeby ludzie z jej otoczenia uważali, że jestem twoją ostatnią miłością.

- Ostatnią? - Wsadził kciuki do kieszeni, wychylił się do tyłu na obcasach znoszonych roboczych butów. - A ile, według ciebie, miałem tych miłostek?

- To mnie nie obchodzi.

- Ale to ty poruszyłaś tę sprawę - odpowiedział, z przyjemnością obserwując jak się złości.

- Powiedziałaś Dwightowi, że coś nas łączy.

- Nie, nie powiedziałem. - Olśniło go nagle. - A więc o to ci chodzi?

- Jesteś dorosłym człowiekiem, a zachowujesz się jak smarkacz.

- Zaszło nieporozumienie. Lissy nie mieści się w głowie, że mężczyzna może chodzić luzem. To jest naprawdę męczące. Kiedy ostatnio coś takiego wykombinowała, powiedziałem Dwightowi, żeby się ode mnie odczepiła, ponieważ mam namiętny romans.

- Ze mną? - Omal jej oczy nie wyszły na wierzch.

- Nie powiedziałem, że z tobą - przerwał Cade - ale Dwight mógł tak pomyśleć, ponieważ rozmawialiśmy o tym w twoim sklepie. To do niego zgłaszaj pretensje. Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego tak się złości. Oboje jesteśmy wolnymi ludźmi, widzimy się...

akurat to jest prawdą, Tory - dodał, zanim zdążyła zaprotestować. - A skoro Lissy woli uważać, że sprawy między nami posunęły się dalej, komu to szkodzi?

Był rozbawiony. Poznała to po jego oczach, usłyszała w jego głosie.

- Uważasz, że to takie śmieszne?

- Nie tyle śmieszne, co zabawne. Zabawna nieszkodliwa anegdota.

- Żartobliwa anegdota? Do jasnej cholery! Lissy rozniesie to po całej okolicy - jeśli już tego nie zrobiła.

Wrony krakały, zataczając koła.

- Też mi tragedia! Może powinniśmy zamieścić sprostowanie w prasie? Kiedy odskoczyła gwałtownie, złapał ją za ramię, zatrzymał w miejscu.

- Powinnaś ochłonąć, Wiktorio.

- Nie opowiadaj mi bzdur. Właśnie jestem w trakcie zakładania firmy i nie chcę być obiektem podwórzowych plotek.

- Plotki są rzeczą normalną w miasteczkach. Zbyt długo mieszkałaś w dużym mieście i zapomniałaś już o tym. Ludzie będą gadać i zaglądać do twojego sklepu, żeby ci się przyjrzeć z bliska. Co w tym złego?

Powiedział to łagodnym, przekonującym tonem.

- Nie lubię, żeby się na mnie gapiono. Dostyc już tego miałam w życiu.

- Mogłaś się tego spodziewać, decydując się na powrót. I jeśli ktoś na ciebie spojrzy, od razu będzie wiedział, dlaczego wpadłaś w oko Cade'owi Lavelle'owi.

- Nie zbacжай z tematu. - Czowała, że traci grunt pod nogami. - Kiedy Lissy obwieściła swoją rewelację, Faith była w sklepie. - Skrzywił się, co odebrała nie bez pewnej satysfakcji. -

Widzę, że nie jest już ci tak wesoło.

- Jeżeli Faith zacznie mnie maglować w tej sprawie - co jest więcej niż pewne - to niech przynajmniej ma do tego jakieś podstawy. - Ścisnął mocniej jej ramię, rzucił okulary na ziemię. Przyciągnął ją o krok bliżej.

- Co ty wyprawiasz?

- Dlaczego jesteś taka przerażona? - Wolną ręką objął jej kark. - Chcę tylko poznać twój smak.

- Ani się waż. - Ale jego wargi muskały już jej usta.

- Nie zrobię ci krzywdy. Obiecuję.

Jego słowa uspokoiły go, rozbudziły wszystkie pragnienia, które tak starannie ukrywała w sobie.

Usta Cade'a były delikatne, subtelne, zachęcające jej wargi do... poznawania jego smaku. Poczula go. Poprzez napięcie zmieszane z czujnością poczuła spływające do brzucha ciepło. A kiedy ta mieszanka wezbrała w jej sercu, wycofał się ostrożnie.

- Gdy tylko cię zobaczyłem, od razu poczułem coś do ciebie - powiedział prawie szeptem. Jego ręka nadal pieściła jej kark.

Kręciło się jej w głowie. Nie lubiła tego uczucia.

- To jakaś pomyłka. Ja nie... - Cofnęła się i coś zachrząściło pod jej obcasem.

- Do diabła, już drugie w tym tygodniu. - Tylko pokiwał głową nad rozdeptanymi okularami. - Życie jest pełne pomyłek - dodał i pocałował ją znowu lekko. - Nie sądzę, żeby tak miało być w tym przypadku, ale musimy się temu przyjrzeć, żeby się przekonać.

- Cade, ja nie nadaję się do tego rodzaju spraw.

- Do jakich spraw? Myślisz o całowaniu się?

- Nie. - Zdumiał ją jej własny śmiech. Jak mogła się śmiać, skoro była tak przerażona?

- Źle się czuję w związku z mężczyznami.

- A jednak będziesz musiała tego doświadczyć.

- Nie chcę niczego doświadczać. - Westchnęła tylko, kiedy przywarł wargami do jej czoła. - Cade, jest tyle rzeczy, których o mnie nie wiesz.

- Ani ty o mnie. Więc odkryjmy te tajemnice. Ładny dziś wieczór. - Wziął ją za rękę. -

Nie wybralibyśmy się na przejażdżkę?

- To nie rozwiązuje sytuacji.

- Możemy się gdzieś zatrzymać i coś zjeść, jeśli nam przyjdzie ochota. - Odsunął ją i schylił się, żeby pozbierać rozbite szkło. - Jestem cierpliwym człowiekiem. Rozejrzyj się dookoła, sama się przekonasz. Przeobrażenie farmy zajęło mi trzy sezony. Zrobiłem to, co chciałem, ponieważ w to wierzyłem, na przekór tradycji kilku pokoleń. Nadal są jeszcze tacy ludzie, którzy wytykają mnie palcami, śmieją się albo klną. A wszystko dlatego, że nie poszedłem utartą, sprawdzoną drogą, do której są przyzwyczajeni i którą rozumieją. A jeśli ludzie czegoś nie rozumieją, najczęściej przeraża ich to.

Popatrzyła na niego, po czym odwróciła głowę. Czarująco beztroski mężczyzna, który śmiechem

rozbroił jej zły humor, był w środku mocny jak stal. Pomyślała, że lepiej o tym nie zapominać.

- Wiem o tym. Żyłam z tym.

- Czemuż więc, skoro oboje nie pasujemy do otoczenia, nie mielibyśmy się przekonać, dokąd to nas zaprowadzi?

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie wyobrażam sobie Lavelle'a, który nie byłby przystosowany do życia w Progress.

- Przekonamy się, czy nie zmienisz zdania, kiedy zanudzę cię na śmierć opowiadaniem o cudach naturalnych upraw i urodzie zielonej bawełny. - Uniósł jej rękę i pocałował. - Ale zrobię to, ponieważ już od miesiący nie znalazłem żadnej ofiary. Wiesz co?

Jedź do domu. Muszę się trochę doprowadzić do porządku. Podjadę po ciebie mniej więcej za godzinę.

- Muszę popracować.

- Każdego dnia jest coś do zrobienia. - Otworzył drzwi jej samochodu. Będę za godzinę - powiedział, kiedy usiadła za kierownicą. - Aha, Tory. Żeby nie było nieporozumienia. To jest randka.

Zamknął drzwi, włożył race do kieszeni i pomaszerował do swojej ciężarówki.

Och, nie bądź małostkowy, Cade. Proszę cię tylko o jedną drobną przysługę. - Faith wyciągnęła się na łóżku brata, podparła pięściami brodę i patrzyła na niego przymilnie.

Zaczęła zaglądać do jego pokoju po śmierci Hope, kiedy nie mogła znieść samotności.

Teraz wpadała tu głównie wtedy, gdy miała jakąś sprawę.

- Marnujesz tylko czas. - Rozebrany do pasa, z mokrymi jeszcze włosami po prysznicu, wyciągnął świeżą koszulę z szafy. - Potrzebny jest mi samochód na wieczór.

- Możesz z niego korzystać, ilekroć chcesz.

- Zgadza się, mogę. I właśnie potrzebny mi jest na dzisiejszy wieczór.

- A kto dzisiaj zrobił zakupy, żebyś miał co włożyć do ust? - Podniosła się i uklękła na łóżku. - Kto udał się do pralni chemicznej po twoje rzeczy? A ty nie możesz mi pożyczyć auta na jeden wieczór! Jesteś strasznym egoistą.

Cade z uśmiechem na twarzy włożył koszulę i zaczął zapinać guziki. - I co jeszcze?

- Nienawidzę cię. - Złapała poduszkę, cisnęła nią, chybiając o dobre pół metra. Nigdy nie umiała dobrze celować.

- Mam nadzieję, że rozwalisz ten cholerny samochód i skończysz uwięziony w stosie powykręcanej, rozżarzonej blachy. - Kolejna poduszka poszybowała nad jego głową. Nawet nie musiał się uchylić. - Mam nadzieję, że szkło powchodzi ci w oczy i że oślepniesz, a kiedy to się stanie, będę pękała ze śmiechu.

Odwrócił się do niej tyłem - celowa, wykalkulowana obelga.

- No cóż, sądzę więc, że jutro nie będziesz chciała pożyczać takiego wraka.

- Chcę go mieć teraz!

- Faith, skarbie... - Wsunął koszulę do spodni, wziął z biurka zegarek. - Zawsze chcesz mieć wszystko natychmiast. - Nie mógł się oprzeć, żeby nie pokazać jej kluczyków. - Ale tego nie możesz mieć.

Wrzasnęła - był to pierwotny okrzyk wojenny - i zerwała się z łóżka. Mógł zejść jej z drogi, ale wolał złapać i obezwładnić ją, zanim dobierze się tymi ślicznymi, zabójczymi paznokciami do jego twarzy.

Poza tym, gdyby jej zszedł z drogi, wpadłaby, zaślepiona wściekłością, prosto na sekretarzyk.

- Zrobisz sobie coś złego - ostrzegł, szamocząc się z nią.

- Nie, zamierzam cię zabić. I zamierzam ci wydlubać oczy.

- Masz dzisiaj jakąś obsesję na punkcie moich oczu. Jeśli mi je wydlubiesz, skąd będę wiedział, jaka jesteś śliczna?

- Puść mnie, ty sukinsynie. Walcz jak mężczyzna.

- Gdybym walczył jak mężczyzna, znokautowałbym cię i miałbym spokój. - Żeby doprowadzić Faith do szału, pochylił się i szybko ją cmoknął. - Nie musiałbym tak się z tobą szarpać.

Chwilowo dała za wygraną. Najpierw postanowiła uciec się do łez.

- Och, dajmy temu spokój. Już nie chcę twojego starego, ohydneho samochodu.

- To także nie odniesie skutku. Zbyt łatwo płaczesz. - Ale pocałował ją w czoło. -

Jutro możesz wziąć samochód na cały dzień i pół nocy, jeśli zechcesz. - Uścisnął ją czule i cofnął się o krok.

I ujrzał wszystkie gwiazdy, kiedy kopnęła go w goleń.

- O Jezu! - Odepchnął ją na bok. - Ty przebiegła suko.

- Ciesz się, że nie poszłam za pierwszym odruchem i nie użyłam kolana.

- Kiedy się pochylił, żeby rozetrzeć bolące miejsce, rzuciła się na klucze, które wciąż trzymał w ręku. Prawie je złapała, gdy Cade obrócił się, a ona z rozpędu przeleciała obok niego i runęła na podłogę z głuchym łoskotem.

- Kincade! Faith Ellen! - Jak szpicrutą smagnął ich głos. Margaret, która stanęła na progu pokoju sztywna i blada.

- Mama - Cade przełknął ślinę, odchrząknął.

- Ciągłe słyszę wasze krzyki i przekleństwa. Słyszy je również sędzia Purcell, którego podejmuję dzisiaj wieczorem. Słyszy je Lilah i dochodząca pokojówka, a także młody człowiek, który przyszedł, żeby ją zabrać do domu.

- Przeczekała całą awanturę, żeby wytknąć teraz niewłaściwe zachowanie swoim dzieciom. - Może uważacie takie zachowanie za normalne, ale ja jestem innego zdania i nie życzę sobie, żeby goście, służba i obcy ludzie doszli do wniosku, że wychowałam dwie hieny.

- Przepraszam.

- Powiedz, żeby i mnie przeprosił - zażądała Faith, dásając się i rozcierając stłuczony łokieć. -

Popchnął mnie na podłogę.

- Nic podobnego. Sama się potknęłaś.

- Zachowywał się okropnie. Poprosiłam go, i to bardzo grzecznie, żeby mi pożyczył

samochód na wieczór, a on zaczął mnie wyzywać i wyrzucać z pokoju. - Skrzywiła się z bólu, dotykając ostrożnie ramienia. - Mam siniaki.

- Podejrzewam, że miała tu miejsce drobna prowokacja. Nie powinieneś się jednak, Cade, uciekać do przemocy wobec siostry.

- Masz rację, mamó. - Cade sztywno skinął głową. - Masz rację pod każdym względem. Przepraszam.

- Bardzo dobrze. - Margaret przeniosła wzrok na Faith. - Cade może dysponować samochodem według własnego uznania. A teraz skończmy już z tym.

- Chcę po prostu wyjść z domu na parę godzin. - Faith najeżyła się, dając upust swej złości. - Równie dobrze może skorzystać z ciężarówki, żeby pojechać w jakieś ciemne, ustronne miejsce, gdzie będzie obmacywał Tory Bodeen.

- Pięknie to powiedziałaś, Faith - mruknął Cade. - I z jaką pasją!

- Kiedy to prawda. Wszyscy w mieście wiedzą, że chodzicie ze sobą. Margaret zrobiła dwa kroki naprzód, zanim się opanowała.

- Czy ty... czy zamierzasz się spotkać wieczorem z Wiktorią Bodeen?

- Tak.

- Czyżbyś nie był świadom uczuć, jakie wobec niej żywię?

- Nie, mamó. Wiem wszystko.

- Oczywiście moje uczucia nic dla ciebie nie znaczą. Fakt, że odegrała taką rolę w śmierci twojej siostry, a swoją osobą ciągle przypomina o tej stracie, nic dla ciebie nie znaczy.

- Nie winie jej za śmierć Hope. Przykro mi, że ty tak uważasz, a zwłaszcza jest mi przykro, że moja przyjaźń z nią sprawia ci ból.

- Zachowaj dla siebie takie wymówki - powiedziała chłodno Margaret. - Masz wolny wybór, jeśli chodzi o własne życie, ale trzymaj tę kobietę z daleka ode mnie. Czy jasno się wyraziłam?

- Tak, mamó. - Jego lodowaty głos stanowił odbicie jej głosu. - Aż nadto jasno.

Odwróciła się bez słowa i wyszła równym, wolnym krokiem. Cade wpatrywał się w nią. Wolałby nie widzieć smutku w jej oczach, nie czuć się za to odpowiedzialny. Rzucił

wściekłe spojrzenie Faith.

- Doskonała robota, jak zawsze. Baw się dobrze wieczorem. Kiedy wyszedł, zacisnęła powieki. Czowała pustkę w brzuchu, wypaloną przez własną bezmyślność. Przez chwilę siedziała, kołysząc się, po czym poderwała się na równe nogi i popędziła w stronę schodów.

Usłyszała dźwięk zatraskujących się drzwi frontowych.

- Tak mi przykro - wyszeptała, siadając na podeście. - Nie pomyślałam. Nie chciałam tego. Nie chcę, żebyś mnie nienawidził. - Opuściła głowę na kolana. - Wystarczy, że sama siebie nienawidzę.

- Mam nadzieję, że darujesz mi zachowanie się moich dzieci, Geraldzie. - Margaret weszła do salonu, w którym czekał na nią jej stary przyjaciel.

W domu Geralda, gdy dzieci mieszkały jeszcze pod wspólnym dachem, nie dochodziło nigdy do takich awantur. Zresztą jego córki zostały tak wychowane, że w każdej sytuacji zachowywały się jak damy.

Uśmiechnął się do Margaret współczująco.

- Nie, Margaret, nie masz za co przepraszać. Po prostu mają żywiołowy temperament.

- Wziął kieliszek sherry, który odstawiała przed pójściem na górę i podał go jej.

Cicho grała muzyka. Bach. Lubili go oboje. Jak zawsze przyniósł róże, a Lilah wstawiła je do wazonu na fortepianie.

Salon z ciemnoniebieskimi kanapami i spatynowaną politurą drewna, był doskonale stonowany, dokładnie taki jak chciała Margaret. Na fortepianie grywano rzadko, ale instrument zachował dawne brzmienie. Pragnęła kiedyś, żeby jej córki nauczyły się dobrze grać, ale spotkało ją rozczarowanie.

Nie było tu fotografii rodzinnych - traktowała to pomieszczenie jako miejsce spotkań towarzyskich i przyjęć. Każdy przedmiot został starannie dobrany wedle ściśle określonego schematu, w którym dziedzictwo pokoleń przeplatało się w niezauważalny sposób z jej własnymi nabytkami.

Nikt nie śmiałyby tutaj położyć nóg na stół, a dzieci nie rozrzucały zabawek na dywanie.

- Żywiołowy temperament - powtórzyła. - Jesteś uprzejmy, że tak mówisz. - Podeszła do okna i zobaczyła znikającego na podjeździe Cade'a. - Obawiam się, że to coś więcej.

- Nasze dzieci dorosły, Margaret.

- Tylko niektóre z nich.

Zamilkł. Wiedział, że temat Hope nie był dla niej łatwy.

Znał ją od trzydziestu pięciu lat i kiedyś, przez krótki okres, starał się o jej rękę.

Wybrała Jaspera Lavelle'a - był majątniejszy i miał bardziej błękitną krew. Nie przejął się tym zanadto, a przynajmniej tak to sobie wmawiał.

Już wówczas, jeszcze jako młody prawnik, miał wielkie ambicje. Sam dobrze się ożenił, wychował dwoje dzieci, a od pięciu lat korzystał z przywilejów wdowca.

Podobnie jak jego stara przyjaciółka, nie narzekał na swój status. Pochłaniał znacznie mniej czasu i energii niż stan małżeński.

Gerald był wysokim, dobiegającym sześćdziesiątki mężczyzną, o wyrazistych rysach, z ogromnymi, czarnymi brwiami, które sterczały jak nastroszone pióra nad jego dostojną twarzą.

Żył z prawa - z jego wszystkich kruczków i zawilóści - odnosząc sukces i stając się szanowanym obywatelem w tym mieście.

Lubił towarzystwo Margaret, ich rozmowy o sztuce i literaturze, towarzyszył jej też zwykle na różnych uroczystościach i imprezach. Nigdy nie posunęli się dalej poza chłodny, przyjacielski pocałunek w policzek.

Korzystał z usług młodych prostytutek, które za pieniądze zaspokajały jego seksualne fantazje i pozostawały anonimowe.

Był zagorzałym republikaninem i gorliwym baptystą. Traktował swoje seksualne przygody jak pewnego rodzaju hobby. Zamiast golfa.

- Nie wiem, czy potrafią dotrzymać ci dzisiaj towarzystwa, Geraldzie. Zgodnie z tradycją mieli zjeść kolację w Beaux Rêves, wypić kawę i pogawędzić pół godziny w ogrodzie.

- Jestem twoim starym przyjacielem i nie musisz się mną krępować.

- Może więc będę mogła cię wykorzystać. Jestem zaniepokojona, Geraldzie. Chodzi o Wiktorię Bodeen. Miałam nadzieję, że sama sobie z nią poradzę, ale właśnie dowiedziałam się, że Cade się z nią spotyka.

- Jest dorosłym człowiekiem, Margaret.

- Jest moim synem. - Kiedy odwróciła się od okna, miała surowy, nieugięty wyraz twarzy. - Nie życzę sobie tego.

- Jeśli przyciśniesz go mocno, nadasz Wiktorii Bodeen zbyt wielkie znaczenie.

- Nie zamierzam go przyciskać. Powinien był się ożenić z twoją Deborah, Geraldzie.

Ponieważ oboje tego żałowali - może on trochę mniej - uśmiechnął się ze smutkiem.

- Moglibyśmy mieć wspólne wnuki.

- No właśnie - powiedziała półgłosem Margaret i postanowiła sięgnąć po sherry.

Tory czekała na niego. Miała już jasny obraz sytuacji. Potrzebowała trochę czasu i dystansu, żeby dojść do wniosku, iż ją wymanewrował. Zrobił to bardzo łagodnie i zręcznie.

Zbyt długo kierowała swoim życiem, by oddać się teraz w czyjeś ręce.

Owszem, lubi jego towarzystwo. Była dumna z siebie, że może to tak otwarcie przyznać.

Jest jednak zbyt zaabsorbowana rozkręcaniem swojego biznesu, instalowaniem się w mieście, oswajaniem się na nowo z terenem, by poświęcać czas i energię na związek z kimkolwiek.

Oczywiście, czuje się mile połaskotana faktem, że się nią zainteresował, ale będzie lepiej dla wszystkich, jeśli po prostu wycofają się z tego od razu. Ma nadzieję, że pozostaną przyjaciółmi. Musi to wystarczyć teraz i w przyszłości.

Czuła jego smak, nawet kiedy tego nie chciała. Intensywny słodki smak dojrzałej brzoskwini, strąconej przez wiatr z powykręcane go starego drzewa nad rzeką za miastem.

Pszczoły, pijane sfermentowanym sokiem, roją się, bzyczą wokół leżącego na ziemi owocu.

Nie spodziewała się, że okaże się taki gorący i słodki, ani też, że tak silnie na nią podziała.

Nie spodziewała się, że poczuje tak doskonałą z nim więź, jak gdyby był tą brakującą częścią łamigłówni jej życia.

Upomniała sobie, że jest to dorabianie romantycznego wątku do zwykłej sprawy. Nie może udawać, że nie wyobrażała sobie ich pocałunku.

Doszła do wniosku, że zrobił to celowo, żeby ją zaintrygować.

Jest sprytnym człowiekiem. Ale na nic to się nie zda.

Była teraz gotowa na spotkanie z nim. Nie czuła złości ani zakłopotania, które mąciłyby myśli. Kiedy Cade podjedzie, wyjdzie przed dom. W ten sposób uniemożliwi mu wejście do środka, nie da mu okazji, by skomplikował wszystko. Wygłosi swoje króciutkie przemówienie, życzy mu wszystkiego najlepszego, po czym wróci do środka i zamknie drzwi.

I pozostanie tam bezpieczna.

Mając gotowy plan, poczuła się znowu lepiej. Kiedy usłyszała samochód, odetchnęła z ulgą. Jeszcze trochę, a znowu wszystko wróci do normy.

Wyszła przed dom i zobaczyła Cade'a.

Siedział w pięknym kabriolecie, miał potargane przez wiatr gęste włosy, trzymał ręce na kierownicy. Powitał ją miłym uśmiechem, za którym dostrzegła jednak zdenerwowanie, złość i napięcie.

Żadna ukartowana próba manewru, żaden wykalkulowany zamysł nie mogłyby skuteczniej osłabić jej postawy.

- To cecha, którą najbardziej w tobie lubię, Tory. Jesteś punktualna. - Wsiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć jej drzwiczki.

- Powiedz, co się stało - powiedziała Tory.

- A stało się coś? - Spuścił wzrok, chcąc zbagatelizować całą sprawę. Cofnął się, i wrócił na swoje miejsce, kiedy wsiadła do środka. - Czy zaglądasz w moje myśli?

Szarpnęła do tyłu głowę, jakby ją uderzył. Mogła się tego spodziewać. Lepiej z tym jak najszybciej skończyć.

- Nie. To byłoby nie w porządku. Roześmiał się i usiadł za kierownicą.

- Och, rozumiem. Czytanie w myślach odbywa się według specjalnych zasad.

- Nie czytam w myślach. - Zacisnęła palce. Były sztywne jak druty, całkiem białe.

Wypuściła powietrze, żeby pozbyć się napięcia, i patrzyła prosto przed siebie. - To raczej przypomina czytanie nastrojów. Nauczyłam się bronić przed atakującymi mnie emocjami innych ludzi. Wybacz, że naruszyłam twój ą prywatność.

Nie odzywał się przez chwilę, siedział z głową złożoną na oparciu, z zamkniętymi oczami.

- Nie, to ja przepraszam. To było paskudne z mojej strony. Jak zdążyłaś zauważyć, że nie jestem w dobrym nastroju. Zdaje się, że musiałem wziąć na kims odwet, no i padło na ciebie.

- Rozumiem, jak źle jest być z kims, komu nie można zaufać. Z kims, kto może wykorzystać twoje uczucia i myśli, posłużyć się nimi, żeby cię kontrolować, zranić, pokierować twoim życiem. Dlatego nie chcę się z nikim wiązać. To zupełnie zrozumiałe, że ma się zastrzeżenia i wątpliwości, i że z kolei te zastrzeżenia i wątpliwości stają się źródłem niechęci i braku zaufania.

- To stek bzdur - powiedział łagodnie Cade. - Mógłbym wiedzieć, czyje słowa wkładasz mi w usta?

- To były twoje własne słowa. - Zmieniła pozycję, gotowa stawić mu czoło. - Jestem, kim jestem, i nie mogę tego zmienić. Wiem, jak sobie z tym radzić i jak z tym żyć. Nie chcę i nie oczekuję, by ktoś stał u mojego boku. Nie potrzebuję nikogo. Nauczyłam się akceptować swoje życie, takie jakie jest, i nie zważam na opinię innych.

- Uważaj, żebyś się nie potknęła na pierwszej przeszkodzie, Tory. Dosiadasz bardzo wysokiego konia. - Kiedy sięgnęła ręką, żeby otworzyć drzwi, uniósł brwi. - Tchórz.

Jej palce zacisnęły się na klamce.

- Świnia.

- To prawda, wyładowałem swój parszywy nastrój na tobie. Powiedziano mi dzisiaj, że przeprosiny są jedynie usprawiedliwianiem własnego złego zachowania, ale mimo wszystko przepraszam. A swoją drogą przypisujesz mi opinie, których nigdy nie wyraziłem.

Nie mógłbym czegoś takiego powiedzieć, ponieważ nie mam na ten temat opinii. Kiedy uważam, że coś jest ważne, lubię się nad tym dokładnie zastanowić, przeanalizować to. A ty chyba jesteś dla mnie ważna. - Gdy pochylił się w jej stronę, odruchowo cofnęła się. - Wiesz co? Bardzo mnie to irytuje. - Spokojnym ruchem sięgnął po jej pas i zapiął go. - A jednocześnie jest to wyzwanie. Jak sama widzisz, mam ochotę cię dotykać i być bliżej ciebie, nie mogę się doczekać, kiedy nareszcie przestaniesz się wycofywać. Włączył silnik, położył

rękę na oparciu siedzenia i zaczął cofać samochód. Wyjechał na szosę, dodał gazu. - Nie uderzyłem nigdy kobiety. Tym bardziej tobie to nie grozi. Chciałbym cię dotykać. I niech mnie krew zaleje, jeśli w końcu nie dopnę swego. Ale nie skrzywdzę cię.

- Wcale nie uważam, że każdy mężczyzna bije kobiety. - Spojrzała przez okno. - Już to przerabiałam, podobnie jak wiele innych spraw, które wyszły na wierzch podczas terapii.

- To dobrze - powiedział najzwyczajniej w świecie. - A zatem nie muszę się martwić, że każdy mój ruch zostanie potraktowany jako zagrożenie dla twojej osoby. Nie zamierzam cię denerwować.

- Gdybym się ciebie bała, nie byłoby mnie tu teraz. - Wiatr owiał jej twarz, poruszył

włosy. - Nie jestem niczyją hetką - pętelką. Już nie.

Odczekał chwilę.

- Gdybyś była, nie siedziałbym tu teraz koło ciebie. Odwróciła głowę, przyjrzała mu się bacznie spod oka.

- Zręcznie powiedziane. Wierzę, że faktycznie tak myślisz.

- Należę do tych rzadkich osobników, którzy starają się wyrażać to, co mają na myśli.

- W to także wierzę. - Wciągnęła głęboko powietrze i poczuła zapach gorących pól, wody brzozonej i mydła, którego użył, biorąc prysznic po pracy. - Postanowiłam się z tobą nie spotkać. Miałam wyjść przed dom, powiedzieć ci, że się nie spotkamy, wytłumaczyć, że odtąd sprawy będą wyglądały inaczej. A tymczasem jestem tu z tobą.

- Pożałowałaś mnie. - Rzucił jej szybkie spojrzenie. - I to był twój pierwszy błąd.

Zaśmiała się krótko.

- Tak sędzę. Dokąd jedziemy?

- W nieokreślonym kierunku.

- Świetnie. - Siadła wygodnie, zdumiona, że tak łatwo się odprężyła. - To bardzo fajne miejsce.

Prowadził szybko, wybierając na chybił trafił boczne drogi, ale ciągle kierując się na wschód. W stronę morza. Za nimi zachodziło słońce, rozrzucając na niebie smugi czerwieni, które spływały na pola jak krew, przelewały się przez gąszcz drzew, barwiły wijącą się rzekę.

Pozwolił jej wybrać muzykę. Mozart rozbrzmiewał głośniejsz niż jego ulubiona muzyka rockowa, ale lepiej pasował do zapadającego zmierzchu.

Znalazł niewielką restaurację nad brzegiem wody, lekko na południe od zatłoczonej Myrtle Beach. Było ciepło, więc usiedli na zewnątrz, przy niedużym stoliku, na którym, pod szklanym kloszem, paliła się pękata biała świeca, a toczony wokół rozmowy zagłuszał szum fal.

Dzieci goniły na plaży kraby o wyłupiastych oczach i zapędzały je do ich dołków albo rzucały do góry kawałki chleba krążącym nad nimi, krzyczącym mewom. Grupa młodych ludzi szalała na deskach surfingowych, pokrzykując i popiskując.

Na błękitnym jeszcze niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, świecąc jak pojedynczy brylant.

Opuściło ją napięcie i złość.

Nie była głodna. Nigdy zresztą nie czuła wyraźnie głodu, ale kiedy zaczął opowiadać o swojej pracy, zjadła trochę sałatki.

- Kiedy nie będziesz już mogła tego słuchać, przerwij mi.

- Nie nudzę się tak szybko. I wiem coś na temat naturalnej hodowli bawełny. W

sklepie z pamiątkami, w którym pracowałam w Charleston, mieliśmy koszule z takiej bawełny. Przywożono je aż z Kalifornii. Były drogie, ale sprzedawały się dobrze.

- Podaj mi nazwę tego sklepu. W ubiegłym roku Lavelle Cotton uruchomił

przedsiębiorstwo. Gwarantuję, że staniemy się konkurencyjni dla kalifornijskich wyrobów. Taki produkt musi mieć swoją cenę na rynku.

- Co oznacza większy zysk.

- Oczywiście. - Posmarował rogalik, podał go jej. - Ludzie chętniej nadstawiają ucha, kiedy mowa jest o zysku, a nie o zdrowym środowisku. Gdy mówię o pestycydach, o ich wpływie na zwierzęta żyjące w naturalnych warunkach i na gatunki stref przejściowych...

- Gatunki stref przejściowych?

- Przepiórki i inne ptaki, które budują gniazda w trawie wzdłuż pól. Myśliwi strzelają do przepiórek i wraz z ich mięsem jedzą pestycydy. Środki owadobójcze zabijają szkodniki, ale przy okazji zabijają pożyteczne owady, trują ptaki, zakłócają procesy ekologiczne. Pisklę zjada spryskanego owada i

samo się zatruwa. Cykl taki trwa nieprzerwanie, dopóki nie sięgnie się po inną metodę.

To dziwne, ale jej zawsze były bliższe poglądy ojca, uważającego naturę za wroga, z którym trzeba nieustannie walczyć, podobnie zresztą jak z rządem.

- Kochasz swój ą pracę.

- Oczywiście, jakże mogłoby być inaczej? Pokiwała głową.

- Masa ludzi zarabia na życie zajmując się rzeczami, których nie lubi albo do których nie ma talentu. Po ukończeniu szkoły średniej miałam pracować w fabryce narzędzi. Nie chciałam tego i nikomu nic nie mówiąc poszłam na studia handlowe.

- Dlaczego akurat na to się zdecydowałaś?

- Po prostu chciałam coś osiągnąć. - Pomyślała, że po prostu chciała uciec, i skierowała rozmowę znów na temat upraw. - Metoda naturalna na pewno ma przed sobą przyszłość, ale bez opryskiwania pojawiają się chwasty, różne choroby i szkodniki. Wpłynie to na plony.

- Bawełna jest uprawiana od ponad czterystu lat. Jak według ciebie postępowali ludzie przed sześćdziesięciu, siedemdziesięciu laty, zanim zaczęto używać środków chemicznych?

Zaintrygował ją, obserwowała, jak coraz bardziej się rozkręca.

- Mieli niewolników. - Tory odgryzła kawałek rogalika. - A oprócz tego zatrudniali tanią siłę roboczą. To właśnie dlatego Południe przegrało wojnę secesyjną.

- Możemy kiedyś podyskutować na temat historii. Taka bawełna wymaga większego nakładu pracy, ale za to może wykorzystywać nawóz zwierzęcy, kompost, zamiast chemii, która zanieczyszcza wody gruntowe. Obsiewanie ziemi roślinami, które ją użyźniają i chronią przed erozją - na przykład wyka czy koniczyna - pomaga zwalczać chwasty. Dobre pożyteczne owady - biedronki, modliszki i temu podobne - zjadają szkodniki, co pozwala robotnikom rolnym, sąsiadom, a zwłaszcza dzieciom uniknąć pestycydów. Nie stosujemy też defoliantów i pozwalamy roślinom umierać w naturalny sposób.

- Wyprostował się na krześle, kiedy podawano im przystawki, nalewano wino do kieliszków, ale wciąż był podekscytowany. - Kontynuuje się tradycyjną metodę oczyszczania bawełny z nasion. Kiedy sieją sprzedaje, jest czysta, wolna od chemikaliów. Nikt się nie zastanawia, z czego wyprodukowano koszulę czy męską bieliznę, tymczasem niemniej ważny od włókna jest olej z ziarna bawełny. Używa się go w większości gotowych dań. Jak sądzisz, ile pestycydów spożywasz wraz z ziemniaczanymi chipsami?

- Wolę o tym nie wiedzieć. - Pamiętała, jak ojciec wracając do domu przeklinał

ziemię. Pamiętała, jak przyglądała się opryskiwaniom.

Zapamiętała wstrętny zapach chemikaliów.

- Jak to się stało, że zainteresowałaś się tą naturalną metodą?

- To było na pierwszym roku studiów. Przeczytałem coś na ten temat... a właściwie to przez pewną dziewczynę...

- Ach tak. - Tory zabrała się do jedzenia pstrąga. - Dopiero teraz mamy pełny obraz.

- Nazywała się Lorilinda Dorset, z Mill Valley w Kalifornii. Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem, otworzyłem usta z wrażenia. Wysoka, szczupła brunetka w obcisłych dżinsach. -

Westchnął na samo wspomnienie, jakże słodkie z perspektywy czasu. - Była członkinią PETA, Greenpeace, Ochrony Środowiska i Bóg wie, czego jeszcze. Chcąc zrobić na niej wrażenie, przestudiowałem wszystko na temat praw zwierząt, naturalnej uprawy i różnych takich rzeczy. Przez dwa miesiące nie jadłem mięsa.

Zmarszczyła czoło, patrząc na jego wielki stek.

- Musiałeś być zakochany.

- Przez kilka wspaniałych, promiennych tygodni. Pozwoliłem się jej zaciągnąć na seminarium poświęcone naturalnej uprawie roślin, a ona pozwoliła mi ściągnąć z siebie te ciasne dżinsy. - Uśmiechnął się. - W końcu potrzeba zjedzenia hamburgera wzięła u mnie górę nad miłością do przesady i Lorilinda odwróciła się z obrzydzeniem od kanibala.

- A co miała zrobić?

- No właśnie. Zapamiętałem jednak to, co usłyszałem na seminarium i co przeczytałem w książkach. Stopniowo zacząłem się utwierdzać w przekonaniu, że to ma sens.

Kiedy więc przejąłem Beaux Rêves, zabrałem się za realizowanie tego długiego, trudnego procesu.

- Lorilinda powinna być dumna.

- Nie, nigdy mi nie wybaczy cheeseburgera. Sprzeniewierzyłem się idei. Jeszcze przez wiele miesięcy miałem poczucie winy.

- Mężczyźni są łajdakami.

- Wiem o tym. - Wiedział również, że można ją skłonić do jedzenia, pod warunkiem, że zajmie ją czymś innym. - Abstrahując jednak od tego genetycznego uwarunkowania, co byś powiedziała, gdybym ci zaproponował wyłączność w Progress na zbyt produktów Lavelle Green Cotton?

Uniosła brwi.

- Chcesz, żebym sprzedawała u siebie twoje koszule?

- Nie koniecznie koszule, jeśli to nie pasuje do twojego sklepu. Ale na przykład obrusy, serwetki.

- No cóż... Musiałabym zobaczyć trochę wzorów. I porozmawiać o koszcie, dostawie, jakości. Unikam banalnych artykułów. Zależy mi na niepowtarzalnych rzeczach, żeby jak najlepiej zaprezentować Południową Karolinę, gdzie nie brak świetnych artystów i rzemieślników. - Łyknęła wina. - Nakrycia stołowe z naturalnej bawełny, prosto z pola na wystawę i na stół, a wszystko w ramach Hrabstwa Georgetown. To brzmi bardzo zachęcająco.

- Świetnie. - Podniósł kieliszek, trącili się. - Postaram się, żeby to zdało egzamin.

Pod koniec wieczór był znacznie przyjemniejszy niż na początku. Świecił księżyc, a ona czuła lekki szum w głowie. Nie zamierzała pić i rzadko to robiła, ale tak miło siedziało się nad wodą i sączyło wino.

Tak miło, że zamiast jednego kieliszka wypiła dwa i teraz czuła przyjemną senność.

Samochód mknął płynnie i szybko, a wiatr niósł zapach zbliżającego się lata.

Kapryfolum i rozkwitłe róże, zapach roztopiającej się w słońcu smoły i leniwe brzęczenie pszczoł, krążących nad kwiatami magnolii na moczarach.

Chwała Bogu, że teraz, kiedy zaszło słońce, trochę się ochłodziło. Jeśli ktoś jej nie podwiezie, będzie musiała iść pieszo na tę cholerną plażę. A wszystko, oczywiście, przez Marcie, która tak ją urządziła, żeby nie mogła się ruszyć i spotkać z tym dupkiem Timem. A tam, pal sześć Marcie, pojedzie autostopem do Myrtle Beach i się zabawi.

Najważniejsze, żeby tylko szybko złapać jakiś samochód. No, kochasiu, nareszcie!

Ale fart!

Tory poderwała się, miała szeroko rozwarte oczy i łapała powietrze jak pływak wynurzający się na powierzchnię po długim, rozsadzającym płuca nurkowaniu.

- Wsiadła do samochodu. Rzuciła plecak na tylne siedzenie i wsiadła do samochodu.

- Tory? - Cade zjechał na pobocze i przesunął się, żeby przytrzymać ją za ramiona. -

Wszystko w porządku. Po prostu zasnął na chwilę.

- Nie. - Odepchnęła go przybita, zrozpaczona. Czuła ręce uciskające serce, trudno było jej oddychać.
- Nie. - Szarpnęła drzwi, otworzyła je i potykając się pobiegła brzegiem zatoczki. - Zabrał ją autostopem na plażę.

- Zaczekaj. Stój.

- Dogonił ją i złapał.

- Kochanie, ty drżysz.

- Zabrał ją. - Przypominała sobie obrazy, kształty, zapachy i dźwięki. Paliło ją w gardle. - Zabrał ją, skręcił z szosy, wjechał do lasu. I uderzył ją czymś. Nie widziała tego przedmiotu, poczuła tylko ból. Co się stało? Odpycha go, ale on wyciąga ją z samochodu.

- Kto?

Potrząsnęła głową, broniąc się przed bólem, przed strachem.

- Tutaj. Jeszcze kawałek.

- W porządku. - Patrzyła olbrzymimi, niewidzącymi oczami. - Chcesz podejść kawałek?

- Muszę. Zostaw mnie samą.

- Nie. - Zaciśnął dłoń na jej ramieniu. - Nie zrobię tego. Pójdę z tobą. Po to tu jestem.

Musisz czuć moją obecność.

- Nie chcę. Nie chcę tego. - Poszła pierwsza. Nie broniła się, nie walczyła, kiedy obrazy przesuwały się, nabierając ostrości i mocy.

W górze oślepiająco zawirowały gwiazdy. Zrobiło się jej gorąco.

- Chce dostać się na plażę. Nie majak tam dojechać. Jest zła na przyjaciółkę Marcie.

Miały pojechać razem, spędzić tam weekend. Pojedzie więc autostopem, nie pozwoli sobie zmarnować dnia. Jest szczęśliwa, że wreszcie nadjeżdża samochód. Jest zmęczona i chce jej się pić, a on mówi, że właśnie jedzie do Myrtle. Niecała godzina drogi.

Przerwała, podniosła do góry rękę. Jej głowa opadła do tyłu, ale oczy pozostały otwarte. Szeroko otwarte.

- Podaje jej butelkę. Fajnie jest tak jechać i popijać whisky. To musiała być ta butelką, którą uderzył ją w głowę. Chryste! To boli!

Wstrząsnęła się, a jej ręka powędrowała do policzka. Smak krwi wypełnił jej usta.

- Przestań. - Cade przygarnął ją do siebie, zdumiony, że nie rozpląnęła się w jego ramionach jak mgła.

- Nic nie widzą. Nie widzę. Nie ma w nim nic charakterystycznego. Jest nijaki.

Zaczekaj. - Z zaciśniętymi pięściami, z kołącym sercem odepchnęła go. Mdlilo ją coraz bardziej. - Zaciągnął ją tutaj. - Zaczęła dygotać. - Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Już wszystko jest dobrze. Wracajmy do auta.

- Zaciągnął ją tutaj. Gwałci ją. - Zamknęła oczy. - Ona walczy przez chwilę. Jest przerażona. Znowu ją uderza, dwa razy, z całej siły, w twarz. Och, to boli, to boli, to boli. Ona nie chce być tutaj. Chce do mamy. Płacze tylko, kiedy on sapie, dyszy.

Tory podniosła rękę, przeciągnęła nią po twarzy. Musiała dotknąć własnych policzków, ust, nosa. Musiała sobie przypomnieć, kim jest.

- Nie widzę go. Jest ciemno i wszystko jest takie nierealne. Ona też go nie widzi.

Nawet wtedy, kiedy ją dusi. To nie trwa długo, ponieważ jest ledwie przytomna i prawie się nie broni. Była z nim mniej niż pół godziny, a jest martwa. Leży goła w cieniu drzew. Tam ją zostawia. On... on gwizdże, wracając do samochodu.

Widział tylko jej twarz, bladą jak poświata księżycy, i jej zamglone oczy.

- Miała zaledwie szesnaście lat. Śliczna dziewczyna, z drugimi blond włosami i długimi nogami. Nazywała się Alice, ale nie lubiła tego imienia, więc wszyscy wołali na nią Ally.

Przepelniał ją smutek, była wyczerpana.

Złapał ją, wziął ją na ręce. Była słaba, jakby martwa. Wstrząśnięty zarówno jej całkowitym bezwładem, jak i opowiedzianą przed chwilą historią, pospiesznie zabrał ją z tego miejsca.

Dopiero kiedy układał ją na tylnym siedzeniu, poruszyła się. Otworzyła oczy - były pociemniałe, szkliste.

- Wszystko w porządku. Jesteś cała i zdrowa. Odwiozę cię do domu.

- Jeszcze tylko chwilę. - Było jej niedobrze i zimno. - Przepraszam. - Bezradnie wzruszyła ramionami. - Przepraszam.

- Za co? - Podniósł dach, wrócił za kierownicę. - Nie wiem, co mogę dla ciebie zrobić.

Zawiozę cię do domu, a potem tu wrócę i... znajdę ją.

Zakłopotana, utkwiała w nim wzrok.

- Jej tutaj nie ma. To wydarzyło się dawno temu. Przed wieloma laty. Powiedział, że nazywała się Alice. Młoda blondynka o imieniu Alice.

- Czy to zawsze przychodzi w ten sposób?

- Czasami.

- Sprawia ci ból.

- Nie, to mnie wyczerpuje, ale to nie boli.

- To ci sprawia ból - powiedział znowu i przekręcił kluczyk.

- Cade. - Dotknęła jego ręki. - Tak było... Tak właśnie było z Hope. - Wiem.

- Nie, nie rozumiesz. Mężczyzna, który zabił tę biedną dziewczyną i zostawił ją w lesie, zabił również Hope.

Nie chciałem w to uwierzyć. Istnieje mnóstwo racjonalnych, logicznych uzasadnień na to, że Tory nie ma racji. Ta dziewczyna nie mogła zostać zamordowana przez tego samego potwora, który zabił moją siostrę, malutką Hope z rozwianymi włosami i roześmianymi oczami pełnymi sekretów.

Mogę od razu wymienić te powody, w prosty i jednoznaczny sposób, czego nie udało mi się przekazać Tory wczorajszego wieczoru. Wiem, że ją rozczarowałem. Po sposobie, w jaki na mnie popatrzyła, po sposobie, w jaki schroniła się za murem tego swojego milczenia, poznałem, że ją zraniłem. Zraniłem ją, bagatelizując jej słowa.

Ale to co mi powiedziała, co pozwoliła mi zobaczyć swoimi oczami, sprawiło, że wszystko odżyło na nowo. Przeniosło mnie w to dawno minione lato, po którym cały świat uległ zmianie.

Może łatwiej mi będzie pisać o Hope, niż o tej tragicznie zmarłej młodej dziewczynie, której nigdy nie znałem.

Kiedy tak siedzę za biurkiem mojego ojca - ponieważ w świadomości wszystkich to biurko pozostanie na zawsze biurkiem mojego ojca - cofam się o wiele lat i staję się znowu dwunastolatkiem, na tyle jeszcze dziecinny, by się nie troszczyć o ludzi, których kocham, nadal uważającym przyjaciół za ważniejszych, pod każdym względem, od rodziny, marzącym o dniu, kiedy będę mógł prowadzić samochód, pić, robić wszystko to, co pozostaje zarezerwowane dla świata dorosłych.

Tamtego ranka wypełniłem jak zawsze moje codzienne obowiązki. Ojciec był

pedantem na punkcie obowiązkowości i wbijania mi do głowy moich powinności wobec nazwiska i tradycji. Przynajmniej tak było, dopóki nie straciliśmy Hope. Poszliśmy z nim na pola. Pamiętam, jak staliśmy, patrząc na morze bawełny. Mój ojciec trzymał się jej uparcie, nawet wtedy, gdy większość sąsiednich gospodarstw przerzuciła się na soję, pomidory czy tytoń. Beaux Rêves to była bawełna i należało o tym pamiętać raz na zawsze.

Tego roku zapowiadały się dobre plony. Bawełna zostanie zebrana, załadowana do worków i przerobiona. Beaux Rêves jeszcze bardziej rozkwitnie.

Około południa byłem już wolny. Mój ojciec chciał, żebym nie tylko pracował i uczył

się, ale żebym był przede wszystkim normalnym chłopcem. Przez pierwsze dwanaście lat mojego życia ojciec stanowił uosobienie solidności, ciepła, wrażliwości.

Wziąłem więc rower - istną raketę z przerzutką z dwunastoma biegami - który dostałem na Boże Narodzenie, i popedałowałem w ciężkim, gorącym, stojącym powietrzu do Wade'a. Mieliśmy dom na drzewie, na tyłach podwórza Wade'a, wysoko na starym jaworze.

Dwight i Wade już tam byli - popijali lemoniadę i czytali komiksy. Niewiele więcej można było robić w takim upale, nawet jeśli się miało dwanaście lat.

Matka Wade'a nie dawała nam jednak spokoju. Bez przerwy przychodziła i pytała, czy nie chcemy czegoś, dlaczego nie zjemy sandwicza z tuńczykiem. Pani Boots zawsze miała dobre serce, ale tego lata przeszła sam siebie. Byliśmy już dorośli - przynajmniej tak nam się zdawało - i mieliśmy dość nianiek.

Uciekliśmy nad rzekę, żeby popływać. Przyznaję, gwoli ścisłości, że żartowaliśmy sobie na temat grubego, białego tyłka Dwighta. On zaś, żeby nie pozostać dłużnym, porównywał nasze męskie atrybuty do przeróżnych, mało atrakcyjnych warzyw.

Bawiliśmy się tak co najmniej przez godzinę.

Zwykła rzecz, kiedy ma się dwanaście lat.

Potem wyciągnęliśmy się na chwilę na trawie. Dwight spiekł się i był czerwony niczym rak, jak zresztą każdego lata. Jego matka robi mu kąpiel w winnym occie, który wsiąknie w jego pory i będzie z niego wyparowywał przez wiele dni. Wade i ja opalaliśmy się na brąz.

Rozmawialiśmy o ważnych sprawach: czy Rebelianci wrócą i pokonają Dartha Fadera i Imperium? Kto jest fajniejszy - Superman czy Batman? Jakby tu podejść rodziców i namówić ich na wspólne obejrzenie najnowszego horroru.

W tym momencie naszego życia nie było dla nas ważniejszych problemów.

Gdzie około czwartej, jeśli się nie mylę, kiedy już objedliśmy się brzoskwiniami i podgniłymi gruszkami, Dwight musiał wracać do domu. Miała im złożyć wizytę ciotka Charlotte'a z Lexington, a więc nie mógł się spóźni na kolację. Wolał nie narażać się rodzicom.

Wiedzieliśmy, że na kolację będzie musiał włożyć świeżo wyprasowane krótkie spodnie i krawat. Kiedy nas już nie słyszał, śmieliśmy się z tego.

Wkrótce i my opuściliśmy to miejsce, rozchodząc się w różnych kierunkach. On do miasta, a ja do Beaux Rêves.

Po drodze minąłem Tory. Nie miała roweru. Wracała do siebie od strony naszego domu. Myślę, że bawiła się z Hope. Miała bosa, brudne nogi i przyciasną bluzkę. Prawdę mówiąc, nie zauważyłem wtedy tego wszystkiego, ale teraz dokładnie przypominam sobie jej wygląd - te ściągnięte do tyłu, gęste, ciężkie brązowe włosy, te wielkie szare oczy, które patrzyły prosto na mnie, kiedy przemknąłem bez słowa. W owym czasie nawet krótka rozmowa z dziewczyn poniżyłaby moją męską godność. Pamiętam jednak, że zerknąłem za siebie i zobaczyłem ją, oddalającą się na mocnych, opalonych nogach.

Kiedy następnym razem zobaczyłem jej nogi, nosiły ślady świeżych pręg.

Hope była na werandzie i grała w kości. Ciekawe, czy dziewczynki nadal grają w kości. Hope miała bzika na ich punkcie i ogrywała każdego, kogo udało się jej wyzwać na pojedynek. Chciała i mnie w to wciągnąć, obiecała nawet, że da mi fory. Oczywiście poczułem się tym znieważony dogłębnie. Zdaje się, że powiedziałem, że kości są dobre dla niemowlaków, a ja zajmuję się

poważniejszymi sprawami.

Dałbym rok życia, żeby móc wróci do tej chwili, usiąść na werandzie i pozwolić, by Hope ogrzała mnie w kości.

Wieczór minął jak wszystkie inne. Lilah zawołała, żebym przyszedł się kąpać, bo śmierdzą jak skunks.

Mama przebywała w salonie, skąd dochodziły dźwięki jej ulubionej muzyki. Nie poszedłem do niej, wiedziałem bowiem z doświadczenia, że woli nie widzieć tam brudnego, spoconego chłopca.

To zabawne, ale kiedy tak patrzę wstecz, widzę, jak bardzo byliśmy podporządkowani naszym matkom. Matka Wade'a była ciągle zaaferowana i patrzyła na syna rozkochanymi oczami. Matka Dwighta tuczyła swą pociechę jak gęś. A moja wygłaszała ciągle niezłomne poglądy na to, co jest dobre, a co złe.

Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Tego wieczoru wolałem nie narażać się mamie i udałem się prosto na górę. Faith była w swoim pokoju i stroiła w szykowną suknię jedną ze swoich licznych lalek Barbie. Wiem to, ponieważ zatrzymałem się przy jej drzwiach, żeby się z niej ponaigrywać.

Od niedawna miałem prysznic, ponieważ stwierdziłem, że wanna jest dobra dla dziewczyn i dla starców. Wrzuciłem brudne ubranie do kosza. Przebrałem się w czyste rzeczy, przeczesalem szczotką włosy i przez chwilę napinałem bicepsy, oglądając się w lustrze.

Następnie zszedłem na dół.

Na kolację był kurczak. Pieczony kurczak z puree z kartofli, z sosem, a także groszek prosto z ogrodu. Faith nie lubiła groszku i odmówiła jego jedzenia, co byłoby jeszcze do przyjęcia, gdyby nie dodała swojego komentarza, jak to miała w zwyczaju. Skończyło się na tym, że musiała opuścić jadalnię.

Zdaje się, że jej porcja trafiła się Chauncy'emu - wiernemu, staremu psu ojca, który umarł jeszcze tej samej zimy.

Po kolacji pokręciłem się trochę na dworze, zastanawiając się, w jaki sposób zdobyć od ojca pozwolenie na budowę fortecy.

Dotychczas owe próby spaliły na panewce, ale gdybym znalazł odpowiednie miejsce, które zasłoniłoby zaplanowaną budowlę, żeby nie razila oczu ojca, może coś by z tego wyszło.

Podczas przeprowadzania rekonesansu natknąłem się na ukryty za kameliami rower Hope.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłbym ją wydać. Wspieraliśmy się jako rodzeństwo, o ile własny interes nie przeważał nad lojalnością. Domyśliłem się, że zamierza się wymknąć tego wieczoru i spotkać gdzieś z Tory, ponieważ tego lata były jak papużki nierozłączki. Wiedziałem, że

robiła to już wcześniej i nie potępiałem jej za to. Mama była znacznie bardziej surowa wobec swoich córek niż wobec syna, więc nie powiedziałem nic o rowerze i skoncentrowałem myśli na fortocy.

Wystarczyłoby słowo, a zniweczyłbym jej plany. Rzuciłaby mi jedno z tych swoich ostrych, złych spojrzeń spod rzęs i prawdopodobnie nie odzywałaby się do mnie przez dzień, może dwa, o ile udałoby się jej wytrwać.

Żyłaby.

Tymczasem zaczęło zmierzcha i wróciłem do domu. Usiadłem przed telewizorem, jak zwykle w długie letnie wieczory. W wieku dwunastu lat miałem wilczy apetyt, więc na wszelki wypadek zaopatrzyłem się w odpowiednie jedzenie. Zjadłem ziemniaczane chipsy i obejrzałem film o policjantach.

Gdy w końcu dotarłem do łóżka, moja siostra już nie żyła.

Sądził, że napisze więcej, nie potrafił się jednak przełamać. Zamierzał napisać wszystko, co wie o zamordowaniu siostry i o zamordowaniu młodej dziewczyny o imieniu Alice, ale odbiegał od faktów, pograżając się w rozpamiętywaniu i w żalu.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo stała się żywa, kiedy o niej pisał. Jak obrazy tamtej nocy i przerażającego następnego poranka przewijać się będą - niczym film - w jego świadomości.

Czy podobnie jest z Tory? Czy i w jej głowie wyświetla się film, którego nie można zatrzymać?

Nie, to było coś więcej. Wczoraj, gdy miała to widzenie, przemawiała przez nią Alice.

Jakiej siły potrzeba, żeby stawić temu czoło, żeby żyć dalej?

Wziął do ręki zapisane kartki, początkowo zamierzając je zamknąć w szufladzie starego biurka. Zamiast tego złożył je w zalakowanej kopercie.

Musi się zobaczyć z Tory. Musi z nią porozmawiać. Miał rację, mówiąc jej tamtego dnia, że duch jego siostry stoi pomiędzy nimi.

Nie posuną się ani o krok, dopóki sobie nie wyjaśnią, co stracili.

Usłyszał, jak zegar dziadka wybija godzinę. Dwa uderzenia. Już za cztery godziny będzie znowu na nogach, ubierając się przy bladym świetle, jedząc śniadanie, bez którego Lilah go nie wypuści, a następnie jeżdżąc od pola do pola, przyglądając się przyszłym zbiorom z wiarą i fatalizmem, z jakimi rodzi się każdy farmer, sprawdzając, czy nie ma jakiejś zarazy, obserwując niebo.

Beaux Rêves było teraz bardziej plantacją niż farmą jego ojca. Cade zatrudniał więcej robotników polowych, kładł większy nacisk na ręczne wykonywanie prac. Wkładał więcej wysiłku - a także znaczną część dochodów - w proces oczyszczania bawełny z nasion, w magazynowanie i proces przetwórczy, niż robili to jego ojciec i dziadek. Czyniło to z Beaux Rêves samowystarczalną, jak

przed wojny secesyjnej, plantacją, a jednocześnie upodobiało ją do pracującej na pełnych obrotach fabryki.

A jednak, pomimo swoich dyplomów i wiedzy, jak również drobiazgowo przygotowywanych biznesplanów, będzie stał i obserwował niebo w nadziei, że przyroda nie odmówi mu współpracy.

W końcu przecież, pomyślał, sięgając po kopertę, wszystko zależy od wyroków opatrności.

Zgasił lampę na biurku i przy wpadającym przez okna świetle księżycy, zszedł na dół

po schodach. Przydadzą mu się te cztery godziny snu, zwłaszcza że po porannej pracy czekają go jeszcze po południu ważne spotkania. Pamiętał też, że ma wziąć trochę próbek dla Tory i dopracować projekt.

Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, zobaczy się z nią wieczorem. Wszedł do swojego pokoju, wając w ręku kopertę, włączył światło i wsunął ją do teczki.

Rozpinał koszulę, kiedy powiał lekki wiaterek, niosąc ze sobą zapach papierosa.

Spojrzał w kierunku drzwi tarasu. Podeszedł do nich i zauważył, że są lekko uchylone, a przez szybę dojrzał czerwony, żarzący się koniec papierosa.

- Zastanawiałam się, czy kiedyś zejdziesz. - Faith odwróciła się w jego stronę. Miała na sobie szlafrok, który chętnie nosiła w ostatnich dniach, rozłożyła ramiona na kamiennej balustradzie i zastygła w wystudiowanej pozie.

- Dlaczego nie palisz pod swoim oknem?

- Nie dostąpiłam zaszczytu posiadania pięknego tarasu, jak pan tego domu. - To była ich kość niezgody, niejedna zresztą. A przecież zgodził się, żeby zajęła większą część apartamentu, tradycyjnie przypadającą panu domu.

Podniosła do ust papierosa, zaciągnęła się powoli.

- Ciągle jesteś na mnie wściekły. Nie mam ci tego za złe. Zachowałam się paskudnie.

Nie rozumiem zupełnie, co mnie naszło.

- Jeżeli są to przeprosiny, bardzo się cieszę. A teraz uciekaj i daj mi się położyć.

- Śpię z Wadem.

- Jezu! - Cade przycisnął palce do oczu. - Uważasz to za coś tak ważnego, żeby o tym mówić?

- Odkryłam jedną z twoich tajemnic, więc opowiadam ci o jednej z moich. W ten sposób będziemy kwita.

- Sporządzę notatkę, żeby ją zamieścili w gazecie w dziale ogłoszeń. Wade. - Usiadł

ciężko na metalowym tarasowym fotelu. - Niech to krew zaleje.

- Och, nie przejmuj się. Jest nam po prostu bardzo fajnie.

- Dopóki go nie wyssiesz i nie wyplujesz.

- Nie planuję tego. - Zaśmiała się niewesoło. - Nigdy niczego nie planuję, wszystko samo się dzieje.

- Wyrzuciła peta przez balustradę, nie zastanawiając się nad tym, że jeśli matka go znajdzie, będzie na nią zła. - Jest mi z nim dobrze. Więc co w tym złego?

- Nic. To twoja sprawa.

- Podobnie jak twoja z Tory. - Zbliżyła się, ukucnęła, ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. - Jest mi przykro, Cade. To było podłe i złośliwe z mojej strony i chciałabym to móc cofnąć.

- Zawsze mówisz to samo.

- Tym razem mówię poważnie. - Ponieważ w jego oczach było więcej zmęczenia niż złości, pogłaskała jego włosy. Zawsze mu zazdrościła takich gęstych i kręcących się włosów.

- Ale nie bierzesz zupełnie pod uwagę mamy. Uważasz, że to nie jej interes i że nie będzie ci dyktowała, jak masz postępować. Nawet jeżeli ma rację.

Poczuł zapach kwitnących nocą jaśminów matki.

- Ona nie ma racji.

- No cóż, nie mogę ci udzielać rad dotyczących tych romansów...

- Otóż to. Uniosła brwi.

- Cóż za błyskawiczne, wyrafinowane pchnięcie nożem. Ale, jak już powiedziałam, ta rodzina jest i tak dostatecznie popieprzona, żeby jeszcze dodawać do niej obcy element w postaci Tory Bodeen.

- Jest częścią tego, co wydarzyło się tamtej nocy.

- O Boże, Cade, byliśmy przecież popieprzeni na długo przed śmiercią Hope.

Wyglądał na tak sfrustrowanego i zmęczonego, że omal się nie wycofała, nie obróciła wszystkiego w żart. Jednak od czasu powrotu Tory do miasta zbyt długo o tym wszystkim myślała. Nadszedł czas, żeby to z siebie wyrzucić.

- Zastanów się tylko. - Złość na niego i lekkie zdegustowanie własną osobą sprawiły, że jej głos zrobił się ostry jak tapicerski gwoździak. - Nie sądzisz chyba, że małżeństwo rodziców miało cokolwiek wspólnego z prawdziwą miłością? Może wolisz dostrzegać jedynie jego pozytywne

strony, ale przecież sam wiesz najlepiej.

- To było dobre małżeństwo, Faith, dopóki...

- Dobre małżeństwo? - Z obrzydzeniem w głosie poderwała się na nogi, wyciągnęła papierosa z kieszeni szlafroka. - Co to, do licha, znaczy? Dobre małżeństwo? Że do siebie pasowali, że małżeństwo dziedzica największej i najbogatszej w hrabstwie plantacji z posażną panną było zręcznym i przyjętym w tym środowisku posunięciem? Świetnie, pod tym względem byli dobrym małżeństwem. Może nawet żywili do siebie jakieś uczucia, przynajmniej na samym początku. Spełnili swój obowiązek - powiedziała gorzkim tonem i szybkim ruchem zapaliła papierosa. - Zrobili nas.

- Starali się, jak mogli - powiedział znużonym tonem Cade. - Nigdy nie chciałaś tego dostrzec.

- To ich staranie nigdy nie było zbyt widoczne, w każdym razie wobec mnie. Nie widzą też, co tak ważnego zrobili dla ciebie. Czy dali ci jakiś wybór? Całe twoje życie było podporządkowane ich oczekiwaniom, które polegały na przygotowywaniu cię do... rządzenia Beaux Rêves. A gdybyś chciał zostać hydraulikiem?

- Zawsze o tym skrycie marzyłem. I często dokręcam nieszczelne kurki, żeby się wprowadzić w stan maksymalnego podniecenia.

Roześmiała się, największa złość już jej minęła.

- Wiesz doskonale, co mam na myśli. Może chciałbyś zostać inżynierem albo pisarzem, albo lekarzem czy jeszcze kimś innym, ale nie dano ci szansy. Byłeś najstarszym synem, jedynym synem, i twoja droga była z góry wyznaczona.

- Masz rację. I naprawdę nie wiem, co by było, gdybym został kimś innym. Ale fakt pozostaje faktem, Faith - nie jestem nikim innym.

- Dlatego, że ciągle słyszałeś: „Kiedy Cade obejmie Beaux Rêves, kiedy będzie rządził”, i tak dalej. Nie mogłeś zostać kimś innym, nie mogłeś nigdy powiedzieć, że chcesz grać na gitarze w zespole rockowym.

Tym razem to on się roześmiał, a ona westchnęła i oparła się plecami o balustradę.

Dlatego tak często szukała jego towarzystwa, ponieważ mogła powiedzieć mu wszystko, niczego nie ukrywając. Pozwalał jej na to. Słuchał tego, co mówi.

- Czy nie widzisz, Cade, że przez nich jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, i że ty może dostałeś w końcu to, czego chciałeś. Cieszę się z tego, mówię to szczerze.

- Wiem.

- Ale to nadal nie jest w porządku. Oczekiwano, żebyś był bystry, znał się na różnych rzeczach, umiał je oceniać. A kiedy ciebie tutaj nie było, kiedy przygotowywałeś się do czekających cię obowiązków, mnie uczono dobrego zachowania i gładkiego gadania.

- Byłaś w tej dogodnej sytuacji, że rzadko kiedy słuchałaś rodziców.

- Zorientowałam się, że ten dom jest polem treningowym dla przyszłej dobrej żony, dla dobrego małżeństwa, takim samym, na jakim przedtem została wychowana mama. Nikt mnie nigdy nie zapytał, czy nie chciałabym czegoś więcej, czegoś innego, a kiedy poddawałam coś w wątpliwość, uciszano mnie. Niech się o to martwi twój ojciec albo twój brat. Poćwicz na fortepianie, Faith. Przeczytaj dobrą książkę, żebyś umiała o niej inteligentnie podyskutować. Ale nie za inteligentnie. Żeby jakiś mężczyzna nie pomyślał, że możesz być od niego mądrzejsza. Kiedy wyjdiesz za mąż, twoim zadaniem będzie stworzenie przytulnego domu. - Zapatrzyła się na koniuszek papierosa. - Przytulny dom. To miał być szczyt moich ambicji na modłę Lavelle'ów. Oczywiście nie byłabym sobą, gdybym się nie zbuntowała i nie postanowiła robić wszystko na przekór. Nie uśmiechała mi się myśl, iż w wieku trzydziestu lat obudzę się jako bezproduktywna, stłamszona kobieta. Postarałam się, żeby mnie to nie spotkało. Uciekłam z pierwszym z brzegu wstawiającym bajery, narwanym chłopakiem. Wyszłam za mąż i rozwiodłam się, zanim skończyłam dwadzieścia lat.

- Pokazałaś im, na co cię stać? - powiedział półgłosem Cade.

- Tak, pokazałam. Na tej samej zasadzie podjęłam następną próbę - kolejny ślub i rozwód. W końcu przecież zostałam przygotowana wyłącznie do małżeństwa. Tyle że nie były to małżeństwa w typie mamy. Sama je sobie namotałam i udławiłam się nimi. No i proszę! Mam dwadzieścia sześć lat i przegrywam dwa do zera. I nie pozostaje mi nic innego, jak tkwić tutaj.

- No i tkwisz - skomentował Cade. - Masz dwadzieścia sześć lat, jesteś piękna, bystra i na tyle doświadczona, żeby nie powtórzyć tych błędów. Nie wspomniałaś nigdy o tym, że chciałabyś kawałek ziemi. Jeżeli chcesz się nauczyć, pracować...

Spojrzała na niego z pobłażaniem.

- Jesteś dla nas naprawdę za dobry. Bóg jeden wie, jak ci się to udaje. Nie, już za późno na takie zmiany, Cade. Jestem produktem takiego a nie innego wychowania i mojego własnego buntu przeciwko niemu. Jestem leniwa i lubię ten stan. Pewnego dnia znajdziesz mi bogatego, zgrzybiałego starca, oczarujesz go i sprawisz, że się ze mną ożeni. A ja, oczywiście, zaopiekuję się nim i będę przepuszczała jego pieniądze. Nawet mogę mu być oddana i wierna. Innym też byłam oddana i wierna, bo mi to sprawiało przyjemność. Później, przy sprzyjających okolicznościach, zostanę bogatą wdową, a to, jak sądzę, będzie mi najbardziej odpowiadało.

Tak jak odpowiada mamie, pomyślała z goryczą.

- Stać cię na znacznie więcej niż sądzisz, Faith. Bez porównania więcej! - Nie, skarbie, chyba jest gorzej niż myślisz. Może to wszystko potoczyłoby się inaczej, a przynajmniej chociaż odrobinę inaczej, gdyby żyła Hope.

- Nie można o to nikogo winić, poza tym bydlakiem, który ją zabił.

- Tak sądzisz? - zapytała spokojnie Faith. - Zastanawiam się, czy wy - szłaby tamtego wieczoru na spotkanie z Tory, gdyby nie czuła się podobnie jak ja w tym domu? Czy wychodziłaby przez okno,

gdyby wiedziała, że ma prawo robić, co chce i z kim chce? Znałam ją lepiej niż ktokolwiek. Między bliźniakami istnieje szczególnie bliskość. Ona pokierowałaby swoim życiem, Cade, stopniowo pokonałaby wszystkie przeszkody. Ale nigdy nie otrzymała tej szansy. A kiedy umarła, razem z nią odeszło złudzenie równowagi w tym domu. Wiesz przecież, że ją kochali najbardziej.

Faith zacisnęła wargi, wyciągnęła nad balustradę rękę z papierosem.

- Bardziej niż ciebie czy mnie. A potem, ilekroć któreś z nich patrzyło na mnie, czytałam w ich oczach, co myślą. Dlaczego to nie ja, a Hope była na tych moczarach.

- Przestań. - Poderwał się na nogi. - To nieprawda. Nikt tak nigdy nie myślał.

- Wystarczy, że ja tak myślałam. I tak to czułam. Nieustannie przypominałam im o jej śmierci. Nie wybaczone mi tego.

- Nie mów tak. - Dotknął jej twarzy. - Brakowało im jej.

- Ale ja nie mogłam jej zastąpić, Cade. Jednoczyła ich i nie potrafili się pozbierać po jej stracie.

- Nie potrafili.

- Więc tata zbudował jej kapliczkę i znalazł pocieszenie w łóżku innej kobiety. A mama stała się jeszcze bardziej oschła i surowa. Poszliśmy drogą, którą oni nam wyznaczyli. I oto znaleźliśmy się sami, nie mamy nikogo, kto by nas kochał.

Była to bolesna prawda.

- To może się zmienić.

- Cade, takie już jest nasze życie. - Pochyliła się ku niemu, oparła głowę, kiedy otoczył ją ramionami. - Żadne z nas nie pokochało jeszcze nikogo na tyle, żeby przywrócić tę równowagę. Może za bardzo kochaliśmy Hope, może już wtedy wiedzieliśmy, że jest jedyną osobą, dzięki której to wszystko się trzyma.

- Nie zmienimy tego, co się stało. Mamy wpływ tylko na to, co robimy teraz.

- Właśnie o to chodzi. Nie chcę nic robić, nie chcę podejmować żadnego działania.

Nienawidzę Tory Bodeen za to, że tu wróciła, że przypominała mi o Hope, za którą znów tęsknię, którą znowu oplakuję.

- To nie jej wina, Faith.

- Może i nie. - Zamknęła oczy. - Ale ja muszę na kogoś to zrzucić.

Tą sprawą trzeba się zająć możliwie jak najszybciej. Margaret wiedziała, że do pewnych ludzi przemawiają pieniądze. Można kupić ich milczenie, ich lojalność, a także to, co nazywają honorem. Ubrała się na to spotkanie starannie - ale przecież zawsze ubierała się starannie. Nałożyła świeży kostiumik w klasycznym granatowym kolorze, a do tego pojedynczy sznur pereł po babce. Usiadła, jak każdego ranka, przy toalecie, nie tyle, żeby ukryć oznaki wieku - traktowała wiek jako swój atut, do podkreślenia własnej pozycji społecznej.

Charakter i pozycja społeczna były zarówno mieczem jak tarczą.

Wyszła z domu za dziesięć dziewiąta, informując Lilah, że ma wczesne spotkanie i zje lunch w Charleston. Wróci o wpół do czwartej.

Będzie, oczywiście, punktualna.

Obliczyła, że sprawa, którą musi załatwić przed udaniem się na południe, nie zajmie jej więcej niż pół godziny, ale na wszelki wypadek dołożyła jeszcze kwadrans. I tak pozostawało jej dość czasu na załatwienie sprawunków przed lunchem.

Mogła wynająć kierowcę, nawet zatrudnić go na stałe. Mogła zlecić zakupy służącej.

Jednak byłoby to równoznaczne z pobłażaniem sobie, a na taką słabość nie mogła sobie pozwolić.

Od pani na Beaux Rêves oczekuje się, że będzie się pokazywała w mieście, że roztoczy opiekę nad niektórymi sklepami i będzie utrzymywała właściwe stosunki z odpowiednimi kupcami i urzędnikami państwowymi.

Obywatelski obowiązek jest ważniejszy od własnej wygody.

Margaret nie ograniczała się jedynie do wypisywania hojnych czeków na cele dobroczynne. Piastowała wysokie stanowiska w komitetach. To, iż miejscowa rada do spraw artystycznych i towarzystwo historyczne były jej szczególnie bliskie, wiązało się z tym, że nie szczędziła im czasu i energii, a także pieniędzy.

W ciągu trzydziestu dwóch lat, odkąd została panią na Beaux Rêves, ani razu nie zaniedbała się w swoich obowiązkach. Podobnie będzie i dzisiaj.

Nawet nie zerknęła w bok, mijając szpaler porośniętych mchem drzew, przy wejściu na bagna. Nie zauważyła wymienionych na mostku desek ani przyciętego świeżo sumaka.

Minęła miejsce śmierci swojego dziecka. Jeżeli poczuła jakiś ból, nie było tego widać na jej twarzy.

Nie było tego widać w dniu, w którym jej dziecko zostało pochowane, pomimo że rozdarte serce Margaret krwawiło.

Jej twarz pozostała kamienna, kiedy skręciła w wąską drogę, prowadzącą do Domu Na Bagnach. Zaparkowała za kombi Tory, sięgnęła po torebkę. Nie przyjrzała się sobie we wstecznym lusterku. To byłoby także oznaką słabości.

Wysiadła z samochodu, zamknęła drzwiczki, przekręciła kluczyk.

Nie była w Domu Na Bagnach od szesnastu lat. Wiedziała, że przeprowadzono w nim jakieś prace, których podjął się Cade przy jej milczącej dezaprobie. Jeśli o nią chodzi, to ani świeża farba, ani kwitnące krzewy nie były w stanie zmienić charakteru tego miejsca.

Barak. Rudera. Lepiej to zrównać z ziemią niż w tym mieszkać. Był taki okres -

najtrudniejszy w czasie całej żałoby - kiedy chciała to spalić, wzniecić pożar na moczarach, zobaczyć, jak to wszystko idzie z dymem.

Głupi pomysł.

Dom ten stanowił własność Lavelle'ów i, wbrew wszystkiemu, należało go zachować w dobrym stanie, żeby przekazać następnemu pokoleniu.

Weszła po schodach, nie zwracając uwagi na kamionkową donicę pełną płożących kwiatów. Zapukała energicznie w drewnianą framugę drzwi.

Tory sięgała właśnie po filiżankę. Była już spóźniona. Strasznie zmęczona, spała długo i musiała się jeszcze docucić. Miała nadzieję, że może kawa pobudzi jej organizm do życia i wykrzesze z niego entuzjazm, dzięki któremu będzie się mogła udać do sklepu i skończyć przygotowania do jego otwarcia.

Nie chciała teraz nikogo oglądać, z nikim mówić. Najchętniej wróciłaby do łóżka i zasnęła.

Gdyby jednak nie otworzyła drzwi, stanowiłoby to oznakę słabości. Przynajmniej to jedno Margaret byłaby w stanie zrozumieć.

Na widok matki Hope Tory poczuła się natychmiast winna, niespokojna.

- Pani Lavelle...

- Dzień dobry, Wiktorio. - Margaret lodowatym wzrokiem zlustrowała Tory od bosych stóp, przez wygnieciony szlafrok, aż po jej rozczochrane włosy. Pomyślała z satysfakcją, że niczego lepszego nie można się było spodziewać po kimś z rodziny Bodeen. - Przepraszam cię. Sądziłam, że o dziewiątej będziesz na nogach.

- Tak, już najwyższy czas. - Świadoma tego, że wygląda żałośnie, zawiązała pasek szlafroka. - Zasnęłam.

- Nie zajmę ci dużo czasu. O ile mnie wpuścisz.

- Tak. Oczywiście. - Całkiem straciła panowanie nad sobą. - Bardzo przepraszam, ale dom prezentuje się nie lepiej ode mnie.

Całe wyposażenie pokoju gościnnego stanowił wielki fotel, z dużym, miękkim, zaokrąglonym oparciem oraz stolik z popękanydm fornirem, który zamierzała w wolnej chwili odrestaurować.

Żadnego dywanu, żadnych zasłon, żadnej lampy. Tyle że było tu czysto. Tory czuła się tak, jak gdyby zapraszała królową do rudery.

Jej głos odbijał się nieprzyjemnym echem od pustych ścian, podczas gdy Margaret stała w milczeniu i oceniała krytycznym wzrokiem pokój.

- Skoncentrowałam się na urządzaniu sklepu i nie zdążyłam... - Łapiąc się na tym, że kurczowo zaciska ręce, rozplotła palce. Do diabła, przecież nie ma już ośmiu lat i nie jest dzieckiem śmiertelnie przerażonym królewską wyniosłością i dezaprobatą matki przyjaciółki.

- Właśnie zrobiłam kawę - powiedziała uprzejmie, ale nie nadskakująco. - Czy mogę panią poczęstować?

- A jest tam jakieś krzesło?

- Tak. Moje życie koncentruje się przeważnie w kuchni i w sypialni, co potrwa jeszcze jakiś czas dopóki nie uruchomię i rozkręcę na dobre mojego biznesu. - Głupia paplanina, stwierdziła Tory w drodze do kuchni. Przestań paplać. Nie musisz za nic przepraszać.

Albo za wszystko.

- Proszę usiąść.

Przynajmniej kupiła dobry, solidny kuchenny stół i krzesła. A kuchnia była czysta, przyjemna. Postawiła na parapecie trochę doniczek z ziołami, a na stole misę z ciemnego szkła z własnego magazynu.

Podczas nalewania kawy i wyjmowania cukierniczki trochę się uspokoiła, ale kiedy otworzyła lodówkę, udręka odżyła na nowo, sprawiła, że na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- Niestety nie mam śmietanki. Ani mleka.

- Obejdzie się. - Margaret łokciem odsunęła filiżankę o parę centymetrów. -

Mogłabym cię prosić, żebyś usiadła? - Margaret dla lepszego efektu zawiesiła głos.

Kiedy Tory usiadła, Margaret złożyła dłonie na brzegu stołu i patrząc prosto w oczy Tory, zaczęła mówić.

- Doszły mnie słuchy, że związałaś się z moim synem. - Kolejna chwila milczenia, podczas której zaobserwowała błysk zdumienia na twarzy Tory. - Plotki w małym miasteczku są zawsze

nieuniknione.

- Pani Lavelle...

- Pozwól, że dokończą - ucięła Margeret, podnosząc palec. - Nie było cię tutaj przez wiele lat. Masz wprowadzić powiązania rodzinne w Progress, ale *de facto* jesteś przybyszem z zewnątrz. Obcym. *De facto* - powtórzyła Margaret. - Ale nie całkowicie. W przeciwnym razie nie zdecydowałabyś się na powrót i nie otwierałabyś tutaj sklepu.

- Czy po to pani tu przyszła, żeby zapytać mnie, dlaczego wróciłam?

- To nie moja sprawa. Będę szczerą i powiem wprost, że nie wyraziłam aprobaty, kiedy mój syn wynajmował ci lokal na sklep, jak również ten dom. Niemniej jednak Cade jest głową rodziny i sam ma prawo podejmować takie decyzje. Inna sprawa, jeśli zagraża to pozycji naszej rodziny.

Im dłużej Margaret przemawiała tym łagodnym, twardym tonem, tym bardziej Tory dochodziła do siebie. Kiedy się odezwała, jej głos był równie łagodny i równie twardy.

- A w jaki to sposób mój sklep i to, że tu zamieszkałam, zagraża pozycji pani rodziny?

- Zapewne zdajesz sobie sprawę z tego, że okoliczności nie są sprzyjające. A ten osobisty akcent jest już zupełnie nie do przyjęcia, pod żadnym względem.

- To znaczy, że na razie toleruje pani moje handlowe powiązanie ze swoją rodziną, prosząc mnie jednocześnie, żebym nie widywała się z Cade'em prywatnie? Czy dobrze zrozumiałam?

- Tak. - Kim jest ta trzeźwo patrząca, pewna siebie kobieta? Gdzie podziało się tamto chude dziecko, które chyłkiem wpatrywało się w nią wielkimi oczami, ukryte gdzieś w cieniu?

- Z tym widywaniem się będzie pewien problem, ponieważ Cade jest zarówno właścicielem tego domu, jak i tamtego, w którym zamierzam prowadzić mój biznes, i zdaje się traktować swoje obowiązki bardzo poważnie.

- Jestem gotowa zrekompensować ci czas i wysiłek, jakie w to włożyłaś. Wystarczy na to, żeby urządzić się w Charleston albo w Florence, gdzie także masz rodzinę.

- Zrekompensować mi? Rozumiem. - Ze śmiertelnym spokojem Tory sięgnęła po swoją kawę. - Czy będzie nietaktem, jeżeli zapytam, jaką formę rekompensaty ma pani na myśli? - Uśmiechnęła się lekko, widząc jak Margaret zeszywniała. - W końcu jestem przecież kobietą interesu.

- Cała sprawa jest dla mnie niesmaczna i godna ubolewania. Nie widzę innego wyboru, jak tylko zniżyć się do twojego poziomu, żeby chronić moją rodzinę i jej reputację. -

Otworzyła torebkę. - Zamierzam wypisać ci czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów w zamian za to, że rozstajesz się z Cad'em i z Progress. Dzisiaj otrzymasz połowę kwoty, a resztę przyślę po twojej przeprowadzce. Dam ci na wyniesienie się stąd dwa tygodnie.

Tory nie odpowiedziała. I ona wiedziała, że milczenie może być dobrą bronią.

- Ta kwota - mówiła Margeret coraz ostrzejszym tonem - wystarczy ci na przyzwoite życie, zanim się urządzisz.

- Och, bez wątpienia. - Tory wypła kolejny łyk kawy, po czym starannie odstawiła filiżankę na spodeczek. - Mam tylko jedno pytanie. Zastanawiam się, pani Lavelle, co panią skłania, żeby przypuszczać, że przyjmę łapówkę, która jest dla mnie niewątpliwą obelgą?

- Nie udawaj takiej wrażliwej. Znam cię dobrze - powiedziała Margaret pochylając się do przodu. - Wiem, skąd się wywodzisz. Nie schowasz się za maską dystyngowanej osoby, którą nałożyłaś bezprawnie. Ja ciebie znam.

- Tak pani się wydaje. I proszę mi wierzyć, że w tej chwili nie mam zamiaru zachowywać się jak dystyngowana dama.

Tym razem Margaret straciła grunt pod nogami.

- Twoi rodzice byli prostytutkami, a ty, niczym dzika kotka, polowałaś na moje dziecko.

Wabiłaś Hope, odciągałaś od rodziny, aż spowodowałaś jej śmierć. Nie odbierzesz mi drugiego dziecka. Weźmiesz pieniądze, Wiktorio. Tak samo jak twój ojciec.

Tory była wstrząśnięta, przybita, ale trzymała się jakoś.

- Co pani ma na myśla, mówiąc „tak samo jak twój ojciec”?

- Kosztowaliście mnie tylko pięć tysięcy. Za pięć tysięcy zniknęłaś z moich oczu. Mój mąż by was nie wyrzucił, chociaż go o to błagałam.

Zadrżały jej wargi. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy go o coś błagała. Kiedy kogokolwiek o coś błagała.

- W rezultacie sama musiałam się tym zająć. Tak jak teraz. Wyniesiesz się, będziesz wiodła życie, które powinnaś była stracić zamiast niej. I będziesz się trzymała z daleka od mojego syna.

- Zapłaciła mu pani, żeby się stąd wyprowadził? Pięć tysięcy? - zadumała się Tory. -

To byłaby dla nas duża kwota. Ciekawe, dlaczego nigdy nie zobaczyłyśmy tych pieniędzy. Co ojciec z nimi zrobił? No cóż, to nie ma znaczenia. Przykro mi, pani Lavelle, że panią rozczaruję, ale ja jestem inna. Nigdy nie będę podobna do ojca, a pani pieniądze niczego nie zmieniają. Zostaję, ponieważ muszę tutaj zostać. Pani tego nie zrozumie. A jeśli chodzi o Cade'a... - Przypomniała sobie jego wczorajszy dystans, jego odsunięcie się od niej po jej epizodzie. - Nie łączy nas to, co pani podejrzewa. Jest dla mnie miły, to wszystko. Nie zamierzam odplacać mu za jego dobre serce zerwaniem przyjaźni. I nie powiem mu o tej rozmowie.

- Jeśli postąpisz wbrew mojej woli, zniszczę cię. Stracisz wszystko, jak straciłaś już kiedyś. Kiedy

zabiłaś to dziecko w Nowym Jorku.

Tory zrobiła się blada, po raz pierwszy zadrżały jej ręce.

- Nie zabiłam Jonaha Mansfielda. - Zaczepnęła łyk powietrza. - Po prostu nie zdołałam go uratować.

Margaret postanowiła dążyć dalej.

- Jego rodzina uznała, że ponosisz za to odpowiedzialność, podobnie uważała policja.

A także prasa. Drugie dziecko, które poniosło śmierć z twojego powodu. Jeżeli tutaj zostaniesz, ludzie będą o tym mówili.

Tak, naiwnością było sądzić, iż nikt nie powiąże jej z Nowym Jorkiem. Z życiem, które tam zbudowała i które zniszczyła.

Nic już tego nie zmieni. Może tylko stawić temu czoło.

- Pani Lavelle, przez całe życie miałam do czynienia z pomówieniami. Ale nauczyłam się ich nie tolerować we własnym domu. - Tory podniosła się z miejsca. - Zmuszona jestem panią wyprosić.

- Nie myśl tylko, że jeszcze raz złożę ci moją ofertę.

- Nie, wcale tak nie myślę. Chciałabym, żeby pani już wyszła. Margaret podniosła się, złapała torebkę.

- Znam drogę.

- Pani Lavelle - powiedziała spokojnie Tory. - Pani nie docenia Cade'a. Podobnie było z Hope.

Margaret zacisnęła rękę na klamce.

- Masz czelność rozmawiać ze mną o moich dzieciach?

- Tak - szepnęła Tory, kiedy zatrzasnęły się drzwi i kiedy została sama w domu. -

Mam czelność.

Przekręciła zamek w drzwiach. Nikt, komu na to nie pozwoli, nie wejdzie do środka. I nikt, przysięgła sobie, kto już będzie w środku, nie obrazi jej więcej. Weszła do łazienki, rozebrała się szybko. Puściła gorący prysznic, tak gorący, że trudno było go znieść.

Dopiero teraz pozwoliła sobie na płacz. Kiedy woda siekła jej skórę, znowu poczuła się czysta i lzy zmywały wezbraną w niej gorycz.

Płakała, aż woda zrobiła się zimna. Wtedy uniosła twarz pod lodowaty strumień i trwała tak, dopóki nie przyniosło jej to ukojenia.

Wytarła się i tym samym ręcznikiem usunęła wodę z lustra. Bez taryfy ulgowej uważnie przyjrzała się swojej twarzy. Miała na niej wypisany strach, niepewność. Jak kiedyś.

Wróciła tutaj, po czym zaszyła się. Zagrzebała się w pracy.

Ani razu nie przekroczyła linii drzew i nie odwiedziła miejsca, gdzie spędzały tyle czasu. Nie poszła na grób swojej jedynej, prawdziwej przyjaciółki.

Jak gdyby zapomniała, dlaczego tu jest.

Czym się to różniło od ciągłego uciekania? Czy jest jakaś różnica między przyjęciem pieniędzy, które jej zaproponowano, a uciekaniem dokądkolwiek?

Cade nazwał ją tchórzem. I miał rację.

Znowu nałożyła szlafrok i wróciła do kuchni. Znalazła numer telefonu, wykręciła go.

- Dzień dobry. Tu firma Biddle, Lawrence i Wheeler.

- Mówi Wiktoria Bodeen. Czy mogę prosić panią Lawrence?

- Proszę chwilę poczekać, panno Bodeen. Po chwili miała na linii Abigail.

- Tory? Miło cię słyszeć. Co słychać? Instalujesz się?

- Tak, otwieram sklep w sobotę.

- Tak szybko? Musiałaś pracować dzień i noc. Zamierzam wkrótce zajrzeć do ciebie.

- To świetnie, Abigail. Chcę cię prosić o przysługę.

- Mów. Masz u mnie wielki kredyt za pierścioneł mamy.

- Co? Ach tak, zapomniałam.

- Wątpię, czy kiedykolwiek natknęłabym się na niego. Rzadko zaglądam do starych kartotek. Mów, w czym rzecz, Tory.

- Pomyślałam, że może masz kogoś w policji. Kogoś, kto mógłby udzielić informacji na temat pewnej dawnej sprawy. Nie chcę... sądzę, że rozumiesz, iż nie chcę się osobiście kontaktować z policją.

- Znam trochę ludzi. Zrobię, co będę mogła zrobić.

- To było zabójstwo na tle seksualnym. - Nieświadomie Tory zaczęła pocierać prawą skroń. - Młoda dziewczyna. Szesnaście lat. Miała na imię Alice. Nazwisko... Nie jestem pewna. Lowell albo Powell. Jechała autostopem, szosa numer 513, w kierunku wschodnim, do Myrtle Beach. Została wywieziona do lasu, zgwałcona i uduszona. Uduszona rękami.

Odetchnęła, pozbyła się ucisku w klatce piersiowej.

- Nie słyszałam o niczym takim w wiadomościach.

- To stara sprawa. Nie wiem dokładnie, kiedy to było. Dziesięć lat temu, może mniej, może więcej. W lecie. Było bardzo gorąco. Nawet w nocy było bardzo gorąco. Nie mam dla ciebie zbyt wielu danych.

- To powinno wystarczyć. Zobaczymy, co uda się znaleźć.

- Dziękuję. Ogromnie ci dziękuję. Jeszcze przez chwilę będę w domu. Podam ci numer domowy i do sklepu. Jeśli coś znajdziesz, będę ci wdzięczna.

Pracowała intensywnie, pięć godzin bez przerwy, a Abigail dotąd nie zadzwoniła.

Od czasu do czasu przed witryną stawali ludzie i podziwiali wystawę, którą urządziła ze starych kartonów, ręcznie tkanych materiałów, ceramiki, szkła i wyrobów z metalu.

Zapełniła półki i szafki, powiesiła ozdoby ze szkła, ceramiki, a także akwarele.

Przedmioty przeznaczone na sprzedaż po kosztach własnych - z okazji otwarcie sklepu

- ułożyła najpierw na ladzie, a następnie zmieniła zamiar i umieściła je w różnych kątach.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, poczuła niemal ulgę. Dopóki za szybą nie zobaczyła Faith. Czy Lavelle'owie nie mogliby jej dać świętego spokoju przez jeden dzień?

- Muszę kupić prezent - powiedziała Faith, gdy tylko Tory przekręciła klucz, i wpadłaby do środka, gdyby Tory nie zagroziła sobą przejścia.

- Sklep jest zamknięty.

- Och, do diabła, wczoraj także był zamknięty, prawda? Potrzebuję tylko jedną rzecz, co zajmie nie więcej niż dziesięć minut. Zapomniałam o urodzinach ciotki Rosie, która właśnie zatelefonowała i zapowiedziała swoją wizytą. Przecież nie mogę tak jej zranić! -

Faith wypróbowała swój błagalny uśmiech.

- Kup coś w sobotę.

- Przecież ona będzie tutaj dzisiaj. A jeśli spodoba się jej prezent, osobiście pojawi się u ciebie w sobotę. Ciotka Rosie jest nadziana. Kupię jej coś bardzo drogiego.

- Trzymam cię za słowo.

- W porządku, pomóż mi coś wybrać. - Faith weszła tanecznym krokiem, zakręciła się w koło.

- Co ona lubi?

- Możesz jej zrobić kapelusz z papieru, a będzie się cieszyła jak dziecko. Boże, tego jest o wiele więcej niż przypuszczałam. - Faith dotknęła zawieszonych na sznurkach szkiełek, które zabrzączały jak dzwoneczki. - Tylko nic praktycznego. Żadnego kompletu naczyń ani niczego w tym rodzaju.

- Mam ładne kasetki na biżuterię.

- Och, ciotka Rosie będzie zachwycona.

- Wybierz jej największą. - Żeby mieć to jak najszybciej za sobą, Tory podeszła do półki i zdjęła szklaną kasetkę w kształcie stożka. Jej boki ozdobione były oszlifowanymi jak brylanty guzami, ułożonymi w pionowe pasy, z ręcznie namalowanymi maleńkimi fiołkami i różyczkami.

- Może jest w to wmontowana pozytywka? - Nie.

- Tym lepiej. Taka muzyka doprowadziłaby nas do szału. Najprawdopodobniej włoży do środka stare guziki albo zardzewiałe śrubki, ale będzie tym zachwycona.

Faith zerknęła na cenę i aż gwizdnęła. - Widzisz, dotrzymuję słowa!

- Szkło jest ręcznie szlifowane i malowane. Nie ma drugiego takiego samego egzemplarza. - Zadowolona Tory zaniósła kasetkę na ladę, - Włóżę ci to do kartonu i dodam ozdobną karteczkę na życzenia.

- Co za hojność! - Faith wyjęła książeczkę czekową. - Wygląda na to, że możesz już otwierać interes. Po co czekać aż do soboty?

- Muszę jeszcze dodać parę szczegółów. A sobota jest pojutrze.

- Czas szybko leci. - Spojrzała na rachunek i szybko podpisała czek, podczas gdy Tory pakowała prezent do pudełka.

- Możesz wziąć karteczkę i napisać na niej życzenia. Doczepię ją do kartonu.

Faith wybrała kartkę z malutką różą pośrodku, nagryzmoła pospiesznie życzenia urodzinowe, dodając esy i floresy po swoim imieniu.

- Doskonale. Przez parę miesięcy będę jej najukochańszą krewną. Przyglądała się, jak Tory obwiązuje pudełko błyszczącą białą wstążką, przymocowuje do niej wizytówkę sklepu, a następnie wieńczy całość elegancką kokardą.

- Mam nadzieję, że będzie zadowolona. - Właśnie podała Faith pudełko, kiedy zadzwonił telefon. - Przepraszę cię na chwilę.

- Nie ma sprawy. - W oczach Tory było coś takiego, co zaintrygowało Faith. - Pozwól, że tylko odnotuję tę kwotę w moich operacjach czekowych. Zawsze o tym zapominam. -

Telefon zadzwonił drugi raz. - Odbierz. Już się wynoszę.

Nie mając innego wyjścia, Tory podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry. Tu Komfort Południa.

- Tory. Przepraszam, że to tak długo trwało.

- Nie, wszystko jest w porządku. Doceniam twój trud. Udało ci się zdobyć informację?

- Tak, sądzę, że mam to, czego szukasz.

- Nie rozłączaj się. Otworzę ci drzwi, Faith.

Faith wzruszając ramionami i wzięła pudełko. Wychodząc zastanawiała się, kto to dzwonił i dlaczego ten telefon sprawił, że Tory drżą ręce.

- Przepraszam, miałam kogoś w sklepie.

- Rozumiem. Ofiara nazywała się Alice Barbara Powell, płeć żeńska, rasa biała.

Szesnaście lat. Jej ciało zostało odnalezione dopiero po pięciu dniach od popełnienia morderstwa. Przez trzy dni nie zgłaszano zaginięcia, ponieważ jej rodzice sądzili, że spędza weekend z przyjaciółmi nad morzem. Szczątki... no cóż, Tory, do tego czasu zwłoki zostały rozszarpane przez zwierzęta. Powiedziano mi, że nie był to najprzyjemniejszy widok.

- Czy go złapali? - Znała już odpowiedź, ale musiała ją usłyszeć.

- Nie. Sprawa jest nadal otwarta. To miało miejsce dziesięć lat temu.

- Znasz datę? Dokładną datę popełnienia morderstwa?

- Gdzieś to miałam. Jedną chwileczkę. To było dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku.

- Boże! - Przeszedł ją dreszcz.

- Tory? Co to za sprawa? Czy mogę coś zrobić?

- Nie mogę ci jeszcze tego wyjaśnić. Ale muszę cię poprosić, Abigail, żebyś jeszcze raz wykorzystwała swój kontakt. Gdybyś się mogła dowiedzieć, czy nie popełniono podobnej zbrodni sześć lat wcześniej i dziesięć lat później. Czy były w tym czasie inne, w podobny sposób zamordowane ofiary. Też gdzieś w okolicy sierpnia.

- W porządku, Tory. Zapytam. Kiedy się jednak dowiem, będziesz mi musiała powiedzieć, o co chodzi.

- Najpierw muszę poznać odpowiedź. Dziękuję ci, Abigail. Odłożyła słuchawkę i po prostu usiadła na podłodze. Dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku Hope nie żyła już od ośmiu lat. Tamtego lata obchodziłaby szesnaste urodziny.

Żywi przynosili zmarłym kwiaty, wspaniałe lilie albo skromne stokrotki. Jednak położone na ziemi kwiaty szybko umierały. Tory nigdy nie rozumiała symboliki czegoś, co więdnie i obumiera na grobie kochanej osoby. Być może są pocieszeniem dla tych, którzy pozostają. Nie ofiarowała Hope kwiatów. Zamiast nich przyniosła jedną z kilku pamiątek, która się zachowała. Wewnątrz szklanej kuli fruwał skrzydlaty koń, a gdy się nią potrząsało, świeciły srebrne gwiazdki.

To był ostatni prezent od utraconej przyjaciółki.

Przyniosła go na pagórkowaty cmentarz, gdzie pokolenia ludzi z Progress spoczęły na wieczność. Były tu nagrobki, proste, jak ten blok z kamienia, i wymyślne, jak tamten wspięty na tylnych nogach koń z jeźdźcem, wykonany z brązu.

Hope nazwała człowieka na koniu Wujem Clydem, i rzeczywiście można się było dopatrzeć podobieństwa do jednego z jej przodków, uczestnika tej golgoty, jaką była wojna, w której Północ napadła na Południe, i w której wuj poległ.

Hope chętnie zmyślała wstrząsające opowieści o jego ostatnich chwilach pod Vicksburgiem, od czasu do czasu zmieniając zakończenie, z którego wynikało, że przeżył, straciwszy rękę, nogę albo wzrok.

Raz nawet Hope ośmieliła się wdrapać na wielkiego rumaka Wuja Clyde'a. Tory również wdrapała się na rozżarzony przez słońce metalowy pomnik, obawiając się, że Bóg ześle na nią karę za takie bluźnierstwo i zabije, ciskając jeden z gromów, które trzyma w ręku.

Nie uczynił tego i przez chwilę, kiedy kurczowo trzymała się rzeźby, kiedy pod jej stopami roztaczał się świat pełen zieleni i brązów, a słońce biło po głowie niczym tępym młotem, czuła się niepokonana. Beaux Rêves jakby się przybliżyło, stało się przystępniejsze.

Krzyknęła z góry do Hope, że pofrunie tam na koniu i wyląduje na szczycie wieży.

Schodząc, omal nie skręciła karku. Stłukła sobie kość ogonową, ale to nic w porównaniu z tą chwilą, tam, wysoko, na unoszącym się do góry koniu.

Na ósme urodziny Hope ofiarowała jej tę kulę. To była jedyna rzecz, jaką Tory zachowała z tamtego roku swojego życia.

Teraz, tak samo jak wtedy, dęby i pachnąca magnolia stały na straży kamieni i kości, ofiarowując im półmrok pocętkowany światłem i cieniem. Wyznaczały także symboliczną barierę między nieuchronnością śmierci a królewskim kamiennym domem, który przeżył

wielu właścicieli.

Lubiła spacer z rodzinnego domu na cmentarz. Odbyły go z Hope niezliczoną ilość razy, w upalnym lecie, w deszczową zimę. Hope przyglądała się wyrytym w kamieniu nazwiskom, wymawiając je na

głos - na szczęście, jak mówiła.

Teraz Tory podeszła do grobu, do marmurowego anioła, który wygrywał serenadę na harfie. I powiedziała głośno:

- Witaj, Hope Angelico Lavelle.

Uklękła na miękkiej trawie, usiadła na piętach. Wiał delikatny, ciepły wiaterek, unoszący słodki zapach z miniaturowych krzewów róż, które otaczały rzeźbę.

- Przepraszam, że nie przyszłam wcześniej. Odkładałam to, ale myślałam o tobie, stale o tobie myślałam w ciągu tych lat. Nigdy nie miałam innej przyjaciółki, kogoś, komu mogłabym mówić o wszystkim. Byłam taka szczęśliwa, mając ciebie.

Kiedy zamknęła oczy i pogrążyła się we wspomnieniach, ktoś przyglądał się jej zza drzew, zaciskając pięści. Ktoś, kto wiedział, co oznacza tęsknota za tym, co się nie spełniło.

Czym jest życie, rok po roku, z pragnieniem ukrytym w sercu.

Wróciła po szesnastu latach. Czekał i obserwował, wiedząc, że istnieje szansa, iż pewnego dnia wbrew wszystkiemu zatoczy koło i wróci tutaj, gdzie się to zaczęło.

Tworzyły taki śliczny obrazek. Hope i Tory. Tory i Hope. Ciemna i jasna, rozpieszczona i skrzywdzona. Nic, co zrobił wcześniej, nic, co zrobił po tamtej sierpniowej nocy, nie było równie ekscytujące. Kiedy napięcie dochodziło do szczytu, odtwarzał tamtą noc i jej niewypowiedziane piękno.

Jednak nic temu nie dorównywało.

Mógłby się rozprawić z Tory szybko, bez trudu. Ale żał mu było tego ożywczego podniecenia, związanego z życiem na krawędzi. Może to było właśnie to, na co czekał przez cały czas. Na jej powrót, na to, żeby znowu ją mieć tutaj.

Będzie musiał poczekać do sierpnia, jeśli wytrzyma. Na gorącą sierpniową noc, żeby wszystko było tak, jak przed osiemnastu laty.

Mógł się z nią rozprawić w każdej chwili w ciągu tych lat. Ale należał do ludzi, którzy przywiązują wagę do symboli, do wielkich widowisk. To musi się odbyć tutaj. Obserwując ją doprowadził się do orgazmu, jak robił to wiele razy wtedy, kiedy podglądał Tory. Hope i Tory. Tory i Hope.

Gdzie to się wszystko zaczęło i gdzie się skończy.

Przeszedł ją dreszcz, jakby jakiś zimny palec przesunął się wzdłuż karku aż do podstawy kręgosłupa. Rzuciła niespokojne spojrzenie przez ramię, ale pomyślała, że to tylko efekt jej własnych myśli.

Przecież była tu intruzem pośród zmarłych. Pociemniało, gęste szare chmury nadciągały ze wschodu, by przykryć słońce. Tego wieczoru farmerzy doczekają się prawdziwego deszczu.

Powinna się pospieszyć.

- Jest mi tak bardzo przykro, że nie przyszłam tamtego wieczoru. Powinnam przyjść.

On nigdy nie dopuszczał myśli, że mogłabym mu się przeciwstawić i wyjść z domu. Nikt by tego nie sprawdził. Nie potrafię ci wytłumaczyć, co przeżywałam, gdy sięgał po pas, żeby mnie bić. Ani tego, jak każde uderzenie odzierało mnie z godności ludzkiej, nie pozostawiając nic poza strachem i poniżeniem. Gdybym zdobyła się na odwagę i wyszła przez okno tamtego wieczoru, może uratowałabym nas obie. Ale nigdy się tego nie dowiem.

Rozśpiewały się ptaki, słyhać było pojedyncze trele i całe chóry. Był to wesoły, natarczywy dźwięk, który, o dziwo, pasował tu doskonale. Ptaki, leniwe brzęczenie pszczoł w różach i silny, żywy zapach kwiatów.

Napęczniałe burzą chmury pędził wiatr wiejący górą, zbyt wysoko, żeby ochłodzić powietrze tam, gdzie klęczała.

Przy każdym oddechu czuła się tak, jakby się topiła.

Jeszcze raz podniosła kulę, potrząsnęła nią, żeby ukazały się srebrne gwiazdki.

- Wróciłam. Nie bacząc na wszystko, wróciłam. I muszę to wyjaśnić. Nie powiedziałam ci nigdy, ile dla mnie znaczyłaś, jak przez sam fakt bycia moją przyjaciółką otworzyłaś coś we mnie, ani też o tym, że kiedy cię straciłam, znów zamknęłam się w sobie.

Na długi czas. Próbuję teraz stać się taka jak wówczas, kiedy byłaś tutaj.

Znowu zerknęła na ścianę drzew i na wznoszące się za nimi wieże Beaux Rêves. Czy widzą ją stamtąd, z kamiennej wieży? Czy ktoś stoi za szybą i przygląda się jej?

Niech sobie obserwują. Niech czekają. Znowu popatrzyła na anioła, spuściła wzrok na kamienną płytę.

- Nigdy nie znaleźli tego człowieka, który ci to zrobił. Jeśli potrafię, znajdę go.

Poruszyła kulą, a następnie położyła ją pod aniołem tak, by gwiazdy świeciły. I odeszła.

Gdy Cade wyjechał z miasta i zmierzał w kierunku domu, rozpadało się na dobre. To był dobry deszcz, który nie zniszczy upraw. Jeśli dopisze mu szczęście, popada całą noc, co zapobiegnie suszy.

Chciał pobrać próbki ze swoich różnych pól, porównać, jak spisują się rozmaite rośliny, zasiewane w celu użyznienia ziemi. Posiał mamuta w ubiegłym roku, ponieważ ten typ fasoli wzbogacał jego bawełnę w azot.

Sprawdzi to jutro, po deszczu, a następnie porówna i przeanalizuje wykresy z ostatnich czterech lat. Mamut nie przyniósł spodziewanego zysku. Gdyby jeszcze raz miał go zasiać, musiałby mieć na to jakieś uzasadnienie.

Nikt inny nie zwracał uwagi na jego wykresy. Nawet Piney, który udawał

zainteresowanie różnymi nowinkami.

Nieważne. Nikt poza nim nie musi ich rozumieć.

A gdyby był uczciwy wobec siebie, przyznałby, że również sam nie jest nimi zainteresowany w tej chwili. To był wybieg, żeby nie myśleć o Tory i o tym, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru.

Najlepiej więc spotkać się z nią i wyjaśnić wszystko.

Zdziwił się, kiedy czerwony mustang, za którym jechał, skręcił w stronę domu Tory.

Ze zdziwieniem zobaczył wysiadającego z kabrioletu J.R.

- No i co o nim sądzisz? - J.R., uśmiechając się od ucha do ucha, poklepał błyszczący zderzak.

- Twój?

- Od dzisiaj. Boots mówi, że przechodzę kryzys wieku średniego. Uważam, że jeśli stać na coś człowieka, może to sobie sprawić.

- Piękny. - W strugach deszczu J.R. podniósł maskę.

- Niczego sobie. - Cade pokiwał głową, nie mogąc oderwać oczu od silnika. - I co on potrafi?

- Na odcinku do szosy osiągnie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jedzie jak po maśle. Na zakrętach trzyma się wspaniale. Udałem się wczoraj do firmy Broderick's.

Przyszedł czas, żeby się pozbyć sedana. Chciałem wziąć kolejnego, kiedy zobaczyłem to cudo na placu. - Uśmiechając się radośnie J.R. pogładził palcami gęste siwe wąsy. - Miłość od pierwszego wejrzenia.

- Cztery biegi? - Cade zerknął do środka.

- Cztery, w podłodze! Nie miałem czegoś takiego od... Byłem wtedy młodszy od ciebie. Niestety zaczęło padać i musiałem opuścić dach.

- Tak szybko jeżdżąc będziesz stale zbierał mandaty.

- Przynajmniej będę wiedział, za co płacę! - J.R. jeszcze raz czule poklepał samochód, po czym spojrzał w stronę domu. - Chciałeś zobaczyć się z Tory?

- Miałem taki zamiar.

- To dobrze. Muszę jej powiedzieć coś niezbyt miłego. W takiej sytuacji lepiej, żeby miała obok siebie przyjaciela.

- Co takiego, co się stało?

- Nic strasznego, Cade, ale sprawi jej to przykrość. Lepiej nie zwlekać i od razu wszystko powiedzieć. - Wszedł na ganek, zapukał. - Może się wydawać dziwne, że pukam do drzwi tak bliskiej mi osoby, ale nauczyłem się tego przy mojej siostrze.

Nie witała gości z otwartymi ramionami. A oto i moja dziewczynka! - Powiedział to z nieukrywaną serdecznością, gdy Tory otworzyła drzwi.

- Wujek Jimmy! Cade! - Chociaż widok ich obu na ganku przyprawił jej żołądek najpierw o skurcz, a zaraz potem o nieprzyjemne drżenie, cofnęła się, żeby ich przepuścić. -

Wchodźcie, bo zmokniecie.

- Spotkaliśmy się z Cad'em całkiem przypadkowo. Właśnie pokazywałem mu mój nowy samochód.

Przez uprzejmość wychyliła się przez drzwi.

- Co za... - Już miała powiedzieć „zabawka”, kiedy uprzytomniła sobie, że sprawiłaby mu przykrość. - Wspaniała maszyna.

- Prycha jak wielki stary kocur. W pierwszy ładny dzień przejedziemy się kawałek.

- Doskonale. - Ale na razie w gościnnym pokoju, gdzie brakowało miejsc do siedzenia, miała dwóch mokrych mężczyzn i coraz bardziej bolała ją głowa. - Może przeszlibyśmy do kuchni? Przynajmniej będzie na czym usiąść, a poza tym zaparzyłam świeżą herbatę, żeby jakoś przetrwać tę pogodę.

- Zachęcająca propozycja, ale nie chciałbym nanieść błota.

- Nie przejmuj się. - Poszła przodem. Miała nadzieję, że aspiryna, którą zażyła, zrobi swoje i że obejdzie się bez dziesięciminutowej drzemki, która w połączeniu z lekarstwem działała na ogół niezawodnie. Dom pachniał deszczem, bujną roślinnością, wilgocią moczarów. Zawsze lubiła te zapachy, ale teraz czuła się przez nie osaczona.

- Mam jakieś ciasteczka. Co prawda ze sklepu, ale na pewno lepsze niż gdybym je sama upiekła.

- Nie rób sobie kłopotu, dziecinko. Prosto od ciebie jadę do domu. - Ponieważ jednak wykladała już ciasteczka na talerz, sięgnął po jedno. - Boots nie kupuje ostatnio słodczy. Jest na diecie, a co za tym idzie, ja również.

- Ciocia Boots wygląda wspaniale. - Tory wyjęła filiżanki. - Ty zresztą także.

- To samo jej mówię, a ona co rano się złości, kiedy staję na wadze. Dopiero gdy przejdę na zieloną sałatę, będzie zadowolona. - Sięgnął po następne ciasteczko. - Tylko że wtedy zacznę ruszać nosem jak królik - zaśmiał się.

Począł, aż Tory naleje herbatę, usiadł. . - Słyszałem, że lada moment otwierasz swój sklep. Nie

miałem czasu, żeby wpaść i zobaczyć go na własne oczy.

- Mam nadzieję, że zrobisz to w sobotę.

- A jakże! - Wypił łyk herbaty, poprawił się na krześle, westchnął. - Tory, przykro mi, że przychodzę tu z czymś, co może ci sprawić przykrość, ale uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Najlepiej powiedz to od razu.

- Kończyliśmy właśnie z Boots kolację, kiedy zadzwoniła twoja matka. Ma wielkie zmartwienie. W przeciwnym razie chyba by nie zadzwoniła. Nie rozmawiamy zbyt często.

- Jest chora?

- Nie, w każdym razie nie w sensie fizycznym. - Wziął głęboki oddech. - To dotyczy twojego ojca. A niech to jasna cholera! - J.R. odstawił filiżankę na spodek, a następnie spojrzał na Tory. - Podobno napastował jakąś kobietę.

Tory przypomniała sobie gruby skórzany pas. Trzy ostre uderzenia. Jej palce drgnęły, ale natychmiast się opanowała.

- Napastował?

- Twoja matka powiedziała, że to jedno wielkie nieporozumienie, musiałem więc wszystko z niej wydusić. Podobno jakaś kobieta utrzymuje, że twój ojciec... poturbował ją. Że próbował... że ją molestował.

- Próbował ją zgwałcić?

Przygnębiony J.R. jeszcze raz poprawił się na krześle.

- Sari była dosyć nieprecyzyjna, jeśli chodzi o szczegóły. W każdym razie aresztowali Hana. Znowu zaczął pić. Sarabeth chciała to przede mną zataić. Dostał wyrok w zawieszeniu, pod warunkiem poddania się kuracji odwykowej. Nie sądzę, żeby był z tego zadowolony, ale nie miał wyboru.

Sięgnął po filiżankę, ponieważ zaschło mu w gardle.

- A parę tygodni później prysnął.

- Prysnął?

- Nie zjawił się w domu. Sarabeth powiedziała, iż nie widziała go już od ponad dwóch tygodni. To znaczy, że złamał warunek zawieszenia i kiedy go złapią, wsadzą do... więzienia.

- Tak, domyślam się. Aż dziw, że wcześniej nie znalazł się za kratkami.

- Sarabeth jest bliska szaleństwa. - J.R. zanurzył ciasteczko w herbacie - nawyk, który doprowadzał

jego żonę do rozpaczy. - Stoi krucho z pieniędzmi i jest chora ze zmartwienia.

Chcę tam jutro pojechać i zobaczyć się z nią, może dowiem się czegoś więcej.

- Uważasz, że powinnam z tobą pojechać?

- Kochanie, to tylko od ciebie zależy. Potrafię sobie sam z tym poradzić.

- Pojadę z tobą.

- Jeśli naprawdę tego chcesz, będzie mi rażniej. Możemy wyjechać o siódmej rano?

- Tak, oczywiście.

- Dobrze. - Podniósł się z krzesła. - Zobaczysz, wszystko się wyjaśni. Wpadnę po ciebie rano. Nie, siedź. - Poglaskał ją po głowie, zanim zdążyła wstać. - Sam wyjdę.

- Czuje się zakłopotany - powiedziała półgłosem Tory, kiedy trzasnęły drzwi. - Ze względu na mnie i moją matkę. Powiedział o tym przy tobie, ponieważ dotarła do niego rozpuszczana przez Lissy Frazier plotka. Pomyślał, że będzie lepiej, jeżeli nie zostanę teraz sama.

Cade nie spuszczał z niej wzroku. Podziwiał jej opanowanie, które go nawet w pewnym sensie niepokoiło.

- Myślisz, że to prawda?

- Nie wiem. Pewnie zastanawiasz się, dlaczego nie przejęłam się zbyt opowieścią o moim ojcu?

- Zastanawiam się, co między wami zaszło, i że traktujesz go tak obojętnie. A może postanowiłaś nie okazywać, że jest ci przykro po tym, co usłyszałaś od J.R.?

- Dlaczego miałyby mi być przykro? Stało się to, co miało się stać. Matka woli wierzyć, że ojciec nie zrobił tego, o co go oskarżono. Ale on to zrobił. Pił i był na tyle nieostrożny, że wyładował swoją agresję poza domem.

- Czy wyzywał się dotąd na twojej matce?

W kąciку ust Tory pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Kiedy z nimi mieszkałam, nie musiał tego robić.

Cade pokiwał głową. Domyślił się tego wówczas, kiedy przyszła do nich, żeby powiedzieć o Hope.

- Ponieważ ty byłaś łatwiejszym celem.

- Od dłuższego czasu znajdowałam się poza jego zasięgiem. Powinnam to była przewidzieć.

- Niesłusznie się obwiniasz.

- Wcale się nie obwiniam. - Ponieważ nie spuszczał z niej wzroku, zamknęła oczy. -

Wiem, że po moim wyjeździe traktował ją jak worek bokserski. Nigdy nie próbowałam tego zmienić. Odkąd skończyłam osiemnaście lat, widziałam ich zaledwie dwa razy. Raz, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, gdzie byłam szczęśliwa i miałam wrażenie, że możemy naprawić to, co pękło między nami, a przynajmniej niektóre z tych spraw. Mieszkali wtedy w przyczepie kempingowej niedaleko granicy Georgii. Po wyprowadzeniu się z Progress często przenosili się z miejsca na miejsce.

Siedziała tak z zamkniętymi oczami, spokojnie, a deszcz bębnił o dach.

- Tata nie zagrzewał długo miejsca w żadnej pracy. Mówił, że zawsze ktoś czyhał na jego stanowisko. Albo trafiała mu się lepsza praca w innym miejscu. Już straciłam rachubę, ile tego było - różne szkoły, mieszkania, twarze. Nigdy nie zawierałam prawdziwych przyjaźni, nie było więc czego żałować. Po prostu uzbroidłam się w cierpliwość, czekając na to, kiedy będę mogła odejść. Oszczędzając pieniądze w tajemnicy i czekając, aż prawo pozwoli mi opuścić domu. Gdybym zrobiła to wcześniej, sprowadziłby mnie z powrotem. I kazałby mi za to gorzko zapłacić.

- Nie mogłaś się zwrócić o pomoc? A twoja babcia?

- Jej też mógł zrobić krzywdę. - Otworzyła oczy i popatrzyła prosto na Cade'a. - Bał

się jej, podobnie jak bał się mnie, i mógłby jej zrobić krzywdę. A moja matka stanęłaby po jego stronie. Jak zawsze. Dlatego kiedy wyjechałam, nie udałam się do niej. Nie potrafię ci wytłumaczyć - tak jak nikomu i nigdy nie udało mi się tego wytłumaczyć - do jakiego stopnia strach może opanować człowieka. Jak potrafi nami kierować, podpowiadać nam, co mamy powiedzieć, a czego nie.

- Właśnie to zrobiłaś.

Otworzyła już usta, ale nie skomentowała jego słów.

- Nalać ci herbaty?

- Siedź. Sam to zrobię. - Nastawił czajnik. - Opowiedz wszystko.

- Nie mówiłam im, że zamierzam opuścić dom, chociaż zaplanowałam każdy krok i wiedziałam dokładnie, co robić i dokąd się udać. Spakowałam się i uciekłam w środku nocy.

Doszłam do miasta, na stację autobusową, i kupiłam bilet do Nowego Jorku. Kiedy wzeszło słońce, byłam już daleko stąd i nigdy nie zamierzałam tu wrócić. Ale... - Złożyła ręce jak do modlitwy. - Wróciłam, żeby się z nimi zobaczyć. Właśnie skończyłam dwadzieścia lat.

Minęły dwa lata. Miałam zajęcie, pracowałam w sklepie w centrum miasta. Dobrze zarabiałam, miałam też własny kątek. Maleńki, ale własny. Kiedy dostałam urlop, wsiadłam w autobus i przejechałam na granicę z Georgią, żeby się z nimi zobaczyć. No cóż, może chciałam im pokazać, że udało mi się wyjść na ludzi. Nie było mnie dwa lata, a już po dwóch minutach czułam się tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżała.

Cade pokiwał ze zrozumieniem głową. Kiedy wrócił po czterech latach z college'u, natychmiast wpadł w ten sam rytm życia domowego. Jednak, w jego przypadku, szczerze się stęsknił za takim życiem.

- Wszystko, co robiłam - ciągnęła - czego dokonałam albo czego mogłam dokonać, było złe. Wyszło na to, że się popisuję, przechwalam. On wiedział lepiej, jakie życie prowadzę tam, na północy. Wykombinował sobie, że wróciłam do domu, ponieważ jestem w ciąży z jednym z tych mężczyzn, którym pozwalałam się do siebie dobierać. Byłam jeszcze dziewicą, ale on uważał mnie za dziwkę. Nabrałam trochę odwagi przez te dwa lata i pierwszy raz w życiu ośmieliłam się mu postawić. Resztę tygodniowego urlopu spędziłam na kurowaniu twarzy, żeby móc ukryć skaleczenia pod makijażem i wrócić do pracy.

- Chryste Panie, Tory!

- Uderzył mnie tylko raz, ale miał wielkie twarde łapy. - Mimo woli podniosła rękę do twarzy i dotknęła lekko skrzywionego nosa. - Zwalił mnie z nóg i uderzyłam o blat w tej ich niechlujnej małej kuchni. Nie zdawałam sobie sprawy, że mam złamany nos. Jak widać, byłam bardzo oswojona z bólem.

Pod stołem Cade bezsilnie zacisnął pięści.

- Gdy znowu się na mnie rzucił, porwałam nóż ze zlewu. Wielki kuchenny nóż z czarnym trzonkiem, jakby sam znalazł się w moim ręku. Ojciec poznał po mojej twarzy, że go użyję. Że zrobię to z rozkoszą. Wpadł jak burza z przyczepy, a matka pobiegła za nim, błagając go, żeby został. Opędzał się od niej jak od muchy, pchnął ją tak, że upadła na ziemię.

Czołgała się za nim na rękach i kolanach. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy.

Znowu zamknęła oczy, a jej zaciśnięte palce pobieleły. Żeby pozwolić jej ochłonać, Cade wstał i podszedł do kuchenki, na której kipiała woda. W milczeniu nalał esencję, uzupełnił ją wrzątkiem. A potem usiadł i czekał.

- Potrafisz słuchać.

- Dokończ to. Pozbądź się tego.

- Zgoda. - Tory otworzyła oczy. Była mu wdzięczna za to, że się nad nią nie litował.

- Wstydziłam się za nią. Czulałam do niej obrzydzenie. I nienawidziłam jej. Sądzę, że w tamtej chwili nienawidziłam jej bardziej niż jego. Odłożyłam nóż i złapałam torbę. Nawet nie zdążyłam jej rozpakować, spędziłam z nimi niecałą godzinę. Kiedy wyszłam, nadal siedziała na brudnej ziemi i płakała. Spojrzała na mnie z taką złością, jakby chciała powiedzieć: „Po co przyjechałaś? Przez ciebie są zawsze same kłopoty”. Siedziała w kurzu, z krwawiącą wargą -

albo on ją rozbił, albo sama ją przygryzła, kiedy upadała. Nie zatrzymałam się, nie odezwałam się do niej. Od tamtego czasu nie zamieniłam z nią ani jednego słowa. Nie zamieniłam słowa z własną matką, od kiedy skończyłam dwadzieścia lat.

- To nie twoja wina.

- Tak, to nie moja wina. Mam za sobą lata psychoterapii, mogę więc to powiedzieć z całą stanowczością. Jednak dla niego oskarżanie mnie - sam fakt, że się urodziłam - stanowiło niezbędną pożywkę do życia. Że urodziłam się właśnie taka. Wcześniej, dopóki nie doszedł

do wniosku, że jestem inna, nie obchodził go. Bił mnie rzadko, jakby mimochodem. A potem nie było tygodnia, żeby mnie nie prześladował. Nie pod względem seksualnym -

dodała, widząc przestraszenie na twarzy Cade'a. - Nigdy się do mnie nie dobierał. Ale chciał. O

Boże! - Zaciśnęła palcami oczy. - Chciał tego, a ponieważ przerażało go to, więc bił mnie coraz częściej. I miał z tego podwójną przyjemność. Seks i przemoc są w nim mocno ze sobą splecione. To, co mówią o nim w związku z tą kobietą, na pewno jest prawdą. To nie był

gwałt - albo też nikt nie potrafił mu tego udowodnić - w przeciwnym razie nie daliby mu tak łatwo warunkowego zwolnienia. Ale gwałt to tylko jeden ze sposobów krzywdzenia i poniżania kobiety przez mężczyznę.

- Wiem o tym. - Wstał, żeby nalać jej herbaty. - Powiedziałaś, że widziałaś się z nimi dwa razy.

- Nie z nimi, lecz z nim. Trzy lata temu przyjechał do Charlestonu. Dowiedział się, gdzie pracuję, i jechał za mną do domu. Złapał mnie, kiedy wysiadałam z samochodu. Byłam śmiertelnie przerażona. Nie miałam już tej siły, którą wypracowałam w sobie w Nowym Jorku. Powiedział, że matka jest chora i że potrzebują pieniędzy. Nie uwierzyłam mu. Czuć było od niego alkohol.

Jeszcze teraz go czuła wyraźnie. Nieświeży, gorący smród, jak przykry smak w ustach. Podniosła filiżankę i zamiast wypić herbatę, wciągnęła w płuca gorącą parę.

- Trzymał mnie za rękę. Widziałam po jego oczach, że chce mi połamać kości.

Podniecał się pomysłami, które mu przychodziły do głowy. Wypisałam mu na miejscu czek na pięć tysięcy dolarów. Nie chciałam, żeby wchodził do domu. Powiedziałam mu, że jeśli mi zrobi krzywdę, będzie się próbował dostać do mojego domu, albo przyjdzie tam, gdzie pracuję, wstrzymam wypłatę czeku. Ale jeśli odejdzie stąd i nigdy więcej nie wróci, będę mu posyłała sto dolarów miesięcznie. Zaśmiała się krótko.

- Był tym tak zaskoczony, że pozwolił mi odejść. Zawsze lubił pieniądze. Dla samego ich posiadania. Wygłaszał kazania o bogatym mężczyźnie i o uchu igielnym, ale lubił mieć pieniądze. Weszłam do domu i zabarykadowałam się. Całą noc przesiedziałam przy telefonie, z pogrzebaczem w rękę. Jednak nie próbował się dostać do środka. Ani wtedy, ani później. Za sto dolarów miesięcznie kupiłam sobie spokój. Niezła cena za taki luksus.

Wypiła duży łyk herbaty i nie mogąc usiedzieć wstała, żeby popatrzeć na równomiernie siąpiący deszcz.

- To by było wszystko. Usłyszałeś trochę ohydnych tajemnic rodziny Bodeen'ow.

- Lavelle'owie mają także takie tajemnice. - Wstał, podszedł do niej i pogładził ręką jej gruby warkocz, opadający na plecy. - Nadal jesteś bardzo silna, Tory. Zdobyłaś to, co chciałaś. Nie złamał tego w tobie. Nawet cię nie ugiął.

Musnął wargami czubek jej głowy i ucieszył się, że nie cofnęła się, jak zawsze.

- Jadłaś coś?

- Co mówisz? - Usmażę jajka.

- Co takiego?

- Jestem głodny, a i ty też.

Objął Tory, a jej łzy napłynęły do oczu - tak nagle i piekące, że z trudem je powstrzymała.

- Cade, to donikąd nie prowadzi.

- Tory. - Przytulił ją, a ona złożyła głowę na jego ramieniu. - To już nas gdzieś doprowadziło.

Poczuła się tak dobrze, tak pewnie, gdy trzymał ją przy sobie.

- Nie mam jajek. - Odsunęła się. - Zrobię zupę.

Czasami jedzenie jest tylko pretekstem. Może uchwycili się go oboje - ona mieszając na kuchni zupę z puszki, on zaś przygotowując grzanki z serem. Przyjemnie jeść tak w domu w deszczowy wieczór.

Cade szukał sposobu przebicia się przez gruby obronny pancerz Tory.

- W Beaux Rêves dostałbyś coś lepszego niż zupę i sandwicza.

- Dostałbym. - Stał obok niej. Obok, ale nie na tyle blisko, żeby się dotykali. - Ale wolę tutejsze towarzystwo.

- To znaczy, że coś jest z tobą nie w porządku. Powiedziała to tak rzeczowym tonem, że aż musiał się nad tym zastanowić. Śmiejąc się, rzucił dwa kawałki chleba na rozgrzaną patelnię.

- Chyba masz rację. Musisz jednak przyznać, że mam masę ukrytych zalet. Cieszę się dobrym zdrowiem, nie jestem aż tak bardzo szpetny, mam wielki dom, dobrą ziemię i dość pieniędzy, żeby głód nie zaglądał domownikom w oczy. A w dodatku, poza niezaprzeczalnym wdziękiem, robię genialne serowe sandwicze.

- To dlaczego nie poderwała cię dotąd żadna wspaniała kobieta?

- Tysiąc razy próbowały.

- Czyżbyś się tak dobrze wykręcał?

- To kwestia zręczności. - Szybkim ruchem przewrócił sandwicze. - Raz byłem zaręczony.

- Naprawdę? - zapytała mimochodem, sięgając po miseczki do zupy, ale nadstawiła ucha.

- Aha. - Znał dobrze naturę ludzką i wiedział, że ją zaintrygował. Poprzestał więc na zdawkowej odpowiedzi i czekał.

Wytrzymała do czasu, dopóki nie postawili na stole talerzy i misek, i nie usiedli.

- Uważasz, że jesteś bardzo sprytny, prawda?

- Mężczyzna w mojej sytuacji nie ma innego wyjścia.

- Więc co się stało?

- Z czym? - Z przyjemnością patrzył, jak zmrużyła oczy. - Z Deborą? Omal nie przysięgłem jej dożgonnej miłości i wierności. Pamiętasz tutejszego sędziego?

- Nie, nie pamiętam. Bodeen'owie nie obracali się w tych sferach.

- Ma śliczną córkę, która kochała się we mnie przez krótki czas, po czym stwierdziła, że nie chce być żoną farmera. A w każdym razie nie chciała farmera, który własnoręcznie uprawia ziemię.

- Bardzo ci współczuję.

- To nie była żadna tragedia. Nie kochałem jej. Była śliczna, rozmawiało się z nią ciekawie i uważaliśmy, że pasujemy do siebie. Tylko na jedną sprawę zapatrywaliśmy się zupełnie inaczej. Przekonaliśmy się o tym kilka miesięcy po zaręczynach. Rozstaliśmy się w przyjaźni - co dowodzi, że oboje poczuliśmy ulgę - a ona wyjechała na kilka miesięcy do Londynu.

- Jak mogłeś...

- Nie krępuj się. Możesz pytać, o co zechcesz.

- Zastanawiam się, jak mogłeś prosić ją o rękę, a potem rozstać się z nią bez żalu.

- Dochodzę teraz do wniosku, że nie odbyło się to tak zupełnie na zimno. Faktem jest też, że miałem dwadzieścia pięć lat, a to małżeństwo ukartowane zostało przez rodzinę. Moja matka i sędzia przyjaźnią się ze sobą. Był on również przyjacielem mojego ojca. Uznali, iż przyszedł czas, żebym się ustatkował i spłodził dziedzica.

- Tak na zamówienie?

- Podobała mi się, mieliśmy wielu wspólnych znajomych. Jej tata był moim prawnikiem od dobrych paru lat. Łatwiej jest podjąć decyzję, gdy sprzyjają jej obie rodziny.

A potem zaczęło mi się robić w tym związku duszno. Zapytałem więc samego siebie, jak wyglądałoby moje życie bez niej? A także, jakie może być za pięć lat?

Ugryzł sandwicza i wzruszył ramionami.

- Okazało się, że nie zachwyca mnie perspektywa spędzenia z nią całego życia. I tak się szczęśliwie złożyło, że ona myślała podobnie. Prawdziwie zasmuceni byli tylko nasi rodzice. - Przerwał, popatrzył na Tory. - A przecież nie możemy układać życia pod kątem tego, co się podoba albo nie podoba naszym rodzicom, prawda?

- Prawda. Ale trudno też dźwigać brzemień ich oczekiwań. Moi rodzice nigdy mnie nie akceptowali. Przez długi czas starałam się być inna. - Podniosła wzrok. - I nie udało mi się to.

- Lubię cię taką, jaka jesteś.

- Wczoraj wieczorem miałeś z tym pewne kłopoty.

- To prawda - przyznał. - Zaniepokoiłaś mnie. Straciłem z tobą kontakt - dodał, kładąc dłoń na jej rękę, zanim zdążyła ją cofnąć. Nie wiedziałem, co robić.

- Nie uwierzyłeś mi.

- Wierzę, że to zobaczyłaś, czy też poczułaś. Ale wydaje mi się, że w znacznym stopniu odegrały tu rolę dwa fakty: twój powrót tutaj i przypomnienie sobie tego, co stało się z Hope.

Pomyślała o telefonie od Abigail, o datach obu morderstw. Ale zachowała to dla siebie. Już raz zaufała, podzieliła się tajemnicą. I wszystko straciła.

- Tak, masz rację. I gdyby nie Hope, nie byłoby ciebie teraz tutaj. Czując się znowu na pewnym gruncie, usiadł i jadł dalej.

- Gdybyśmy się nigdy przedtem nie spotkali i gdyby między nami nic nie zaszło aż do tej pory, wiedziałbym, co robić tutaj. Chętnie przekonałbym się, jakie jest to twoje interesujące łóżko.

Kiedy wykonała gwałtowny ruch łyżką, uśmiechnął się.

- Uważam, że powinniśmy to sobie szczerze powiedzieć.

Podczas drogi miała czas zastanowić się nad tym, ile straciła przebywając z dala od J.R. Wszystko w nim było takie potężne - jego głos, jego śmiech i jego gesty. Dwukrotnie musiała zrobić unik, kiedy gwałtownie gestykulował, chcąc jej pokazać coś na trasie.

Rozsadzała go radość życia, którą zarażał innych.

Siedział w swoim małym aucie, z kolanami niemal pod brodą, i przerzucał wielką ręką biegi, podobnie jak młodzi chłopcy operują joystickiem, podczas gier komputerowych.

Można by przypuszczać, że mkną na jakiś zwariowany piknik, a nie po to, żeby spełnić smutny rodzinny obowiązek.

J.R. żył chwilą obecną, czego ona nie potrafiła nigdy osiągnąć.

Szalał teraz w swoim nowym samochodzie, przełączał radio ze stacji na stację, puszczał na cały głos płytę kompaktową z Clintem Blackiem i Garthem Brooksem. Schludna czapeczka w szkocką kratę przykrywała jego skręcone jak jagnięca wełna włosy o imbirowym kolorze.

Tuż po wjeździe do Sumter zdmuchnął mu ją figlarny wiaterek, ciskając pod koła przejeżdżającego mikrobusu. J.R. nawet nie zwolnił i śmiał się z tego jak szalony.

Przy otwartym dachu i głośniejszej muzyce wszelka rozmowa sprowadzała się do okrzyków, ale J.R. podtrzymywał ją nieprzerwanie, przeskakując z tematu na temat - niczym wielka gumowa piłka w sklepie Tory - od polityki i beztłuszczowych lodów po rynek papierów wartościowych.

Gdy zbliżyli się do granic Florence, wyraził nadzieję, że może wygospodarują chwilkę czasu, żeby odwiedzić jego matkę. Po raz pierwszy wspomniął o rodzinie.

Tory odchrząknęła, że strasznie by się chciała zatrzymać i zobaczyć z babcią. Po czym przypomniała sobie Cecila i zastanowiła się, czy J.R. wie coś na temat... nowych układów.

Nigdy nie była u rodziców na obrzeżach Hartsville. Nie miała pojęcia, w jaki sposób zarabiają obecnie na życie ani też jak spędzają czas.

Nigdy nie pytała o to babcię, a Iris nie podejmowała nigdy tego tematu.

Teren był tutaj pagórkowaty, gdzieniegdzie zalesiony. Tory zastanowiła się, czy taka ziemia nadawałaby się do zaorania pod plantację.

- Już niedaleko. - J.R. poprawił się na siedzeniu. Poczwała, jak zmienił mu się humor. -

Z tego, co słyszałem, Han prowadził ostatnio jakąś działalność gospodarczą. Aha, wydzierżawili kawałek ziemi i hodowali kurczaki.

- Rozumiem.

J.R. odchrząknął, jak gdyby zamierzał coś jeszcze powiedzieć, nie odezwał się jednak, dopóki nie zjechali z głównej szosy i nie skręcili na podziurawiony, pozbawiony bariery asfalt.

- Nigdy tu u nich nie byłem. Sarabeth dała mi namiary, kiedy jej powiedziałem, że przyjadę zorientować się, o co chodzi.

- Wszystko w porządku, wujku Jimmy, nie martw się o mnie. Oboje wiemy, czego można się spodziewać.

Chaotycznie porozrzucone domy były małe i rachityczne, niczym poźółkłe szkielety na zarośniętych podwórkach albo na zakurzonych, jakby po przejściu burzy piaskowej, działkach. Na żuźlowej podmurówce stał przechylony pordzewiały pikap z popękaną jak skorupka jajka przednią szybą. Brzydki czarny pies rzucał się na łańcuchu i ujadał, a obok niego, na starej poszczerbionej pralce, porzuconej na zarośniętym trawą podwórku, siedziało ciemnowłose, potargane dziecko, ubrane jedynie w bawełnianą bieliznę. Dziewczynka ssała palec i patrzyła bezmyślnie na przejeżdżający obok kabriolet.

Tak, wiadomo, czego można się spodziewać.

Droga zakręciła, lekko się wspięła, a następnie rozwidliła. J.R. wyłączył muzykę, maksymalnie zwolnił, jadąc wysypaną żwirem ścieżką.

- Teraz wiemy na co idą nasze podatki - próbował zażartować, po czym westchnął

tylko i skręcił na pełen wertepów podjazd, na którego końcu stał dom.

Nie, nie dom. Barak. Nie można czegoś takiego nazwać domem, a na pewno nie domem rodzinnym. Dach był przekrzywiony, z pustymi miejscami tam, gdzie wiatr zrzucił

dachówki. Stary szary tynk był popękany i także odpadał. Jedno okno zasłonięta tekturą.

Podwórko zarosły chwasty, wśród których dominowały mlecz i oset. Obok leżał żeliwny zlew z poczerniałą, wielką jak pięść dziurą.

Na tyłach domu stała metalowa budowla. Szara od brudu i upstrzona czerwonymi jak krew plamami rdzy. Za drucianą siatką, stanowiącą rodzaj obejścia, gdakało i dziobało ziemię kilkanaście wynędzniałych kur.

Ich przykry zapach niósł się w powietrzu.

- Jezu! - J.R. potarł ręką twarz. - Nie sądziłem, że może być aż tak źle.

- Ona wie, że tu jesteśmy - powiedziała bezbarwnym tonem Tory, otwierając drzwi samochodu. - Oczekiwała nas.

- To ciekawe. Nie powiadomiłem jej przecież - mruknął J.R. Otworzył swoje drzwi, a kiedy szli w stronę domu, położył rękę na ramieniu Tory.

Zastanowiła się, czy chce ją wesprzeć, czy też sam szuka oparcia. Kobieta, która podeszła do drzwi, miała siwe włosy i szczupłą twarz. Skóra na niej, jakby ściągnięta do tyłu, uwydatniała wystające kości. Zmarszczki wokół ust były jak wyżłobione nożem, tworząc głębokie bruzdy. Miała na sobie wygniecioną, bawełnianą sukienkę, za dużą na nią, i srebrny krzyżyk między wysuszonymi piersiami. Oczy, obwiedzione czerwonymi jak płomień obwódkami, drgnęły na widok Tory. Błyskawicznie przeniosła z niej wzrok, jakby spojrzenie mogło parzyć.

- Nie powiedziałaś, że chcesz ją przywieźć.

- Dzień dobry, mamó.

- Nie powiedziałaś, że chcesz ją przywieźć - powtórzyła Sarabeth, po czym otworzyła drzwi. - Czy nie dość mara zmartwień?

J.R. ścisnął ramię Tory.

- Jesteśmy tu, żeby zrobić, co w naszej mocy, Sari. - Nie zdejmując ręki z ramienia Tory, J.R. wszedł do środka.

W powietrzu czuć było woń gotujących się mięsnych odpadków, potu, beznadziei.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, co możesz zrobić, poza dobraniem się do tej kobiety, tej załganej zdiury z Hartford. - Wyciągnęła z kieszeni kawałek szmaty i wytarła nią nos. - Już nie wiem, co robić, J.R. Myślę, że mojego Hana spotkało coś strasznego. Nigdy jeszcze tak długo nie przebywał poza domem.

- Może byśmy usiedli? - powiedział J.R., po czym rozejrzał się wokół. Poczul skurcz żołądka.

W pomieszczeniu stała koślawa sofa przykryta wyświechtanym żółtym pokrowcem i szpetny zielony fotel z regulowanym oparciem, pozwiązany taśmą izolacyjną. Stół

zarzucony był papierowymi talerzami, plastikowymi kubkami i czymś, co było prawdopodobnie resztkami wczorajszej kolacji. Stojąca w rogu, pokryta sadzą kuchnia węglowa opierała się na trzech nogach, czwartą zastępował drewniany pieńek.

Obraz w drucianej ramie przedstawiał posepnie spoglądającego Jezusa, ukazującego swoje Święte Serce.

Ponieważ twarz siostry ciągle jeszcze była ukryta za tym, co służyło jej za chustkę do nosa, J.R. poprowadził ją do sofy i posłał błagalnie spojrzenie Tory.

- Może zrobiłabyś kawę?

- Mam jeszcze trochę rozpuszczalnej. - Sarabeth odsłoniła twarz i popatrzyła na ścianę, unikając wzroku córki. - Nie czułam się na siłach, żeby pójść do sklepu, a poza tym nie chciałam oddalać się

od domu, na wypadek, gdyby Han...

Tory odwróciła się bez słowa. Ponieważ dom składał się z jednego pomieszczenia, nie miała trudności ze znalezieniem kuchni. W zlewie stała sterta brudnych naczyń, a plamy na kuchence były stare i zapieczone. Jej buty kleiły się do linoleum na podłodze.

Kiedy Tory była dzieckiem, Sarabeth gorliwie sprzątała i czyściła wszystko, tocząc walkę z kurzem i z brudem, jakby świadczyły one o grzesznej duszy gospodyni. Nalewając wodę do czajnika, Tory zastanawiała się, co stało się z tym nawykiem matki, dlaczego pozbyła się iluzji, że Bóg zstąpi do jej mieszkania, o ile tylko podłoga będzie idealnie pozamiatana.

Potem jej myśli pochłonęły dźwięki gotującej się wody. Tory zajęła się wydobywaniem kawy ze słoika, pod względem konsystencji przypominającej beton.

Mleko było skwaszone, nie udało jej się także znaleźć cukru. Przygotowała dwa kubki dziwnie wyglądającej cieczy. Jej żołądek buntował się na sam widok czegoś takiego.

- Ta kobieta - powiedziała Sarabeth - próbowała uwieść mojego Hana. Kusila go. Ale oparł się jej. Opowiedział mi o wszystkim. Nie wiem, kto ją pobił, może jakiś zboczeniec, którego sobie zafundowała, ale zwała wszystko na Hana, żeby się zemścić za to, że ją odepchnął. Oto co się wydarzyło.

- W porządku, Sari. - J.R. usiadł na sofie obok niej, pogłaskał ją po rękę. - Nie zajmujmy się tym teraz, dobrze? Powiedz mi, czy domyślasz się, gdzie mógłby być teraz Han?

- Nie! - zawołała, odskakując od niego, omal nie przewracając kawy, którą Tory postawiła na stole. - Myślisz, że nie poszłabym do niego, gdybym wiedziała, gdzie jest? Żona powinna być zawsze przy mężu. To samo powiedziałam glinom. Nie oczekuję, że banda skorumpowanych, zdemoralizowanych glin uwierzy w to, co mówię, ale żeby własny brat...

- Wierzę ci, oczywiście, że wierzę. - Podniósł kubek z kawą i delikatnie włożył go w jej rękę. - Pomyślałem tylko, że może coś mi podpowiesz, że może pamiętasz, dokąd się przedtem udawał, kiedy zniknął.

- On nie zniknął. - Kiedy Sarabeth piła kawę, drżały jej wargi. - Po prostu musiał na jakiś czas odejść, żeby przemyśleć sobie różne sprawy. Na mężczyznach ciąży duża odpowiedzialność, muszą zapewnić byt rodzinie. I dlatego Han musiał czasami pobyć sam z sobą. Teraz jednak stanowczo za długo go nie ma. Obawiam się, czy nie stało mu się coś złego. - Znowu załapała się łzami. - Ta kobieta kłamie, ściągnęła na niego nieszczęście, którego nie był w stanie znieść. A teraz policja traktuje go jak uciekiniera. Oni nic nie rozumieją.

- Czy poddał się kuracji odwykowej?

- Han nie potrzebuje żadnej kuracji. Nie jest alkoholikiem. Po prostu od czasu do czasu musi się odprężyć. Czy Jezus nie pił wina?

Tory pomyślała, że Jezus nie miał zwyczaju wypijania całej butelki taniej whisky ani odsądzania od

czci i wiary całego rodzaju żeńskiego. Ale jej matka nie dostrzegła różnicy.

- Ciągłe czepiają się go w pracy, wykorzystują go, ponieważ wiedzą, że jest od nich lepszy. A utrzymanie kur kosztuje więcej niż sądził. Ten bydlak od karmy podniósł cenę, byle tylko dogodzić cipci, którą ma na boku. Już Han dokładnie mi powiedział, na czym to polega.

- Kochanie, musisz wziąć pod uwagę, że znikając Han nie dotrzymał warunku zawieszenia wykonania wyroku. Złamał prawo.

- To znaczy, że prawo jest złe. Co ja mam robić, J.R.? Tracę już głowę. Wszyscy chcą pieniędzy, a przecież mam tylko to, co dostaję za jajka. Udałam się do banku, ale ci złodzieje, ci przebiegli kłamcy, zabrali wszystko, co mieliśmy, i jeszcze ośmielają się mówić, że to Han podjął pieniądze.

- Zajmę się rachunkami. Nie martw się. Przynajmniej to możemy załatwić. Myślę, że mogłabyś zabrać trochę rzeczy i pojechać ze mną do domu. Zostałabyś z nami, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

- Nie, Han może w każdej chwili wrócić.

- Zostawisz mu wiadomość.

- Dopiero by się wściekł! - Jej oczy zaczęły biegać nerwowo, były jak strwożone ptaki, rozglądające się za bezpiecznym miejscem, gdzie mogłyby się schronić przez słusznym gniewem jej męża. - Mężczyzna ma prawo oczekiwać, że gdy wraca, zastaje żonę w domu. A jej obowiązkiem jest czekać i siedzieć pod dachem, który jej zapewnił.

- W twoim dachu są dziury, mam - powiedziała spokojnym tonem Tory, narażając się na jej smagające jak bat spojrzenie.

- Tobie zawsze wszystkiego było za mało i nigdy z niczego nie byłaś zadowolona. Nie raczyłaś zauważyć, że tatuś pracował w pocie czoła. Zawsze chciałaś więcej.

- Nigdy o nic nie prosiłam.

- Byłaś za sprytna, żeby mówić o tym na głos. Ale ja to widziałam, widziałam to po twoich oczach. Dobrze wiem, jaka jesteś przebiegła, przebiegła i szczerwana - powiedziała Sarabeth, wykrzywiając wściekle usta. - A czy nie uciekłaś przy pierwszej okazji i nawet nie obejrzałaś się za siebie, bo nigdy nie szanowałaś ojca i matki? Powinnaś była odwdzięczyć się za nasze poświęcenie, ale byłaś na to zbyt wielką egoistką. Żyło nam się przyzwoicie w Progress, a ty musiałaś to zniszczyć.

- Sarabeth! - J.R. poklepał ją delikatnie po rękę. - Nie mów tak, bo to nieprawda.

- Okryła nas wstydem. Byliśmy szczęśliwi, zanim się pojawiła na świecie. - Znowu zaczęła płakać. Jej ramionami wstrząsał tak gwałtowny szloch, że zdawało się, iż pogruchocze cienkie, kruche kości.

Nie wiedząc, co robić, J.R. objął ją ramieniem i zaczął uspokajać. Niewzruszona Tory schyliła się i zaczęła robić porządek na stole. Sarabeth poderwała się z krzesła.

- Co to ma znaczyć?

- Skoro zdecydowałaś się zostać, postanowiłam posprzątać za ciebie.

- Nie potrzebuję twoich krytycznych uwag na mój temat. - Cisnęła talerze na podłogę.

- Nie potrzebuję twoich odwiedzin, nie chcę oglądać twojej wywyższającej się miny ani twoich wytwornych ubrań, którymi chcesz mi zaimponować. Odwróciłaś się ode mnie przed laty i możesz nie wracać.

- To ty się odwróciłaś ode mnie, przyglądając się spokojnie, gdy on mnie bił do krwi.

- Bóg uczynił mężczyznę panem we własnym domu. Nigdy nie oberwałaś bez powodu.

Jakże łagodne określenie tego, co się działo.

- Nie dręczyło cię to po nocach?

- Nie pyskuj. Powiedz lepiej, gdzie on jest. Przecież potrafisz zobaczyć. Powiedz mi, gdzie jest, żebym się mogła nim zająć.

- Nie będę go szukać. Zostawiłabym go nawet wówczas, gdyby miał się wykrwawić na śmierć.

Sarabeth wymierzyła jej policzek. Na twarzy Tory pozostał czerwony ślad, a jej głowa poleciała do tyłu.

- Sarabeth! Na miłość boską! - J.R. złapał ją, przytrzymał za ramiona, podczas gdy wyrywała się, szlochała i krzyczała.

- Chciałam powiedzieć, iż mam nadzieję, że on nie żyje - powiedziała spokojnie Tory.

- Niech jednak wróci do ciebie, mamó. Niech wróci i urządzi ci takie życie, jakiego pragniesz.

Otworzyła torebkę, wyjęła studolarowy banknot, który włożyła tam rano.

- Kiedy wróci, o ile wróci, powiesz mu, że to jest ostatnia wypłata, jaką ode mnie dostaje. Powiesz mu, że mieszkam znowu w Progress, że urządzam tam swoje życie. Jeśli chce przyjechać i jeszcze raz podnieść na mnie rękę, niech zrobi to skutecznie, niech mnie tym razem zatłucze na śmierć. Ponieważ jeśli ze mną nie skończy, ja skończę z nim.

Zamknęła torebkę.

- Będę w samochodzie - oznajmiła J.R. i wyszła.

Dopiero kiedy usiadła i zamknęła drzwi samochodu, zaczęły jej drżeć nogi. Drżenie umiejscowiło się w kolanach i nie ustępowało. Skrzyżowała ramiona na piersi i z zamkniętymi oczami czekała, aż minie to okropne uczucie.

Słyszała z domu płacz i monotonne gdakanie kur, szukających jedzenia. Gdzieś niedaleko rozległo się gardłowe, wściekłe szczekanie psa.

A ponad tym wszystkim ćwierkały wesoło ptaki.

Skoncentrowała się na tym dźwięku, odeгнаła złe myśli. Nieoczekiwanie przeniosła się do swojej kuchni - stała opierając głowę na ramieniu Cade'a, a jego wargi muskały jej włosy.

Trwała w tym stanie. Nie słyszała wuja, dopóki nie usiadł obok niej i nie zamknął drzwi.

Nie powiedział słowa, kiedy odjeżdżał spod domu. Zatrzymał się paręset metrów dalej. Siedział z rękami na kierownicy, wpatrując się w przestrzeń.

- Nie powinienem był cię zabierać - powiedział w końcu. - Pomyślałem, że będzie cię chciała zobaczyć, że może uda wam się jakoś porozumieć po tym, jak Han zniknął.

- Nie należę do jej życia... poza chwilami, kiedy mnie o wszystko oskarża. On jest jej życiem. Takiego dokonała wyboru.

- Dlaczego? Na miłość boską, Tory, dlaczego woli tak żyć, z mężczyzną, który nie dał jej ani odrobiny radości?

- Ona go kocha.

- To nie jest miłość. - Wycodził te słowa ze złością i obrzydzeniem. - To jest choroba.

Słyszałaś, w jaki sposób go broni, jak wini wszystkich, tylko nie jego. Kobietę, którą zaatakował, policję, nawet ten cholerny bank.

- Ona chce w to wierzyć. Potrzebuje tego. - Tory położyła rękę na jego ramieniu. -

Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

- Wszystko, co mogłem. Dałem jej pieniądze i zostawiłem ją tam, w tym chlewie. I dziękuję Bogu - będę z tobą szczery, Tory - dziękuję Bogu, że nie muszę przenosić tej choroby do własnego domu. Wstyd mi, że tak mówię. - Głos mu się załamał, opuścił głowę na kierownicę.

Tory odpięła pas i pochyliła się ku niemu, położyła głowę na jego ramieniu, głaskała go po plecach.

- Nie masz się czego wstydzić, wujku Jimmy. To żaden wstyd, że chcesz ochraniać swój dom i ciocię Boots, trzymać się od tego z daleka. Nie zrobiłam tego, o co mnie prosiła.

A mogłam jej to dać. Ale nie dałam i nie dam. I nie zamierzam się z tego powodu wstydzić.

Przytaknął głową, starając się opanować.

- Do licha z taką rodziną! - Delikatnie, bardzo delikatnie dotknął końcami palców świeżego śladu na jej policzku. Po czym wrzucił jedynekę, dodał gazu. - Tory, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym się teraz nie zatrzymywać i nie zaglądać do twojej babci. Nie czuję się na siłach.

- Ja również. Jedźmy prosto do domu.

Kiedy ją wysadził, przesiadła się do własnego samochodu i pojechała prosto do sklepu. Czekają ją godziny intensywnej pracy, musiała dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Była zadowolona, że dzięki temu nie będzie miała czasu rozmyślać o przykrym przedpołudniu.

Najpierw zadzwoniła do kwiaciarni, przypominając, że mają jej dostarczyć fikusa i kompozycję kwiatową, którą zamówiła tydzień temu. Następnie do cukierni, żeby się upewnić, czy ciasteczka, które wybrała, będą gotowe na rano.

Uspokoiła się dopiero późnym popołudniem, gdy dla wszystkich zaprojektowanych przez siebie aranżacji znalazła najbardziej efektowne miejsca. Uroczystym akcentem miał być fikus, w którego wdzięcznych gałązkach zaczęła umocowywać kolorowe lampki.

Odezwał się cichy dzwonek u drzwi, przypominając jej o tym, że po ostatniej dostawie zapomniała je zamknąć.

- Właśnie przechodziłem i zobaczyłem, że pracujesz - powiedział Dwight, stając w progu. Rozejrzał się po sklepie, gwizdnął z wrażenia. - Chciałem zobaczyć, jak jesteś zaawansowana i czy nie przydałaby ci się ostatniej chwili czyjaś pomocna dłoń. Ale wygląda na to, że panujesz nad wszystkim.

- Tak sędzę. - Wyprostowała się, trzymając jeszcze w ręku koniec żyłki z lampkami. -

Twoi ludzie odwalili świetną robotę, Dwight. Nie znajduję wprost słów.

- Nie zapomnij więc wspomnieć o firmie, kiedy będziesz zbierać komplementy za stolarkę. -

- Na pewno nie omieszkam.

- Och, jakie to ładne. - Podeszedł do ozdobnego przepierzenia, wymodelowanego z wąskich deseczek w różnych odcieniach drewna i wypolerowanego do połysku. - Piękna rzecz. Nigdy nie zrobiłbym sam czegoś tak ładnego. Aż szkoda tego używać.

- Forma i funkcjonalność. To dewiza tego sklepu.

- Lissy jest zachwycona tym świecznikiem, który kupiła u ciebie, pokazuje też wszystkim lustro. Chciałbym rzucić okiem na biżuterię, żeby wyszukać coś, co poprawi jej nastrój.

- Nie czuje się dobrze?

- Och, ma się doskonale. - Dwight skwitował sprawę machnięciem ręki i zaczął się przechadzać po sklepie. - Ale miewa od czasu do czasu kaprysy.

- Wsunął kciuki do przednich kieszeni spodni i uśmiechnął się zakłopotany.

- Skoro tu jestem, sądzę, że powinienem cię przeprosić.

- Za co? - Ponieważ wyglądało na to, że zabawi trochę dłużej w sklepie, wróciła do przeciągania lampek między gałązkami figusa.

- Za to, że dałem Lissy do zrozumienia, iż ty i Cade jesteście... w dobrych stosunkach.

- Nie mam nic przeciwko towarzystwu Cade'a.

- Przyznam, że nic już nie rozumiem - czy chcesz mnie splawić, czy wyprowadzasz mnie w pole? No cóż, chodzi o to, że Lissy potrafi się zawziąć, gdy coś sobie wymyśli.

Postanowiła skojarzyć z kimś Cade'a - a jeśli nie jego, to Wade'a. Ma bzika na punkcie żenienia moich przyjaciół. Cade, chcąc się ostatecznie wykręcić od takiego „matrymonialnego” spotkania, kazał jej powiedzieć, że jest... - Ponieważ Tory wpatrywała się w niego w milczeniu, zaczerwienił się. - Że jest, jakby to można powiedzieć, związany z kimś.

Powiedziałem jej, że z tobą, wychodząc z założenia, że ponieważ właśnie wróciłaś do miasta, uwierzy mi i da temu spokój, przynajmniej na jakiś czas.

- Akurat! - Skończyła swoją robotę, po czym się cofnęła, żeby ocenić rezultaty.

- Powinienem był to przewidzieć - ciągnął Dwight, drażąc coraz głębiej. - Na Boga, przecież nie jestem głuchy i wiem, jak Lissy potrafi rozdmuchać sprawę. Jeszcze zanim Cade przyszedł mnie ochrzanić, zdążyłem usłyszeć od sześciu różnych osób, że jesteście już prawie zaręczeni i planujecie urządzenie pokoju dziecinnego.

- Może prościej byłoby powiedzieć jej prawdę, że Cade nie jest zainteresowany trwałym związkiem.

- Tak by się mogło zdawać. - Błysnął ładnymi białymi zębami, szybko, czarująco i po męsku. - Jeśli jej to powtórzę, od razu zacznie dociękać dlaczego. Gdy odpowiem, że są tacy mężczyźni, którym nie zależy na małżeństwie, stwierdzi, że pewnie i ja wolałbym nie być niczym skrupowany, jak moi najlepsi kumple. Tak czy inaczej, na pewno dostanie mi się od niej. - Z żalną miną podrapał się po głowie. - Coś ci powiem, Tory, małżeństwo jest jak chodzenie po linie, a każdy mężczyzna, który ci powie, że nie poświęciłby przyjaciela w zamian za utrzymanie równowagi, jest wstrętnym kłamcą. Poza tym, jeśli mnie słuch nie myli, widziano was z Cad'em w paru miejscach.

- Czy to stwierdzenie, czy pytanie? Potrząsnął głową.

- Rozmowy z kobietami też można porównać do chodzenia po tej rozpiętej linie.

Lepiej już pójść tam, gdzie czuję się na bezpiecznym gruncie.

- Dobry pomysł.

- Lissy urządziła sobie babskie przyjęcie... Zajrzę do Wade'a, może da się namówić na kolację i dotrzyma mi towarzystwa, dopóki w domu nie zapanuje spokój. Wpadnę jutro.

Pomożesz mi wybrać jakieś kolczyki albo coś innego?

- Z przyjemnością. Podeszedł do drzwi.

- Bardzo tu ładnie, Tory. Urządziłaś to z klasą. Takie miejsce przyda się miastu.

Idąc za nim, żeby zamknąć drzwi, pomyślała, że również miasto może jej się zrewanżować w podobny sposób.

Dwight przeszedł jezdnię na czerwonym świetle. Jako burmistrz powinien dawać dobry przykład. Zwykle więc przechodził ulicę jak przykładowy obywatel, zrezygnował z picia więcej niż dwóch piw wieczorem w barze, z jazdy z niedozwoloną prędkością. Niewielkie poświęcenie, ale od czasu do czasu korciło go, żeby obejść zakazy.

To chyba wynika z potrzeby nadrabiania zaległości, pomyślał, machając ręką na powitanie trąbiącej na niego Betsy Gluck. Tak naprawdę zmieniło się wszystko, gdy miał

piętnaście lat. Był oszołomiony faktem, że dziewczyny chcą z nim rozmawiać, że wylądował

na tylnym siedzeniu swojego nowego samochodu z Lissy, najładniejszą i najpopularniejszą w szkole dziewczyną. Zanim się zorientował, wypożyczał już smoking na własny ślub.

Nie żałował tego. Ani przez chwilę. Lissy była wymarzoną dziewczyną. I nadal jest tak samo śliczna jak w szkole średniej. Może się trochę dąsa, ale niech mu ktoś pokaże kobietę, która tego nie robi?

Mieli ładny dom, pięknego synka i drugie dziecko w drodze. Cholernie udane życie, a on został burmistrzem tego miasta, w którym niegdyś był pośmiewiskiem.

Trzeba umieć docenić ironię tego faktu.

A jeśli od czasu do czasu dostawał nerwowej wysypki, to zupełnie normalne. Pewne jest, że nie wyobrażał sobie innej żony niż Lissy, nie chciał mieszkać nigdzie poza Progress i zależało mu, by życie nadal układało się w ten sposób.

Otworzył drzwi poczekalni Wade'a i omal nie został powalony na ziemię przez oszalałego ze strachu owczarka.

- Przepraszam! Spokój Mongo! - Psa prowadziła na smyczy śliczna, nieznajoma blondynka. Uśmiechnęła się przepraszająco do Dwighta jasnozielonymi oczami. - Właśnie dostał zastrzyk i chce stąd uciekać.

- Nie dziwię mu się. - Dwight zebrał się na odwagę pogłaskał psa. - Nie przypominam sobie, że bym

kiedyś widział panią i Mongo w mieście.

- Jesteśmy tu dopiero od kilku tygodni. Przeprowadziłam się z Dillon. Uczę angielskiego w gimnazjum - to znaczy będę prowadziła letnie zajęcia, a na jesieni zacznę pracować na pełnym etacie. Mongo, siad? - Podrzuciła włosy i wyciągnęła rękę. - Sherry Bellows.

- Dwight Frazier, miło mi panią poznać. Tutejszy burmistrz, a więc jeden z tych, do których będzie się pani zgłaszała ze wszystkimi skargami.

- Och, na razie wszystko się świetnie układa. Ale będę o tym pamiętała. - Spojrzała za siebie, w kierunku gabinetu. - Tutaj wszyscy są tacy mili. Pójdę już z Mongo do samochodu, zanim urwie smycz.

- Może mógłbym pomóc?

- Nie, trzymam go, chociaż z trudem. Miło mi było pana poznać, burmistrzu Frazier.

- Mnie również - powiedział półgłosem, odwracając się w stronę Maxine siedzącej w recepcji. - Kiedy chodziłem do gimnazjum w Progress, nie miałem takich nauczycielek angielskiego. Niewykluczone, że wtedy skończyłbym szkołę o parę lat później.

- Oj, ci mężczyźni! - Maxine uśmiechała się, sięgając do dolnej szuflady po torebkę. -

Mongo był naszym ostatnim pacjentem, burmistrzu. Doktor Wade myje się na zapleczu.

Mógłby mu pan powiedzieć, że poleciałam na wieczorny wykład?

- Zmykaj. Miłego wieczoru.

Poszedł na zaplecze, gdzie Wade porządkował szafkę z lekarstwami.

- Masz tam coś dobrego?

- Sterydy, od których wyrosną ci włosy na piersiach. Nie miałeś ich nigdy za wiele.

- A co z tą blondynką? - zmienił temat Dwight. - Co?

- Zapomniałeś? Blondynka z wielkim psem, która przed chwilą wyszła. Nauczycielka angielskiego.

- A, Mongo!

- No, widzę, że kiepsko z tobą. - Dwight potrząsnął głową i usiadł na stole. - Jeśli już nie zauważasz ślicznych blondynek, na widok których powinny ci pękać te twoje opięte dzinsy, a pamiętasz wielkiego, skudłaconego psa, to znaczy, że jest z tobą źle i nawet Lissy niewiele tu pomoże.

- Już mnie nie namówisz na żadną randkę w ciemno. Wyobraź sobie, że zauważyłem tę blondynkę.

- Powiedziałbym, że to ona cię zauważyła. Ustrzeliłeś ją?
- Na Boga, Dwight, ona jest pacjentką.
- Pacjentem jest pies. Obyś nie przegapił wspaniałej okazji, chłopcze.
- Odwal się od mojego życia seksualnego.
- Przecież go nie masz. - Dwight odchylił się do tyłu i uśmiechnął się od ucha do ucha.
- Gdybym był wolny i choćby w połowie tak szpetny jak ty, to zamiast tego kudłatego psa wziąłbym blondynkę na stół.
- Może ją wziąłem.
- W marzeniach.
- No i dobrze, przynajmniej mam swoje marzenia. A dlaczego jeszcze nie myjesz rąk przed kolacją?
- Lissy urządza w domu babski spęd. Mają się babrać w jakichś nowych kosmetykach.

Unikam takich imprez jak ognia.

- Moja matka też się tam wybiera.
- Przecież mojej Lissy nie jest potrzebna żadna tapeta na twarz! Po prostu nudzi się jak mops w tej ciąży. Może więc we dwóch napilibyśmy się piwa i coś zjedli? Jak za dawnych czasów.
- Jeszcze muszę się tu trochę pokręcić. - Pomyślał, że może Faith tu zajrzy.
- Daj spokój, Wade. Tylko dwie godziny.

Dlaczego znów się wykręca? Co się z nim, do diabła, dzieje? Zamknie się w mieszkaniu i będzie czekał na telefon od Faith? Zupełnie jak nastolatka, usychająca z miłości do gwiazdy footballa. A nawet gorzej.

- Ty stawiasz.
- Fajnie! - Uradowany Dwight poderwał się ze stołu. - Zadzwońmy do Cade'a, niech do nas dołączy. A potem go zmusimy, żeby zapłacił za nas wszystkich.
- To jest myśl.

Nie przypuszczała, że będzie tak zdenerwowana. Kilkakrotnie sprawdziła każdy szczegół, aż po kolor i wytrzymałość sznurka przeznaczonego do pakowania pudełek.

Wiedziała o każdym przedmiocie prawie tyle samo co artyści i rzemieślnicy, którzy je stworzyli.

Nadzorowała każdy etap prac przy urządzaniu sklepu. Nie było mowy o żadnych pomyłkach, przeoczeniach, niedociągnięciach.

Sklep wyglądał doskonale - ciepło, przytulnie, kolorowo. Ona wyglądała stosownie do okazji - profesjonalnie i kompetentnie. Nie mogło być inaczej, skoro między trzecią i czwartą w nocy przeżyła takie męki, zastanawiając się nad wyborem ubrania, zanim zdecydowała się na granatowe spodnie i białą, lnianą koszulę.

Teraz z kolei martwiła się, że wygląda w tym jak w mundurze. Zamartwiała się każdym drobiazgiem.

Jeszcze prawie godzina do otwarcia, a zżerały ją nerwy, pojawiły się wątpliwości i lęki, które udawało się jej ignorować przez miesiące.

Siedziała w magazynie za biurkiem, z głową między kolanami.

Kiedy już była bliska omdlenia, wzięła się w garść. Jest silna, potrafi się opanować, musi się opanować. Nie po to się naharowała, żeby paść tuż przed metą.

Przyjdą ludzie. Przyjdą i będą się gapić, rzucać w jej stronę szybkie, zaciekawione spojrzenia, do których już się trochę przyzwyczała po powrocie do Progress.

Dziewczyna od Bodeen'ow. Pamiętajcie ją. Takie nawiedzone nic.

Nie powinna się tym przejmować. Ale co robić, skoro się jednak przejmuje? Musiała być niespełna rozumu, żeby wracać tutaj, gdzie wszyscy ją znają, gdzie nikt nie potrafi, nie uważa za stosowne dochować tajemnicy. Dlaczego nie została w Charleston, gdzie jej życie toczyło się spokojnie, gdzie szanowano jej prywatność?

Siedząc tak, lepka od potu, z podchodzącym do gardła żołądkiem, rozpaczliwie zatęskniła za swoim ślicznym, przytulnym domem z niedużym ogrodem, za rutynową, odpowiedzialną, ale bezosobową pracą w sklepie, stanowiącym własność kogoś innego.

Siedząc tak, zatęskniła za anonimowością, za którą się chroniła przez cztery ustabilizowane lata życia.

Nie powinna była nigdy wracać. Nie powinna była stawiać na szali swojej osoby, swoich oszczędności, spokoju ducha. O czym myślała?

O Hope, przyznała i powoli podniosła głowę. Myślała o Hope.

Co za głupota i lekkomyślność! Hope nie żyje, odeszła, i nic tego nie zmieni. Teraz wszystko, czego się dorobiła, zawisło na włosku. I żeby to zachować, uchronić, musi stawić czoło spojrzeniom i szeptom.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, w pierwszym odruchu chciała wpełznąć pod biurko, skulić się i zatkać uszy. Kiedy to sobie wyobraziła, poderwała się na nogi.

Do otwarcia sklepu zostało pół godziny, trzydzieści drogocennych minut, żeby się pozbierać. Ktokolwiek jest na zewnątrz, będzie musiał odejść z kwitkiem.

Wyprostowała się, poprawiła ręką włosy, po czym ruszyła, żeby powiedzieć temu komuś, kto się tak pospieszył, żeby wrócił o dziesiątej.

Po drugiej stronie szyby zobaczyła twarz babci i rzuciła się pędem do drzwi.

- Och, babuniu! - Zarzuciła ramiona na szyję Iris i przywarła do niej, jakby chwytając się skały, uwieszona nad przepaścią. - Tak się cieszę, że cię widzę. Nie przypuszczałam, że przyjedziesz.

- Jak mogłam nie przyjść na taką uroczystość? - Delikatnie popchnęła Tory do środka.

- Uwielbiam denerwować Cecila, więc ciągle mu mówiłam, żeby dodawał gazu. Chowa się teraz za tą rośliną. A z tyłu stoi Boots.

Tory uśmiechnęła się, kiedy Cecil wychylił głowę zza długich, podobnych do szabli liści.

- Jaka wspaniała roślina! Postawmy ją tam, pod ścianą. Tego właśnie potrzebowałam.

- Nie wygląda na to, żebyś czegokolwiek potrzebowała - skomentowała Iris. -

Wszystko tu masz. I jakie te rzeczy są śliczne! - Z ręką na ramieniu Tory przyglądała się sklepowi, podczas gdy Cecil ustawiał ozdobne drzewko. - Zawsze miałaś dobry gust.

- Nie mogę się doczekać, żeby wreszcie coś kupić. - Boots, w żółtej, wyciętej sukience, zaklaskała w dłonie jak dziewczynka. - Chcę pierwsza dokonać u ciebie zakupów.

Uprzedziłam już J.R., że jego karta kredytowa pójdzie z dymem.

- Na wszelki wypadek mam gaśnicę. - Tory roześmiała się i odwróciła, żeby ją uścisnąć.

- I dużo tłukących się przedmiotów - powiedział Cecil. - Czuję się jak słoń w składzie porcelany.

- Jeśli stłuczesz, zapłacisz - powiedziała Iris, robiąc do niego oko. - No dobrze, powiedz skarbie, co moglibyśmy zrobić?

- Po prostu być tutaj. - Tory westchnęła przeciągle. - Już wszystko gotowe. Włącznie ze mną.

- Jesteś zdenerwowana?

- Przerazona. Muszę jeszcze tylko przygotować herbatę i rozłożyć ciasteczka, ale to potrwa chwilę. Potem... - Odwróciła się, kiedy zabrzączał dzwonek przy drzwiach.

- Przesyłka do pani, panno Bodeen. - Chłopak z kwiaciarni wniósł błyszczące białe pudło.

- Dziękuję.

- Moja mama przyjdzie trochę później. Powiedziała, że chce zobaczyć, jak wyglądają jej kompozycje, ale podejrzewam, że głównie zależy jej na obejrzeniu tego, co jest w sklepie.

- Z przyjemnością ją zobaczę.

- A jest tu tyle tego wszystkiego. - Zadarł głowę, żeby się rozejrzeć, podczas gdy Tory wyjęła z kasy jednego dolara. - Zaraz pewnie zaczną się schodzić ludzie. Wszyscy tylko o tym mówią.

- Mam nadzieję.

Wsunął do kieszeni wręczony mu przez Tory banknot.

- Dziękuję. Do widzenia.

Tory położyła pudełko na ladzie i podniosła pokrywkę. W środku było pełno jaskrawych, kolorowych gerber i dorodnych słoneczników.

- Ale śliczne! - Iris pochyliła się, żeby im się lepiej przyjrzeć. - Wprost idealne do tego wnętrza. Róże nie pasowałyby do ceramiki i drewna. Ktoś, kto przysłał takie piękne, symbolizujące przyjaźń kwiaty, zna się na rzeczy.

- Tak. - Spojrzała już na wizytówkę. - Ten ktoś zawsze wie, co jest najstosowniejsze.

- Och, są takie słodkie i takie śliczne! - powiedziała Boots. - Tory, kochanie; oszaleję z ciekawości, jeśli mi nie powiesz, kto ci je przysłał.

Schwyciła wizytówkę, podaną jej przez Tory.

- Cade! No, no!

Zadarłszy do góry głowę, Iris zrobiła figlarną minkę.

- Czy to przypadkiem nie Kincade Lavelle?

- Tak. Przypadkiem. - Hmm.

- Co za „hmm”? To bardzo ładnie z jego strony.

- Jeżeli mężczyzna przysyła kobiecie kwiaty, w dodatku takie kwiaty, to znaczy, że o tej kobiecie myśli; Prawda, Cecil?

- Na to wygląda. Cięte kwiaty w przeciwieństwie do roślin doniczkowych świadczą o romansie.

- No widzisz. Rozumiesz teraz, dlaczego kocham tego człowieka? - Iris pociągnęła Cecila za koszulę, żeby zmusić go do pocałunku, na co Boots aż się rozpromieniła.

- Symbolem przyjaźni byłyby stokrotki i słoneczniki - skorygowała Tory.

- Kwiaty to kwiaty - powiedziała zdecydowanym tonem Boots. - Jeżeli mężczyzna je posyła, to znaczy, że myśli o kobiecie. - I była wniebowzięta, że Cade Lavelle myśli o jej bratanicy. - Idź teraz i zajmij się nimi, a ja wyłożę ciasteczka. Uwielbiam ostatnie przygotowania do przyjęcia.

- Naprawdę to zrobisz? No to wezmę jeszcze z magazynu wpleciony z bambusa dzban. Będzie się idealnie nadawał, stworzy na ladzie ładną kolorystycznie plamę.

- Idź. - Iris odprawiła ją machnięciem ręki. - Powiedz nam tylko z grubsza, co mamy zrobić, a ruszymy pełną parą.

Pierwsze klientki, z Lissy na czele, wkroczyły kwadrans po dziesiątej. Gdy Lissy zaczęła oprowadzać swoje przyjaciółki po sklepie, rozplływając się w zachwycie nad towarem, Tory zapomniała o wszystkich swoich zastrzeżeniach, dotyczących tej byłej królowej balu maturalnego.

Do jedenastej miała już piętnaście klientek, a kasa wybiła cztery rachunki.

Nie miała czasu, żeby się denerwować, choć nie obeszło się bez spojrzeń i szeptów.

Jej oko i ucho wyłowiły niejedno; uzbroiła się jednak w cierpliwość.

- Byłyście przyjaciółkami z małą Lavelle, prawda? - zapytała jedna z klientek.

- Tak - odpowiedziała Tory, zawijając w brązowy papier dwa metalowe świeczniki.

- To straszne, co ją spotkało. - Kobieta utkwiała w Tory ostre drapieżne spojrzenie. -

Była jeszcze dzieckiem. Czy to nie ty ją znalazłaś?

- Znalazł ją jej ojciec. Woli pani pudełko czy torbę?

- Pudełko. To prezent dla córki mojej siostry. W przyszłym miesiącu wychodzi za mąż. Chodziłyście chyba razem do szkoły. Kelly Anne Frisk.

- Nie pamiętam wszystkich, z którymi chodziłam do szkoły - skłamała Tory, z miłym uśmiechem pakując zakupiony przez kobietę towar. - To było tak dawno temu. Skoro to prezent, może dodać jakieś ozdoby?

- Zrobią to za ciebie, skarbie. Masz inne klientki. - Do akcji wkroczyła Iris. - A więc Kelly Anne wychodzi za mąż? Chyba ją sobie przypominam. Czy to nie najstarsza córka Marshy? Boże, jak ten czas leci!

- Kelly Anne miała koszmarny sen jeszcze przez miesiąc po śmierci córki Lavelle'ów.

- Zostało to powiedziane z pewną satysfakcją, która długo dźwięczała w uszach Tory.

Miała ochotę zniknąć na zapleczu, poczekać, aż uspokoi się jej serce. Zamiast tego podeszła jednak do wysokiej brunetki, zastanawiającej się nad wyborem stołowych miseczek.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Trudno się zdecydować, mając do wyboru tyle ładnych rzeczy. Nie pamiętasz mnie?

Brunetka wyciągnęła rękę. - Nie, niestety.

- No cóż, miałam wtedy mniej lat, a ty nie byłeś w mojej klasie. Uczyłam - i nadal uczę - w starszych klasach podstawówki. Marietta Singleton.

- Och, panna Singleton. Teraz sobie przypominam. Naprawdę przepraszam. Cieszę się, że panią widzę.

Tory zapamiętała ją jako młodą, energiczną kobietę o żywym spojrzeniu. Mogła mieć wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. Jest nadal atrakcyjna... czy, raczej przystojna, z tymi regularnymi rysami twarzy i z wachlarzykami zmarszczek w kącikach brązowych oczu.

Pewnie ma jakieś czterdzieści pięć lat.

- Nie mogłam się doczekać otwarcia twojego sklepu. Myślałam często o tobie w ciągu tych lat. Przyjaźniłam się kiedyś z twoją mamą, o czym możesz nie wiedzieć. To było na wiele lat przed twoim urodzeniem. Mały jest ten świat.

- To prawda.

- Czasami tak niewiele brakuje, żeby był nieźle urządzony. - Spojrzała w stronę drzwi, gdy pojawiła się w nich Faith. A potem znowu zaczęła się przyglądać miseczkom. - Ale jest taki, jaki jest, i trzeba się z tym pogodzić. Chyba wezmę niebieską. Jest śliczna. Gdybyś mi ją mogła odłożyć, porozglądałabym się jeszcze troszeczkę.

- Chętnie. Wybiorę pani jedną z magazynu.

- Wiktorio. - Marietta ściszyła głos, dotknęła lekko pleców Tory. - Postąpiłaś bardzo odważnie, wracając tutaj. Zawsze byłaś bardzo odważna.

Odeszła, powiało od niej smutkiem, który zawisł w powietrzu. Tory weszła na zaplecze, żeby ochłoniąć i wybrać miseczkę. Była zła, gdy pojawiła się tu Faith.

- Czego chciała ta kobieta?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. A poza tym ta część jest zarezerwowana dla personelu.

- Czego chciała Marietta?

Tory sięgnęła na półkę po miseczkę.

- Tego. Ludzie, którzy tu przychodzą, szukają odpowiedniego towaru. Dlatego nazywam to miejsce sklepem.

- Co ci powiedziała?

- A co cię to obchodzi?

Faith syknęła przez zęby i wyciągnęła z torebki paczkę papierosów.

- Obowiązuje tu zakaz palenia.

- Niech to szlag trafi. - Schowała je z powrotem i zaczęła się przechadzać tam i z powrotem. - Ta kobieta nie powinna się pokazywać w mieście.

- Wydała mi się bardzo miła. I nie mam czasu na twoje złośliwości i plotki -

powiedziała Tory, chociaż trzeba przyznać, jej ciekawość sięgnęła zenitu. - Może pomożesz mi w przenoszeniu towaru do sklepu albo w nalewaniu mrożonej herbaty do dzbanków? Jeśli nie, będę cię musiała wyprosić.

- Nie mówiłabyś, że jest taka miła, gdyby pieprzyła się z twoim tatusiem. - Dając upust złości, Faith ruszyła do drzwi. Przewidując dalszy ciąg - Tory bardzo dobrze pamiętała wybuchy złości Faith - odstawiła miseczkę i zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem Faith.

- Nie urządź scen. Nie wąż się tutaj załatwiać swoich rodzinnych porachunków.

- Nie urządzę sceny - odparła Faith niezwykle wzburzona. - Nie zamierzam dawać tym ludziom okazji do śmiechu. A ty zapomnij, że coś powiedziałam. Nie powinnam była tego mówić. Mieliśmy dość kłopotu, żeby utrzymać w tajemnicy związek mojego ojca z tą kobietą.

Jeśli więc cokolwiek usłyszę na ten temat, będę wiedziała, od kogo to wyszło.

- Nie groź mi. Skończyły się czasy, kiedy mogłaś mną rządzić, więc schowaj lepiej swoje pazury, ponieważ ja też umiem już walczyć.

Poprzestałaby na tym, gdyby nie to drzenie warg Faith. Jak bardzo przypominała teraz Hope!

- Możesz tu jeszcze przez chwilę pobyc. Nie krępuj się, usiądź sobie i uspokój się.

Jeśli wyjdiesz w tym stanie, nie potrzeba będzie żadnej sceny, żeby ludzie zaczęli plotkować. Na razie mają tylko mnie do obgadywania. Otworzyła drzwi i wskazała na napis.

- Zakaz palenia - powtórzyła wychodząc.

Faith opadła na fotel i ponownie wyciągnęła papierosa. Z miną winowajcy schowała je do torebki, gdy otworzyły się drzwi.

Ale zamiast Tory weszła tu Boots. Kręcąc się po sklepie, widziała wszystko. Nie uszła jej oku dzika wściekłość malująca się na twarzy Faith.

- Wszyscy biegają tam jak szaleni - powiedziała wesołym głosem i po - wachlowała twarz ręką. - Muszę choć chwilę odpocząć od tłoku. - Pomyślała także, że nadarza się świetna okazja, żeby przycisnąć kobietę, która omotała Wade'a.

- Może pani usiądzie, pani Boots? - Faith ustąpiła jej miejsca. - Właśnie zamierzałam stąd wyjść.

- Och, dotrzyмай mi przez chwilę towarzystwa, kochanie, dobrze? Jak zawsze, wyglądasz ślicznie.

- Dziękuję. To samo mogę powiedzieć o pani. - Stojąc teraz, Faith nie wiedziała, czym zająć ręce. - Musi być pani dzisiaj dumna z Tory.

- Zawsze byłam z niej dumna. A jak się miewa twoja mama? - Dziękują, dobrze.

- Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek narzekała. Przekaż jej moje najlepsze pozdrowienia, nie zapomnisz? - Boots spojrzała na pudło z cukierni i wybrała jedno ciasteczko. - Nie widziałas dzisiaj Wade'a? Spodziewałam się go tutaj spotkać.

- Nie, nie widziałam go jeszcze.

- Chłopak tak ciężko pracuje - westchnęła. - Bardzo bym chciała, żeby wreszcie ułożył sobie życie, ożenił się i założył normalny dom.

- Rozumiem.

- Och, nie ma powodu, żeby się czerwienić, kochanie. - Boots gryzła ciasteczko, a jej oczy przeszywały na wylot Faith. - Jest dorosłym mężczyzną, a ty jesteś piękną kobietą. To normalne, że was ciągnie do siebie. Wiem, że mój chłopak nie stroni od seksu.

- Ale wolałaby pani, żeby kto inny był obiektem jego zainteresowania.

- Nie, tego nie powiedziałam. - Wyjęła kolejne ciasteczko i podała je Faith. -

Rozmawiamy w cztery oczy, Faith, i obie jesteśmy kobietami. A to oznacza, że wiemy, jak postępować, żeby mężczyzna robił to, na czym nam zależy - przynajmniej przez większość czasu. Masz nieposkromioną naturę. To nie moja sprawa. Może i wolałabym widzieć Wade'a z inną kobietą, ale on wybrał ciebie. Kocham go, więc to akceptuję.

- Między nami nie jest tak, jak pani sądzi, pani Mooney. Ten oficjalny tytuł rozbawił

Boots. Oznaczało to, że Faith czuje się onieśmielona.

- Tak uważasz? Przecież wciąż do niego wracasz, prawda? Czy kiedykolwiek zadałaś sobie pytanie, dlaczego? Nie - powiedziała, podnosząc palec, zakończony perłowym, różowym paznokciem. - Może warto by o tym pomyśleć, nie sądzisz? Chcę, żebyś wiedziała, że mam do ciebie słabość, zawsze miałam. To cię dziwi?

Faith czuła się kompletnie zaskoczona.

- Tak. Chyba tak.

- Nie powinno. Jesteś bystrą, zdolną kobietą i wcale nie miałaś życia usłanego różami, jak niektórym się wydaje. Szczerze cię lubię, Faith. Jeżeli jednak jeszcze raz skrzywdzisz mojego Wade'a, skreślę ci ten twój śliczny karczek.

- No cóż. - Faith ugryzła ciasteczko i zmrużyła oczy. - To wszystko wyjaśnia.

Nagle rysy twarzy Boots złagodniały. Zaśmiała się lekko i, ku zdumieniu Faith, uścisnęła ją mocno, pocałowała w policzek.

- Naprawdę cię lubię. - Starła kciukiem ślad swojej szminki z policzka Faith. - A teraz usiądź, dojedź to ciasteczko i poczekaj, aż poczujesz się odrobinę lepiej. Ja pójdę, żeby jeszcze coś kupić. Nie ma to jak zakupy, prawda? - dodała, wypadając za drzwi.

- Jezus Maria! - Oniemiała Faith usiadła z wrażenia.

Tory była bardzo zajęta, ale zdążyła zauważyć wychodzącą Faith. Podobnie jak zobaczyła Cade'a, który przyprowadził ciotkę Rosie.

Trudno było nie rozpoznać Rosie Sikes LaRue Decater Smith. W wieku sześćdziesięciu dwóch lat była nadal tak niesamowita, jak podczas balu dla wchodzących w życie pańienek z dobrego domu, kiedy to zaszokowała towarzystwo, tańcząc na bosaka na korcie tenisowym w Country Clubie. W wieku siedemnastu lat wyszła za mąż za Henry'ego LaRue, z linii Savannah LaRue, którego straciła w Korei, nie doczekawszy pierwszej rocznicy ślubu.

Opłakiwała go przez pół roku, po czym doszła do wniosku, że odpowiada jej rola wesołej wdówki. Wdała się w namiętny romans ze zbuntowanym artystą - podejrzanym o ciągoty komunistyczne - za którego wyszła za mąż, diabli wiedzą po co, mając dwadzieścia lat. Oboje z artystą wyznawali wolną miłość i w swojej posiadłości na Jekyll Island urządzali przyjęcia, które wielu uważało za orgie.

Męża numer dwa pochowała po dziewiętnastu latach burzliwego pożycia, gdy wypadł

z okna drugiego piętra po spędzeniu nocy z butelką koniaku i z dwudziestotrzyletnią modelką.

Krążyły pogłoski o ukartowanym wypadku, ale niczego nie dowiedziono.

Już jako dojrzała, pięćdziesięcioośmioletnia kobieta poślubiła swojego oddanego wielbiciela, bardziej z litości niż z uczucia. Zginął tragicznie dwa lata temu - właśnie obchodzili trzecią rocznicę

ślubu - dostawszy się w łapy lwa samotnika podczas ich drugiej podróży poślubnej do Afryki.

Pochowanie trzech mężów i niezliczonej ilości kochanków nie wpłynęło na zmianę stylu bycia Rosie. Nosila platynowoblond perukę - w każdym razie Tory była przekonana, że to peruka - spływającą do ziemi sukienkę w białe - czerwone pasy, przypominające markizę, i tyle biżuterii, że pod ich ciężarem mogłaby się przewrócić niejedna drobniejsza kobieta.

Połykujące brylanty sąsiadowały z plastikowymi koralikami.

- Świecidełka! - zawołała chropowatym, skrzeczącym głosem i zatarła ręce. - Odsuń się, chłopcze. Będę teraz kupować.

Ruszyła prosto do gabloty ze szklanymi przyciskami do papieru, które zaczęła zgarniać po kolei.

Rozbawiona i nieco zaniepokojona Tory pospieszyła w jej stronę.

- Może pomogę, panno Rosie?

- Potrzebuję sześć sztuk. Najładniejszych.

- Na prezenty?

- Do diabła z prezentami. Dla siebie. - Potrząsnęła nimi beztrąsko, aż zadźwięczały niebezpiecznie, przypominając Tory o przyspieszone bicie serca.

- Może je zaniosę na ladę?

- Dobrze, bo są ciężkie. - Oczy Rosie, obciążone sztucznymi rzęsami, które do złudzenia przypominały pająka, skupiły się w końcu na twarzy Tory.

- To ty jesteś tą dziewczyną, która bawiła się z małą Hope?

- Tak, proszę pani.

- Pamiętam, że miałaś jakieś specjalne właściwości. Kiedyś pewna Cyganka w Transylwanii wywróżyła mi z ręki czterech mężów, ale niech mnie krew zaleje, jeśli chciałabym jeszcze jednego. - Rosie wyciągnęła rękę, na której roilo się od pierścionków i bransoletek. - Co powiesz?

- Nie wróżę z ręki.

- Więc może z fusów lub coś w tym rodzaju. Jeden z moich kochanków - młody facet z Bostonu - utrzymywał, że w poprzednim życiu był lordem Byronem. Nie spodziewałabyś się, że coś takiego może wyjść z ust jankesa, prawda? Cade, podejdź tu i potrzymaj te szklane rzeczy. Przecież mężczyźni są po to, żeby ich objuczyć jak muły - powiedziała, mrugając okiem do Tory.

- Nie znam się na tym. Czy nie napiłaby się pani mrożonej herbaty, panno Rosie? A może ciasteczko?

- Najpierw się pokręcę, żeby nabrać apetytu. A cóż to za dziwo? - Złapała drewnianą podstawkę z wydrążonym otworem.

- Stojak na wino.

- Czy to nie szczyt wszystkiego? Zupełnie nie rozumiem, po co ma leżakować butelka przyzwoitego wina. Zapakuj mi dwa takie. Lucy Talbott! - krzyknęła do klientki, znajdującej się w drugim końcu pomieszczenia. - Co ty tu kupujesz? - I pomknęła jak rakieta, trzepocząc czerwono - białymi pasami.

- Sama widzisz, że nikt nie jest w stanie nadążyć za ciotką Rosie - powiedział z uśmiechem Cade. - Jak upływa dzień?

- Bardzo dobrze. Dziękuję za kwiaty. Są śliczne.

- Cieszę się, że ci się spodobały. Mam nadzieję, że pozwolisz się zaprosić wieczorem na kolację, żeby uczcić twój pierwszy dzień.

- Ja... - Dopiero co wymówiła się od kolacji u wuja, przekładając spotkanie na niedzielę. Uważała, że będzie dziś całkiem skołowana, nie nadająca się do towarzystwa. -

Bardzo chętnie.

- Przyjadę po ciebie koło wpół do ósmej. Pasuje?

- Tak. Cade, czy twoja ciotka naprawdę chce wziąć te wszystkie rzeczy? Nie wyobrażam sobie, do czego miałyby jej służyć sześć szklanych przycisków do papieru.

- Nacieszy się nimi... a potem zapomni, gdzie je kupiła, i zacznie wymyślać jakieś historyjki, że na przykład znalazła je w sklepiku w Bejrucie... albo że je ukradła swojemu kochankowi, jakiemuś bretońskiemu księciu, kiedy odchodziła od niego,. W końcu oddaje chłopcu sprzedającemu gazety albo kolejnemu Świadkowi Jehowy, który zapuka do jej drzwi.

- Rozumiem.

- Miej ją na oku. Ma skłonności do kleptomanii. Śledź ją, a potem dopisz to do jej rachunku.

- Ale... - Właśnie kiedy podniosła wzrok, zobaczyła jak Rosie wsuwa do wielkiej bocznej kieszeni sukni podstawkę do łyżki. - Coś podobnego! - Tory puściła się pędem, pozostawiając chichoczącego Cade'a.

- Rosie nic się nie zmieniła - skomentowała Iris.

- Ani trochę. I chwała Bogu. A co u pani, pani Mooney?

- Wybornie. Tobie chyba też się nieźle wiedzie. Wyrosłeś i zmężniałeś. A jak się miewa twoja rodzina?

- Dobrze, dziękuję.

- Przykro mi z powodu twojego ojca. To był dobry człowiek, nietuzinkowy. Niewielu jest ludzi, którzy łączą te cechy.

- Wydaje mi się, że i pani do takich należy. Ojciec zawsze wyrażał się o pani w superlatywach.

- Po śmierci męża dał mi szansę zarobienia na przyzwoite życie i wykarmienie moich dzieci. Nie zapominam o tym. Masz coś z niego w oczach. Czy jesteś równie przyzwoitym człowiekiem jak on?

- Staram się. - Ponieważ akurat Rosie zarechotała i pchnęła kompozycję ze szkła i ceramiki, chcąc ją rozhuścić i wydobyć z niej dźwięk, Cade rzucił okiem za siebie i napotkał

zdeenerwowany wzrok Tory. - Tory ma pełne ręce roboty.

- Poradzi sobie.

- Nie lubi, kiedy ktoś chce jej pomóc.

- Coś o tym wiem - przyznała Iris. - Ale na ile znam życie, nie sądzę, byś chciał jej tylko pomagać. Powiedziałabym nawet, że chodzi ci o coś bardziej elementarnego. Dlatego chciałabym ci dać coś, co od czasu do czasu każdemu się przydaje, choć na ogół nikt nie chce tego przyjąć.

Poprawił trzymane w ręku przyciski.

- A więc jaka to będzie rada? Rozpromieniła się.

- Jesteś bystrym chłopcem. Zawsze cię za takiego miałam. Odgadłeś, że chodzi mi o radę. Jedną małą radę. Nie drepcz w miejscu. Kobiety trzeba brać szturmem. A teraz daj mi te rzeczy, zanim je stłuczesz.

- Ona jeszcze się do mnie nie przekonała. - Cade zatrzymał dwa przyciski, a pozostałe cztery położył na ladzie. - Potrzebuje trochę czasu.

- Powiedziała ci to? - Mniej więcej. Iris tylko pokiwała głową.

- Ech wy, mężczyźni! Czy wy naprawdę nie wiecie, że jeżeli kobieta mówi coś takiego, to w grę wchodzi tylko trzy możliwości? Albo nie jest zainteresowana, albo jest nieśmiała, albo została wcześniej zraniona. Tory powiedziałaby ci wprost, że nie jest zainteresowana, nie ma w niej odrobiny nieśmiałości, a zatem pozostaje trzecia możliwość.

Widzisz tam tego mężczyznę?

Zbity z tropu Cade spojrzał tam, gdzie Cecil wielkimi jak szynki rękami rozkładał na półmisku nowe ciasteczka.

- Tak, proszę pani.

- Jeśli skrzywdzisz moje dziecko, naślę na ciebie tego wielkiego starego niedźwiedzia z ciężkim kluczem francuskim. Ale ponieważ nie sądzę, żebyś miał to zrobić, radzę ci, żebyś jej udowodnił, iż istnieją mężczyźni godni zaufania.

- Pracuję nad tym.

- Ponieważ moja dziewczynka robi wszystko, żeby sobie wmówić, że łączy was tylko przyjacielska znajomość, ośmielę się powiedzieć: pracuj szybciej.

Powiedziawszy to Iris odeszła, żeby zachęcić kolejną klientkę do kupna.

- Miała w kieszeni pięć kółek do serwetek. - Dziesięć po szóstej, gdy zamknięto już drzwi, a Cecil drzemał na zapleczu, Tory usiadła ciężko na stołku za ladą. - Pięć! Rozumiem, żeby cztery albo sześć. Ale kto bierze pięć kółek do serwetek?

- Nie sądzę, żeby je traktowała jako komplet.

- Dodaj do tego dwa łyżniki, trzy ozdobne korki do wina i parę szczypiec do sałaty.

Wsadziła to do kieszeni, kiedy stałam obok i rozmawiałam z nią. Wsadziła to do kieszeni, uśmiechnęła się, po czym zdjęła swoje różowe plastikowe koraliki i dała mi je.

Nie mogąc się nadziwić, Tory dotknęła palcami koralików na szyi.

- Polubiła cię. Rosie zawsze dawała swoje rzeczy ludziom, do których czuła sympatię.

- Może nie powinnam była kazać j ej płacić za te wszystkie rzeczy? Może ich wcale nie chciała. Boże, wydała prawie tysiąc dolarów. Tysiąc - powtórzyła i złapała się za brzuch. -

Chyba się rozchoruję.

- Nie rozchorujesz się. I nie myśl o tym. Zaraz potrząsnę Cecilem i zabiorę go, żebyś mogła odpocząć. Zajrzyj jutro do J.R. koło pierwszej. Stęskniłam się za rodzinnym gronem.

- Przyjdę na pewno. Babciu, nie wiem, jak ci dziękować za to, że towarzyszyłaś mi przez cały dzień. Musisz być zmęczona.

- Trochę mnie bolą nogi, chętnie więc wyciągnę je do góry i nie odmówię Boots kieliszka wina. - Pochyliła się i pocałowała Tory w policzek. - Masz to uczcić, słyszysz?

Uczcić! Prawie nie była w stanie myśleć, a już na pewno nie chciała żadnego świętowania. Przebrnęła przez ten dzień. I to wcale nie tak źle, powiedziała sobie, jadąc o zmroku do domu. Dowiodła, że wróciła, żeby zostać, odcisnąć swój ślad.

Tym razem nie tylko chce przeżyć, ale odnieść sukces. Niektórzy będą w niej widzieć małą dziewczynką z podkrążonymi oczami, w za ciasnych ubraniach, jak po młodszej siostrze. Jednak to nie ma znaczenia. Większość popatrzy na nią i zobaczy, kim się naprawdę stała. Kim chciała się stać.

Sprawi, że reszta nie będzie miała znaczenia.

Nie przegra, nie ucieknie. Tym razem zamierza zwyciężyć.

Ogarnęło ją cudowne uczucie. Skręciła z szosy i zobaczyła swój dom. Zobaczyła też siebie, taką, jaka była i jaka jest.

Położyła głowę na kierownicy i rozplakała się.

Siedziała na ziemi i starała się nie płakać. Tylko małe dzieci płaczą. Ale łzy polały się same.

Spadając z roweru, skaleczyła kolana, łokieć i nadgarstek. Obtarte miejsca krwawiły i piekły. Chciała pójść do Lilah, żeby ją objęła, popieściła i ukołła. Lilah da jej ciasteczko i sprawi, że wszystko będzie dobrze.

Nie zależało jej, żeby nauczyć się jeździć na tym idiotycznym rowerze. Nienawidziła roweru.

Leży obok niej z obracającym się jeszcze jednym kołem, naigrawającym się z niej, gdy schowała głowę w ramionach i pochlipywała.

Niedawno skończyła sześć lat.

- Hope! Co ty tu, u licha, robisz? - zawołał Cade. Przed chwilą ojciec wysadził go pod Beaux Rêves i miał teraz dla siebie całe sobotnie popołudnie. Marzył o tym, by jak najprędzej chwycić rower i pomknąć na bagna, gdzie był umówiony z Wadem i Dwightem.

A oto i ten stary, ukochany rower z trzema biegami - leży na ziemi obok jego małej siostrzyczki.

Nie wiedział, czy ma krzyżeć na nią, czy uzalać się nad swoim pokiereszowanym rowerem.

- O rany, popatrz no tylko! Zadrapałaś lakier. Niech to jasna cholera! - To ostatnie wycedził przez zęby; dopiero zaczynał próbować kląć i robił to jeszcze w tajemnicy. - Nie musiałaś go brać. Masz własny.

- To jest rowerek dla dzieci. - Po jej brudnych policzkach spływały łzy. - Mama nie pozwala, żeby tatuś zdjął z niego boczne kółka.

- I nie domyślasz, dlaczego? - Podniósł swój rower i spojrzał na nią z wyższością. -

Idź do domu i niech cię Lilah opatrzy. A na przyszłość trzymaj łapy z daleka od moich rzeczy.

- Chciałam się tylko nauczyć. - Wytarła ręką nos, otarła łzy i popatrzyła na niego wyzywająco. - Jeździłabym nie gorzej niż ty, gdyby mnie ktoś nauczył.

Parsknął śmiechem i przełożył nogę przez ramę.

- Jesteś jeszcze za mała.

Na taką zniewagę poderwała się z ziemi.

- Urosnę - wycodziła przez zęby. - Będę duża i będę jeździła szybciej niż ty.

- Akurat. - Uśmiechnął się ciemnoniebieskimi oczami. Jeżeli ma się na karku dwie młodsze siostry, nie pozostaje nic innego, jak droczyć się z nimi. - Zawsze będę większy, starszy i szybszy.

Jej dolna warga zadrżała, był to widomy znak, że zanosi się na kolejne łyzy. Wzruszył ramionami i popedałował ścieżką, wrzucając szybszy bieg, by dowieść swojej przewagi.

Kiedy spojrział przez ramię, uśmiechnął się triumfalnie. Zobaczył jej zwieszoną głowę i rozczochrane włosy, zakrywające twarz jak kurtyna. A po nodze siostrzyczki spływała cienka strużka krwi.

Zatrzymał się. Czekali na niego przyjaciele. Stracił już pół soboty. Nie miał czasu, żeby go marnować dla dziewczyny, zwłaszcza dla siostry.

Westchnął ciężko i zawrócił. Zeskoczył z roweru na ziemię.

- Wsiadaj. Niech stracę.

Pociągnęła nosem, potarła pięściami oczy i zerknęła na niego.

- Naprawdę?

- Tak, tak, tylko już przestań. Nie będę tu sterczał przez cały dzień. Rozpierała ją radość, waliło jej serce, kiedy wspinała się na siodełko.

Kiedy uchwyciła się oklejonej plastrem kierownicy, zaśmiała się.

- Uważaj. To nie są żarty. - Zerknął w stronę domu w nadziei, że matka nie widzi ich przez okno. Dopiero by oberwali!

- Nie tak, musisz się skupić. I patrz stale przed siebie. Popatrzyła na niego z takim zaufaniem, z uśmiechem promiennym jak słońce, które przeświecało przez młode listki.

- Dobrze.

Pamiętał jak ojciec uczył go jeździć. Chwytał z tyłu za siodełko i biegł przytrzymując rower, kiedy zaczęła pedałować.

Rower zachybotał się niebezpiecznie. Przejechali tak ze trzy metry i już się wywróciła.

Nie płakała, od razu wsiadła z powrotem. Pochwalił ją za to. Pojechali dalej pod górę i w dół ścieżki, minęli wielkie dęby, rozwinięte żonkile, niedawno rozkwitłe tulipany.

Była spocona, a jej serce waliło, waliło, waliło. Parokrotnie mocno zagryzła dolną wargę, żeby nie

krzyżeć, kiedy rower się przewracał. Słyszała blisko jego oddech, czuła jego rękę przywracającą jej równowagę. I była przepelniona miłością do niego.

Chciała, żeby się udało, zależało jej teraz na tym - bardziej ze względu na niego niż na siebie.

- Musi się udać. Musi się udać - szeptała, kiedy rower się przechylał i wyprostowywał.

Zmrużyła oczy, skoncentrowała się maksymalnie. Drżały jej nogi, a mięśnie ramion miała napięte jak skóra na bębnie.

Rower znowu zakołysał się pod nią, ale nie upadła. I nagle Cade, wyprzedził ją, biegnąc obok. Twarz miał roześmianą od ucha do ucha.

- Udało się! Jedź dalej, udało się!

- Jadę! - Rower pod nią zamienił się w ognistego rumaka. Z podniesioną głową, z błyszczącymi jak gwiazdy oczami pędziła niczym wiatr.

Tory obudziła się na ziemi obok samochodu, drżały jej mięśnie, walił puls, czuła w sercu bolesną radość, świadoma utraconych nadziei.

O umówionej kolacji przypomniała sobie przed samym przyjazdem Cade'a. Akurat w porę, żeby opłukać twarz, usunąć ślady po płaczu.

Nie mogła zebrać myśli. Czuła pustkę w głowie. Przeniesienie sięw przeszłość Hope napełniło ją niepokojem i smutkiem.

I wzruszeniem. To było w tym najdziwniejsze, trzeba przyznać. Czuła się dumna z powodu tamtej pierwszej samodzielnej jazdy ocienioną alejką, kiedy obok niej biegł Cade.

Jego oczy, takie niebieskie, promienne, śmiały się do niej.

Miłość, którą do niego czuła, niewinna, siostrzana miłość, zmieszana była niebezpiecznie - z czego zdawała sobie sprawę - z jej własnym uczuciem dorosłej kobiety.

To połączenie uczyniło ją słabą, bezbronną wobec siebie i wobec niego. Będzie lepiej, jeżeli zostanie sama i przeczeka kryzys.

Powie mu, że jest wyczerpana, zbyt zmęczona, żeby jeść. Przynajmniej to będzie prawdą.

On jest rozsądnym człowiekiem. Może aż nazbyt rozsądnym, stwierdziła. Zrozumie ją i zostawi w spokoju.

Kiedy otworzyła drzwi, stał na progu z garnkiem jedzenia. Pomyślała o starym zwyczaju przynoszenia przez sąsiadów jedzenia dla umarłego. A ponieważ właśnie padała z nóg, można powiedzieć, że nieźle trafił.

- Przesyłka od Lilah. - Wszedł do środka, wręczył jej naczynie. - Powiedziała, że ktoś, kto pracuje tak ciężko jak ty, nie powinien jeszcze do tego gotować. Mam ci powtórzyć, żebyś włożyła to do zamrażalnika i wyjęła przy pierwszej okazji, gdy wrócisz do domu i będziesz miała ochotę posiedzieć z nogami do góry. Co - dodał, nie przestając uważnie przyglądać się jej twarzy - chyba odpowiada twojemu obecnemu stanowi.

Tak, pomyślała, to jest aż nazbyt rozsądne.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że będę na takich obrotach w ciągu dzisiejszego dnia.

Teraz, kiedy jest już po wszystkim, czuję się wypompowana.

- Płakałaś.

- Spóźniona reakcja. Odreagowanie. - Weszła z naczyniem do kuchni, żeby je odstawić, i zastanawiała się, co dalej. - Przykro mi w związku z dzisiejszym wieczorem. To był miły pomysł, ale może za parę dni... - Odwróciła się i omal na niego nie wpadła, po czym cofnęła się i uderzyła się o blat.

To było nagie, domagające się szybkiego spełnienia pożądanie. Z obu stron. Nie miała co do tego wątpliwości.

- Miałaś dzisiaj ciężki dzień. - Nie odsunął się. Uznał, że już jej za często ustępował.

Położył rękę na blacie, obok niej. Unieruchomił ją. Dostrzegł niepokój w jej oczach. - Dużo ludzi i wspomnień, które się z nimi wiążą.

- Tak. - Chciała się odsunąć, uświadomiła sobie, że nie ma dokąd. Poczula - nie bez pewnego zakłopotania - ogarniające ją podniecenie. Gorąca krew płynęła szybko i zachłannie.

- Wspomnienia bombardowały jak miotane z katapulty kamienie.

Aż w końcu ją powaliły.

- A wszystkie bolesne.

- Nie. - O Boże, nie dotykaj mnie. Pomyślała tak wprawdzie, ale jego ręce znalazły się już na jej ramionach, opuszczały się niżej. Jej ciało zaczęło pulsować. - Wspaniale było zobaczyć po latach Lilah... i Willa Hansona. Wygląda teraz identycznie jak jego ojciec. Kiedy byłam dziewczynką, pan Hanson... stary pan Hanson dawał mi cukierki na kredyt. Cade...

Wypowiedziała jego imię błagalnym tonem. Sama nie wiedziała, co chciała przez to wyrazić.

Drżała. Delikatne dotknięcia jego dłoni czyniły cuda.

- Bardzo mi się dzisiaj podobałaś. Byłaś taka elegancka i świeża. Zawsze się zastanawiam, co ukrywasz pod spodem.

- Byłam zdenerwowana.

- Nie zauważyłem tego. Co innego teraz. Przestań się bronić, Tory.

- Cade, nie potrafię nic z siebie wykrzesać.

- To dlaczego drżysz? - Ściągnął opaskę z jej włosów, słyszał jej szybki oddech.

Wpatrywał się w jej oczy, obserwował ciemniejące tęczęwki, kiedy rozczesywał palcami jej włosy i rozplatał warkocz. - Dlaczego mnie nie powstrzymujesz?

- Ja... - Czyżby miękły jej kolana? Zapomniała już o istnieniu tak rozkosznego uczucia. Poddanie się nie zawsze oznacza słabość. - Właśnie się nad tym zastanawiam.

Wtedy się uśmiechnął. Była to wesołość z dodatkiem poczucia siły.

- Pozostań więc przy tym, a ja przez ten czas skorzystam z sytuacji. - Rozpiął

pierwszy guzik jej koszuli, następnie drugi.

Nauczył Hope jeździć na rowerze, pomyślała. Miał zaledwie dziesięć lat, a już był opiekuńczy.

Przysłał dzisiaj kwiaty. Wiedział, jakie jej się spodobają. Teraz ją dotyka - dawno tak nie była dotykana.

- Wysłałam z wprawy. Rozpiął trzeci guzik.

- Myślisz o czymś?

- Nie. Wystarczy, że robię to przez cały dzień.

- Więc myśl o tym. - Lekko szarpnął jej koszulę, wyciągnął zza paska spodni. - Chcę cię dotykać. Chcę czuć pod palcami twoją skórę. O tak. - Dotykał ją delikatnie, muskał w górę i w dół. Kiedy rozpiął jej spodnie, poczuła przenikającą ją słodycz. - Nie, nie zamykaj oczu.

Delikatnie ugryzł ją w podbródek.

- Ponieważ wyszłaś z wprawy, będę cię instruował. Chcę, żebyś patrzyła na mnie, kiedy cię dotykam.

„Patrz stale przed siebie” - powiedział Hope. I pokierował nią, sprawił, że złapała równowagę.

- Chcę na ciebie patrzeć - powiedziała do niego. Rozsunął zamek, muskając ją palcami. Jej własny cichy jęk odbił się echem w uszach Tory, niczym grzmot.

Kiedy to było, gdy pragnął jej jakiś mężczyzna? Kiedy sama pragnęła? Na myśl o zamachu na swoją osobę, na swoją prywatność, chciała się napreżyć, usztywnić. Ale jej ciało było już przepełnione tęsknotą.

- Wyjdź z nich - wyszeptał, kiedy jej spodnie spływały na podłogę. Zamrugwała oczami, otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale on przykrył je swymi wargami. Delikatnymi i ciepłymi, budzącymi zaufanie, choć wyczuwało się, iż mogą być zuchwałe.

Potem wziął ją w ramiona, głaszcząc jej plecy, prowadząc w stronę drzwi. Wraz z narastającym pragnieniem zniknęło zdenerwowanie.

- Cade!

- Chcą cię wziąć w świetle. - Była już jego. Nic go nie powstrzyma. - Żebym mógł cię widzieć pod sobą. Kiedy będę w tobie.

Na progu sypialni wziął ją na rękę.

- Wyobrażałem sobie masę różnych rzeczy, które chciałbym z tobą robić w tym łóżku.

Złote wieczorne słońce wlewało się strumieniem. Padało na łóżko, na jej twarz, kiedy ją położył. Materac ugiął się pod jego ciężarem, a on splótł z nią swoje palce. Wciąż ją obserwując, zaczął całować jej usta.

Najpierw powoli i słodko, dopóki nie rozluźniła ramion, dopóki nie rozchyliła warg.

Poczuł, że jej serce bije teraz spokojniej. A kiedy się otworzyła na niego, zmienił taktykę, ruszył do ataku.

Ta jego nagła reakcja wzburzyła zmysły Tory. Wygięła się w łuk, a jęk uwiązał jej w gardle. Doprowadził ją ustami do drżenia.

Chciał wprawić w zdumienie wszystkie jej zmysły, chciał żeby nie myślała o niczym, poza przyjemnością. Żeby myślała o nim, tylko o nim. Zadbaj o to. Kiedy się w niej pograży, kiedy będzie jego.

Jej ciało było szczupłe i wiotkie, a mięśnie zadziwiająco mocne, twarde. Delikatna skóra tworzyła rozkoszny kontrast.

Poznawał jej smak, zastanawiając się równocześnie, jak usunąć wszelkie bariery.

Pociągnął ją do góry. Jego ręce nie były już delikatne, trzymały ją mocno, gniotły, przyprawiając o kolejny jęk, kiedy jej głowa opadła do tyłu, a włosy rozsypały się na poduszce. Zsunął ramiączka stanika. Jego palce bawiły się lekko wypukłością, a kciuk zataczał koła na sutkach.

- Czy już to czujesz?

Miała ciężką głowę, rozpaloną skórę. - Co?

- W porządku.

Rozpiął jej stanik, rzucił go na bok. A kiedy wyciągnęła do niego ręce, przycisnął je do łóżka, nie wypuszczając ich, dopóki nie zgięła łokci.

- Chcę cię teraz wziąć. Brać cię tak długo, aż oddasz mi się cała. - Wciąż napierał na nią ustami, przenikając jej wnętrzości.

Chciała stawić opór, odepchnąć go, zanim przeciągnie ją za linię, której poprzysięgła sobie nigdy więcej nie przekroczyć. Ale już zamknął jej usta wargami, wsunął język, smagając jego gorącym końcem, wzniecając przyjemność. Wygięła w łuk plecy, zapraszając go świadomie, a jej biodra zaczęły się kołysać.

Wydawała ciche okrzyki, pomruki, których nie mogła stłumić. Napięte ramiona drżały, nawet wówczas gdy jej ciało pławiło się w szczęściu. Działo się w niej coś szalonego, domagającego się uwolnienia.

Przeszywający, szybki orgazm wprawił ją w zdumienie. Otworzyła szeroko oczy.

Przygarnął ją do siebie i mocno objął.

- Zapomnij się.

Położył się na plecach, ściągnął koszulę. Miała teraz zamglone oczy i równie chrapliwy oddech jak on. Tym razem, gdy wyciągnęła do niego ręce, poddał się jej ramionom.

Teraz jego usta stały się natarczywe, a niecierpliwe ręce obejmowały, głaskały, uciskały. Była nienasycona, szarpnęła jego spodnie. Ściągnął je, a potem poniósł ją daleko, kiedy poderwał jej biodra i pieścił jej ciało ustami.

Chwyciła rękami balaski łóżka, tak jak to sobie kiedyś wyobraził. Odrzuciła na bok głowę, kiedy przetaczała się przez nią fala rozkoszy. Jego smak, jego zapach napełniły jej zmysły. Wydała krótki szloch, który przeszedł w długi, niekontrolowany krzyk uwolnienia.

Nie czuła rąk, które zamknął w swoich dłoniach. Waliło jej serce. Ostatnie promienie dnia i zamierająca wieczorna bryza musnęły jej twarz. Jej gęste, zmierzwione włosy rozsypały się na poduszkach, policzki płonęły.

Przyrzekł sobie, że zapamięta na zawsze tę chwilę. Ona również.

- Otwórz oczy Tory, popatrz na mnie. - Kiedy zadrżały jej powieki, schylił głowę, całował ją, długo, głęboko. - Powiedz moje imię.

Czuła narastające w niej nowe napięcie, szalone i cudowne pragnienie.

- Cade.

Jej palce stały się giętkie w jego rękach. Chciała płakać. Albo krzyczeć.

- Cade.

- Jeszcze raz. - I zanurzył się w niej.

Ujrzała światłość. Poruszała się z nim, reagowała na każdy najmniejszy ruch, na każde delikatne pchnięcie. Wchłaniała go, smakowała każde pojedyncze doznanie, dopóki wszystko nie zamieniło się w jedną wspólną, niebiańską biesiadę.

Był w niej, gorący i twardy, czuła na sobie jego ciężar i jego siłę. Miała pod sobą miękkie łóżko, a w rękach śliski metal. A światło szarzało wraz z zapadającym zmierzchem.

Ich rytm stał się szybszy. Była gotowa, spragniona, zachwycona, że jego oczy, tak zadziwiająco niebieskie, nie odrywały się od niej.

- Dotrzymaj mi kroku. - Zatracił się w niej, zatopił. Kiedy zanurzył w jej włosach twarz, ich serca biły jak oszalałe jedno przy drugim.

Trzymając się kurczowo za ręce, zapomnieli o całym świecie.

Nigdy nie oddała się tak bez reszty. Nikt tego nie dokonał. Nawet mężczyzna, którego niegdyś kochała.

Leżała pod nim. Po raz pierwszy od długiego czasu, tak długiego, że aż trudno było to sobie przypomnieć, czuła się całkowicie zrelaksowana, na ciele i na duszy.

Trzymała rękę w jego włosach. Wydawało się to takie naturalne. Gdy odwrócił głowę, a jego wargi musnęły z boku jej pierś, uśmiechnęła się błogo.

- Wydaje mi się, że jednak uczciliśmy ten dzień - wyszeptała i zastanowiła się, czy nie miałby jej za złe, gdyby teraz zasnęła.

- Będzie więcej okazji na takie świętowanie. Czekam na ciebie od chwili kiedy pomogłem ci wnieść do domu to łóżko.

- Wiem. - Mając przymknięte oczy poczuła, że odwraca głowę i patrzy na nią. - Nie byłeś aż tak bardzo subtelny, żebym się tego nie domyśliła.

- Byłem znacznie subtelniejszy niż tego chciałem. - Pomyślał, że warto byłoby uświetnić ten ich pierwszy raz muzyką i świecami.

- Możemy się obejść bez tego - powiedziała sennym głosem.

- Bez czego?

- Bez muzyki i... - Otworzyła nagle oczy i napotkała jego uważne spojrzenie. -

Przepraszam. - Chciała się odsunąć, ale nie mogła się ruszyć pod jego ciężarem.

- Za co przepraszasz?

- Naprawdę nie chciałam. - Ściskając kurczowo prześcieradło, zaczęła drżeć. - To się nie powtórzy. Przepraszam. Nie chciałam.

- Nie będziesz czytać w moich myślach? - Oparł się na łokciach i ujął rękami jej twarz.

- Daj spokój.

- Jest mi okropnie przykro.

- Do licha, Tory, przestań się hamować. Przestań uprzedzać moje reakcje. I nie zastanawiaj się, kiedy zacznę się do ciebie dobierać.

Usiadł, podciągnął ją wyżej, by patrzyła mu w oczy. Jej twarz stała się blada, napięta, przerażona. Nie znosił tego.

- Nie pomyślałaś nigdy, że bywają chwile, gdy drugiemu człowiekowi nie przeszkadza, że ktoś inny czyta w jego myślach?

- To jest niewybaczalne pogwałcenie prywatności.

- Tak, tak. - Przeturlał się na drugą stronę łóżka, pociągając ją z sobą tak, że wylądowała na jego piersi. - Odnoszę wrażenie, że kilka minut temu oboje pogwałciliśmy naszą wzajemną prywatność, i to cholernie skutecznie. Jeżeli masz ochotę wyrywać mi z głowy moje myśli, proszę bardzo - dam ci znać, kiedy będę miał tego dosyć.

- Nie rozumiem ciebie.

- A powinnaś, skoro leżę goły w twoim łóżku. - Umyślnie zachowywał niefrasobliwy ton głosu, czując na sobie jej walące jak młotem serce. - A jeśli to nie wystarczy, zajrzyj jeszcze raz do środka i sprawdź, co tam znajdziesz.

Nie wiedziała, czy ma się czuć obrażona czy przerażona.

- To nie tak.

- Nie? Więc jak? Powiedz mi, jak to jest.

- Nie czytam w myślach. W każdym razie zdarza się to bardzo rzadko. Ponieważ byliśmy... bardzo związani ze sobą fizycznie...

- Na to już nie mam argumentu.

- Prawie zasypiałam. W takich momentach pojawiają się różne obrazy. To była bardzo przejrzysta myśl, sama się narzucała. Światło świec, grająca muzyka i my oboje stojący obok łóżka.

- No a... w co byłaś ubrana? - Kiedy poderwała głowę, wzruszył ramionami. -

Nieważne. Tak tylko pomyślałem. Widzisz obrazy, wizualizujesz myśli.

- Czasami. - Wyglądał na zrelaksowanego, na luzie. Gdzie się podziała jego złość? -

Boże, wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- I bardzo dobrze, przynajmniej nie zaśniesz. Czy to zawsze odbywa się w taki sposób?

- Nie. Nie. Staram się nie wsadzać nosa w prywatne myśli innej osoby. Zresztą, żeby je wydobyć trzeba sporego wysiłku. Czasem ułatwia to napięcie emocjonalne z drugiej strony.

Albo kiedy jestem bardzo zmęczona.

- Dobrze, że to mówisz. Kiedy następny raz będziemy się kochali, a ty zaczniesz zasypiać, postaram się nie fantazjować na temat Meg Ryan...

- Meg... - Zaskoczona Tory znowu usiadła, automatycznie krzyżując ramiona na piersiach. - Meg Ryan.

- Samo zdrowie, seks i szyk. - Cade otworzył oczy. - Wygląda na to, że to mój typ.

Uniósł głowę i przyjrzał się uważnie Tory. - Właśnie usiłuję wyobrazić sobie ciebie jako blondynkę. Byłoby ci nieźle w takim kolorze.

- Nie zamierzam brać udziału w tym, co uroiłeś sobie na temat jakiejś holywoodzkiej aktorki. - Obrażona próbowała zejść z łóżka, ale położył ją znów na plecy.

- Och, daj spokój, kochanie, tylko ten jeden raz. - Nie.

- Zaśmiałaś się. Meg też się śmieje tak seksownie. - Lekko skubnął zębami ramię Tory. - Podniecasz mnie.

- Zejdź ze mnie.

- Nie mogę. - Pokrył jej twarz szalonymi pocałunkami. - Jestem ofiarą własnych beznadziejnych fantazji. Zaśmiej się jeszcze. Błagam cię.

- Nie! - Mówiąc to, roześmiała się. - Przestań! Nawet o tym nie myśl... O Jezu! -

Umilkła, kiedy wśliznął się w nią. Uniosła biodra, wpiła się rękami w jego biodra. - Nie waż się mnie nazwać Meg.

Opuścił głowę, śmiał się, kiedy ją brał.

Zjedli potrawę Lilah i popili ją winem. I weszli z powrotem do łóżka, z zapałem i energią, które są udziałem świeżo upieczonych kochanków. Kochali się, gdy wzeszedł

księżyc, a jego srebrna poświata opromieniła ich złączone ciała. Po czym zasnęli przy otwartym oknie, przez które wpadał kapryśny wiaterek i napełniał sypialnię zapachami moczarów.

- On wrócił.

Hope siedziała po turecku na ganku Domu Na Bagnach. Na ganku, którego tutaj nie było, kiedy żyła. Potrząsnęła srebrnymi kośćmi do gry, a drugą ręką odbijała małą czerwoną piłeczkę.

- Obserwuje.

- Kto obserwuje? - Tory miała znowu osiem lat, zatroskaną szczupłą buzię i posiniaczone nogi.

- On lubi robić krzywdę małym dziewczynkom. - Rzuciła ostatnią kość ponownie. -

Czuje się wtedy wielki i ważny.

- Wyrządza krzywdę także innym dziewczynkom, nie tylko tobie.

- Nie tylko mnie - zgodziła się Hope. - Już wiesz. - Zastukały kości, piłka uderzała równomiernie o drewnianą podłogę. Igrał lekki wiaterek, wzmagając zapach pnących róż i kapryfolium. - Już wiesz, tak jak wtedy, kiedy zobaczyłaś fotografię tego małego chłopczyka.

Wiedziałaś.

- Nie mogę tego więcej zrobić. - Serce Tory zaczęło walić mocno. - Nie chcę tego więcej robić.

- A jednak przyjechałaś - powiedziała Hope i zajęła się rzucaniem kości.

- Powiedz mi, kim on jest, Hope. Powiedz mi, gdzie go znaleźć.

- Nie mogę. - Popatrzyła uważnie na Tory. - Teraz kolej na ciebie. Bądź ostrożna.

Gwałtownie otworzyła oczy. Serce uderzało o żebra, a dłoń miała zaciśniętą w pięść.

Kiedy rozprostowała bolące palce, zdumiona była, że nie wypadła z nich czerwona piłeczka.

Panowała teraz zupełna ciemność. Księżyc zniknął, pograżając świat w gęstym mroku.

Ustał też wiatr.

Usłyszała sowę i piskliwy rechot żab. Obok równomiernie oddychał Cade. Przesunęła się na brzeg łóżka, jak najdalej od niego.

Pomyślała, że lepiej nie mieć żadnego kontaktu podczas snu. Znowu zamknęła oczy.

We śnie nie miała kontroli nad swym umysłem.

Poszła do kuchni. Puściła wodę z kranu, aż stała się bardzo zimna, i nalała pełną szklankę.

Miała potworne pragnienie. Nie powinna spać z Kincadem Lavellem.

Jego siostra nie żyje, a ona, jeśli nie ponosi nawet za to żadnej odpowiedzialności, nie powinna zapominać o swym zobowiązaniu. Droga, którą poszła, przyniosła jej radość i wielki smutek. Spała wtedy z innym mężczyzną, pograżona w beztrudnej miłości.

Kiedy go straciła, straciła wszystko. Przynęła sobie, iż nigdy więcej nie będzie dokonywała takich wyborów, nie popełni też takich błędów.

I oto po raz drugi otworzyła się na wszystkie bóle i cierpienia.

Cade należał do tego typu mężczyzn, w którym kobiety się zakochują. W którym również ona może się zakochać. Wystarczy jeden krok, by podkolorować wszystko to, co robi i czuje. By nadać jaskrawe, żywe barwy radości.

A zatem nie należy podejmować tego kroku.

Potrafi ograniczyć się do fizycznej przyjemności, cieszyć sianą, oddzielić od niej emocje i kontrolować je. Czyż nie robiła tego przez niemal całe życie?

Miłość to lekkomyślna, niebezpieczna sprawa. Zawsze coś się w niej czai, coś chciwego i mściwego, czyhającego, żeby ją zabrać z powrotem. Pozostawić z pustymi rękami, zranioną i oszołomioną.

Znowu podniosła szklankę do ust i zobaczyła go pomimo ciemności. Stał i czekał.

Szklanka wypadła jej z ręki, rozbiła się w zlewie.

- Tory? - Cade otrząsnął się ze snu, wyskoczył z łóżka, potknął się w ciemnościach i pobiegł do kuchni.

Stała w świetle, wpatrując się w okno. - Ktoś tam jest.

- Tory! - Zobaczył błyszczące kawałki szkła, rozsypane na podłodze. Złapał ją za rękę.

- Skaleczyłaś się?

- Ktoś jest w ciemności - powiedziała głosem przypominającym głos dziecka. -

Obserwuje. Był już tutaj przedtem. Znowu wróci. - Patrzyła na Cade'a niewidzącymi oczami.

Było jej zimno. Tak bardzo zimno.

- Będzie musiał mnie zabić, ponieważ jestem tutaj. To moja wina, naprawdę. Gdybym z nią poszła tamtej nocy, podglądałby tylko. Tak jak to robił przedtem. Patrzyłby tylko i wyobrażał sobie różne rzeczy.

Kolana odmówiły jej posłuszeństwa, ale zaprotestowała, kiedy Cade wziął ją na rękę.

- Nic mi nie jest. Muszę tylko usiąść.

- Musisz się położyć. - Ułożył ją na łóżku i odszukał spodnie. - Zostań tutaj.

- Dokąd idziesz? - Przeraziła się, że zostanie sama. Wyskoczyła z łóżka.

- Powiedziałaś, że ktoś jest na dworze. Pójdę się rozejrzeć.

- Nie. - Teraz bała się tylko o niego. - To nie twoja kolej. - Co?

Podniosła obie ręce i opadła na łóżko.

- Przepraszam. Miesza mi się w głowie. On już odszedł, Cade. Już go tam nie ma.

Obserwował, przedtem, kiedy byliśmy... kiedy kochaliśmy się.

Pokiwał głową. - Wyjrzę jednak.

- Nie znajdziesz go - powiedziała szeptem, gdy Cade wyszedł na dwór. Cade chciał go znaleźć. Chciał wyładować na nim swoją wściekłość.

Zapalił zewnętrzne lampy, uważnie przyjrzał się przestrzeni, na którą padało bladożółte światło. Podszedł do swojej ciężarówki, wyjął z pudełka z narzędziami latarkę i nóż.

Uzbrojony obszedł dom, omiatając snopem światła ziemię i drzewa. W pobliżu okna sypialni, ukucnął w zdeptanej trawie.

- Skurwysyn - syknął przez zęby, ściskając rękojeść noża. Wyprostował się, odwrócił, chcąc ruszyć ku bagnom.

Stał chwilę walcząc ze sobą. Gdyby poszedł do lasu, żeby przeszukać teren, musiałby zostawić Tory samą.

Wrócił do domu, położył na kuchennym stole nóż i latarkę.

Tory wciąż siedziała na łóżku, ściskając rękoma kolana. Kiedy wszedł, podniosła głowę, ale nie powiedziała słowa.

- To, co tutaj robiliśmy, należy wyłącznie do nas - powiedział Cade. - On tego nie zmieni. - Usiadł obok niej, wziął jej rękę. - Nie pozwolimy na to.

- Zohydził wszystko.

- Sobie, nie nam.

Westchnęła i dotknęła palcami wierzchu jego dłoni.

- Jak to robisz, że jesteś taki spokojny?

- Wyładowałem złość, kopiąc ciężarówkę. - Przywarł wargami do jej włosów. - Czy możesz mi powiedzieć, co zobaczyłaś?

- Jego złość. Większą niż twoja... Nie wiem jak to wytłumaczyć. Atak - że rodzaj dumy. Może raczej satysfakcji. Nie jestem jedyna, której chce, ale nie może mnie zostawić w spokoju, nie ma do mnie zaufania, ponieważ byłam blisko z Hope. Nie wiem, czy to są moje czy jego myśli. - Zamknęła z całej siły oczy, potrząsnęła głową. - Nie widzę go wyraźnie.

Jakby czegoś brakowało. W nim albo we mnie. Nie wiem. Ale go nie widzę. To nie żaden włóczęga ją zabił. Było inaczej niż przypuszczaliśmy przez te wszystkie lata. - Otworzyła znowu oczy. - To był ktoś, kto ją znał, kto ją obserwował. Wydaje mi się, że wiedziałam o tym już wtedy, ale byłam tak przerażona, że zamknęłam to w sobie. Gdybym tam rano wróciła, gdybym się odważyła i poszła z tobą i z twoim ojcem, zamiast tylko wam mówić, gdzie ona jest, może bym zobaczyła. Nie jestem pewna, ale mogłabym zobaczyć. I nie zaniechano by poszukiwań.

- Tego nie wiemy. Ale możemy to teraz zakończyć. Zadzwonimy na policję.

- Cade, policja... Jest mało prawdopodobne, żeby jacyś gliniarze chcieli wysłuchać kogoś takiego jak ja. A już na pewno nie znajdziesz nikogo takiego w Progress.

- Może komendant policji Russ nie jest nadto rozgarnięty, ale na pewno cię wysłucha.

Mogłabyś się ubrać?

- Wezwiemy go teraz? O czwartej nad ranem?

- Tak. - Cade trzymał już w ręku słuchawkę. - Za to mu płacą.

Carl D. Russ był niewysokim mężczyzną. W wieku szesnastu lat osiągnął sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i na tym poprzestał. Nie odznaczał się też urodą.

Miał szeroką twarz i odstające uszy, przypominające przesadnie duże uchwyty filiżanki.

Popielato szare włosy sprawiały wrażenie spranej filcowej wyściółki. Był kościstej budowy, a jego maksymalna waga nie przekraczała pięćdziesięciu ośmiu kilogramów. W mokrym ubraniu.

Jego przodkowie byli niewolnikami, pracownikami rolnymi. Później dzierżawili grunt za połowę plonów, wiodąc nędzny żywot na cudzej ziemi.

Matka pragnęła dla niego czegoś więcej, poganiała go, poszturchiwała, perswadowała i zmuszała go tak długo, dopóki - bardziej na zasadzie samoobrony - nie osiągnął tego.

Matka Carla D. cieszyła się, że jej chłopak jest szefem policji.

Nie był błyskotliwy. Długo przetrawiał informację, którą otrzymał. Miał skłonność do mozolnej pracy.

Lubił też drążyć.

Ale przede wszystkim Carl D. był zawsze osiągamy.

Nie przeklinał, nie narzekał, że go wyciągają z łóżka o czwartej nad ranem. Po prostu wstał i ubrał w ciemności, żeby nie niepokoić żony. Zostawił jej wiadomość na szafce kuchennej i wsadził do kieszeni kartkę z listą zakupów i spraw do załatwienia po drodze.

To, co pomyślał na temat obecności Kincade'a Lavelle'a w domu Wiktorii Bodeen, o czwartej nad ranem, zachował dla siebie.

Cade czekał na niego w drzwiach.

- Dziękuję, że przybyłeś.

- Och, nie ma o czym mówić. - Carl D. bez przerwy żuł gumę Big Red, z którą się nie rozstawał, od kiedy żona wymusiła na nim, żeby rzucił palenie. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia dni temu.

- Już kiedyś mieliście przykrości z powodu włóczędzy, prawda?

- Tak. Przejdźmy tam, to pokażę ślady. Może na coś naprowadzą.

- Co słyszać u rodziny? - Wszystko dobrze, dziękuję.

- Słyszałem, że ciotka Rosie przyjechała z wizytą. Pozdrów ją ode mnie.

- Pozdrowię. - Cade oświetlił latarką miejsce pod oknem sypialni. To samo zrobił Carl D., który zadumał się nad pozostawionymi na trawie śladami.

- No cóż, nie wykluczone, że ktoś tu przystanął, żeby się wysikać. Mogło to być nawet jakieś zwierzę.
- Dokładnie badał ślad, świecąc latarką i w zamyśleniu żując gumę. - To spokojne miejsce, oddalone od głównej drogi. Nie sądzę, żeby ktoś wybrał się tutaj na spacer.

Raczej szedł na przełaj od drogi albo od strony moczarów. Udało ci się coś zobaczyć?

- Nie, nic nie widziałem. Tory może coś na ten temat powiedzieć.

- Najpierw więc będę musiał porozmawiać z nią, a dopiero potem pokręcę się po okolicy. Ktokolwiek tu był, dawno już dał nogę.

Podniósł się, oświetlił latarką ciemne sylwetki dębów na skraju moczarów.

- Tak, to bardzo spokojne miejsce. Nie potrafiłbym tu żyć. Pewnie słysząc stąd sowy, a żaby skrzeczą przez całą noc.

- Można się do nich przyzwyczaić - odparł Cade, kiedy obchodzili dom, zmierzając do tylnych drzwi.
- Wtedy się nic nie słyszy.

- Myślę, że to dobry sposób. W ten sposób można się nauczyć nie słyszeć codziennych dźwięków. A kiedy dzieje się coś niecodziennego, to aż człowieka podrywa na równe nogi.

To właśnie chciałeś powiedzieć?

- Chyba tak, ale ja nic nie słyszałem.

- Bo widzisz, ja na przykład mam bardzo lekki sen. Wystarczy byle co i od razu otwieram oczy. A Ida - Mae nawet nie drgnie, choćby obok wybuchła bomba. - Wszedł do kuchni, oślepiiony mocnym światłem zamrugał oczami, po czym grzecznie zdjął czapkę. -

Dzień dobry, panno Bodeen.

- Przepraszam za kłopot.

- Proszę się nie przejmować. Chyba czuję zapach kawy?

- Tak. Właśnie zaparzyłam. Czy mogę pana poczęstować?

- Bardzo chętnie. Słyszałem, że w sklepie był dzisiaj duży ruch. Moja żona bardzo sobie wszystko chwaliła. Kupiła jedno z tych urządzeń na sznurkach. Jeszcze nie zdążyłem wejść do domu, jak zaczęła mnie męczyć, że bym powiesił. Wydają ładny dźwięk.

- Tak, to prawda. Co podać do kawy?

- Wystarczy ćwierć kilo cukru. - Mrugnął do niej. - Proszę się nie fatygować, usiądźmy sobie i porozmawiajmy o waszym intruzie. - Wyjął z kieszeni notatnik i jeden z trzech obgryzionych na końcu ołówków. - Wiem, że to może być trochę krępujące, panno Bodeen. Czy potrafiłaby pani powiedzieć, jak wyglądał ten człowiek pod oknem?

- Obudziłam się i poszłam do kuchni, żeby napić się wody. Kiedy stałam przy zlewie, zobaczyłam go... Obserwował dom. Obserwował mnie, nas. Nie chce, żebym tu była. Jest zaniepokojony, że wróciłam.

- Kto to?

- Ten sam mężczyzna, który zabił Hope Lavelle.

Carl D. odłożył ołówek, przesunął gumę pod policzek i łyknął kawy. Przyzwoita kawa. Ale nie tak dobra jak ta, którą on sam parzy.

- Skąd pani to wie, panno Bodeen?

Głos miał łagodny, ale oczy chłodne; pozbawione wyrazu oczy gliny. Zbyt dobrze znała oczy glin.

- Stąd, skąd wiedziałam, gdzie szukać Hope, kiedy została zabita. Był pan tam. -

Powiedziała to zaczepnym tonem, nie mogąc zapanować nad swoim głosem. - Wtedy jeszcze ktoś inny kierował tutejszą policją.

- Jestem komendantem dopiero szósty rok. Szef policji Tatę przeszedł na emeryturę i przeprowadził się na Florydę, do Naples. Sprawił sobie motorówkę, łowi ryby. - Russ przerwał, upił łyk kawy. - Byłem jego zastępcą tamtego lata, kiedy zamordowano małą Hope Lavelle. To straszna sprawa. Najgorsza, jaka wydarzyła się w tych stronach. Tatę doszedł do wniosku... to znaczy nasunął nam się wniosek, że zrobił to jakiś włóczęga. Nigdy nie znaleziono nic, co mogłoby wskazywać, że było inaczej.

- Ten kto ją zabił, znał ją. Tak jak zna mnie i Cade'a. Zna Progress. Zna moczary.

Dzisiejszej nocy podszedł pod okno mojego domu.

- Czy pani go widziała?

- Nie w takim sensie, jak pan myśli. Carl D. zadumał się.

- Babka mojej żony ze strony matki rozmawia ze wszystkimi zmarłymi krewnymi. Nie wiem, czy to jest możliwe, czy nie, ponieważ sam nigdy nie prowadziłem takich pogaduszek.

Ale w mojej pracy, panno Bodeen, trzeba się trzymać faktów.

- Faktem jest, że powiedziałam wam, co stało się z Hope i gdzie trzeba jej szukać.

Człowiek, który ją zabił, wie o tym. Tatę nie uwierzył mi. Uznał, że byłam tam z nią i uciekłam ze strachu. Że ją zostawiłam samą. Albo że ją zastałam martwą i wróciłam do domu, schowałam się i nie wychodziłam aż do rana.

Carl D. spoglądał na nią życzliwie. Nic dziwnego, wychował dwie córki.

- Była pani jeszcze dzieckiem.

- Teraz jestem dorosła i powtarzam panu, że człowiek, który zabił Hope, był tutaj dzisiejszej nocy. Zabił też jeszcze przynajmniej jedną dziewczynę, którą zabrał autostopem na drodze do Myrtle Beach. Upatrzył już sobie następną. Nie mnie. Nie jestem jedyna, której chce.

- Potrafi pani to wszystko opowiedzieć, ale ciągle nie wiemy, kim on jest.

- To socjopata, który czuje, że ma prawo robić to, co robi. Ponieważ potrzebuje tego.

Potrzebuje podniecenia i płynącej z tego siły. Mizoginista, który uważa, że kobiety są na użytek mężczyzn. Seryjny zabójca, który nie zamierza zaprzestać swego procederu. Udaje mu się to od osiemnastu lat - powiedziała spokojnie. - Dlaczegoż miałby zaprzestać?

- Nie najlepiej wypadłam.

Cade zamknął drzwi i usiadł przy stole. Obeszli z Carlem D. posesję, dokładnie sprawdzili obrzeża moczarów. Nic nie znaleźli, żadnych świeżych śladów stóp, ani kawałeczka materiału na gałęziach drzew.

- Powiedziałaś mu to, co wiesz.

- Nie uwierzył mi.

- Uwierzył czy nie, zrobi, co do niego należy.

- Tak jak zrobili to osiemnaście lat temu.

Nie odzywał się przez chwilę. Wspomnienie tamtego poranka zawsze wywoływało krótki, ostry skurcz żołądka.

- Kogo winisz, Tory? Siebie, czy gliny?

- Wszystkich. Nikt mi nie uwierzył, a ja nie potrafiłam się wytłumaczyć. Bałam się.

Wiedziałam, że zostanę ukarana, że im więcej powiem, tym surowsza będzie kara. W rezultacie zrobiłam, co mogłam, żeby ratować siebie.

- Czyż nie wszyscy tak postąpiliśmy? - Odsunął się od stołu, podszedł do kuchenki i nalał sobie kawy, na którą nie miał ochoty. - Wiedziałem, że wyszła tamtego wieczoru z domu... wiedziałem, że

to sobie zaplanowała. I nic nie powiedziałem, ani wtedy, ani następnego dnia, nigdy nie powiedziałem, że widziałem jej schowany rower. Tamtego wieczoru poczytywałem to sobie za punkt honoru. Co w tym złego, że chciała się wyrwać na parę godzin? - Kiedy się odwrócił, zobaczył utkwiony w nim wzrok Tory. - Następnego dnia, kiedy ją znaleźliśmy, też nic nie powiedziałem. To była samoobrona. Obwinialiby mnie, tak samo jak ja obwinałem siebie. Po pewnym czasie wydawało się to już bezcelowe. Ale powracam do tamtej nocy, odtwarzam ją w myślach. I wtedy mówię ojcu, że Hope ukryła swój rower, a on go zamyka i besztają. I następnego ranka Hope budzi się szczęśliwie w swoim łóżku.

- Jakie to przykre.

- Och, Tory, a co ja mam powiedzieć? Noszę to w sobie od osiemnastu lat. I przez cały ten czas mam przed oczami moją siostrę, której pozwoliłem zrobić coś, co spowodowało jej śmierć. Widziałem potem, jak ojciec się od nas oddala, nie mogąc znieść atmosfery domu. I moją matkę, która chowała się za maską oschłości. A wszystko dlatego, że byłem zajęty swoimi sprawami i nie dopilnowałem, by Hope położyła się do łóżka.

- Byłaby inna noc.

- Ale nie byłoby tamtej. Nie mam na nic wpływu, Tory, podobnie jak ty.

- Mogą go znaleźć. Znajdę go wcześniej czy później. - Pomyślała, że to on już ją znalazł.

- Nie zamierzam przyglądać się beczynnemu, jak kobieta, na której mi zależy, podejmuje takie szalone ryzyko. - Odstawił na bok kawę. - Powinnaś się spakować i przenieść na jakiś czas do ciotki i wuja.

- Nie mogę. Muszę tu zostać. Nic ci więcej nie potrafię wyjaśnić poza tym, iż wiem, że muszę tu zostać. Jeśli się mylę, niczym nie ryzykuję. Jeśli mam rację, nieważne gdzie będę mieszkać.

Nie czas na dyskusję. Musi działać po swojemu.

- A zatem spakuję trochę własnych rzeczy.

- Słucham?

- Mam zamiar spędzać tu więcej czasu. Co się tak dziwisz? Jedna noc w łóżku nie czyni z nas kochanków. Ale w taki sposób staniemy się nimi.

- Traktujesz zbyt wiele rzeczy jako pewnik, Cade.

- Nie sędzę. - Ujął jej twarz w dłonie i całował tak długo, aż jej wargi stały się miększe, cieplejsze. - Nie sędzę, żebym traktował coś jako pewnik. A zwłaszcza ciebie.

Powiedzmy sobie, że ty potrafisz wyczuwać pewne sprawy, Tory. Sprawy, o których wiesz, a których nie potrafisz sprecyzować. Podobnie jest ze mną. Poczułem coś do ciebie i zamierzam to zgłębić, jakoś określić.

- Pociąg i seks nie są aż taką łamigłówką, Cade.

- Są, dopóki nie dopasuje się wszystkich kawałków. Wpuściłaś mnie, Tory. O wiele trudniej będzie się mnie pozbyć.

- Sprytnie to wymyśliłeś. Że też potrafisz martwić się i cieszyć równocześnie. -

Odsunęła się. - Poza tym wcale nie jestem pewna, czy cię w ogóle wpuściłam. Raczej sam się wdarłeś.

Było w tym sporo racji, wolał się więc nie sprzeczać.

- Próbujesz mnie wyrzucić?

- Nie zanosz się na to.

- To dobrze, przynajmniej o to nie będziemy się sprzeczać. Właściwie, skoro już jesteśmy na nogach, może ubilibyśmy interes?

- Interes?

- Mam w samochodzie te próbki. Przyniosę je, to ponegocjujemy. Tory rzuciła okiem na zegar. Dochodziła siódma.

- Czemu nie? Tym razem ty robisz kawę.

Faith odczekała do wpół do jedenastej, upewniając się, że jej matka i Lilah wyszły do kościoła. Matka już dawno straciła nadzieję, że Faith zacznie kiedykolwiek uczęszczać na niedzielne nabożeństwa, ale Lilah była nieustępliwa i często - niczym instruktor musztry samego Pana Boga - wyganiała owieczki z łóżka i pędziła je do kościoła, grożąc im wiecznym potępieniem.

Ilekcioć Faith przebywała w domu, starała się ukryć - i to dobrze się ukryć w niedzielne poranki. W tym też celu pojawiała się czasami w kuchni w przesadnie skromnej sukience, tak, by Lilah mogła ją od razu wykluczyć z kręgu duszyczek zasługujących na zbawienie.

Ale w tę szczególną niedzielę nie miała nastroju do żartów, podobnie jak nie zamierzała siedzieć w twardej kościelnej ławce i słuchać kazania. Chciała natomiast odreagować złość nad miseczką czekoladowych lodów i porozmyślać nad drańską naturą mężczyzn.

Kiedy pomyślała, ile trudu zadała sobie dla Wade'a Monney'a, zakłęła szpetnie.

Wysmarowała się od stóp do głów pachnącym kremem, włożyła najseksowniejszą bieliznę, jaką można kupić - nie miałyby nic przeciwko temu, żeby podarł na niej te skąpe kawałki atłasu i koronki. Odgrzebała pantofle na dziesięciocentymetrowych obcasach i wciągnęła na siebie nieco za małą czarną sukienkę, która już z daleka zachęcała do grzechu.

Ściągnęła z piwniczki dwie butelki wina, za które można by opłacić studia - jeśli Cade odkryje, że

zniknęły, obedrze ją żywcem ze skóry.

A kiedy przybyła do Wade'a - gotowa na wszystko, elegancka i pachnąca - okazało się, że ośmielił się wyjść z domu.

Łajdak.

Co gorsze, czekała na niego. Posprzątała jego sypialnię jak jakaś służąca, zapaliła świece, nastawiła muzykę. A potem omal nie zasnęła podczas czuwania.

Czekała prawie do pierwszej w nocy, rozważając różne warianty. Och, jakże chciała, żeby pojawił się w drzwiach i żeby go mogła kopnąć w ten jego durny tyłek, aż spadłby ze schodów.

To przez niego upiła się winem, a potem źle wymierzyła zakręt i przejeżdżając przez bramę obtarła bok samochodu.

Teraz zaś, oczywiście przez niego, siedzi tu w niedzielny poranek i z bolącą głową pakuje w siebie lody.

Nie chce go więcej widzieć na oczy.

Prawdę mówiąc, rezygnuje ze wszystkich mężczyzn. Nie warcą się czasu ani wysiłku.

Po prostu wykreśla ich ze swojego życia i szuka sobie innych dziedzin zainteresowania.

Kiedy wszedł Cade, dźgała właśnie łyżką w dwulitrowym kartonie. Widząc, jaki ma humor, wolał się od razu wycofać.

Jednak nie okazał się dość szybki.

- Czy według ciebie można zostać lesbijką, czy też trzeba mieć do tego jakieś szczególne predyspozycje?

- No cóż. - Podrapał się po brodzie. - Nie sądzę, żebym mógł się autorytatywnie wypowiedzieć na ten temat.

- W porządku, to wypowiedz się na inny. - Faith oblizała łyżkę, po czym pogroziła mu nią. - Dlaczego mężczyźni lubią patrzeć na takie kobiety? Dlaczego to ich podnieca?

Widząc, że nie wykręci się łatwo, Cade westchnął ciężko.

- Ponieważ jesteśmy wstrętnymi, zboczonymi kreaturami. A dwie gołe kobiety oznacza dwie pary gołych piersi. Czy mogę już wyjść?

- Och, siadaj. Nie ugryzę cię przecież. - Zapaliła papierosa, trzymając go w jednej ręce i jedząc drugą. - Wszyscy poszli do kościoła zbawiać swoje nieśmiertelne dusze. Ciotka Rosie poszła z Lilah. Zdaje się, że bardziej odpowiada jej kościół Lilah niż kościół mamy. Rzuciłam na nie okiem, kiedy

wychodziły. Ciotka Rosie miała na głowie wielki jak półmisek kapelusz i cytrynowozielone tenisówki.

- Żałuję, że tego nie widziałem. - Wziął łyżkę i nabrał na nią trochę lodów. - No to już powiedz, co cię złego spotkało.

- Dlaczego miałoby mnie spotkać coś złego? Czuję się świetnie. - Wypuściła dym, zmrużyła oczy i uważnie mu się przyjrzała.

Miał wilgotne włosy, których złote końce sterczały do góry. To znaczy, że niedawno brał prysznic, ponieważ Cade nigdy się zbytnio nie przemęczał i nie wycierał do sucha.

Jego oczy - niebieskie jak jej własne - były rozleniwione i zadowolone, a wargi wykrzywione w lekkim uśmiechu na pół gwizdka.

Wiedziała, jaki rodzaj aktywności sprawia, że twarz mężczyzny przybiera taki wygląd.

- Nie było cię w domu w nocy? No, no. Domyślam się, że komuś poszcęściło się tej nocy!

Cade obliznął łyżkę. Teraz on uważnie na nią spojrzał.

- A komuś nie. Nie zamierzam siedzieć i dyskutować na temat mojego osobistego życia, patrząc jak od rana zażerasz się lodami. Wróćmy więc lepiej do lesbijek.

Odrzuciła do tyłu głowę i parsknęła śmiechem.

- Ty i Tory Bodeen! Czyż to nie doskonała para?

- Bardzo dobra. Nie wtrącaj się w to, Faith.

- Oczywiście! Co mnie to obchodzi? Nie rozumiem tylko, co w niej widzisz. Jest dosyć ładna, ale wieje od niej chłodem.

Wcześniej czy później umrzesz przy niej z zimna. Ona nie jest taka, jak my wszyscy.

- Doszłabyś do innego wniosku, gdybyś zadała sobie trud, żeby ją poznać. Przydałaby się jej przyjaciółka.

- Nie licz na mnie. Marna ze mnie przyjaciółka. Poproś kogoś innego. A poza tym nie za bardzo ją lubię. Możesz się z nią pieprzyć, twoja sprawa. No! - Podniosła obrażony, zdziwiony wzrok, kiedy ją chwycił za rękę i grzmotnął nimi o stół.

- Nie dla wszystkich seks jest dorywczym zajęciem - powiedział bez złości.

- Wyrządzasz mi krzywdę.

- Nie, ty sama sobie wyrządzasz krzywdę. - Puścił ją, po czym wstał, by wrzucić łyżkę do zlewu.

Zamyśliła się, potarła nadgarstek.

- Możesz być pewien, że od tego, co robię, na pewno nie stanie mi się krzywda. Za to ty chcesz otworzyć serce przed kimś, kto może je podeptać. I dobrze ci tak. Co do jednej rzeczy nie mam jednak wątpliwości. Nie chcesz się zakochać w Tory. Bo wiesz, że to nie zda egzaminu.

- Nie wiem, czy chcę, czy nie chcę. Nie wiem, czy to zda egzamin, czy nie. - Odwrócił

się. - Nawet sobie nie wyobrażasz, Faith, jak bardzo jesteś do niej podobna. Obie barykadujecie się przed własnymi uczuciami. Ona to robi, zamykając się w sobie, ty zaś popisując się i zgrywając. Ale poza tym nie widzę różnicy.

- Nie mam z nianie wspólnego! - krzyknęła za nim, kiedy wyszedł z kuchni. - Jestem tylko sobą!

Wściekła, cisnęła łyżeczkę i zostawiając na stole topniejące lody wbiegła jak burza po schodach, żeby się ubrać.

Musiała wziąć na kimś odwet, a ponieważ jej chaotyczne myśli wciąż powracały ku Wade 'owi, wybrała jego. Na tę okazję ubrała się odpowiednio. Miała swoją dumę i chciała wyglądać oszałamiająco, przeszyć mu jak strzała serce, a potem, zrywając z nim, odpłynąć tanecznym krokiem z pieśnią na ustach.

Ubrała się w jedwabną sukienkę, uszytą na miarę, nieskazitelną, w głębokim odcieniu błękitu, żeby podkreślić kolor oczu i sprawić, by je długo pamiętał. Już miała energicznym ruchem otworzyć drzwi jego mieszkania, kiedy opanowała się i zapukała dla formalności.

Ku swojemu zdumieniu usłyszała po drugiej stronie pisk i skowyt. Wziął na górę jedno z tych chorych, głupich zwierząt. Że też tak nisko upadła i związała się z człowiekiem, który bardziej dba o psiego przybłędę niż o kobietę, która ma ochotę uprawiać z nim seks!

Chwała Bogu, że oprzytomniała!

Otworzył drzwi. Był wymięty, zaspany, ubrany tylko w dżinsy, których nawet nie pofatygował się zapiąć na guzik. Jak do tego doszło, że tak nisko upadła?

Wcisnęła mu w rękę klucz.

- O co chodzi?

- To tak na początek. Zanim odejdę, powiem ci jeszcze tylko kilka rzeczy. - Odsunęła go na bok i wdarła się do środka. Krótka sukienka i wysokie obcasy eksponowały jej nogi.

Żeby cierpiał katusze.

- Która godzina?

Zazgrzytała zębami. Niepotrzebnie marnuje jej precyzyjnie wyliczony czas.

- Prawie południe.

- Chryste Panie, to niemożliwe. Za godzinę mam być u mojej matki. - Padł na fotel i objął rękami głowę, starając się pozbierać myśli. - Ledwie żyję.

Pochyliła się, i pociągnęła nosem.

- Cuchniesz, jakbyś wylał na siebie butelkę taniego burbona.

- To była butelka drogiego burbona. I mam ją teraz w żołądku. Jak na razie.

- No ładnie! - Uderzyła rękami o biodra. - Piłeś i łajdaczyłeś się przez pół nocy. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś.

- Nie jestem tego pewny. Sądzę, że tylko na początku.

- Ponieważ - ciągnęła wściekła, że jej przerywa - jeśli o mnie chodzi, możesz odtąd spędzać w ten sposób wszystkie sobotnie wieczory i noce. - A kto to był?

- Kto? - Zaryzykował i podniósł głowę. Omal mu nie odpadła.

- Ta dziwka, z którą mnie zdradzasz, sądząc, że ci to ujdzie na sucho. - Złapała to, co było pod ręką - małą lampę - wyrwała sznurek i cisnęła nią. W sypialni rozległ się pisk, co spowodowało, że Wade poderwał się na chwiejne nogi. - Ty skurwielu! To ona jeszcze tu jest?

- Kto? Co się z tobą dzieje? Stłukłaś mi lampę.

- Kiedy skończę, będziesz miał złamany kark. - Odwróciła się błyskawicznie i wtargnęła do sypialni, żeby wydłubać oczy kobiecie, która się ośmieliła zająć jej miejsce.

Na łóżku stał mały czarny szczeniak. Powarkiwał i ze strachu tulił się do poduszek.

- Gdzie ona jest?

- Kto? - Wade podniósł ręce do góry. W głowie tak mu dudniło, jakby walił w nią jakiś bokser. - O kim ty, do jasnej cholery, mówisz, Faith?

- O suce, z którą spałeś. Zdumiony, potarł rękami twarz.

- Spałem z nią. - Pokazał na łóżko. - I jest tutaj dopiero od kilku godzin.

- Myślisz, że wykpisz się żartem? Ciekawe, gdzie byłeś tej nocy.

- Wyszedłem. A niech to diabli! - Zajrzał do łazienki w poszukiwaniu aspiryny.

- Wiem, że cię nie było w domu. Przyszłam o dziewiątej i siedziałam tu prawie do pierwszej... - Do jasnej cholery, nie miała zamiaru go informować, że tak długo na niego czekała.

Chciało mu się wyć. Połknął cztery pigułki i popił je letnią wodą z kranu.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli jakieś plany na wczorajszy wieczór. Nie lubisz planować. Wolisz działać przez zaskoczenie, żeby, jak mówisz, było to bardziej podniecające.

- To był sobotni wieczór. Powinieneś wiedzieć, że wpadnę.

- Nie, Faith, niczego nie wiedziałem. Nie chcesz, żebym cokolwiek wiedział.

- Gdzie byłeś i z kim?

- Za duże wymagania jak na kogoś, kto nie chce mieć żadnych zobowiązań. - Mimo że bolały go potwornie oczy, spojrzał na nią surowo. - Po prostu seks, zabawa. Czyż nie takie są twoje reguły?

- Ja nie oszukuję - powiedziała z pewną godnością. - Kiedy jestem z jednym mężczyzną, nie umawiam się z innym. I tego samego oczekuję od innych.

- Nie byłem z żadną kobietą. Byłem z Dwightem.

- Och, to już jest wredne kłamstwo! Dwight Frazier jest żonaty i nie spędziłby pół nocy na pijaństwie i hulaniu z tobą.

- Nie wiem, co robił po dziesiątej. Pewnie zaszył się w domu z Lissy. Razem poszliśmy do kina. - Jego głos stał się bezbarwny, a oczy zimne i matowe. - Potem kupiłem butelkę i upiłem się. Gdybym zrobił coś innego, też miałbym do tego prawo. Jestem wolny.

Tak jak sobie życzyłaś.

- Nigdy tego nie powiedziałam.

- Nigdy też nie powiedziałaś, że jest inaczej.

- Więc mówię to teraz.

- Nie wszystko może być tak, jak ty chcesz, Faith. Mówisz tak, jakbyśmy byli parą.

Ale wówczas musielibyśmy dorzucić do tego trochę moich zasad.

- Nie powiedziałam nic na temat zasad. - Przekręca fakty. Jak każdy mężczyzna. -

Mówię o zwykłej kurtuazji.

- To znaczy, że mam siedzieć w domu i czekać, aż będziesz miała ochotę na moje towarzystwo? Obawiam się, że jesteś w błędzie. Spotykamy się i rozstajemy, kiedy chcemy i kiedy nam się podoba. Chyba że zdecydujemy się na związek. Wtedy koniec z wymykaniem się do motelu. Koniec z udawaniem, że nic nas nie łączy. Albo jesteśmy parą, albo nie.

- Stawiasz mi ultimatum? - Jej głos lekko się załamał, była zła, ale i zaniepokojona. -

Po tym, jak kazałeś mi czekać na siebie przez pół nocy?

- Prawda, jakie to frustrujące? Czekanie. Uczucie, że się jest lekceważonym. -

Oderwał się od umywalki, podszedł do niej. - Czujesz się wykorzystana i zraniona. Znam to.

Nie wiedząc, co zrobić, przeciągnęła ręką po włosach.

- Nigdy nic nie mówiłeś na ten temat.

- Przyjęłabyś to z oburzeniem. Masz taki styl, Faith. W pewnej chwili, kiedy siedziałem w nocy nad rzeką z butelką, dotarło do mnie, że nie podoba mi się to u ciebie, podobnie jak sam sobie nie podobam się z tego powodu, że pozwalam się traktować w taki sposób. Więc mówię ci to teraz. Spróbujmy żyć jak ludzie, którzy coś do siebie czują albo rozstańmy się.

- Wiesz, że mi na tobie zależy, Wade. Za kogo ty mnie masz?

- Kiedyś miałaś u mnie nieograniczony kredyt. To się skończyło. Teraz chcę więcej, Faith. Jeżeli nie możesz mi tego dać, albo nie chcesz, przeżyję to. Ale nie zgadzam się już na ochłapy.

- Nie rozumiem. - Wstrząśnięta, usiadła na brzegu łóżka. Szczeniak wgramolił się jej na kolana, zaczął ją obwąchiwać. - Nie rozumiem, jak doszło do tego, że zmieniłeś o mnie zdanie.

- Nie o tobie. O nas. Kocham cię, Faith.

- Co? Oszalałeś? - Przerażona poderwała się na nogi. - Nie mów tak.

- Mówiłem to wcześniej, ale nigdy mnie nie wysłuchałaś. Nie uważałaś za stosowne.

Ale tym razem musisz mnie wysłuchać, ponieważ więcej tego nie powtórzę. Jestem w tobie zakochany. - Trzymał ją za ramiona. - Taka jest prawda, niezależnie od tego, co z nią zrobisz.

- A niby co mam zrobić? - Poczowała, że wpada w panikę.

- Ilekroć ci mówiłem, że cię kocham, uciekałaś i wychodziłaś za kogoś innego.

- To nie jest tak... Ja... - O, Boże, on ma rację. Rzeczywiście tak było.

- Możemy tym razem spróbować czegoś nowego, podejść do tego jak normalni ludzie i przyjrzeć się, czy to zdaje egzamin. Możemy spędzać ze sobą czas, czymś się wspólnie zajmować, nie tylko wskakiwać do łóżka. Łączmy nas coś więcej niż seks.

- Skąd wiesz?

Zaśmiał się lekko, pogłaskał jej włosy.

- Zgoda, powiedzmy sobie, że chcę się przekonać, czy między nami jest coś więcej niż seks.

- A jeśli nie? Westchnął.

- Wtedy, jak sądzę, będziemy spędzali większość czasu w łóżku. Jeżeli jeszcze coś z niego zostanie - dodał i podszedł, żeby zabrać poduszkę, którą szczeniak próbował poszarpać na kawałki.

Jest taki solidny, taki miły i przystojny. I kocha ją. Ale nikt jej nigdy długo nie kochał.

- Nie wiem, jak można żyć z mężczyzną, który sypia z kundelkami.

- Panna Dottie podrzuciła mi ją rano w drodze do kościoła. - A co jej jest?

- Komu? Tej maleńkiej suczce? Nic. - Pochylił się, zmierzwił futerko, podrapał za uszkami. - Po wszystkich szczepionkach, które zniosła bohaterko, jest całkiem zdrowa.

- Więc co tu robi?

- Zatrzymałem ją dla ciebie.

- Dla mnie? - Faith cofnęła się o krok. - Nie chcę psa.

- Na pewno chcesz. - Podniósł suczkę i złożył ją w ramionach Faith. - Widzisz? Już cię polubiła.

- Szczeniaki wszystkich lubią - zaprotestowała Faith, odwracając się, żeby uniknąć entuzjastycznego lizania.

- I o to chodzi. - Na policzkach Wade'a pojawiły się wesołe dołeczki. Objął Faith. -

Będzie ci dotrzymywała towarzystwa i kochała bez względu na wszystko.

- Zasika mi dywan. Pogryzie buty.

- Nie wszystkie. Można ją wychować tak, żeby była karna i posłuszna. Ale do tego potrzeba cierpliwości.

Najwyższy czas, żeby się lepiej poznali. To prawda, że większą część wspólnego czasu spędzili w łóżku, nie oznacza to jednak, że nie poznała już jego sposobu rozumowania.

- Ofiarowujesz mi psa, czy dajesz lekcję życia?

- Jedno i drugie. - Pochylił się, żeby ją pocałować w policzek. - Postaraj się. Jeśli sobie nie poradzisz, zabiorę ją z powrotem.

Szczeniak był ciepły i wpychał się w zagłębienie między szyją i ramieniem Faith. Co jest? Jakby wszyscy się na nią nagle zawzięli. Najpierw Boots, potem Cade, a teraz Wade.

- Kręci mi się przez ciebie w głowie. Nie nadażam dzisiaj za tobą i tylko dlatego zgadzam się.

- Na nas czy na szczeniaka?

- Na jedno i na drugie.

- To nieźle jak na początek. W kuchni jest jedzenie dla psa. Może go nakarmisz, kiedy będę brał prysznic? Jeszcze trochę, a spóźnię się na spotkanie z rodzinką. Nie poszłabyś ze mną?

- Dziękuję, ale nie jestem jeszcze przygotowana na rodzinne obiady. - Zbyt dobrze pamiętała zimny błysk w oczach jego matki. - Idź i weź prysznic. - Zmarszczyła czoło, niosąc szczeniaka do kuchni. Nie była przekonana, czy jest na to gotowa. Czy w ogóle jest na cokolwiek gotowa.

Ledwo Tory zdążyła otworzyć drzwi sklepu w poniedziałkowy poranek, kiedy rozbrzmiał dzwonek. - Dzień dobry. Jestem Sherry Bellows. Przywiązałam psa do ławki przed sklepem. Mam nadzieję, że nie będzie przeszkadzał.

Tory rzuciła okiem na zewnątrz i zobaczyła siedzącego grzecznie na chodniku wielkiego psa.

- W porządku. Piękny pies.

- I jaki kochany. Właśnie wracamy z porannego biegu po parku. Pomyślałam, że się zatrzymam. Byłam tu przez chwilę w sobotę, ale nie mogłam się przebić przez tłum.

- Tak, miałam masę roboty. Czy chciałaby pani coś obejrzeć?

- Prawdę mówiąc, chciałam się dowiedzieć, czy nie myśli pani o przyjęciu kogoś do pomocy. - Sherry odrzuciła do tyłu koński warkocz. - Wiem, że to nie jest stosowne ubranie dla osoby poszukującej pracy - powiedziała z uśmiechem i wyciągnęła wilgotny podkoszulek z treningowych szortów. - Uczę w szkole średniej. A raczej będę uczyła. Letnie zajęcia rozpoczynają się w połowie czerwca, a od jesieni zacznę pracę na pełnym etacie.

- Po co więc pani jeszcze ta praca?

- Będę jeszcze wolna przez parę najbliższych tygodni, a potem we wszystkie soboty.

Bardzo bym chciała pracować w takim sklepie, a dodatkowe pieniądze też by mi się przydały.

W college'u prowadziłam szkolny sklepik, więc znam się na tym. Mogę przedstawić referencje, a praca za minimalne wynagrodzenie jak najbardziej mnie urządza.

- Prawdę mówiąc, Sherry, nie zamierzałam nikogo zatrudniać, dopóki się nie przekonam, że ten interes zdaje egzamin.

- Niełatwo jest prowadzić coś takiego samej. Żadnych przerw, brak czasu na papierkową robotę, na remanent, na składanie zamówień. Skoro sklep jest otwarty przez sześć dni w tygodniu, nie zostaje pani wiele czasu na załatwianie spraw bankowych, zakupów.

Chyba robi pani zakupy, prawda?

- Tak...

- Wychodząc, za każdym razem zamyka pani sklep. To strata czasu. A dla każdego, kto decyduje się na takie przedsięwzięcie, czas jest na wagę złota.

Tory jeszcze raz przyjrzała się Sherry. Była młoda, ładna. A także bardzo bezpośrednia. I miała całkowitą rację. Tory przebywała w sklepie od ósmej, składała zamówienia, załatwiała papierkową

robotę, biegła do banku i na pocztę.

Nawet czerpała z tego satysfakcję, ale z czasem stanie się to coraz bardziej absorbujące.

Równocześnie nie była jednak przekonana, czy chce z kimś przebywać razem w sklepie, choćby nawet przez kilka godzin. Posiadanie tego wszystkiego dla siebie było wielką frajdą.

- Zaskoczyła mnie pani. Proszę mi podać swój adres i numer telefonu, a przydadzą się też referencje.

- Weszła za ladę, by wziąć notatnik. - I muszę się jeszcze zastanowić.

- Fantastycznie. - Sherry wzięła podane jej przez Tory pióro, postukała nim w notatnik. - Poza tym będę miała pomocnika. - Kiwnęła głową w stronę wystawy, przy której zatrzymały się dwie kobiety, zachwycając się Mongo. - Jest tak ładny, że ludzie nie mogą się oprzeć, żeby go nie popieścić. A skoro tu stoją, na pewno rzucą okiem na wystawę. Założę się, że wejdą do środka.

- Sprytne. Może wystarczy, że kupię sobie psa. Sherry roześmiała się.

- Och, nie znajdzie pani drugiego takiego jak Mongo. Szkoda tylko, że nie można go posadzić przy kasie.

- Wcale niezły pomysł. I całkiem słuszne rozumowanie - dodała, kiedy tamte dwie kobiety weszły do sklepu.

- Czy to pani pies?

- Mój. - Sherry odwróciła się rozpromieniona. - Mam nadzieję, że nie sprawił paniom kłopotu.

- Ależ skąd, to takie słodkie stworzenie.

- Jest łagodny jak baranek - zapewniła je Sherry. - Nie mogliśmy się oprzeć, żeby się tutaj nie zatrzymać i nie pooglądać tych wszystkich ślicznych przedmiotów. Czyż to nie wspaniałe miejsce?

- Bardzo ładne. Nie przypominam sobie, żebym wcześniej widziała ten sklep.

- Otworzyłam go w sobotę - poinformowała Tory.

- Nie zaglądałam w te strony miasta od paru miesięcy. - Kobieta rozejrzała się wokół.

Jej przyjaciółka przechadzała się już po sklepie. - Podobają mi się bardzo te świeczniki na wystawie. Przeprowadziliśmy się właśnie do nowego domu i chcemy trochę zmienić wnętrze.

- Zaraz je podam. - Tory zerknęła na Sherry. - Przepraszam na chwilę.

- Och, nie szkodzi, nie ma pośpiechu.

Sherry zwróciła uwagę na to, z jaką rezerwą Tory traktuje swoje klientki. No cóż, można i tak, jeżeli towar się sprzedaje. Ale nie zaszkodziłoby trochę osobistego akcentu, jakichś nie zobowiązujących

pogaduszek.

Postanowiła, że musi dostać tę pracę. Nie przestając pisać zerknęła jednym okiem na to, co dzieje się w sklepie. Potrafi namawiać ludzi do zakupów, a poza tym przydadzą się jej dodatkowe pieniądze.

Wyraziła zachwyt dla wybranych przez klientki przedmiotów, wciągnęła je w przyjacielską pogawędkę, podczas gdy Tory wkładała towar do pudełek i zawijała je w papier. Opuściły sklep szczęśliwe i solidnie obładowane.

- Nieźle poszło. Ale mam wrażenie, że mogła pani jeszcze namówić Sally na te ogrodowe płytki.

- Jeśli będzie chciała, wróci. A jestem prawie pewna, że jej przyjaciółka namówi ją na nie podczas lunchu. Dobrze pani sobie radzi z ludźmi. Zna się pani trochę na rzemiośle?

- Bardzo szybko się uczę. A ponieważ ten sklep bardzo mi się podoba, tym chętniej się za to wezmę. Mogę zacząć od zaraz.

Tory gotowa była już się zgodzić, kiedy otworzyły się drzwi. Nagle zapomniała o wszystkim. Ogarnęło ją przerażenie.

- Jak się masz, Tory. - Hannibal uśmiechnął się do niej szeroko. - Zajrzałem na chwilę.

- Przeniósł wzrok na Sherry. - To pani pies tam na zewnątrz?

- Tak, to jest Mongo. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadza.

- Och nie, skądże. Wygląda na bardzo miłego. Zbyt potężne psisko jak na taką drobną osóbkę jak pani. Widziałem was jakiś czas temu. Biegaliście po parku. Nie potrafiłbym powiedzieć, kto kogo prowadził.

Sherry poczuła się nagle trochę nieswojo, zdobyła się jednak na śmiech.

- Mongo pozwala mi sądzić, że mam nad nim przewagę.

- Pies to wierny przyjaciel. Wierniejszy niż ludzie. Tory, czy nie przedstawisz mnie swojej przyjaciółce? Hannibal Bodeen - powiedział, zanim Tory zdążyła otworzyć usta, i wyciągnął wielką rękę, której tak często używał, żeby ją uciszyć. - Jestem ojcem Wiktorii.

- Miło mi pana poznać. - Uspokojona Sherry przywitała się z nim. - Musi być pan dumny ze swojej córki i z tego, co zrobiła.

- Nie ma prawie dnia, żebym o tym nie myślał. - Przeszył Tory wzrokiem. - I o niej samej.

Tory była bliska szoku. Musi jednak sobie z nim poradzić. I to bez świadków.

- Sherry, jestem ci wdzięczna, że zajrzałaś. Zastanowię się i zadzwonię do ciebie w ciągu paru dni.

- Dziękuję. Próbuje namówić pańską córkę, żeby mnie u siebie zatrudniła. Może wstawi się pan za mną słówkiem? Było mi miło, panie Bodeen. Czekałam na wiadomość od ciebie, Tory.

Wyszła, ukucnęła przy psie. Przez zamknięte drzwi Tory usłyszała jej radosny śmiech i powitalne szczeknięcie psa.

- No proszę. - Oparł ręce na biodrach i odwrócił się, by obejrzeć sklep. - Wygląda na to, że nieźle sobie dajesz radę.

Nie zmienił się. Dlaczego miałby się zmienić? Czy postarzał się? Raczej nie.

Zachował linię, włosy, a także ten mroczny błysk w oczach. Czas okazał się dla niego łaskawy. Kiedy się znowu odwrócił, poczuła, że drży, że lata pracy nad sobą idą na marne.

- Czego chcesz?

- Naprawdę dobrze się urządziłaś. - Podeszedł do lady, zbliżając się do niej. I zobaczyła, że się pomyliła, przynajmniej częściowo. Na jego twarzy widać było upływ czasu

- w zmarszczkach wokół ust, w lekko zwisających policzkach, w wykarbowanych jak od uderzenia batem bruzdach na czole. - Wróciłaś, żeby się tym popisać w rodzinnym mieście.

Pycha poprzedza upadek, Wiktorio.

- Jak się dowiedziałeś, że tutaj jestem? Mama ci powiedziała?

- Ojciec jest ojcem przez całe życie. Nie spuszczam z ciebie oka. Czy wróciłaś tu, żeby się przechwalać, czy żeby mi przynieść wstyd?

- Wróciłam tutaj dla siebie. Nie ma to nic wspólnego z tobą.

- To tutaj ludzie zaczęli o tobie plotkować, pokazywać ciebie palcami. To tutaj po raz pierwszy wyparłaś się mnie i Boga. A wstyd z powodu tego, co zrobiłaś i jaka byłaś, spadł na mnie.

- Ale szybko stąd wyjechałaś, i to za pieniądze Margaret Lavelle. Na jego policzku drgnął mięsień. To był znak ostrzegawczy.

- Ach tak, więc ludzie o tym mówią. Nie obchodzi mnie to. „Kłamca daje posłuch szpetnej mowie”.

- Zaczną mówić więcej, jeżeli tu dłużej pobędziesz. A ci, którzy cię szukają, tylko czekają na okazję, żeby cię dopaść. Widziałam się z mamą. Niepokoi się o ciebie.

- Nie ma powodu. Jestem panem we własnym domu. Mężczyzna wchodzi i wychodzi, kiedy mu to odpowiada.

- Ucieka. Uciekłaś po tym, kiedy cię złapali, aresztowali i oskarżyli o napastowanie tamtej kobiety. Ulotniłaś się i zostawiłaś mamę samą. A kiedy cię złapią, nie będzie tym razem warunkowego

zwolnienia. Wsadzą cię za kratki.

- Uważaj, co mówisz. - Zamierzył się. Była na to przygotowana, zasłoniła się przed ciosem, ale on złapał ją za koszulę i wyciągnął do połowy zza lady. - Masz mi okazywać szacunek. Zawdzięczasz mi życie. To moje nasienie zapoczątkowało twoje życie na tej ziemi.

- Ku mojemu bezgranicznemu ubolewaniu. - Pomyślała o nożycach pod ladą. Oczyma wyobraźni ujrzała je w swoim ręku, gdyby ją jeszcze raz szarpnął! I patrząc na tę przerażającą i jakże jej dobrze znaną wściekłą twarz zastanawiała się, czy byłaby zdolna posłużyć się nimi.

- Jeśli mnie dotkniesz, przysięgam, że pójde prosto na policję. Uderzysz mnie, a opowiem im, jak mnie poniewierałeś. A kiedy to zrobię...

Jęknęła, starała się nie krzyczeć i nie płakać, gdy złapał ją z tyłu za włosy i wbił jej w szyję paznokcie. Z jej oczu popłynęły łzy bólu, a głos stał się chrapliwy.

- A kiedy to zrobię, dołożą ci jeszcze do wyroku. Przysięgam. A teraz i zostaw i wyjdź stąd. Zapomnę, że cię kiedykolwiek widziałam.

- Jak śmiesz mi grozić?

- To nie jest groźba. To stwierdzenie faktu. - Gotujące się w nim wściekłość i nienawiść przyniosły jej ulgę. Czowała zaciskające się gardło, nie miała czym oddychać. Nie wytrzyma tak długo. - Zostaw mnie. - Patrzyła mu w o - czy, kiedy opuszczała rękę pod ladę, dotykając nożyczek. - Zastaw mnie, zanim ktoś tutaj wejdzie i nas zobaczy.

Coś mignęło przed jej twarzą. Poczwała bijący od niego strach połączony z furją. Jej palce muskały już zimną stal, kiedy szarpnął ją w bok i powlókł w stronę kasy.

- Potrzebują pieniędzy. Dasz mi to, co masz w środku. Winna mi jesteś za każdy swój oddech.

- Niewiele tego jest. Daleko z tym nie zajdziesz. - Otworzyła szufladę kasy, obiema rękami wygarnęła pieniądze. Byle się go pozbyć.

- Ta zakłamana suka w Hartville będzie się smażyła w piekle. - Trzymał ją jedną ręką za włosy, drugą ładował pieniądze do kieszeni. - Podobnie jak ty.

- A ty jeszcze wcześniej tam będziesz. - Nie wiedziała, dlaczego tak postąpiła. Nie umiała przewidywać przyszłych wydarzeń, nie umiała przepowiadać, ale teraz skoncentrowała na nim wzrok i mówiła jak natchniona. - Nie przeżyjesz roku, a umierać będziesz w bólu, w strachu i w płomieniach. Umierając, będziesz wołał o litość. O litość, której nigdy od ciebie nie doznałam.

Zbladł i odepchnął ją, aż uderzyła plecami o ścianę z której pospadały zawieszona na niej przedmioty. Podniósł rękę i wskazał do góry palcem.

- „Nie ścierpisz obecności wszetecznicy”. Zapamiętaj to sobie. Wrócę po ciebie i zrobię to, co

należało zrobić od razu, kiedy się urodziłaś. Urodziłaś się z diabelskim piętnem na twarzy. Już wtedy byłaś skazana na potępienie.

Pchnął drzwi, wyjrzał na zewnątrz i szybko wyszedł. Tory osunęła się na podłogę. Już wtedy była skazana na potępienie? Wpatrywała się niewidzący - mi oczami w kołyszące się na krawędzi dolnej półki lady nożyce. Prawie miała je w ręku, prawie...

Gdyby je mocno złapała, jedno z nich smażyłoby się już w piekle. Przynajmniej byłoby po wszystkim.

Podciągnęła do góry kolana, przycisnęła do nich twarz i zwinęła się w kłębek, jak to często robiła, gdy była dzieckiem.

Tak ją zastała Faith, kiedy weszła do sklepu z kręcącym się pod pachą szczeniakiem.

- Jezu! - Jednym spojrzeniem ogarnęła otwartą i pustą kasę, rozrzucone eksponaty i roztrzęsioną Tory na podłodze. - Boże, jesteś ranna?

Postawiła szczeniaka, który od razu pomknął radośnie przed siebie, i pobiegła za ladę.

- Co z tobą?

- Wszystko w porządku. Nic się nie stało.

- Zostać napadniętym i okradzionym w tym mieście, w samym środku dnia, to nie jest zwykła rzecz. Cała się trzęsiesz. Mieli jakąś broń?

- Nie. Nie. Wszystko w porządku.

- Nie widzę krwi. Ojej, masz z tyłu skaleczoną szyję. Wezwę policję. Chcesz lekarza?

- Nie! Żadnej policji, żadnego lekarza.

- Nie chcesz wezwać policji? Dopiero co widziałam wymykające się stąd jakieś wielkie bydlę, weszłam do środka i zobaczyłam otwartą, pustą kasę i ciebie rozciągniętą na ziemi za ladą, a ty nie chcesz wezwać policji?

- Nie zostałam okradziona. - Wyczerpana opuściła głowę na podłogę. - Dałam mu pieniądze. Niecałe sto dolarów. Pieniądze nie mają znaczenia.

- Skoro tak, daj też i mnie. Jeżeli w ten sposób masz zamiar prowadzić swój interes, nie pociągniesz długo.

- Zostanę tutaj. Nic mnie stąd nie ruszy. Nic. Nikt. Nigdy więcej.

Podniesiony głos Tory i gorączkowe spojrzenie jej oczu świadczyły o tym, że ogarnia ją histeria.

- To się nazywa hart ducha! Ale może byśmy wstały z podłogi i przeniosły się na chwilę na zaplecze.

- Powiedziałam, że nic mi nie jest.

- Albo jesteś głupia, albo kłamiesz. Cokolwiek to jest, przenieśmy się stąd. Tory próbowała, stanąć o własnych siłach, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nie miała innego wyboru i musiała się oprzeć o Faith.

- Pójdziemy na zaplecze. A szczeniaka zostawię na zewnątrz.

- Kogo?

- Nie przejmuj się nim. Jest już trochę wytresowany. Masz chyba na zapleczu jakiś alkohol.

- Nie.

- To było do przewidzenia. Porządna Tory nie trzymała by tu whisky. A teraz siadaj, złap oddech i powiedz mi, dlaczego mam nie dzwonić na policję.

- To tylko pogorszy sprawę. - Bo?

- Bo ten, którego widziałas, jak opuszczał sklep, to mój ojciec. Dałam mu pieniądze, więc sobie poszedł.

- I to on zostawił ci ten ślad. - Tory bez słowa wpatrywała się przed siebie. - Zdaje się, że nie pierwszy raz. Hope nic o tym nie powiedziała. Pewnie przysięgła dochować tajemnicy.

Ale ja miałam oczy. Wiele razy widziałam cię posiniaczoną i pobitą. Zawsze się tłumaczyłaś, że się przewróciłaś albo na coś wpadłaś, co wydawało mi się dziwne, ponieważ nie robiłaś wrażenia ofiary. O ile pamiętam, miałaś wiele skaleczeń i siniaków tego ranka, kiedy przyszłaś, żeby nam powiedzieć o Hope. - Faith podeszła do lodówki, znalazła w niej butelkę wody, otworzyła ją. - Czy dlatego nie spotkałaś się z nią tamtego wieczoru? Ponieważ cię stłukł? Zdaje się, że winą za to, co się wtedy stało, obarczałam niewłaściwą osobę. Tory napiła się wody.

- Winić należy tego, kto ją zabił.

- Nie było wiadomo, kto to zrobił. Łatwiej i wygodniej obwiniać kogoś, kogo się zna z twarzy i z imienia. Podnieś słuchawkę, wezwij policję i złóż skargę. Russ go złapie.

- Czy nie rozumiesz, że chcę, żeby stąd zniknął? Faith oparła się biodrem o biurko.

- Mój ojciec rzadko podnosił na mnie rękę. Od czasu do czasu dostawałam klapsa w tyłek, prawdę mówiąc, rzadziej niż na to zasługiwałam. Ale potrafił na mnie krzyczeć i bałam się go. - O Boże, jakże go jej brakowało. Jak tęskniła za ojcem. - Nie chciałam go zawieść. To nie to samo, co w twoim przypadku, wiem o tym. Nieraz zadaję sobie pytanie, co by było, gdybym miała innego ojca i gdybym spędziła życie w strachu.

- Wezwałabyś policję, żeby go wsadzili do więzienia.

- Masz rację! Ale to nie znaczy, że nie rozumiem, dlaczego ty byś tego nie zrobiła.

Kiedy tata zdradzał mamę z tą kobietą, nie powiedziałam jej o tym. Pomyślałam, że może to wszystko minie. Pomyliłam się, ale takie podejście zapewniało mi spokój ducha.

Tory odstawiła butelkę z wodą na biurko.

- Dlaczego jesteś teraz dla mnie taka miła?

- Nie mam pojęcia. Nigdy za tobą nie przepadałam, głównie dlatego, że Hope tak cię lubiła, a ja byłam przekorna. Teraz śpisz z moim bratem, a Ca - de znaczy dla mnie więcej niż przypuszczałam. Dlatego chcę lepiej poznać ciebie i zorientować się w tym wszystkim.

- Więc jesteś dla mnie miła dlatego, że śpiam z Cade'em?

- Na to wychodzi. I powiem ci coś, co cię wkurzy. Żal mi ciebie.

- Masz rację. - Tory podniosła się z miejsca. - To mnie wkurza.

- Tak myślałam. Nie lubisz współczucia. Ale faktem jest, że nikt nie powinien się bać własnego ojca. Żaden mężczyzna nie ma prawa bić dziecka. A teraz pójdę i obejrzę, jakich szkód narobił ten szczeniak.

- Szczeniak? - Tory zrobiła wielkie oczy. - Jaki szczeniak?

- Mój szczeniak. Suczka. Jeszcze jej nie nazwałam. - Faith zajrzała na zaplecze i wybuchnęła śmiechem. - No tylko popatrz, co za mądrała. Sama słodycz.

Sama słodycz znalazła sobie bibułkę i właśnie staczała z nią walkę. Udało się jej także znaleźć rulon wstążki, której spory kawałek oplótł jej krótki tułów.

- Och, na miłość boską!

- Nie przejmuj się tym. Zapłacę za to. Dzielne jest to moje maleństwo.

Szczeniak warknął wesoło, zaplątał się w koniec wstążki i zadowolony z siebie zwałił się u stóp Faith.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że takie maleństwo może sprawiać tyle radości. Jak ty wyglądasz, piesku, zupełnie jak choinka.

Podniosła szczeniaka wysoko do góry, gruchając przy tym radośnie.

- Zachowujesz się jak idiotka.

- Wiem. Ale czy to nie słodkie stworzenie? A do tego kocha mnie nad życie. Zaraz posprzątam ten

bajzel, żeby nikt nie karcił mojego maleństwa.

Kłęcząca na podłodze Tory podniosła głowę.

- Jeżeli jeszcze raz narobisz mi takiego bałaganu, ugryzę cię w kostkę.

- Uczyłam ją siadać. Daje się układać jak nowy kapelusz. Popatrz tylko. - Faith postawiła szczeniaka na podłodze, klepnęła go po pupie. - Siad. No, zrób to dla mnie.

Szczeniak skoczył do przodu, polizał Tory po twarzy, po czym schwytał własny ogon.

- Ładne układanie.

- Czyż to nie skarb?

- Jest urocza, ale nie pasuje do tego miejsca. - Tory zgarnęła na stos zniszczone rzeczy i podniosła się z podłogi. - Idź z nią na spacer.

- Zamierzałyśmy kupić dla niej komplet miseczek do jedzenia i wody.

- Chyba nie będziesz kupowała dla psa ręcznie wykonanych, ceramicznych miseczek.

- Co cię obchodzi, do czego ich użyjemy, skoro za nie zapłacimy? - Faith wyjęła z gabloty dwie pasujące do siebie błękitne miseczki z efektownymi szmaragdowymi zawijasami. - Te nam się podobają. Prawda, kochanie? Prawda, moja ty słodka?

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Handel jest handlem, czyż nie? - Faith wróciła do lady i postawiła na niej miseczki. -

Wlicz do nich wszystkie straty.

- To już możemy sobie darować. - Tory wrzuciła do kosza na śmieci bibułkę, po czym zajęła się kasą. - Pięćdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia sześć centów. Za miseczki dla szczeniaka.

- Świetnie. Zapłacę gotówką. Masz, potrzymaj ją chwilę. Faith wcisnęła Tory szczeniaka i sięgnęła do torby. Zaskoczona i zachwycona Tory zanurzyła nos w miękkim futerku.

- Będziesz jadła jak królowa, prawda? Jak prawdziwa królowa z bajki. Królowa Bee.

- Królowa Bee. Pszczółka. Przecież to do niej idealnie pasuje. - Faith położyła pieniądze na ladzie i czym prędzej odebrała szczeniaka. - A więc jesteś Królową Bee. Kupię ci wytworną błyszczącą obrozę.

Wydając resztę, Tory pokręciła głową.

- Z takiej strony jeszcze cię nie znałam, Faith.

- Bywam i taka. Chodź, Bee, musimy jeszcze zajrzeć w parę miejsc i spotkać się z paroma osobami. -
Wzięła torbę z nowymi nabytkami. - Chyba nie dam rady otworzyć drzwi.

- Pomogę. - Tory otworzyła drzwi i po chwili wahania dotknęła jej ramienia. -

Dziękuję ci, Faith.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Twój makijaż wymaga lekkiego odświeżenia -
dodała i wyszła.

Faith nie zamierzała się angażować. Życie innych ludzi było fascynujące, jeżeli można było na nich patrzeć z dystansu. .

Ale zobaczyła Tory skuloną za ladą, leżącą wśród rozsypanych wstążek, taśm i srebrnego sznurka.

Zobaczyła paskudny czerwony ślad na szyi Tory.

Na Hope też były takie ślady. Nie widziała ich, nie pozwolono, żeby je zobaczyła.

Żaden mężczyzna nie powinien znęcać się nad kobietą. Jeśli nie można zawiadomić o tym policji, znajdzie jakiś inny sposób.

Pochyliła się, żeby pocałować Pszczółkę w łepkę, po czym udała się prosto do banku, żeby powiadomić J.R, co przydarzyło się jego siostrzenicy.

J.R. nie tracił czasu. Odwołał najbliższe spotkanie, przekazał asystentowi bieżące sprawy i pobiegł do sklepu Tory.

Miała klientów. Para młodych ludzi zastanawiała się nad kupnem niebiesko - białego półmiska. Tory w drugim końcu sklepu ustawiała nowe podstawki do świec na miejsce tych, które sprzedała rano.

- Wujek Jimmy! Czy na dworze jest aż taki upał? Zgrzałeś się. Może podać coś zimnego?

- Dobrze, niech będzie - zdecydował się. Pozwoli mu to trochę ochłonać. - Cokolwiek masz pod ręką, kochanie.

- Zaczekaj chwilkę. - Udała się na zaplecze. Poznała po jego oczach, że rozmawiał

Faith. Nie należało jej ufać.

Wyjęła puszkę ciemnego piwa i zaniósła wujowi.

- Dziękuję, kochanie. A co byś powiedziała na lunch? Zapraszam cię.

- Jeszcze nawet nie ma południa... a poza tym przyniosłam sobie coś z domu. Nie chcę zamykać sklepu w środku dnia. Babcia i Cecil odjechali?

- Z samego rana. Boots namawiała ich, żeby zostali parę dni, ale przecież znasz babcię. Lubi być u siebie.

Młodzi klienci zaczęli się zbierać do wyjścia. Kobieta popatrzyła za siebie tęsknym wzrokiem.

- Jeszcze wrócimy.

- Mam nadzieję. Życzę miłego dnia.

- Pozwól teraz, że obejrzę. - Ledwie zamknęły się drzwi, J.R. odstawił piwo i położył

ręce na ramionach Tory. Uważnie obejrzał skaleczenie na jej szyi. - Och, skarbie! Co za bydlak! Dlaczego mnie nie wezwałaś?

- Ponieważ było już po wszystkim. Faith niepotrzebnie pobiegła z tym do ciebie.

- Nie mów tak. Postąpiła jak najbardziej słusznie i jestem jej za to wdzięczny. Nie chciałaś wzywać policji. No cóż, może ze względu na twoją matkę będzie lepiej, jeżeli tego nie zrobimy. Ale ja także należę do rodziny.

- Wiem, wujku. On już odszedł. Chodziło mu tylko o pieniądze. Boi się, że go złapią.

A ja chcę, żeby się to stało jak najdalej stąd. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

- Oczywiście, że tak. Tylko obiecaj mi coś. - J.R. odsunął ją delikatnie na długość ramienia. - Jeśli go znowu zobaczysz, jeśli nawet nie będzie próbował zbliżyć się do ciebie, natychmiast daj mi znać.

- Zgoda. Ale nie martw się. Dostał to, po co przyszedł. Znajduje się teraz daleko stąd.

Chciała w to wierzyć.

Wierzyła w to przez resztę dnia. Schroniła się za cienką tarczą tej wiary. I chociaż wiedziała, że to głupie, zdjęła z wystawy jedną z przewiązanych kokardą świec i postawiła ją na ladzie.

Miała nadzieję, że jej światło i zapach zneutralizują trochę przykrą atmosferę, jaka zawisła w powietrzu po wizycie ojca.

Zamknęła sklep o szóstej, złapała się na tym, że pilnie obserwuje ulicę - tak jak to robiła przez pierwsze tygodnie po ucieczce do Nowego Jorku. Znowu szła ostrożnie, niespokojnie, a serce kołatało jej jak dzwon.

Czy to możliwe, że jeszcze niedawno miała zamiar przeciwstawić się ojcu, gdyby odważył się znowu wtargnąć w jej życie?

Gdzie się teraz podziela jej odwaga?

Zaraz po otwarciu drzwi samochodu wskoczyła do środka. Serce jej biło mocniej za każdym razem, gdy zerkała we wsteczne lusterko.

Mijała samochody, pomachała nawet Piney'owi, kiedy przejechał obok, trąbiąc na powitanie. Kończy się dzień pracy na polach. Ludzie zaraz zaczną wracać do domów. Cade także.

Była rozczarowana, kiedy po zjechaniu na swoją drogą nie zobaczyła jego samochodu przed domem. To prawda, że bez entuzjazmu przyjęła jego słowa o przeprowadzce do niej.

Ale im więcej o tym myślała, tym bardziej się przekonywała do tego pomysłu.

Od bardzo dawna nie zależało jej tak na towarzystwie kogoś, z kim można spędzać dzień, rozmawiać o błahostkach, śmiać się z drobiazgów i ponarzekać.

Mieć kogoś blisko siebie w noc pełną dźwięku, ruchu i wspomnień.

A co dawała w zamian? Bunt, opór, irytację i milczące przyzwolenie.

Należy zrobić to, co zapewne robiły kobiety, żeby odkupić drobne przewinienia. Może mu przygotować pyszną kolację i go uwieść.

Już sam ten pomysł poprawił jej humor. Chyba go zaskoczy taka nagła zmiana w jej zachowaniu. Miała nadzieję, że odnajdzie w sobie kobiecość, o której już dawno zapomniała.

Tym samym przejmie na siebie część odpowiedzialności w ich układzie, jakkolwiek by on był.

W ten sposób próbowała przypodobać się Jackowi, po czym...

Nie. Nie należy o tym myśleć. Cade nie jest Jackiem, a ona nie jest tą samą kobietą, którą była w

Nowym Jorku. Nie należy łączyć przeszłości z teraźniejszością.

Kiedy otworzyła drzwi, stanęła jak skamieniała. Jej ojciec był również tutaj, w domu, który chciała uczynić swym schronieniem.

Fotel był przewrócony - musiał użyć czegoś ostrego, żeby go rozerwać od spodu.

Lampa, którą kupiła zaledwie przed kilkoma dniami, leżała potłuczona, stół przygotowany do renowacji miał złamaną nogę.

Obtłuczony tynk. Świadczył o tym, że walił w ściany pięściami, co zawsze czynił, nie mogąc się wyżyć na swojej córce.

Nie zamknęła drzwi, pozostawiając sobie drogę ucieczki na wypadek, gdyby zawiódł ją instynkt i okazało się, że ojciec nadal jest w domu.

Ale sypialnia była pusta. Rozrzucił pościel, rozpruł materac. Oszczędził tylko metalową ramę.

Szuflady bieliźniarek były pootwierane, a jej ubranie wywalone. Nie, nie zależało mu na zniszczeniu rzeczy. Gdyby tak było, zniszczyłby także jej ubrania. Robił to dawniej, kiedy dawał jej lekcje przyzwoitego ubierania się.

Szukał pieniędzy albo przedmiotów, które łatwo zamienić na gotówkę. Gdyby był

pijany, byłoby gorzej. Czekalby na nią. Tak jak... Schyliła się, żeby podnieść pomietaną bluzkę i na widok małej drewnianej skrzyneczki, w której przechowywała biżuterię, krzyknęła z rozpacz.

Potrząsnęła nią i osunęła się na podłogę, kiedy stwierdziła, że jest pusta. Większość tego, co miała, to były zwykłe błyskotki.

Jednak wśród nich był także granat i złote kolczyki, które dostała od babci, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat. Kolczyki, które należały jeszcze do jej prababki. Jej jedyne dziedzictwo. Bezcenne. Nie do zastąpienia!

- Tory!

Poderwała się, słysząc głos Cade'a.

- Wszystko w porządku. Jestem tutaj.

Wpadł do pokoju, chwycił ją w ramiona, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Nic mi nie jest - powiedziała. - Dopiero co weszłam. Parę minut temu. Już go nie było.

- Zobaczyłem twój samochód, salon i pomyślałem... - Przywarł twarzą do jej włosów.

- Wytrzymaj jeszcze trochę.

Wiedział, czym jest przerażenie, zaciskające gardło ostrymi szponami. Nie podejrzewał, że przyjdzie mu to jeszcze raz przeżyć.

- Chwała Bogu, że nic ci się nie stało. Zamierzałem przyjechać tu przed tobą, ale musiałem zostać dłużej na polu. Zadzwonimy na policję, a potem przeniesiesz się do Beaux Rêves. Powinienem być już o tym wcześniej pomyśleć.

- Cade, to wszystko jest bezcelowe. To był mój ojciec. - Odsunęła się, odstawiła kasetkę na bieliźniarkę. - Przyszedł rano do sklepu. W ten sposób dał mi do zrozumienia, że wciąż jeszcze może mnie karać.

- Zrobił ci krzywdę?

- Nie. - Zaprzeczyła szybko, ale on spojrzał już na jej szyję. Nie powiedział słowa.

Tylko pociemniały mu oczy, zwęziły się jak szparki. Odwrócił się i złapał słuchawkę.

- Cade, zaczekaj. Nie chcę wzywać policji. Zachnął się i warknął:

- Nie będziesz zawsze stawiała na swoim.

Sherry Bellows uczciła swoją przyszłą, ewentualną pracę butelką wina, nastawiając płytę kompaktową z Sheryl Crow tak głośno, jak tylko to było dopuszczalne wobec sąsiadów, i pływając po całym domu.

Wszystko układało się wspaniale.

Pokochała Progress. Było to idealne miejsce - małe, połączone bliskimi międzyludzkimi więzami miasteczko, o jakim marzyła. Chyba sprzyjały jej gwiazdy, kiedy kierując się instynktem, przyjęła propozycję pracy w tutejszej szkole średniej.

Polubiła innych nauczycieli. Nie zdążyła jeszcze dobrze poznać swoich kolegów i koleżanek, ale wszystko to zmieni się na jesieni, kiedy zacznie pracować w pełnym wymiarze godzin.

Będzie dobrą nauczycielką. Uczniowie będą mogli przychodzić do niej ze swoimi problemami. Zachęci swoich uczniów do czytania nie z obowiązku, lecz dla przyjemności, zaszczepiając im na całe życie miłość do literatury.

Och, zapędzi ich do pracy, i to do ciężkiej pracy, ale ma tyle pomysłów, tyle świeżych i wspaniałych pomysłów, że uczyni tę pracę ciekawą, wciągającą.

Za ileś lat, kiedy uczniowie spojrzą wstecz, przypomną ją sobie. Powiedzą, że zmieniła ich życie.

Niczego bardziej nie pragnęła.

Do tego stopnia, że uczyła się jak szatan, że zaharowywała się, by tylko zdobyć pieniądze na naukę. Żeby wystarczyło na chesne, na książki, na składki, na mieszkanie i jedzenie. Warto było oszczędzać każdego pensa!

Miała na to dowód.

Znalazła sposób, żeby mądrze spożytkować pieniądze.

Praca w sklepie Tory będzie przyjemnością. Pomoże jej spłacić zaciągnięte na studiach pożyczki, da odrobinę finansowej swobody. A co więcej, pozwoli jej łatwiej wtopić się w lokalną społeczność. Spotka ludzi, zaprzyjaźni się - łatwo zdobywa przyjaciół - i już wkrótce stanie się osobą znaną w Progress.

Już porobiła znajomości. Zna sąsiadów, Maxine, pracującą u weterynarza. Zamierzała scementować tę więź, urządzając w czerwcu przyjęcie, na które każdy przyniesie coś własnego. Pomyślała, że w lecie taki pomysł nie będzie kolidował z niczymi planami.

Oczywiście zaprosi także Tory. I doktora Hunka - weterynarza z rozkosznymi dołeczkami na twarzy. Chciałaby go lepiej poznać, stwierdziła, uśmiechając się do siebie i nalewając drugi kieliszek wina.

Poprosi Mooneyów. Pan Mooney okazał jej tyle życzliwości, kiedy otwierała nowe rachunki w banku. Jest jeszcze Lissy z biura nieruchomości. Trzeba przyznać, że straszna z niej papla, ale czasami dobrze jest wiedzieć, o czym plotkują w miasteczku. Można się dowiedzieć tylu ciekawych rzeczy. I jest żoną burmistrza.

Kolejny seksowny facet. I trochę flirciarz. To dobrze, że dowiedziała się, że jest żonaty.

Zastanowiła się, czy wypada zaprosić Lavelle'ów. Należeli do elity Progress. Jednak Kincade Lavelle, na którego wpadła kilkakrotnie w mieście, okazał się być bardzo miły. A jaki przystojny!

Co jej szkodzi spróbować. Chciała mieć dużo, bardzo dużo gości. Zrobi im przyjęcie w ogródku.

Uwielbiała swój śliczny ogródek. Dokupi bujaną ławeczkę, żeby było na czym usiąść.

Pewnego dnia spotka odpowiedniego mężczyznę - a może już go spotkała - i zakochają się w sobie w jedną z tych gorących nocy. I pobiorą się na wiosnę. Zaczną wspólne życie.

Nie zamierzała zostać sama. Chce mieć rodzinę. Nie zrezygnuje oczywiście z nauczania. To było jej powołanie, ale może także zostać żoną i matką.

Pragnęła tego wszystkiego - a im szybciej tym lepiej.

Nucąc, wyszła do patio, gdzie pochrapywał Mongo. Poruszył parę razy ogonem i zwinął się w kłębek.

Ukucnęła więc i podrapała go w brzuch, pijąc wino i rozglądając się z leniwym rozmarzeniem. Jej ogródek doskonale nadawał się do urządzania przyjęć - ograniczony z jednej strony drzewami parku,

z drugiej zaś spokojną uliczką.

Wybrała ten dom przede wszystkim dlatego, że pozwalano w nim trzymać zwierzęta, a ona zawsze mieszkała razem z Mongo. Dodatkowym atutem była bliskość parku, a co za tym idzie, możliwość porannych spacerów i biegów. Jeśli tylko trzymała psa na smyczy, mogli sobie kluczyć po okolicy, podziwiając te wszystkie śliczne domy, spotykając ludzi i zapoznając się z topografią tej części miasta.

Mieszkanie było małe, ale dopóki Mongo miał gdzie się poruszać, nie potrzebowała większej przestrzeni. I nie kosztowało aż tyle, co w Charleston czy w Columbi.

- To dla nas idealne miejsce, Mongo.

Zawróciła i weszła do małej jak w samolocie kuchni, śpiewając wspólnie z Sheryl.

Uczci jeszcze ten dzień, przygotowując sobie na kolację wspaniałą sałatkę.

Krojąc i siekając pomyślała, że życie jest piękne.

Zaczęło się już zmierzchać, kiedy skończyła. Jak zwykle pokroiła za dużo. Typowe dla samotnych osób. Ale przecież Mongo także lubi jej marchewki i selery, doda mu je więc do wieczornego posiłku. Zjedzą w patio, a ona pozwoli sobie na jeszcze jeden kieliszek wina.

Potem pójdą sobie na długi spacer. Ukucnęła, żeby nałożyć do miski dla Mongo pokarm z puszki.

Nagle zobaczyła kątem oka coś takiego, że serce podeszło jej do gardła. Krzyknęła, wypuszczając miskę z rąk.

Potem czyjaś ręka zatkała jej usta. Nóż, którym kroić sałatkę, kłuł ją w gardło.

- Zachowuj się spokojnie. Zachowuj się bardzo, ale to bardzo spokojnie, a nie potnę cię. Zrozumiałaś?

Przewracała tylko oczami, pocąc się ze strachu. Nie widziała twarzy, ale chyba poznała głos. Nie, to nie miało sensu. Żadnego sensu. Opuścił powoli rękę i złapał ją za brodę.

- Proszę mi nie robić krzywdy.

- A to niby dlaczego? - Jej włosy pachniały potem. Kurewskie blond włosy. -

Chodźmy do sypialni, tam nam będzie wygodniej.

- Błagam. - Straciła oddech, kiedy ostrze noża przejechało wzdłuż jej gardła.

Rozpaczliwy krzyk daremnie szukał ujścia, zamieniając się w cicho spływające łzy.

Drzwi na patio były teraz zamknięte, żaluzje opuszczone.

- Co zrobiłeś z Mongo?

- Nie myślisz chyba, że skrzywdziłem takiego miłego psa? - Poczucie siły przenikało jego członki. Był teraz twardy, napalony, niepokonany. - Musi się trochę przespać. Nie martw się o swojego psa, słodziutka. Nie martw się o nic. Wszystko będzie dobrze. Będzie tak, jak lubisz.

Popchnął ją twarzą na łóżko, wsadził kolano w zagłębienie w jej plecach i przygniótł

je. Zachowywał ostrożność. Człowiek musi być przygotowany na wszystko nawet wówczas, gdy ma do czynienia z dziwką. Zwłaszcza z dziwką.

Dra się z byle powodu. A on nie chciał używać noża. Po co, skoro tak dobrze radził

sobie rękami? Wyjął chustkę z kieszeni, zakneblował jej usta.

Kiedy zaczęła się kręcić, szarpać, był w siódmym niebie.

Nie była słaba. Dbała o ciało - żeby się nim popisywać, wabić mężczyzn! Walka z nią podniecała go. Uderzył ją, żeby wiedziała, kto tu jest górą.

Związał jej ręce na plecach. Wolał uniknąć tych obrzydliwie polakierowanych paznokci, którymi mogłaby go podrapać.

Spokojnie podszedł do okna, żeby zaciągnąć zasłonę.

Jęczała przez knebel, wytrzeszczała przerażone oczy po każdym ciosie. Ten dźwięk przyprawiał go o drżenie tak, że nawet skaleczył ją trochę, kiedy rozcinał nożem jej ubranie.

Próbowała wierzgnąć, ale gdy przyłożył jej ostrze noża pod samo oko, znieruchomiła.

- Tego chcesz, to lubisz. - Rozpiął zamek w spodniach, przewrócił ją na plecy i usiadł

na niej okrakiem. - Tego się domagacie. Wszystkie się tego domagacie.

Kiedy było po wszystkim, zapłakał. Łzy litości nad sobą spłynęły po jego twarzy. Nie była tą, o którą mu chodziło, ale co mógł zrobić?

To nie było to!

Kiedy wyjął knebel, jej oczy były szkliste i puste. Pocałował ją w policzki. Uwolnił jej nadgarstki, schował sznurek do kieszeni.

Wyłączył muzykę i wyszedł tą samą drogą, którą wszedł.

- Nie mogę się przenieść do Beaux Rêves.

Tory usiadła na ganku. Łagodne nocne powietrze działało kojąco. Jeszcze nie była w stanie wejść do

środką, jeszcze nie była gotowa do porządkowania bałaganu, pozostawionego przez ojca i policję.

Cade siedział zamyślony z cygarem w ręku.

- Tym razem będziesz mi to musiała wytłumaczyć. Pozostawanie tu nie ma sensu, a ty przecież jesteś rozsądną kobietą.

- Przeważnie - przyznała mu rację. - Rozsądne zachowanie chroni przed komplikacjami i pozwala zaoszczędzić energię. Teraz wiem, że miałeś rację, wzywając policję. Kierowałam się wyłącznie emocjami. On mnie przeraża. Jak zawsze, chciałam w ten sposób uciec od strachu. Trudno być ofiarą, Cade. Człowiek czuje się bezbronny, a jednocześnie w jakiś sposób winny.

- Nie będę się o to sprzeczał, choć powiniśś zdawać sobie sprawę, iż poczucie winy nie ma w tym przypadku najmniejszej racji bytu.

- Nie mogę przestać tak myśleć. Muszę teraz doprowadzić dom do porządku i usunąć ślady jego obecności. Ale wciąż będę pamiętała, jak Russ zabrał się do sporządzania notatek, przyglądając się mojej twarzy.

- Twoja duma nie powinna z tego powodu ucierpieć, Tory.

- „Pycha poprzedza upadek”, upomniał mnie dzisiaj rano ojciec. Uwielbia posługiwać się cytatami z Biblii, kiedy chce wbić domownikom do głowy swoje racje.

- Znajdą go. Poszukuje go policja dwóch hrabstw.

- Świat nie ogranicza się do dwóch hrabstw. Sama Południowa Karolina jest znacznie większa niż dwa hrabstwa. Moczary, góry, przesieki. Cała masa kryjówek. Jeśli skontaktuje się z matką, ona mu pomoże. Z miłości i z poczucia obowiązku.

- I właśnie dlatego chcę, żebyś się na jakiś czas przeniosła do Beaux Rêves.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że twoja matka będzie temu przeciwna.

- Moja matka nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia.

- Och, nie mów tak, Cade. - Poderwała się z fotela, odeszła na drugi koniec ganku.

Ciekawe, czy on tam jest? Czy czeka?

Czy obserwuje? - Nie powinieneś tak mówić. To jej dom i ma prawo decydować, kogo w nim przyjmuje.

- Dlaczego miałyby się sprzeciwić? Zwłaszcza jeśli jej wszystko wyjaśnię.

- Co jej wyjaśnisz? - Odwróciła się. - Że sprowadzasz kochankę, ponieważ jej tatuś jest szaleńcem?

Zaciągnął się cygarem, nie spiesząc się z odpowiedzią.

- Coś w tym rodzaju, tyle że ubrałbym to w bardziej stosowne słowa.

- A ona na pewno powitałaby mnie świeżymi kwiatami i pudełkiem wyśmienitych czekoladek. Typowo męskie podejście! - powiedziała machając ręką, nie dopuszczając go do głosu. - Cokolwiek by mówić o tym cholernym dziedziczeniu, Cade, dom należy do twojej matki i nie zamierzam być tam intruzem.

- Nie jest osobą pozbawioną serca.

- Jej serce nie zaakceptuje obecności kobiety, którą obarcza odpowiedzialnością za śmierć ukochanego dziecka. Nie sprzeczasz się ze mną w tej sprawie, Cade. - Głos Tory zadrżał. - To mi sprawia ból.

- Zgoda. - Gniewnym ruchem wyrzucił cygaro, ale jego ręce były delikatne i czułe, kiedy je położył na ramionach Tory. - Jeżeli nie chcesz albo nie możesz przenieść się do mnie, zabiorę cię do twojego wuja.

- I w ten sposób przeszliśmy do drugiej części problemu. - Położyła dłonie na jego ramionach. - Irracjonalna, uparta jak osioł, nielogiczna. Masz rację. Zgadzam się ze wszystkim i zwalnim cię z obowiązku wytykania mi tego. Zostaję tutaj, Cade.

- Nie traktuj tego miejsca jak jakiegoś strategicznego wzgórza na polu bitwy.

- Dla mnie jest właśnie czymś takim - powiedziała, uśmiechając się lekko. - Ależ tak!

To jest moje wzgórze na moim własnym, osobistym polu bitwy. Tak często się wycofywałam.

Nazwałeś mnie kiedyś tchórzem. W rzeczywistości byłam nim przez większą część mojego życia. Zdarzały mi się niewielkie zrywy odwagi, po których znowu upadałam i czułam się jeszcze gorzej. Nie dopuszczę do tego tym razem.

- Czy pozostanie tutaj uczyni cię odważną? A może to dowód głupoty?

- Może tak, może nie. A może wszystko naraz. Tak bardzo pragnę się znowu pozbierać. Odnoszę wrażenie, że zaryzykowałabym wszystko, żeby tylko pozbyć się tej pustki w sobie. Nie pozwolę, żeby mnie stąd przegnał.

Spojrzała w stronę bagien, które w miarę zbliżania się lata stawały się coraz bardziej przepastne i zielone. Roiło się w nich od komarów, rozmnażających się w stojących wodach.

Przemykały w nich aligatory, zadające bezgłośnie śmierć. Były tu też węże, a trzęsawiska mogły

wessać but z nogi.

Pomyślała, że było to także miejsce piękne w blasku ogniska, gdzie w cieniu, oświetlone skąpym światłem, rosły bujnie dzikie kwiaty. Miejsce, nad którym szybował

majestatyczny orzeł.

Nie istnieje piękno bez ryzyka. Podobnie jest z życiem.

- Kiedy byłam dzieckiem, żyłam w tym domu w nieustającym strachu. Można się do tego przyzwyczaić, podobnie jak człowiek przyzwyczaja się do pewnych zapachów. Kiedy tutaj wróciłam, pozbyłam się wszystkich złych wspomnień, tak jak wytrzepuje się kurz z dywanu. Wietrząc i usuwając zły zapach. A teraz on próbuje przywrócić ten strach. Nie mogę mu pozwolić. Nie pozwolę. Tak właśnie zachowałam się dzisiaj rano. Chciałam nie mówić nic nikomu, przemilczeć wszystko. Jeszcze jedna obrzydliwa tajemnica. Gdybyś mnie nie zmusił, postąpiłabym podobnie i tutaj. Zostaję. Posprzątam wszystko i zostanę. Mam nadzieję, że on wie o tym.

- Nie każ mi się za to podziwiać. - Pogłaskał jej lśniące, związane w koński ogon włosy. - Byłoby o wiele prościej, gdybyś mnie posłuchała.

- Ty nigdy do niczego nie zmuszasz. - Pogłaskała go po policzku. - Proponujesz, ale nie naciskasz.

- No widzisz? To rokuje dobrą przyszłość naszemu związkowi. Rozszyfrowałaś mnie i okazuje się, że możesz z tym żyć. - Przyciągnął ją do siebie, pocałował w czubek głowy. -

Jesteś dla mnie bardzo ważna. Nie, nie bocz się. Jesteś dla mnie bardziej ważna, Tory, niż to sobie zaplanowałam. Daj mi coś w zamian.

Szarpnął ją do tyłu, wpił się wargami w jej usta.

Poczuła smak pożądania, a także ślad złości, którą tak dobrze maskował. Ten przyływ czystej, nieskrywanej emocji poruszył ją do żywego.

Boże, przecież nie chciała być kochana albo pożądana, podobnie jak nie chciała żywić do nikogo takich uczuć. A przecież jest tutaj i czuje to znowu.

- Dałam ci już więcej niż zaplanowałam. - Wtuliła się w niego. - Tyle się we mnie dzieje, że nie potrafię tego powstrzymać. A wszystko to obraca się wokół twojej osoby. Czy to nie wystarczy?

- Taak. - Odchylił jej głowę i znowu ją pocałował, tym razem delikatnie i czule. -

Taak, na razie to wystarczy. Dopóki nie znajdziesz w sobie więcej miejsca dla mnie. -

Końcami palców muskał jej policzki. - Miałaś dzisiaj piekielny dzień!

- Nie powiem, żeby należał do najprzyjemniejszych. -

- Więc przynajmniej zakończmy go dobrze. Im wcześniej, tym lepiej.

- Co masz na myśli? Otworzył drzwi.

- Chciałaś go stąd usunąć. Więc bierzmy się do roboty.

Pracowali razem przez dwie godziny. Włączył muzykę. Nie powinna o tym myśleć, powinna się skupić na detalach, dostroić umysł do czystych, nieskomplikowanych melodii.

Muzyka wypełniła jej głowę tak, że nie mogła się oddać rozmyślaniom.

Chciała spalić ubrania, których dotykał, widziała oczyma duszy, jak je wynosi na dwór, układa na stertę i zapala zapalkę.

Nie zdobyła się jednak na taką rozrzutność. Zamiast tego uprała je, złożyła i schowała.

Przewrócili na drugą stronę uszkodzony materac. Trzeba go będzie wymienić, ale na razie może tak zostać. Po położeniu świeżej pościeli prawie nie było widać zniszczeń.

Cade opowiadał o swojej pracy. Jego głos sprawiał jej przyjemność, falował w jej głowie jak muzyka. Uporali się z rumowiskiem w kuchni, zjedli kanapki, a potem ona powiedziała mu, że rozważa możliwość zatrudnienia pomocy w sklepie.

- To dobry pomysł. - Pokrzepił się piwem, zadowolony, że pomyślała o nim przy okazji zakupów. - Będiesz miała większą przyjemność z pracy, nie musząc siedzieć cały czas w sklepie. Sherry Bellows? Czy to nie ta nowa nauczycielka? Spotkałem ją z psem ze dwa tygodnie temu koło domu towarowego. Tryska energią.

- Odniosłam podobne wrażenie.

- I jest całkiem atrakcyjna. - Uśmiechnął się szeroko i łyknął piwa, gdy Tory nieznacznie uniosła brwi. - Mam na względzie wyłącznie twoje potrzeby, kochanie.

Atrakcyjny pracownik jest dźwignią handlu. Sądzisz, że będzie się ubierała w te kuse szorty?

- Nie sądzę.

- Gdybyś jej pozwoliła zachować ten strój, mogłaby przyciągnąć wielu klientów płci męskiej. Ma bardzo dobre nogi.

- Nogi? Zobaczmy, jakie ma referencje. Mam nadzieję, że równie dobre. - Tory wyrzuciła resztę śmieci.

- Lepiej się czujesz?

- Tak. - Odłożyła szczotkę i ścierkę do kurzu. - Znacznie lepiej. I jestem ci wdzięczna za pomoc.

- Zawsze chętnie przyjmę wyrazy wdzięczności.

Wyjęła z lodówki dzban i nalała sobie szklanekę mrożonej herbaty.

- Szafa w sypialni nie jest zbyt duża, ale zrobiłam ci trochę miejsca. Opróżniłam też jedną szufladę w bieliźniarce.

Nie odezwał się, popijając piwo.

- Zdaje się, że chciałeś mieć tutaj trochę swoich rzeczy.

- Zgadza się.

- No właśnie.

- Co właśnie?

- Nie mieszkamy razem. - Odstawiła szklanekę. - Tak to mam rozumieć.

- W porządku.

- Ale jeżeli masz spędzać tutaj tak dużo czasu, przecież musisz mieć trochę miejsca na swoje rzeczy.

- Jesteś bardzo praktyczna.

- Idź do diabła! - powiedziała bez cienia złości.

- Nie musisz się uśmiechać, kiedy to mówisz. - Odstawił na bok piwo, objął ją.

- Co robisz?

- Tańczę. Nigdy z tobą nie tańczyłem. A ludzie, którzy tak naprawdę nie mieszkają ze sobą, powinni od czasu do czasu to robić.

Tańczyli pod stary, sentymentalny kawałek o chłopcu, który prosi dziewczynę, żeby z nim została, kiedy na ziemię spłynie ciemność.

- Próbujesz być czarujący?

- Nie muszę próbować. To jest po prostu część mojej natury. - Wygiął ją mocno do tyłu, aż się roześmiała.

- Bardzo zręcznie.

- Te wszystkie nieszczęsne, trwające godzinami młodzieńcze bale musiały się kiedyś opłacić.

- Biedny bogaty chłopczyk. - Położyła głowę na ramieniu Cade'a, czując bliskość ich ciał, jego zapach. - Dobrze tańczysz.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Kiedy jechałam dzisiaj do domu, myślałam o tobie.

- Lubię, kiedy tak mówisz.

- I pomyślałam sobie, że dotychczas to ty wykonałeś wszystkie ruchy. Pozwoliłam ci na to, ponieważ nie byłam pewna, czy rzeczywiście chcesz dać coś z siebie, czy też zamierzam tylko skontrolować twoje działania. Poszłam na łatwiznę i pozwoliłam sobą...

- Manewrować?

- Tak sędzę. Po prostu byłam ciekawa, jak Kincade Lavelle zareaguje, gdy po powrocie do domu przygotuję dla nas miłą kolacyjką.

- Byłbym zachwycony.

- No cóż, będziemy to musieli odłożyć na inną okazję. Ta część programu nie wypaliła z wiadomego powodu. Ale była też druga część.

- To znaczy?

Uniosła głowę znad jego ramienia, zajrzała mu w oczy.

- Zastanawiam się też, jak Kincade Lavelle zareaguje, gdy potem zacznę go uwodzić?

- Coś podobnego! - Uniósł brwi, był mile zaskoczony, kiedy przywarła do niego i poufałym ruchem przejechała rękami wzdłuż jego bioder. Zawrzała w nim krew. - Sędzę, że jako dżentelmenowi nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pozwolić ci samej się o tym przekonać.

Tym razem to ona rozpięła guziki jego, a potem swojej koszuli. Złożyła wargi na sercu Cade'a, w tym miejscu, gdzie skóra była gorąca i gdzie czuło się jego przyspieszone bicie.

- Pamiętam twój smak od czasu, kiedy mnie po raz pierwszy pocałowałeś. - Pieszcząc go wargami, zdjęła z niego koszulę. - Potrafię przywoływać smaki i robiłam to z tobą już wiele razy.

Wodziła rękami po jego piersi, po jego brzuchu, dotykała jego ramion. Takich szerokich, mocnych.

- Lubię cię dotykać. Masz twarde mięśnie. To mnie podnieca. Lubię, kiedy twoje ręce, szorstkie od pracy, poruszają się po moim ciele. - Pozbyła się bluzki, która upadła na podłogę obok jego koszuli. Patrząc na niego, rozpięła stanik, pozwoliła mu się zsunąć.

- Dotknij mnie teraz.

Ujął w dłonie jej piersi, koniuszkami kciuków musnął sutki.

- Tak, właśnie tak. - Ogarnęło ją podniecenie, odgięła do tyłu głowę. - Kiedy mnie dotykasz, topnieję

cała. Czy to po mnie widać? - Jej długie i ciemne oczy napotkały jego wzrok. - Chcę...

- Dokończ.

Zwilżyła wargi, sięgnęła do guzików jego dżinsów. Przytrzymał ją mocnym, pieszczotliwym ruchem.

- Chcę czuć to, co ty. Chcę, żeby to, co jest w tobie, było we mnie. Nigdy nie próbowałam tego z nikim. Nigdy tego nie pragnęłam. Pozwolisz mi?

Pochylił głowę, potarł wargami jej usta.

- Weź to, czego pragniesz.

Ryzykowała. Otworzy się, odsłoni, będzie znacznie bardziej bezbronna niż on. Ale chciała tego, tego wszystkiego, włącznie z tym upojnym dowodem zaufania.

Jeszcze raz pokryła go wargami i otworzyła się myślą, sercem, ciałem.

To było olśnienie, rażenie piorunem, zwińczenie pragnień, wyobrażeń. Nakładające się na siebie, przenikające się pożądaniami. Wstrząsnęło nią, poraziło, oślepiło, przepełniło energią. Było to potężne doznanie. Z odrzuconą do tyłu głowę ulatywała w długim, erotycznym spazmie.

- Boże! Zaczekaj!

- Nie! - Nigdy nie doświadczył czegoś takiego. Ta ich niesamowita jedność czyniła go śmielszym, bardziej pobudzonym, coraz zuchwalszym. - Jeszcze! - Złakniony jej ciała, wpił

zęby w ramię Tory. - Teraz.

Nie mogła tego zatrzymać, przetaczało się to przez nią jak nawałnica. To ona pociągnęła go na podłogę, to ona wypowiadała szeptem prośby, domagała się i groziła, kiedy rozrywali bieliznę.

Wpijała się w niego paznokciami, kąsała go, kiedy przetaczali się na podłodze. Jego puls był w niej. Jego smak, jej smak, zmieszane razem, by ją nasycić.

Kiedy zanurzył się w niej, poczuła, jak wielkie i naglące jest jego pragnienie, jak bardzo zmęczone są jego myśli. Zatracił się. Krzyknęła, jeden raz, drugi. Oboje się zatracili.

Usłyszała swoje imię - wołał je, wewnątrz niej, parę sekund wcześniej, nim wyrwało się z jego ust. Kiedy w nią wszedł i pociągnął za sobą, zaszlochała ze szczęścia.

HOPE

„Nadzieja” jest tym

upierzonym

Stworzeniem na gałązce

Duszy - co śpiewa melodie

Bez słów i nie milknące -

Emily Dickinson

[tłum. Stanisław Barańczak]

W poczekalni niemiłosiernie ujadł pies mający zaparcie. Wade wiedział, za co się najpierw wziąć. W dodatku bura kotka, przewrotnie nazwana Puszkiem pokaleczyła mu rękę, kiedy robił jej zastrzyk. Maxine zdawała końcowe egzaminy, więc dał jej wolny dzień.

Przed godziną doszedł do wniosku, iż źle rozplanował dzień pracy i przeliczył się ze swymi możliwościami. Zaczęło się od nagłego wypadku: wałach z zapaleniem spojówek wymagał wizyty w domu pacjenta, co już na starcie sprawiło, że był bardzo spóźniony. Jeśli dodać do tego awanturę w poczekalni, gdzie doszło do ostrego starcia między seterem i bichonem, przygodę kózki Olsona, która tak długo skubała Barbie w wydaniu plażowym, że ramię lalki utknęło jej w gardle, a teraz jeszcze fochy Puszka, można powiedzieć, że obraz poranka przedstawiał się nader paskudnie.

Przeklinał spocony, kiedy tylnym wejściem wtargnęła Faith.

- Wade, kochanie, czy mógłbyś rzucić okiem na Bee? Wydaje mi się, że coś z nią nie w porządku.

- Weź numerek.

- To zajmie tylko chwilę.

- Nie mam nawet chwili.

- Och, daj spokój... o Boże, co się stało z twoimi rękami? - Popatrzyła jak Wade zdecydowanym ruchem ścisnął kota pod pachą, unikając kolejnego ciosu. - Czy to ten rozkoszny koteczek tak cię podrapał, kochanie?

- Pocałuj mnie w tyłek. - Nie stać go było teraz na lepszą odpowiedź.

- Czyżby i tam ci się dobrał? - zawołała Faith, przechodząc na zaplecze. - Wszystko będzie dobrze, maleńka. - Wsadziła nos w futerko szczeniaka. - Poczekaj jeszcze chwilkę, a tatuś zaopiekuje się tobą.

Wszedł tam po chwili, żeby przemyć ręce środkiem antyseptycznym.

- Skomlała i pojękiwała przez cały ranek. Ma ciepły nosek. Nie chce się bawić. Tylko tak leży. Widzisz?

Faith posadziła Bee. Szczeniak klapnął u stóp Wade'a, popatrzył na niego żałośnie, po czym zaczął wymiotować na jego buty.

- Och! Biedne maleństwo! Musiała coś zjeść. Lilah uprzedzała mnie, żeby nie dawać jej ciasteczek. - Faith przygryzła wargę, nie powstrzymała się jednak i zachichotała. Wade stał tylko i patrzył na nią, kiedy szczeniak wymiotował na jego buty.

- Jest nam bardzo, ale to bardzo przykro. Bee, nie jedz tego! Fe! - Podniosła szczeniaka z podłogi. -

Założę się, że już jest ci lepiej, prawda, najśłodsza? Popatrz, Wade, ona znowu macha ogonkiem. Wiedziałam, że kiedy ją do ciebie przywiozę, od razu wszystko będzie dobrze.

- Tak uważasz? I według ciebie wszystko jest dobrze?

- No cóż, Bee zwróciła to, co jej przeszkadzało. Chyba nie pierwszy raz zwymiotował na ciebie taki mały piesek?

- Czeka na mnie tłum pacjentów, mam poharatane ręce, a teraz jeszcze moje buty będą cuchnęły do końca dnia.

- Wielkie rzeczy, idź na górę i zmień buty. - Cofnęła się o krok, widząc niebezpieczny błysk w jego oczach. - No, idź już, Wade.

- Wyrzucę te buty, a kiedy wrócę, ma tu być posprzątane.

- Posprzątane? To ja mam sprzątać?

- Brawo, jesteś domyślna. Wsadź swojego psa do kojca, weź szczotkę i kubek. Ja nie mam na to czasu. - Schylił się i ściągnął buty. - Pośpiesz się. Jestem spóźniony.

- Tatuś jest dzisiaj trochę wkurzony - szepnęła Faith do Bee. Popatrzyła na podłogę i skrzywiła się. - Dobre i to, że najwięcej tego świństwa znalazło się na jego butach. Nie jest tak tragicznie.

Kiedy wrócił, niezdarnie machała szczotką. Linoleum pokryte było mydlinami, które tu i ówdzie tworzyły kałuże.

- Prawie gotowe. Bee bawi się na zapleczu piszczącą kością. Wrócił jej humor. - Faith zanurzyła szczotkę w kubek, chlusnęła wodą. - Sądzę, że teraz to powinno przeschnąć.

Roześmiał się.

- Faith, jesteś niepowtarzalna.

- Oczywiście.

Cofnęła się, kiedy chwycił kubek, wylał jego zawartość, wypłukał szczotkę i zabrał się za zbieranie mydlin i wody.

- Coś podobnego! Jak ty to zręcznie robisz!

- Wyświadczyć mi przysługę. Wyjdź stąd i poproś panią Jenkins, żeby wprowadziła Mitcha. To ten beagle, który ciągle wyje. A jeśli w ciągu najbliższych dwudziestu minut uda ci się utrzymać tutaj jakiś porządek, zafunduję ci wytworny obiad w wybranej przez ciebie restauracji.

- Z szampanem?

- Z podwójnym.

- Przekonajmy się więc, co potrafią.

Podczas tych dwudziestu minut zdążył ustalić, że istotnie zaparcie było przyczyną cierpień Mitcha. Zrobił mu lewatywę, polecił właścicielce, żeby zabrała 20 na długi spacer, i wygłosił wykład na temat odpowiedniej diety i higieny.

- Wade! Wade, chodź tu szybko!

Wybiegł z gabinetu i zobaczył Piney'a Cobba, uginającego się pod ciężarem Mongo.

- Wypadł na jezdnię, prosto pod koła. Boże, jak on strasznie krwawi.

- Wnieś go od tyłu.

Musiał się spieszyć. Pies z trudem oddychał, rozszerzone źrenice utkwione miał w jeden punkt. Gęsta sierść pozlepiana była krwią, która kapiała na podłogę. - Tutaj, na stół.

- Zahamowałem w miejscu. - Piney stał z tyłu, szarpiąc nerwowo włosy. - Skręciłem kierownicę, ale go stuknąłem.

Jechałem do sklepu z narzędziami, a on wybiegł z parku prosto na jezdnię.

- Czy przejechałeś po nim?

- Nie. - Trzęsącymi się rękami wyciągnął spłowiała czerwoną bandanę i otarł nią spoconą twarz. - Chyba go tylko stuknąłem, ale to wszystko stało się tak nagle.

- Dobra. - Wade podał Faith gazę. - Przyciskaj, mocno. Muszę zatamować krwawienie. On jest w szoku.

Szybkim ruchem otworzył szafkę z lekarstwami, chwycił butelkę, żeby przygotować zastrzyk podskórny.

- Trzymaj się, chłopie. No, trzymaj - mruknął pod nosem, kiedy pies zaczął się kręcić i skamleć. - Uciskaj mocno - polecił Faith. - Dam mu środek uspokajający. Muszę sprawdzić, czy nie ma wewnętrznych obrażeń.

Trzęsły się jej ręce, kiedy je przycisnęła do rany. Pomyślała, że przez rozcięcie widać będzie kość, wołała więc się odwrócić. Czuła, jak przewraca się jej wszystko w żołądku.

Najchętniej uciekłaby z pokoju. Czy nie może tego zrobić Piney? Dlaczego ona, a nie ktoś inny? Już chciała to powiedzieć, miała to na końcu języka. Czuła zapach krwi, środków odkażających i kwaśny smród potu przerażonego Piney'a.

I wtedy jej wzrok padł na twarz Wade'a.

Był opanowany, skupiony, zdecydowany. Usta miał zaciśnięte, stanowcze. Zapatrzyła się na niego, oddychając przez zęby. Przyglądając się, jak pracuje, jak szybkie i zręczne są jego ruchy, uspokoiła się.

- Zebra są całe. Chyba nie został przejechany. Może mieć uszkodzone nerki.

Zajmiemy się tym później. Rana na głowie jest powierzchowna. Uszy nie krwawią. Najgorsza z tego wszystkiego jest noga.

Faith pomyślała, że uratowanie psa będzie nie lada sztuką.

- Muszę go przenieść na stół. - Odwrócił się i zobaczył, że Piney bezsilnie opadł na krzesło, trzymając głowę między kolanami. - Potrzebna mi będzie twoja pomoc, Faith. Cały czas mocno uciskaj. Stracił zbyt wiele krwi. Gotowa?

- Och, Wade, ja...

- Ruszamy.

Zrobiła to, co jej powiedział, ponieważ nie zostawił jej wyboru. Biegła obok niego drobnymi kroczkami, wolną ręką szukając po omacku drzwi. Bee szczekała radośnie i plątała się jej pod nogami.

- Siad! - Wade powiedział to tak ostro, że Bee natychmiast usiadła na podłodze.

Ułożył na stole zamroczonego psa i rzucił Faith gruby fartuch. - Włóż to. Muszę zrobić zdjęcia.

- Zdjęcia?

- Prześwietlenie. Stań przy jego głowie. Trzymaj go mocno, jak tylko potrafisz.

Fartuch ważył tak, jakby był z ołowiu, ale naciągnęła go na siebie, zrobiła, co jej kazano. Oczywiście Mongo miał jak szparki, ale odniosła wrażenie, że patrzy na nią i błaga o pomoc.

- Wszystko będzie dobrze, piesku. Zobaczysz.

Na dźwięk jej głosu Bee zaskomlała, przybiegła i przycupnęła u jej nóg.

- Zdejmij teraz fartuch. Podejdź tutaj i dalej uciskaj. Rozmawiaj z nim. Niech słyszy twój głos.

- W porządku, już się robi. - Przełykając ślinę o smaku żółci, przycisnęła grubą warstwę opatrunku do rany. - Wade postawi cię na nogi. Musisz... rozglądać się na jezdni.

Zapamiętaj to sobie na przyszłość. Och, Wade, czy on umrze?

- Staram się do tego nie dopuścić. - Umieścił zdjęcia w podświetlonej ramie, zasępił

się i pokiwał głową. A potem zaczął szykować instrumenty.

Ostre, srebrne narzędzia połyskiwały przy jaskrawym górnym oświetleniu. Zaczęło się jej kręcić w głowie.

- Będiesz go operował? Teraz?

- Spróbuję uratować mu nogę.

- Uratować ją? Chcesz powiedzieć...

- Rób, co ci mówię, i o niczym nie myśl.

Kiedy odkleił gazę, zrobiło się jej niedobrze, ale nie dał jej czasu na wymiotowanie.

- Połóż tu rękę, a kiedy ci powiem, że potrzebne jest ssanie, naciśnij ten guzik.

Wystarczy do tego jedna ręka. Kiedy będzie mi potrzebny jakiś instrument, opiszę ci go.

Muszę teraz znieczulić tego biedaka.

Opuścił lampę, oczyścił ranę. Od tej chwili słyszała już tylko pobrzękiwanie i stukanie narzędzi. Odwracała oczy, nie chciała tego oglądać, ale on ciągle wydawał polecenia, które wymagały patrzenia.

Miała takie wrażenie, jakby oglądała film.

Głowa Wade'a była pochylona, oczy miał chłodne i spokojne, chociaż dostrzegła na jego czole kropelki potu. Jego ręce delikatnie poruszały się wśród krwi, mięsa i kości.

Nawet nie mrugnęła, kiedy wsadził wystającą kość na miejsce. Tak, jakby to było całkiem nierealne.

Przyglądała się, jak niesłychanie drobnym ścięciem zszywa w środku ranę. Żółty płyn sterylizujący poplamiał mu ręce, co wraz z krwią do złudzenia przypominało gojący się siniak.

- Musisz mi pomóc i sprawdzić ręką jego tętno.

- Jest słabe, ale chyba równomiernie.

- Dobrze, obejrzyj teraz jego oczy.

- Ma strasznie wielkie źrenice.

- A co z białkami, nie widzisz na nich krwi? - Nie, chyba nie.

- W porządku. Będzie potrzebował parę śrub. Kość jest potrzaskana, ale nie złamana.

Kiedy to zrobię, Zaszycę resztę. A potem nastawimy mu nogę. - I będzie zdrowy?

- Dobrze, że jest taki młody. Miał szczęście, że nie stracił nogi.

Wade niepokoił się, czy udało mu się usunąć wszystkie odłamki kości. Pozostał

jeszcze uszkodzony mięsień, parę paskudnie zerwanych ścięgien, ale wiedział na pewno, że najgorsze ma już za sobą.

Myślał o tym, skoncentrowany na zabezpieczeniu kości stalowymi śrubami.

- Za kilka dni będę mógł coś więcej na ten temat powiedzieć. Potrzebuję teraz dużo gazy i bandaża. Są w tej szafce.

Kiedy tylko zamknął ranę, zabandażował i nastawił nogę, osobiście sprawdził stan psa. Opatrzył jeszcze zdartą skórę na łbie, za lewym uchem.

- Dzielnie się spisał - mruknął z zadowoleniem Wade i po raz pierwszy od ponad godziny spojrzął na Faith. - Podobnie jak ty.

- Na początku kręciło mi się trochę w głowie, ale potem... - Popatrzyła na swoje ręce.

Były zalane krwią, podobnie jak jej bluzka. - O Boże! - To było wszystko, co udało się jej powiedzieć zanim zemdląca.

Złapał ją w ostatniej chwili i ułożył na podłodze. Kiedy uniósł jej głowę i przyłożył do ust papierowy kubek z wodą, wracała już do siebie.

- Co się stało?

- Zemdlącaś - z wdziękiem i w odpowiednim momencie. - Musnął wargami jej policzek. - Wezmę cię na górę. Będziesz się mogła umyć i poleżeć.

- Nic mi nie jest. - Ale kiedy pomógł jej wstać, ugięły się pod nią nogi. - Dobrze, może masz rację. Chyba zabawię u ciebie odrobinę dłużej.

Opuściła głowę na jego ramię i ciągle niezbyt przytomna dała się zanieść na górę.

- Chyba nie nadaję się na pielęgniarkę.

- Byłaś wspaniała.

- Nie, to ty byłeś wspaniały. Nigdy nie myślałam... wyobraź sobie, że nigdy nie rozumiałam, dlaczego to robisz. Zawsze uważałam, że twoja praca polega na robieniu zastrzyków i odrobaczaniu zwierząt.

- To również robię.

Wniósł Faith do łazienki i przytrzymał ją nad umywalką, do której nalał ciepłą wodą.

- Włóż tutaj rękę. Poczujesz się lepiej, kiedy będziesz czysta.
- Teraz widzę w tobie coś znacznie więcej, Wade. - Spotkali się wzrokiem w lustrze. -

Uratowałeś dzisiaj życie. Jesteś bohaterem.

- Zrobiłem to, do czego zostałem przygotowany.
- To, co widziałam, było bohaterstwem. - Odwróciła się, pocałowała go. - A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, rozbiorę się do naga i wezmę prysznic.
- Trzymasz się już pewnie na nogach?
- Tak. Czuję się świetnie. Możesz iść zbadać swojego pacjenta.
- Kocham cię, Faith.
- Ja ciebie chyba też - powiedziała spokojnie. - I jest to uczucie przyjemniejsze niż przypuszczałam. A teraz już idź, żebym nie powiedziała czegoś, czego bym później miała żałować.
- Wrócę, gdy tylko będę mógł.

Zajrzał najpierw do Mongo, posprzątał, po czym wszedł do gabinetu. Piney nadal siedział na krześle, a zwinięta w kłębuszek Bee spała na jego kolanach. Wade zapomniał o obojgu.

- Czy pies wyjdzie z tego? - Chyba tak.
- O Jezu! - Piney przycisnął palcami oczy. - Aż mi się robi niedobrze, gdy o tym pomyślę, Wade. Przecież mogłem bardziej uważać. Ledwie zamyśliłem się, a już ten pies wypadł mi pod koła. A gdyby to był jakiś dzieciak?
- To nie twoja wina.
- Parę razy uderzyłem jelenia, ale nigdy nie przejąłem się tak, jak tym psem. A przecież jeleni potrafi nieźle uszkodzić ciężarówkę. Jakiś dzieciak będzie teraz szukał tego psa po wyjściu ze szkoły.
- Znam właścicielkę. Zadzwońię do niej. Bardzo dobrze zrobiłeś, że go tak szybko przyniosłeś.

Westchnął ciężko.

- Ta malutka to spryciuła - powiedział, głaszcząc Bee po łepku. - Przyszła tutaj, porozrabiała, pożała moje sznurowadła, a potem usnęła jak kamień.
- Jestem ci wdzięczny, że ją popilnowałeś. - Wade pochylił się i podniósł psa. Bee ziewnęła przeraźliwie, po czym polizała skaleczenia na jego rękę. - Doszedłeś już do siebie?
- Taak. I wyznam ci jak na spowiedzi, że pójde sobie strzelić kielicha. Pewnie Cade wysłał już po

mnie cały oddział marines, ale trudno, robota będzie musiała poczekać. -

Podniósł się z krzesła. - Dasz mi znać, jak się miewa pies?

- Jasne. - Kiedy wychodzili, Wade poklepał Piney'a po ramieniu.

W poczekalni było pusto. Najprawdopodobniej większość pacjentów zmęczyła się czekaniem i wyszła. Mógł im być tylko za to wdzięczny.

Zostawił Bee na podłodze zjedną z psich zabawek, które Maxine trzymała w szufladzie biurka, po czym odszukał w kartotece numer telefonu Sherry Bellows.

Gdy odezwała się automatyczna sekretarka, zostawił wiadomość. Pomyślał, że pewnie Sherry Bellows chodzi i szuka psa. Niewątpliwie natknie się na kogoś, kto widział wypadek.

Poprzestał na tym i wrócił do Mongo.

Kilka minut później również Tory wysłuchała tego samego wesołego głosu, oznajmiającego, że Sherry nie może podejść do telefonu.

- Sherry, mówi Tory Bodeen z Komfortu Południa. Chciałabym, żebyś zadzwoniła albo wpadła przy okazji. Jeżeli jesteś nadal zainteresowana, masz u mnie pracę.

Odkładając słuchawkę Tory czuła, że podjęła słuszną decyzję. Referencje Sherry okazały się rewelacyjne, a obecność tej uśmiechniętej dziewczyny w sklepie może się okazać bardzo pożyteczna.

Dzisiaj obroty były małe, ale nie zniechęciła się tym. Musi upłynąć nieco czasu, żeby kupowanie w nowym sklepie stało się naturalną potrzebą dla ludzi. A przed południem kręciło się po sklepie sporo ciekawskich.

Skorzystała z przerwy, by opracować plan zajęć dla Sherry. Przygotowała formularze, które należy wypełnić w celach podatkowych, dołączyła opis profilu sklepu.

Ułożyła ogłoszenie do niedzielnej gazety, reklamując tekstylia, o które postanowiła wzbogacić ofertę. Kiedy rozległ się dzwonek, podniosła szybko wzrok, z tym samym biciem serca, który jej towarzyszył przez cały dzień.

Jednak na widok Abigail Lawrence odłożyła pióro i uśmiechnęła się.

- Co za miła niespodzianka!

- Powiedziałaś, że cię odnajdę, Tory. Jakie masz piękne rzeczy!

- Sporo tu utalentowanych artystów.

- A ty znasz się na tym i wiesz, jak eksponować ich prace. - Kiedy Tory wyszła zza kontuaru, Abigail wyciągnęła do niej rękę. - Zamierzam tu trochę zabawić i wydać kupę pieniędzy.

- Uważaj, bo nie będę cię powstrzymywać. Czy się czegoś napijesz?

- Nie, dziękuję. Czy to jest batik?

Abigail podeszła do ściany, żeby podziwiać oprawiony w ramę portret młodej kobiety, stojącej na ścieżce w ogrodzie.

- Ta artystka robi cudowne rzeczy. Mam w magazynie kilka wykonanych przez nią szali.

- Chyba je zobaczą. Ale już z góry uprzedzam, że muszę mieć ten batik. Doskonale nadaje się na prezent, który mąż wręczy mi na naszą rocznicę ślubu.

Rozbawiona Tory odwróciła się, żeby zdjąć ze ściany portret.

- Mam go zapakować?

- Naturalnie.

- Od jak dawna jesteś mężatką?

Abigail przyglądała się uważnie kasetce z wypolerowanego drewna.

- Służy ci prowadzenie sklepu. - Sama przyniosła kasetkę do lady. - Myślę, że i to miasto również. Jesteś tutaj u siebie w domu.

- Tak. To jest mój dom. Abigail, czy ty na pewno przyjechałaś tu z Charleston na zakupy?

- Między innymi. Przyjechałam też, żeby cię zobaczyć i porozmawiać z tobą. Tory pokiwała głową.

- Jeśli dowiedziałaś się czegoś nowego o dziewczynie, którą zamordowano, nie musisz mnie do tego specjalnie przygotowywać.

- Nie dowiedziałam się nic więcej na jej temat. Ale... poprosiłam mojego informatora, żeby zebrał materiał o zbrodniach, które zostały popełnione w ostatnich dwóch tygodniach sierpnia.

- Tak, były jeszcze inne.

- Wiedziałaś o nich?

- Nie, wyczułam. Obawiałam się tego. Ile?

- Trzy, dokonane w takich samych okolicznościach. Dwunastoletnia dziewczynka, która zaginęła podczas rodzinnej wycieczki do Hilton Head w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego. Dziewiętnastoletnia studentka, odbywająca w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku letnią praktykę na uniwersytecie w Charleston i dwudziestotrzyletnia kobieta, przebywająca z przyjaciółmi na kempingu w Parku Narodowym Sumter w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

- Aż tyle! - wyszeptała Tory.

- Zabójstwa na tle seksualnym. Zgwałcone i uduszone. Bez śladów spermy. Były natomiast ślady przemocy fizycznej, zwłaszcza w okolicy twarzy. Obrażenia są coraz większe przy każdej kolejnej ofierze.

- Ponieważ ich twarze nie są takie, jak chciałyby. Nie są twarzą Hope.

- Nie rozumiem.

Tory również wolałaby tego nie rozumieć. Wolałaby, żeby chorobliwy charakter tych zbrodni nie był aż tak potwornie czytelny.

- Czy wszystkie były blondynkami? Ładnymi, smukłymi? - Tak.

- Wciąż je zabija. Jeden raz mu nie wystarczył.

Abigail potrząsnęła głową. Trochę ją zaniepokoił widok pociemniałych, nieobecnych oczu Tory.

- Niewykluczone, że zostały zabite przez tego samego mężczyznę, ale...

- One zostały zabite przez tego samego mężczyznę.

- Odstęp między morderstwami jest zbyt duży. Dzieli je wiele lat. To prawda, że choć jestem prawniczką nie specjalizuję się w zabójstwach, nie jestem też psychologiem. Ale przez ostatni tydzień przypominałam sobie co nieco na ten temat. Wiek ofiar także nie mieści się w modelowym standardzie.

- Bo to nie jest standardowa sprawa, Abigail. Jest nietypowa.

- Niemniej musi mieć jakieś podłoże. Przypadek twojej przyjaciółki i dwunastoletniej dziewczynki wskazuje na pedofila. Według mojego rozeznania mężczyzna, który wybiera na ofiary dzieci, nie przerzuca się na młode kobiety.

- On się na nic nie przerzuca. Ich wiek ma tutaj kluczowe znaczenie. Każda z nich miała tyle lat, ile miałyby Hope, gdyby żyła. Oto cała zagadka.

- Tak, zgadzam się z tobą, choć żadna z nas nie jest ekspertem w tej dziedzinie. Sądzę, że potrafiłabym wytknąć słabe punkty takiego rozumowania.

- Może być więcej takich spraw.

- Jak zapewnia mnie mój informator, niczego więcej nie znaleziono. Sprawie przygląda się FBI. - Śliczne usta Abigail przybrały stanowczy wyraz. - Tory, mój informator chciał wiedzieć, dlaczego się tym interesuję, w jaki sposób dowiedziałam się o autostopowicze. Nie powiedziałam mu.

- Dziękuję.

- Ale ty możesz im pomóc.

- Nie wiem, czy mogę. Nawet gdyby mi pozwolili, nie wiem, czy byłabym do tego zdolna. To mnie paraliżuje. Zawsze było takie bolesne. Nie chcę na nowo przez to przechodzić. Nie mogę im pomóc. To sprawa dla policji.

- Jeśli naprawdę tak uważasz, to po co prosiłaś mnie o te dane?

- Musiałam wiedzieć. - Tory...

- Przestań, proszę. Nie chcę do tego wracać. Nie jestem pewna, czy wyszłabym z tego cała tym razem. - Żeby czymś zająć ręce, zaczęła przestawiać przedmioty na półce.

Maselniczkę, podstawki pod łyżki. - To zadanie policji i FBI.

Tchórz. Ciągle to sobie powtarzała do końca dnia. A jednak pogodziła się z tym.

Zamierzała z tym żyć.

Dowiedziała się najważniejszego. Ktokolwiek zabił Hope, zabija nadal, dokonuje selekcji. Skutecznie. Jednak wytropienie go i zatrzymanie było zadaniem policji, FBI albo jakiejś innej wyspecjalizowanej formacji.

Nie należało do niej.

A jeżeli jej najbardziej skrywane i najbardziej osobiste obawy potwierdzą się, jeżeli zabójca będzie miał twarz jej ojca, czy potrafi z tym żyć?

Wkrótce znajdą Hannibala Bodeena. Wtedy się zdecyduje.

Kiedy zamknęła wieczorem sklep, pomyślała, że byłoby dobrze pospacerować po mieście, przejść się do parku. Mogłaby wpaść do Sherry i porozmawiać z nią osobiście, zamiast z jej automatyczną sekretarką.

Ruch na ulicy był nieduży. Pomyślała, że większość mieszkańców wróciła już po pracy do domu, zasiadła do kolacji. Przywołano już dzieci, kazano się im umyć. Długi, jasny wieczór ludzie spędzą przy telewizorze, na ganku, przy odrabianiu lekcji, przy zmywaniu brudnych naczyń.

Codzienna monotonia, której pragnęła z głębi serca.

Weszła do parku. Kwitły róże, wokół znajdowały się purpurowe i białe klomby begonii. Drzewa rzucały długie cienie, dawały miłe schronienie młodym ludziom, nie skrępowanym jeszcze tradycją, nakazującą spożywać kolację o wpół do szóstej. Pójdą później na pizzę albo na hamburgera, powędrują gdzieś w grupie z podobnymi do siebie, żeby posłuchać muzyki albo pośpiewać.

Kiedyś, przez bardzo krótki czas, robiła to samo. Ale to było jakby przed wiekami.

Jakby dotyczyło zupełnie innej kobiety, która łokciami torowała sobie drogę w zatłoczonym klubie, żeby potańczyć, pośmiać się.

Wszystko to już raz straciła. Teraz zaczęła nowe życie i nie zamierza z tego rezygnować.

Pogrążona w myślach wyszła na otwartą przestrzeń, gdy z przeraźliwym ujadaniem wypadła na nią Bee.

- Zwiedzasz okolice? - Tory ukucnęła, broniąc się przed atakującym ją szczeniakiem.

- Prawie dzisiaj nie wychodziła - powiedziała Faith, wychodząc zza górki. - Musi wyładować nadmiar energii.

- Właśnie widzę. - Tory podniosła wzrok. - Jakoś inaczej dzisiaj wyglądasz - rzekła, przyglądając się zbyt wielkiemu podkoszulkowi, wyłożonemu na płócienne spodnie Faith.

- Ale w tym też jest mi nieźle, prawda? Poplamiłam bluzkę i pożyczyłam podkoszulek od Wade'a.

- Ach tak, rozumiem.

- Mam nadzieję. Masz coś przeciwko temu?

- Dlaczego? Wade jest już dorosły.

- Mogłabym to dosadniej określić, ale nie chcę cię gorszyć. - Faith założyła za ucho kosmyk włosów i uśmiechnęła się znacząco. - Zmęczyła cię samotność na bagnach? Szukasz jakiegoś mieszkania?

- Nie, lubię swój dom. Chcę zajrzeć do mojej potencjalnej pracownicy, Sherry Bellows.

- No popatrz, co za zbieg okoliczności! Ja też się do niej wybieram. Wade wciąż siedzi w pracy, a nie mógł się do niej dodzwonić przez cały dzień. Jej pies miał wypadek.

- Och, będzie zrozpaczona.

- Już ma się dobrze. Wade od razu się nim zajął. Uratował mu życie. - Zostało to powiedziane z taką dumą, że Tory oniemiała. - I mogę się założyć, że złamana, noga będzie prosta jak struna.

- Całe szczęście. To piękny pies, a Sherry go uwielbia. Nie mogę wprost uwierzyć, żeby wyszła na cały dzień i zostawiła go na dworze.

- Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. To jej mieszkanie. - Faith pokazała palcem. -

Zajrzałam od przodu, ale nie zareagowała na pukanie, więc pomyślałam, że zajrzę od tyłu.

- Żaluzje są opuszczone.

- Może drzwi będą otwarte. Spróbujemy zostawić jej karteczkę. Wade chce się koniecznie z nią

skontaktować. - Minęła patio, sięgnęła do klamki rozsuwanych, przeszklonych drzwi.

- Zostaw! - Tory złapała ją za ramię, szarpnęła do tyłu.

- Co się z tobą, do licha, dzieje? Na miłość boską, przecież to nie jest włamanie! Chcę tylko zerknąć do środka.

- Nie wchodź tam! Nie wchodź! - Palce Tory wbiły się w ramię Faith. Już to zobaczyła, a smak krwi i strachu wypełnił jej usta.

- Za późno. Był tutaj.

- O czym ty mówisz? - Faith wyszarpnęła ramię. - Porobisz mi siniaki.

- Ona nie żyje - powiedziała bezbarwnym głosem Tory. - Musimy wezwać policję.

Nie mogła wejść do środka. Nie mogła też się zmusić, żeby stąd odejść. Dyżurny policjant, który odebrał telefon, był równie sceptyczny co poirytowany, nie mógł jednak nie przyjąć zgłoszenia dwóch nadpobudliwych i przewrażliwionych jego zdaniem kobiet.

Poprawił pas, nasunął czapkę na czoło, a następnie zastukał głośno w szybę drzwi.

Tory mogła sobie mówić, że Sherry mu nie otworzy, ale on jej ani nie słuchał, ani nie zrozumiał.

Jednak chwilę po wejściu do środka był już z powrotem. Poirytowany uśmiezek zniknął z jego twarzy.

Uruchomienie całej maszyny nie trwało długo. Kiedy Russ przybył na miejsce, teren był już odgradzony żółtą policyjną taśmą, a ci, którzy wchodzili do środka i wychodzili stamtąd, byli wyposażeni w narzędzia przypisane do swoich zawodów i w stosowne odznaki.

Tory usiadła na ziemi i czekała.

- Zadzwoiłam do Wade'a. - Nie mając nic innego do roboty, Faith usiadła obok niej. -

Musi poczekać na powrót Maxine, która dopilnuje Mongo.

- Nic tu po nim.

- Podobnie jak my wszyscy nic już nie możemy uczynić. - Faith obrzuciła spojrzeniem taśmę, drzwi, poruszające się za żaluzjami sylwetki. - Skąd wiedziałaś, że ona nie żyje?

- Sherry? Czy Hope?

Faith przycisnęła szczeniaka do piersi, potarła policzkiem o ciepłe futerko.

- Nie widziałam nigdy czegoś podobnego. Nie pozwolili mi się zbliżyć do miejsca, w którym znaleziono Hope. Byłam za mała. A ty to zobaczyłaś.

- Tak.

- Zobaczyłaś to wszystko.

- Niezupełnie. - Wsunęła złączone dłonie między kolana, jakby było jej bardzo zimno.

- Wiedziałam, kiedy podeszliśmy do drzwi. W pobliżu śmierci jest ciemno. Zwłaszcza w pobliżu zadanej gwałtownie śmierci. Coś po nim pozostało. Może właśnie to jego szaleństwo.

W każdym razie to jest to samo, co przedtem. - Zamknęła oczy. - Myślałam, że sięgnie po mnie... nie przypuszczałam nigdy... nie pojmuję tego.

Teraz będzie musiała nauczyć się żyć z tą winą.

- Chcesz powiedzieć, że ten kto zabił Sherry, zabił też Hope? Po tylu latach?

Tory chciała już jej wszystko powiedzieć, ale potrząsnęła głową.

- Tego nie jestem pewna. Od dawna niczego nie jestem pewna. - Rozejrzała się, słysząc, że ktoś woła Faith. W ich stronę biegł Wade.

Zdziwiło ją, kiedy Faith poderwała się na nogi. Faith rzadko tak reagowała na cokolwiek. Potem zobaczyła, jak się obejmują. Jeden długi, mocny uścisk.

Uświadomiła sobie, że on ją kocha. Że Faith jest kimś najważniejszym dla niego. Jakie to dziwne.

- Dobrze się czujesz? - Ujął w rękę jej twarz.

- Sama nie wiem. - Wszystko zdawało się takie odległe, jakby działo się poza nią.

Poczuła jednak, że drżą jej ręce, również żołądek dawał się we znaki. W taki sam sposób zareagowała po operacji, kiedy zobaczyła na rękach krew. - Wolę jednak usiąść.

- Tutaj. - Kiedy opadła na trawę, uklęknął przy niej. Podtrzymując ją mocną ręką, uważnie przyjrzał się Tory. Stwierdził, że jest zbyt spokojna.

Zbyt opanowana. A to może tylko oznaczać, że jest załamana, rozbita. - Zabiorę was.

Powinnyście się stąd wynieść.

- Ja nie mogę, ale zabierz Faith.

- I w ten sposób ty doczekasz do końca, a ja nie? Nie zgadzam się.

- To nie jest współzawodnictwo.

- Zawsze rywalizowałyśmy ze sobą. A oto i Dwight. Przybywało ludzi. Sprowadziła ich ciekawość. Stali grupkami i szeptali. Tory rozpoznała niektóre twarze. Betsy Gluck z banku, chłopak, którego matka prowadzi kwiaciarnię. Will Hanson, który tak bardzo przypomina jej ojca.

Wiadomość lotem błyskawicy rozniosła się po Progress. Tory zobaczyła Dwighta mijającego grupki ludzi i zmierzającego prosto do drzwi Sherry.

- Porozmawiaj z nim, Wade. - Faith wskazała w kierunku Dwighta. - Może on będzie nam mógł coś powiedzieć.

- Zaraz zobaczę. - Nim wstał, dotknął kolana Tory. - Cade tu jedzie.

- Po co?

- Ponieważ do niego zadzwoniłem. Nie ruszajcie się stąd.

- Nie musiałeś go wzywać - powiedziała Tory, ale Wade'a wmieszał się już w tłum gapiów.

- Och, daj spokój. - Zirytowana Faith zanurzyła rękę w torbie w poszukiwaniu kości do żucia dla Bee. - Nie jesteś kobietą z żelaza. To nam nie uwłacza, jeżeli od czasu do czasu wesprzemy się na mężczyznach.

- Nie zamierzam się wspierać na Cadzie.

- Na miłość boską, nie denerwuj mnie. Skoro nadaje się do łóżka, nada się również do tego, żeby się na nim oprzeć w takiej chwili jak ta. Jesteś niezdolna, tylko szukasz dziury w całym.

- Może byśmy się wszyscy później wybrali na podwójną randkę? Na przykład poszlibyśmy potańczyć.

Uśmiech Faith był jak ostry skalpel.

- Ależ ty jesteś niezdolna, Tory. Nawet zaczynam to w tobie lubić. O cholera, widzę Billy'ego Clampetta, już mnie zauważył. Tylko tego brakowało. Byłam na tyle pijana, że pewnego wieczoru, tysiąc lat temu, o mało nie miałam z nim seksu. Na szczęście opamiętałam się w porę, natomiast on ciągle próbuje sfinalizować tę sprawę.

Tory spojrzała na zbliżającego się Billa. Szedł spacerowym krokiem, z kciukami zaczepionymi o przednie kieszenie, uderzając rytmicznie palcami po obu stronach błyskawicznego zamka spodni.

- Trzeba być nie wiem jak pijaną, żeby mieć ochotę na coś takiego.

- Co do tego nie ma wątpliwości.

- Witam panie. - Billy ukucnął przy nich. - Słyszałem, że dzieją się tutaj jakieś emocjonujące rzeczy. Pojawiła się jakaś dziewczyna i od razu dała się zabić.

- Co za nieostrożność z jej strony. - Faith nie odsunęła się, nie chciała mu dać tej satysfakcji, chociaż z daleka czuć było od niego piwem.

- Słyszałem, że to była Sherry Bellows. To ta, która biegała po mieście z tym wielkim kudłatym psem. Ubierała się w kuse szorty i ciasno skrojone bluzki. Jakby reklamowała swój towar.

Wyjął papierosa z paczki, którą zawinął w rękaw podkoszulka. Liczył na murowany efekt a la James Dean.

- Parę tygodni temu sprzedałem jej trochę jednorocznych roślin. Była cholernie... miła, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

- Powiedz mi, Billy, czy jesteś taki odrażający, ponieważ ćwiczysz się w tym, czy też urodziłeś się już z tym darem?

Po chwili zdobył się na uśmiech zwarzony jak stare mleko. Zapalił papierosa.

- Coś się nagle zrobiła taka ważna!

- Zawsze byłam ważna. Prawda, Tory? - Nigdy nie widziałam, żebyś była inna.

Zachwycona Faith szturchnęła Tory w udo. Wyjęła z torebki papierosa.

- My, Lavelle'owie - zaczęła, zapalając go i wypuszczając powoli dym prosto w twarz Billy'ego - zostaliśmy stworzeni, żeby górować nad innymi. To zostało odcisnięte w naszym DNA.

- Nie byłeś taka ważna tamtej nocy, kiedy trzymałem w rękach twoje cycki. Faith uśmiechnęła się, dmuchnęła dymem.

- To byłeś ty?

- Odkąd tylko urosły ci cycki, stałaś się dziwką. Lepiej uważaj na siebie. - Spojrzał

znacząco w stronę drzwi Sherry. - Dziwki marnie kończą i same się o to proszą.

- Teraz sobie ciebie przypominam - powiedziała spokojnie Tory. - Miałeś zwyczaj przywiązywać kotom do ogonów petardy, zapalałeś je, a potem szedłeś do domu i onanizowałeś się. Czy nadal w ten sposób spędzasz wolny czas?

Odskoczył do tyłu. W jego drwiących oczach pojawił się strach.

- Nie potrzebujemy ciebie tutaj. Nie potrzebujemy takich jak ty. Kiedy Bee doszła do wniosku, że bardziej od gumowej kości odpowiada jej jego nogawka, uderzył ją wierzchem ręki, aż pofrunęła. Krzycząc z oburzenia, Faith podniosła się na nogi, żeby utulić zawodzącego psa.

- Ty tchórze zaszary, ty beczko piwa, ty nedorobiony dupku. Nic dziwnego, że twoja żona przymierza się do nowego faceta. Nie staje ci i nawet twoja siła na nic się zdała.

Już miał się zamachnąć, gdy Tory, całkiem bezwiednie, rąbnęła go pięścią w oko. Siła uderzenia była tak duża, że runął na ziemię. Jak przez mgłę słyszała krzyki i piski, ale kiedy Billy podniósł się na nogi, ona zrobiła to samo.

Cała jej furia skoncentrowała się wewnątrz niej, tworząc gorącą kulę. Poczowała smak krwi.

- Pieprzona suka.

Kiedy zaatakował, wymierzyła cios nogą. Chciała się wylądować, pragnęła walki.

Znów wylądował na ziemi.

- Zmierz się teraz ze mną - zawołał podbiegając Cade i postawił go na nogi. -

Odsuńcie się - warknął do tych, którzy się pchali, żeby ich rozdzielić.

- Dalej, Billy. Popatrzmy, jak sobie poradzisz ze mną, chyba że umiesz się bić tylko z kobietami.

- Prosiłeś się o to od lat. - Billy odzyskał szyderczy uśmiezek. Aż rwał się do walki.

Musi się zrehabilitować w oczach mieszkańców miasteczka, z przyjemnością wyłomocze pięściami jednego z członków rodziny Lavelle.

- Kiedy z tobą skończę, zabawię się z twoją kurewska siostrunią, a także z twoją dupą.

Ruszył ostro. Cade uchylił się. Wystarczyły dwa ciosy, w tym jeden hak, żeby głowa Billy'ego odskoczyła do tyłu. Kilka zadanych z furią uderzeń w żołądek zakończyło sprawę.

Cade pochylił się i naciskając kciukiem tchawicę Billy'ego szepnął mu do ucha:

- Jeśli kiedykolwiek dotkniesz moją siostrę albo moją kobietę, jeśli kiedykolwiek odezwiesz się do nich, albo spojrzysz na nie, owinę ci jaja wokół gardła i zaduszę cię nimi.

Puścił głowę Billy'ego, która opadła na ziemię, i nie oglądając się podszedł do Tory.

- To nie jest miejsce dla ciebie.

Nie mogła wydobyć głosu. Nigdy jeszcze nie widziała, by wybuch wściekłości mógł tak komuś szybko minąć. Powalił człowieka na ziemię, a teraz rozmawia z nią uprzejmie.

Tylko jego oczy są zimne jak lód.

- Idziemy stąd.

- Muszę zostać.

- Nie, nie musisz.

- Przykro mi, ale jednak musi - powiedział podchodząc do nich Carl D. Zamrugął

oczami na widok leżącego Billy'ego, potarł z zadumą brodę. - Jakies kłopoty?

- Billy Clampett pozwolił sobie na obelżywe uwagi. - Oczy Faith zaszyły łzami, które nadały im kolor skropionych rosą polnych dzwonek. - On był... zachował się bardzo obraźliwie wobec mnie i Tory, a potem... - Pociągnęła nosem. - Potem uderzył moją biedną, malutką Bee, a kiedy Tory próbowała go powstrzymać, on... Gdyby nie Cade, nie wiem, do czego by tutaj doszło.

- Pochlipując, zwróciła się do Tory. - Nie dałabyś sobie z nim rady z tym tłustym, spasionym dupkiem.

Carl D. pomyślał, że po tym, co zobaczył w środku, ta mała komedia jest całkiem śmieszna.

- Więc jak to było naprawdę? - zapytał Cade'a.
- Plus minus tak, jak opowiedziała Faith.
- Będę go musiał stąd zabrać, żeby trochę ochłonał. - Rozejrzał się po tłumie, nie przestając żuć gumy. - Nie sądzę, żeby ktoś chciał wnieść skargę.
- Nie, dajmy sobie z tym spokój.
- W porządku. Muszę teraz porozmawiać z Tory i Faith. Myślę, że na posterunku będziemy się czuli bardziej kameralnie.
- Szefie. - Dołączył do nich Wade, przechodząc tak obojętnie nad półprzytomnym Billym, że Faith z trudem ukryła uśmiech. - Do mnie jest bliżej. Sądzę, że panie będą się tam czuły lepiej.
- Może być i tak, przynajmniej na początek. Przyślę zaraz jednego z moich zastępców, który was odprowadzi. Sam też wkrótce tam będę.
- Ja je zabiorę - rzekł Wade.
- Ty i Cade znacie większość tych ludzi. Byłbym wdzięczny, gdybyście mi pomogli i namówili ich do rozejścia się. Jeden z moich ludzi odprowadzi panie. Będą mi potrzebne ich zeznania - powiedział, zanim Cade zdążył zaprotestować. - Taka jest policyjna procedura.
- Same możemy tam dojść.
- Panno Faith, zaraz przyślę mojego zastępcę, który wam będzie towarzyszył. Tego także wymaga procedura. - Dał znak komuś i uciał dyskusję.
- Jezu Chryste, jak coś takiego mogło się wydarzyć w samym środku miasta? - Dwight potarł napięte mięśnie szyi.

Udało im się usunąć większość ciekawskich. Zapadał zmierzch. Dwight stał z dwójką przyjaciół na opustoszałym trawniku przed budynkiem, w którym śmierć nosiła symbol żółtej policyjnej taśmy.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytał go Wade.
- Nie więcej niż wie każdy z was. Carl D. nie wpuścił mnie poza wyznaczoną przez siebie granicę, a i tak jako burmistrz dostałem się dalej niż inni. Wszystko wskazuje na to, że wczoraj ktoś włamał się do niej. Może w celach rabunkowych. Ale to mało prawdopodobne.

Ta zamordowana kobieta nie była chyba bogata.

- Dlaczego pies jej nie bronił? - zadumał się Wade.
- Pies? - Przez chwilę Dwight miał zaskoczoną minę. - Ach tak, prawda. Nie wiem.

Może to był ktoś, kogo ona знаła? Znalezione ją w sypialni - dodał z westchnieniem. - Tyle wiem. Ze strzępów rozmowy, którą usłyszałem, wynika, że została zgwałcona.

- W jaki sposób została zabita? - zapytał Cade.

- Nie wiem. Carl D. trzyma to wszystko w ścisłej tajemnicy. Jezu, Wade, przecież dopiero co o niej rozmawialiśmy, pamiętasz? Wpadłem na nią, wychodząc od ciebie.

- Tak, pamiętam. - Zachował w pamięci jej obraz - tryskającej energią, flirtującej, podczas kiedy on badał Mongo.

- Coś też tam gadali - Dwight wskazał ruchem głowy na opieczętowane drzwi - o Tory Bodeen. Niemiłe rzeczy - dodał. - Przypuszczam, że chciałbyś o tym wiedzieć. - Znowu westchnął. - Że też wydarzyło się to w samym środku tego cholernego miasta. Ludzie mają prawo czuć się bezpiecznie we własnych domach. Tego tylko brakuje, żeby ten niepokój udzielił się Lissy.

- Od rana będzie tłok w sklepie z towarami żelaznymi i z bronią - powiedział Cade. -

Ludzie będą kupowali zamki do drzwi i amunicję.

- O Boże! - Dwight potarł twarz rękami. - Trzeba zwołać zebranie mieszkańców, może uda mi się trochę uspokoić ludzi. Mam nadzieję, że do jutra Carl D. będzie już miał jakieś informacje. A teraz muszę wracać do Lissy. Wyobrażam sobie, w jakim jest stanie. - Rzucił

ostatnie spojrzenie na drzwi. - To nie powinno się tutaj wydarzyć - powiedział i odszedł.

- Spotkałam ją tylko jeden raz. Właśnie wczoraj.

Tory siedziała na sofie Wade'a, trzymając elegancko ręce na kolanach. Wiedziała, jak ważne w rozmowie z policją jest zachowanie spokoju i udzielanie jasnych, precyzyjnych odpowiedzi. Czyhali tylko, żeby wykorzystać każdy przejaw słabości, żeby wydusić z człowieka więcej niż chciałby im powiedzieć.

Potem go ośmieszali.

A na końcu zdradzali go.

- Spotkała ją pani tylko jeden raz? - Carl D. pokiwał głową i zanotował to, co powiedziała. Poprosił Faith, żeby zaczekała na dole. Chciał porozmawiać z każdą z nich z osobna, uzyskać od nich informacje, spisać je na osobnych kartkach. - Po co pani tutaj przyszła?

- Ona chciała u mnie pracować.

- Przecież miała pracę. Uczyła w szkole.

- Tak, tak mi właśnie powiedziała. - Odpowiadaj precyzyjnie na pytania, upomniała siebie. Niczego nie dodawaj, niczego nie rozwijaj. - Do jesieni w niepełnym wymiarze godzin. Chciała sobie

dorobić i czymś się dodatkowo zająć. Rozpierała ją energia.

- Więc zatrudniła ją pani.

- Nie, nie od razu. Najpierw sprawdziłam jej referencje. - Napisała na kartce, gdzie się po nie zgłosić, a także swój adres. Na kartce, którą trzymała na ladzie, kiedy do sklepu wszedł

jej ojciec. O Boże! O Boże!

- Nie wiedziałem, że zamierza pani zatrudnić kogoś u siebie.

- Prawdą mówiąc, nie myślałam o tym, dopóki ona sama z tym do mnie nie przysłała.

Była bardzo przekonująca. Doszłam do wniosku, że stać mnie na dorywczą pomoc kilka godzin w tygodniu. Dzisiaj rano sprawdziłam jej referencje, po czym do niej zatelefonowałam. Odezwała się jej automatyczna sekretarka, na którą nagrałam wiadomość.

- Tak. - Wysłuchał już jej wiadomość, jak i tę, nadaną z gabinetu Wade'a. A także dwie inne - od sąsiadów z góry i od Lissy Frazier. Sherry Bellows była popularną osobą. - A potem postanowiła pani osobiście się do niej udać.

- Po zamknięciu sklepu chciałam się przejść. Postanowiłam pójść do parku i przy okazji wpaść do niej, żeby omówić różne szczegóły.

- Poszła tam pani razem z Faith Lavelle?

- Nie. Poszłam sama. Wpadłam na Faith koło tego domu, a ściślej na tyłach domu.

Powiedziała, że pies Sherry miał tego dnia wypadek. Został potrącony przez samochód i Wade się nim zajął. Faith przysłała tu na prośbę Wade'a, ponieważ nie mogli się do niej dodzwonić.

- Więc znalazły się tam panie w tym samym czasie.

- Tak, mniej więcej. Musiało być jakieś wpół do siódmej, ponieważ zamknęłam i opuściłam sklep mniej więcej dziesięć minut po szóstej.

- Kiedy panna Bellows nie otwierała, weszłyście do środka.

- Nie. Żadna z nas nie weszła do środka.

- Jednak zobaczyła pani coś niepokojącego. - Podniósł wzrok znad notatnika.

Siedziała spokojna, patrzyła mu prosto w oczy i nie odzywała się. - Co to takiego było, że wezwała pani policję.

- Nie odpowiedziała na mój telefon, chociaż wyglądało na to, że rwie się do pracy. Nie odezwała się do Wade'a, chociaż w trakcie naszego jedynego spotkania mogłam się zorientować, jak bardzo

uwielbia swojego psa. Żaluzje były opuszczone, a drzwi zamknięte.

Wezwałam policję. Ani Faith, ani ja nie weszliśmy do środka. Żadna z nas niczego nie widziała. To wszystko, co mam do powiedzenia.

- Próbowaliście otworzyć drzwi? - Nie.

- Nie były zamknięte. - Zapadło milczenie, w czasie którego Carl D. sięgnął po gumę do żucia. Poczęstował Tory, ale odmówiła.

Tory poczuła niemiłe kołatanie serca.

- A więc... - Carl D. złożył gumę równie starannie jak papierek, wsunął ją do ust. -

Zajrzałyście od tyłu. Znajac Faith Lavelle mógłbym przysiąc, że wsunęła głowę do środka -

przez ciekawość albo z jakiegokolwiek innego powodu. Żeby zobaczyć, jak też się urządziła ta nowa nauczycielka.

- Nie zajrzała.

- Pukałyście? Wołałyście? - Nie, myśmy...

- Zatrzymałyście się pod drzwiami i postanowiłyście wezwać policję. - Westchnął

zniecierpliwiony. - Widzę, że niewiele z pani wyciągnę. Proszę mnie posłuchać, jestem prostym człowiekiem, chodzę prostymi drogami. I jestem gliną od ponad dwudziestu lat.

Glina kieruje się instynktem, czuje wszystkimi swoimi bebechami. Nie zawsze nawet potrafi to wytłumaczyć. Tak po prostu jest. Może i pani miała takie przeczucie pod drzwiami mieszkania Sherry Bellews?

- Niewykluczone.

- Niektórzy ludzie mają zdolność przeczuwania. Przed osiemnastu laty, kiedy zaprowadziła nas pani do Hope Lavelle, kierowała się pani przecuciem. Podobnie było w Nowym Jorku. Wiele osób jest pani za to wdzięcznych.

Jego głos był uprzejmy, ale jego oczy, jak zauważyła, pozostawały czujne.

- To co wydarzyło się w Nowym Jorku, nie ma z tym nic wspólnego.

- Jednak dotyczy pani. Dzięki pani przecuciom sześcioro dzieci wróciło do domu.

- Jedno zginęło.

- Sześcioro wróciło - powtórzył Carl D.

- Nie mogę nic więcej dodać.

- Odnoszę wrażenie, że nie chce pani wszystkiego powiedzieć. Byłem tam przed osiemnastu laty. A dzisiaj patrzyłem na tę młodą kobietę, na to, co jej zrobiono. Cofnąłem się do przeszłości. Byłem w obu miejscach, widziałem obie te rzeczy. I pani także.

- Nie weszłam tam.

- Ale widziała pani.

- Nie! - Poderwała się na nogi. - Nie widziałam. Wyczułam. Nie widziałam, nie patrzyłam. I nie mogłam nic zrobić. Ona nie żyła i nie mogłam nic dla niej zrobić. Ani dla Hope. Ani dla nikogo. Nie chcę znowu przez to przechodzić. Powiedziałam wszystko, co wiem, opisałam dokładnie, jak to było. Czy to nie wystarczy?

- Dobrze. Na razie wystarczy. Niech pani tu posiedzi, spróbuje się odprężyć, a ja zejdzę na dół i porozmawiam z Faith.

- Chcę wrócić do domu.

- Proszę trochę poczekać. Postaramy się, żeby już niedługo mogła pani wrócić do domu.

Schodząc na dół, zastanawiał się nad nią, nad tym, jak reagowała na jego pytania.

Mógł jej tylko współczuć. Ale mimo to wykorzysta ją, jeżeli sytuacja będzie tego wymagała.

W jego mieście wydarzyło się morderstwo. Nie pierwsze, ale najbardziej makabryczne od wielu dobrych lat.

Rzadko zawodziło go przecucie. A wszystko mu mówiło, że Tory Bodeen stanowi klucz do rozwiązania tej tragicznej zagadki.

W korytarzu na dole zastał krążącego nerwowo Cade'a.

- Możesz do niej pójść. Mam wrażenie, że przyda się jej twoja obecność. Zstanę gdzieś tutaj twoją siostrę?

- Tak, jest na zapleczu gabinetu, z Wadem, który bada psa.

- Jaka szkoda, że pies nie potrafi mówić. Zdaje się, że to Piney go potracił, prawda?

- Tak.

- Wielka szkoda, że pies nie potrafi mówić. - Poklepał się po kieszeni, w której trzymał notatnik, i udał się na zaplecze.

Cade zastał Tory siedzącą nieruchomo na sofie. Znowu ułożyła ręce na kolanach, tylko że teraz były

zaciśnięte w pięści.

- Należało stąd odejść. A jeszcze lepiej, było pozwolić Faith wejść do środka, tak jak chciała. Znalazłaby ją, zatelefonowałybyśmy na policję i nie trzeba by było odpowiadać na te wszystkie pytania.

Podszedł bliżej i usiadł obok niej.

- Więc dlaczego tak nie zrobiłaś?

- Nie chciałam, żeby to zobaczyła. Sama też nie chciałam tego oglądać. A teraz Russ oczekuje ode mnie, że wpadnę w trans i podam mu nazwisko zabójcy.

Wziął jej rękę, rozprostował jej palce.

- Rozumiem, że masz do niego pretensje. Ale dlaczego złościsz się na siebie?

- Nie jestem zła na siebie. Dlaczego miałabym być? - Popatrzyła na ich złączone ręce.

- Pokaleczyłeś sobie kostki palców.

- Boli jak cholera.

- Naprawdę? Nie wyglądało to groźnie, kiedy go uderzyłeś. Jakbyś się odpędził od naprzykrzającej się muchy. I natychmiast powrócił ci spokój.

Uśmiechnął się i podniósł jej rękę do ust.

- Niech choć jeden członek rodziny Lavelle'ów dba o zachowanie godności.

- Bzdura. Powiedziałam, że takie to robiło wrażenie, ale w rzeczywistości było inaczej. Czułeś do niego obrzydzenie, a dołożenie mu sprawiło ci przyjemność. Wiem, że tak było, ponieważ sama to czułam. To zły, paskudny człowiek i znajdzie inny sposób, żeby ci teraz dokuczyć. Ale zaatakuje cię od tyłu, ponieważ boi się ciebie. Nie, nie przemawiają przede mną moje sławne psychiczne właściwości, to tylko zdrowy rozsądek i znajomość natury ludzkiej.

- Nie przejmuję się Clampettem. - Potarł skaleczoną ręką jej policzek. - Ty także nie zwracaj sobie nim głowy.

- Kiedy właśnie bardzo bym tego chciała. - Podniosła się z miejsca. - Gdybym potrafiła przejmować się Clampettem, przynajmniej skoncentrowałabym na nim uwagę. Czy muszę czuć się winna?

- Nie wiem, Tory. A dlaczego czujesz się winna?

- Prawie nie znałam Sherry Bellows. Spędziłam z nią niecałą godzinę. To straszne, co ją spotkało, ale czy muszę się w to angażować?

- Nie.

- Nic jej nie przywróci życia. Cokolwiek bym zrobiła, niczego tym nie zmienię. Więc jaki to miałyby sens? Nawet jeżeli Russ utrzymuje, że jest otwarty na wszystko, co mogłabym zrobić, w końcu okaże się taki sam jak inni. Dlaczego więc miałabym się narażać na pośmiewisko?

- Czekam, kiedy sama do tego dojdiesz.

- Uważasz, że jesteś sprytny, prawda? Uważasz, że tak dobrze mnie znasz. Nie znasz mnie ani trochę. Nie wróciłam tu po to, żeby naprawić zło, czy żeby pomścić zmarłą przyjaciółkę. Wróciłam, żeby żyć własnym życiem i prowadzić interes.

- W porządku.

- Nie mów, że jest w porządku, a zwłaszcza nie mów tego tym spokojnym tonem, bo po twoich oczach widzę, że mi nie wierzysz.

Podniósł się i podszedł do niej.

- Pójdę z tobą.

Wpatrywała się w niego przez krótką chwilę, po czym rzuciła mu się w ramiona.

- O Boże!

- Zejdziemy na dół i powiemy Russowi. Zostanę z tobą. Skinęła głową. Pogodziła się z faktem, że po wyjściu z mieszkania Sherry może już nigdy nie będzie chciał wziąć ją w ramiona.

Czy nic pani nie potrzebuje przed wejściem do środka? Tory, ciągle zdenerwowana, zmierzyła ostrym wzrokiem Carla D. - Na przykład kryształową kulę? Talię kart do tarota?

Wszedł frontowymi drzwiami, tak jak sobie życzyła, i otworzył drzwi patio od środka, zrywając pieczęć.

Wejście od tyłu zmniejszało ryzyko zwrócenia na siebie uwagi. Zabójca też musiał o tym wiedzieć.

Teraz Carl D. zsunął do tyłu czapkę i podrapał się po czole.

- Widzę, że dąsa się pani na mnie.

- Nie lubię być zmuszana do czegoś takiego. To nie będzie dla mnie łatwe ani przyjemne. Istnieje też duże prawdopodobieństwo, że okaże się to bezużyteczne dla policji.

- Panno Tory, w kostnicy mam na stole młodą kobietę, pani rówieśnicę. Okręgowy lekarz sądowy dokonuje obdukcji. Jutro rano przyjedzie jej rodzina. Nie powiem, żeby to mogło być przyjemne dla kogokolwiek z nas.

Tory skinęła głową.

- Jest pan teraz twardszy niż kiedyś.

- A pani jest teraz twardszą kobietą. Mam wrażenie, że oboje mieliśmy ku temu powody.

Sama otworzyła drzwi i weszła do środka.

Najpierw skoncentrowała się na świetle w pokoju, kiedy pstryknął włącznik. Na świetle, którym Sherry przesyciła powietrze.

Długo wchłaniała w siebie to, co pozostało jeszcze w pokoju.

- Lubiła muzykę, zgiełk. Nie była typem samotnika. Chętnie otaczała się ludźmi.

Lubiła ich głosy, ruch. Wszyscy byli dla niej fascynujący. Uwielbiała rozmawiać.

Telefon został posypany proszkiem do pobierania odcisków palców. Nie zauważyła, że w trakcie obmacywania aparatu pobrudziła sobie palce. Kim była Sherry Bellows? Od tego musi zacząć.

- Rozmowa z ludźmi była dla niej jak chleb. Nie mogłaby bez tego żyć. Lubiła o nich wiedzieć wszystko, słuchać ich zwierzeń. Czuli się tutaj bardzo szczęśliwi.

Zrobiła przerwę, macała palcami ramy obrazów, oparcie fotela.

- Większość ludzie nie chce tak naprawdę słuchać tego, co mówią inni, jednak jej pytania nie były

pretekstem do rozpoczęcia rozmowy na własny temat. Miała tyle planów.

Uczenie dzieci było dla niej wielką przygodą.

Minęła Cade'a i Carla D. Chociaż była świadoma ich obecności, stali się dla niej mniej ważni, mniej realni.

- Uwielbiała czytać - powiedziała spokojnie Tory, podchodząc do półki z książkami.

Przelatywały jej przez głowę obrazy młodej kobiety, wstawiającej książki na półkę, wyjmującej je, zwiniętej w kłębek w fotelu na patio z książką w ręku, z dużym, kudłatym psem, pochrapującym u jej stóp.

Obrazy układały się w kadry, mogła je po kolei otwierać, stawać się ich częścią.

Poczuła na języku smak soli - kartoflanych chipsów, które jadła Sherry.

- To też sposób na obcowanie z ludźmi. Czytając książkę, człowiek utożsamia się z ulubioną postacią. Pies kładzie się z tobą na sofie albo na łóżku. Pozostawia wszędzie sierść.

Klniesz i mówisz, że z tej sierści można by zrobić płaszcz. Ale on jest taki kochany. Więc prawie codziennie włączasz odkurzacz. Puszczasz muzykę, tak głośno, że zagłusza pracę silnika.

W jej głowie pulsowała muzyka. Głośna, wesoła i głośna. Jej noga uderzyła do rytmu.

- Pan Rice, sąsiad mieszkający obok, skarżył się na to. Ale upiekłaś ciasteczka i zaniostaś mu je. Wszyscy są tacy mili w tym mieście. Właśnie takiego miejsca potrzebowałaś.

Odwróciła się od półki z książkami. Miała zamglone, jakby pozbawione wyrazu oczy, ale uśmiechała się.

Serce Cade'a lekko drgnęło, kiedy przeszła obok, nie widząc go. Traktując go jak powietrze.

- Jeny, chłopczyk z góry, wprost oszalał na punkcie Mongo. Jest bardzo bystry i strasznie nieznośny. Chciałabyś mieć kiedyś takiego chłopczyka - zamieniającego się w słuch, kiedy coś mówisz, roześmianego od ucha do ucha.

Zakręciła się w koło, miała uśmiech na ustach i niewidzące oczy.

- Czasami po południu, po szkole, biega razem z Mongo i rzuca mu piłeczki tenisowe.

Puszyste, żółte piłeczki, które nasiąkają wilgocią i robią się coraz bardziej brudne. Fajnie jest tak siedzieć w patio i obserwować ich. Matka woła Jerry'ego do domu, żeby przed kolacją odrobił lekcje. Mongo pada na nos ze zmęczenia. Zasypia w patio. Włączasz muzykę, niezbyt głośno, żeby nie zakłócać spokoju pana Rice'a. Jesteś taka szczęśliwa. Tyle w tobie nadziei.

Kieliszek wina. Białego wina. Jest niskiej jakości, ale nie stać cię na lepsze. Będziesz je sączyć,

słuchać muzyki, snuć plany.

Podeszła do drzwi prowadzących na patio, wyrzała na zewnątrz. Zamiast ciemności zobaczyła półmrok. Dużego psa rozciągniętego na betonie niczym włochata wycieraczka, pochrapującego lekko.

- Masz wiele spraw do przemyślenia, tyle planów. Tyle do zrobienia. Tak dużo w tobie zapału, że nie możesz się doczekać, kiedy zaczniesz działać. Chcesz wydać przyjęcie, chcesz, żeby w twoim mieszkaniu było pełno ludzi, żebyś mogła poflirtować z tym wspaniałym weterynarzem i z niezwykle przystojnym Cade'em Lavelle'em. No, no, ale przystojniaków dochowali się w tym Progress. Musisz coś przygotować do jedzenia. Musisz nakarmić psa. Może wypijesz jeszcze jeden kieliszek wina.

Powędrowała do kuchni, nucąc melodię, którą miała w głowie. Sheryl Crow.

- Sałatka. Pyszna sałatka z marchewką, ponieważ Mongo takie właśnie lubi.

Zmieszasz mu ją z jego suchą karmą. - Schyliła się, musnęła palcami uchwyt kredensu, po czym ciężko westchnęła, zatoczyła się do tyłu.

Odruchowo Cade rzucił się w jej stronę, lecz Carl D. przytrzymał go za ramię.

- Nie - powiedział szeptem, jakby był w kościele. - Zostaw ją.

- On tutaj był. Właśnie tutaj. - Oddychała teraz szybko, z trudem łapała powietrze.

Rękami zaciskała gardło. - Nie słyszysz go. Nie widzisz go. Tutaj jest nóż. On ma nóż. O

Boże!

O Boże! Kładzie rękę na twoich ustach, zatyka je. Przykłada ci nóż do gardła. Jesteś taka przerażona. Nie będziesz krzyczeć. Zrobisz wszystko, byle cię nie zranił. Słyszysz jego głos. Jest miękki, spokojny. Co zrobił z Mongo? Czy zrobił mu krzywdę? To wszystko kotłuje się w twojej głowie. To niemożliwe. To nie może być prawda. Ale nóż jest taki ostry.

Popycha cię, a ty się boisz, że się potkniesz i nóż...

Zakręciło się jej w głowie, wypadła z kuchni, oparła się ręką o ścianę.

- Żaluzje są opuszczone. Nikt niczego nie zobaczy. Nikt nie przyjdzie z pomocą.

Prowadzi cię do sypialni, a ty wiesz, co on zamierza zrobić. Gdybyś tylko mogła się wyrwać, wyrwać spod noża.

Tory zeszywniała na progu sypialni. Czowała mdłości.

- Nie mogę. Nie mogę.

Odwróciła się twarzą do ściany, broniąc się przed tym strachem, przed gwałtem.

- Nie chcę na to patrzeć. Tutaj ją zabił. Dlaczego mam na to patrzeć?

- Wystarczy już tego. - Cade odepchnął Carla D. - Na miłość boską, wystarczy już tego.

Ale kiedy wyciągnął rękę, Tory zatoczyła się.

- To jest w mojej głowie, nigdy się tego nie pozbędę. Nie odzywaj się do mnie. Nie dotykaj mnie.

Przycisnęła rękę do twarzy.

- Popycha cię na łóżko, twarzą do dołu. Jest teraz na tobie. Jest już twardy, a ty czując, jak cię przygniata, dusisz się. Strasznie się boisz. Strach jest potężny, duszący. A do tego jest tak gorąco. Taki palący strach.

Wydała jęk, padła na kolana obok łóżka.

- Uderza cię. Mocno. W tył szyi. Ból jest przeszywający, czujesz go wszędzie, ogłusza cię. Znowu cię uderza. Czujesz krew. Własną krew. Wykręca ci rękę do tyłu, znowu ból.

Macki tego bólu ślizgają się w Tory, błędzą po omacku, mieszają się z przerażeniem, które jest tak ogromne, iż zdaje się, że za chwilę rozsądzą jej mózg. Przyciska twarz do brzegu materaca, wpija weń palce.

- Jest ciemno, gra muzyka, a ty już nie czujesz bólu. Płaczesz. Próbujesz go ubłagać, ale on wkłada ci knebel w usta. Uderza, znowu cię uderza, a ty zaczynasz gdzieś odpływać.

Na wpół przytomna nie czujesz prawie, jak tnie twoje ubranie. Rani cię nożem, ale to nic, to nic w porównaniu z jego rękami.

Tory skurczyła się w sobie, objęła ramionami brzuch i zaczęła się kołysać.

- To boli. Boli. Gwałci cię, a ty nie możesz nawet krzyknąć. Niech to się skończy, ale on nie przestaje się w ciebie wbijać i musisz się poddać. Musisz gdzieś odejść. Musisz odejść.

Wyczerpana Tory położyła głowę na brzegu łóżka, zamknęła oczy. To było jak uduszenie, pomyślała przez mgłę. Jak pogrzebanie żywcem, kiedy krew dudni w uszach tysiącami dzwonów, ciało pokrywa zimny pot.

Musiała dokonać nadludzkiego wysiłku, żeby się z tego wydostać.

Żeby wrócić do siebie.

- Kiedy z nią skończył, udusił ją rękami. Już się nie mogła bronić. Płakała albo to on zapłakał. Nie potrafię powiedzieć. Ale odciął sznur, którym związał jej nadgarstki. Zabrał go ze sobą. Nie chciał niczego pozostawić po sobie, ale zostawił. Na przykład wino reńskie w kieliszku. Nie mogę tu zostać. Zabierzcie mnie stąd.

- Już po wszystkim. - Cade pochylił się, żeby ją podnieść. Wziął ją w ramiona. Jej skóra była zimna, śliska od potu. - Już dobrze, dobrze, dziecinko.

- Mdli mnie. Nie mam tutaj czym oddychać. - Położyła głowę na jego ramieniu i oparła się na nim.

Zawiózł ją do domu. Nie odezwała się, nie poruszyła w czasie jazdy. Siedziała jak zjawą, blada i milcząca, podczas gdy wiatr rozwiewał jej włosy.

Był zły, że nie zaprotestował, kiedy Carl D. oznajmił, że pojedzie za nimi. Ale ona powiedziała, żeby mu pozwolił. To była ostatnia rzecz, jaką od niej usłyszał. Nie mógł więc z nią polemizować. A ponieważ jego złość nie znalazła ujścia, narastała w nim stopniowo. Jego milczenie było jak rana - ciemniejąca i jęcząca się.

Zahamował pod Domem Na Bagnach, a ona wyskoczyła z samochodu, zanim zdążył jej pomóc.

- Nie musisz z nim rozmawiać - powiedział ostrym głosem.

- Muszę. Po tym, co zobaczyłam, nie mogę pozostać bierna. - Przeniosła udreżony wzrok na policyjny radiowóz. - Russ dobrze o tym wiedział i wykorzystał to. Ale ty nie musisz w tym uczestniczyć.

- Przestań się wygłupiać - warknął i odwrócił się, żeby zaczekać na Car - la D., podczas gdy Tory podeszła do drzwi.

- Masz się z nią obchodzić bardzo, ale to bardzo ostrożnie, w przeciwnym razie, słono mi za to zapłacisz - powiedział Cade do Carla D., wysiadającego ze swego krążownika.

- Nie dziwię się, że jesteś taki przybity.

- Przybity? - Złapał Carla D. za koszulę. Mógłby go zmiażdżyć jednym ciosem. -

Namówiłeś ją do tego. Zresztą ja też przyłożyłem do tego rękę. I co to dało?

- Jeszcze nie wiem. Ale jestem tym wstrząśnięty. Nie mogę pominąć żadnej okazji.

Akurat trafiło na Tory. Przeżywam to nie mniej niż ty, Cade. Nie zamierzam skrzywdzić tej dziewczyny. Jeżeli ma to ci poprawić samopoczucie, obiecuję, że będę ostrożny. Na tyle ostrożny, na ile potrafię. Chyba do końca życia nie zapomnę tej sceny.

- Ja też - rzekł Cade i odwrócił się.

Tory przygotowywała herbatę, ziołową mieszankę, którą miała nadzieję uśmierzyć dolegliwości żołądka i uspokoić drżenie rąk. Kiedy weszli do środka, nie powiedziała słowa, wyjęła tylko butelkę burbona, postawiła ją na stole, po czym usiadła.

- Chyba się napiję - powiedział Carl D. - Co prawda jestem na służbie, ale okoliczności są szczególne.

Cade wyjął dwa kieliszki i nalał po brzegi.

- Wszedł tylnym wejściem - zaczęła Tory. - Wiecie już o tym. Wiecie też wiele innych rzeczy, o których powiem.

- Tak. - Carl D. usadowił się na wysokim krześle. - Proszę mówić spokojnie, bez pośpiechu.

- Była sama w mieszkaniu. Wypiła parę kieliszków wina. Była podniecona, pełna planów i nadziei. Słuchała muzyki. Kiedy wszedł do środka, znajdowała się w kuchni.

Przygotowywała sałatkę na kolację, zamierzała nakarmić psa. Zaszedł ją od tyłu, posłużył się nożem, który odłożyła na bok, kiedy sięgała po psie jedzenie.

Głos Tory był bezbarwny, stłumiony, twarz pozbawiona wyrazu. Podniosła filiżankę z herbatą, wypila łyk i odstawiła ją.

- Nie widziała go. Trzymał ją od tyłu, przyłożył jej nóż do gardła. Zaciągnął żaluzje od strony patio. Sądzę, że zamknął drzwi na klucz, ale to nie miało znaczenia. Nie próbowała uciekać, zbyt bała się noża.

Mimochodem podniosła rękę do gardła.

- Nie wiem, co jej powiedział. Nie zależało mu na niej za bardzo. To, co pozostało po nim w mieszkaniu, to wściekłość i różne emocje, a także rodzaj straszliwej dumy. Była dla niego namiastką, okazją dla zaspokojenia potrzeby, której nawet sam nie rozumiał. Wziął ją do sypialni, rzucił na łóżko twarzą do dołu. Uderzył ją kilkakrotnie, po karku, po twarzy.

Związał jej ręce z tyłu solidnym, mocnym sznurkiem. Zaciągnął zasłony, żeby to się odbyło w ciemności. Nie chciał, by widziała jego twarz, co więcej - nie chciał, jak sądzę, oglądać jej twarzy. Kiedy gwałci, ma przed oczami inną twarz. Użył noża, żeby rozciąć na niej ubranie, robił to bardzo ostrożnie, a jednak ją skaleczył - w plecy i ramię.

Carl D. przytaknął skinieniem głowy, wypił duży łyk burbona.

- To się zgadza. Miała dwie powierzchowne rany, a na nadgarstkach widać było ślady skrępowania. Nie znaleźliśmy jednak sznurka.

- Zabrał go ze sobą. On nigdy... nigdy nie robił tego przedtem w mieszkaniu. Zawsze na dworze. I dlatego było coś podniecającego w robieniu tych rzeczy w jej łóżku. Kiedy ją uderzał, sprawiało mu to przyjemność. Lubi zadawać kobietom ból. Ale od przyjemności ważniejsza jest możliwość zaspokojenia tego tłumionego w nim głodu. Potrzeba udowodnienia sobie, że jest mężczyzną. Czuje się mężczyzną, kiedy podporządkowuje sobie kobietę. Kiedy ją gwałci, jest szczęśliwszy, budzi się w nim jakaś siła, której nie doświadcza na co dzień. Świątuje w ten sposób swoją męskość.

Próba przejrzania go, dotarcia w głąb niego, przyprowadziła ją o ból głowy. Potarła skronie.

- Dla niego jest to akt seksualny, wierzy, że ona chce być wzięta, zdominowana. Jest o tym przekonany i zawsze zachowuje ostrożność. Używa prezerwatywy. Ona jest dziwką, jak wszystkie inne. Człowiek musi uważać na siebie.

- Powiedziała pani, że nie chciał zostawić po sobie żadnego śladu.

- Tak, nie chciał zostawić w niej swojej spermy. Ona nie zasługiwała na to. Ja... nie czuję go, nie czuję nic, co by go bliżej określało. - Ścisnęła palcami pulsujące skronie. - Czuję w nim pełno pustych miejsc i ślepych zaułków. A także zakrętów. Nie potrafię tego inaczej wyrazić.

- Rozumiem - odparł jej Carl D. - Co dalej?

- To nie jest akt prokreacji, ale kara dla niej, a także kara dla jego *ego*. Podczas tego procesu kobieta przestaje dla niego istnieć. Jest nikim, dlatego tak ją łatwo zabić. Kiedy jest po wszystkim, jest dumny, ale i zły. Nigdy nie jest dokładnie tak, jak być powinno, jego oczyszczenie pozostaje zawsze nie spełnione. Oczywiście, z jej winy. Następnym razem będzie lepiej. Przeciął sznur, wyłączył muzykę i zostawił ją w ciemności.

- Kim on jest?

- Nie widzę jego twarzy. Mogę dojrzeć jego niektóre myśli, emocje, ale nie widzę go.

- On ją znał.

- Widział ją, sądzę też, że z nią rozmawiał. Musiał się czegoś dowiedzieć, skoro wiedział o psie. - Tory zamknęła na chwilę oczy, spróbowała się skoncentrować. - Dał psu środek usypiający. Sądzę, że uspił psa dodając mu coś do burgera. Zaryzykował. Wszystko to było bardzo ryzykowne, a przez to jeszcze bardziej podniecające. Ktoś mógł go zobaczyć.

Poprzednio nie było nikogo, kto mógłby go zobaczyć.

- Co to znaczy poprzednio?

- Pierwsza była Hope. - Głos jej się załamał. Sięgnęła po herbatę. - A potem jeszcze cztery inne, o których wiem. Poprosiłam przyjaciółkę, żeby to sprawdziła. Trafiała na ślad pięciu morderstw popełnionych w ciągu ostatnich osiemnastu lat. Wszystkie one zostały zamordowane w końcu sierpnia, wszystkie były młodymi blondynkami. Każda była w takim wieku, w jakim byłaby Hope, gdyby żyła. Sądzę, że Sherry była młodsza, ale nie o nią mu naprawdę chodziło.

- Seryjny morderca? W ciągu osiemnastu lat?

- Można to sprawdzić w FBI. - Tory spojrzała na Cade'a, po raz pierwszy odkąd tu usiedli. - On ciągle zabija Hope. Przykro mi, że muszę to powiedzieć.

Wstała z miejsca i odstawiła filiżankę na blat kuchenny.

- Obawiam się, że to może być mój ojciec.

- Co takiego? - Cade spojrzał na nią zaskoczony. - Dlaczego tak uważasz?

- On... bijąc mnie, podniecał się. - Czuła rozdzierający, palący wstyd. - Nigdy mnie nie próbował gwałcić, ale podniecało go zadawanie mi bólu. Patrząc wstecz, nie jestem pewna, czy nie dowiedział się o moich wieczornych planach z Hope. Podczas kolacji był w dobrym nastroju, co stanowiło u niego rzadkość. I jakby czekał, że popełnię jakiś błąd, że otworzę jakąś furteczkę, przez którą będzie mógł mnie dopaść.

Kiedy to zrobiłam, kiedy powiedziałam matce, że znajdzie pudełko z parafiną na górnej półce w szafce - taki idiotyczny błąd - miał mnie w ręku. Nie zawsze bił mnie aż tak, jak tamtej nocy... Kiedy skończył, nie miał wątpliwości, że nigdzie nie pójde.

Wróciła do stołu.

- Sherry była w sklepie, kiedy tam wszedł wczoraj. Akurat wypełniła druk w sprawie pracy. Kartka leżała na ladzie. Było tam jej nazwisko, adres, numer telefonu. Wiedział, że jestem zbyt przestraszona, żeby komukolwiek powiedzieć o jego wizycie, że nie pójde na policję. Ale jej nie był pewny.

- Wierzysz, że Hannibal Bodeen zabił Sherry Bellows, ponieważ go zobaczyła?

- Mógł to potraktować jako pretekst, jako usprawiedliwienie tego, co chciał jej zrobić.

Wiem tylko, że jest do tego zdolny. Nie mogę więcej mówić. Przepraszam. Nie czuję się dobrze.

Odeszła od stołu i zamknęła się w łazience.

Nie mogła powstrzymać mdłości, wymiotowała. Wyrzuciła to z siebie. Potem położyła się na podłodze, na zimnych kaflach, i czekała, aż słabość minie. W ciszy serce dudniło jej echem w uszach.

Kiedy poczuła się lepiej, wstała i puściła gorący prysznic. Była przemarznięta do szpiku kości. Zdawało się, że nic nie będzie w stanie jej rozgrzać, ale woda pobudziła jej wyobraźnię, pomogła zmyć tę całą ohydę, cały ten brud - a jeśli nawet nie usunęła ich z jej świadomości, to przynajmniej oczyściła jej ciało.

Czując się pewniej, zawinęła się w ręcznik, zaaplikowała sobie trzy aspiryny i wyszła, chcąc położyć się do łóżka, zwinąć się w kłębek i zasnąć.

Cade stał przy oknie, spoglądał w opromienioną blaskiem księżycy ciemność. Zgasił

światło i jego sylwetka srebrzyła się na tle nocy. Na zewnątrz słychać było trzepot skrzydeł i różne dźwięki tworzące muzykę bagien.

Tak bardo za tym wszystkim tęskniła.

- Myślałam, że poszedłeś. - Podeszła do szafy, żeby wziąć szlafrok. Nie odwrócił się.

- Czujesz się trochę lepiej?

- Tak, czuję się świetnie.

- Akurat. Pytam cię tylko, czy czujesz się odrobinę lepiej.

- Tak. - Zdecydowanym ruchem zawiązała szlafrok. - Lepiej. I nie czuj się do niczego zobowiązany, Cade. Potrafię się sobą zająć.

- Dobrze. - Odwrócił się, ale jego twarz pozostała w cieniu. Nie mogła z niej nic wyczytać. - Więc powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

- Nic. Jestem ci wdzięczna, że byłeś tam ze mną i że przywiozłeś mnie do domu.

Zrobiłeś więcej, niż mogłam się spodziewać po kimkolwiek.

- A teraz mam się wynieść? Czy tego oczekujesz? Żebym sobie poszedł, zostawił cię samą, zachował odpowiedni dystans? Odpowiedni dla kogo? Dla ciebie czy dla mnie?

- Dla nas obojga, jak sądzę.

- Tak źle mnie oceniasz? Tak źle nas oboje oceniasz?

- Jestem potwornie zmęczona. - Jej głos zadrżał. - Jestem pewna, że i ty musisz odpocząć. To nie mogło być dla ciebie przyjemne.

Wtedy do niej podeszedł. Zobaczyła to, czego się mogła spodziewać. Złość, kipiąca złość. Zmrużyła oczy.

- Na miłość boską, Tory. - Dotknął jej policzka, wsunął rękę w jej wilgotne, splątane włosy. - Czy zawsze wszyscy cię zawodzili?

Nie odezwała się. Łza spłynęła jej po policzku, zawisła na jego kciuku. Poddała się, posłuszna jak dziecko, kiedy poprowadził ją do łóżka, posadził ją sobie na kolanach.

- Odpoczywaj - wyszeptał. - Nigdzie nie odejdę. Przywarła twarzą do jego piersi.

Znalazła w nim siłę i wsparcie, jakiego nikt nigdy jej nie ofiarował. Nie zadawał pytań, więc i ona o nic go nie pytała. Zamiast tego wtuliła się w niego, uniosła ku niemu usta.

- Dotykaj mnie. Muszę cię czuć.

Pieścił ją delikatnie. Powoli rozwiązał pasek jej szlafroka, zsunął go z niej. Położył

rękę na jej sercu. Biło jak szalone, a jej oddech wciąż jeszcze przechodził w szloch, który starała się

powstrzymać.

- Myśl o mnie - wyszeptał i ułożył ją na łóżku. - Patrz na mnie.

Kiedy sięgnęła, żeby rozpiąć jego koszulę, dotykał wargami jej szyi, jej ramion, muskał rękami jej włosy.

- Muszę cię czuć - powtórzyła. Położyła dłonie na jego piersi. - Jesteś ciepły. Jesteś taki prawdziwy. Uczyni mnie też taką, Cade.

Kiedy znowu spotkały się ich usta, zatopiła się w nim, zatoneła w jego czułości, w delikatności, która wymazała okropność tego, co przeszła. Uspokoila się, zrozumiała, że ten dotyk, to spotkanie ciał nie ma nic wspólnego z bólem i ze strachem.

Jego usta na jej piersi pobudzały, wzmagaly, przyspieszały bicie jej serca. Jego ręce, silne, ciepłe, oczyszczały jej umysł ze wszystkiego.

Westchnęła, wymówiła jego imię, kiedy doprowadzał ją do pierwszego szczytu.

Płynęła, otworzyła się, wychylając się ku niemu, ocierając się o niego. A kiedy przetoczyła się przez nią fala rozkoszy, odnalazł znowu jej usta, pozwolił jej nadawać tempo.

Uniosła się nad nim, a włosy na jej ramionach lśniły niczym mokre tasiemki. Od jej zaróżowionej twarzy biło życie, wilgotne od łez.

Wzięła go w siebie, wygięła się do tyłu, zaczęła się miarowo poruszać, wbijając w niego palce.

Poza nianie istniało dla niego nic na świecie, pozostała tylko jej gorąca namiętność, równomierne podnoszenie się i opadanie jej bioder, kiedy go dosiadła. Jej pociemniałe, zamglone oczy pozostawały szeroko otwarte, utkwione w nim nawet wtedy, gdy jej oddech przeszedł z spazmatyczny szloch.

Widział, jak osiąga błogostan.

- Boże! - Przeniosła ich złączone ręce na swoje piersi. - Jeszcze! Dotykaj mnie!

Dotykaj!

Ujął w dłonie jej piersi, podniósł się i wziął je w usta, aż wygięła się do tyłu. Kiedy chwyciła go za włosy, wszedł głębiej. Wypełniając ją, biorąc ją. Dając się samemu ponieść.

Leżeli złączeni ze sobą. Nawet kiedy zmienił pozycję, żeby położyć się obok niej, pozostali splątani i przytuleni. Wdychała go w siebie.

- Powinnaś teraz zasnąć - szepnął.

- Boję się zasnąć.

- Będę przy tobie.

- Pomyślałam, że sobie pójdziesz. - Wiem.

- Byłeś taki zły. Pomyślałam... Czy mógłbyś mi dać trochę wody?

- Oczywiście. - Wstał i włożył dzinsy, zanim poszedł do kuchni. Słyszała, jak otwiera kredens, żeby wyjąć szklankę, jak go znowu zamyka. Kiedy wrócił, siedziała na brzegu łóżka w szlafroku.

- Dziękuję.

- Tory, czy zawsze cię po tym mdli?

- Nie. - Jej ręka zacisnęła się na szklance. - Nigdy przedtem nie robiłam czegoś podobnego... Nie mogę jeszcze o tym mówić. Ale muszę porozmawiać o czymś innym. O

tym, kim byłam w Nowym Jorku.

- Wiem, co tam się stało. To nie była twoja wina.

- Znasz tylko fragmenty i części prawdy. To, co usłyszałeś w wiadomościach. Muszę ci wszystko wytłumaczyć.

Ponieważ znowu się usztywniła, pogładził ją włosach.

- Inaczej się wtedy czesałaś. Rozjaśniłaś włosy, skróciłaś. Zdobyła się na śmiech.

- Moja próba przeobrażenia się w nowe „ja”.

- Tak ci jest lepiej.

- Zmieniłam znacznie więcej niż tylko włosy, kiedy tam przyjechałam. Kiedy tam uciekłam. Miałam zaledwie osiemnaście lat. Byłam przerażona, ale pełna zapału. Nie mogli mnie zmusić do powrotu. Byłam wolna. Zaoszczędziłam trochę pieniędzy. Zawsze umiałam oszczędzać, a babcia dała mi dwa tysiące dolarów. Przypuszczam, że to mi uratowało życie.

Stać mnie było na małe mieszkanie. Właściwie na pokój. Znajdował się we wschodniej części miasta. Uwielbiałam go. Wszystko tam było moje.

Pamiętała prawdziwą radość, jaką sprawiało jej przebywanie w owym pustym, przypominającym pudełko pokoju, wychylanie się i wyglądanie przez okno na nie otynkowaną ceglana ścianę sąsiedniego budynku. Ciągle jeszcze słyszała orgię dźwięków na ulicy pod domem, kiedy Nowy Jork spieszył do codziennych zajęć.

Pamięta absolutny błogostan, spowodowany uzyskaną wolnością.

- Dostałam pracę w butikach z pamiątkami, sprzedawałam wiele przycisków do papieru i podkoszulków z

rysunkiem Empire State Building. Po paru miesiącach znalazłam lepszą pracę, w eleganckim sklepie z upominkami. Jechało się tam dłużej, ale pensja była odrobinę wyższa. Poza tym miałam okazję obcowania z tyloma ślicznymi rzeczami. Znałam się na nich.

- Nie wątpię.

- Byłam taka szczęśliwa tamtego pierwszego roku. Awansowałam na asystentkę działu sprzedaży i zaprzyjaźniłam się z kilkoma osobami. Umawiałam się na randki. Zdarzało się, iż zapominałam, skąd pochodzę, dopóki ktoś nie zwrócił uwagi na mój akcent. Wtedy wracałam tutaj myślami. Ale to nie miało znaczenia. Odeszłam stąd. Mieszkałam tam, gdzie chciałam mieszkać, byłam tym, kim chciałam być.

Wtedy popatrzyła na niego.

- Nie myślałam o Hope. Nie dopuszczałam do siebie myśli o niej.

- Miałaś prawo do własnego życia, Tory.

- I tak też sobie mówiłam. Pewnego dnia po pracy, wkrótce po wizycie u rodziców, udałam się na zakupy. Już nawet nie pamiętam, co kupiłam. Wniosłam torbę do domu i zaczęłam ją rozpakowywać.

Spuściła głowę, spojrzała na wodę, czystą wodę w czystej szklance.

- No więc stałam w kuchence, przy otwartej lodówce, z kartonem mleka w ręku.

Karton mleka, ze zdjęciem małej dziewczynki na opakowaniu. Karen Anne Wilcox, cztery lata. Zaginiona. Ale ja nie widziałam zdjęcia, widziałam ją. Małą Karen, tyle że nie była blondynką jak na zdjęciu. Miała kasztanowe włoski, bardzo krótko obcięte, po chłopięcemu.

Siedziała w swoim pokoju i bawiła się lalkami. To był luty, ale widziałam niebo przez jej okno. Piękne niebieskie niebo, słyszałam też szum wody. Morza. A więc Karen Anne jest na Florydzie, pomyślałam. Jest blisko plaży. Kiedy doszłam do siebie, karton leżał na podłodze, a mleko wylewało się z niego.

Wypiła jeszcze łyk, odstawiła szklanę.

- Byłam bardzo zła. Co to mnie może w ogóle obchodzić? Nie znałam tej dziewczynki ani jej rodziców. Nie chciałam ich znać. Jakim prawem wkraczają w moje życie? Dlaczego miałabym się w to angażować? Wtedy pomyślałam o Hope.

Wstała, podeszła do okna.

- Nie przestawałam myśleć o tej dziewczynce. Poszłam na policję. Uznali mnie za jeszcze jedną wariatkę, zignorowali mnie. Czułam się okropnie, ale to dziecko wciąż zaprzętało moje myśli. Gdy przesłuchiwali mnie dwaj detektywi, wściekałam się.

Powiedziałam jednemu z nich, żeby wreszcie wysłuchał mnie uważnie, zamiast się martwić o to, ile

mechanik zedrze z niego za naprawę skrzyni biegów. - To ich zaintrygowało. Okazało się, że starszy z nich, detektyw Michaels, oddał samochód do warsztatu. Przesłuchanie zamieniło się w torturę niekończących się, powtarzanych w kółko pytań. Naciskali i naciskali, a ja już nie mogłam wytrzymać. Młodszy z nich - sędzę, że grał rolę dobrego gliny - wyszedł i przyniósł mi colę. Przyniósł też plastikową torbę. Torbę z dowodem rzeczowym. W środku były mitenki.

Jaskrawo - czerwone mitenki. Znaleźli je na podłodze domu towarowego Macy's, skąd została porwana, gdy jej matka robiła zakupy. To było Boże Narodzenie. Zaginęła w grudniu.

Rzucił je na stół, jak wyzwanie.

Pamięta jego oczy. Twarde spojrzenie pięknych, błyszczących, zielonych oczu Jacka.

- Nie zamierzałam podejmować wyzwania. Byłam zła i czułam się ośmieszona. Jednak nie wytrzymałam. Wzięłam torbę i zobaczyłam ją tak wyraźnie w jej czerwonym płaszczyku.

Zobaczyłam tłum ludzi, którzy uwijali się w poszukiwaniu prezentów. Hałas i zgiełk. Jej mama była tuż obok, przy ladzie, wypatrzyła jakiś sweterek. Nie zwracała na dziecko uwagi, więc Karen odeszła parę metrów od niej. Tylko parę metrów. Wtedy pojawiła się ta kobieta.

Złapała ją na rękę. Przycisnęła ją do siebie, bardzo blisko i mocno, i zaczęła się przeciskać przez tłum, dopadła drzwi i znalazła się na zewnątrz. Nikt tego nie zauważył. Wszyscy byli tacy zaaferowani. Powiedziała Karen, że ma być bardzo grzeczna, ponieważ zabiera ją do Świętego Mikołaja. Szła bardzo szybko. Na ulicy czekał już samochód. Biały Chevrolet z pogiętym prawym błotnikiem, na nowojorskich tablicach.

Westchnęła ciężko, pokiwała głową.

- Widziałam nawet numer rejestracyjny. Boże, to było takie realne. Czułam nawet silny powiew wiatru na ulicy. Powiedziałam im to wszystko, powiedziałam im, jak wygląda kobieta po zdjęciu czarnej peruki. Miała jasnobrązowe włosy i bladoniebieskie oczy. Była szczupła. Celowo ubrała się w wielki, niezgrabny płaszcz na ciepłej podpince.

Tory spojrzęła za siebie. Cade siedział na łóżku i słuchał.

- Planowała to od tygodni. Chciała mieć małą dziewczynkę, śliczną małą dziewczynkę. Upatrzyła sobie Karen i ją zabrała. To wszystko. Pojechali razem z mężem prosto na Florydę. Obcięli jej włosy, przefarbowali i nie pozwolili jej wychodzić na dwór.

Powiedzieli Karen, że jest chłopczykiem i że nazywa się Robbie.

Przymrużyła oczy, odwróciła się w drugą stronę.

- Odnaleziono ją. Trwało to trochę, ponieważ nie mogłam zidentyfikować miejsca. Po nawiązaniu współpracy z policją na Florydzie w ciągu paru tygodni znaleziono małą na parkingu w Fort Lauderdale. Ludzie, u których była, nie zrobili jej krzywdy. Kupowali jej zabawki, karmili ją dobrze. Byli pewni, że po prostu zapomni o dawnym życiu. Ludzie uważają, że dzieci łatwo zapominają, ale

to nieprawda.

Westchnęła. Na dworze zaczęła pohukiwać sowa, długie basowe nuty niosły się echem po bagnach.

- A więc Karen była pierwsza. Jej rodzice przyszli mi podziękować. Płakali.

Pomyślałam, że może to jest jakiś dar. Może zostałam wybrana, żeby pomagać w ten sposób ludziom. Zaczęłam się na to otwierać, badać to, a nawet chwalić się tym. Przeczytałam wszystko, co mogłam, poddałam się testom. I zaczęłam widywać się z Jackiem - detektywem Jackiem Krentzem, młodszym z dwóch glin, którzy prowadzili śledztwo w sprawie kidnappingu. Zakochałam się w nim.

Sięgnęła po wodę, wypila ją do dna.

- Po Karen były inne dzieci. Byłam okropnie zakochana w mężczyźnie, który, jak sądziłam, kochał mnie i uważał w pewnym sensie za partnera. Od czasu do czasu przychodził

z czymś do domu i zasięgał mojej opinii. Byłam niesłychanie przejęta, mogąc pomagać mu w pracy. Nie afiszowaliśmy się z tym. Nie chciałam żadnego uznania ani rozgłosu. Jednak wiadomość o moich „umiejętnościach” rozeszła się i po jakimś czasie zaczęłam zbierać owoce tego: otrzymywałam listy, telefony, prośby, które prześladowały mnie dzień i noc.

Nadal bardzo chciałam pomagać.

Odstawiła na bok pustą szklanekę, zatarła ręce, podeszła znowu do okna.

- Nie dostrzegłam zmiany w zachowaniu Jacka, tego, w jaki sposób zaczął mi się przyglądać. Jego lodowatego spojrzenia. Pomyślałam, że to u niego normalne. Nie miałam przedtem żadnego mężczyzny. Byliśmy kochankami przez ponad rok, kiedy nasz związek zaczął się rozpadać. Spotykał się z kimś innym. Myślał o niej, gdy przychodził do mnie.

Czułam się zdradzona. Byłam wściekła. Kiedy mu o tym powiedziałam, odparł, że szpieguję jego myśli. Że jestem gorsza niż czarownica i nie może pozostawać w związku z kobietą, która nie szanuje jego prywatności, wdziera się do jego mózgu.

- Postanowił wszystko obrócić przeciwko tobie. - Cade pokręcił głową. - Dlaczego pogodziłaś się z tym?

- Nie miałam jeszcze dwudziestu dwóch lat. Był moim pierwszym i jedynym kochankiem. Co więcej, kochałam go. Wzięłam więc winę na siebie. Ale to nie wystarczyło.

Zaczął mnie obrzucać wyzwiskami, oskarżać o próbę przypisywania sobie zasług za jego solidną, ciężką pracę, jaką wkładał w prowadzenie śledztw. Czymkolwiek było jego uczucie do mnie na początku, zmieniło się radykalnie i sprawiało nam obojgu ból. A kiedy między nami zaczęło się psuć na dobre, pojawiła się sprawa Jonaha. Jonaha Mansfielda. Przycisnęła rękę do piersi, zacisnęła na chwilę powieki.

- Gdy o tym wspomnę, serce mi się kraje. Miał osiem lat i został porwany przez dawną gosposię.

Policja o tym wiedziała. Żądano dwóch milionów okupu. Jack został wyznaczony do grupy rozpracowującej tę sprawę. Nie przyszedł z tym do mnie. Natomiast Mansfieldowie poprosili mnie o pomoc. Powiedziałam im, że dziecko jest przetrzymywane w czymś w rodzaju piwnicy - nie wiem, czy to była willa, czy blok mieszkalny - w budynku nad rzeką.

Jack był wściekły, że zrobiłam to za jego plecami. Nie chciał mnie słuchać. Dziecko było całe i zdrowe, a porywacze byli gotowi go zwrócić po otrzymaniu okupu, pod warunkiem, że wszystko odbędzie się według przedstawionego przez nich scenariusza. Czy ryzykowałam życie dziecka, żeby dowieść, jaka jestem wspaniała?

Przełknęła powietrze.

- Nadal nie jestem pewna, czy znam odpowiedź na to pytanie. Ale widziałam tego chłopca, widziałam też tę kobietę.

Chciała go wypuścić w zamian za pieniądze, miała to być jej zemsta na Mansfieldach za zwolnienie jej z pracy. Powiedziałam im, że chłopiec jest dobrze traktowany. Że jest przestraszony, ale ma się dobrze. Powiedziałam, żeby zapłacili okup, żeby spełnili jej warunki, a odzyskają syna. Naprawdę, nie powiedziałam ani więcej, ani mniej niż chciała tego policja. Ponieważ jednak byłam tak zdenerwowana z powodu Jacka, przeoczyłam, że mężczyźni będący w zмовie z porywaczką gotowi są na najgorsze. Głos jej się załamał.

- Powiedziałam Jackowi, że jest dwóch mężczyzn, ale z ich badań wynikało, że jest tylko jeden. Kobieta i jeden wspólnik. Usłyszałam, że zaciemniają obraz, wchodzę w drogę policji. Kiedy porywacze dostali pieniądze, zrobili to, co planowali od samego początku, a czego ja nie zobaczyłam. Zabili Jonaha i kobietę, która go porwała.

Przycisnęła palcami powieki.

- Nie wiedziałam nic, dopóki nie usłyszałam o tym w wiadomościach, dopóki reporterzy nie zaczęli do mnie wydzwaniać. Wycofałam się, zamknęłam się w skorupce nieszczęścia, ponieważ Jack odwrócił się ode mnie.

Opuściła ręce, rozprostowała palce, po czym znowu je złączyła.

- Nie wiem, w jaki sposób zamierzali uciec. Chyba nie mieli żadnego planu.

Wszystkim kierowała ta kobieta. Ale oni nie chcieli się z nią dzielić pieniędzmi. Postanowili jechać na zachód, jednak policja oznakowała pieniądze i czekała na nich.

- Zginęło dwóch policjantów, a jeden z porywaczy został śmiertelnie ranny. Tego także nie widziałam. To, do czego namówiłam rodziców, skończyło się śmiercią ich dziecka.

- Nie, śmierć ich dziecka była wynikiem porwania. Zawiniły okoliczności, chciwość, strach.

- Nie mogłam go uratować. Nauczyłam się z tym żyć. Na tej samej zasadzie, na jakiej nauczyłam się żyć ze świadomością, że nie uratowałam Hope. Jednak to mnie załamało.

Spędziłam wiele tygodni w szpitalu, mam za sobą lata psychoterapii, a mimo to nie pozbyłam się tego do końca. Uważam, że jednak trochę zawiniłam, Cade, ponieważ byłam taka rozkojarzona, taka roztargniona z powodu Jacka, nie potrafiłam się skoncentrować. Moje życie waliło się w gruzy, a ja rozpaczliwie walczyłam, żeby uratować jakąś jego część. Część siebie. Nawet kiedy mnie publicznie oskarżył, kiedy przyłożył rękę do tego, żeby mnie opluli w prasie, nie miałam do niego pretensji. Przez długi, długi czas nie winiłam go.

- Bardziej myślał o sobie, niż o tobie i tym dziecku.

- To był trudny okres. Czuł się nieszczęśliwy w naszym związku i unikał mnie.

- Więc cię opuścił, zdesperowaną, zawieszoną w próżni, którą sam wytworzył. Czy tego spodziewasz się po mnie, Tory?

- Spodziewałam się. Prawdę mówiąc, nie wiem, czego się spodziewam po tobie. Chcę tylko, żebyś wiedział, iż rozumiem, czym to jest dla ciebie.

- Nie, nic nie rozumiesz. On ciebie nie kochał, a ja tak. Opuściła ręce. Jej westchnienie przypominało szloch, ale nie ruszyła się z miejsca.

- No więc. - Podniósł się. - Co zamierzasz z tym zrobić?

- Ja... - Nie mogła wydobyć głosu. Przepęlniona nadzieją rzuciła się mu w ramiona.

Zabójstwo - choć tak potworne - stanowiło dla mieszkańców miasta wielką atrakcję. Z

dystansu jednej nocy przypominało bardziej film niż realne życie. Faith nie zamierzała trzymać się na uboczu w Beaux Rêves, mogąc znaleźć się w centrum wydarzeń.

Oczywiście Lilah w mig ją przejrzała i obarczyła zakupami. „Jeśli już wybierasz się na plotki - powiedziała, wręczając jej listę - możesz się również na coś przydać”.

A od plotek aż wrzało.

W drugistorze przeważała opinia, że w mieście pojawił się dawny chłopak Sherry, który chciał ją namówić, by do niego wróciła, a kiedy mu odmówiła, wpadł w szal. Przecież to więcej niż pewne, że taka młoda, ładna dziewczyna musiała zostawić w swoim mieście niejednego chłopaka.

Na poczcie podejrzewano, iż zabójcą mógł być tajemniczy kochanek Sherry. Nikogo konkretnego nie podejrzewano, ale przecież kobieta o takim wyglądzie musiała mieć kochanka. Może to jakiś żonaty mężczyzna, skoro nikt nic o nim nie wie?

Na tej podstawie ukuto teorię, że Sherry zagroziła, iż uda się do jego żony, co przesądziło jej los.

Podchwyciono tę teorię, prześcigając się w domysłach, umieszczając na liście podejrzanych wszystkich żonatyh mężczyzn między dwudziestym a sześćdziesiątym rokiem życia.

Niektórzy - głównie pracownicy szkoły - przekonywali z uporem, że cała tragedia jest następstwem niefortunnej próby włamania.

Jednak Faith pamiętała to, co ustaliła Tory, kiedy siedziały na trawie przed mieszkaniem Sherry. Pamiętała też o Hope.

Nie zaszkodzi wstąpić do Komfortu Południa i zorientować się, czy Tory ma coś nowego do powiedzenia.

Zatrzymała się najpierw na targu przy bananach. Kilka metrów dalej Maxine pakowała do torby jabłka. Faith przysunęła się bliżej.

- Cześć, Maxine. Jak się czujesz?

Maxine potrząsnęła głową, zamrugała powiekami, powstrzymując łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Jestem zupełnie rozbita. Wade dał mi wolny dzień, ale nie mogłam usiedzieć w domu.

- Maxine, złociutka.

Faith zakłęła pod nosem na widok zbliżającej się z wózkiem Boots. Nie miała nastroju na wdawanie

się w kolejną rozmowę z matką Wade'a.

Trzy wózki stanęły obok siebie, jak obwąchujące się psy. Boots zagruchała po matczynemu i podała Maxine chusteczkę do nosa.

- Nie przestaję o tym myśleć. - Maxine otarła oczy. - Już nawet nie pamiętam, co miałam kupić.

Boots pokiwała głową, bez zainteresowania spoglądając w stronę jabłek. Wszyscy jesteśmy przybici tym, co się stało z Sherry Bellows.

- Nie rozumiem, jak do tego doszło. To nie powinno było wydarzyć się tutaj.

- Oczywiście. Ale nie powinnaś się bać. - Życzliwym ruchem Faith pogłaskała Maxine po ramieniu. - Większość ludzi przypuszcza, że to był jej chłopak, który wpadł w szal.

- Ona nie miała żadnego chłopaka. - Maxine pogmerała w kieszeni, wyjęła poszarpaną jednorazową chusteczkę. - Nikt jej z nikim nie widywał, ale czuła słabość do Wade'a.

- Do Wade'a? - Ręka Faith zamarła, z jej twarzy zniknęło współczucie. Spojrzała na Boots.

- Lubiła wpadać i flirtować z nim. Zaczęła ze mnie wyciągać informacje na jego temat

- dodała Maxine, pociągając znowu nosem. - Czy jest żonaty, czy się z kimś spotyka. - No wiesz, on jest taki przystojny. Jakiś czas temu sama się w nim podkochiwałam. -

Opamiętawszy się, Maxine zaczerwieniła się, rzuciła znad chusteczki spłoszone spojrzenie na Boots. - Przepraszam panią, pani Boots. Wade nigdy...

- Oczywiście, że nie. - Boots poklepała Maxine po plecach. - Trudno sobie wyobrazić, żeby kobiety nie podkochiwały się w nim. - Spojrzała na Faith, zmrużyła oczy. Jest wspaniałym mężczyzną.

- O tak, proszę pani, trudno więc się dziwić Sherry, że miała na niego oko.

Zaprzyjaźniłyśmy się z nią. Czasami pomagała mi w nauce, a po skończonym semestrze zamierzałyśmy uczcić to wydarzenie, pojechać do Charleston i zajrzeć do paru klubów.

Mówiła, że obecnie nie ma nikogo. Nie zwracała na to większej uwagi, ponieważ kończyła studia i zaczynała karierę zawodową. Wkrótce jednak miała zacząć umawiać się na randki. -

Maxine ponownie wytarła oczy. - Chciała wyjść za mąż, mieć rodzinę. Rozmawiałyśmy o tym.

- Tak mi przykro. - Boots objęła Maxine. - Nie wiedziałam, że byłyście sobie tak bliskie.

- Łączyło nas wiele wspólnych doświadczeń. Ona także musiała pracować, kiedy była w college'u. Mogłyśmy rozmawiać o ciuchach i o chłopakach, w ogóle o wszystkim. Obie kochałyśmy psy. Nie wiem, co stanie się teraz z jej biednym psem. Wzięłabym go, ale niestety nie mogę.

Rozpłakała się na dobre, zarówno z powodu psa, jak i utraconej przyjaciółki.

- Uspokój się, Maxine. - Faith wiedziała, że wzbudzili zainteresowanie innych kupujących, którzy przepychali się łokciami, żeby podsłuchać choć parę słów. - Wade odda go w dobre ręce. A policja wszystko wyjaśni.

- Jestem zupełnie, rozbita. Jeszcze wczoraj była taka radosna, podekscytowana.

Zjadłyśmy razem lunch w parku. Miała zacząć pracę w nowym sklepie Tory Bodeen.

Przynajmniej miała taką nadzieję. Snuła tyle planów. A teraz... Czy to możliwe? Jakie to smutne.

- Tak. - Faith bardzo dobrze wiedziała, czym jest życie po śmierci bliskiej osoby. -

Będzie lepiej, jeżeli wrócisz do domu, kochanie. Chcesz, żebym cię odwiozła?

- Nie, dziękuję, nie. Dobrze mi robi, jeżeli się przejdę. Wciąż mam nadzieję, że ją zobaczę, idącą ulicą razem z Mongo. Wciąż mam taką nadzieję - powiedziała półgłosem Maxine i ocierając łzy odeszła.

- Wiem coś o tym - mruknęła Faith i szybko odwróciła głowę. Nie potrafiłaby nikomu wytłumaczyć, jakim koszmarem jest oglądanie śmierci za każdym razem, kiedy spogląda się w lustro.

- Masz. - Boots wyjęła drugą chusteczkę.

- Widzę, że jest pani przygotowana na taką okoliczność.

- Serce mi się kraje z powodu tej dziewczyny, choć prawie jej nie znałam. - Chcąc dać Faith czas na pozbieranie się, Boots zaczęła oglądać jabłka. - Ja też nie mogłam usiedzieć w domu. Biedna mała Maxine. Jak ona to przeżywa! To miło z twojej strony, że chciałaś ją odwiedzić do domu.

- Przynajmniej wymigałabym się od robienia zakupów. Boots położyła rękę na ramieniu Faith.

- To miło z twojej strony - powtórzyła. - Cieszę się, że mój syn pokochał kobietę, którą stać na taki odruch pomimo tego przebłysku zazdrości. Biorąc to wszystko pod uwagę, dobrze, że poszłam tu po jabłka. Pozdrów ode mnie mamę, a także Lilah, dobrze?

Boots odpłynęła z zakupami, pozostawiając zachmurzoną Faith.

- Bardzo zręcznie, pani Boots, nieźle pani to rozgrywa. Zirytowana Faith popchnęła wózek w kierunku artykułów spożywczych, zgarniając kolejne pozycje z listy Lilah i marząc o tym, żeby jak najszybciej uciec z tego cholernego targu.

Była zazdrosna. Niech to szlag trafi. Czy Wade flirtował za jej plecami? Oczywiście, że flirtował. Przecież jest mężczyzną. Może liczył na coś więcej niż flirt? Skurczybyk!

Ciekawe, ile razy wyobrażał sobie gołą Sherry, ile razy fantazjował, że sam ją rozbierze, a potem...

Boże, chyba zwariowała! Doprowadza się do białej gorączki z powodu Wade'a i nieżywej kobiety? Czyżby była aż tak głupia?

- Faith?

- Co? - warknęła, odwracając się z pudełkiem masła śmietankowego w rękę i z morderczym wyrazem twarzy.

Dwight podniósł rękę na znak pokoju.

- O, przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam. Akurat myślałam o czymś. - Uśmiechnęła się promiennie do synka Dwighta, jadącego w koszyku wózka. - Cóż to za przystojny młody mężczyzna!

Robicie dzisiaj z tatusiem zakupy?

Lukę podniósł do góry otwarte pudełko czekoladowych ciastek z kremem.

- Dobre ciasteczka - powiedział z buzią wysmarowaną czekoladą, czym ich rozbawił.

- Jeszcze jak!

- Jego mama oskalpuje mnie, jeżeli go nie wyszoruję przed powrotem.

- Buzię łatwo umyć - powiedziała Faith i na wszelki wypadek stanęła poza zasięgiem oblepionych czekoladą paluszków. - Lissy wysłała cię na zakupy?

- Nie za dobrze się czuje. Przejęła się tym, co stało się wczoraj. Mówi, że boi się wystawić nogę za próg, kazała mi sześć razy sprawdzać w nocy zamki.

Jakie to typowe dla Lissy Frazier, pomyślała Faith. Niemniej jednak pokiwała ze współczuciem głową.

- Sądzę, że wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani.

- Ona jest teraz jednym kłębkim nerwów. Niepokoję się o nią, Faith, a przecież do urodzenia dziecka pozostał zaledwie miesiąc. Teraz jest z nią jej matka, która dotrzyma jej towarzystwa przez jakiś czas. Sądzę, że mały i ja... - przerwał, żeby potargać Luke'a za włosy

- odciążymy ją na jakiś czas. Damy się jej trochę uspokoić i odpocząć.

- Dobry z ciebie tatuś. Czy wiesz już coś więcej o wczorajszej sprawie?

- Carl D. prowadzi dochodzenie i niewiele można z niego wydobyć. Przypuszczam, że wkrótce będą znane wyniki autopsji. Carl D. jest dobrym policjantem, ale ten rodzaj pracy... -

Urwał, potrząsnął głową. - Nie miewa do czynienia z tego rodzaju sprawami. Podobnie jak nikt z nas.

- To nie jest pierwszy przypadek.

Podniósł wzrok, przyglądał się jej przez chwilę, jakby nic nie rozumiejąc.

- Och, przepraszam cię, Faith, nie pomyślałem. To przecież musiało wywołać w tobie bardzo złe wspomnienia.

- Wspomnienia mnie nie opuszczają. Mam tylko nadzieję, że złapią tego kogoś, powieszą za duże palce u nóg i obetną mu...

- Pss... - Dwight wskazał oczami na syna. - Nie gorszymy maluczkich.

- Przepraszam - powiedziała, podczas gdy Lukę ozdobił swoje podobne do dmuchawca włoski kremem z ciastka. - Kochany, Lissy wdępcze cię w ziemię po uszy, jeżeli jej przywieziesz chłopca w tym stanie.

- Może mi to jakoś ujdzie, jeżeli kupię to, co chciała.

- Nie wywiniesz się byle czym. Już wiem, kup jej coś z biżuterii!

- No cóż, pewnie wiesz, co mówisz. - Dwight podrapał się po głowie. - Właśnie nosiłem się z zamiarem zrobienia jej jakiegoś prezentu, żeby zapomniała o zmartwieniach.

Chciałem kupić jakieś dobre perfumy.

- Perfumy to żadna atrakcja. Dobre są dla starszych dam. Pójdź do Tory, a znajdziesz tam to, czego szukasz.

Dwight popatrzył z zaniepokojeniem na Lukę' a, który właśnie mazał czekoladą rączkę wózka.

- Chyba nie mogę zabrać tego słonia do sklepu z porcelaną?

- Masz rację. Wiesz co, Dwight? Dasz mi pieniądze, a ja tam wejdę i kupię ci coś.

Kończ tu zakupy, wymyj Luke'a i podjedź tam.

- Naprawdę? Mówisz serio?

- I tak tam się wybierałam. Poza tym, od czego ma się przyjaciół?

- Dobrze się składa, że właśnie byłem w banku i mam gotówkę. - Uszczęśliwiony, wyciągnął pieniądze. Popatrzyła na niego z politowaniem.

- Dorzuć jeszcze, Dwight. Nie zasłużysz na miano bohatera za mniej niż dwieście dolarów.

- Dwieście? Chryste, Faith, puścisz mnie z torbami!

- Wygląda na to, że będziesz musiał wrócić do banku. - Kiedy się skrzywił, wyrwała mu resztę z ręki.
- Z tym mogę już znaleźć coś całkiem odpowiedniego.

- A co z twoimi zakupami? - zawołał, kiedy odchodziła.

- Nie uciekną - machnęła ręką.

Dwight westchnął i schował do kieszeni prawie pusty portfel.

- Mam wrażenie, że zostaliśmy obrabowani - powiedział do syna.

Faith uznała, że wszystko świetnie się składa. Będzie mogła wejść, wycisnąć z Tory świeże wiadomości i spełnić dobry uczynek. A potem już tylko jeden krok i wpadnie do gabinetu Wade'a. Musi mieć czas, zanim podejmie decyzję, czy go ukarać za to, że flirtował z Sherry Bellows.

Tym razem wyjęła Bee z samochodu, tuląc ją i przemawiając do niej.

- Musisz być grzeczna. Nie chcemy przecież, żeby Tory narzekała na nas. Zachowasz się jak dama, a ja ci za to kupię śliczną nową kosteczkę do żucia.

- Nie wnoś mi tu znowu tego psa. - Tory wyskoczyła zza lady.

- Och, nie bądź taką zołą. Ona sobie tutaj usiądzie i będzie bardzo grzeczna, prawda Bee, skarbie? - Podniosła łapkę szczeniaka do góry i pomachała nią.

- Niech cię diabli, Faith.

- Ten pies to prawdziwy skarb. Zaraz się przekonasz. - Dała Bee kość i posadziła ją na podłodze. - Poza tym, co to za powitanie, skoro przychodzę tutaj z misją i z pieniędzmi! -

powiedziała, wyciągając zwitek banknotów.

- Jeżeli ten pies nasika mi na podłogę...

Jest na to zbyt dumna. Wyświadczam drobną przysługę Dwightowi. Lissy marnie się czuje, a on chce jej umilić życie ładnym prezentem.

Tory prychnęła, policzyła jednak w myśli pieniądze, którymi radośnie wymachiwała Faith.

- Coś do domu czy biżuteria?

- Biżuteria.

- Przyjrzyjmy się więc.

- Jak to dobrze, że Dwight wpadł na mnie. Mężczyźni przeważnie nie orientują się w tych sprawach, a Lissy zna się tylko najedzeniu. - Faith zatrzymała się przy gablocie. -

Obejrzymy ten naszyjnik, ten z różowym topazem i z kamieniami księżycowymi.

- Widzę, że znasz się na biżuterii.

- A co myślisz! Kobieta musi wiedzieć, czy mężczyzna nie próbuje jej wcisnąć perydotytu zamiast szmaragdu. To całkiem ładne. - Podniosła naszyjnik do góry, tak żeby odbijało się w nim światło. - Jak dla niej za dużo tu metalu. To jest bardziej w moim stylu.

- Czy tak wypełniasz swoją misję?

- Mogę robić więcej niż jedną rzecz w tym samym czasie. Odłóżmy to na razie na bok, żebyśmy się mogła zastanowić. - Przesunęła się wzdłuż gabloty. - Dobrze się czujesz?

- Tak.

- No cóż, nie musisz się wysilać na rozmowę.

Tory otworzyła usta, a potem zamknęła je i westchnęła wymownie.

- Czuję się dobrze, choć trochę jestem w środku roztrzęsiona. A ty? Faith podniosła głowę i uśmiechnęła się cierpko.

- Mam się nieźle. Po drodze zbierałam plotki. Nie udawaj. Jesteś nimi nie mniej zainteresowana niż ja.

- Słyszałam, co mówią. Miałam tutaj dzisiaj duży ruch. Ludzie wchodzi i zerkają na mnie, żeby potem gadać, co im ślina na język przyniesie. Z tobą jest inaczej, Faith, jesteś jedną z nich. Ja nie. Nie wiem, dlaczego sądziłam, że może być inaczej.

- Nie rozumiem, dlaczego ci tak na tym zależy, ale w końcu ludzie zaczną się do ciebie przyzwyczajać. Przyzwyczailiby się do kulawego, jednookiego karła, gdyby tylko dostatecznie długo tutaj mieszkał.

- Bardzo pocieszające.

- Zobaczmy tę bransoletkę. Cade, jak się zdaje, bardzo szybko przyzwyczaił się do ciebie.

- Różowy i błękitny topaz oprawione w srebrze. Zapięcie w kształcie szczypców homara.

- Bardzo ładne, bardzo w typie Lissy. A te kolczyki? Pewnie chciałyby je mieć do kompletu. Dalej już jej wyobraźnia nie sięga.

- To dziwne, że poświęcasz czas na wybieranie dla niej prezentów, skoro tak jej nie lubisz.

- Och, nie czuję do niej antypatii. - Faith wydeła wargi, zastanawiając się nad kolczykami. - Jest zbyt głupia, żebym miała tracić energię na nielubienie jej. Zawsze taka była. Uszczęśliwia Dwighta, a jego lubię. Włóż to do pudełeczek i zawiń ślicznie. Dwight będzie mi wdzięczny. Chyba wezmę dla

siebie ten naszyjnik. Poprawię sobie humor.

- Stajesz się moją najlepszą klientką. - Tory przeniosła biżuterię na ladę. - Aż trudno uwierzyć.

- Masz tutaj rzeczy, które mnie zachwycają. - Bee zasnęła z kością w pyszczku. Faith przystanąła obok, patrząc na nią z miłością. - Poza tym uszczęśliwiasz Cade'a, a jego lubię nawet bardziej niż Dwighta. - Oparła się łokciami o ladę, podczas gdy Tory wkładała prezenty Lissy do pudełeczek. - Prawda jest taka, że śpisz z moim bratem. Ja zaś śpię z twoim kuzynem.

- W ten sposób jesteśmy niemal kochankami. Faith zamrugała oczami i parsknęła śmiechem.

- Chryste, nie przerażaj mnie! A ja zastanawiałam się właśnie, czy można by nas potraktować jako przyjaciółki.

- Kolejna przerażająca myśl.

- Prawda? Ale tak się jakoś złożyło, że wczoraj, kiedy siedziałyśmy tam pod domem, wydało mi się, że czujemy podobnie, że myślimy o tym samym. Pamiętamy te same sprawy.

Tego nie można lekceważyć.

Tory zawiązała sznurek starannie, dokładnie.

- To bardzo ładnie z twojej strony, że ze mną zostałam. Często sobie myślę, że lepiej być samą. Ale to jest trudne.

- Ja nie znoszę być sama. Często irytuje mnie moje własne towarzystwo. No pięknie, gdyby tak nas posłuchać, można by powiedzieć, że prowadzimy intymną rozmowę. Masz tutaj śliczne, nowiutkie banknoty za Lissy, a jeśli chodzi o mnie, musi wystarczyć moja karta kredytowa.

Nie zdążyła sięgnąć do torebki, gdy Tory wyciągnęła rękę i przytrzymała ją. Dziwne, że po przyjeździe do Progress tak łatwo nauczyła się dotykać, być dotykana.

- Nie miałam w życiu drugiej takiej przyjaciółki, jak Hope. Nie sądzę, żeby którąś z nas stać było na taką przyjaźń, jak w dzieciństwie. Ale może warto spróbować.

Zmieszana Faith zrobiła wielkie oczy.

- Nie wiem, czy się do tego nadaję.

- Za to ja wiem, że się nie nadaję, od czasu śmierci Hope. Startujemy więc z tej samej pozycji. Chyba jestem zakochana w twoim bracie. - Westchnęła i cofnęła rękę. - Jeśli tak jest w istocie, sądzę, że dobrze by było dla nas wszystkich, gdybyśmy zostały przyjaciółkami.

- Ja natomiast wiem, że kocham mojego brata, chociaż bywa nieznośny. - Położyła pieniądze Dwighta, wyjęła swoją kartę kredytową. - Zamykasz o szóstej, prawda?

- Zgadza się.

- Nie spotkałabyś się ze mną po pracy? Zafundujemy sobie drinka.

- Zgoda. Gdzie?

Faith zaświeciły się oczy.

- Myślę, że pomnik Hope będzie najodpowiedniejszym miejscem.

- Co takiego?

- Na bagnach, wiesz gdzie.

- Na miłość boską, Faith!

- Jeszcze tam nie byłaś? A więc najwyższy czas. Uważam, że to dobre miejsce, żeby się przekonać, czy przebrnęliśmy już przez punkt krytyczny. Nie stchórzysz?

Tory chwyciła kartę kredytową.

- Uważaj, żebyś sama nie stchórzyła.

Wtaszczyła zakupy do domu, a na narzekanie Lilah, że tak późno wraca, odpowiedziała bezczelnie, że zawsze obowiązki domowe stawia na pierwszym miejscu.

- I tylko nie mów, że pomidory są za miękkie, a banany za zielone, bo więcej nie zrobię zakupów.

- A czy ty tego nie jesz? Obijasz się całymi dniami, możesz więc raz od wielkiego święta na coś się przydać.

- Coś ostatnio za często powtarza się to wielkie święto. - Faith wyjęła mrożoną herbatę, dwie szklanki, po czym usiadła, żeby przejść do plotek.

- No więc - Lilah usadowiła się wygodnie - co oni tam wygadują?

- Całą masę rzeczy, tak nieprawdopodobnych, jak nierealny jest liberalny republikanin. Niektórzy uważają, że to musiał być jej dawny chłopak albo kochanek. Żonaty kochanek. Jednak wpadłam na targu na Maxine, która, jak się okazało, przyjaźniła się z Sherry. Powiedziała mi, że Sherry nie miała aktualnie żadnego chłopaka.

- Co nie znaczy, żeby jakiś idiota nie mógł się za takiego uważać. - Lilah wyjęła szminkę. - Słyszałam, że jednak go wpuściła, ponieważ jej pies nie czekał, i że nie było to włamanie, jak ludzie na początku myśleli.

- Gdy wpuzczasz mężczyznę do swojego domu, to jeszcze nie oznacza, że chcesz być przez niego zgwałcona.

- Wcale tego nie powiedziałam. - Lilah pomalowała usta, rozprowadziła szminkę, pocierając wargę o wargę. - Mówię tylko, że kobieta powinna być ostrożna. Otwierając drzwi mężczyźnie, trzeba być gotową na to, żeby mu dać kopa.

- Jakaś ty romantyczna, Lilah.

- Jestem bardzo romantyczna, panienko Faith. Tylko że potrafię przy tym zachować zdrowy rozsądek. Coś, czego tobie brakuje, jeśli chodzi o mężczyzn. Może i tej biednej dziewczynie także tego zabrakło.

- Miałam dość rozsądku, żeby nie jednego wykopać.

- A jednak uparłaś się i wyszłaś najpierw za mąż za dwóch. Faith wyjęła papierosa, uśmiechnęła się ironicznie.

- Mogłam wyjść za mąż za więcej niż dwóch. Przynajmniej nie jestem starą panną.

Lilah odwzajemniła się podobnym uśmiechem.

- Gdyby małżeństwo było taką świetną instytucją, jak ci to wmawiano, kiedy byłaś dzieckiem, nie rozpadałoby się tak szybko. A tamta dziewczyna miała już przedtem męża?

- Nie, nie sędzę.

- Faith? - W drzwiach stanęła Margaret. Miała surowy wyraz twarzy. - Muszę z tobą porozmawiać. W saloniku.

- Dobrze. - Faith zgaszyła papierosa. - Powinnam była zostać dłużej w mieście.

- Powinnaś okazać mamie trochę szacunku.

- To byłby dopiero szok, gdyby ona go mnie okazała.

Nie spieszyła się z wejściem do saloniku. Zatrzymała się raz, żeby sprawdzić manicure, potem znowu, żeby poprawić włosy przed lustrem w holu. Kiedy weszła do środka, jej matka siedziała sztywna jak gipsowa figura.

- Nie pochwalam twojego plotkowania ze służbą.

- Nie rozumiem, o co chodzi. Rozmawiałam z Lilah.

- Nie mów do mnie tym tonem. Cenię sobie Lilah, ale to, że przesiadujesz w kuchni i plotkujesz, uważam za niestosowne.

- A twoje podsłuchiwanie jest stosowne? - Faith opadła na krzesło. - Mamo, ja mam dwadzieścia sześć lat. Twój wysiłek, żeby mnie nauczyć dobrych manier, powinien być już dawno zaowocować.

- Niestety, niewiele wskórałam. Dotarło do mnie, że widziano cię wczoraj z Tory Bodeen. Że byliście razem i wezwaliście policję.

- Zgadza się.

- Już sam fakt, że miałaś jakiś związek z tak gorszą sprawą, jest dostatecznie przygnębiający, a już na pewno nie będę tolerowała twojego bratania się z tą kobietą.

- Wolałabyś pewnie, żeby tą zgwałconą i zamordowaną kobietą była Tory? - Faith zeszywniała, choć na zewnątrz zachowała nonszalancką pozę.

- Nie życzę sobie tego. Ale nie życzę też, żeby łączono twoją osobę z Tory Bodeen.

- Bo co w przeciwnym razie? Chodzę i spotykam się z kim chcę i kiedy chcę. Zawsze tak robiłam i w tym przypadku naprawdę nie możesz mi niczego zabronić.

- Sądziłam, że przez szacunek dla swojej siostry będziesz mogła zerwać znajomość, zwłaszcza tak luźną, z osobą, którą obarczam odpowiedzialnością za jej śmierć.

- A może właśnie z szacunku dla mojej siostry zawarłam tę znajomość? Nigdy jej nie znosiłaś, a ja brałam z ciebie przykład. Najchętniej zabroniłabyś Hope kontaktów z Tory, ale ty nigdy nie zdobyłaś się na to, żeby jej czegokolwiek zabronić. Ponieważ gdybyś to zrobiła, ona i tak postąpiłaby po swojemu. Była pod tym względem bez porównania sprytniejsza ode mnie.

- Nie mów w ten sposób o mojej córce.

- Chcę, żebyś się dowiedziała o tym, na co może nigdy nie zwróciłaś uwagi. Tory nie ponosi odpowiedzialności za to, co stało się z Hope, natomiast może być kluczem do tego.

Kluczem, dzięki któremu znajdziesz ukojenie i będziesz wspominała Hope jak jasny promień, jak życie, którego jeszcze nie zaznała, a które zostało przedwcześnie przecięte. Może i ja znajdę ukojenie, jeżeli w końcu się dowiem, dlaczego tak się stało. I kto to zrobił.

- Nie znajdziesz ukojenia ani odpowiedzi na te pytania dzięki tej kobiecie. Usłyszysz tylko kłamstwa. Całe jej życie jest kłamstwem.

- No cóż, skoro tak...

Faith z uśmiechem na ustach podniosła się z krzesła. Wyszła, zaznaczając każdym krokiem swoją postawę.

Margaret natychmiast poderwała się na nogi. Poszła do biblioteki i zadzwoniła do Geralda Purcella prosząc, żeby jak najszybciej przybył do niej.

Gdy powiedział, że przyjdzie za godziną, podeszła do sejfu, ukrytego za olejnym obrazem przedstawiającym Beaux Rêves, skąd wyjęła dwie teczki z dokumentami.

Wykorzysta tę godzinę na przestudiowanie ich i przygotowanie się do rozmowy.

Tuż przed jego przybyciem kazała podać herbatę na tarasie. A także pszenne herbatniki i ciasteczka z lukrem, które, jak pamiętała, były ulubionym przysmakiem Geralda.

Porcelana, srebro, pokrojona w równiutkie trójkąty cytryna, mieszanka brązowych i białych kostek cukru w miseczce - to rytuał, którego zamierzała przestrzegać, dopóki będzie panią tego domu. Także Beaux Rêves nie zmieni się za jej życia.

Było gorąco na dworze, ale parasol zapewniał cień, a ogród stwarzał odpowiednią oprawę. Rosnące pod ceglany murem w olbrzymich białych donicach różane krzewy obsypane były kwiatami, a hibiscus z purpurowymi trąbkami nadawał całości nieco egzotyczny charakter.

Usiadła przy stole ze szkłem na blacie, założyła ręce i skierowała wzrok na to, co należało do niej. To była praca jej rąk.

Spojrzała, kiedy w drzwiach tarasu pojawił się Gerald. Pomyślała, że upiecze się w tym garniturze i krawacie.

- To ładnie, że przybyłeś tak szybko. Czy mogę cię poczęstować herbatą?

- Z największą przyjemnością. Odniosłem wrażenie, że miałaś zaniepokojony głos, Margaret.

- Ponieważ mam kłopot. - Kiedy podnosiła czajnik i nalewała herbatę, nie drgnęła jej ręka. - Dotyczy to moich dzieci i samego Beaux Rêves. Byłeś adwokatem Jaspera, orientujesz się więc w sprawach farmy, nieruchomości, a także udziałów naszej rodziny równie dobrze, jak każde z nas. O ile nie lepiej.

- Oczywiście. - Usiadł obok niej, zadowolony, iż pamiętała, że woli cytrynę od mleka.

- Pakiet kontrolny farmy przeszedł na Kincade'a. W siedemdziesięciu procentach. To samo dotyczy budynków i warsztatów produkcyjnych, a także młyna. Ja mam dwadzieścia procent, a Faith dziesięć.

- Zgadza, się. Zyski są dzielone i rozliczane raz na rok.

- Wiem. Nieruchomości, a co za tym idzie nasze udziały w budynkach mieszkalnych, domach, które są wynajmowane - włącznie z Domem Na Bagnach, są również zapisane na nas troje, prawda?

- Tak.

- A gdybym wycofała swoje poparcie - biorąc pod uwagę moje dwadzieścia procent i głos w radzie nadzorczej - czy mogłabym tym samym wpłynąć na zmiany, jakie wprowadził

Cade na farmie, przystopować jego działalność i zmusić go do powrotu do bardziej tradycyjnych metod?

- Na pewno bardzo byś mu utrudniła pracę, Margaret. Ale i tak miałyby nad tobą przewagę. Na jego

korzystać przemawiałoby też to, że ma zyski. Poza tym rada nadzorcza nie ma prawa wypowiedziania się w sprawie farmy, może jedynie zabierać głos w przypadku młyna i warsztatów produkcyjnych.

Pokiwała głową.

- Właśnie dzięki młynowi i warsztatom funkcjonuje farma. A gdyby mi się udało przekonać Faith, żeby dodała swój udział do mojego?

- To by oczywiście poważnie wzmocniło twoją pozycję. - Upił łyk herbaty, zadumał

się. - Pozwolisz, że zapytam, jako twój przyjaciel i adwokat - czy jesteś niezadowolona ze zmian, których dokonał Cade w Beaux Rêves?

- Jestem niezadowolona z mojego syna i uważam, że musi zacząć poświęcać więcej uwagi i energii ojcowiźnie, niż rozpraszać się na różne głupstwa. To proste - powiedziała smarując masłem pszenny herbatnik. - Chcę, żeby Wiktoria Bodeen wyniosła się z Domu na Bagnach i z Progress. W tej chwili nie mogę dojść do porozumienia z Faith, ale dopnę swego.

Zawsze była kapryśna i ulegała chwilowym fascynacjom. Wierzę, że uda mi się ją przekonać i że odsprzeda mi swój udział w nieruchomościach. Przejmę w ten sposób dwie trzecie kontroli. Zdaje się, że umowa Bodeen na dzierżawę domu i sklepu została zawarta na rok.

Chcę zerwać tę umowę.

- Margaret. - Pogłaskał ją po rękę. - Czy nie byłoby rozsądniej nie mieszać się do tego?

- Nie będę tolerowała jej związku z moim synem. Zrobię wszystko, co konieczne, żeby położyć temu kres. Chcę, żebyś sporządził dla mnie nowy testament, wydziedziczający zarówno Cade'a, jak i Faith.

Pomyślał o skandalu, o prawnych zawiłościach, o czekającym go ogromie pracy.

- Margaret, proszę, nie działaj pochopnie.

- Nie uprawomocnię testamentu, dopóki nie będę do tego zmuszona, ale chcę się nim posłużyć, chcę go pokazać Faith na dowód, że nie żartuję. - Zaciśnęła wargi. - Nie wątpię, że kiedy zda sobie sprawę, iż może stracić taką masę pieniędzy, zmieni zdanie i zacznie ze mną współpracować. Chcę, żeby w moim domu znowu zapanował porządek, Geraldzie.

Wyświadczysz mi wielką przysługę, jeżeli przejrzysz te umowy dzierżawne i znajdziesz najprostszy sposób, żeby je zerwać.

- To niebezpieczna gra, Margaret. Twój syn może się od ciebie odwrócić.

- Lepsze to, niż przyglądanie się, jak szarga rodowe nazwisko.

Od dzieciństwa nie prowadziłam dziennika ani pamiętnika, nie zapisywałam też swoich najskrytszych myśli. Wydaje mi się - skoro moje dzieciństwo tkwi tak głęboko w mojej świadomości - że powinnam to zrobić teraz. Tutaj, gdzie Hope straciła życie. Gdzie straciła swoje dzieciństwo.

To miejsce, pięknie położone, ze słodko pachnącymi kwiatami, wybrał dla niej i urządził mój tata - nasz tata. Pasuje do niej bardziej niż grób, w którym została pochowana w tamten parny pochmurny letni poranek. Nigdy z nią tu nie bywałam. Tak postanowiłam, sobie na złość, ale wówczas sprawiało mi to wielką satysfakcję.

Na cóż mi były jej idiotyczne zabawy i jej dziwaczna, zaniedbana przyjaciółka?

Choć rozpaczliwie pragnęłam być z nimi, odmówiłam przyłączenia się do nich, kiedy mi zaproponowały. Jestem trudną osobą. Czasami lubi siebie taką, jaka jestem. W każdym razie sprzeciw leży w mojej naturze i zdarza się, że niełatwo jest mi z tym żyć.

Moje życie, życie nas wszystkich, mogłoby być inne, gdyby nie tamta noc. Gdyby po moim obudzeniu się rano, Hope była w sąsiednim pokoju. Nadal bym się dąsała z powodu niełaski, która mnie spotkała poprzedniego wieczoru. Odbyła się drobna potyczka przy zielonym groszku, którego nie znosiłam i dotąd nie znoszę. Zastanawiam się, w jakim celu żąda się od dziecka, żeby jadło to, co mu nie smakuje, skoro na świecie jest tak wiele różnych potraw? Przecież z radością zjadłabym brokuły, po co więc było mi wpychać na siłę groszek do gardła?

No cóż, oto jedna z tajemnic rodzicielstwa, którą będę jeszcze musiała zbadać z drugiej strony.

W każdym razie dąsałabym się, ponieważ znajdowałam pewną przyjemność w tej czynności, zwłaszcza gdy ktoś dokładał starań, żeby położyć kres moim dąsom. Bawiło mnie zwracanie na siebie uwagi.

Już wtedy wiedziałam, że w hierarchii rodzeństwa zajmuję niskie trzecie miejsce.

Cade, jako chłopak, był prawowitym następcą. Przez krótki okres w młodości szczerze mu zazdrościłam męskich atrybutów. Oczywiście do czasu, dopóki nie dowiedziałam się, że kobieta może mieć tylu mężczyzn, ile zechce, i wykorzystywać ich do bardzo przyjemnych rzeczy.

Wcześniej odkryłam seks i cieszyłam się nim bezkarnie.

W każdym razie w wieku ośmiu lat sprawy płci były jeszcze dla mnie spowite mgłą.

Wiedziałam tylko, że Cade jest przygotowywany do roli pana na Beaux Rêves, ponieważ jest chłopcem, i to nie było dla mnie przyjemne. Cieszył się przywilejami, których mnie odmówiono z powodu płci. A także, co wydaje mi się słuszne, z powodu czterech lat różnicy między nami.

Mój ojciec spoglądał na niego z dumą, choć stawiał oczywiście Cade'owi pewne wymagania. Niestety, nie mogłam być jego synem.

Nie mogłam też być jego aniołem, tak jak Hope. Uwielbiał ją. Kochał również mnie, ale bolesna prawda była taka, że to Hope zajęła jego serce, nawet jeżeli Cade miał zająć jego pozycję i spełnić jego nadzieje. Ja byłam czym w rodzaju dodatku, bliźniaczką, która przybyła w orszaku jego anioła.

Myślę, że dla mojej matki Cade także był powodem do dumy. Urodziła syna, a tego od niej oczekiwano. Nazwisko Lavelle'ów przetrwa, ponieważ poczęła i wydała na świat osobnika płci męskiej. Była dostatecznie szczęśliwa, mogła więc przekazać znaczną część opieki nad nim ojcu. Cóż ona mogła w końcu wiedzieć o chłopcach? Ciekawe, czy Cade odczuwał ten dystans. Wyobrażam sobie, że tak, choć jakoś wyszedł z tego cało i wyrósł na wspaniałego człowieka.

A może właśnie dlatego?

Oczywiście mama uczyła go dobrych manier, dbała o jego higienę, ale jego edukacja, jego miejsce w życiu - to była domena mojego ojca. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek słyszałam, żeby pytała ojca o Cade'a.

Jej nagrodą za dobrze spełniony obowiązek była Hope. Córka, którą mogła szlifować i modelować, dziecko, które poprowadzi od maleństwa, żeby ją wydać odpowiednio za mąż.

Kochała Hope za jej słodycz i za jej milczące przyzwolenie. I nigdy, ale to nigdy nie dostrzegła jej wewnętrznego buntu. Przypuszczam, że gdyby Hope żyła, robiłaby dokładnie to, na co miała ochotę, i jeszcze potrafiłaby przekonać mamę, że to był jej własny pomysł.

Nie rozstawiała się z Tory. Mogła sobie na wszystko pozwolić.

Boże, jakże za nią tęskni. Brak mi tej mojej połowy, która była promienna, skłonna do śmiechu i złaźniona życia.

Co do mnie, byłam utrapieniem dla mamy. Tylekroć mi to powtarzała. Nie miałam odrobiny słodyczy Hope ani jej uległości. Kwestionowałam i zawzięcie walczyłam o sprawy, na których nawet nie zawsze mi zależało.

Dostrzeżcie mnie. Zaklinam was wszystkich. Dostrzeżcie mnie.

Jakie to smutne i żałosne.

Hope zaprzyjaźniła się z Tory rok wcześniej. Zbliżyły się do siebie jak jakieś pokrewne dusze. Nawet ja widziałam łączące je porozumienie, to nie wymagające słów powinowactwo.

Prawie od samego początku były nierozłączne. Bardziej przypominały bliźniaczki niż ja z moją siostrą.

Już choćby z tego powodu szczerze nie lubiłam Wiktorii Bodeen. Spoglądałam na nią z wyższością, na jej umorusane nogi, na jej wielkie, czujne oczy, na jej prostych rodziców. A źródłem tego wszystkiego była przyjaźń i bliskość z Hope.

Nabijałam się z niej, ile się dało, a poza tym ignorowałam ją. Udawałam, że ją ignoruję. A w rzeczywistości obserwowałam ją i Hope z największą uwagą, niczym polujący na zwierzynę orzeł. Wypatrywałam jakiej rysy, jakiego pęknięcia w ich związku, które mogłabym wykorzystać, wyolbrzymić, by w końcu zniszczyć to ich wzajemne uczucie.

W dniu, w którym umarła Hope, bawiły się razem w naszym domu, ponieważ Hope miała surowy zakaz odwiedzania Tory. Łamała go oczywiście potajemnie, ale większość czasu spędzały u nas gdzieś na terenie Beaux Rêves albo na bagnach.

Mama nie wiedziała nic o bagnach. Nie zgodziłaby się, żebyśmy tam chodzili. Ale my wszyscy zapuszczaliśmy się tam stale, bawiliśmy się tam. Tatuś wiedział o tym i tylko prosił, żebyśmy unikali bagien po zapadnięciu zmroku.

Przed kolacją Hope grała na werandzie w kości. Ja nie chciałam się z nią bawić.

Kiedy okazało się, że wcale nie popsulałam jej tym humoru, udałam się do swojego pokoju i przesiadywałam tam w posępnym nastroju aż do kolacji.

Nie chciałam jeść i ciągle jeszcze byłam zła na Hope, że potraktowała mnie tak obojętnie. Odbiłam to sobie przy groszku - chociaż nadal uważam, że miałam do tego prawo.

Na koniec odpyskowałam coś matce i odesłano mnie od stołu.

Strasznie tego nie lubiłam, gdy kazano mi odejść od stołu. Nie zależało mi na jedzeniu, ale było to wygnanie. Terapeuta powiedziałby pewnie, i utwierdzało mnie to w przekonaniu, że nie stanowię części rodziny w taki sposób, w jaki stanowi ją mój brat i siostra. Byłam outsiderką, która z jednej strony delectowała się swoją niezależnością, z drugiej zaś rozpaczliwie pragnęła być razem z nimi.

Udałam się więc do swojego pokoju, jakby mi na tym właśnie najbardziej zależało.

Chciałam za wszelką cenę, żeby tak myślano i nie podejrzewano, jak bardzo czuję się upokorzona i wzburzona zarazem.

Mała kupka groszku była ważniejsza ode mnie.

Położyłam się na łóżku, wpatrując się w sufit, pogrążona w poczuciu krzywdy.

Pomyślałam, że pewnego dnia będę mogła robić to, co lubię. Nikt mnie nie powstrzyma, a już tym bardziej nikt z rodziny, która tak łatwo się mnie pozbyła. Będę bogata, sławna i piękna.

Nie miałam jasno sprecyzowanego pomysłu, jak to osiągnąć, ale takie były moje cele.

Traktowałam pieniądze, sławę i urodę jako swojego rodzaju nagrodę, którą zdobędę, podczas gdy oni ugrzęzną na zawsze w tradycjach i ograniczeniach Beaux Rêves.

Rozważałam możliwość ucieczki. Może udać się do ciotki Rosie? Wiedziałam, że dotknęłabym tym moją matkę do żywego, uważała bowiem swoją siostrę za osobę, z którą są same kłopoty która

przynosi wstyd. Za kogo podobnego do mnie.

Jednak nie chciałam opuszczać domu. Chciałam, żeby mnie kochano, a to gwałtowne, unicestwiający pragnienie było moim więzieniem.

Później usłyszałam ulubioną melodię matki. Musiała przejść do swojej bawialni, gdzie pisała listy, odpowiadając na zaproszenia, układała menu na następny dzień, opracowywała rozkład zajęć i robiła inne takie rzeczy, którymi się zajmowała jako pani domu. Mój ojciec znajdował się już pewnie w swoim gabinecie w wieży pochłonięty sprawami farmy, sączący w spokoju burbona.

Lilah przemyciła mi kolację bez groszku. Nie pocieszała mnie i nie przytulała, ale tym jednym prostym gestem podniosła mnie na duchu. Niech jej Bóg wynagrodzi - za jej stałą obecność i za to, że była niewzruszona jak skała i ciepła jak grzanka.

Zjadłam, ponieważ ona mi to przyniosła, a także dlatego, że ten bunt był naszą wspólną tajemnicą. Potem leżałam, aż w pokoju zrobiło się ciemno. Wyobrażałam sobie mamę szcztokującą włosy Hope, jak zawsze wieczorem po kąpeli. Szcztokowałyby i moje, żeby było sprawiedliwie, ale ja nie usiedziałabym w miejscu. Następnie Hope uda się na górę, do tatusia, żeby mu powiedzieć dobranoc. A robiąc to wszystko, czego od niej oczekiwano, nie przestawała planować utrzymywanego w ścisłej tajemnicy buntu.

Usłyszałam ją, kiedy szła korytarzem i zatrzymała się przy moim pokoju, żałuj - ale co komu po żalu - że nie wstałam, nie otworzyłam drzwi i nie namówiłam jej, żeby weszła i dotrzywała mi towarzystwa. Może to by coś zmieniło. Pożałowałyby mnie i może powiedziałyby, co zamierza zrobić. Przy ówczesnym stanie mojego umysłu mogłabym wymknąć się razem z nią po to tylko, żeby zagrać mamie na nosie. Nie byłaby sama.

Ale nie ruszyłam się, leżałam ponura i zawzięta na łóżku. Słyszałam jak odeszła.

Nie wiedziałam, że e wymknęła się z domu. Mogłam w każdej chwili wyjrzeć przez okno i ją zobaczyć. Ale nie wyjrzałam. Zamiast tego gapiłam się z ponurą miną w ciemność, aż zasnęłam.

A kiedy spałam, ona umarła.

Nie poczułam - a mówią, że to się często zdarza bliźniakom - przerwanej więzi między nami. Nie przeczułam tragedii. Nie czułam jej bólu ani jej strachu. Spałam, jak sypia większość dzieci, mocno i beztrasko, gdy tymczasem istota, która dzieliła ze mną matczyne łono, umarła samotnie.

To Tory poczuła to przerwanie więzi, poczuła ten ból i strach. Wtedy w to nie wierzyłam, nie przyjąłam tego do wiadomości. Hope była moją siostrą, nie jej, a zatem jakim prawem rościła sobie pretensje do czego tak bardzo intymnego, co było częścią mnie?

Wołałam wierzyć, jak wielu innych, że Tory naprawdę była tej nocy na bagnach i że uciekła, pozostawiając Hope sam w obliczu przemocy.

Wierzyłam w to, chociaż widziałam ją następnego dnia. Przyszła wcześniej rano, powłócząc nogami. Szła po naszym trawniku jak stara kobieta, jakby każdy krok sprawiał jej trudności. To

Cade otworzył jej drzwi, ale podeszłam na palcach aż do schodów. Była blada jak śmierć, a oczy miała jeszcze większe niż zwykle.

Powiedziała: „Hope jest na bagnach. Nie mogłam wyjść z domu i on ją skrzywdził.

Potrzebna jest pomoc”.

Zdaje się, że zaprosił ją do środka, ale nie chciała przejść przez próg. Więc ją tam zostawił, a kiedy pędem wróciłam do mojego pokoju, wbiegł na gór i zajrzał do pokoju Hope.

Potem już wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie. Cade zbiegł na dół, wołając ojca.

Mama też zbiegła na dół. Wszyscy mówili naraz i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Mama chwyciła Tory za ramiona i potrząsała nią, krzyczała na nią. Przez cały ten czas Tory stała jak stara szmaciana lalka, oczekująca, że zaraz ją wyrzucą.

Dopiero tatuś oderwał od niej mamę i powiedział, żeby natychmiast wezwała policję.

On także wypytywał Tory, starając się panować nad głosem. Powiedziała mu o ich wczorajszych wieczornych planach, o tym, że tam nie poszła, ponieważ upadła i potłukła się.

Ale Hope poszła, a ktoś udał się tam za nią. Powiedziała to wszystko stłumionym, spokojnym głosem, głosem dorosłej osoby, przez cały czas nie spuszczając oczu z twarzy tatusia.

Powiedziała mu, że go zaprowadzi do Hope.

Dowiedziałam się później, że tak zrobiła - zaprowadziła tatusia i Cade'a, a także policję, która wkrótce nadjechała, na bagna, do Hope.

Życie nie wróciło już nigdy do poprzedniego stanu, dla nikogo z nas.

Faith odłożyła notatnik, oparła się wygodnie na ławce. Słyszała teraz świergot ptaków, czuła zapach ciemnej ziemi i kwiatów w rozkwicie. Promyki słońca drżały w splątanych koronach drzew i na mchu, tworząc na ziemi ornamenty.

Marmurowa figura stała nieruchoma, na zawsze uśmiechnięta, wiecznie młoda. Dla niej Hope żyła w dalszym ciągu.

Czy przyprowadził tutaj tę kobietą? Czy kobieta, do której przyszedł odwracając się od rodziny, siedziała tu z nim, podczas gdy on rozpamiętywał, wspominał i oplakiwał?

Dlaczego to była Hope? Dlaczego nie ja?

Z jej oczu popłynęły łzy. Nie miała pojęcia, że tam są, piekące i domagające się ujścia. Za Hope, za jej ojca, za samą siebie. Za zmarnowane życia i nie spełnione marzenia.

Za zmarnowaną miłość.

Tory przystanąła na brzegu klombu z niecierpkami. Cichy, obsypany kwiatami park zaszokował ją. W jej myślach przesunął się obraz tego miejsca, jakie było wtedy - zielone, przepastne i mroczne - jakże niepodobne do tego, które obecnie miała przed oczami. Obrazy nałożyły się na siebie, nie chciały się rozdzielić, zamrugła więc oczami, odsuwając wspomnienia.

Oto Hope, zamknięta na zawsze w kamieniu.

A oto zapłakana Faith.

Szła naprzód drząc, odpędzając od siebie obrazy wydarzenia sprzed osiemnastu laty.

Usiadła.

- Nie bywam tutaj. - Faith zanurzyła rękę w torbie, wyjęła chusteczkę i wytarła nos. -

Ciągle nie mogę sobie wyrobić zdania na temat tego miejsca: czy jest straszne, czy piękne.

- Trzeba było mieć odwagę, żeby zrobić tutaj coś takiego.

- Odwagę? - Faith wcisnęła chusteczkę z powrotem do torby i zapaliła papierosa. -

Uważasz, że to świadczyło o odwadze?

- Tak. Ja nie zdobyłabym się na to. Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Zawsze był

dla mnie bardzo miły. Nawet po... - ściągnęła wargi - nawet po tym, co się stało. A niełatwo to mu przychodziło.

- Odwrócił się od nas pod względem emocjonalnym, jakby powiedzieli psychologowie.

Porzucił nas dla swojej zmarłej córki.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Żadna z nas nigdy nie straciła dziecka. Nie wiemy, jak byśmy sobie z tym poradziły.

- Ja straciłam siostrę.

- Ja także - odpowiedziała spokojnie Tory. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Nie wiem. - Westchnęła i sięgnęła po termos, który postawiła obok ławki. - Wiem natomiast, że mam tutaj marguerite. W sam raz na gorący wieczór.

Nalała zielony płyn do dwóch plastikowych kubeczków.

- Powiedziałam przecież, że wypijemy drinka.

- Zgadza się.

- A więc za Hope. - Trąciły się kubeczkami.
- To mocniejsze od lemoniady, którą pijałyśmy tutaj.
- Lilah wciąż ją jej przygotowywała.
- Tamtego wieczoru miała butelkę coli, która nagrzała się w jej plecaku, więc. - Tory urwała i znów zadrzała.
- Widzisz znów, tę polanę?
- Tak. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mnie o to nie pytała. Nie przychodziłam tutaj, chociaż jestem w Progress od wielu tygodni. Nie miałam odwagi. Nienawidzę tchórzostwa, ale muszę jakoś żyć.
- Ludzie kładą zbyt wielki nacisk na odwagę, wszyscy też w jakiś sposób przykładają do niej swoją miarę. Nie nazwałabym cię tchórzem, ale ja mam pod tym względem małe wymagania.
- Dlaczego?
- Bo tylko w ten sposób mogę sprostać życiu. Weź na przykład moje małżeństwa. Ktoś mógłby powiedzieć, że poniosłam w nich klęskę, ale ja uważam, że wyszłam z nich zwycięsko i bez szwanku.
- Byłaś zakochana?
- Za którym razem?
- Za jednym i drugim.
- Za pierwszym razem kierowała mną namiętność. Boże, jaki ten chłopak był dobry w łóżku! Ponieważ przez pewien czas seks zajmował najważniejsze miejsce w moim życiu, trzeba mu przyznać, że wywiązał się z nawiązką z tej części kontraktu ślubnego. Był zabójczo przystojny, czarujący, elokwentny. I był kompletnym dupkiem. Poza tym miał wszystkie cechy, którymi gardziła moja matka. Czy mogłam nie wyjść za niego za mąż?
- Mogłaś poprzestać na seksie.
- Mogłam, ale dopiero małżeństwo było dla niej prawdziwym policzkiem. - Faith odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się. - Chryste, co za idiotka! Natomiast drugie małżeństwo było bardziej... spontaniczne. To znaczy, znowu zadziałał seks. Nie należało się w to wdawać, ponieważ był on ode mnie sporo starszy, a do tego żonaty, kiedy zaczęliśmy romansować. Pewnie chciałam w ten sposób ukarać mego ojca. Skoro ty się pławisz w cudzołóstwie, to i ja mogę. Tyle że zakazany romans to jedna sprawa, a małżeństwo w takiej sytuacji, to coś całkiem innego. Wierzę, że był mi dość wierny w tym pierwszym krótkim okresie, ale jakże się nudziłam. A potem i jemu się znudziło, doszedł do wniosku, że może zdradzać mnie i upijać się w trupa. Wyrobił sobie pewną markę na rynku muzycznym. Przy pierwszej okazji, kiedy postanowił poczęstować mnie sierpowym, walnęłam go mocniej, po czym odeszłam. Z rozwodu przypadła mi niezła sumka pieniędzy, nie darowałam ani pensa.

Tory pomyślała, że siedziały tutaj z Hope, i rozmawiały o planach na przyszłość. O

zwykłych, dziecięcych sprawach. Ale nie mniej ważnych, nie mniej intymnych niż te, o których teraz mówi Faith.

- A Wade?

- Nie wiem. - Faith westchnęła głęboko i napiła się z plastikowego kubka. - To dla mnie zagadka. Tu już nie chodzi o żadne korzyści ani o chęć dokuczenia komuś. Łączy nas wspaniały seks. Ale małomiasteczkowy weterynarz? Nigdy tego nie brałam poważnie pod uwagę. A teraz skomplikował to wszystko, zakochując się we mnie. Zmarnuję mu życie. -

Dopiła duszkiem marguerite, nalała sobie drugą porcję. - Jestem na dobrej drodze.

- To będzie jego problem.

Zaskoczona Faith spojrzała na Tory szeroko otwartymi oczami.

- No wiesz, wszystkiego mogłam się spodziewać, tylko nie tego, że to powiesz.

- Jest dorosłym człowiekiem, ma swój rozum. Wydaje mi się, że zawsze robił to, na co miał ochotę, i dostawał to, czego chciał. Niewykluczone, że zna ciebie lepiej niż sądzisz.

Prawdę mówiąc, zupełnie nie rozumiem mężczyzn.

- Och, to bardzo proste. - Trąciła się kubkiem z Tory. - Połowę czasu poświęcają na myślenie o kobietach, a drugą na swoje zabawy.

- To nie jest zbyt pozytywna opinia w ustach kobiety, która ma brata i kochanka.

- Nie ma w tym nic negatywnego. Kocham mężczyzn. Ktoś mógłby powiedzieć, że nic innego nie robiłam i że kochałam zbyt wielu. - Jej oczy błysnęły figlarnie. Zawsze wolałam towarzystwo mężczyzn. Kobiety są znacznie bardziej przebiegłe od mężczyzn, mają też skłonność do traktowania innych kobiet jako rywalki. Natomiast mężczyzna widzi w drugim mężczyźnie konkurenta, a to jest wielka różnica. Ty przynajmniej nie jesteś przebiegła.

Doszłam do wniosku, że nie lubienie ciebie, żywienie do ciebie urazy wymagałoby zbyt wielkiego wysiłku. - I to legło u podstaw tego... zawieszenia broni?

- A czy mogłam coś lepszego wymyślić? - Faith wyciągnęła notatnik. - Poczulałam potrzebę przelania na papier niektórych myśli, a rzadko kiedy lekceważę swoje potrzeby.

Może byś to przeczytała?

- Zgoda.

Faith podniosła się na nogi ze szklaneczką i papierosem w rękach. Stwierdziła, że od bardzo

długiego czasu nie myślała tak serio, tak uczciwie i poważnie. Poczła się silniejsza.

Czy nie byłoby dziwne, gdyby powrót Tory do Progress zapoczątkował proces poszukiwania harmonii i zadowolenia z własnego życia? Przystanąła przy figurze siostry, spojrzała na jej twarz. Czy nie byłoby szczytem ironii, gdyby się teraz odnalazła, teraz, kiedy nareszcie dotarło do niej, że przez cały czas czegoś szuka?

Obejrzała się, zerknęła na Tory. Jest taka opanowana, ale pod spodem wszystko się w niej gotuje i krzyczy.

Jest przy tym trudnodostępna, ale nie oschła.

Pomyślała, jak oschła stała się jej własna matka. I o tym, że ona sama była na dobrej drodze ku temu. Jaki to dziwny, szczęśliwy zbieg okoliczności, że to właśnie Tory dostarczyła jej bodźca, by przerwać ten galop, który prowadził ją na złamanie karku ku temu, przed czym tak się broniła przez całe życie.

Niewiele brakowało, a stałaby się zniekształconym lustrzanym odbiciem swojej własnej matki.

Zgasła niedopalek, wdeptała go pod igły sosny.

- Może powinnam się zająć pisaniem - rzuciła żartobliwie, wracając do ławki.

Słowa Faith rozbrzmiewały echem w umyśle Tory. Było jej wesoło i smutno zarazem.

I wtedy poczuła ucisk w piersi, od którego zbyt szybko i mocno zaczęło bić serce.

Te wspomnienia szturmowały jej obronny biały mur. Nie podda się. Nie pozwoli się w to wciągnąć. Pozostanie tu, gdzie jest teraz.

Jednak poczuła nagły chłód, pociemniało jej w oczach.

Notatnik wysliznął się jej z rąk, upadł na ziemię, a delikatny wiaterek zaczął rozwiewać jego kartki.

- Ktoś tutaj jest.

- Co? Wypiłaś zaledwie dwa kubeczki, a to bardzo słaby trunek.

- Ktoś tutaj jest - powtórzyła, biorąc Faith za rękę żelaznym uściskiem. - Uciekaj.

Musisz uciekać.

- G, cholera! - Faith pochyliła się i poklepała Tory po policzku. - Pozbieraj się. Weź się w garść.

- On obserwuje nas zza drzew. Czeka na ciebie. Musisz uciekać.

- Oprócz nas nie ma tutaj żywej duszy - odparła Faith, ale jednak przeszył ją dreszcz. -

Jestem Faith, nie Hope.

- Wiem o tym. - Tory za wszelką cenę starała się zachować jasny obraz, oddzielić przeszłość od teraźniejszości. - Ukrywa się za drzewami. Czuję go. Obserwuje nas. Uciekaj!

Ze strachu jej oczy zrobiły się wielkie i błyszczące. Zaczynała coś słyszeć - na razie był to słaby szmer dochodzący z krzaków na końcu polany. Ogarnęła ją panika, ściskając lodowatymi mackami.

- Jesteśmy tutaj tylko we dwie, do jasnej cholery - syknęła Faith, chwytając torebkę. -

Nie mamy ośmiu lat i nie jesteśmy bezradne. Biegnij za mną.

Wyciągnęła z torby śliczny, wykładany masą perłową pistolet kaliber 22 i pociągnęła Tory.

- O mój Boże!

- Otrząśnij się - rozkazała Faith. - Pogonimy go.

- Zwariowałaś?

- Ciekawe, kto tu zwariował. Wyłaż stamtąd, ty złamany kutasie! Usłyszała suchy trzask gałęzi, szelest liści, i rzuciła się naprzód.

- Ucieka, sukinsyn.

- Faith! Nie rób tego. - Ale ona pędziła już w stronę drzew. Nie mając wyboru, Tory pognała za nią.

Droga zwężała się, niknąc w gąszczu. Ptaki wystrzeliły ku niebu jak z procy, wyrażając krzykiem swój protest. Rozległ się plusk wody. Faith uśmiechnęła się. - Może skończył życie jako przynęta dla aligatora. Pospiesz się.

Tory poczuła zapach rzeki. Nogi zaczęły grzęznąć w mokrej ziemi. Faith pośliznęła się jak na lodzie.

- Na miłość boską, uważaj! Jeszcze się postrzelisz!

- Nie bój się, potrafią się obchodzić z tą zabawką. - Oddychała ciężko z emocji. -

Znasz bagna lepiej ode mnie. Prowadź.

- Zabezpiecz tylko ten pistolet. Wolałabym nie oberwać kulą w plecy. - Tory odgarnęła z twarzy zlepione włosy. - Możemy pobiec na skróty, zyskamy na czasie. Uważaj na węże.

- Boże, wiedziałam, że musi być jakiś powód, dla którego nienawidziłam tego miejsca.

- Działanie adrenaliny straciło nieco na sile, a na jej miejscu pojawiło się wrodzone obrzydzenie do wszystkiego, co pełza lub pierzcha. Ponieważ jednak Tory gnała naprzód, duma nie pozwoliła jej pozostać w tyle.

- Co wyście widziały w tym miejscu?

- Jest piękne. I dzikie. - Tory usłyszała kroki i podniosła rękę, zatrzymując Faith. -

Ktoś się zbliża. Od strony rzeki.

- Wraca tą samą drogą? - Faith, podniosła pistolet. - Już ja go powitam. No, wyłaż, sukinsynie! Mam broń i nie zawaham się jej użyć.

- Jezu Chryste, nie strzelajcie! - Wyłaż! I to już!

- Proszę nie strzelać na oślep. Święty Boże, panienka Faith? Panienko to ja, Piney.

Piney Cobb.

Od prawie trzydziestu pięciu lat J.R. i Carl D. razem łowili ryby w niedzielne popołudnia. Taki był ich sposób na spędzanie czasu. Kiedy po śmierci ojca J.R., jego matka poszła do pracy, matka Carla D. opiekowała się Sarabeth, gdy wracała ze szkoły, a także w soboty. Miała także dopilnować J.R. Iris płaciła jej za to.

Farmy Russ świetnie gotowała i miała żelazną wolę. J.R. bardzo szybko zaczął ją nazywać mamą. Okres jego dorastania przypadł na lata pięćdziesiąte, kiedy Ku - Klux - Klan szerzył na Południu nienawiść i znaczył swoją obecność płonącymi krzyżami, a kolorowym nie wolno było siadać przy kontuarze w jadłodajni przy Market Street. Wtedy to, nie afiszując się z tym, biały chłopiec i czarny chłopiec zostali przyjaciółmi.

Od tej pory niezmiennie, w każdą niedzielę, z rzadkimi wyjątkami świąt czy choroby, siadali obok siebie nad brzegiem rzeki z wędką. Teraz ubyło im włosów i przybyło parę centymetrów w pasie, ale rytm popołudnia pozostał w zasadzie ten sam.

W pierwszych miesiącach jego małżeństwa Boots przygotowywała dla obu wyszukane drugie śniadania, które układała w wiklinowym koszyku. Trzeba było wielu zabiegów, żeby ją do tego zniechęcić, nie raniąc przy tym jej uczuć. Piknikowy kosz wypełniony kanapkami z sałatką z kurczaka i równiutko pokrojonym jarzynami był nazbyt... kobiecy. Wystarczało im zimne piwo i parę kawałków placka mamy Cobb ze słodkich ziemniaków i orzeszków.

Ich rytuał nie zmienił się przez te wszystkie lata. Niewiele też zmieniło się nad rzeką.

Przed trzema laty umarła ze starości brzoskwinia, po której pozostało sporo samosiejek, które rosły jak chwasty, aż rada miejska wyselekcjonowała najlepsze okazy do dalszej hodowli, resztę zaś wycięła.

Teraz na gałęziach wisały niedojrzałe jeszcze owoce, czekając na pojawienie się dzieci, które pożrą je i nabawią się bólu brzucha.

Woda płynęła powoli i spokojnie, a pochylona stara wielka wierzba maczała w niej swoje delikatne zielone listki.

Od czasu do czasu pojawiała się ryba i chwytła przynętę.

Nie narzekali również wtedy, gdy nic nie złapali.

Czas zahartował ich, stali się solidnymi obywatelami, głowami rodzin. Tych kilka godzin w tygodniu, które spędzali na zarzucaniu wędki, było jak deklaracja, iż każdy z nich pozostał nadal sobą.

Kłócili się czasami na tematy polityczne, a ponieważ J.R. był zatwardziałym republikaninem, zaś Carl D. równie zagorzałym demokratą, ich debaty przybierały nieraz gwałtowny charakter i groziły wybuchem. Obaj doskonale czuli się w konfliktowej sytuacji.

W inne soboty, i w zależności od pory roku, pasjonowali się sportem. Międzyuczelniany mecz futbolu trzymał ich obu w napięciu przez całe dwie godziny.

Ale najczęściej rozmawiali o rodzinie, o przyjaciółach i o samym miasteczku. Ten temat dominował w ich dyskusjach, gdy tymczasem woda uderzała o brzeg, a promienie słońca sączyły się przez gałęzie drzew.

Jednego byli pewni - mogli się sobie ze wszystkiego zwierzyć, wiedząc, że to, co zostanie powiedziane nad rzeką, zapadnie jak kamień w wodę. Niemniej zdarzały się chwile, kiedy ich lojalność była wystawiana na próbę. Mając to na uwadze Carl D. starannie dobierał

słowa i bardzo ostrożnie naprowadzał rozmowę na ważny dla niego temat.

- Zbliżają się urodziny Idy - Mae. - Carl D., który właśnie otworzył drugie w tym dniu piwo i wpatrywał się w niezmaconą taflę wody, miał na myśli swój ą żonę. - Ciągłe jeszcze kręci nosem na tę elektryczną frytownicę, którą jej kupiłem w zeszłym roku.

- Uprzedzałem cię - odparł J.R. i wyjął ze stojącej między nimi torby garść ziemniaczanych chipsów o smaku barbecue.

- Wiem, wiem.

- Kupując kobiecie coś, co można włączyć do kontaktu, skazujesz się z góry na przegraną.

- Chciała mieć nową. Nieraz narzekała, że stara jest w kilku miejscach przypalona.

- To nie ma znaczenia. Kobieta nie lubi dostawać sprzętu kuchennego przewiązanego ozdobną kokardą. Czeką na coś niepraktycznego.

- Od dawna zachodzę w głowę, co też takiego niepraktycznego mogłoby się jej spodobać. Zastanawiałem się, czy nie pójść do sklepu twojej siostrzenicy, żeby wymyśliła coś za mnie.

- To by nie było takie złe. Tory zna się na tym.

- Ładnie urządziła ten sklep. Nieźle się napracowała.

- Zawsze była pracowita. To poważna dziewczyna, z głową na karku. Aż trudno uwierzyć, że poradziła sobie z takimi przeżyciami.

Był to punkt zaczepienia, na który czekał Carl D. Musiał jednak nadal ostrożnie manewrować. Wyjął świeże opakowanie gumy i przystąpił do obrzędu rozpakowywania jej i składania.

- Nie było jej lekko. Pamiętam, że prawie się nie odzywała, nie potrafiła powiedzieć słowa na swoją obronę. Patrzyła tylko tymi wielkimi oczami i obserwowała, co się wokół niej dzieje. Twój szwagier miał ciężką rękę.

- Wiem. - J.R. zacisnął szczęki. - Żałuję, że wcześniej o tym nie wiedziałem. Może niewiele by to

zmieniło, ale jednak.

- Teraz wiesz. Szukamy go, J.R., w związku z tą sprawą, która wydarzyła się w Hartsville.

- Chciałbym, żebyście go wreszcie złapali i żeby dostał za swoje. Za moją siostrę, chociaż jej to już niewiele pomoże. Ale kiedy go wsadzicie za kratki, przynajmniej Tory będzie mogła spać spokojnie.

- Ulżyło mi trochę, że tak mówisz, J.R. A prawda jest taka, że mam coś jeszcze gorszego w zanadru. Coś znacznie gorszego, co może i ciebie dotknąć.

- O czym ty mówisz?

- O tym, co stało się z Sherry Bellows.

- Chryste, co za paskudna sprawa. Paskudna sprawa - powtórzył J.R. i z ubolewaniem pokiwał głową. - Czegoś takiego nie mieliśmy dotąd w naszym miasteczku. Taka ładna, młoda kobieta... - Urwał i wlepił wzrok w Carla D. - Boże, chyba nie sądzisz, że Hannibal miał w tym swój udział?

- Nie powinienem o tym z tobą rozmawiać. Dręczyło mnie to jednak przez całą noc i nie mogę milczeć. W tej chwili twój szwagier nie znajduje się na liście podejrzanych. Jest jedynym podejrzanym.

J.R. poderwał się na nogi. Przeszedł się brzegiem rzeki, spoglądając na jej wąskie zakole. Było tu spokojnie, słychać było tylko odległe ćwierkanie paru zaaferowanych ptaków.

Musiał wyteńczyć słuch, żeby pochwycić dalekie odgłosy miasteczka. Chciał je słyszeć, musiał

nawiązać łączność pomiędzy tym odludziem z wysoką mokrą trawą i leniwym nurtem wody, a gwarnym Progress.

- Nie mieści mi się to w głowie. Hannibal jest nędznym tchórzem i bydlakiem. Nie potrafię o nim powiedzieć ani jednego dobrego słowa, ale żeby zabił tę dziewczynę... Nie, nie mieści mi się to w głowie.

- Ma na koncie znęcanie się nad kobietami.

- Wiem. Wiem. Nie zamierzam go tłumaczyć. Ale od znęcania się do morderstwa jest jeszcze długa droga.

- Droga może się skrócić, jeżeli znajdzie się powód.

- A jaki miałby mieć powód? - J.R. zawrócił dużymi krokami, ukucnął, aż oczy obu mężczyzn znalazły się na tym samym poziomie. - Nawet nie znał tej dziewczyny.

Spotkał ją w sklepie twojej siostrzenicy w dniu, w którym została zabita. Spotkał ją, rozmawiał z nią. Uznał, że tylko ona i Tory wiedziały, iż się kręci po okolicy. Jest jeszcze coś

- dodał, kiedy J.R. pokręcił głową. - Nie będziesz tym zachwycony. Nawet nie potrafię powiedzieć, jak mi jest przykro, że wplątałem w to twoją rodzinę, ale przy wykonaniu zadania nie mogę kierować się sentymentem.
- Nie proszę cię o to. Wydaje mi się jednak, że jesteś na fałszywym tropie. - Usiadł znowu. - Muszę to przemyśleć.
- Nie powiem, żebym od początku szedł tym tropem, dopiero Tory naprowadziła mnie prosto na niego.
- Tory?
- Udała się myślami na miejsce zbrodni. .
- Na miejsce zbrodni? - W oczach J.R pojawiło się przerażenie. - Jezu Chryste, Carl D., dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego kazałeś jej przejść tak straszną próbę?
- Zabito dziewczynę, w tym samym wieku, co moja Ella. Mam obowiązek wobec niej, J.R., i nie pomnę niczego, co mnie może przybliżyć do wykrycia sprawcy.
- Tory nie ma z tym nic wspólnego.
- Mylisz się. Ona ma z tym ścisły związek. A teraz, zanim dasz mi kopniaka, posłuchaj mnie choć przez chwilę. Przykro mi, że naraziłem ją na takie przeżycie, ale zrobiłbym to jeszcze raz, gdyby zaszła taka konieczność. Wiedziała o sprawach, o których nie mogła wiedzieć. Widziała to, jakby tam była, kiedy to się działo. Słyszałem o czymś podobnym, ale nigdy tego wcześniej nie widziałem. I nigdy tego nie zapomnę.
- Należało ją zostawić w spokoju. Nie masz prawa wykorzystywać jej w ten sposób.
- Nie widziałeś tamtej dziewczyny, J.R. I oby Bóg dał, żebyś nigdy nie zobaczył tego, co jej zrobiono. Po raz drugi jestem świadkiem czegoś tak strasznego. Gdybym słuchał uważnie, co Tory mówiła za pierwszym razem, może by do tego tym razem nie doszło.
- O czym ty, do jasnej cholery, mówisz? Nie mieliśmy nigdy w Progress zgwałconej i zamordowanej kobiety!
- Za pierwszym razem było to dziecko. - Ujrzał, jak blednie twarz J.R., a jego oczy rozszerzają się ze zgrozy. - Za pierwszym razem nie odbyło się to w mieście. Ale Tory tam była. Tak jak była tam teraz. A skoro ona mi mówi, że człowiek, który zabił Sherry Bellows, zabił także małą Hope Lavelle, gotów jestem jej uwierzyć.
- J.R. poczuł, jak zasycha mu w ustach.
- Hope Lavelle zabił jakiś włóczęga.

- Tak mówi policja. Wszyscy w to chcieli wierzyć. Uwierzył w to szeryf Tate i nie będę dyskutował, czy się pomylił, czy nie. Ale ja nie potrafię dłużej w to wierzyć. Nie będę też próbował tego zrzucić na jakiegoś przechodnia. Były inne ofiary. Tory o nich wie. Wie o nich także FBI. Zresztą oni wkrótce tu przybędą. Będą go szukali, J.R., rozmawiali z Tory, z jej mamą, a twoją siostrą. I z tobą.

- Hannibal Bodeen. - J.R. oparł głowę na rękach. - To zabije Sarabeth. - Opuścił ręce. -

On tam wróci. Zresztą dokąd miałby się udać? Boże święty, Carl D., on dotrze do Sari i...

- Rozmawiałem z tamtejszym szeryfem. Postawił człowieka, który nie spuszcza twojej siostry z oka.

- Muszę tam osobiście pojechać. Muszę ją tutaj sprowadzić.

- Gdyby była moją siostrą, zrobiłbym to samo. Pojadę z tobą, pomogę ci dogadać się z tamtejszymi glinami.

- Dam sobie radę.

- Nie wątpię. Carl D. pokiwał głową i zaczął się pakować. Usłyszał w jego głosie złość, urazę i niechęć. Spodziewał się tego. Spodziewał się, że to, co zrobił, i to, co zamierza zrobić, może zaszkodzić ich trwającej całe życie przyjaźni.

Nie pozostaje nic innego, jak czekać i przekonać się, ile z tego uda się jeszcze naprawić.

- Nie wątpię, J.R. - powtórzył. - Ale i tak się tam wybieram. Muszę porozmawiać z twoją siostrą, a chciałbym to zrobić przed chłopakami z federalnej, zanim odbiorami tę sprawę.

- Wybierasz się jako glina czy jako mój przyjaciel?

- I to, i to. Twoim przyjacielem jestem znacznie dłużej, ale jestem także gliną. -

Założył wędkę na ramię. - Jeżeli to ci nie sprawi różnicy, weźmiemy mój samochód.

Będziemy szybciej.

J.R. powstrzymywał słowa, które, wiedział to dobrze, mogłyby paskudnie zaciążyć na ich przyjaźni. Zdobył się na nikły, niewesoły uśmiech.

- Będziemy jeszcze szybciej, jeżeli włączysz syrenę i pojedziesz jak mężczyzna, a nie jak wiekowa dama.

Carl D. poczuł, że kamień spada mu z serca.

- Może tak zrobię, a przynajmniej na pewnym odcinku trasy.

Cade musiał się bardzo starać, żeby panować nad sobą. Ilekroć pomyślał o głupocie i o absurdalnym ryzyku, na jakie naraziły się wczoraj wieczorem jego siostra i Tory, ogarniała go wściekłość.

Wymówki i groźby niewiele by tu dały, a Cade nie lubił rzucać słów na wiatr.

Pośpiech niczego tu nie załatwiał, czekał więc na stosowną chwilę.

Żeby jak najlepiej rozpocząć niedzielny poranek, przetrzymał Tory w łóżku. Pieścił ją na różne sposoby, aż zaczęła właściwie reagować. Ukoilo to trochę jego własne napięte nerwy.

Przygotował śniadanie i skierował rozmowę na bezpieczne, zdawkowe tematy, takie jak książki, filmy, sztuka. Na szczęście mieli podobny gust. Nie nadawał temu jakiegoś szczególnego znaczenia, potraktował to raczej jako bardzo miły dodatek do całości.

Widział, jak Tory mimo woli zerka w okno.

Nic nie uszło jego uwadze. Ani nerwowe ruchy jej rąk, które próbowała czymś zająć, ani sposób, w jaki zastygała, nasłuchując, co dzieje się na zewnątrz. Podskoczyła, kiedy trzasnął drzwiami, wychodząc do ogrodu, gdzie pielęgnowała swoje kwiaty.

Ileż to razy widział pracującą w ogrodzie matkę. I nigdy nie był w stanie odgadnąć, o czym myślała, wyrывая chwasty.

Zarówno matka, jak i Tory pracowały z pełnym oddaniem. Klęczała w kapeluszu i w rękawiczkach, wrzucając do koszyka wyrywane bezlitośnie chwasty i przekwitłe kwiaty.

I jakie byłyby wściekle, gdyby usłyszały, że je porównuje.

Przez cały poranek Tory zachowywała niewzruszony spokój. Już sam ten fakt mógłby każdego rozwścieczyć. Nie będzie się z nim dzieliła swoimi przeżyciami! Nadal pozostanie zamknięta, wyłączona.

Postępowała tak, jak jego matka. Nie potrafił do niej dotrzeć.

Postanowił, że jednak Tory tak nie zostawi.

- Rzuć to, przejedź się ze mną.

- Przejechać się? Podniósł ją z ziemi.

- Chciałbym ci pokazać parę rzeczy. Jedź ze mną.

W pierwszej chwili poczuła ulgę. Zostanie sama. Będzie się mogła położyć, zamknąć oczy i spróbować się pozbyć tego zamętu w głowie i natłoku myśli. Kilka godzin samotności, żeby odbudować swój mur, usunąć ślady wstrząsów.

- Mam co najmniej dziesięć spraw do zrobienia. Jedź sam.

- Jest niedziela.

- Wiem o tym. A jutro, o dziwo, jest poniedziałek. Spodziewam się paru dostaw, włącznie z tą z Lavelle Cotton. Mam trochę papierkowej roboty...

- Która może poczekać do poniedziałku. - Mówiąc to zdjął jej ogrodowe rękawiczki. -

Jest coś, co chcę ci pokazać.

- Cade, nie jestem przygotowana, żeby jechać gdziekolwiek. Nie mam przy sobie torebki.

- Nie będzie ci potrzebna - powiedział, ciągnąc ją do samochodu.

- Typowo męskie gadanie - mruknęła, kiedy niemal na siłę wrzucił ją do auta. - No dobrze, pozwól, że się chociaż uczeszę.

Zerwał jej z głowy kapelusz, rzucił go na tylne siedzenie.

- Tak jest świetnie. - Zanim zdążyła coś nowego wymyślić, usiadł za kierownicą. - Jak fryzura trochę ci się potarga, będziesz jeszcze seksowniejsza.

Wziął z tablicy rozdzielczej ciemne okulary, nałożył je, wrzucił wsteczny bieg.

- Oho, kolejne typowo męskie gadanie. Wykręcił na drogę, dodał gazu.

- Jesteś śliczna, kiedy się złościysz.

- A zatem w tej chwili powinnam wyglądać rewelacyjnie.

- Wyjęłaś mi to z ust, kochanie. A poza tym uwielbiam twój wygląd niezależnie od tego, w jakim jesteś humorze. Czyż to nie wygodne? Od jak dawna się znamy, Tory?

Zgarnęła do tyłu włosy i przytrzymała je ręką.

- W sumie około dwudziestu lat.

- Nie. Znamy się dwa i pół miesiąca. Przedtem zaledwie wiedzieliśmy o swoim istnieniu. Chcesz wiedzieć, czego się o tobie dowiedziałem ostatnio?

Nie potrafiła określić jego nastroju. Mówił to z obojętnym wyrazem twarzy, a jednak...

- Nie wiem, czy chcę.

- Spodziewałem się tego. Wiktoria Bodeen jest rozważną kobietą. Zanim coś zrobi, musi przeprowadzić szczegółową analizę. Nie ufa nawet sobie samej.

- W ten sposób można się zabezpieczyć przed nieszczęśliwym wypadkiem.

- Jesteś logiczną kobietą. A przy tym nie brak ci inteligencji, dowcipu i dobroci. Oraz ciepła, które rzadko z kimś dzielisz. A wszystko znajduje się w bardzo atrakcyjnym opakowaniu.

Skręcił w wąską, zakurzoną drogę, zwolnił.

- Niezła analiza.

- To tylko powierzchowny szkic. Jesteś złożoną i fascynującą kobietą. Skomplikowaną i trudną. Wymagającą, ponieważ niczego nie żądasz. Niełatwą dla męskiego *ego*, ponieważ o nic nigdy nie prosisz.

Nie odezwała się, ale splotła ręce, co było widomą oznaką napięcia. Teraz usłyszała w jego głosie złość.

- Dalej pójdziemy na piechotę.

Zatrzymał samochód i wysiadł. Po drugiej stronie pól ciągnęły się równe rzędy bawełny, na podobieństwo maszerujących żołnierzy. Poczula zapach ziemi i nawozu, a także upału. Pomyślała, że niedawno musiał tędy przejechać kultywator, spulchniając ziemię i wywracając na drugą stronę chwasty.

Zaintrygowana, dlaczego tu przyjechali, szła za nim, a młode rośliny smagały jej nogi, jak za czasów dzieciństwa.

- Nie za wiele popadało - odezwał się Cade - ale wystarczy. Nie potrzebujemy tyle wody, co inne farmy, gdzie ziemia jest nafaszerowana chemikaliami. Jeśli traktować ziemię w sposób zgodny z naturą, ona też zachowuje się naturalnie. Co innego, gdy na siłę zmusza się ją, żeby spełniała nasze oczekiwania.

Przykucnął zdejmując okulary i zawieszając je na koszuli, a następnie uniósł końcem palca ciasno zamkniętą torbę nasienną.

- Mój ojciec użyłby preparatu regulującego, żeby zwolnić tempo wzrostu, a defoliantem usunąłby liście. Do tego przywykł. Tak właśnie postępowano. Jeżeli postępuje się inaczej, ludzie kręcą nosem. Trzeba im dowieść swoich racji. - Wyprostował się, spojrzał

jej w oczy. - Jak długo mam ci dowodzić swoich racji, Tory?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O tym, jak traktowała cię większość ludzi. Do czego przywykłaś. Powiedziałbym, że ja mam inny stosunek do pewnych spraw.

- Jesteś na mnie zły.

- O tak! Jestem na ciebie zły. Powrócimy do tego. Ale teraz zapytuję cię: czego oczekujesz ode mnie?

- Nie oczekuję od ciebie niczego, Cade.

- Do jasnej cholery! To nie jest odpowiedź. - Kiedy ruszył przed siebie, przycisnęła palcami skronie

i pospieszyła za nim.

- Dlaczego miałabym oczekiwać czegoś od ciebie, albo chcieć, żebyś był taki, a nie inny, żebyś coś zrobił, skoro jestem z tobą szczęśliwa?

Przystanął i odwrócił się w jej stronę. Na polu bezlitośnie prażyło słońce. Poczul, gotujący się w nim gniew.

- To jest jedna sprawa. Powiadasz, że czynię cię szczęśliwą. Ale w ten sposób żadne z nas nie będzie szczęśliwe na dłuższą metę.

Ból zaatakował najpierw jej żołądek, a następnie przeniósł się do serca.

- Chcesz to skończyć? Ja nie... - Ścisnęło ją za gardło, załamał się jej głos. Łzy napłynęły do oczu, piekły. - Nie możesz... - Nie znajdując słów, odsunęła się. - Przykro mi.

- Powinno być ci przykro, że tak myślisz. - Przeszedł do porządku nad jej łzami. -

Powiedziałem ci, że cię kocham. Sądysz, że wycofam się z tego, ponieważ wymagasz tyle zachodu? Przywiozłam cię tutaj, żeby ci pokazać, że doprowadzam do końca to, co zaczynam, że daję z siebie wszystko, gdy coś do mnie należy. Ty należysz do mnie. - Porwał ją w ramiona, podniósł ją do góry. - Zaczynam być zmęczony czekaniem, kiedy to wreszcie do ciebie dotrze. Troszczą się o to, co jest moje, Tory, ale oczekują czegoś w zamian.

Powiedziałem ci, że cię kocham. Daj mi coś w zamian.

- Boję się uczucia do ciebie. Nie możesz tego zrozumieć?

- Mogę, jeżeli mi powiesz, co do mnie czujesz.

- Zbyt wiele. - Zamknęła oczy. - Tak wiele, że nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie.

- Kocham się, Wiktorio, i przeżyłem w związku z tym kilka bardzo trudnych chwil. -

Przycisnął wargi do jej czoła. - Nie zmieniłbym tego, nawet gdybym mógł.

- Chcę przy tym zachować spokój. - Położyła policzek na jego piersi. Uśmiechnęła się nieznacznie, gdy rzucił okulary na ziemię. - Chcą, żeby było normalnie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że zachowanie spokoju jest czymś normalnym w miłości? Ja nie czuję się spokojny. - Pogłaskał ją po włosach. - Kochasz mnie, Tory?

- Tak. Myślę, że...

- Wystarczy samo tak. - Pociągnął ją za włosy, żeby uniosła twarz. Powtórzył to kilka razy, żebyśmy się oboje mogli do tego przyzwyczaić. Kochasz mnie?

- Tak - odparła drżącym głosem i objęła go za szyję.
- Już lepiej. Kochasz mnie, Tory? Tym razem roześmiała się. - Tak.
- Prawie doskonale. - Potarł wargami jej usta, poczuł jak miękną. - Wyjdiesz za mnie, Tory?
- Tak. - Zatrzepotała oczami, odskoczyła do tyłu. - Co?
- Liczy się pierwsza odpowiedź. - Oderwał jej stopy od ziemi, całował ją tak zawzięcie, że aż straciła oddech i zakręciło się jej w głowie.
- Nie. Postaw mnie. Pozwól mi pomyśleć.
- Przykro mi, ale klamka zapadła. Teraz będziesz z tym musiała żyć.
- Wiesz dobrze, że to był podstęp.
- Manewr - uściślił, niosąc ją z powrotem do samochodu. - I do tego cholernie udany, jeśli wolno mi mówić za siebie.
- Cade, małżeństwo to nie zabawa, a ja nawet jeszcze nie zaczęłam się nad tym zastanawiać.
- Więc będziesz musiała szybko pomyśleć. Jeżeli chcesz mieć wielkie wesele, możemy poczekać do jesieni, gdy będzie już po zbiorach. - Wrzucił ją do samochodu. - Jeżeli jednak wolisz małe i kameralne - a byłbym za tym - odpowiada mi przyszły weekend.
- Przestań. Przestań natychmiast. Nie wyraziłam zgody na małżeństwo.
- Właśnie że tak. - Usiadł obok niej. - Możesz się wycofać, wykręcać się, ale to nie zmieni faktu, że cię kocham. I ty mnie kochasz. Zmierzamy prosto do małżeństwa. Tacy już jesteśmy, Tory. Chcę żyć z tobą. Chcę założyć z tobą rodzinę.
- Rodzina. - Zmroziło ją na myśl o tym. - Czy nie rozumiesz, że właśnie... O Boże, Cade!

Ujął w dłoń jej twarz.

- Nasza rodzina, Tory. Taka, którą założymy.
- Wiesz, że to wcale nie takie proste.
- W tych sprawach nic nie jest proste. Słuszne nie zawsze oznacza proste.
- Nie pora na to. Tyle się wokół nas dzieje. - I dlatego to jest idealna pora.
- Musimy o tym racjonalnie porozmawiać - orzekła. - Kiedy przestanie mi się kręcić w głowie.
- Świetnie, porozmawiamy o wszystkim, o czym zechcesz. - Kiedy polna droga rozwidliła się, skręcił w lewo. Tory poderwała się natychmiast na siedzeniu, ścisnęło ją w żołądku.

- Dokąd jedziesz?

- Do Beaux Rêves. Muszę coś stamtąd wziąć.

- Nie jadę tam. Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz. - Położył rękę na jej dłoni. - To jest mój dom, Tory.

Czuła ból w piersiach, spociły jej się ręce.

- Nie jestem gotowa. I twoja matka tego nie chce. To jej dom, Cade.

- To mój dom - poprawił z całym spokojem. - A będzie naszym domem. Moja matka będzie musiała pogodzić się z tym faktem.

Dla Tory był to najcudowniejszy dom. Nie wytworny, jak te śliczne stare domy w Charleston, ale całkiem wyjątkowy, pełen tajemnej siły. Jako dziecko uważała go za zamek.

Kiedy parę razy odważyła się wejść do środka, gapiła się tylko i mówiła szeptem, jak poganka przekraczająca próg kościoła.

W dzieciństwie była zbyt nieśmiała, żeby się narażać na milczącą dezaprobatę Margaret Lavelle.

Jednak poprzez Hope widziała, wahała i dotykała każde pomieszczenie.

Znała widok z każdego okna, dotyk podłóg pod stopami - ceramicznych i drewnianych

- i zapach, który dominował w gabinecie w wieży - mieszaninę skóry, burbona i także tytoniu, co oznaczało obecność mężczyzny.

Taty.

Nie może sobie pozwolić, by patrzeć na to teraz oczami Hope. Musi spojrzeć na dom poprzez siebie.

Stwierdziła, że jest tak samo oszalamiający jak za pierwszym razem, kiedy go zobaczyła. Oszalamiający, z wystrzelającymi dumnie ku niebu wieżami. Beaux Rêves. Piękne marzenia z rozpościerającymi się u podnóża kwiatami, jakby złożonymi w ofierze, i z potężnymi starymi drzewami strzegącymi flanków.

Na kilka błogich chwil Tory zapomniała, że kiedy go widziała po raz ostatni, wlokła się ścieżką z przerażeniem w oczach.

- Ten dom się wcale nie zmienia - powiedziała półgłosem.

- Słucham?

- Niezależnie od tego, co dzieje się wokół niego, a nawet w jego wnętrzu, ten dom trwa.

Ucieszył się, że tak mówi o jego domu.

- Mój przodek miał silną osobowość i poczucie humoru. Obie te cechy odcisnęły się mocno na budynku. - Zatrzymał samochód, przekręcił kluczyk. - Chodź do środka, Wiktorio.

Jej uśmiech zgasł.

- Chcesz sobie narobić kłopotów?

Wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył jej drzwiczki.

- Chcę zaprosić do mojego domu kobietę, którą kocham. - Wziął ją za rękę i wyciągnął. Przypomniała

sobie, że potrafi być nie tylko elegancki i subtelny, ale również uparty.

- Jeśli będzie jakiś kłopot, poradzimy sobie z nim.

- Tobie jest łatwiej. Stoisz na twardym gruncie, jak ten dom. Ja zaś zawsze balansowałam na bagnistym terenie, muszę więc uważać na każdy krok. - Spojrzała mu w oczy. - Czy to jest takie ważne dla ciebie, żebym go teraz zrobiła?

- Tak, bardzo ważne.

- No cóż, przypomnij sobie o tym, kiedy będę tonęła. Weszli po schodach na werandę.

Przypomniała sobie, jak siedziała tu z Hope, grając w kości czy też studiując ich pirackie mapy. Wysokie szklanice z lemoniadą zroszone lodem. Lukrowane ciasteczka. Zapach róż i lawendy.

Obrazy pojawiały się i znikaly. Dwie dziewczynki o brązowych od słońca ramionach i nogach, z pochylonymi ku sobie głowami. Szepczące sekrety, chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby je usłyszeć.

- Przygoda - powiedziała spokojnym głosem Tory. - To było nasze hasło.

Zamierzałyśmy przeżyć tak wiele przygód.

- Teraz kolej na nas. - Podniósł jej rękę i złożył na niej pocałunek. - Cieszyłaby się z tego, nie uważasz?

- Sądzę, że tak. Chociaż nie zwracała specjalnie uwagi na chłopców. - Kiedy otworzył

drzwi, Tory zdobyła się na uśmiech. - Jesteś taki uparty i niemądry. - Jej serce biło zbyt mocno, a wielkie foyer ze ślicznymi ceramicznymi płytami na podłodze jawiło się jej jak niebezpieczna przepaść. - Cade.

- Zaufaj mi - powiedział i pociągnął ją do środka.

Jak zawsze, powietrze było tu chłodne, świeże i pachnące. Zapamiętała jego magię, a także ostry kontrast z duchotą własnego domu, i to, że tutaj zapachy po kolacji z poprzedniego dnia nigdy nie psuły atmosfery.

I przypomniała sobie, że stała już tutaj przedtem z Cad'em.

- Byłeś wysokim chłopcem jak na swój wiek. - Za wszelką cenę starała się panować nad głosem. - Wydawałeś mi się taki wysoki i taki śliczny. Królewicz na zamku. Nadal taki jesteś. Tak niewiele się tutaj zmieniło.

- Tradycja jest dla Lavelle'ów swoistą religią. Przyswaja się nam ją od urodzenia. To wygoda, ale też pułapka. Wejźmy do saloniku. Przyniosę ci coś zimnego do picia.

Nie wolno jej było wchodzić do saloniku, i już miała to powiedzieć, gdy w porę się powstrzymała. Mogła siadywać w kuchni, jeśli weszła od tyłu. Lilah dawała jej lody, colę, ciasteczko. A jeżeli pomogła zamieść podłogę, mogła potem do słoika ukrytego pod łóżkiem włożyć kolejną ćwierćdolarówkę.

Nie miała wstępu do tej części domu, w której mieszkali Lawelle'owie.

Z trudem odsunęła cisnące się dawne obrazy, skoncentrowała się na teraźniejszości.

Kwitły wczesne lilie, a we wnęce pod schodami, na wspaniałym stole, stał wazon wypełniony kompozycją z tych kwiatów.

Ich zapach był bardzo kobiecy. Obok nich, na gładkich błękitnych podstawkach, umieszczono wysokie białe świece. Nikt ich nie zapalał, stały więc czyste, nietknięte i doskonałe.

Jak na fotografii. Każdy przedmiot miał tu swoje tradycyjne miejsce, jakby ich nie dotykano od dziesiątków lat.

A teraz ona wchodzi na tę scenę.

Właśnie postąpiła kilka kroków w stronę drzwi saloniku, kiedy na szczycie zataczających szeroki łuk schodów pojawiła się Margaret.

- Kincade! - Głos miała ostry, niemiły. Nawet nie drgnęła jej ręka, którą położyła na balustradzie. Zeszła z wysoko podniesioną głową i zatrzymała się w połowie drogi. -

Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Oczywiście. - Znał ten ton, znał tę wyniosłą pozę i nie uznał za stosowne okraszyć swojej odpowiedzi uprzejmym uśmiechem. - Właśnie prowadzę Tory do saloniku. Może byś do nas dołączyła?

- Wolę z tobą porozmawiać na osobności. Wejdz na górę. - Odwróciła się pewna, że syn pójdzie za nią.

- Niestety będziesz musiała z tym poczekać - powiedział uprzejmym tonem. - Mam gościa.

Aż ją poderwało, stanęła jak wryta, odwróciła błyskawicznie głowę akurat w momencie, kiedy Cade wprowadzał Tory do saloniku.

- Cade, nie rób tego! - powiedziała Tory. Dawna uraza i niechęć zamieniły się w nienawiść. - To się mija z celem.

- To jest jak najbardziej celowe. Czego się napijesz? Jestem pewny, że Lilah ma w kuchni mrożoną herbatę, a w barze znajdzie się woda sodowa.

- Nic nie chcę. Nie posługuj się mną jak bronią. To nie fair.

- Kochanie. - Pochylił się, żeby ją pocałować w czoło. - Nic takiego nie robię.

- Jak śmiesz? - W drzwiach stanęła Margaret. Była blada, miała zaciętą twarz, a z jej oczu wyzierała złość. - Jak śmiesz mnie w ten sposób znieważać, i to z tą kobietą? Chyba dostatecznie jasno wyraziłam swoje życzenie. Nie chcę jej widzieć w moim domu.

- A może to ja wyraziłem się nie dość jasno? - Cade położył rękę na ramieniu Tory. -

Tory jest ze mną i jest tu mile widziana. I oczekuję, że każdy, kogo przyprowadzę do domu, zostanie potraktowany uprzejmie.

- Skoro nalegasz na rozmowę w jej obecności, nie widzę powodu, dla którego miałabym udawać uprzejmość i okazywać dobre maniery. Masz pełną swobodę i możesz spać, z kim tylko zechcesz. Nie jestem w stanie ci tego zakazać ani żądać, żebyś nie spędzał

czasu z tą kobietą i nie narażał siebie i całej rodziny na plotki. Ale nie wprowadzisz tego wycierucha pod mój dach.

- Uważaj, mamó! - Głos Cade'a był spokojny, niebezpiecznie spokojny. - Mówisz o kobiecie, którą zamierzam poślubić.

Margaret zachwiała się, jakby otrzymała potężny cios. Krew napłynęła jej do twarzy.

- Postradałeś rozum?

„Gdzie jest mój tekst? - zastanawiała się Tory. - Przecież muszę mieć jakąś rolę w tym dziwnym przedstawieniu? Dlaczego nie mogę go sobie przypomnieć?”

- Nie proszę cię o przyzwolenie. Wprawdzie żałuję, że to cię zasmuca, niemniej jednak będziesz się musiała dostosować.

- Cade! - Tory odzyskała głos. - Jestem pewna, że twoja matka wolała - by porozmawiać z tobą na osobności.

- Nie mów za mnie - warknęła na nią Margaret. - Widzę, że zbyt długo czekałam.

Jeżeli będziesz się upierał przy tej kobiecie, możesz stracić Beaux Rêves. Użyję mojego wpływu i przekonam radę nadzorczą Lavelle Cotton, żeby cię zdjęli ze stanowiska prezesa firmy.

- Możesz próbować - odparł spokojnie Cade. - Nie uda ci się. Pokonam cię, bo mam przewagę. A gdybyś nawet podkopała moją pozycję w fabryce, w co wątpię, nie ruszysz nigdy plantacji.

- Taka jest twoja wdzięczność? To jej robota. - Margaret rzuciła się przed siebie, a jej obcasy zastukały o twardą drewnianą podłogę. Wystarczył jeden krok, by Cade znalazł się między Tory a matką.

- Nie, to moja robota. Zmier się ze mną.

- O rany, urządzamy przyjęcie! - Z pędzącą przy nodze Bee do pokoju wkroczyła Faith. Uśmiechała się, czekając na dalszy rozwój wydarzeń. - Cześć, Tory. Ślicznie wyglądasz. Może trochę wina?

- Świetny pomysł, Faith. Poczęstuj Tory winem - powiedział Cade.

- Okrywasz hańbą rodzinę, a także pamięć swojej siostry - zawołała Margaret.

- Nie ja, lecz ty. Hańbą jest obwinianie jednego dziecka za śmierć drugiego. Hańbą jest traktowanie niewinnej kobiety z taką pogardą i zjadłością. Niestety nie udało ci się nigdy wyjść poza własne nieszczęście i dostrzec dzieci, które zostawiłaś samopas, żyłaś jak wewnątrz bańki mydlanej.

- Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób!

- Próbowałem już różnych sposobów. Jeżeli postępowałaś tak, ponieważ inaczej nie mogłaś, nie potępiam cię za to. Jeżeli zamierzasz wieść takie same życie, jak przez ostatnie osiemnaście lat, twój wybór. Ale Faith i ja mamy swoje własne życie. A ja będę je dzielił z Tory.

- Co słyszę, moje gratulacje! - Faith wzniosła kieliszek wina, który dopiero nalała, po czym sama go wypila. - Uważam, że tu potrzebny jest szampan. Tory, pozwól, że będę pierwsza, która cię powita na łonie naszej szczęśliwej rodziny.

- Uspokój się - syknęła Margaret, na co Faith tylko wzruszyła ramionami. - Myślisz, że nie wiem, dlaczego to robisz? - zwróciła się znowu do Cade'a. - Żeby mi dokuczyć. Żeby mnie ukarać za jakieś wymaginowane krzywdy. Jestem twoją matką i robiłam dla ciebie wszystko, co uważałam za najlepsze od dnia, w którym przyszedłeś na świat.

- Wiem o tym.

- Czyż to nie przygnębiające? - mruknęła Faith.

- Nie mam cię za co karać ani za co ci dokuczać. To, co robię, nie jest wymierzone przeciwko tobie, mamó. Robię to dla siebie. W moim życiu zdarzył się cud. Wkroczyła w nie Tory. - Znowu ujął jej rękę, stwierdził, że jest lodowata, przyciągnął ją do siebie. - Odkryłem, że stać mnie na więcej niż przypuszczałem. Jestem zdolny do miłości i chcę jej dać z siebie wszystko, co najlepsze. Staram się wybrnąć z obecnej trudnej sytuacji. Ona w to nie wierzy, nawet słuchając tego, co mówię. Ale ja jestem o tym przekonany. I zamierzam strzec tego jak skarbu.

- Do jutra sędzia Purcell zredaguje mój nowy testament. Wydziedziczą was. -

Spojrzała wściekłym wzrokiem na Faith. - Ani centa, rozumiesz? Chyba że staniesz teraz po mojej stronie. Przecież nie jesteś osobiście zainteresowana tą kobietą. Dopilnuję, żebyś otrzymała swoją część, a także część Cade'a, poczynając od uczciwej wyceny twojego udziału w Domu Na Bagnach i lokalu przy Market Street.

Faith zadumała się nad winem.

- Hm. A na ile by opiewała ta uczciwa wycena?

- W przybliżeniu na jakieś sto tysięcy - odparł Cade. - Nie potrafię powiedzieć, jaki jest mój udział w majątku naszej matki, ale przypuszczam, że może być nawet siedmiocyfrowy.

- O rany! - mruknęła Faith. - Kto by pomyślał. I to wszystko może być moje, jeżeli rzucę Cade'a wilkom na pożarcie, czyli innymi słowy, postąpię zgodnie z twoim życzeniem. -

Odczekała chwilę. - Kiedy to, mamó, postępowałam zgodnie z twoim życzeniem?

- Byłoby mądrzej, gdybyś przemyślała wszystko.

- Druga kwestia. Czyja kiedykolwiek postępowałam mądrze? Napijesz się wina, Cade, czy wolisz raczej piwo?

- Nie złożę ci drugiej takiej propozycji - powiedziała chłodnym tonem Margaret. -

Jeżeli zależy ci na uczestniczeniu w tej farsie, opuść ten dom i nie będziemy sobie miały już nic więcej do powiedzenia.

- Jest mi przykro z tego powodu. - Głos Cade'a pozostał spokojny. - Mam nadzieję, że zmienisz zdanie w odpowiednim czasie.

- Przedkładasz ją nad rodzinę? Nad swoją własną krew?

- Bez chwili wahania. Współczuję ci, że nigdy nie żywiłaś do nikogo podobnego uczucia. Gdybyś je znała, nie kwestionowałabyś tego.

- Ona cię zrukuje. - Margaret spojrzała na Tory. - Uważasz, że jesteś taka zdolna i że sobie z tym poradzisz? Wierzysz, że wygrałaś? Mylisz się jednak. W końcu zobaczy cię taką, jaka jesteś, i zostaniesz z niczym.

- Widzi mnie taką, jaka jestem. To jest mój cud, pani Lavelle. Proszę mu nie kazać wybierać między nami. Proszę nam wszystkim nie kazać z tym żyć.

- Miałam inne dziecko, które ciebie wybrało i zapłaciło za to najwyższą cenę. Teraz odbierzesz mi drugie. Poczynię odpowiednie przygotowania, żeby natychmiast opuścić ten dom - powiedziała do Cade'a. - Trzymaj ją z daleka ode mnie, dopóki nie będę gotowa.

- No, no, nie najgorzej. - Po wyjściu matki, Faith naląła sobie drugi kieliszek. - Jakie to miłe.

- Faith.

- Och, nie patrz na mnie w ten sposób - zachnęła się Faith, nie chcąc go słuchać. - Nie sądzę, żebyście byli tym ubawieni, ale ja tak. Bardzo. I biorę Boga na świadka, że sobie na to zasłużyła.

- Idź z nią porozmawiać, Cade. Nie możesz tego tak zostawić.

- Jeżeli tylko spróbuje, stracę dla niego cały szacunek i podziw, które mam od niedawna. - Faith

pocałowała go w policzek. - Wygląda na to, że ostatecznie nie udało się jej nas zrujnować.

Odjął jej rękę, przytrzymał. - Dziękuję ci.

- Och, kochanie, to była dla mnie sama przyjemność. - Unosząc do góry kieliszek, opadła na fotel, uśmiechając się promiennie do Bee, która wskoczyła jej na kolana. - Co do mnie, zamierzam to uczcić.

- Co? Oświadczenie Cade'a, że ma zamiar ożenić się ze mną, czy nieszczęście twojej matki?

Faith przechyliła głowę i z uwagą przyjrzała się Tory.

- I jedno, i drugie, ale, jak widzę, jestem w tym osamotniona. Jesteś zbyt wrażliwa, zbyt dobra. Och, jakże ona tego nienawidzi. Mamy więc kolejny powód do świętowania -

uznała i wypła łyk wina.

- To niesympatyczne, Faith - mruknął Cade.

- Och, pozwól mi jeszcze poszczebiotać przez chwilę, dobrze? Nie każdy jest taki uwznioślony jak wy. Na Boga, wy rzeczywiście do siebie pasujecie. I kto by pomyślał?

Cieszę się waszym szczęściem. Wyobrażacie to sobie? Poważnie cieszę się waszym szczęściem. Może się nawet trochę rozkleiłam.

- Postaraj się zapanować nad tym kłopotliwym okazywaniem uczuć. -

Zniecierpliwiony Cade odwrócił się do Tory. - Muszę tylko coś wziąć z gabinetu i zaraz potem ruszamy. Wytrzymasz?

- Cade, porozmawiaj z matką.

- Nie. - Pocałował ją delikatnie. - To nie potrwa długo.

- Napij się wina - zasugerowała Faith, kiedy zostały same. - Przywróci twoim policzkom choć trochę koloru.

- Nie chcę żadnego wina. - Tory odstawiła na bok kieliszek, po czym podeszła do okna. Chciała już znaleźć się na zewnątrz, gdzie mogłaby spokojnie oddychać.

- Jeżeli się uprzesz, żeby wyglądać na nieszczęśliwą, popsujesz tylko całą radość Cade'owi. Zrobił to, ponieważ cię kocha.

- A ty?

- To ciekawe pytanie. Rok temu, a nawet miesiąc temu, może bym na to poszła. To straszna kupa pieniędzy, a ja naprawdę uwielbiam robić zakupy.

- Nie, nie zrobiłabyś tego, nigdy byś tego nie zrobiła, i powiem ci dlaczego. - Tory zerknęła za siebie. - Po pierwsze, gdybyś je wzięła, to tylko po to, żeby je rzucić jej w twarz, a po drugie, i to jest najważniejsze, nie zrobiłabyś tego z powodu Cade'a. Ponieważ go kochasz.

- Tak, kocham... a miłość niełatwo nam obojgu przychodzi. Już matka o to zadbała.

- Czy zamierzasz ją winić za wszystko?

- Nie, tylko za to, co jej się należy. W dużej mierze sama zepsułam sobie życie. On nigdy nie dał sobie wyrządzić krzywdy, podobnie jak też nikogo nie skrzywdził. Ogromnie go kocham.

Zdumiona Tory zobaczyła łzy w oczach Faith.

- Nie powiedział jej tego po to, żeby ją zranić, ale dlatego, że to prawda. Mnie natomiast chodziłoby głównie o dokuczenie jej. Możesz jej żałować, ale nie oczekuj tego ode mnie. Chcę zobaczyć, jak Cade wykorzysta swoją szansę.

- Dlaczego mu tego nie powiedziałaś?

- Mówię to tobie. Widzę, co do ciebie czuje, i pragnęłabym móc poczuć to samo do kogoś. Nie po to, żeby się stać kimś lepszym. Lubię siebie taką, jaką jestem. Ale jeżeli znaczy się dla kogoś tak wiele...

- Zamyśliła się nad kieliszkiem wina, zapatrzyła na przeświecające przezeń światło.

- Przypuszczam, że wiesz już, co znaczy odwzajemniona miłość.

- Ciekawe. Będę musiała rozgryźć ten orzech. - Podniosła wzrok, kiedy wszedł Cade. -

Sądzę, że chcecie teraz zostać sami.

- Tak.

- A więc mamy się wynieść razem z Bee, prawda? - Wsadziła nos w futerko psa, po czym postawiła go na podłodze. - Najlepiej, jeżeli wyjdziemy na dwór i przeczekamy, aż atmosfera w tym domu trochę się oczyści. - Mijając Cade'a, dotknęła jego policzka. - Radzę, żebyście zrobili to samo.

- Jeszcze nie teraz. - Odczekał, kiedy zamkną się za nią drzwi, po czym wyciągnął

rękę do Tory. - Chcę to zrobić tutaj. Możemy to potraktować jak zamknięcie koła, które zatoczyliśmy.

- Cade, to było takie trudne dla ciebie, dla nas wszystkich. Ja... - Nie, nie było. I jest po wszystkim. Dla nas to dopiero początek. - Wyjął z kieszeni pudełeczko, otworzył je.

Brylant, na który padł promień światła, rozbłysł pełną krasą. - Należał do mojej babci.

Wpadła w popłoch.

- Nie. - Szarpnęła ręką, ale trzymał ją mocno za palce.

- Dostałem go, żebym pewnego dnia ofiarował go kobiecie, którą zechcę poślubić. Nie dałem go Deborah. Nie przyszło mi nigdy na myśl, żeby jej go dać. Pewnie wiedziałem, że przechowuję go dla kogoś innego. Popatrz na mnie, Tory.

- To wszystko dzieje się tak szybko. Nie powinieneś się tak spieszyć.

- Dwadzieścia lat czy dwa miesiące? Tu nie chodzi o czas. Jeżeli nie potrafisz uwierzyć w to co mówię, jeżeli to za mało, żebyś poczuła się pewna, przyjrzyj się temu, co ja czuję. - Podniósł jej rękę do swojego serca. - Wejrzyj we mnie, Tory.

Nie mogła odmówić. Nie mogła się powstrzymać. Poczwała jego ciepło i siłę. I nadzieję. Serce Cade'a biło równomiernie, bez zmrużenia powiek patrzył jej w oczy. Ufał jej całym sobą. Następny krok należał do niej.

- Pragnę, żebyś we mnie wejrzała, ponieważ nie potrafię ci powiedzieć, co czuję. Boję się, ponieważ tak dużo jest we mnie tego uczucia. Nie chciałam się już nigdy w nikim zakochać. Ale nie wiedziałam, że może być inaczej. Nie wiedziałam, że to możesz być ty.

Jesteś taki zrównoważony, Cade. - Uśmiechając się, podniosła rękę, żeby pobawić się jego włosami. - Uspokajasz mnie.

- Wyjdź za mnie.

- O Boże! - Westchnęła głęboko. - Zgadza się. - Spojrzała w dół, kiedy jej wsuwał pierścionek na palec. - Jest taki piękny, że aż kręci mi się w głowie.

- Trochę za duży. Masz szczupłe palce. Będziemy go musieli dopasować.

- Nie od razu. Najpierw chcę się do niego przyzwyczaić. - Złożyła rękę w pięść, a po krótkiej chwili westchnęła. - Ona go kochała, - Jej oczy zdawały się gdzieś płynąć. - Twoja babcia. Kochała go. Miała na imię Laura i była szczęśliwa.

- Więc i my, będziemy szczęśliwi - obiecał. Postanowiła mu uwierzyć.

Carl D. jechał na włączonych syrenie, nie schodząc poniżej stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Nie było to konieczne, ale wprawiało go w miły, lekko euforyczny stan. A poza tym widział, jaką przyjemność sprawia tym J.R. Dopiero kiedy skończyła się szosa, zwolnił i wyłączył syrenę.

- Może właśnie tym powinniśmy się zajmować w niedziele, zamiast łowić ryby?

- Pobudza krążenie - przyznał J.R. - Kiedy dociskasz gaz, zapominasz, że jesteś starym przykiem.

- Niby kto jest tym starym przykiem? Powiem ci, co zrobię, J.R., o ile uznasz, że tak będzie lepiej. Wysadzę cię pod domem twojej siostry, po czym sobie odjadę i zamelduję się u szeryfa. Będziesz sobie mógł z nią porozmawiać i przekonać ją, żeby spakowała swoje rzeczy.

- Doceniam to. - Było mu ciężko na duszy, ale robił, co mógł, żeby się nie pogrążyć w czarnych myślach. - Nie będzie chciała się ruszyć, więc to może trochę potrwać. Najlepiej, jeżeli jej powiem, że jesteśmy prawie pewni, iż Han nadal przebywa w okolicy Progress, i że będzie bliżej niego, jeżeli ze mną pojedzie.

- Co akurat może się okazać prawdziwe. Kiedy ją przywieziesz, wzmocnię patrole na twojej ulicy. Chciałbym, żebyś zaczął korzystać z tego luksusowego systemu alarmowego, na który parę lat temu namówiła cię Boots.

- Używam go od czasu znalezienia tej Bellows. Boots mówiła, że nie zazna chwili spokoju, dopóki go nie uruchomimy. - Pomyślał o ich miasteczku, o ulicach, po których mógł

się poruszać z zamkniętymi oczami, o ludziach, których znał po imieniu. I o tych wszystkich, którzy znali jego. - To nie miało tak być.

- Nie, ale czasem właśnie tak bywa. Dorastaliśmy razem z tobą. Widzieliśmy zmiany zachodzące w Progress, a większość z nich była słuszna. Podporządkowaliśmy się im, może nam trochę czegoś ubyło, kiedy wybudowali domy na polach, na których zwykle grywaliśmy w piłkę, albo kiedy ni stąd ni zowąd postawiono kolejny pieprzony supermarket i zaczęto mówić o przeniesieniu pawilonów handlowych na obrzeża miasta. Ale podporządkowaliśmy się. Do pewnych zmian trzeba podchodzić w całkiem inny sposób.

J.R. uśmiechnął się lekko.

- Co chcesz, do diabła, przez to powiedzieć?

- A żebym to ja sam wiedział! Czy to tutaj mam skręcić?

- Taak. Droga jest parszywa. Zechciej uważać na miskę olejową. Wstyd mi, że zobaczysz, jak ona żyje.

- Daj spokój. Zbyt długo się przyjaźnimy, żebyśmy mieli teraz robić zbędne ceregiele.

- Samochód podskoczył, zachrobotał. Krzywiąc się, Carl D. zwolnił do minimum. Po czym wyężając wzrok, zmrużył oczy. - Co tu się dzieje? A niech to krew zaleje! - powiedział i nacisnął gaz, by resztę wyboistej drogi przebyć w dzikich podskokach.

Przed domem stały dwa policyjne radiowozy. Napięta żółta policyjna taśma otaczała ohydne podwórko. Ledwo zdążył zahamować, gdy natychmiast mundurowy, stojący na pokruszonym ganku, zszedł na dół.

- Russ, komendant policji w Progress. - Pokazał swoją legitymację. - Co tu się stało?

- Mieliśmy tu wypadek. - Policjant miał bladą twarz i oczy ukryte za ciemnymi okularami. - Poczekajcie tutaj. Szeryf jest w środku. Będzie chciał od was wyjaśnień.

- Tu mieszka moja siostra. - J.R. złapał glinę za rękaw. - Czy coś się z nią stało.

- Będzie pan musiał porozmawiać z szeryfem. Proszę nie przekraczać wyznaczonej linii - rozkazał i wszedł do domu.

- Coś musiało się stać z Sarabeth. Muszę...

- Poczekaj. - Carl D. chwycił go za ramię. - Tylko spokojnie. Nic tu po tobie. Musimy zachować spokój.

Dojrzał już ciemną plamę na brudnej ziemi przy kurniku i drugą, rozmazaną, na wybujałej trawie.

Szeryf Bridger był muskularnym mężczyzną o twarzy zniszczonej przez wiek i klimat.

Miał wyblakłe niebieskie oczy, osadzone pośród zmarszczek, które wyglądały tak, jak gdyby były wypalone na skórze przez słońce. Wszedł na zewnątrz, rozejrzał się, zatrzymał się na chwilę, by otrzeć krople potu z czoła.

- Komendant Russ?

- Zgadza się. Szeryfie, przywiozłem tu pana Mooneya, żeby mógł zabrać do siebie siostrą. Sarabeth Bodeen. Co tu się stało?

Bridger przeniósł wyblakłe oczy na J.R.

- Jest pan bratem Sarabeth Bodeen?

- Tak. Co z nią?

- Przykro mi, że muszę to powiedzieć, panie Mooney. Mieliśmy tu rano pewien kłopot. Pańska siostra nie żyje.

- Nie żyje? O czym pan mówi? Rozmawiałem z nią nie dalej jak dwa dni temu. Carl D., powiedziałaś, że pilnuje jej policja.

- Zgadza się, pilnowaliśmy. I straciłem dziś rano człowieka. Dobrego człowieka z rodziną. Przykro mi z powodu pańskiej straty, panie Mooney.

- J.R., usiądź. Posiedź, aż poczujesz pod sobą nogi. - Carl D. otworzył drzwi samochodu i lekko popchnął tam swojego przyjaciela. Twarz J.R. była niebezpiecznie czerwona, zaś jego potężne ciało zaczęło dygotać.

- Czy nie mógłby mu ktoś przynieść wody, szeryfie? Bridger odwrócił się, by dać znak mundurowemu.

- Purty, przynieś szklankę wody panu Mooney owi.

- Posiedź sobie. - Carl D. kucnął obok, aż zatrzeszczały mu kolana. - Siedź tutaj i próbuj oddychać. A ja pójde zobaczyć, co da się zrobić.

- Dopiero co z nią rozmawiałem - powtórzył J.R. - W piątek wieczorem. - Wiem o tym. Na razie siedź tutaj i czekaj. - Odszedł od samochodu, na tyle daleko, by J.R. nie mógł

go słyszeć. - Mógłbym się dowiedzieć, co tu się wydarzyło?

- Ustalaliśmy to przez parę godzin. Flintowi trafiła się zmiana między drugą a dziesiątą. Nie wiedzieliśmy, że są kłopoty, dopóki nie przyjechał jego zmiennik i go nie znalazł. Tam. - Bridger pokazał w stronę kurnika.

Zabrali jego człowieka do kostnicy, zapakowali w czarny worek. Nieprędko zapomni ten widok.

- Dostał kulę w plecy. Był młody, silny. Próbował się jeszcze dostać do samochodu, czołgał się cztery i pół metra. Odbezpieczył broń, nie wypuścił jej z ręki. Ktoś przyłożył mu rewolwer do ucha i nacisnął spust. Miał trzydzieści trzy lata. Zostawił dziesięcioletniego synka i ośmioletnią córeczkę. Czuję się odpowiedzialny za to, że nie mają teraz ojca.

Wysłałem go tutaj. Wiedziałem, że Bodeen jest niebezpieczny, ale nie wiedzieliśmy, że ma broń. Dotychczas nigdy nie używał broni palnej. Zabił mojego człowieka, strzelając mu w plecy. Carl D. wytarł wierzchem dłoni usta.

- A pani Bodeen?

Sarabeth. Sari Mooney, która siadywała na ganku jego matki, jadała przy jej stole.

- Według mojego rozeznania wiedziała, że on wraca. Spakowała walizkę. W sypialni jest pusty słoik po kawie, w którym mogła przechowywać pieniądze na bieżące wydatki.

Forsa zniknęła. Drzwi były otwarte, nie wylamane. Wpuściła go albo sam wszedł do środka.

Strzelił do niej dwa razy. Jeden strzał w pierś, drugi w tył głowy.

Carl D. rozejrzał się po domu, po obejściu.

- Domyślam się, że zebraliście wstępne informacje.

- Tak. Rozmawialiśmy z sąsiadami. W końcu znalazło się paru, którzy potwierdzili, że słyszeli coś, co mogło być strzałami, i że działo się to między piątą a piątą trzydzieści rano.

Ludzie mają tutaj swoje sprawy. Nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi.

Upał był niemiłosierny. Carl D. wyjął chustkę i wytarł nią twarz.

- Jak on się tu dostał?

- Nie potrafię powiedzieć. Może zatrzymał jakiś samochód. Może go ukradł.

Próbujemy się czegoś na ten temat dowiedzieć.

- A pieniądze ze słoika po kawie? To się nie trzyma kupy. Miała spakowaną walizkę?

- Zgadza się. Są tam jej ubrania i trochę jego. Wiedziała, że wraca. Przesłuchujemy nagrania rozmów telefonicznych. Przypuszczam, że do niej dzwonił, a ona mu opisała, jaka tu jest sytuacja. Nie należała do tych, co rwą się do współpracy z policją. Czy pan Mooney czuje się na siłach, żeby zidentyfikować jej zwłoki?

- Tak. - Carl D. ponownie otarł usta. - Zrobi to. Powiadomiliście już matkę zmarłej?

- Nie. Zamierzam się tym zająć po powrocie na posterunek.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pozwolił mi pan zająć się tym. Nie chciałbym wkraczać na wasz teren, ale ona mnie zna.

- Z przyjemnością odstąpię panu ten przykry obowiązek.

- To świetnie. Wezmę ze sobą J.R. Będzie im razem łatwiej.

- Zgoda. Bodeen jest teraz zabójcą policjanta. Jeśli to może przynieść jakąś ulgę pańskiemu przyjacielowi, proszę mu powiedzieć, że ten sukinsyn nie ucieknie daleko.

- Jeżeli będzie mnie pan informował na bieżąco, szeryfie, przyłączę się do akcji. Jutro, najdalej pojutrze, oczekuję przybycia policji federalnej. Na pewno będą się chcieli z panem skontaktować.

- Zrobię, co będę mógł. Ale to jest mój teren i to mojego człowieka wynieśli stąd rano w worku. - Bridger splunął na ziemię. - Niech Bodeen modli się o to, żebym go nie dostał w swoje ręce.

Wiele kilometrów stamtąd Hannibal Bodeen pożerał kotlet wieprzowy. Ukradł go, razem z chlebem, serem i butelką whisky, z domu, do którego się włamał. To było dość łatwe, jako że cała rodzina udała się do kościoła. Obserwował ich, kiedy opuszczali dom i w tych swoich szykownych niedzielnych ubraniach ładowali się do wypucowanego mikrobusu.

Hipokryci. Udają się do kościoła, żeby się pochwalić swoimi dobrami ziemskimi. Żeby się puszyć w domu Pana.

Bóg ich pokarze, tak jak pokarał wszystkich zarozumiałych i napszonych. Bóg wie, co czyni.

Znalazł masę jedzenia w tym dużym domu. Zawinięte i jeszcze ciepłe mięso z wczorajszej kolacji. Wystarczająco dużo, żeby zregenerować organizm. I dostatecznie dużo picia, żeby go utrzymać w dobrej formie, kiedy nadejdzie jego godzina spełnienia. To błędzenie po omacku było próbą, sprawdzianem.

Rzucił na bok kość i długo nie odejmował butelki od ust.

Przez chwilę pograżył się w rozpacz. Dlaczego to jego pokarało, jego, prawego człowieka? Ale po chwili wszystko stało się jasne. Został poddany próbie, został wybrany i musi udowodnić, że na to zasłużył. Bóg wciąż wystawia go na pokuszenie. Bywało w przeszłości, że okazywał się słaby,

bywało, że ulegał pokusom. Ale teraz nadarzała się dobra okazja.

Szatan mieszkał w jego domu, pod jego dachem, przez osiemnaście lat. Zrobił

wszystko, co mógł, żeby go wypędzić, ale poniósł porażkę. Tym razem nie zawiedzie.

Napił się whisky, która go wzmocniła. Już niedługo, już bardzo niedługo wypełni powierzone mu zadanie. Odpocznie teraz, pomodli się, a droga zostanie mu objawiona.

Zamknął oczy i ułożył się do snu. Pomyślał, że Pan tak chce, i położył rękę na ukrytym obok rewolwerze.

Tory obserwowała oddalający się powoli i skręcający na szosę do Progress samochód Russa. Siedziała tu od chwili, kiedy dowiedziała się od wuja, co stało się z jej matką.

Za nią stał Cade, masując jej ramiona, podczas gdy wzbity przez opony samochodu kurz powoli opadał. Zaniepokoiła go ta jej nieruchomość. Nieruchomość i milczenie.

- Tory, wejdź do środka i poleż trochę.

- Nie chcę leżeć. Czuję się dobrze. Aż za dobrze. Wolałabym więcej odczuwać.

Tymczasem wewnątrz mnie zamiast smutku jest pustka. Próbuję ją czymś wypełnić i nie mogę. Kim ja jestem, skoro nie czuję smutku po stracie własnej matki?

- Nie zmuszaj się.

- Czulałam więcej smutku i żalu po śmierci Sherry Bellows, którą spotkałam tylko raz w życiu. Spoglądałam w oczy wuja i widziałam w nich ból, smutek. Ale tego nie ma we mnie.

Nie mam w sobie łez dla niej.

- Może za dużo już ich przelałaś.

- Czegoś mi brak w środku.

- Nie, to nieprawda. - Uklęknął przed nią i wziął ją za ręce, które trzymała bezwładnie na podolku. - Przestała być częścią twojego życia. Łatwiej jest oplakiwać kogoś obcego, niż kogoś, kto powinien być częścią ciebie, a nie jest.

- Moja matka nie żyje. Uważają, że zabił ją mój ojciec. A ja zadaję sobie pytanie, dlaczego chcesz się związać z kimś, kto się z tego wywodzi?

- Znasz odpowiedź. A jeżeli miłość nie wystarczy, znajdziemy dla tego racjonalne wytłumaczenie. Nie jesteś już ani ze swoją matką, ani z ojcem, podobnie jak ja nie jestem z moimi rodzicami. Życie, które razem zbudujemy jest nasze.

Spojrzała w dół na ich złączone dłonie, na połyskujący brylant.

- Powinnam od ciebie odejść. Tak nakazuje zdrowy rozsądek, a także, jak sądzę, miłość. Ale nie mogę. Potrzebuję ciebie. Tak bardzo pragnę tego, co możemy mieć razem.

Więc nie postąpię odważnie i nie odejdę.

- Kochanie, nie uszłabyś nawet pół metra. Jej oddech przeszedł w łamiący się śmiech.

- Może wiem o tym. Cade? - Jakże łatwo było go dotykać, mierzwić palcami wypłowiałe końce jego

włosów. - Jak sądzisz, czy bylibyśmy razem, gdyby żyła Hope?

Gdyby nic się nie wydarzyło i gdybyśmy dorastali tutaj jak normalni ludzie?

- Tak.

- Czasami twoja ufność działa pokrzepiająco. - Zanim wstała, pogłaskała go po rękach. Podeszła do balustrady, aby popatrzeć na drzewa, w których cieniu kryły się bagna. -

To już druga śmierć od czasu mojego powrotu do domu. Myślałam, że za drugim razem przyjdzie po mnie.

- Nie zbliży się do ciebie.

Tak, jego ufność jest pokrzepiająca.

- Będzie musiał przyjść. Będzie musiał spróbować. Czy mógłbyś mi dać broń?

- Tory...

- Nie mów, że mnie obronisz albo że policja go znajdzie i zatrzyma. On wróci po mnie, Cade. Wiem to równie dobrze, jak wiedziałam o innych sprawach. Muszę mieć pewność, że, jeśli zajdzie taka potrzeba, będę się mogła sama obronić. Nie zawaham się go zabić w obronie własnej. Mogłam już to zrobić. Tylko że teraz stawka jest znacznie większa.

Teraz mam ciebie.

Skinął głową. Podeszedł bez słowa do samochodu i otworzył schowek na rękawiczki.

Zaczął zabierać ze sobą rewolwer od czasu zamordowania Sherry Bellows.

- To rewolwer kaliber 38.

- Jest... mniejszy niż sądziłam.

- Należał do mojego ojca. - Był to stary Smith & Wesson. - Można go, jak sądzę, nazwać „schowkową” bronią, ponieważ zajmuje mało miejsca. Umiesz strzelać?

Zacisnęła wargi. W ręku Cade'a rewolwer wyglądał złowrogo.

- Trzeba nacisnąć spust.

- No cóż, to chyba trochę za mało. Czy jesteś pewna, że tego chcesz, Tory?

- Tak. - Wyprostowała się. - Tak, jestem pewna.

- Więc chodź ze mną. Wyjdziemy na podwórze, poinstruję cię trochę.

Idąc do Wade'a i dźwigając po schodach zakupy, Faith podśpiewywała zadziwiająco lekkim i słodkim głosem. Za nią wdrapywała się Bee, węsząc w powietrzu zapachy licznych psów, kotów i małych gryzoni. Faith wzięła torby do jednej ręki, nacisnęła klamkę i pchnęła biodrem drzwi.

W salonie, na wystrzępionym posłaniu, z pyskiem na łapach leżał Mongo. Kiedy Faith weszła do środka, uderzył głośno ogonem i podniósł łeb.

- Kogo ja widzę, witaj! Wyglądasz już znacznie lepiej, ty wielki byku. Bee, Mongo jest rekonwalescentem. Nie gryź go w uszy. Bo cię połknie, i to w jednym kawałku. - Ale Bee już go obwąchiwała, skubała i trącała nosem.

- No cóż, chyba będzie lepiej, jeżeli zawrzecie znajomość. Gdzie jest doktor?

Znalazła go w kuchni, wpatrującego się w filiżankę z kawą.

- Tutaj jesteś. - Zwaliła torby na kuchenny blat, po czym odwróciła się, żeby go objąć z tyłu za szyję i pocałować w czubek głowy. - Mam dla ciebie wielką niespodziankę, doktorze Wade. Przygotujesz sobie prawdziwą domową kolację. A jeżeli dobrze się z tego wywiążesz, po deserze czeka cię romantyczne Interludium.

Z salonu rozległo się szczekanie, na którego dźwięk Faith rzuciła się jak szalona, żeby ratować swoje maleństwo.

- Ojej, czyż to nie rozkoszne? Wade, chodź tutaj, musisz to koniecznie zobaczyć. One się razem bawią.

Zaśmiewając się wróciła do kuchni. Dopiero teraz zobaczyła twarz Wade'a. Śmiech zamarł na jej ustach.

- Kochanie, co się stało? Czy coś nie tak z tym koniem, u którego byłeś w nocy?

- Nie, nie. - Potarł twarz rękami. - Moja ciotka... siostra mojego ojca... nie żyje.

Została zamordowana dzisiaj wczesnym rankiem.

- O Boże! Wade, to straszne. Co tutaj się dzieje? - Usiadła naprzeciwko niego, zastanawiając się, jak należy postąpić w takiej sytuacji. - Siostra twojego taty? Mama Tory?

- Tak. Nie widziałem jej od... już nawet nie pamiętam od jak dawna. Nawet nie przypominam sobie jej twarzy.

- Teraz już nic na to nie poradzisz.

- Nie o to chodzi. Na miłość boską, Faith, oni uważają, że zabił ją mój wuj. W jego oczach malowało się przerażenie.

- To zły człowiek, Wade. Zły i niebezpieczny człowiek, i nie masz z tym nic wspólnego. Żal mi Tory,

przysięgam, żal mi jej. A także twojej ciotki i twojej rodziny. Ale...

No więc powiem coś, co może sprawi, że wściekniesz się na mnie. Ona sama go wybrała i została z nim. Jest to zła miłość. Godna pożałowania.

- Nie wiemy, co się dzieje w innych rodzinach.

- Och, co ty opowiadasz! Zawsze tak mówimy, ale przecież dobrze wiemy. Wiem, jak wyglądało życie moich rodziców. Wiem też, że gdyby oboje mieli odrobinę oleju w głowie, żyliby zgodnie albo by się rozeszli. Tymczasem moja matka trzymała się kurczowo nazwiska Lavelle, a tata zajął się inną kobietą. I czyja to wina? Przez długi czas wolałam wierzyć, że zawiniła ta druga kobieta, ale tak nie było. To tata sprzeniewierzył się przyrzeczeniom małżeńskim, a mama tolerowała jego postępowanie. Może byłoby łatwiej powiedzieć, że wszystkiemu zawinił Hannibal Bodeen, ale tak nie jest. Tak jak z całą pewnością nie zawinił

nikt z nas, ani Tory, ani twój tata. Bardzo bym chciała móc powiedzieć coś pocieszającego, ale nie jestem w tym dobra. Sądzę, że chciałbyś się udać do domu swojego taty.

- Nie. - Odkąd zaczęła mówić, nie spuszczał oczu z jej twarzy. - Będzie mu lepiej z mamą. Ona wie, co dla niego najlepsze. Ale kto, do licha, mógłby pomyśleć, że ty będziesz wiedziała, co jest dla mnie najlepsze? - Wyciągnął rękę. Kiedy ją wzięła, przyciągnął ją blisko, przytulił głowę do jej brzucha. - Zostań, dobrze?

- Oczywiście, że zostanę. - Pogłaskała go po włosach. Trochę drżała w środku i było to bardzo dziwne uczucie.

- Siedzę tak tutaj od czasu, kiedy zatelefonował ojciec. Nie wiem, jak długo. Pół godziny, godzinę. Jakbym zamarł w środku. Zupełnie nie wiem, co mógłbym zrobić dla rodziny.

- Będiesz wiedział, kiedy przyjdzie na to pora. Zawsze wiesz. Chcesz, żebym ci zaparzyła świeżej kawy?

- Nie. Dziękuję. Powinienem zadzwonić do babci i do Tory. Tylko muszę się jeszcze zastanowić, co im powiedzieć. - Z zamkniętymi oczami nasłuchiwał szczełających w sąsiednim pokoju psów. - Zamierzam zatrzymać Mongo.

- Wiem, kochanie.

- Jego łapa jest już w porządku. Jest zdrowy, może tylko trochę będzie kulał. Miałem mu znaleźć jakieś dobre miejsce, ale... Co znaczyło to „wiem”? Przecież nigdy nie miałem psów.

- Bo jeszcze nie znalazłeś odpowiedniego.

Zmrużył oczy, dołeczki na jego policzkach pogłębiły się, jak zawsze, kiedy był rozbawiony.

- Robisz się trochę zbyt przemądrzała, jak na pocieszycielkę.

- Odtąd taka właśnie będę. - I będziesz robiła kolacje?

- W wyjątkowych sytuacjach. Przyniosłam dwa befsztyki włącznie z dodatkami. -

Podeszła do kontuaru, zanurzyła rękę w torbie i wyciągnęła dwie białe świece. - Lucy, która handluje na targu, zapytała mnie, co to za kolację planuję, kupując czerwone mięso i białe świece, oraz ten fantastyczny sernik w ozdobnym pudle.

Uśmiechnął się lekko i wstał.

- No i co odpowiedziałaś?

- Powiedziałam jej, że urządzam romantyczną kolację we dwoje, dla siebie i dla doktora Wade'a Mooney'a. Na tę pikantną informację niektóre osoby natychmiast zastrzygły uszami. - Odłożyła świece. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mojej niedyskrecji, z powodu której staniemy się teraz obiektem różnych plotek i spekulacji.

- Nie. - Wziął ją w ramiona, przytknął policzek do jej włosów. - Nie, nie mam nic przeciwko temu.

- Lissy, kochanie, nie uważam, żeby to było słuszne.

- Posłuchaj, Dwight, przecież składamy kondolencje przyjacielom i sąsiadom. -

Szukając wygodnej pozycji, Lissy wyprostowała się na siedzeniu samochodu, podtrzymując jedną ręką brzuch. - Tory właśnie straciła matkę i będzie wdzięczna za odrobinę współczucia.

- Może jutro.

- Czy uważasz, że w tym stanie mogłaby choćby pomyśleć o przygotowaniu sobie czegoś do jedzenia? Bardzo w to wątpię. I dlatego wiozę jej pyszną zapiekankę z kurczaka.

To ją wzmocni i doda jej siły na najbliższy trudny okres. Boże, jaka to dla niej ciężka próba!

Niezależnie od pobożnych westchnień całe to wydarzenie ekscytowało ją niepomiernie. Matka Tory zastrzelona przez jej ojca! To jak coś z brukowych gazet albo prosto z Hollywood. A skoro wyciągnęła Dwighta z domu godzinę po podaniu przez telewizję tej sensacyjnej wiadomości, chciałyby być pierwszą osobą, która zajrzy do Tory.

Oczywiście, że bardzo współczuje Tory. Czyż nie zabrała tej zapiekanki, przygotowanej na zapas przez matkę, żeby mogła ją sobie odmrozić po przyjsciu dziecka na świat?

- Nie będzie miała nastroju do towarzystwa - upierał się Dwight.

- Nie jedziemy w charakterze gości. Przecież chodziłam z Tory do szkoły. Oboje ją znamy od dziecka. Nie zniosę myśli, że może być sama w takiej chwili. A poza wszystkim jesteś burmistrzem.

Twoim obowiązkiem jest złożenie kondolencji. O rany, uważaj na wybojach. Muszę się znowu wysiusiać.

- Nie powinnaś się za bardzo podniecać ani smucić. - Poglaskał ją po ręce. - Tylko nie zabieraj się tam od razu do pracy, Lissy.

- Nie obawiaj się - odparła zadowolona, że tak o nią dba. - Jeszcze mam przed sobą co najmniej trzy tygodnie. O rany, jak ja wyglądam? - Zaniepokojona, zerknęła w lusterko. -

Wielka, tłusta, odrażająca krowa.

- Jesteś piękna. Nadal jesteś najśliczniejszą dziewczyną w Progress. I jesteś cała moja.

- Och, Dwight. - Zarumieniła się i poprawiła włosy. - Jesteś taki słodki. Po prostu ostatnio czuję się taka tłusta i brzydka. A Tory jest taka szczupła.

- Skóra i kości. Za to ty masz wszystko jak należy. - Musnął ręką jej piersi, co sprawiło, że zapiszczała z radości.

- Przestań. - Chichocząc, uderzyła go po rękę. - Jak ci nie wstyd. No popatrz, jesteśmy już prawie na miejscu, a tak mnie podnieciłeś. - Wsunęła mu rękę między nogi. - I ty się podnieć. Pamiętasz, jak zatrzymaliśmy się kiedyś przy tej drodze i jacy byliśmy wtedy młodzi?

- I jak cię namówiłem, żebyś się ze mną przeniosła na tylne siedzenie?

- Nie musiałeś mnie aż tak bardzo namawiać. Po prostu za tobą szalałam. To właśnie gdzieś tutaj kochaliśmy się pierwszy raz. Było tak ciemno i tak seksownie, Dwight. -

Powędrowała palcami w górę jego nogi. - Po przyjściu dziecka na świat wrócę do dawnej figury. Poproszę mamę, żeby posiedziała z maleństwem, a my sobie wyskoczymy tutaj i przekonamy się, czy znowu uda ci się namówić mnie na tylne siedzenie.

Westchnął.

- Jeszcze trochę, Lissy, a tak mnie podniecisz, że nie będę mógł wysiąść z samochodu.

- Zwolnij trochę. Muszę się jednak odrobinę pomalować. - Wyciągnęła z torebki szminkę. - Mama powiedziała, że zostanie na noc. Po wyjściu od Tory możemy zajrzeć do Boots i J.R. Sądzę, że pogrzeb odbędzie się we Florence. Oczywiście będziemy musieli tam pojechać. Nie mam żadnego czarnego stroju wśród ciężowych ubrań. Sądzę, że mogę włożyć granatowy kostium, nawet z tym ślicznym białym kołnierzykiem. Chyba ludzie nie wezmą mi tego za złe? I będziemy musieli posłać kwiaty.

Szczebiotąła tak aż do zakrętu. Dwight czuł, że zaczyna go boleć głowa.

Postanowił, że da Lissy piętnaście minut na okazanie Tory współczucia, a potem zabierze ją do domu i każe jej poleżeć z nogami do góry. A sam w tym czasie napije się piwa i popatrzy w telewizor.

Nikt w Progress nie zamierzał oplakiwać Sarabeth Bodeen, poza jej najbliższą rodziną. Nie widział powodu, dlaczego śmierć prawie obcej miastu osoby miałaby mu zająć więcej czasu niż każda inna.

Złoży tylko wizytę i zapomni o niej.

- Nie rozumiem, że ktoś może chcieć mieszkać na takim odludziu nie mając żywej duszy do towarzystwa - orzekła Lissy, kiedy Dwight wyciągał ją z auta. - No, ale przecież Tory zawsze była dziwna. No, ale... - urwała i spojrzała znacząco na samochód Cade'a. -

Zdaje się, że jednak nie brak jej towarzystwa. Słowo daję, Dwight, ale nie wyobrażam sobie ich razem, nawet przez chwilę. Nie mają ze sobą nic wspólnego, a z tego, co widzę, Tory nie należy do tych, które potrafią rozgrzać mężczyznę. Brzydka nie jest, ale gdzie jej do Deborah Purcell. Nie mogę zrozumieć, co Cade w niej widzi. Mężczyzna z taką pozycją mógłby przebierać wśród najwspanialszych kobiet. Próbowałam mu nawet niektóre wyswatać.

Podczas wyjmowania zapiekanki z samochodu Dwight wypowiedział tylko parę zdawkowych słów. Nie musiał słuchać tego, co mówiła żona. Po latach małżeństwa wiedział, kiedy można było jej przerwać.

Metoda ta służyła im obojgu.

- Pewnie już wkrótce zmęczy się nią i każde z nich pójdzie swoją drogą. Pogłaskała go lekko po ramieniu, a on przesłał jej gorące i kochające spojrzenie.

- Kiedy już się otrząśnie, zaprosimy go na kolację z... Może z Crystal Bean? Może nawet zdołam znaleźć jakiegoś miłego człowieka dla Tory, kogoś bardziej w jej stylu. Z tym, że to nie będzie takie łatwe, nie sądzę bowiem, żeby znalazło się wielu amatorów tak dziwnej osoby. Słowo daję, czasami wystarczy, że na mnie spojrzy, a ja od razu dostaję dreszczy.

Tory! - Wykrzyknęła, gdy Tory otworzyła drzwi, i natychmiast otworzyła ramiona. - Och, kochanie, tak ci współczuję z powodu śmierci twojej matki. Przyjechaliśmy natychmiast, gdy o tym usłyszeliśmy. Moje ty biedactwo. Mogłabyś już odpocząć. Byłam pewna, że Cade przekona cię, żebyś się położyła do łóżka.

Uścisk był mocny i gorący. Tory poczuła dziecko w łonie Lissy, które, jak jej się wydało, poruszyło się niespokojnie.

- Czuję się dobrze.

- Oczywiście, że nie czujesz się dobrze, i nie musisz tego przed nami ukrywać. Przed starymi przyjaciółmi? - Poklepała ją lekko po plecach. - Chcę, żebyś teraz usiadła, a ja przygotuję herbatę. Przywiozłam ci zapiekankę. Chcę, żebyś zjadła gorący posiłek, żebyś nabrała sił na przetrwanie tego bolesnego okresu. Witaj Cade. - Puściła Tory i przeniosła swoją uwagę na Cade'a, który wszedł właśnie do kuchni. - Cieszę się, że tutaj jesteś i zajmujesz się Tory. W takiej chwili potrzebni są jej przyjaciele. Chodź tutaj do mnie, kochanie. - Objęła Tory ramieniem w pasie, jakby ją chciała podtrzymać. - Dwight, zanieś to naczynie do kuchni, żebym je mogła podgrzać. - Lissy, to bardzo

uprzejme z twojej strony -

powiedziała Tory.

- Wśród przyjaciół nie istnieje coś takiego jak uprzejmość. Wiem co przeżywasz, ale jesteśmy z tobą. Możesz na nas liczyć, na dobre i na złe, prawda Dwight?

- Oczywiście. - Gdy Lissy popychała Tory w kierunku kuchni, Dwight popatrzył

zbołałym wzrokiem na Cade'a. - Nie mogłem jej powstrzymać - powiedział półgłosem. -

Majak najlepsze intencje.

- Nie wątpię.

- Co za straszna sprawa. Jak Tory to znosi?

- Jakoś sobie radzi. - Cade rzucił okiem w stronę kuchni, skąd płynął nieprzerwany potok słów Lissy.
- Martwię się o nią, ale jakoś sobie radzi.

- Podobno zrobił to Hannibal Bodeen. Wiadomości szybko się rozchodzą.

Pomyślałem, że może będziesz chciał o tym wiedzieć, mówią, że może być jeszcze gorzej.

- Gorzej? Czy Russ podał ci jakieś fakty dotyczące poszukiwanego człowieka?

- Trzyma je w tajemnicy. Pewnie to konieczne dla dobra sprawy. Nie mieliśmy tutaj czegoś takiego od śmierci twojej siostry, Cade. - Zawahał się. - Przeżywanie tego wszystkiego na nowo musi być trudne dla ciebie.

- To prawda. Ale tym razem może to się wreszcie zakończy, raz na zawsze. Wszystko wskazuje na to, że to Bodeen zabił Hope.

- Zabił... - Nabrał powietrza w płuca i powoli je wypuścił, spoglądając w stronę kuchni. - Boże Przenajświętszy, Cade. Nie wiem, co powiedzieć. Co o tym sądzić.

- Ja też nie. Na razie.

- Dwight, chodź tu już i przynieś tę zapiekankę, dobrze?

- Już niosę - odrzyknął. - Postaram się jak najprędzej zabrać stąd Lissy. Wiem, że niepotrzebne wam jest teraz żadne towarzystwo.

- Będę ci wdzięczny. I nie wspominaj nikomu o powiązaniu sprawy Hope z ojcem Tory. Tory jest już i tak dostatecznie ciężko.

- Możesz na mnie liczyć. Daj mi znać, kiedy coś trzeba będzie zrobić, a zajmę się tym.

- Uśmiechnął się blado. - Znowu jesteśmy razem. Zawsze razem.

- Liczę na ciebie. Ja...

Nagle w kuchni rozległ się pisk, na którego dźwięk Dwight wybiegł przerażony z pokoju. Ujrzał Lissy, która z szeroko otwartymi oczami i z rozdziawioną buzią ścisnęła oburącz rękę Tory.

- Zaręczeni! No nie, po prostu nie mogę w to uwierzyć! Dwight, popatrz no tylko, co Tory ma na palcu. I żadne z nich nie pisnęło na ten temat ani słóweczka. - Jej twarz jaśniała ze szczęścia, że oto jest pierwszą osobą, która to odkryła. - Czyż nie wspaniały?

Dwight obejrzał z uwagą pierścioneł, a następnie spojrział w oczy Tory. Dojrzał w nich zmęczenie, zakłopotanie, cień irytacji.

- Jeszcze jak. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

- Oczywiście, że będzie szczęśliwa. - Lissy wypuściła rękę Tory i uściśnęła Cade'a. -

Chytrus z ciebie, że tak wszystko trzymasz w tajemnicy! Żeby tak szybko porwać Tory!

Musimy to uczcić, wznieść toast za szczęśliwą parę.

- Jej oczy biegały we wszystkie strony. - Och, sama już nie wiem, co mówię.

Kochanie, musisz być rozdarta wewnątrz. - Podbiegła z powrotem do Tory.

- Zaręczyny i strata matki, wszystko prawie w jednym czasie. Życie toczy się dalej, zapamiętaj to. Życie toczy się dalej.

- Dziękuję, Lissy - powiedziała Tory. - Przepraszam was, ale chcę jeszcze zadzwonić do mojej babci. Musimy porozmawiać na temat przygotowań do pogrzebu.

- Oczywiście, że rozumiem. Chcę tylko wiedzieć, czy mogłabym w czymś pomóc.

Dwight i ja będziemy szczęśliwi, mogąc wam pomóc. Prawda, Dwight?

- Tak jest. - Zdecydowanym ruchem objął Lissy. - Już idziemy, ale dzwońcie do nas, jeżeli cokolwiek będzie potrzebne. Nie, siadźcie. - Pokierował Lissy w stronę drzwi. - Sami wyjdziemy. Dzwońcie, słyszycie?

- Dziękuję.

- Coś podobnego. Wyobrażasz sobie? - Lissy nie mogła się już doczekać, kiedy się znajdą za drzwiami. - Dostaje brylant, tak wielki, że można od niego oślepnąć, i tego samego dnia dowiaduje się, że jej tatuś zamordował jej mamusię. Przysięgam, Dwight, że nie wiem, co o tym myśleć. Może planuje ślub i pogrzeb w tym samym terminie? A nie mówiłam, że ona jest dziwna?

- Mówiłaś, kochanie. Wepchnął ją do samochodu, zamknął drzwi. - Z całą pewnością mówiłaś - powiedział półgłosem.

Cade usiadł za stołem. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

- Przepraszam - odezwał się w końcu.

- Za co?

- Dwight jest moim przyjacielem, a ona mu wszędzie towarzyszy.

- Jest głupią kobietą. Ani specjalnie przebiegłą, ani też specjalnie złą, sprawami innych ludzi, kwitnie dzięki nim, niezależnie od tego, czy to są dobre, czy złe sprawy. A teraz w dodatku nie wie, której z nich nadać większe znaczenie. Oto Wiktoria Bodeen w centrum tragedii i skandalu. A z drugiej strony ta sama osoba zaręczona z jednym z najbardziej znaczących mężczyzn w hrabstwie. - Tory zrobiła przerwę, spojrzała na pierścionek na palcu.

To musiał być wstrząs dla Lissy. - To wszystko musiało się pomieszać w głowie Lissy, jak rzucone na oślep kamyczki. Wpadające na siebie, zderzające się ze sobą, trudne do rozróżnienia, ponieważ zabrakło czegoś, co by im mogło nadać kierunek. Skrzywił się.

- Czy spozrzałaś na nią tak po swojemu?

- Nie było takiej potrzeby, skoro wszystkie swoje myśli ma wypisane na twarzy.

Dwightowi nie udało się tak szybko jej stąd wyciągnąć, gdyby nie rwała się do telefonu, chcąc podzielić się z innymi uzyskanymi wiadomościami.

- I to cię niepokoi.

- Tak. - Podeszła do okna. To dziwne, że przyglądanie się ciemnym sylwetkom drzew na bagnach podziało w jakimś stopniu kojąco. - Wiedziała, że po powrocie tutaj będę jak pod lupą. Ale poradzę sobie z tym. Moja matka... też się z tym uporam - powiedziała półgłosem. - Nie mam innego wyjścia.

- Nie musisz tego robić sama.

- Mam wrażenie, że wróciłam tutaj, żeby się zmierzyć z samą sobą. Żeby wyjaśnić, co stało się z Hope i jaki był w tym mój udział. Spodziewałam się ludzkiego gadania, spojrzeń, spekulacji i ciekawości. Zamierzałam na tym zbudować mój biznes. Tak też zrobiłam i nadal będę to wykorzystywała. Widzisz, jaka jestem wyrachowana.

- Nie, to racjonalne podejście do życia.

- Wróciłam tu, żeby sobie udowodnić, że potrafię to uczynić. Spodziewałam się, że będę musiała za to zapłacić. Że uspokoję ten wieczny niepokój, który jest we mnie, ale że będę musiała za to zapłacić. Nie spodziewałam się, że spotkam ciebie. - Odwróciła się. - Nie spodziewałam się ciebie, Cade. I

naprawdę nie wiem, co mam zrobić z tym uczuciem, które mam dla ciebie.

Podniósł się z miejsca, podszedł do niej, delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy.

- Sama musisz sobie na to odpowiedzieć.

- Dla ciebie to takie proste i łatwe.

- Mam wrażenie, że czekałem na ciebie.

- Cade, mój ojciec... Część tego jest we mnie. Musisz to wziąć pod uwagę.

- Tak uważasz? - Prowadząc ją w stronę sypialni, przyglądał się jej z uwagą. -

Prawdopodobnie masz rację. Sadzę, że powinienem też coś ci powiedzieć. Mój pradziadek Horacy popadł w długi i miał romans z bratem swojej żony. Kiedy to odkryła - a nie trudno sobie wyobrazić, jakim to było dla niej szokiem i tragedią - i zagroziła, że go zdemaskuje, Horacy, wspólnie z kochankiem, poćwiartował ją i przez kilka dni tuczył nią uszczęśliwione aligatory.

- Zmyślasz to wszystko.

- Niezupełnie. - Pociągnął ją na łóżko. - No cóż, historia o aligatorach to rodzinna legenda. Są tacy, którzy utrzymują, że prababcia po prostu uciekła do Savannah i dożyła pięćdziesięciu sześciu lat w całkowitej samotności. W każdym razie nie jest to chlubna karta w dziejach rodziny Lavelle'ów.

Odwróciła się ku niemu i złożyła głowę na jego ramieniu.

- Dobrze więc, że nie mam braci.

- Prześpij się trochę, Tory. Jesteśmy tutaj tylko ty i ja. I to się teraz liczy. Kiedy zasnęła, leżał czuwając, wsłuchując się w dźwięki nocy.

Proszę, żebyś była dla mnie wyrozumiała. Tory spojrzała do góry, na Beaux Rêves. -

Znowu mnie stawiasz między sobą i swoją matką, Cade. To nie fair wobec żadnej z nas.

- Nie. Ale muszę z nią porozmawiać, a nie chcę, żebyś sama jechała do miasta. Nie chcę, żebyś zostawała sama, dopóki to się nie skończy.

- Równie dobrze mogę poczekać na ciebie w samochodzie.

- Pójdźmy więc na kompromis.

- Od kiedy to wprowadziłeś ten wyraz do swojego słownictwa?

- Obejdziemy dom. Możesz poczekać w kuchni. Moja matka rzadko tam bywa.

Już chciała zaprotestować, ale postanowiła się poddać. Wiedziała, że ją skołuje, zbije jej argumenty, wytrąci ją z równowagi, a była zbyt wyczerpana, żeby z nim walczyć. Zbyt wiele snów w nocy, zbyt wiele obrazów przesuwających się w jej głowie w ciągu dnia.

Dopóki to się nie skończy, powiedział. Jakby to miało wkrótce nastąpić.

Wysiadła z samochodu, poszła z nim ścieżką, pośród dziko kwitnących róż, minęła lśniąca liściastą kamelię, gdzie kiedyś w tajemnicy Hope ukryła swój śliczny różowy rower, przecisnęła się pomiędzy kępami azalii, których okres kwitnienia dobiegał końca, i pachnących łodyg lawendy, których zapach będzie się unosił w powietrzu jeszcze przez długi czas, aż do zimy.

Roślinność była tutaj bujna i soczysta, pachnąca, pełna barw. Przytulne, piękne miejsce z brukowanymi ścieżkami, ze ślicznymi ławeczkami rozrzuconymi między krzewami i klombami, z wylewającymi się z donic różnorodnymi kwiatami, artystycznie rozmieszczonymi wzdłuż strumyka. Efekt był taki, jakby miało się przed sobą doskonale namalowany obraz.

To też jest świat Margaret, uświadomiła sobie Tory, podobnie jak wystudiowane, doprowadzone do perfekcji wnętrza. Nie było tu nic, co mogłoby szpeciść, nic, co wymagałoby zmiany. Jakim okrutnym gwałtem byłoby wtargnięcie tutaj intruza i zakłócenie panującej wokół harmonii.

- Ty jej nie rozumiesz.

- Słucham?

- Nie rozumiesz swojej matki. Zaintrygowany Cade wziął ją za rękę.

- Czy kiedykolwiek sądziłaś, że jest inaczej?

- To jest jej świat, Cade, jej życie. Dom, ogród, widoki, które ogląda z okien. Nawet przed śmiercią

Hope stanowiło to istotę jej życia. To, co wypielęgnowała i wychowała.

Robiła to nadal po utracie swojego dziecka. Mogła dotykać tego, patrzeć na to, upewniać się, że się nie zmieniło. Nie odbieraj jej tego.

- Nie odbieram. - Ujął w dłonie jej twarz, zbliżył do swojej.

- Ale też nie będę tolerował, żeby mnie szantażowała, wywierała na mnie presję. Nie mogę jej dać więcej niż dałem.

- Musi się znaleźć jakiś kompromis. Sam to powiedziałeś.

- Tak by się mogło wydawać. - Przytknął wargi do jej czoła.

- Ale czasami, z pewnymi ludźmi, w grę wchodzi tylko stanowcza postawa. Nie angażuj się w to. Nie proś mnie o to, Wiktorio. Nie proś mnie, żebym szukał jej aprobaty za cenę naszego szczęścia. Zaczniemy od tego, iż nigdy nie uzyskałem jej aprobaty.

Jakie to dziwne, gdy nagle świadomość tego dociera do człowieka. Był wychowany w zamku, a przecież nie mniej niż ona łaknął życzliwych słów.

- To cię boli. Przepraszam, iż nie zauważyłem, że sprawiam ci ból.

- Stare rany. - Znowu dotknął jej ramion, splótł z nią palce. - Już tak nie krwawią jak dawniej.

Pomyślała, że jednak będą krwawiły. Nikt nigdy nie użył wobec niego pasa ani pięści.

Były inne sposoby zadawania ciosów dziecku.

Nawet tutaj, w tak pięknej scenerii, tak bardzo różnej od wyjałowionych ze wszystkiego, dusznych pokoiów jej dzieciństwa. Piękne dzieciństwo, pomyślała Tory przechodząc pod pergolą porośniętą różnokolorowymi wilcami, ale samotne. Jeszcze jedno słowo na określenie jałowości.

Powinien tu ktoś siedzieć na ławce albo zbierać do koszyka gerbery. Powinno być jakieś dziecko wyciągnięte na brzuchu na ścieżce, obserwujące jaszczurkę albo ropuchę.

Na tym obrazie nie było życia, dźwięku ani ruchu.

- Chcę mieć dzieci. Cade stanął w miejscu.

- Co takiego?

Skąd to się wzięło i w jaki sposób wyrwało się z niej?

- Chcę mieć dzieci - powtórzyła. - Męczą mnie te puste dziedzińce, ciche ogrody i wzorowo utrzymane pokoje. Jeżeli tu zamieszkamy, chcę, żeby panował tu gwar, żeby na podłogach był kurz, a w zlewie naczynia. Nie potrafiłabym żyć w tych absolutnie doskonałych, odczłowieczonych

pokojach. Nie mógłbyś tego ode mnie żądać. Nie chcę tego domu, jeżeli nie będzie w nim życia.

Słowa sypały się z jej ust bezładnie. Cade uśmiechnął się.

- Co za interesujący zbieg okoliczności. Myślałem o dwójce dzieci, a nawet o trójce.

- Zgoda. W porządku. Powinnaś była wiedzieć, że już to przemyślałeś.

- Jestem farmerem. Farmerzy robią plany, a potem zdają się na łaskę losu. - Schylił

się, żeby zerwać gałązkę rozmarynu. - Na pamiątkę - powiedział i wręczył jej. - Gdy będziesz na mnie czekała, pamiętaj, że musimy zaplanować takie życie, jakie nam odpowiada - w bałaganie i w harmidrze.

Weszła z nim do środka, gdzie jak zawsze była Lilah, która stała teraz przy zlewie. W

powietrzu pachniało kawą i różanym płynem, którym Lilah spryskiwała kuchnię co rano.

- Spóźniliście się na śniadanie - powiedziała. - Wasze szczęście, że jestem w dobrym humorze. - Przyglądała im się przez chwilę z zadowoleniem. Pasowali do siebie. Wreszcie ktoś pasował do jej chłopca. - No cóż, siadajcie, mam świeżą kawę. Zrobiłam trochę naleśników, których nikt nie raczył zjeść.

- Czy moja matka jest na górze?

- Jest, a sędzia siedzi samotnie w saloniku od frontu. - Lilah stawiała już kubki na stole. - Nie miała mi dzisiaj zbyt wiele do powiedzenia. Spędziła dużo czasu przy telefonie za zamkniętymi drzwiami. A ta twoja siostrunia nie pofatygowała się nawet, żeby wrócić na noc do domu.

Cade zamarł.

- Faith nie ma w domu?

- Nie masz się czym przejmować. Jest z doktorem Wadem. Wyfrunęła stąd wczoraj, mówiąc mi, gdzie będzie. Wygląda na to, że poza mną nikt tutaj nie sypia we własnym łóżku.

Trochę jest za gorąco na te wszystkie flirty. Siadajcie i jedzcie.

- Muszę porozmawiać z mamą. Nakarm ją - polecił, pokazując na Tory.

- Nie jestem małym pieskiem - mruknęła po jego wyjściu Tory. - Nie rób sobie ze mną kłopotu, Lilah.

- Siadaj i pozbądź się tego męczeńskiego wyrazu twarzy. To jego sprawa, żeby doszedł do porozumienia z matką, nie twoja, więc nie zaprzataj tym sobie głowy. - Wyjęła patelnię. - I zjesz to, co przed tobą postawię.

- Zaczynam podejrzewać, że on się wdał w ciebie.

- A czemu by nie? Przecież to ja się nim głównie zajmowałam. Nie obgaduję tu wcale pani Margaret. Niektóre kobiety nie są stworzone do tego, żeby być matkami. Po prostu są takie, a nie inne.

Wyjęła z lodówki pojemnik, zdjęła z niego pokrywkę.

- Zmartwiłam się tym, co usłyszałam o twojej matce. - Dziękuję.

Lilah przystanąła na chwilę, spoglądając na Tory ciemnymi, ciepłymi oczami.

- Niektóre kobiety nie są stworzone do macierzyństwa. To dlatego, jak mówi pieśń, błogosławione jest dziecko, które ma tylko siebie. Tak jak ty, kochanie.

Po raz pierwszy od usłyszenia wiadomości o śmierci matki Tory usiadła. I zapłakała.

Cade zatrzymał się najpierw w saloniku. Dobre wychowanie nie pozwoliło mu zignorować starego przyjaciela rodziny.

- Dzień dobry, sędzio.

Gerald odwrócił się i na widok Cade'a jego surowa zamyślona twarz zaczęła się stopniowo odprężyć.

- Miałem nadzieję, że uda mi się z tobą dzisiaj porozmawiać. Możesz mi poświęcić chwilę?

- Oczywiście. - Cade wskazał ręką na fotel. - Mam nadzieję, że masz się dobrze.

- Trochę daje mi się od czasu do czasu we znaki artretyzm. Starość. - Siadając, Gerald wskazał miejsce obok siebie. - Człowiek nie zastanawia się, co go może spotkać, aż nagle któregoś dnia dziwi się, co to za starca widzi w lustrze podczas golenia. No cóż, znam cię od urodzenia.

- Nie musisz zatem starannie dobierać słów. Wiem, że matka rozmawiała z tobą o pewnych sprawach rodzinnych i o zmianie swojego testamentu.

- To dumna kobieta i niepokoi się o ciebie.

- Czyżby? - Cade uniósł brwi. - Nie musi się o mnie troszczyć. Czuję się świetnie.

Może być też spokojna o Beaux Rêves. Mamy bardzo dobry rok. Nawet lepszy niż ubiegły.

Gerald chrząknął.

- Cade, znałem twojego ojca, byłem jego przyjacielem. Dlatego mam nadzieję, że wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia. Jestem w pełni świadomy męskich potrzeb i pragnień, ale jeżeli te pragnienia przedkłada się nad obowiązek, nad dobro sprawy, a przede wszystkim nad rodzinę, nie wyniknie z tego nic dobrego.

- Poprosiłem Tory, żeby za mnie wyszła. Nie jest mi do tego potrzebne błogosławieństwo mojej

matki. Choć żałuję, że go nie otrzymałem.

- Cade, jesteś młodym człowiekiem, masz przed sobą całe życie. Proszę cię, jako przyjaciel obojga twoich rodziców, żebyś się jeszcze raz zastanowił. Zwłaszcza teraz, kiedy Tory Bodeen dotknęła taka tragedia. Tragedia - dodał Gerald - która bardzo wiele mówi o tym, kim ona jest i skąd pochodzi. Byłeś jeszcze chłopcem, kiedy Tory tutaj mieszkała, i nie poznałeś wielu spraw.

- Jakich spraw?

Gerald westchnął, założył ręce, a jego krzaczaste brwi opadły, nadając twarzy bardzo poważny wygląd, który tak często przybierał w ławie swojego urzędu.

- Hannibal Bodeen jest niebezpiecznym człowiekiem, niewątpliwie chorym umysłowo. Takie rzeczy są dziedziczne. Mam wiele współczucia dla tego dziecka, możesz mi wierzyć, ale to nie zmienia faktu.

- Czy chodzi o to, że niedaleko pada jabłko od jabłoni? Czy może o to, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci?

Po twarzy Geralda przemknęło rozdrażnienie.

- Każde z tych powiedzonek właściwie oddaje istotę rzeczy. Wiktoria Bodeen mieszkała w tamtym domu zbyt długo, żeby się nie ugiąć pod ręką ojca.

- Pod jego ręką?

- Obawiam się, że nie jest to tylko przenośnia. Wiele lat temu odwiedziła mnie Iris Mooney, babka Tory ze strony matki. Zamierzała wystąpić do sądu o odebranie Bodeenom władzy rodzicielskiej nad dziewczynką.

- Chciała ciebie zatrudnić?

- Tak. Nie mogła jednak przedstawić dowodów znęcania się nad dzieckiem, nic konkretnego. Nie miałem wątpliwości, że mówi prawdę, ale...

- Wiedziałaś, że ojciec ją bije, że ona chodzi z siniakami i ranami od jego uderzeń, i nic nie zrobiłeś?

- Takie jest prawo.

- Prawo! Przyszła do ciebie po pomoc, ponieważ chciała wyrwać dziecko z tego koszmaru. A ty nic nie zrobiłeś.

- Nie mogłem mieszać się do rodzinnych porachunków. Nie mieliśmy dowodów. To była delikatna sprawa. - Wzburzony Gerald podniósł się z miejsca. Nie przywykł, żeby go przepytywano ani patrzono na niego z takim obrzydzeniem. - Nie było doniesień policyjnych, żadnych wniosków opieki społecznej. Tylko słowa babci. Gdybym się podjął tej sprawy, nic by z tego nie wyszło.

- Tego niestety nigdy się nie dowiemy. Ponieważ nie podjąłeś się tej sprawy. Nie spróbowałeś pomóc.

- Nie miałem prawa - powtórzył jeszcze raz Gerald.

- Miałeś. To jest obowiązek każdego. A jednak wyrwała się z tego bez twojej pomocy, bez niczyjej pomocy. A teraz wybaczone, ale mam do załatwienia pewną sprawę.

Wyszedł pospiesznie. Na górce zapukał do drzwi matki. Często napotykał w tym domu zamknięte drzwi, bariery, o których usunięcie trzeba było grzecznie prosić.

To się zmieni. Drzwi Beaux Rêves będą otwarte. Jego dzieci nie będą musiały czekać na zaproszenie do wejścia jak ktoś obcy.

- Wejdz. - Margaret kontynuowała pakowanie się. Widziała podjeżdżającego samochodem Cade'a - z tą kobietą - i spodziewała się, że zapuka do jej drzwi. Oczywiście poprosi, by nie opuszczała domu, będzie próbował dojść z nią do porozumienia.

Będzie miała ogromną satysfakcję, wysłuchując jego próśb i propozycji. I żadnej nie przyjmie.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedział automatycznie jak zawsze, kiedy mu pozwalano wejść do jej pokojów. - Jest mi ogromnie przykro, że znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady.

Nie zadała sobie trudu, by spojrzeć w jego stronę.

- Po południu przyjadą tu po moje rzeczy. Resztę prześlijcie mi pocztą. Sporządziłam wstępną listę tego, co do mnie należy. Skompletowanie jej zajmie trochę czasu. Kupiłam wiele przedmiotów podczas spędzonych w tym domu lat.

- Oczywiście. Czy już postanowiłaś, gdzie się zatrzymasz? Słyszając jego obojętny ton rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji. Takie sprawy wymagają starannego przemyślenia.

- Tak. Pomyślałem, że może będzie ci wygodniej we własnym domu, gdzieś blisko, ponieważ jesteś związana z tutejszą społecznością. Mamy posiadłość na skrzyżowaniu Magnolii i Main. To ładny, piętrowy, murowany budynek, z dobrze utrzymanym dziedzińcem i ogrodem. W tej chwili jest wdzierżawiony, ale dzierżawa wygasa za dwa miesiące. Jeżeli to cię interesuje, możemy nad tym pomyśleć.

Wstrząśnięta, wytrzeszczyła na niego oczy.

- Jak łatwo się mnie pozbywasz.

- Nie pozbywam się ciebie. To twój wybór. Nie musisz się stąd wyprowadzać. To twój dom i może być nim nadal. Ale to będzie także dom Tory.

- W końcu się przekonasz, kim ona jest. Zniszczy ciebie. Jej matka była śmieciem. Jej ojciec jest mordercą. A ona sama to sprytna żmija, która nigdy nie chciała przyjąć do wiadomości, gdzie jest jej miejsce.

- Jeżeli nie potrafisz jej zaakceptować, będziesz musiała znaleźć sobie miejsce gdzie indziej. - Z niektórymi ludźmi trzeba rozmawiać w sposób zdecydowany. Odnosiło się to jak najbardziej do jego matki. - Jeżeli chcesz, dom przy Magnolii jest twój. Jeżeli jednak wolałabyś udać się gdzie indziej, Beaux Rêves zakupi taką posiadłość, jaką sama wybierzesz.

- Z poczucia winy?

- Nie, mam. Nie czuję się winny kochając kobietę, którą podziwiam i szanuję.

- Szanujesz? - parsknęła Margaret. - I ty mówisz o szacunku?

- Tak. Nie znałem dotąd nikogo, kogo bym bardziej szanował. A zatem poczucie winy nie wchodzi w grę. Ale dopilnuję, żebyś miała wygodny dom.

- Niczego od ciebie nie potrzebuję. Mam własne pieniądze.

- To także wiem. Masz dużo czasu, żeby podjąć decyzję. I spodziewam się, że będziesz z tym szczęśliwa. Albo przynajmniej zadowolona. Pragnąłbym... żeby nas łączyło coś głębszego. Dlaczego tak nie jest? Jest mi bardzo przykro z tego powodu.

Żeby powstrzymać drżenie warg, musiała je mocno zacisnąć.

- Kiedy opuścę ten dom, przestaniesz dla mnie istnieć. Smutek przysłonił mu oczy.

- Tak, wiem.

Cofnął się, po czym spokojnie zamknął za sobą. Kiedy Margaret została sama, opadła na łóżko i zasluchała się w ciszę.

Cade pozbierał papiery, które, jak sądził, będą mu potrzebne w ciągu najbliższych dwóch dni. Pakując teczkę, wysłuchał nagranych na automatyczną sekretarkę wiadomości.

Musiał się skontaktować z Pineyem, odpowiedzieć na telefony z manufaktury i przejrzeć kilka ważnych dokumentów. Na jutro zaplanowane było spotkanie rady nadzorczej, ale można to przełożyć.

Nie można jednak przełożyć kwartalnego spotkania z księgowym. Będzie więc musiał znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, żeby umieścić tam na kilka godzin Tory.

Spojrzał na zegarek, podniósł słuchawkę. Odezwał się zaspany głos Faith.

- Gdzie jest Wade?

- Na dole z cocker spanielem. Która godzina? - Po dziewiątej.

- Ja jeszcze śpię.

- Jadę do miasta. Tory jest ze mną. Ona koniecznie chce się udać do sklepu. Nie zamierza go dzisiaj otwierać, ale ma coś tam do roboty. Idź tam i nie spuszcжай jej z oka.

- Może mnie nie usłyszałeś. Ja jeszcze śpię.

- Wstawaj. Będziemy tam za pół godziny.

- Coś ty taki cholernie ważny od rana?

- Dopóki Bodeen nie zostanie zatrzymany, żadna z was nie może być sama. Macie się od siebie nie oddalać ani na krok, słyszysz mnie? Będę z powrotem tak szybko, jak to tylko możliwe.

- A co niby ja mam z nią robić?

- Wymyśl coś. Wstawaj - powtórzył, po czym się rozłączył. Uspokojony, zszedł na dół z teczką.

Natychmiast zauważył, że Tory ma prawie pusty talerz i że płakała.

- Co się stało? Coś ty jej powiedziała?

- Och, przestań się żołądkować. - Lilah odpędziła się od niego jak od muchy. -

Popłakała sobie i od razu zrobiło się jej lepiej. Prawda, dziecinko?

- Tak. Dziękuję. Już więcej nie mogę, Lilah. Naprawdę nie mogę. Lilah przyjrzała się talerzowi, po czym skinęła głową.

- No, możesz już to zostawić. - Spojrzała na Cade'a. - Czy pani Margaret i sędzia będą jedli śniadanie?

- Nie sądzę. Moja matka jest zajęta przygotowaniami do opuszczenia domu.

- Zrobi to?

- Na to wygląda. Nie chciałbym, żebyś została sama w domu, Lilah; pomyślałem, że na parę dni mogłabyś się udać z wizytą do siostry.

- Czemu nie. - Wzięła talerz Tory i zaniósła go do zlewu. - Ale jeszcze trochę poczekam i popatrzę, jeżeli to ci nie sprawi różnicy, paniczu Cade.

- Zajrzę tu później.

- To lepiej, że się wyprowadza. Przy niej nie ma w tym domu swobody, a ona też poczuje się szczęśliwsza na odległość.

- Mam nadzieję, że masz rację. Zadzwoń do siostry - powiedział i wyciągnął rękę do Tory.

Podniosła się i po chwili wahania podeszła do Lilah i przytuliła się do niej policzkiem.

- Dziękuję.

- Jesteś dobrą dziewczyną. I pamiętaj, że masz polegać na sobie.

- Tak zrobię.

Kiedy już wsiedli do samochodu i jechali wzdłuż wysadzanego drzewami trawnika, Tory powiedziała:

- Nie chcę hucznego wesela. Cade uniósł brwi.

- Dobrze.

- Chciałabym, żeby było możliwie jak najspokojniejsze i... - I co?

Popatrzyła przez okno w kierunku moczarów.

- I możliwie jak najszybciej.

- Dlaczego?

- Ponieważ pragnę rozpocząć nasze życie. Chcą zacząć.

- Jutro załatwimy formalności. Odpowiada ci to?

- Tak. - Dotknęła jego dłoni. - Bardzo mi odpowiada. Uśmiechając się do niego nie zobaczyła, nie poczuła niczego od strony bagien. Tego, co ją na nich czekało.

Faith szła w kierunku Komfortu Południa, kiedy zobaczyła zatrzymujący się samochód Cade'a. Podbiegła z uśmiechem i złapała Cade'a pod rękę.

- Mam cię. Myślałam, że już zapomniałeś.

- Zapomniałem?

- Chyba pamiętasz, jak powiedziałeś, że mogę dzisiaj pożyczyć twój samochód? -

Zatrzepotała rzęsami. - Jesteś słodki. Czy można sobie wyobrazić lepszego brata, Tory? Wie, że mam słabość do tego kabrioletu, i zawsze mi go pożycza. - Wyjęła kluczyki z ręki Cade'a i pocałowała go głośno. - Tory, nudzę się śmiertelnie, ponieważ Wade przez cały dzień pracuje.

Czy nie mogłabym dotrzymać ci przez jakiś czas towarzystwa? Zastanawiam się nad kupieniem Wade'owi jednego z tych wielkich świeczników, które masz u siebie. Przydałoby mu się coś takiego w domu. Zresztą sama widziałas, jak mieszka, więc nie muszę ci tego tłumaczyć. Znosi się na to, że będę tam spędzała większość czasu, ale nie mogę strawić tego jego męskiego wystroju. Mój samochód stoi na tyłach domu Wade'a - zawołała do Cade'a, prowadząc Tory w stronę jej sklepu. - Ma mało benzyny.

Tory rzuciła ostatnie spojrzenie na zaniepokojoną twarz Cade'a i przekręciła klucz w drzwiach.

- Czy ten samochód to łapówka?

- Obudził mnie wcześniej rano, więc musi mi teraz za to zapłacić. Chce, żebyśmy się nie spuszczały z oczu.

- Gdzie twój pies?

- Och, czuje się wspaniale z Wadem. - Faith odwróciła się do okna i pomachała wesoło Cade'owi. - Ale jest zły na mnie. Nie cierpi, kiedy jeżdżę tą jego zabawką.

- Dlatego jeździsz nią tak często, jak to jest możliwe.

- Oczywiście. Masz coś zimnego do picia? Jest tak gorąco, że nie ma czym oddychać.

- Na zapleczu. Poczęstuj się.

- Czy otworzysz sklep?

- Nie, nie chcę dzisiaj oglądać ludzi. Więc nie obraż się, jeżeli nie będę zwracała na ciebie uwagi.

- I nawzajem.

Faith wśliznęła się do pokoju na zapleczu, skąd wyszła z dwiema butelkami coli. Tory nastawiła cichą muzykę i zajęła się przecieraniem ściereczką ceramicznych i szklanych przedmiotów.

- Mogłabyś mi coś dać do roboty, zanim umrę z nudów. Tory wręczyła jej ściereczkę.

- Powinnaś sobie z tym poradzić. Mam sporo pracy na zapleczu. Tylko nie wpuszczaj nikogo. Jeżeli ktoś podejrze do drzwi, powiedz po prostu, że dzisiaj sklep jest zamknięty.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Kiedy Tory zamknęła za sobą drzwi, Faith wzruszyła ramionami, po czym zaczęła się zabawiać przestawianiem przedmiotów, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby prowadziła własny sklep.

Stanowczo za dużo pracy, za dużo zachodu. Chociaż, z drugiej strony, fajnie jest mieć wokół siebie tyle ślicznych rzeczy i kombinować, jak by je sprzedać.

Znalazła za ladą klucze do gabloty z biżuterią i przymierzyła kilka par kolczyków, zachwyciła się bransoletką ze srebrnej spirali. Także ją przymierzyła.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, podskoczyła w poczuciu winy i zamknęła gablotę.

Nie знаła tych twarzy. Stojący na zewnątrz mężczyzna i kobieta przyglądali się jej równie badawczo jak ona im. Jaka szkoda, Tory nie otworzy sklepu. Można by się przynajmniej trochę rozerwać przy klientach.

Faith uśmiechnęła się promiennie i postukała palcem w tabliczkę z napisem

„Zamknięte”. Wówczas kobieta pokazała swoją odznakę.

FBI. Jeszcze lepsza rozrywka. Otworzyła drzwi. Panna Bodeen?

- Nie, jest na zapleczu. - Faith przyglądała im się przez chwilę. Kobieta była wysoka i żyłasta, miała krótko ostrzyżone czarne włosy i zimne ciemne oczy. Ubrana była w nietwarzowy szary kostium i w potwornie brzydkie buty.

Mężczyzna był już trochę lepszy. Miał kręcące się brązowe włosy i kwadratową szczękę z seksowną małą szparką w brodzie. Poczęstowała go uśmiechem, na co niemal nie zareagował.

- Nigdy przedtem nie spotkałam agenta FBI. Zdaje się, że trochę straciłam głowę.

- Czy mogłaby pani poprosić pannę Bodeen? - zapytała kobieta.

- Oczywiście. Jedną chwileczkę. Proszę tutaj poczekać. - Pospieszyła do magazynu, zamknęła za sobą drzwi. - To FBI.

Tory poderwała głowę do góry.

- Tutaj?

- Za drzwiami. Mężczyzna i kobieta - ale w niczym nie przypominają tej pary z telewizyjnego serialu. On jeszcze nie jest taki najgorszy, ale ona ma na sobie kostium, w którym nie dałabym się nawet pochować. Poza tym jest jankeską. O nim nic nie wiem. Nie otworzył ani razu ust. Moim zdaniem to ona jest główną postacią tego spektaklu.

- Na miłość boską, co mnie to obchodzi? - Tory podniosła się na nogi, ale zadrżały pod nią kolana.

Nie zdążyła jeszcze złapać równowagi, kiedy rozległo się energiczne pukanie, po którym otworzyły się drzwi.

- Panna Bodeen? - Tak, ja...

- Jacoby, agent do spraw specjalnych. - Kobieta jeszcze raz pokazała swoją odznakę. -

A to agent do spraw specjalnych Marks. Musimy z panią porozmawiać.

- Znaleźliście mojego ojca?

- Jeszcze nie. Czy kontaktował się z panią?

- Nie. Nie widziałam go, nie miałam od niego wiadomości. Wie dobrze, że nie może szukać u mnie pomocy.

- Chcielibyśmy pani zadać kilka pytań. Jacoby spojrzała znacząco na Faith. Faith natychmiast podeszła do Tory i objęła ją.

- To narzeczona mojego brata. Obiecałam mu, że z nią zostanę. Marks wyciągnął notatnik, przewrócił kartki.

- A kim pani jest?

- Faith Lavelle. Tory przeżywa bardzo trudny okres. Zostanę tutaj z nią.

- Jest pani spokrewniona z Hannibalem Bodeenem?

- Znam go. I przypuszczam, że osiemnaście lat temu zabił moją siostrę.

- Nie mamy na to dowodu. Panno Bodeen, kiedy po raz ostatni widziała się pani z matką?

- W kwietniu. Pojechaliśmy do niej z wujem. Od wielu lat moje stosunki z rodzicami były bardziej niż chłodne. Nie widziałam jej, odkąd skończyłam dwadzieścia lat, podobnie jak mojego ojca. Dopóki nie pojawił się tutaj, w moim sklepie.

- A czy wiedziała pani wtedy, że jest ścigany? - Tak.

- Dała mu pani pieniądze.

- Zabrał mi je - sprostowała Tory. - Ale i tak bym mu dała, żeby go tylko nie musieć oglądać.

- Pani ojciec uciekał się do fizycznej przemocy wobec pani.

- Przez całe moje życie. - Tory usiadła.

- A wobec pani matki?

- Nie, właściwie nie. Nie musiał. Podejrzewam jednak, że mógł ją bić w ostatnich latach - kiedy mnie tam nie było. Ale to są tylko spekulacje.

- Słyszałam, że nie musi pani spekulować. - Jacoby podniosła wzrok, wlepiła swoje ciemne oczy w Tory. - Przypisuje pani sobie szczególne właściwości psychiczne.

- Niczego sobie nie przypisują.
- Przed laty była pani zaangażowana w kilka spraw związanych z uprowadzeniem dzieci.
- Co to ma wspólnego z zamordowaniem mojej matki?

- Byłyście przyjaciółkami z Hope Lavelle. - Marks sięgnął spokojnym ruchem po formularz i usiadł w fotelu, podczas gdy jego towarzyszka pozostała w pozycji stojącej.

- Tak, bardzo dobrymi przyjaciółkami. - I zaprowadziła pani jej rodzinę i policję do ciała Hope Lawelle.

- Tak. Niewątpliwie ma pan raporty na ten temat. Nie mam nic do dodania. - Jakoby widziała pani jej zabójcę. - Kiedy Tory nie odpowiedziała, Marks pochylił się do przodu. -

Ostatnio korzystała pani z pomocy Abigail Lawrence, prawniczki z Charleston. Interesowały panią zabójstwa na tle seksualnym. Dlaczego?

- Ponieważ te wszystkie osoby zostały zamordowane przez tego samego człowieka, który zamordował Hope. Ponieważ każda z nich była dla niego Hope, tyle że w innym wieku.

- Pani to tak czuje? - zapytała Jacoby.

- Ja to wiem. Nie oczekuję od was, że mi uwierzycie.

- Skoro pani to wie - ciągnęła Jacoby - to dlaczego nic pani z tym nie zrobiła?

- W jakim celu? Żeby dać powód do śmiechu komuś takiemu jak wy? Żeby znowu ktoś wyciągnął sprawę Jonaha Mansfielda? Przecież wie pani o mnie wszystko, agencie Jacoby.

Marks wyjął z kieszeni plastikową torebkę, rzucił ją na stół. Wewnątrz był jeden kolczyk, proste złote kółeczko.

- Co pani może nam na ten temat powiedzieć? Tory siedziała bez ruchu.

- Że to jest kolczyk.

- Wiemy, że u pani pod warstwą ogromnego opanowania kryje się żywioł. - Jacoby postąpiła krok do przodu. - Była pani na tyle zainteresowana morderstwami, żeby zebrać o nich informacje. Czy nie jest pani ciekawa, co można by uzyskać na przykład z tego?

- Powiedziałałam wszystko na temat mojego ojca. Zrobią wszystko, co będę mogła, żeby pomóc go odszukać.

Marks podniósł torebkę.

- Proszę więc zacząć od tego.

- Czy to należało do mojej matki? - Tory wyrwała mu ją z ręki, wyjęła kolczyk z torebki.

Chwilę później zadrżała, po czym rzuciła kolczyk na biurko.

- Drugi ma pani w kieszeni - powiedziała do Jacoby. - Wzięła je pani, jadąc do miasta, i włożyła jeden do tej torebki. - Spojrzała prosto w oczy Jacoby. - Nie zamierzam się przed wami popisywać.

- Przepraszam. - Jacoby podeszła, żeby zabrać kolczyk. - Rzeczywiście trochę o pani wiem, panno Bodeen. Zainteresowało mnie to, co pani robiła w Nowym Jorku. Zbadałam sprawę Mansfielda. - Schowała kolczyk do kieszeni.

- Policja powinna była postąpić zgodnie z pani sugestiami. Ja mam taki zamiar.

- Nie mam więcej nic do powiedzenia. - Tory podniosła się z miejsca. - Faith, czy mogłabyś ich odprowadzić do drzwi?

- Jasne.

Jacoby wyjęła wizytówkę, położyła ją na biurku, po czym podążyła za Faith. Po chwili Faith wróciła, wyjęła nową butelkę coli i usadowiła się na fotelu, który zwolnił Marks.

- Potrafiłaś to powiedzieć, dotykając tylko tego kolczyka? Poznałaś, że należy do Jacoby?

- Muszę popracować.

- Och, skończ z tym. - Faith pociągnęła wielki łyk z butelki.

- Słowo daję, nie znam nikogo drugiego, kto by tak cholernie poważnie do wszystkiego podchodził. Teraz widzę, że musimy kupić bilety na loterię albo zagrać na wyścigach. Czy potrafisz przewidzieć zachowanie koni?

- Zlituj się, na Boga!

- Dlaczego? Mogłybyśmy mieć niezłą zabawę! Nie, to będzie lepsze niż konie.

Pojedziemy do Las Vegas i zmierzmy się z jednorękim bandytą. Jezu Chryste, Tory, rozbijemy bank w każdym kasynie!

- To nie jest coś, z czego można czerpać zyski.

- Dlaczego? Och, oczywiście, zapomniałam. To cała ty. Wolisz raczej pograżać się w czarnych myślach. O ja nieszczęśliwa! - Faith wykonała ruch, jakby ocierała chustką łzy.

- Nie pograżam się w czarnych myślach.

- Ale dojdiesz do tego, jestem pewna. Ponieważ sama jestem ekspertem od pograżania się w czarnych myślach. Mogłabyś spróbować dowiedzieć się, co Wade sądzi na mój temat.

- Nie zrobię tego.

- Och, bądź kumpelką. - Nie.

- Jesteś okropna.

- Dobra, a teraz spływaj. I odłóż tę bransoletkę tam, skąd ją wzięłaś.

- Proszę bardzo. Wcale nie jest w moim stylu. - Pochyliła się nad biurkiem. - A o czym ja teraz myślę?

Tory podniosła głowę, zadrżały jej usta.

- To jest pomysłowe, ale niemożliwe do wykonania z punktu widzenia anatomii. -

Odwróciła fotel w stronę klawiatury. - Faith, dziękuję ci.

Faith parsknęła śmiechem i otworzyła drzwi. - Za co?

- Że nie chciałaś dopuścić, żebym pogрузyła się w czarnych myślach.

- Och, za to. Cała przyjemność po mojej stronie. To przecież takie proste.

Wade, kochanie? - Faith przycisnęła słuchawkę ramieniem i zerknęła ponad ladą w stronę drzwi magazynu, w którym tkwiła Tory. - Jesteś zajęty?

- Nie. Właśnie skończyłem wyciskać odbyt dwunastoletniego jamnika. Kolejny piękny dzień.

- A co to właściwie znaczy? Nie, nieważne, wolę nie wiedzieć. Jak się ma moje maleństwo?

- Mam się doskonale, a ty?

- Miałam na myśli Bee. Jak ona się ma? Tęskni za mną?

- Bawi się dobrze. Później opowie ci, jak spędziła swój pierwszy dzień w pracy.

- Ja także jestem pierwszy dzień w pracy. No bo chyba można to tak nazwać. -

Przyjrzała się uważnie szklanym gablotom, które wyczyściła na połysk. - Nie jest tak źle, jak myślałam. Niemniej jednak, ponieważ sprawdziłam się dzisiaj jako dobra samarytanka, oczekuję nagrody. Jak sądzisz, o której będziesz wolny?

- Powinienem skończyć do wpół do szóstej. Co kombinujesz?

- Mam kabriolet Cade'a, pomyślałam więc, że warto się wybrać na dłuższą przejażdżkę, na plażę? Jest tak gorąco... Nie mam nic na sobie, poza tą czerwoną sukienką. -

Z chytrym uśmieszkiem nawinęła na palec pasemko włosów. - Pamiętasz moją czerwoną sukienkę, kochanie?

Nastąpiła długa, długa przerwa.

- Chcesz mnie dobić?

Jej śmiech był ochryply i pełen zadowolenia.

- Próbują się tylko upewnić, czy przez to, że ostatnio spędziliśmy większość czasu na rozmowach, nie zaniedbaliśmy przypadkiem pewnego elementu naszego związku.

- Mogę to nadrobić.

- Więc wybierzmy się na tę przejażdżkę. Będziesz mógł mnie potraktować wytworną kolacją nad wodą, może mnie nawet trochę upijesz. A potem zatrzymamy się w tanim motelu i zabawimy się w parę komiwojażerów.

- A co sprzedajesz? Zaśmiała się.

- Och, kochanie, musisz mi zaufać. Zapewniam cię, że cena będzie godziwa.

- A zatem kupuję. Będziemy jednak musieli wrócić w nocy albo wczesnym rankiem.

Mam umówione wizyty.

- O nic się nie martw. - Miała już wprawę w przygotowywaniu tego rodzaju planów. -

Muszę jeszcze tylko wyciągnąć stąd Tory i pojechać do domu spakować trochę podstawowych rzeczy. Wade?

- Tak?

- Pamiętasz, jak powiedziałaś, że jesteś we mnie zakochany?

- Coś sobie chyba przypominam.

- No więc myślę, że ja też ciebie kocham. I wiesz co? To wcale nie jest aż tak straszne.

Nastąpiła kolejna długa przerwa.

- Myślę, że będę mógł stąd wyjść piętnaście po piątej.

- Podjadę po ciebie. - Odwiesiła słuchawkę i wybiegła tanecznym krokiem zza lady. -

Tory, wyłącz. Siedzisz tu jak w więzieniu - stwierdziła, otwierając drzwi.

Tory ledwie spojrzała znad listy towarów.

- Ty chyba rzeczywiście nigdy nie pracowałaś, prawda?

- A niby po co? Mam spadek.

- Nie każdy pracuje dla pieniędzy. To jest także przyjemność z dobrze wykonanego zadania, satysfakcja, samorealizacja.

- W porządku, będę pracowała z tobą.

- Czyżby w piekle nastąpiło trzęsienie ziemi?

- Przestań, to naprawdę mogłoby być zabawne. Tylko bez żadnych zobowiązań i formalności. Ale o tym porozmawiamy później. Teraz musisz ze mną jechać. Wpadnę do domu, muszę zgarnąć trochę rzeczy.

- Zjeżdżaj.

- Gdzie ja, tam ty. Obiecałam Cade'owi. A poza tym zabawiliśmy tutaj... - spojrzała na zegarek - prawie cztery godziny. Lilah przyrządzi nam lunch.

- Nie jestem głodna.

- Ale ja jestem. A jeżeli zostaniemy tu dłużej, ci z FBI mogą jeszcze wrócić.

- W porządku. - Tory odłożyła ołówek. - Jednak obiecałam babci, że będę o piątej u wujka.

- Doskonale. Wyrzucę cię pod ich domem, a potem podjadę po Wade'a. Weź ze dwie butelki coli, kochanie. Dosłownie konam z pragnienia. - Wypadła, żeby w jednym z ozdobnych luster Tory odświeżyć szminkę na ustach.

- Nie marnuj oczu. Nic tam mądrego nie wypatrzysz - powiedziała słodko Tory, przynosząc butelki.

- Oho! Czyżby humorek nam nie dopisywał? - Nie zrażona Faith zamknęła szminkę i wrzuciła ją do torby. - To wszystko przez to, że zaszyłaś się na cały dzień w tej swojej jaskini.

Jeszcze mi podziękujesz, kiedy znajdziemy się na szosie i otworzymy dach tego cudeńka Cade'a. Rozwieje ci włosy i może im nada trochę stylu.

- Masz jakieś zastrzeżenia do moich włosów?

- Broń Boże. Skoro postanowiłaś wyglądać jak zasuszona bibliotekarka, twoja sprawa.

- Co za idiotyczne porównanie i jaka obraza dla całego tego zawodu.

- Tak uważasz? - Faith pozostała jeszcze chwilę przed lustrem, poprawiając i wzburzając własną lśniącą blond grzywę. - Nie widziałaś panny Matyldy z naszej biblioteki miejskiej?

Tory nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Och, zamknij się - skwitowała to porównanie i wetknęła butelkę coli w rękę Faith.

- To właśnie w tobie lubię. Te twoje cięte riposty. - Faith jeszcze raz podrzuciła włosy, po czym ruszyła w stronę drzwi. - No to zwijamy się.

- Poprzestawiałaś rzeczy. - Tory obejrzała uważnie półki, gabloty, odnotowała wszystkie drobne zmiany.

Cięte riposty, a do tego sokole oko.

- Trochę tu, trochę tam. Co o tym sądzisz?

Chciała ją skrytykować, choćby dla zasady, ale uczciwość wzięła w niej górę. - Nie jest źle.

- Wybacz mi, ale jestem tak zaskoczona pochwałą, że chyba za chwilę zemdleję.

- W takim razie ja poprowadzę samochód.

- Po moim trupie. - Śmiejąc się, Faith wypłynęła tanecznym krokiem ze sklepu.

Idąc w jej ślady, Tory stwierdziła, że świetnie się bawi. Obcowanie z Faith wykluczało jakiegokolwiek

poważne myślenie. Pomysł szybkiej jazdy w otwartym samochodzie był bardzo kuszący. Skoncentruje się na tym, tylko na tym, a o resztę będzie się później martwiła.

- Zapnij pasy - nakazała, zajmując miejsce pasażera.

- Och, niech ci będzie. Powietrze jest takie gęste, że można się nim udławić. Faith zapięła swój pas, wyjęła okulary przeciwsłoneczne, przekręciła kluczyk. Naciskając gaz, poruszyła brwiami.

- Przydałaby się nastrojowa muzyka. - Wcisnęła klawisz CD, przeleciała szybko odtwarzacz, aż trafiła na Pete'a Segara, który jęczał coś rzewnie o rock and rollu. - Doskonale.

A teraz się przekonamy, na co cię stać, Wiktorio.

Tory wyjęła na wszelki wypadek ciemne okulary i włożyła je na nos.

- Jestem twarda.

- W porządku. - Faith odczekała, żeby włączyć się do ruchu, po czym z piskiem opon wykonała ostry skręt i przeleciała przez światła na sekundę przed tym, nim zmieniły się na czerwone.

- Zgarniesz karne punkty, zanim zdążysz wyjechać z miasta.

- Och, idę o zakład, że gliny są teraz zajęte, ponieważ z FBI nie ma żartów. Chryste!

Jakże ja kocham ten samochód!

- To dlaczego sobie nie kupisz takiego?

- Bo wtedy nie mogłabym zanudzać o to Cade'a. Za granicami miasta przyspieszyła.

Wiatr smagał Tory po twarzy, szarpał jej włosy i rozgrzewał krew. Co za wariactwo.

Już od dawno czegoś takiego nie przeżyła.

Hope uwielbiała szybką jazdę, pruć na swoim rowerze jak statek kosmiczny. Kusząc los, puszczała kierownicę, ulegając nastrojowi chwili.

Teraz Tory zrobiła to samo, odrzucając do tyłu głowę, zafascynowana szybkością i muzyką.

Czuło się zapach lata, a lato to było dzieciństwo. Rozgrzana smoła, topiąca się w promieniach upalnego słońca, stojąca woda na bagnach, niemal gotująca się z braku tlenu, zapach nawozu z pól.

Mogłaby pędzić przez pola dojrzałej bawełny i wyobrażać sobie, że jest odkrywczynią nowego lądu albo obcej planety. Tańczyć po rozmiękłym asfalcie. I tak aż do moczarów, gdzie znalazłaby się w innym świecie. Tam biegłaby po grząskiej ziemi, po zapadającym się pod nogami mchu i wśród żądnych krwi komarów.

Biec. Uciekać z dudniącym sercem i z uwięzionym w gardle krzykiem. Uciekać...

- Tam jest Cade.

- Co? - Tory cofnęła się gwałtownie, kręciło się jej w głowie, była zimna i lepka od potu, jej szeroko rozwarte oczy prawie nic nie widziały, kiedy odwróciła głowę.

- Tam. - Faith pokazała ręką w stronę pola, gdzie w morzu zielonej bawełny stali dwaj mężczyźni. Nacisnęła na klakson, pomachała ręką i roześmiała się. - Och, już czuję, jak nas przeklina, jak plotkuje z Pineyem o swojej zwariowanej, nieodpowiedzialnej siostrze. Nie przejmuj się - dodała, rzucając okiem na Tory. - Pewnie sobie myśli, że próbuję cię zdeprawować.

- Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Faith popatrzyła na nią dłużej i uważniej.

- No pewnie. Chociaż jesteś trochę blada. Może byś... o cholera!

Na drogę wypadł królik, na moment zamarł w bezruchu. Faith odruchowo nacisnęła na hamulce, skręciła na pobocze. Samochód wpadł w poślizg, zapiszczały opony, po czym, pod jej wprawnymi rękami, znowu złapał równowagę.

- Nie mogłabym zabić niczego. Dlaczego one tak wybiegają? Jakby specjalnie czekały na nadjeżdżający samochód i... - Kiedy ponownie spojrzała na Tory, zamilkła i parsknęła śmiechem.

Tory bez słowa popatrzyła w dół. Większa część coli wylała się na jej bluzkę.

Końcami dwóch palców odciągnęła materiał od ciała i popatrzyła zezem na Faith.

- No co, do jasnej cholery, może miałam przejechać tego króliczka?

- Nienawidzą cię.

- Nie, to nieprawda, nie mówisz tego poważnie.

- Tak, nienawidzę cię. Albo natychmiast przestaniesz się śmiać, albo zawartość tej butelki wyląduje na twoich kolanach.

- Nie śmieję się. No, może chichoczę.

- Nie masz w sobie ani krzty delikatności, ale możesz sobie chichotać w drodze do mojego domu, ponieważ będę musiała się przebrać.

- Co za wspaniałomyślność.

Bębniąc palcami o kierownicę, Faith zjechała na drogę prowadzącą do Tory, wzbijając w powietrze kurz i żwir podczas hamowania.

- Całe i zdrowe. - Aż cmoknęła przyglądając się spod rozwianych włosów poplamionej bluzce. - No,

no, aleś się uświniła.

- Jeszcze jedno nieostrożne słowo, a urzędzą ci kąpiel w tym ciemnym płynie.

- Uważaj, bo się przestraszę. - Jednak na wszelki wypadek Faith wyskoczyła z samochodu jak z procy. - Żeby ci tylko dowieść, jaka jestem skruszona i przyzwoita, poleję tę bluzkę zimną wodą, podczas gdy ty będziesz się szorowała. Szkoda byłoby ją zniszczyć, chociaż jest taka śmiertelnie pospolita.

- Klasyczna.

- Niech ci będzie. - Zadowolona z takiego obrotu sprawy Faith skierowała się w stronę schodów. - Nie spiesz się z doprowadzaniem się do porządku - powiedziała, gdy Tory otworzyła drzwi. - Potrzebujesz na to więcej czasu niż ja.

- Nie sądzę, żeby po to, by wskoczyć do kolejnego łóżka, trzeba było wielu przygotowań.

- Dobrze powiedziane. O Boże, jaki tu upał. Musicie się z Cadem kleić do siebie, kiedy razem figlujecie.

- Uważam, że nie jest to takie przykre.

Szczerząc w uśmiechu zęby Faith poszła za nią do sypialni.

- Wszystko prosto spod igielki. - Czując się jak u siebie w domu, otworzyła szafę Tory i zajrzała do środka. - No nie, niektóre z tych rzeczy nie są wcale takie złe. Jaki nosisz rozmiar, czwórkę?

- Zabieraj łapy z moich ubrań.

- Są czyste. - Wyciągnęła jedwabną bluzkę w ciemnoniebieskim kolorze. - To jest mój kolor. - Podniosła ją do góry, odwróciła się do lustra. - Nie uważasz, że idealnie pasuje do moich oczu?

Rozebrana do stanika Tory rzuciła Faith mokrą bluzkę.

- Idź i zajmij się czymś pożytecznym.

Faith, niezbyt chętnie wyszła, żeby przepłukać bluzkę w łazienkowej umywalce.

- Jeżeli nie masz zamiaru nosić tej niebieskiej bluzki w najbliższych dniach, pożycz mija. Pomyślałam, że moglibyśmy z Wadem urządzić sobie jutro wieczorem domową kolację.

Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem, nie będę jej miała zbyt długo na sobie.

- Więc nieważne, w co się ubierzesz.

- Takie stwierdzenie dowodzi jedynie, jak bardzo mnie potrzebujesz. - Polewając wodą bluzkę, Faith zachlapała całą umywalkę. - Ubranie kobiety świadczy o jej stosunku do mężczyzny.

Tory sięgnęła do szafy po białą, sportową koszulę, po czym zerknęła na jedwabną niebieską bluzkę.

- Z tego wniosek, że w twojej garderobie musi być dużo ubrań z czarnej skóry.

- Tylko jedno - odpowiedziała obojętnie Faith i, podczas gdy koszula moczyła się w wodzie, zaczęła się zabawiać kosmetykami Tory.

Tory zapięła guziczki bluzki i podeszła do lustra, żeby uczesać włosy. Trzeba z nimi zrobić porządek i zawiązać je do tyłu. Jedzie dodać otuchy babci, pomóc pozbierać się pozostałym członkom rodziny. Nie pora na żarty i na dogadzanie sobie. Choć, między Bogiem a prawdą, właśnie tego potrzebowała, i nie zapomni Faith, że pozwoliła jej tego zaznać.

Z rękami w górze zaczęła zaplatać warkocz. Powtarzający się ruch i monotonne buczenie wiatraka pod sufitem ukołysały ją, niemal ją uspiły. Zastygła z na wpół zamkniętymi oczami i marzycielsko uśmiechała się do lustra.

Ujrzała wyskakującego na szosę królika. Jego przerażenie. Ucieczkę. Ucieczkę przed zapachem człowieka.

Ktoś nadchodził. Ktoś ją obserwował, a struchlałe serce uciekającego królika było teraz jej sercem. W dusznym, ciężkim powietrzu czuło się niewyraźny zapach zestarzałej whisky.

Poczuła go, jak zwierzyna tropiona przez myśliwego.

Jednym susem dopadła nocnej szafki i chwyciła broń, którą dostała od Cade'a. Chciało jej się płakać i wyć, ale pokonała to w sobie. Pozostało szarpiące, przyprawiające o palpacje uczucie strachu. Wybiegła z pokoju w tej samej chwili, kiedy Faith opuszczała łazienkę.

- Zostawiłam ją, żeby się moczyła. Będziesz ją mogła wyżyć, kiedy... - Najpierw zobaczyła rewolwer, a potem twarz Tory. - O Boże - zdążyła tylko szepnąć, gdy Tory chwyciła ją za ramię.

- Posłuchaj mnie, o nic nie pytaj. Nie mamy czasu. Wyjdź od frontu, spiesz się.

Wsiądź do samochodu i jedź po pomoc. Sprowadź pomoc. Zatrzymam go, jeżeli potrafię.

- Chodź ze mną.

- Nie. - Tory wyrwała się, rzuciła się do kuchni. - On już jest blisko. Leć! Pobiegnij na tył domu, żeby dać Faith czas na ucieczkę. I żeby stawić czoło ojcu.

Kopniakiem otworzył tylne drzwi, wtoczył się w nie. Był brudny, a twarz i ramiona nosiły ślady świeżych skaleczeń i ukąszeń komarów. Zachwiał się lekko, ale nie spuścił

wzroku z twarzy córki. W jednej ręce trzymał pustą butelkę, w drugiej rewolwer.

- Czekałem na ciebie.

Tory zacisnęła rękę na rewolwerze.

- Wiem.

- Gdzie jest ta suka Lavelle?

- Nikogo tu poza mną nie ma.

- Zakłamana dziwka. Nie rozstajesz się ani na krok z tym bachorem bogatego człowieka. Chcę z nią mówić. - Wytrzeszczył zęby w uśmiechu. - Chcę mówić z wami obiema.

- Hope nie żyje. Zostałam tylko ja.

- Słusznie, słusznie. - Podniósł butelkę, stwierdził, że jest pusta, rzucił ją o ścianę, rozbijając na drobne kawałki. - Prosiła się, żeby ją zabić. Dostała za swoje. Obie dostałyście za wszystko, co robiłyście. Za kłamstwo i donosicielstwo. Za dotykane się w bezbożny sposób.

- Między mną i Hope nie było nic takiego. Nadstawiła uszu, ale nie słyszała warkotu samochodu.

- Myślisz, że nie wiedziałem? - Machnął gwałtownie rewolwerem, ale nawet nie mrugnęła. - Myślisz, że nie widziałem was, jak pływałyście nago, jak unosiłyście się na wodzie, ochlapując się nią, żeby spływała po waszych ciałach?

Ogarnęło ją obrzydzenie, że mógł sprofanować jej dzieciństwo.

- Miałyśmy po osiem lat. A grzech był w tobie. Zawsze tam był. Nie, nie zbliżaj się. -

Podniosła rewolwer, poczuła drżenie, od ramienia po końce palców. - Nie dotkniesz mnie więcej. Ani nikogo innego. Czyżby tym razem mama nie dała ci dość pieniędzy? Czy ruszała się za wolno? Dlatego to zrobiłeś?

- Nigdy nie podniosłem ręki na twoją matkę, jeżeli jej się nie należało. Bóg uczynił

mężczyznę panem w jego domu. Odłóż to na bok i daj mi się napić.

- Policja jest na twoim tropie. Szukają cię. Za Hope, za mamę, za wszystkie inne.

Kiedy ruszył do przodu, rewolwer podskoczył jej w rękę.

- Jeżeli podejdziesz bliżej, skończę z tobą.

- Myślisz, że mnie przestraszysz! Nigdy nie miałaś za grosz sprytu.

- O mnie nikt nigdy tego nie powiedział. - Zza pleców Tory wysunęła się Faith. Mały rewolwer błyszczał w jej rękę, - Jeżeli ona ciebie nie zastrzeli, obiecuję, że ja to zrobię.

- Powiedziałaś, że ona nie żyje! - Zaskoczony i wściekły rzucił się do przodu, popychając Tory na

ścianę. Rozległ się strzał, poczuła zapach krwi.

Zatoczyła się na Faith, podczas gdy jej ojciec zawył i wypadł przez rozbite drzwi.

- Kazałam ci stąd odejść. - Szczękając zębami, Tory opadła na kolana.

- No i co, może nie posłuchałam? - Ponieważ mącił się jej wzrok, Faith złapała się ściany i dumnie potrząsnęła głową. - Skorzystałam z telefonu w samochodzie Cade'a i wezwałam policję.

- I wróciłaś!

- Taak. - Lekko jeszcze zdyszana Faith oderwała się od ściany, próbując dosięgnąć tyłu głowy, na której było trochę krwi. - Ty byś mnie nie zostawiła.

- Tu była krew. Czulałam krew. - Tory natychmiast wstała na nogi. - Jesteś ranna?

Strzelił do ciebie?

- Nie. To ty strzeliłaś do niego. Tory, otrząśnij się. Osłupiała Tory popatrzyła na swoje ręce. Nadal trzymała w nich rewolwer, który drżał jak żywy. Wzburzona, z trudem chwytając powietrze, cisnęła nim o podłogę.

- Strzeliłam do niego?

- Kiedy się na ciebie rzucił, twój rewolwer wystrzelił. Tak sędzę. Boże, to się stało w okamgnieniu. Miał krew na koszuli, tego jestem pewna, i dlatego nie strzeliłam. Zdaje się, że będę wymiotować. Nienawidzę wymiotować. Słyszę syreny. - Na ich dźwięk Faith oparła się całym ciałem o ścianę. - Och, dzięki Bogu.

Nagle przed domem zawarczał silnik.

- O Jezu! Samochód Cade'a! Zostawiłam kluczyki w stacyjce!

Nim Tory zdołała ją powstrzymać, rzuciła się w stronę drzwi, razem, kiedy samochód odjeżdżał właśnie z piskiem opon.

- Cade go zabije.

Tory wciągnęła powietrze w płuca. Przypominało to szloch, ale kiedy odetchnęła, śmiała się. Był to śmiech na granicy hysterii, ale jednak śmiech.

- Dopiero co przegoniłyśmy szaleńca, a ty się martwisz o swojego dorosłego brata.

- No cóż, Cade powinien być z nas piekielnie dumny. - Bardziej żeby ją pocieszyć niż żeby szukać wsparcia, Faith objęła Tory ramieniem. Tory opuściła głowę i zamknęła oczy.

Wycie syren bombardowało jej uszy. Zobaczyła ręce na kierownicy samochodu. Ręce swojego ojca,

poorane głębokimi ranami. Poczula szybkość, odrywanie się opon od nawierzchni, kiedy zarzuciło samochodem.

Cofanie, dodawanie gazu. Ogłuszający rock z radia. Wirujące światła. Widzisz je we wstecznym lusterku, kiedy w nie zerkasz. Panika, oburzenie, nienawiść. Są coraz bliżej.

Ramię boli i piecze cię od kuli, cieknie krew.

Ale zaraz ich zostawisz w tyle. Bóg jest po twojej stronie. Zostawił ci samochód.

Szybko! Szybciej!

Próba. Oto kolejna próba. Zostawisz ich w tyle - musisz ich zostawić. Ale wrócisz do niej. O tak, wrócisz i każesz jej za wszystko zapłacić.

Ręce lepią się od krwi. Nie możesz utrzymać kierownicy. Napierają na ciebie słowa, naciera ją jakieś sylwetki.

Krzyk. Czy to ty krzyczysz?

- Tory! Na Boga! Tory! Przestań! Przebudź się!

Ocknęła się na poboczu drogi, leżąc twarzą do ziemi, wstrząsana drgawkami, z głową pękającą od hałasu.

- Nie rób tego! Nie wiem, jak ci pomóc.

- Nic mi nie jest. - Obolała Tory przewróciła się na drugą stronę, zasłoniła ramieniem oczy. - Jeszcze tylko chwilę.

- Nic ci nie jest? Wypadłaś na drogę, kiedy przejeżdżali. Bałam się, że trafisz pod koła. Potem upadłaś. - Faith opuściła głowę, objęła ją rękami. - To za dużo jak na mnie. To dużo więcej, niż mogę wytrzymać.

- Już po wszystkim. On nie żyje. Wydaje mi się, że przewidziałam to. Patrz. -

Pokazała na drogę. Słup płomieni i dymu wznosił się ku górze, a słońce odbijało się od chromu i szkła ustawionych w krąg policyjnych samochodów.

- Usłyszałam trzask i łomot, a potem wybuch.

- Śmierć w płomieniach - mruknęła Tory. - Życzyłam mu tego.

- Sam sobie tego życzył. Chcę do Wade'a! O Boże, chcę do Wade'a!

- Poprosimy, żeby ktoś do niego zadzwonił. - Odzyskując równowagę, Tory podniosła się na nogi, wyciągnęła rękę do Faith.

- Ja też. Będziemy się musiały podtrzymywać.

Objęte w pasie, zaczęły iść drogą. Od asfaltu bił żar, poprzez drgające powietrze Tory dostrzegła ogień, obracające się światła, rządowy samochód z agentami FBI.

- Widzisz, gdzie się rozbił? - wyszeptała Tory. - Akurat tam, gdzie Hope... akurat na zakręcie drogi prowadzącej do Hope.

Zatrzymała się, słysząc nadjeżdżający samochód. Wyskoczył z niego Cade, rzucił się przed siebie i objął je obie.

- Jesteście całe! Usłyszałem syreny, potem zobaczyłem ogień. O Boże, pomyślałem...

- Nic nam nie zrobił. - Czowała obok zapach Cade'a, zapach swego mężczyzny. - On nie żyje. Poczułam, jak umiera.

- Pss! Przestań! Zawiozę was do domu, obie.

- Ja chcę do Wade'a. Pocałował Faith w czubek głowy.

- Sprowadzimy go, kochanie. Chodź ze mną. Na razie przytrzymaj się mnie.

- Zabrał twój samochód, Cade. - Faith miała zamknięte oczy, przyciskała twarz do piersi brata. - Przepraszam.

Cade potrząsnął tylko głową, podtrzymał ją mocniej.

- Nie myśl o tym. Wszystko będzie dobrze.

Powoli i ostrożnie pomógł im wsiąść do samochodu. Kiedy ruszył, na drogę wyszła Jacoby, zatrzymała ich ruchem ręki.

- Panno Bodeen. Czy może pani potwierdzić, że to jest pani ojciec? - pokazała na wrak samochodu. - Czy to Hannibal Bodeen prowadził ten pojazd?

- Tak. On nie żyje.

- Muszę pani zadać kilka pytań.

- Nie teraz. - Cade wrzucił bieg. - Kiedy tutaj skończycie, proszę przyjechać do Beaux Rêves. Zabieram je obie do domu.

- W porządku. - Jacoby ominęła go wzrokiem, zwróciła się do Tory. - Jak się pani czuje?

- Już dobrze.

Przez jakiś czas była jak otępiała. Nie bardzo docierało do niej, że Cade zabierają do swojego domu,

że ją prowadzi po schodach, kładzie na łóżku.

Po chwili poczuła jakiś chłód na twarzy. Otworzyła oczy, napotkała jego wzrok.

- Czuję się dobrze. Jestem tylko odrobinę zmęczona.

- Przyniosłem jeden ze szlafroków Faith. Przebierzemy cię w niego, a od razu poczujesz się lepiej.

- Nie. - Usiadła, objęła go ramionami. - Już jest mi lepiej. Delikatnie dotknął jej włosów, wargami musnął jej skroń.

Przytulił ją z całej mocy i zanurzył twarz w jej włosach.

- Potrzebuję takiej chwili.

- Ja także. A nawet wielu takich chwil. Nie odchodź.

- Nie odchodzą. Widziałem was, jak jechałyście. Faith prowadziła jak szalona.

Zamierzałem ją za to nieźle zbesztać.

- Zrobiła to celowo. Lubi cię denerwować.

- To prawda, robi to stale. Chodziłem po polach, przysięgając sobie, że gorzko mi za to zapłaci, a za mną włókł się Piney i głupekowato się uśmiechał. Potem usłyszałem strzał.

Zamarło mi serce. Pobiegłem, ale miałem kawał drogi do szosy i do samochodu. W tym czasie przejechała policja. Widziałem wybuch. Pomyślałem, że mogę cię stracić. - Zaczął ją kołysać. - Pomyślałem, że mogę cię stracić, Tory.

- Myślami byłem z nim w samochodzie. Chciałam dokładnie wiedzieć, kiedy będzie po wszystkim.

- Już nigdy więcej cię nie tknie.

- Nie. Nie tknie też już nikogo z nas. - Złożyła głowę na twardym i mocnym zagłębieniu jego ramienia. - Gdzie Faith?

- Jest na dole z Wade'em. Nie może spokojnie usiedzieć.

- Została ze mną. Tak jak ją o to prosiłeś. - Westchnęła, przeciągnęła rękami po włosach. - Muszę jechać do babci.

- Ona wkrótce tu będzie. Zatelefonowałem do niej, poprosiłem, żeby przyjechała. To jest teraz twój dom, Tory. Przeniesiemy tu twoje rzeczy z Domu Na Bagnach.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Kiedy spacerowała z babcią po ogrodzie, zapadł zmierzch.

- Chciałabym, żebyś została tu z nami, babciu, ty i Cecil.

- Teraz jestem potrzebna J.R. Stracił siostrę, której nie potrafił uratować przed nią samą. Ja straciłam dziecko. - Załamiał jej się głos. - Straciłam ją dawno temu. Ale wciąż, choćbym nie wiem jak się od tego odżegnywała, miałam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. A teraz to się skończyło.

- Nie wiem, co mogłabym dla ciebie zrobić.

- Właśnie robisz to, co trzeba. Żyjesz i jesteś szczęśliwa. - Złapała kurczowo Tory za rękę. Teraz wszyscy będziemy musieli dojść do siebie, odzyskać spokój, każdy na swój własny sposób. Zamierzam ją pochować tutaj, w Progress. Uważam, że tak właśnie powinno być. Przeżyła tu parę szczęśliwych lat, a poza tym tak chce J.R. Nie chcę nabożeństwa ani ceremonii pogrzebowych. W tej sprawie nie zgadzamy się z J.R. Pochowamy ją pojutrze rano.

Ewentualnie pastor może powiedzieć kilka słów nad grobem. Nie będę ci miała za złe, jeżeli nie przyjdiesz, Tory.

- Oczywiście, że przyjdą.

- Cieszą się. - Iris usiadła na ławce. Robaczki świętojańskie świeciły w ciemności. -

Pogrzeby są dla żywych, pomagają wypełnić lukę. Poczujesz się po tym lepiej. - Przytuliła Tory, chciała ją mieć blisko siebie, westchnęła. - Czuję swoje lata.

- Nie mów tak.

- Och, to minie. Ale dzisiaj czuję się stara i zmęczona. Powiadają, że rodzice nie powinni przeżyć własnego dziecka, ale o tym, co się zdarzy, decydują natura i przeznaczenie.

Trzeba z tym żyć. Wszyscy musimy z tym żyć, Tory. Chcę, żebyś sięgnęła po to, co jest przed tobą, obiema rękami i trzymała to mocno.

- Tak robię. I tak będzie. Siostra Hope wie, jak to się robi. Uczę się od niej.

- Zawsze lubiłam tę dziewczynę. Czy zamierza wyjść za Wade'a?

- Sądzę, że to on zamierza się z nią ożenić, i że chce sprawić, aby ona uznała to za swój pomysł.

- Bystry chłopak. I taki zrównoważony. Okiełznają, nie uszkadzając jej skrzydeł.

Doczekam się chwili, kiedy moi oboje wnukowie będą szczęśliwi. I będę się tego mocno trzymała, Tory.

Wade mordował się z węzłem krawata. Nie znosił krawatów. Ilekroć je zakładał, przypominała mu się matka w wielkanocnym kapeluszu, który wyglądał jak odwrócona do góry nogami waza z kwiatami, dusząca go jaskrawoniebieskim krawatem, stanowiącym komplet z jego najbardziej znieawidzonym jasnoniebieskim garniturem.

Miał wówczas sześć lat, a uraz pozostanie mu chyba do końca życia.

Krawaty wkłada się na śluby i pogrzeby. I nic na to człowiek nie poradzi, nawet jeżeli ma się zawód, który nie wymaga codziennego wiązania sobie pod szyją tego draństwa.

Za godzinę będą chowali jego ciotkę. I na to też nic się nie poradzi.

Padało, rozpętała się burza. Pogrzeby wymagają parszywej pogody, tak jak wymagają krawatów i czarnej krepy, i intensywnie pachnących kwiatów.

Dałby rok życia, żeby móc wleźć do łóżka, przykryć się z głową i przeczekać, aż to całe zamieszanie odbędzie się bez niego.

- Maxine powiedziała, że chętnie popilnuje psy - oznajmiła Faith. Weszła do pokoju ubrana w najwytworniejszy czarny kostiumik, jaki znalazła w szafie. - Wade, coś ty zrobił z tym krawatem?

- Zawiązałem go. Zdaje się, że właśnie to robi się z krawatami.

- Chodź no tutaj, zobaczę, co jeszcze da się z tym zrobić.

- Nie przesadzaj. Przecież to nie ma znaczenia.

- Nie ma, o ile nie wyjdiesz na ulicę. Wyglądasz jakbyś miał czarne wole pod brodą.

Moja cioteczna babka Harriet miała wole i nie wyglądała atrakcyjnie. Wytrwaj jeszcze chwilę, już prawie skończyłam.

- Niech już tak zostanie, Faith. - Odwrócił się od niej, by sięgnąć po marynarkę. -

Chcę, żebyś tutaj została. Nie ma sensu, żebyś wychodziła na taką pogodę. Już i tak przeszedłś swoje.

Odłożyła torebkę.

- Nie chcesz, żebym tam była z tobą?

- Powinnaś pojechać do domu.

Spojrzała na niego, a następnie rozejrzała się wokół. Jej perfumy stały na jego bieliźniarce, jej ubrania wisiały na haku za drzwiami.

- To zabawne, a ja sądziłam, że właśnie w nim jestem. Czyżbym się pomyliła?

Wyjął z bielizniarki portfel, wsadził go do tylnej kieszeni, wygrzebał drobne.

- Nie musisz być na pogrzebie mojej ciotki.

- Dlaczego nie?

- Na miłość boską, Faith, zacznij kojarzyć. Moja ciotka była żoną człowieka, który zabił twoją siostrę i który mógł zabić ciebie nie dalej jak przed dwoma dniami. Jeżeli o tym zapomniałaś, to wiedz, że ja pamiętam.

- Nie, nie zapomniałam o tym. - Odwróciła się do lustra i, żeby czymś zająć ręce, wzięła szczotkę. Zachowując pozory absolutnego spokoju, przeczesalała nią włosy. - Znasz dużo ludzi... prawdopodobnie większość z nich... uważa, że mam tyle rozumu co głab kapuściany. Że jestem kapryśna i głupia, i zbyt pusta, żeby się wiązać z kimś na dłużej.

Zgoda.

Odłożyła szczotkę, schwyciła butelkę z perfumami i rozprowadziła trochę zapachu wzdłuż obojczyka.

- Zgoda - powtórzyła. - Tak sądzi większość. Ale tak się dziwnie składa, iż po tobie spodziewałam się trochę lepszego zdania na mój temat. Spodziewałam się, że masz o mnie lepsze zdanie niż ja o sobie.

- Myślę o tobie poważnie.

- Tak uważasz, Wade? - Przesunęła wzrok i napotkała w lustrze jego spojrzenie. -

Naprawdę tak myślisz? I jednocześnie wydaję ci się, że możesz mnie tak traktować? Może powinnam pójść do fryzjera, podczas gdy ty będziesz na pogrzebie swojej ciotki. A potem, kiedy znajdziesz się w trudnej albo niewygodnej sytuacji, pójdę sobie na zakupy. A potem -

ciągnęła, podnosząc głos, mówiąc coraz ostrzejszym tonem - zabiorę się gdziekolwiek, i już nie będzie odwrotu.

- Nie o to chodzi, Faith.

- Myślałam, że o to. - Odstawiła butelkę, odwróciła się. - Miałam nadzieję, że o to. Ale jeżeli nie chcesz mieć mnie dzisiaj przy sobie, jeżeli uważasz, że ja nie chcę być dzisiaj przy tobie, że nie mam na to ochoty, to znaczy, że nie ma różnicy z tym, co dotychczas robiłam.

Nie chciałabym się już powtarzać.

Zmagał się z emocjami, ogarnęła go taka złość, że aż zacisnął w pięści.

- Nie cierpię tego. Nie cierpię widoku mojego rozdartego ojca. Nieznośna jest dla mnie świadomość,

że twoja rodzina znowu musiała do tego wracać i że moja miała w tym swój udział. Nieznośna jest świadomość, jak mogło się skończyć twoje spotkanie z Bodeenem.

- To dobrze, ponieważ ja również nienawidzę tego wszystkiego. I powiem ci coś, o czym może nie wiesz. Kiedy tamtego dnia było już po wszystkim, kiedy odzyskałam zdolność myślenia, chciałam być z tobą. Wiedziałam, że się mną zaopiekujesz, że znajdę oparcie w tobie. Pójdę tam z tobą dzisiaj, będę stała przy tobie i postaram się choć trochę cię pocieszyć.

Albo wrócę do Beaux Rêves i spróbuję się pozbierać po utracie ciebie.

- Wiem, że potrafiłabyś to zrobić - powiedział spokojnym głosem. - Właśnie podziwiam cię za to. Kapryśna? Głupia? - Podchodząc do niej potrząsnął głową. - Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam. Zostań ze mną. - Przytknął czoło do jej czoła. - Zostań ze mną.

- Takie są moje plany. - Objęła go. - Chcę być tutaj dla ciebie. To u mnie coś nowego.

Pracowałeś nade mną, aż się w tobie zakochałam. Naprawdę podoba mi się to.

Trzymała go, czuła, że opiera się na niej. To także jej się spodobało. Nigdy przedtem nikt się na niej nie opierał.

- A teraz chodźmy - powiedziała żywym tonem, całując go w policzek. - Bo się spóźnimy, a pogrzeby nie należą do imprez, na których robi się wielkie wejście. Roześmiał się.

- Słusznie. Masz parasolkę?

- Oczywiście, że nie.

- A więc trzeba ją stąd wziąć.

Kiedy podszedł do szafy, żeby poszukać parasolki, przechyliła głowę i obserwowała go z uwagą, uśmiechając się przekornie.

- Wade, czy na zaręczyny kupisz mi szafir zamiast brylantu? Zamarł bez ruchu.

- Mamy się zaręczyć?

- Pojedynczy, piękny szafir - nie za duży. Średni. Klasyczny szlif. Pierwszy bałwan, za którego wyszłam, nie dał mi nawet pierścionka, a za to drugi ofiarował najpodlejszego gatunku brylant. - Złapała czarny słomkowy kapelusz, który rzuciła na łóżko, i podeszła do lustra, żeby go ułożyć na głowie w sposób jak najbardziej dystyngowany.

- Równie dobrze mógł mi wręczyć kawał szkła. Sprzedałam go po rozwodzie i za te pieniądze spędziłam cudowne dwa tygodnie w eleganckim kurorcie. Dlatego wolałabym szafir o prostym szlifie.

Wade znalazł wreszcie parasol.

- Czy mam to potraktować jako oświadczenia, Faith?

- Oczywiście, że nie. - Odchyliła do tyłu głowę, żeby móc zobaczyć swój nos. - I nie sądzę, że to cię zwalnia od poproszenia mnie o rękę. Mam nadzieję, że nie odstąpisz od tradycji i zrobisz to klęcząc na jednym kolanie. Z klasycznie oszlifowanym szafirem w ręku -

dodała.

- Zanotuję to sobie.

- Świetnie, nie zapomnij o tym drobiazgu. - Wyciągnęła rękę. - Gotowy?

- Tak mi się wydaje. - Wziął jej rękę, splótł z nią mocno palce. - Nikt jeszcze nie był

bardziej gotowy ode mnie.

Pochowali jej matkę w deszcz, który bombardował ziemię, podczas gdy błyskawice rozpruwały niebo. Tory pomyślała, że jej matka żyła w atmosferze przemocy, umarła od niej, a i nawet teraz towarzyszyła jej burza.

Nie słuchała pastora, choć wiedziała, że jego słowa miały przynieść pocieszenie.

Czuła się zbyt oderwana od rzeczywistości, żeby tego potrzebować, nie znajdowała w sobie żalu. Nigdy nie знаła tej kobiety w ozdobionej kwiatami trumnie. Nigdy jej nie rozumiała, nigdy na niej nie polegała. Jeżeli czegoś żałowała, to braku tego wszystkiego, a to uczucie towarzyszyło jej przez całe życie.

Obserwowała, jak deszcz rozpryskuje się na kapeluszach, słuchała, jak bębni o parasolki. I czekała, kiedy to się skończy.

Przyszło więcej ludzi, niż się spodziewała. Ustawili się małym ciemnym kręgiem w szarudze. Ona z wujem po bokach babci, potężny Cecil tuż za nimi. A Cade obok niej.

Boots popłakiwała cicho między swoim mężem i synem.

Kiedy odczytywano modlitwy, tylko Faith miała uniesioną głowę. Spotkały się z Tory oczami. I było w tym pocieszenie, zrozumienie.

Lilah stała niewzruszona jak skała, z suchymi oczami, odmawiając modlitwy razem z pastorem.

Co dziwne, była też Rosie, ciotka Cade' a, cała na czarno, w kapeluszu z woalką. Jej przyjazd zaskoczył wszystkich. Zwłaszcza że przyjechała z kufrem.

Margaret oznajmiła, że chwilowo pozostaje u siebie. I chyba dlatego Rosie natychmiast się spakowała, żeby chwilowo przenieść się gdzie indziej.

Ofiarowała Tory ślubną suknię swojej matki - pożółkłą ze starości jak masło, przesyconą intensywnym zapachem kulek antymolowych. Po czym sama się w nią ubrała i nie zdejmowała jej przez cały wieczór.

Kiedy kapelusze pochyliły się nad świeżą mogiłą, a pastor zamknął modlitewnik, J.R.

wysunął się do przodu.

- Miała cięższe życie niż oczekuje się tego od ludzi. - Odchrząknął. - I cięższą śmierć niż na to zasłużyła. Niech odpoczywa teraz w pokoju. Kiedy była małą dziewczynką, najbardziej lubiła żółte stokrotki. - Pocałował kwiatusek, który trzymał w ręku, i wrzucił go do grobu.

- Zrobiłby dla niej więcej - powiedziała Iris - gdyby mu na to pozwoliła. Wybieram się teraz z wizytą do Jimmy'ego. Chcę przedstawić go Cecilowi. A potem wracamy do domu. -

Ujęła Tory za ramiona, pocałowała ją w policzki. - Cieszę się z twojego szczęścia, Tory. I jestem z ciebie dumna. Kincade, zaopiekuj się moją małą dziewczynką.

- Tak jest. Mam nadzieję, że pani przyjedzie i zostanie z nami, razem z Cecilem.

Cecil pochylił się, żeby musnąć wargami policzek Tory.

- Będę o nią dbał - szepnął. Nie martw się.

- Wiem. - Odwróciła się, wiedząc, że będą jej chcieli złożyć kondolencje. Rosie już tutaj była, strzygąc oczami spod woalki.

- Taka uroczysta i krótka ceremonia dobrze o tobie świadczy.

- Dziękuję, pani Rose.

- Nie wybieramy sobie pochodzenia, ale jesteśmy kowalami własnego losu. -

Podniosła twarz, spojrzała na swojego siostrzeńca. - Dokonałeś dobrego wyboru. Margaret może tu przyjedzie, a może nie, ale nie przejmuj się tym. Porozmawiam teraz z Iris, dowiem się, kim jest ten ogromny, mocno zbudowany mężczyzna, którego ze sobą przyprowadziła.

Poszła tam w deszczu, w chanelowskim kostiumiku za dwa tysiące dolarów i w topornych ortopedycznych sandałach Birkenstocka.

Nie wiedząc, śmiać się, czy płakać, Tory położyła rękę na ramieniu Cade'a.

- Weź ją pod parasol. Mnie się nic nie stanie.

- Zaraz wrócę.

- Tory, bardzo ci współczuję. - Dwight uścisnął jej ręce i pocałował w policzek, osłaniając ją

parasolem przed deszczem. - Lissy chciała przyjechać, ale nie pozwoliłem jej opuszczać domu.

- Dobrze zrobiłaś. Nie powinna wychodzić na dwór w taką pogodę. To miło z twojej strony, że tutaj jesteś, Dwight.

- Znamy się od dawna. A Wade jest jednym z moich najbliższych przyjaciół. Tory, czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

- Nie, bardzo ci dziękuję. Chcę się przejść i odwiedzić jeszcze grób Hope. A ty powinieneś wracać do Lissy.

- Tak też zrobię. Weź to. - Podał jej parasol.

- Dziękuję, Dwight, ale nic mi nie będzie.

- Weź go - nalegał. - I nie stój zbyt długo w takiej wilgoci.

Odszedł, żeby porozmawiać z Wade'em.

Tory odwróciła się od grobu matki i przez trawę poszła w kierunku kamieni nagrobnych, do Hope.

Deszcz spływał po twarzy anioła jak łzy i uderzał w czarodziejskie róże. Wewnątrz kuli leciał uskrzydłony koń.

- Już jest po wszystkim - powiedziała Tory z westchnieniem. - Czuję w sobie taką ociężałość. No cóż, tyle się naraz dzieje. Pragnęłabym móc... jest zbyt wiele rzeczy, których można pragnąć.

- Nigdy na jej grób nie przynoszę kwiatów - odezwała się Faith, stając za nią. - Nie wiem dlaczego.

- Ma tutaj róże.

- To nie to samo. To nie są moje róże.

Tory obejrzała się za siebie i przysunęła się do niej.

- Ja jej tutaj nie czuję. Może ty również.

- Nie chcę iść do ziemi, gdy przyjdzie mój czas. Chcę, żeby rozrzuciono gdzieś moje prochy. Najlepiej na morzu, ponieważ zaplanowałam, że tam Wade poprosi mnie o rękę. Ona mogła odczuwać to samo, tylko że jej prochy powinny się znaleźć w rzece albo gdzieś obok, na bagnach. To było jej miejsce.

- Tak, było. I jest. - Uścisnęła rękę. - W Beaux Rêves są kwiaty, to także było jej miejsce. Zetnę trochę, kiedy minie burza, wezmę je na bagna. Nad rzekę. Położę je dla Hope.

Nie zwiędną tam tak szybko. Zrobisz to ze mną?

- Nigdy nie chciałam dzielić się nią z tobą. - Faith zrobiła przerwę, zamknęła oczy. -

Ale to minęło. Po południu się rozjaśni. Uprzedzę Wade'a. - Odchodząc, jeszcze się zatrzymała. - Tory, gdybyś tam była pierwsza...

- Zaczekam na ciebie.

Tory obserwowała ją przez chwilę, potem ogarnęła spojrzeniem łagodnie pochylony stok, kurtyne deszczu, parującą od wilgoci ziemią. Byli tam jej babcia z potężnym Cecilem u boku, Rosie w woalce i Lilah trzymająca nad głową parasolkę.

J.R. z Boots, stojący nieruchomo nad grobem siostry, którą kochał bardziej niż mógł przypuszczać.

I był Cade z przyjaciółmi.

Kiedy podeszła do niego, krople deszczu stawały się coraz rzadsze, a pierwsze przebłyski słońca przedzierały się przez zasnutą niebo.

- Czy rozumiesz, dlaczego chcę to zrobić?

- Rozumiem tylko, że chcesz to zrobić.

Tory uśmiechnęła się lekko, strząsając krople deszczu z łodyg lawendy, którą ścięła.

- I jesteś trochę poirytowany, że cię nie proszę, żebyś tam ze mną poszedł.

- Trochę. Jediną rekompensatą może być dla mnie fakt, że coraz bardziej się zaprzyjaźniacie z Faith. Ale to wszystko nic w porównaniu z przerażającą perspektywą spędzenia paru godzin z ciotką Rosie. Ma dla mnie prezent, który już widziałem. To stary czarny cylinder. Ma nadzieję, że go założę na ślub.

- Będzie idealnie pasował do zjedzonej przez mole sukni, którą mi podarowała. Mam pomysł. Włożysz cylinder, ja nałożę tę suknię, a Lilah nas sfotografuje. Oprawimy to w ładną ramkę i ofiarujemy pannie Rosie, a przed ślubem spakujemy te rzeczy i schowamy je gdzieś głęboko.

- Genialne. Żenię się z bardzo mądrą kobietą. Będziemy musieli zrobić to zdjęcie jeszcze dzisiaj wieczorem. Ponieważ jutro bierzemy ślub.

- Jutro? Ale...

- Tutaj - powiedział i odwrócił ją, żeby ją objąć. - Kameralny ślub w ogrodzie.

Zająłem się już większością spraw, resztę zostawiłem na popołudnie. - Ale moja babcia...

- Rozmawiałem z nią. Zostanie z Cecilem do jutra. Będą tutaj.

- Nie miałam czasu kupić sukni ani...

- Twoja babcia ma nadzieję, że zechcesz włożyć suknię, w której wychodziła za twojego dziadka. Pojechała do Florence, żeby ją tutaj przywieźć. Powiedziała, że to dla niej bardzo ważne.

- O wszystkim pomyślałeś, prawda?

- Tak. Czy to dla ciebie stanowi jakiś problem?

- Będziemy mieli wiele poważniejszych problemów przez następne pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat.

- Doskonale. Lilah piecze tort. J.R. przywiezie skrzynkę szampana. Znacznie się ożywił, gdy zaczął o tym myśleć.

- Dziękuję ci.

- Dodam jeszcze, że ciotka Rosie postanowiła wystąpić z recitalem. Będzie śpiewać.

- Nie pozwólmy, żeby popsuł nam taką chwilę. No cóż, skoro wszyscy zaaprobowali ten scenariusz, ze wszystkimi jego szczegółami, nie mogę się sprzeciwiać. Pewnie już zaplanowałeś miodowy miesiąc.

- Chyba nie masz nic przeciwko podróży do Paryża? Nie wątpił w to ani przez chwilę. - Pocałował ją szybko, zanim zdążyła coś powiedzieć. - Możesz zamknąć na parę dni sklep, ale Boots zapaliła się do pomysłu, żeby poprowadzić go za ciebie. Także Faith ma jakieś pomysły.

- O Boże!

- Ale decyzja należy do Ciebie.

- Dziękuję ci bardzo. - Przeciągnęła ręką po włosach. - Kręci mi się głowie.

Porozmawiamy o wszystkim, kiedy wrócę.

- Oczywiście. Potrafię się dostosować.

- Tylko takiego udajesz. - Przesunęła koszyk z kwiatami, wręczyła mu sekator. - Nie zacznij nadawać imion dzieciom podczas mojej nieobecności.

Zaplanował ich ślub za jej plecami. Zaplanował dokładnie taki ślub, jaki chciała mieć.

Jakie to urocze, gdy druga osoba zna cię na wylot.

Dlaczego więc nie może się odprężyć? Nic dziwnego. Miała tak okropne przeżycia, a za dwadzieścia cztery godziny będzie brała ślubu.

Chciała zamknąć za sobą jedne drzwi, by móc otworzyć następne. Spojrzała na leżące w samochodzie kwiaty. Może jest tego bliska.

Zatrzymała się na poboczu drogi, w miejscu, w którym Hope schowała kiedyś swój rower. Minęła mostek, gdzie ciemnopomarańczowe lilie rozwinęły się w bajeczne turbany, i znalazła się na ścieżce, którą poszła tamtej nocy jej przyjaciółka.

Hope Lavelle, dziewczyna szpieg.

Wilgoć parowała z ziemi. Czuć było zapach butwiejących roślin.

Liście i mchy ociekały wodą, od której lśniły jej włosy i przemokła koszula. Ciężki, przesiąknięty wilgocią upał zamienił bagna w tropikalną dżunglę, która wydawała pomruki i sączyła strużki wody, jakby powierzając powietrzu swoje sekrety.

Szkoda, że nie przyniosła trochę drewna. Wszystko wokół było zbyt mokre, żeby zapalić ognisko.

Gdy tylko o tym pomyślała, poczuła zapach dymu.

Oto ognisko, nieduże i tak ułożone, żeby paliło się powoli, a obok niego zastrzone patyki czekają na prawoślaz.

Zamrugła powiekami. Ogień tlił się naprawdę, a dym leniwie unosił się w górę.

Oszołomiona Tory wyszła na polanę. Upuściła z rąk koszyk, z którego wysypały się kwiaty.

- Hope? - Przytknęła rękę do serca, jakby się chciała upewnić, że wciąż bije. Ale marmurowa figura dziecka, które było jej przyjaciółką, stała na klombie kwiatów bez słowa.

Drżącą ręką złapała jeden z patyków. Miał świeżo zastrugane końce. Więc to nie sen, nie epizod z przeszłości. To nie była Hope.

Stopniowo docierała do niej przerażająca rzeczywistość. W krzakach zaszeleściło.

Odwróciła się natychmiast. Hasło! Pomyślała to, usłyszała ten dźwięk w głowie. Ale to nie była Hope. A ona nie miała ośmiu lat.

Kiedy przyjechał Russ, Cade był w ogrodzie i zastanawiał się, gdzie powinni poustawiać stoły na przyjęcie weselne.

- Dobrze, że cię zastałem. Przed chwilą otrzymałem informacje, które mogą cię zainteresować.

Wejdz do środka, tam jest chłodniej.

- Nie, muszę wracać, ale chciałem ci to osobiście powiedzieć. Mamy już ekspertyzę balistyczną. Broń, z której została zabita Sarabeth Bodeen, nie była tą samą bronią, którą Bodeen miał przy sobie. Nawet nie ten kaliber.

Cade drgnął z przerażenia.

- Chyba nie wszystko rozumiem.

- Wychodzi na to, że rewolwer, który miał przy sobie Bodeen, kiedy wtargnął do Tory i do twojej siostry, został skradziony w domu położonym o dwadzieścia pięć kilometrów na południe stąd, tego samego ranka, kiedy została zabita matka Tory. Włamanie do domu nastąpiło między dziewiątą a dziesiątą rano tego samego dnia.

- Jak to jest możliwe?

- To znaczy, że albo Bodeen pomknął tutaj na skrzydłach z hrabstwa Darlington, albo że ktoś inny wpakował te kule w panią Bodeen.

Carl D. potarł ręką brodę. W jego oczach było widać krańcowe przemęczenie.

- Byłem w kontakcie z tymi z federalnej, a teraz składam te wszystkie elementy razem.

Zarejestrowane rozmowy wskazują na to, że pani Bodeen odebrała telefon tuż po drugiej tamtego ranka, z automatu w Win Dixie na północ stąd. Więc doszliśmy do wniosku, że Bodeen nie mógł do niej stąd dzwonić i mówić jej, że się do niej wybiera. Na razie jeszcze wszystko się zgadza. Ale przestaje pasować, jeśli dodać to tego całą resztę.

- Bodeen musiał do niej dzwonić. Przecież inaczej nie zapakowałyby walizki, prawda?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. To znaczy, że dzwonił stąd około drugiej nad ranem, pojechał tam, urządził strzelaninę między piątą a piątą trzydzieści, następnie znów wrócił, pokonując kolejne dwadzieścia pięć kilometrów, włamał się do tamtego domu, ukradł broń, butelkę whisky i resztki z kolacji. Po co miałby jeździć tam i z powrotem?

- Był niespełna rozumu.

- Nie przeczę, ale czy szalenciec zdolny jest zrobić aż tyle jednego ranka, włącznie z pobiciem rekordu prędkości? Tym bardziej że nie wygląda na to, by miał jakikolwiek pojazd?

Nie, nie mówię, że tego się nie da zrobić. Uważam jednak, że to nie ma sensu.

- A kto inny miałby zamordować matkę Tory?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć. Opieram się tylko na faktach. Miał marną broń, nic nie wskazuje na to, żeby dysponował samochodem. Może jeszcze coś znajdziemy, choćby rewolwer, z którego zastrzelił swoją żonę. Być może. - Wyjął z kieszeni chustkę, wytarł nią kark. - Ale jeśli Bodeen nie popełnił tych morderstw w hrabstwie Darlington, to może w ogóle nikogo nie zabił. To by znaczyło, że ten, kto to zrobił, nadal chodzi na wolności.

Miałem nadzieję, że będę mógł porozmawiać z Tory.

- Nie ma jej. Pojechała... - Ogarnął go blady strach. - Pojechała do Hope.

Tory próbowała go poczuć, zlokalizować. Ale widziała tylko ciemność. Zimną, pustą ciemność. Zaschło jej w ustach, kiedy odwróciła się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Którą z nas chciałeś mieć tamtej nocy? A może to nie miało znaczenia?

- Dlaczego miałbym cię chcieć? To ona była piękna.

- Była dzieckiem.

- To prawda. - Na polanę wyszedł Dwight. - Ale ja też nim byłem. Poczuliśmy ukłucie w sercu.

- Byłeś przyjacielem Cade'a.

- Jasne. Cade i Wade - byli jak bliźniaki. Bogaci, uprzywilejowani, przystojni. Ja byłem tłustym małym dowodem ich wspaniałomyślniej wyrozumiałości. Dwight Klucha. No i co, przerobiłem ich wszystkich, może nie?

Miał dwanaście lat, pomyślała, patrząc na beztroski uśmiech na jego twarzy. Nie więcej niż dwanaście lat.

- Dlaczego?

- Nazwij to prawem zamiany. Oni zawsze byli lepsi. Lepszy we wszystkim.

Postanowiłem więc, że przynajmniej jako pierwszy będę miał dziewczynę. - Wesołość zagościła w jego oczach. - Nie po to, żeby się tym przechwalać. Coś jak Batman.

- O Boże, Dwight.

- Trudno ci to zrozumieć, jesteś kobietą. A to męska sprawa. Dlaczego by nie zabawić się z drogocenną siostrą mojego dobrego przyjaciela Cade'a?

Mówił to tak spokojnie, tak obojętnie, że ptaki nie przerwały swojego śpiewu, tych czystych nutek, które płynęły jak łzy.

- Nie wiedziałem, że ją zabiję. Po prostu... tak się stało. Pociągnąłem whisky tatusia.

Wypiłem jak mężczyzna. Byłem trochę zamroczony.

- Miałaś tylko dwanaście lat. Jak mogłeś... chcieć coś takiego? Obszedł wkoło polanę, nie podchodząc bliżej, jakby to miała być zabawa w kotka i w myszkę.

- Miałem zwyczaj obserwować was, gdy kąpałyście się na golasa, a potem leżałyście tutaj, zwierając się sobie z różnych tajemnic. To samo robił twój staruszek - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Można by powiedzieć, że był moją inspiracją. On chciał ciebie.

Twój staruszek miał cholerną ochotę, żeby cię wypieprzyć, ale miał też potwornego pietra.

Byłem lepszy od niego, lepszy niż którykolwiek z nich. Udowodniłem to tamtej nocy. Tamtej nocy byłem mężczyzną.

Burmistrz miasta, dumny ojciec, oddany mąż, lojalny przyjaciel. Co za szaleństwo kryło się pod powierzchnią tych pozornych cnót?

- Zgwałciłeś i zamordowałeś dziecko. To cię uczyniło mężczyzną?

- Przez całe życie słyszałem, że mam być mężczyzną. - Wesołość zniknęła z jego oczu, stały się teraz zimne i pozbawione wyrazu. - Na miłość boską, bądź mężczyzną, Dwight. Nie można być mężczyzną, skoro się jest prawiczkim, czyż nie? Żadna dziewczyna nie spojrzy na mnie. Więc znalazłem sposób. Tamta noc zmieniła moje życie. Popatrz teraz na mnie.

Rozpostarł ramiona, podszedł bliżej, nie spuszczał z niej oczu.

- Zdobyłem zaufanie, zmieniłem sylwetkę i wygląd, mam najładniejszą dziewczynę w Progress. Cieszę się szacunkiem. Piękna żona, syn. Zdobyłem pozycję. A wszystko to zaczęło się tamtej nocy.

- A tamte inne dziewczyny?

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest. A może potrafisz? Umiesz to wyczuć, prawda? Ich strach. Kiedy to się dzieje, jestem dla nich najważniejszą osobą na świecie. Ja jestem ich światem. To jest cholernie przyjemne uczucie.

Pomyślała, że trzeba uciekać. I zobaczyła w jego oczach, że tylko na to czeka.

Zwolniła oddech, próbując go przeniknąć. Znowu nic, jak jakaś pusta czeluść, ale gdzieś na jej krawędziach było coś na podobieństwo plugawego pożądania.

Rozpoznanie tego, przewidzenie tego, co może nastąpić, było teraz jej jedyną bronią.

- Nawet ich nie znałeś, Dwight, to były dla ciebie obce osoby.

- Wyobrażałem sobie po prostu, że są Hope, że jest to znowu ta pierwsza noc. Były nikim, dopóki nie wyobraziłem sobie, że są Hope.

- Z Sherry tak nie było.

- Nie mogłem czekać". - Wzruszył ramionami. - Lissy nie jest zbyt seksowna w ostatnim czasie. Nie winie jej za to. A ta seksowna belferka chciała tego. Ścisłej biorąc, chciała tego od Wade'a, durna suka. Nie była wcale taka nadzwyczajna. Wcale nie. Faith jest znacznie lepsza. - Zobaczył, jak Tory podskoczyła. - Taak, jesteś z nią mocno związana, prawda? Ja też mam zamiar mocno się z nią związać. Chciałem na nią poczekać do sierpnia, odbyć mój mały rytuał, rozumiesz. Ale będę to musiał przyspieszyć. Aha, tak przy okazji, ona się spóźni. Namówiłem Lissy, żeby do niej zajrzała. Już ona potrafi na długo zająć Faith.

- Tym razem się dowiedzą, Dwight. Nie będziesz mógł tego zrzucić na kogoś innego.

- Twój ojciec bardzo mi się przydał, nie uważasz? Czy już wspomniałem, że to ja zabiłem twoją matkę? Zadzwoiłem do niej, powiedziałem, że jestem przyjacielem i że jej ukochany mąż jedzie do niej. To było świetne posunięcie, gliny dobrały mu się do tyłka, a ja mogłem sobie siedzieć i przyglądać się wszystkiemu z największą troską, jak przystało na burmistrza.

- Była dla ciebie nikim.

- Tak jak pozostałe. Z wyjątkiem Hope. A o mnie się nie martw. Nikt nie zacznie mnie podejrzewać. Uchodzę za uczciwego obywatela, a w tej chwili jestem właśnie w domu towarowym i kupuję misia dla mojego nie narodzonego dziecka. Wielkiego żółtego niedźwiedzia. Lissy będzie nim zachwycona.

- Nigdy nie mogłam cię tak naprawdę wyczuć - powiedziała półgłosem. - Ponieważ nic w tobie nie ma. Jesteś pusty w środku.

- Zastanawiałem się nad tym. Trochę się tym niepokoiłem. Wziąłem cię dzisiaj za rękę, na zasadzie sprawdzianu, żeby się przekonać. Nic nie odebrałaś. Ale jeszcze mnie poczujesz, zanim skończymy. Dlaczego nie uciekasz, tak jak ona uciekała? Wiesz przecież, że uciekała i krzyczała. Dam ci szansę.

- Nie, sama ją sobie wezmę. Bez chwili wahania dźgnęła go patykiem, celując w oczy.

Kiedy zawył, pobiegła, tak jak biegła Hope.

Mech oblepiał jej nogi, a ziemia chciwie wsysała jej stopy. Pośliznęła się, przedzierając się przez ociekające wodą paprocie, przeskakując przez gałęzie.

Zobaczyła to, co widziała Hope, dwa nakładające się na siebie obrazy. Upalną letnią noc zlewającą się z parnym popołudniem. I poczuła to, co czuła Hope, poprzez swój własny strach i niepokonywany gniew, dominujące nad dziecięcym przerażeniem.

Usłyszała to, co słyszała Hope, dudniące za nią kroki, trzask łamanych krzaków.

To ten niepokonywany gniew kazał się jej zatrzymać, odwrócić się, zanim jeszcze uświadomiła sobie cel tego kroku. Płonął w niej, czarny jak smoła, kiedy rzuciła się na napastnika z zębami i pazurami.

Zaskoczony nagłym atakiem, na wpół oślepiony przez krew, osunął się na ziemię, wyjąc, kiedy zatopiła zęby w jego ramieniu. Szarpnął rękę, ale nie dała się oderwać, orała go paznokciami po twarzy.

Żadna z nich nie była w stanie z nim walczyć, ale ona się nie podda. Na Boga, nie podda się.

Ja jestem Tory! Te słowa były jak okrzyk bojowy, rozbrzmiewający w jej uszach.

Nawet kiedy jego dłonie zacisnęły się na jej gardle, wyrwała mu się. Kiedy poszarzało jej w oczach, kiedy nie mogła złapać tchu, użyła pięści.

Ktoś wołał jej imię, było to dzikie, desperackie wołanie, które niesło się echem, zagłuszając dudnienie krwi w jej głowie. Wpiła się paznokciami w ręce, które ją dusiły, dławiła się już, kiedy uścisk zelżał.

- Teraz cię czuję! Czuję twój strach i ból, bydlaku! Walczyła nadal, wpatrując się w twarz Dwighta. Krew ciekła mu z oka, a jego policzki było rozorane jej rękami.

- Dobrze ci tak, dobrze ci tak!

- Tory! Przestań! Przestań! Popatrz na mnie.

Blady i ociekający potem Cade tak długo przytrzymał ją, aż zaczęła go rozpoznawać.

- On ją zabił. To zawsze był on. Nigdy tego nie zobaczyłam. Nienawidził ciebie przez całe życie. Wszystkich was nienawidził.

- Jesteś ranna.

- Nie. Nie jestem. To jego krew.

- Cade! Mój Boże, ona zwariowała. - Dwight przewrócił się na bok, próbując się podnieść na kolana. Czuł się tak, jakby krwawił z tysiąca ran. Prawe oko paliło jak rozżarzony węgiel. Ale jego umysł pracował, szybko i przytomnie. - Wzięła mnie za swojego ojca.

- Kłamca! - Znowu narosła w niej wściekłość, szarpała się i próbowała się wyrwać Cade'owi. - On zabił Hope. A teraz czekał tu na mnie.

- Zabiłem Hope? - Kiedy Dwight znowu upadł na kolana, z rozbitych ust pociekła mu krew. - To było prawie dwadzieścia lat temu. Ona jest chora, Cade. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby zobaczyć, że jest chora. Jezu, moje oko. Musisz mi pomóc.

Spróbował się podnieść, ale nie mógł się utrzymać na nogach.

- Na litość boską, Cade, wezwij karetkę. Zaraz stracę to oko.

- Wiedziałaś, że one tutaj przychodzą. - Przyglądając się uważnie zmasakrowanej twarzy dawnego przyjaciela, Cade nie wypuszczał z ramion Tory. - Wiedziałaś, że wymykały się w nocy, żeby tutaj przychodzić. Sam ci to powiedziałem. Śmialiśmy się z tego.

- Co to ma do rzeczy? - Słyszając w krzakach kroki, Dwight spojrział tam zdrowym okiem. Ujrzał dyszącego ciężko Carla D. - Dzięki Bogu. Wezwij karetkę. Tory miała coś w rodzaju ataku nerwowego. Popatrz, co mi zrobiła.

- Słodki Jezu! - zawołał Carl D. i podbiegł do niego.

- Chciał, żebym uciekała. Ale ja przestałam uciekać. - Tory już się nie wyrywała, położyła rękę na dłoni Cade'a, podczas gdy Carl D. ukucnął, żeby własną chustką zawiązać zranione oko Dwighta. -

On zabił Hope i wszystkie inne. Zabił moją matkę.

- Mówię ci, że ona jest szalona. - Dwight próbował złapać Carla D. za ramię, ale ześliznęła mu się ręka. Nic nie widział. Niech to szlag trafi, nic nie widzi. Zaczął szczekać zębami. - Nie może się pogodzić z tym, co zrobił jej ojciec.

- Zabierzemy cię do szpitala, Dwight, a potem wyjaśnimy to wszystko. - Carl D.

spojrzał na Tory. - Jesteś ranna?

- Nie. Nie jestem ranna. Nie możesz mi uwierzyć. Nie możesz mi uwierzyć, ponieważ żyliście obok siebie przez te wszystkie lata. Ale on to zrobił. Przesunęła się, napotkała wzrok Cade'a.

- Jest mi przykro.

- Ja też nie mogę uwierzyć w to, co mówisz. Ale chcę ci wierzyć.

- Wiem. - Ośmielona tym, podniosła się na nogi. - Rewolwer, z którego zabił moją matkę, znajduje się u niego w domu, na poddaszu. Nad krokwiemi, w południowej części. -

Delikatnie potarła ręką gardło, na którym pozostały ślady jego palców. - Popełniłam błąd, Dwight, pozwalając, żeby to tak daleko zaszło. Powinnam była uważniej przysłuchiwać się twoim myślom.

- Ona kłamie. Sama to ukartowała. Ona jest szalona. - Zachwiał się, gdy Carl D.

podniósł go na nogi. - Cade, byliśmy przyjaciółmi przez całe życie. Musisz mi uwierzyć.

- Jest coś, w co ty będziesz musiał uwierzyć - odparł Cade. - Gdybym przybył tutaj wcześniej, już byś nie żył. Uwierz w to. I zapamiętaj sobie.

- Musisz teraz pójść ze mną, Dwight. - Carl D. założył mu kajdanki.

- Co ty wyprawiasz? Co ty, do diabła, wyprawiasz? Wierzysz tej wariatce, a nie mnie?

- Jeżeli nie znajdę tego rewolweru tam, gdzie powiedziała, albo jeżeli nie będzie odpowiadał broni, z której zabito młodego policjanta i bezbronną kobietę, przeproszę cię najgoręcej. Chodź już. Panno Tory, radzę się udać do szpitala.

- Nie. - Wierzchem dłoni otarła krew z ust. - Jeszcze nie zrobiłam tego, co zamierzałam.

- Dobrze. Zajrzę do was później - powiedział im Carl D.

- Ona jest szalona - wykrzyknął Dwight i powtarzał to przez cały czas, podczas gdy Carl D. odciągał go i prowadził ze sobą.

- Czuje się znieważony. - Śmiejąc się cicho, Tory przycisnęła oczy palcami. - To jest główna i najsilniejsza emocja, która nim teraz powoduje. Zniewaga, że został potraktowany jak kryminalista.

To zdominowało jego nienawiść i pożądanie.

- Przestań się nim zajmować. - Cade wziął ją za ramiona. - Nie patrz na niego.

- Masz rację. - Skrzyżowała ręce na piersiach. - Wciąż dygocze mi serce. - Wyciągnęła jedną rękę, położyła ją na jego piersi. - Podobnie jak twoje.

- Już drugi raz omal cienie straciłem. Nie dopuszczę, żeby jeszcze raz to się powtórzyło.

- Uwierzyłeś mi - powiedziała półgłosem. - Czułam, ile to ci sprawia bólu, ale uwierzyłeś mi. Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy. - Objęła go mocno ramionami. -

Kochałeś go. Jest mi tak przykro.

- I nawet go nie znałem. - A jednak żałował go i opłakiwał. - Gdyby można było cofnąć czas...

- Nie można. Spędziłam dużo czasu, żeby dojść do tego wniosku.

- Jesteś poraniona na twarzy. - Musnął ją wargami.

- Nie tak jak on. - Kiedy zaczęli iść, oparła głowę na jego ramieniu. - Uciekałam, kiedy nagle poczułam w sobie życie. Furię życia. Nie wygra ze mną, nie upoluje mnie jak lis zająca. Wreszcie przekona się, jak to jest.

Cade wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku. Widoku Tory z pobitą, zakrwawioną twarzą, rozszarpująca Dwighta jak kot. A także jego rąk na jej szyi.

- Będzie zaprzeczał - odezwał się po chwili. - Wynajmie adwokatów. Ale to nie ma znaczenia.

- Uważam, że możesz polegać na Jacoby. Ona doprowadzi te sprawę do końca. Biedna Lissy - westchnęła. - Co ona pocznie?

Tory zatrzymała się na polanie, żeby pozbierać rozrzucone kwiaty. Dopalające się ognisko trzaskało, a nikle promienie światła padały ukośnie przez korony drzew.

- Wrócę tu później, razem z Faith. Obecny czas należy tylko do nas. - Podała mu rękę i razem podeszli nad brzeg rzeki.

- Kochaliśmy ją i zawsze będziemy o niej pamiętać. - Tory rzuciła kwiaty do wody. -

Ale już jest po wszystkim. Nareszcie. Tak długo czekałam, żeby móc ją pożegnać.

Kiedy odwróciła się do Cade'a, łzy błyszczały na jej policzkach.

- Chcę cię poślubić jutro w ogrodzie, chcę włożyć suknię mojej babci.

Znowu ujął jej rękę, pocałował ją.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak, bardzo chcę. A potem pojedziemy do Paryża, będziemy siedzieć przy stole w promieniach słońca i popijać wino, kochać się z sobą, gdy słońce zajdzie. A kiedy wrócimy tutaj, zaczniemy budować wspólne życie.

- Już je budujemy.

Przyciągnął ją do siebie. Zamigotały nieśmiałe promyczki słońca. Mech ociekał deszczem.

Rozkwitnięte i lśniące kwiaty popłynęły bezgłośnie z prądem rzeki.